

STAR WARS
DZIEDZICTWO MOCY
ZDRADA

AARON ALLSTON

Przekład

Andrzej Syrzycki

Amber

GTW

STAR WARS
DZIEDZICTWO MOCY
ZDRADA
AARON ALLSTON

Przekład

Andrzej Syrzycki

Amber

GTW

Redakcja stylistyczna
Magdalena Stachowicz

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Katarzyna Pietruszka
Elżbieta Steglińska

Ilustracja na okładce
Jason Felix

Opracowanie graficzne okładki
Wydawnictwo Amber

Skład
Wydawnictwo Amber

Druk
Opolgraf SA, Opole

Tytuł oryginału
Legacy of the Force: Betrayal

Copyright © 2006 by Lucasfilm Ltd. & TM.
Used under authorization.
Published originally under the title Legacy of the Force: Betrayal by Del Rey Books.

For the Polish edition
Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-2836-5

Warszawa 2007. Wyдание I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13, 620 81 62

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Aidel Saxan	premier, Korelianka (kobieta)
Ben Skywalker	(mężczyzna)
Brisha Syo	(kobieta)
C-3PO	protokolarny android
Cal Omas	przywódca Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)
Cha Niathal	admiral Galaktycznego Sojuszu (Kalamarianka)
Gilad Pellaeon	admiral, naczelny dowódca Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)
Han Solo	kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)
Heilan Rotham	profesor (kobieta)
Jacen Solo	rycerz Jedi (mężczyzna)
Jaina Solo	rycerz Jedi (kobieta)
Kolir Hu'lya	rycerz Jedi (Bothanka)
Leia Organa Solo	rycerz Jedi, drugi pilot „Sokoła Millenium” (kobieta)
Luke Skywalker	wielki mistrz Jedi (mężczyzna)
Lysa Dunter	podporucznik galaktycznego Sojuszu (kobieta)
Mara Jade Skywalker	mistrzynie Jedi (kobieta)
Matric Klauskin	admiral Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)
Nelani Dinn	rycerz Jedi (kobieta)
R2-D2	astromechaniczny robot
Syal Antilles	podporucznik Galaktycznego Sojuszu (kobieta)
Tahiri Veila	rycerz Jedi (kobieta)
Thann Mithric	rycerz Jedi (Falleen)
Thrackan Sal-Solo	przywódca Korelii (mężczyzna)
Tiu Zax	rycerz Jedi (Omwatka)
Toval Seyah	naukowiec-spieg Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)
Tycho Celchu	generał koreliańskich wojsk obronnych (mężczyzna)
Wedge Antilles	generał koreliańskich wojsk obronnych (mężczyzna)
Zekk	rycerz Jedi (mężczyzna)

ROZDZIAŁ 1

Coruscant

- On nie istnieje.

Luke Skywalker wypowiedział te słowa nieświadomie. Wcale nie zamierzał tego mówić. Usiadł na łóżku i powiódł spojrzeniem po skąpo oświetlonej sypialni.

Niewiele w niej miał mebli, na których mógłby zatrzymać spojrzenie. Nawet tak słynni członkowie zakonu Jedi, jak mistrz Skywalker nie zgromadzili wielu rzeczy osobistego użytku. Luke miał przed oczami krzesła przed wygaszonymi ekranami komputerów. Pod ścianą zobaczył regał z plastalowymi prętami i ćwiczebną bronią, a pośrodku sypialni stół zavalony przedmiotami osobistego użytku w rodzaju komputerowych notesów, strzępków flimsiplastu z odręcznymi notatkami i kart danych z raportami różnych mistrzów Jedi. Na stole stał także posążek z piaskoszkła, przysłany mu przez jakieś dziecko z Tatooine. Miał przedstawiać Luke'a, był jednak nieporadnie wykonany i zupełnie niepodobny do oryginału. W wyłożonych fornirem wnękach w ścianach mieściły się szafy, a w nich kilka starannie wybranych ubrań Luke'a i Mary. Świetlne miecze obojga Skywalkerów spoczywały za Lukiem, na półce szafki w głowach łóżka.

Naturalnie jego żona Mara Jade Skywalker miała więcej niż on urządzeń i przedmiotów osobistego użytku. Ubrania, broń, aparatura telekomunikacyjna, fałszywe dokumenty... Mara była kiedyś szpiegiem i nigdy nie zrezygnowała z atrybutów tego zawodu, ale nie przechowywała ich w sypialni. Luke nie był pewien, gdzie je trzyma, a żona nie zwracała mu głowy takimi błahostkami.

Poruszyła się we śnie i mistrz Jedi spojrzał na nią. Jej płomiennorude włosy, przystrzyżone nieco wcześniej do średniej długości, były rozwichrzone, ale kiedy Mara otworzyła oczy, Luke nie zobaczył w nich ani śladu senności. Wiedział, że w świetle dnia oczy żony są zdumiewająco zielone.

- Kto nie istnieje? - Zapytała.

- Nie wiem - odparł Luke. - Mój nieprzyjaciel.

- Znów ci się przyśnił?

Mistrz Jedi kiwnął głową.

- Śnił mi się już przedtem kilka razy - potwierdził. - Wiem, że to nie tylko sen. To informacja, jaka napływa do mnie z prądami Mocy. Mój wróg wygląda, jakby był cały otulony w cieniu, i to nie tylko dlatego, że ma na sobie ciemny płaszcz z kapturem... - Luke pokręcił głową, jakby starał się znaleźć odpowiednie słowo. - Widzę tylko światło i cienie, ale wyczuwam ignorancję i zaparcie się prawdy. Przeczuję, że mój przeciwnik zada straszliwy ból galaktyce... I mnie.

- No cóż, jeżeli zada ból galaktyce, na pewno go poczujesz - powiedziała Mara.

- Oprócz tego, że wyrządzi wiele zła, zada także ból mnie samemu. - Luke westchnął i wyciągnął się na łóżku. - Nie wyczuwam go wyraźnie. A kiedy się budzę i usiłuję zajrzeć w przyszłość, żeby go tam odnaleźć, nie mogę.

- Bo nie istnieje - przypomniała mistrzyni Jedi.

- Właśnie to mówi mi mój sen. - Zirytowany Luke syknął.

- Czy tą osobą może być Raynar?

Luke zastanowił się nad sugestią żony. Były rycerz Jedi, Raynar Thul, uznany za zabitego podczas zmagania z Yuuzhan Vonga mi, kilka lat po ich zakończeniu niespodziewanie się odnalazł. W czasie wojny odniósł straszliwe rany, a dzięki kontaktom z rasą insektoidalnych Killików jego umysł uległ transformacji. Stał się przeciwnikiem, z którym zakon Jedi musiał sobie jakoś poradzić. Obecnie Raynar odbywał pokutę w dobrze chronionej celi w głębi Świątyni Jedi, w której poddawano leczeniu jego fizyczne i umysłowe obrażenia.

Leczeniu. Leczenie oznaczało zmianę, a dzięki tej zmianie Raynar stawał się kimś zupełnie innym, więc może zjawą ze snów Luke'a wskazywała na istotę, którą Raynar kiedyś się stanie?

Mistrz Jedi pokręcił głową, żeby usunąć z niej posępne myśli.

- W mojej wizji nie wyczuwam obcości Raynara - powiedział. - Kimkolwiek jest mój nieprzyjaciel, pod względem umysłowym i emocjonalnym pozostaje człowiekiem albo niemal człowiekiem. Podejrzewam nawet, że to mój ojciec.

- Darth Vader - podsunęła Mara.

- Nie - zaprzeczył Luke. - Jeszcze zanim się stał Darthem Vaderem albo kiedy się nim dopiero stawał. - Stracił ostrość spojrzenia, jakby starał się przeżyć na jawie własny sen. - Widzę wprawdzie tylko niewielką część jego twarzy, ale przypomina mi Anakina Skywalkera, kiedy jeszcze był Jedi. Tylko jego oczy... Kiedy w nie patrzę, zaczynają płonąć niczym stopione złoto albo pomarańczowy ogień, jakby przemieniało je władanie Mocą i uleganie gniewowi...

- Mam pewien pomysł - przerwała żona.

- Podziel się nim ze mną.

- Zaczekamy, aż twój przeciwnik znów się pokaże, a potem się z nim rozprawimy.

Luke się uśmiechnął.

- Zgoda - powiedział. Zamknął oczy i spowolnił tempo oddychania, żeby znów zasnąć.

Udało mu się to mniej więcej po minucie.

Mara jednak leżała rozbudzona, ze spojrzeniem utkwionym w suficie, jakby chciała przeniknąć przez dziesiątki poziomów enklawy Jedi i spojrzeć w niebo nad Coruscant. Szukała jakiegokolwiek sugestii czy przeblysku czegoś, co nie dawało spokoju jej mężowi.

Nie znalazła ani śladu, więc wkrótce też zasnęła.

Adumar

Błyszczące perłowszare drzwi kabiny turbowindy rozsunęły się na boki. Jacena Solo, jego kuzyna Bena Skywalkera i ich przewodnika owionęło ciepłe powietrze, przesycone zapachem śmierci i zniszczenia.

Rycerz Jedi nabrał go do płuc i wstrzymał oddech. W podziemnej fabryce nie wyczuwał woni gnijącego ciała czy zaatakowanych przez gangrenę ran, do których widoku zdążył zresztą przywyknąć, ale zapachy związane z działalnością przemysłową. W ogromnej hali produkcyjnej od dziesięcioleci wytwarzano jednak pociski i rakiety, więc nawet najbardziej skrupulatne sprzątanie nie mogłoby wyeliminować unoszących się w powietrzu zapachów potu, maszynowych smarów, wyprodukowanych wcześniej kompozytów i stałych materiałów pędnych.

W końcu Jacen wypuścił powietrze z płuc i przestąpił próg kabiny turbowindy. Po kilku krokach stanął przed ochronną poręczą biegnącego górą obserwacyjnego pomostu, z którego rozciągał się widok na całą halę produkcyjną. Pokonał tę odległość tak szybko, że fałdy jego płaszczka Jedi cicho zafurkotały, a buty wybiły dźwięczny rytm na metalowej podłodze. Wolał zostawić z tyłu swojego ucznia i miejscowego przewodnika, żeby wyrzucić większe wrażenie i na Adumarianinie, i na wszystkich innych pracownikach Spółki Dammant Killers. Uznał, że całkiem nieźle odgrywa swoją rolę, bo przedstawiciele zakładu zbrojeniowego, z którymi dotąd prowadził rozmowy, wyglądali na wystraszonych. Nie miał tylko pojęcia, czy zawdzięcza to swojemu zachowaniu, odpowiednim manierom, smukłej sylwetce, powadze i sympatycznemu wyglądowi, czy też może nazwisku... Bo chyba wszyscy Adumarianie, uwielbiający sławnych pilotów, doskonale znali nazwisko jego ojca Hana Solo.

Przewodnik Jacena i Bena był szczupłym, łysiejącym mężczyzną i nazywał się Testan ke Harran. Podeszedł także do poręczy i stanął po prawej stronie rycerza Jedi. W przeciwieństwie do niezdecydowanej, szaroniebieskiej kolorystyki wnętrza fabryki oraz kombinezonów robotników jego ubranie aż biło w oczy jaskrawymi kolorami. Tunika o fałdzystych rękawach sięgała z tyłu niemal kolan i była pomarańczowa jak kombinezony pilotów X-wingów. Przecinały ją krzyżujące się purpurowe linie, które tworzyły mozaikę niewielkich rombów. Spodnie, pas i szarfa mężczyzny połyskiwały niczym płynne złoto.

Testan pogładził lśniąca czarną brodę gestem, którym usiłował pokryć zdenerwowanie. Jacen wyczuł raczej, niż zobaczył, że Ben staje przy poręczy po drugiej stronie przewodnika.

- Sami widzicie - odezwał się Testan. - Asi robotnicy mają ardoz obre warunki pacy.

Ben chrząknął.

- Mówi, że ich robotnicy mają bardzo dobre warunki pracy - przetłumaczył.

Jacen pokiwał z roztargnieniem głową. Rozumiał słowa przewodnika, bo poświęcał trochę czasu na naukę i zrozumienie adumariańskiego akcentu, ale postanowił nadal odgrywać swoją rolę, żeby wyprowadzić Testana z równowagi. Pochylił się do przodu, jakby interesowała go wyłącznie hala fabryczna w dole.

Pomieszczenie było na tyle duże, że mogło pełnić funkcję hangaru i warsztatu remontowego dla czterech pełnych eskadr tęponosych X-wingów. Wysokie durbetonowe przegrody dzieliły przestrzeń na osiem segmentów montażowych, z których każdy mieścił kompletną linię produkcyjną. Niezbędne do produkcji materiały i podzespoły pojawiały się w otworach w ścianie po lewej stronie, jechały na połyskujących, białych pasach transmisyjnych i ginęły w otworach po prawej. Stojący po obu stronach pasów pracownicy w szarych kombinezonach wykonywali na mijających ich przedmiotach jakieś operacje.

Podzespoły na najbliższej taśmie, niemal dokładnie pod obserwacyjnym pomostem, wyglądały jak kompaktowe zestawy sensorów optycznych. Jacen zauważył, że po dostarczeniu ośmiu takich zestawów pas transmisyjny zawsze się zatrzymuje. Robotnicy w pośpiechu dołączali do jednostek cienkie kable i odwracali się, żeby spojrzeć na ekrany monitorów, na których widniały czarno-białe wizerunki ich osłoniętych kombinezonami bioder i dłoni. Obracając zestawy to w jedną, to w drugą stronę, upewniali się, że czujniki są prawidłowo wywzorcowane.

Na jednym monitorze nie pojawił się obraz z zestawu sensorów. Zajmujący się nim robotnik odłączył kable i odstawił zestaw na stół biegnący wzdłuż taśmy montażowej. Chwilę później pozostali pracownicy także odłączyli kable od swoich zestawów sensorów. Pas transmisyjny drgnął i

ruszył w dalszą drogę, żeby dostarczyć siedem pozostałych urządzeń do następnego stanowiska pracy.

Pas transmisyjny w sąsiednim segmencie był w ciągłym ruchu i dostarczał obudowy zestawów sensorów. Przy tym pasie krzątało się mniej robotników niż w pierwszym segmencie. Każdy chwycił obudowę i zaglądał do środka, żeby sprawdzić, czy wewnątrz nie zawiera szczelin lub nie jest krzywo zmontowane. Niektórzy pracownicy, rozstawieni w jednakowych odstępach, ostukiwali obudowy gumowymi młotkami. Jacen doszedł do wniosku, że wsłuchują się w odgłosy, których nie mógł usłyszeć z tej wysokości i w hałasie panującym w hali.

Przy kolejnym pasie, jeszcze dalej od pomostu, pracownicy nie nosili kombinezonów. Mieli na sobie odporne na działanie niebezpiecznych substancji skafandry w jaśniejszym odcieniu szarości niż pozostali robotnicy. Na ich pasie transmisyjnym sunęły białe talerze, a na nich bryły o nieregularnych kształtach i wielkości ludzkiej głowy, ale barwy jadowitej zieleni. Pas transmisyjny nieruchomiał za każdym razem, kiedy do tego segmentu hali produkcyjnej wjechało osiem talerzy z bryłami, żeby robotnicy mieli czas wbić do każdej zestawy cienkich jak igły sensorów. Pracownicy sprawdzali coś kilka sekund na ekranach monitorów, po czym wyciągali igły, żeby bryły na talerzach mogły ruszyć w dalszą drogę. Jacen wiedział, że ten jadowicie zielony kolor mają niezwykle silne materiały wybuchowe, które adumariańscy producenci stosują do produkcji wysyłanych na eksport raket udarowych.

Korzystając z tego, że starszy Jedi rozgląda się po produkcyjnej hali, Ben postanowił uciąć sobie pogawędkę z przewodnikiem.

- Czy woskujesz swoją brodę? - Zapytał.

- Ależ skąd - odparł Adumarianin.

- Więc dlaczego tak błyszczy? - Nie dawał za wygraną Ben. - Może smarujesz ją olejem?

Tym razem w głosie Testana dało się słyszeć lekką irytację.

- Nie oliwię jej - odparł. - Ale dbam o nią i często ją czeszę.

- A stosujesz masło podczas czesania?

Jacen obejrzał się w końcu, na krewniaka, który stał za ich przewodnikiem. Ben miał trzynaście standardowych lat i nie był wysoki, chociaż silnie umięśniony. Miał usianą piegami twarz i gęste, ognistorude włosy. Kiedy poczuł spojrzenie Jacena, odwrócił się do niego z obojętną miną.

- Rycerz Jedi przyznaje, że jego zdaniem ta fabryka spełnia minimalne, ale tylko minimalne wymagania odnośnie do bezpieczeństwa i komfortu pracy, jakie Sojusz Galaktyczny stawia swoim dostawcom sprzętu wojskowego - powiedział.

Jacen kiwnął głową, co oznaczało: „Świetna improwizacja”. Nie posługiwał się Mocą, żeby przekazywać kuzynowi swoje myśli. Zadanie Bena polegało na odgrywaniu roli tłumacza swojego nauczyciela, ale w całej tej grze chodziło o wpojenie przedstawicielom fabryki przekonania, że dorośli Jedi są jeszcze bardziej wyniośli i tajemniczy, niż uważają Adumarianie.

- Nie, nie, nie. - Testan otarł rękawem czoło, na którym pojawiły się drobniutkie krople potu. - Nasza fabryka spełnia o wiele wyższe wymagania. Idźcie te durastalowe przegrady? Mają za zadania skierować siłę maźliwej eksplozji w górę, żeby w razie wypadku ocalała jak najwięcej racawników. Inaczej niż w przeszłości, zmiany rwają tylko dwia piąta dnia, nie dłużej.

Kiedy Ben skończył „tłumaczyć” słowa Testana, Jacen wzruszył ramionami.

Ben wykonał taki sam gest. Poły jego płaszcz Jedi się rozchyliły, ukazując przyczepioną do pasa rękojeść świetlnego miecza.

Testan rzucił na nią okiem i nie kryjąc przerażenia, przeniósł spojrzenie na Jacena.

- Twój uczeń... - Zaczął i urwał, znów niepewnie spoglądając na Bena. - Nie jesteś za młody, żeby nasić taką broń? - Zapytał.

Ben obrzucił go beznamiętnym spojrzeniem.

- To broń ćwiczebna - powiedział.

- Aha. - Testan kiwnął głową, jakby rozumiał, o co chodzi.

Nie powiedział nic więcej. Może sprawił to widok trzynastolatka ze śmiercionośną bronią w zasięgu ręki, w każdym razie wyraźnie stracił pewność siebie.

Zachowywał się jak podczas dziecinnej gry, w której nakazywało się na przykład: „W ciągu następnej godziny nie wolno ci myśleć o banthach”. Bez względu na to, jak bardzo jej uczestnicy się starali, już po paru minutach albo nawet sekundach musieli pomyśleć o tych zwierzętach.

Testan stracił głowę do tego stopnia, że pomyślał o banthach... A ściślej o miejscu, o którym w ogóle nie powinien myśleć. Jacen wyczuwał, że ich przewodnik stara się usunąć tę myśl z głowy. A robił to tak intensywnie, że rycerz Jedi odgadł bezbłędnie: znajdują się obecnie bliżej źródła jego niepokoju niż kiedykolwiek podczas inspekcji fabryki.

Kiedy Testan się odwrócił, Jacen spojrzał na niego i powiedział:

- Coś tu jest. Coś niedobrego.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział w obecności adumariańskiego przewodnika. Testan pokręcił głową.

- Nie - zaprzeczył. - Wszystko jest w porządku.

Starszy Jedi spojrzał ponad jego głowę na ścianę po prawej stronie hali. Była szara, gładka i składała się z metalowych paneli. Zamontowane jedne na drugich jak cegły, miały wysokość dorosłego mężczyzny i dwukrotnie większą szerokość. Jacen przeniósł spojrzenie dalej, na ściany hali produkcyjnej i niewielką sterownię, znajdującą się wysoko, dokładnie naprzeciwko szybu turbowindy, którą przyjechali. Przyjrzał się jej uważnie, a w końcu posłał spojrzenie jeszcze dalej w lewo.

Zwrócił uwagę na środkową część ściany po lewej stronie w miejscu, w którym stykała się z pomostem, a wtedy wyczuł następny impuls niepokoju Testana. Ben chrząknął, jakby chciał dać do zrozumienia, że chociaż nie jest równie wrażliwy jak Jacen na działanie Mocy, odniósł podobne wrażenie.

Rycerz Jedi ruszył pomostem w tamtą stronę. Tym razem dźwięczny stukot jego butów i szelest płaszcza nie były zamierzonym efektem, ale wynikały z szybkości, z jaką się poruszał.

- Chcecie zahaczyć starownię? - Zapytał Testan, podbiegając, żeby dotrzymać mu kroku. Jego niepokój się nasilał, a w jego środku wyczuwało się coś, co błyszczało niczym klejnot na dnie mrocznego stawu. Jacen postanowił sięgnąć w głąb mętnej wody, żeby wydobyć cenny przedmiot.

Stwierdził, że jest to obraz drzwi, szerokich, szarych i zamykanych od góry. Rycerz Jedi ujrzał za nimi wizję mężczyzn i kobiet. Wszyscy oni, ubrani w granatowe kombinezony, jakie nosili nadzorcy, uciekali, żeby zdążyć przed zamykającymi się drzwiami. Kiedy płyta drzwi opadła, nie różniła się niczym od paneli ściennych, które Jacen widział przed sobą w fabrycznej sali.

Odwrócił głowę i spojrzał na Testana.

- Zdradzają cię twoje myśli - zauważył.

Przewodnik zbladł.

- Nie, nie ma niczego, co by mnie zdradzało - powiedział.

Jacen skręcił za róg obserwacyjnego pomostu, przeszedł szybko jeszcze kilka kroków i nagle znieruchomiał przed fragmentem ściany.

To tu, pomyślał. Wyczuwał coś, co kryło się za ścianą.

Konflikt. On tam był i toczył zaciętą walkę. Ben także. Starszy Jedi ujrzał wizję przyszłości i uświadomił sobie, że za ścianą czyha na nich niebezpieczeństwo.

Kiwnięciem głowy wskazał właściwy panel.

Ben odpiął od pasa świetlny miecz i włączył energetyczną klingę. Z charakterystycznym pomrukiem i sykiem wysunęła się na całą długość błękitna kolumna spójnej energii.

Młody Jedi wbił ostrze w ścienny panel i zaczął zataczać wielki krąg.

- A mówił, że to broń ćwiczebna - oburzył się Adumarianin.

Jacen posłał mu niewinne spojrzenie.

- Z pewnego punktu widzenia to prawda - stwierdził. - Naprawdę używa jej do ćwiczeń.

Ich przewodnik w zdenerwowaniu w ogóle nie zwrócił uwagi na to, że Jacen świetnie go rozumie.

Kiedy Ben skończył zataczać krąg, wymierzył niezbyt silnego kopniaka wyciętemu fragmentowi o wysokości półtora metra. Tarcza wpadła do jaskrawo oświetlonej sali i z brzękiem potoczyła się po metalowej posadzce. Jej krawędzie wciąż jeszcze się jarzyły od żaru klingi świetlnego miecza.

Ben przeszedł przez otwór, a Jacen pochylił głowę i podążył za nim. Usłyszał, że Testan coś mamrocze. Niewątpliwie alarmował kogoś przez komunikator. Rycerz Jedi nie zadał sobie trudu, żeby mu w tym przeszkodzić. I tak widziały ich setki pracowników i nadzorców w sterowni. Rozprawiając się z Testanem, nie powstrzymaliby ich przed ogłoszeniem alarmu.

Pomieszczenie za improwizowanymi drzwiami Bena wyglądało jak korytarz, który miał cztery metry szerokości i osiem wysokości. Każdą powierzchnię pomalowano w takie same matowe szare prostokąty jak w produkcyjnej hali, a z sufitu sączyło się zielonkawobiałe światło. Kilka metrów dalej, po lewej stronie, korytarz kończył się stosem wysokich plastalowych pojemników transportowych. Widniały na nich różne napisy: „Niebezpieczeństwo, nie rzucać” albo „Dammant killer model 16, liczba 24”.

Po przeciwnej stronie korytarz ciągnął się jakieś czterdzieści metrów i kończył widoczną wylotu poręczą. Sugerowało to, że korytarz prowadzi na kolejny pomost obserwacyjny nad inną halą produkcyjną.

W pewnej chwili sześciu żołnierzy wpadło na korytarz i zaczęło biec ku nim. Byli uzbrojeni w blasterowe karabiny i mieli na sobie pomarańczowe jednoczęściowe kombinezony, podobne do mundurów pilotów X-wingów. Mieli także dziwne, jakby zwierzęce zielone pancerze, które osłaniały łydki, tors, przedramiona i głowę. Jacen doszedł do wniosku, że pancerze nadają żołnierzom wygląd używanych przez szturmowców raketowych skuterów, tyle że polakierowanych na niewłaściwy kolor.

Za pierwszymi sześcioma żołnierzami wbiegła do korytarza następna szóstka, a zaraz po niej jeszcze ośmiu...

Jacen odpiął świetlny miecz i wysunął energetyczną klingę. Opalizująca zieleń ostrza jego broni odbiła się od ścian i pancerzy nadbiegających żołnierzy. Rycerz Jedi zerknął na kuzyna.

- Trzymaj się za mną - polecił.

- Rozkaz. - Ben głośno westchnął, a starszy Jedi wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu.

Biegnący na czele oddziału żołnierz, którego hełm i nadgarstki zdobiły złociste paski, postanowił

skorzystać z urządzenia wzmacniającego siłę głosu.

- Nie ruszacie się z miejsca! - Wykrzyknął. - Wstęp do tamtej salki jest zabroniony!

Jacen skierował się spokojnie w jego stronę. Poruszył dłonią, nadając osłaniającej go kłindze świetlnego miecza ruch przypominający trzepot skrzydeł motyla.

- Nie możesz mówić głośniejsze? - Zapytał. - Jestem trochę głuchy.

Ben zachichotał.

- To było dobre - zauważył.

- Nie możecie wejść do tamtej salki! - Powtórzył dowódca.

Obu Jedi dzieliło od pierwszego szeregu żołnierzy zaledwie dwadzieścia metrów.

Jacen cały czas kręcił młynka klingą, jakby dla nabrania większej wprawy.

- Jeżeli mnie przepuścicie, mniej was zginie - oznajmił.

To była w pewnym sensie rytualna uwaga. Gdy przeciwnicy mieli liczebną przewagę, prawie nigdy się nie cofali, i to pomimo panującej opinii, że Jedi wykazują nadprzyrodzone umiejętności. Opinia taka zataczała coraz szersze kręgi z każdym rokiem, w którym zakon Jedi rozkwitał pod przywództwem Luke'a Skywalkera.

Te słowa miały także inny, głębszy sens. Dawniej Jacen rozpaczał, kiedy jego akcje kończyły się śmiercią zwykłych żołnierzy czy strażników. Później jednak stracił tę wrażliwość. Dowódcy wysyłający ludzi na śmierć w walce z przeważającymi siłami wroga zyskiwali z czasem odrętwiające wrażenie nieuchronności. Tak działo się zawsze, odkąd istnieli bezwzględni oficerowie i ulegli podwładni. Umierając, wszyscy zespalali się z Mocą, więc Jacen wreszcie się z tym pogodził, a ogarniająca go za każdym razem rozpacz właściwie znikła.

Ruszył w stronę żołnierzy, ale postąpił zaledwie dwa kroki, kiedy dowódca zawołał:

- Ognia!

Żołnierze wykonali jego rozkaz. Z pełną świadomością tego, co go otacza, Jacen otworzył umysł na przepływ Mocy. Dzięki temu stanął jednością z osobami obojga płci, które starały się go zabić.

Po prostu zignorował większość blasterowych błyskawic. Kiedy wyczuwał, że kierują się ku niemu, nadstawiał klingę świetlnego miecza i odbijał je z powrotem, zazwyczaj w stronę gromady przeciwników. W ciągu pierwszych kilku sekund czterech żołnierzy zginęło od strzałów swoich towarzyszy. Po korytarzu rozszedł się odór spieczonego ciała.

Chwilę później Jacen wyczuł niebezpieczeństwo gdzieś za plecami, ale uświadomił sobie, że Ben już na nie reaguje. Nie odwracając głowy, cały czas szedł naprzód. Chętnie by ochraniał niedoświadczonego chłopaka, ale dzieciak świetnie sobie radził z odbijaniem blasterowych błyskawic. Wprawdzie trudno było ufać bez zastrzeżeń młodszemu kuzynowi, którego umiejętności dopiero się rozwijały, ale starszy Jedi nie miał wyboru. Jeżeli chciał go czegoś nauczyć, musiał mu zostawić swobodę.

Przechwycił następny strzał, który nadlatywał w jego stronę, i odbił go z powrotem w stronę dowódcy oddziału żołnierzy. Błyskawica trafiła go w hełm, odbiła się od niego i utkwiała w suficie. Czterometrowy odcinek oświetlenia zgasł i w korytarzu zapanował półmrok. Dowódca upadł, chociaż prawdopodobnie strzał nie był śmiertelny. Oficer nosił hełm, więc pewnie doznał tylko poparzeń czoła i czubka głowy. Był w szoku, ale chyba nie zginął.

Obrona przez Jacena taktyka przyniosła pożądany skutek. Kiedy żołnierze zobaczyli, że dowódca upadł, nie przerwali ognia, ale zaczęli wymieniać między sobą spojrzenia. Jacen szedł cały czas ku nim, więc żołnierz ze srebrnymi paskami na hełmie zawołał:

- Odwrót! Odwrót!

Nie łamiąc szyku, podwładni zaczęli się wycofywać na pomost.

Jacen słyszał dobiegające zza pleców odgłosy blasterowych strzałów. Towarzyszyło im powtarzające się co jakiś czas charakterystyczne skwierczenie klingi świetlnego miecza, którą Ben przechwytywał je i odbijał. Strumień Mocy pozwolił wyczuć starszemu Jedi nadlatujący z tyłu pleców strzał, który został odbity na bok. Jacen zobaczył i wyczuł, że błyskawica wbiła się w ścianę po jego prawej stronie. Żar rozproszonej energii rozgrzał jego prawe ramię.

Obrońcy fabryki nadal się jednak wycofywali i wkrótce ostatni zniknął za zakrętem korytarza. Jacen zyskał wolną drogę do poręczy obserwacyjnego pomostu. Ruszył naprzód.

Kilkaście metrów niżej zobaczył następną halę produkcyjną. Na taśmach spoczywały elementy jakiejś amunicji. Wszystkie taśmociągi były unieruchomione, a pracownicy w anonimowych kombinezonach mieli uniesione głowy i patrzyli na niego.

Kiedy pojawił się na pomoście, dostrzegli go także ubrani na pomarańczowo i zielono obrońcy, stojący w zwartym szyku po lewej stronie. Gdy tylko podszedł do poręczy, dali ognia. Stali teraz w zwartym szyku i strzały padały gęściej. Jacen doszedł do wniosku, że odbija więcej blasterowych błyskawic, niż kiedy się bronił w korytarzu.

Wyczuł raczej, niż zobaczył, że Ben zajmuje pozycję za jego plecami, ale od tyłu nie poleciały ku nim żadne błyskawice.

- I co teraz? - Zapytał chłopak.

- Dokończymy to, czego się podjęliśmy. - Jacen odbił klingą miecza kolejny strzał. Blasterowa błyskawica trafiła w ostrze blisko rękojeści, więc rycerz Jedi nie mógł precyzyjnie określić kierunku, w którym ją odesłał. Strzał poszybował w dół, w głąb hali montażowej, i wbił się w ekran jakiegoś monitora. Stojący obok niego pracownicy zanurkowali pod taśmociąg. Jacen skrzywił się z niesmakiem. Gdyby posłał błyskawicę chociaż odrobinę w bok, strzał trafiłby w materiał wybuchowy. Rycerz Jedi nie miał nic przeciwko zabijaniu przeciwników, ale nie chciał narażać na śmierć przypadkowych ludzi.

- Przecież ty tu dowodzisz... - Zaczął Ben.

- Jestem zajęty. - Jacen zrobił krok do przodu, żeby mieć więcej miejsca do manewru, po czym skupił uwagę na przeciwnikach. Musiał obecnie chronić siebie i Bena, a to oznaczało konieczność obrony większej przestrzeni. Skoncentrował się na odbijaniu błyskawic z powrotem w stronę zwartego szyku przeciwników. Zobaczył, że trzech żołnierze, jeden po drugim, wałą się na pomost.

Chwilę później kanonada osłabła. Jacen poświęcił chwilę, żeby obejrzeć się za siebie. Ben stał przy poręczy i spoglądał w dół, na halę produkcyjną. Trzymał przy oku niewielką, ale kosztowną holokamerę w rodzaju takiej, jaką posługują się bogaci turyści i miłośnicy urządzeń rejestrujących jak galaktyka długa i szeroka.

Kiedy Jacen odwrócił głowę z powrotem w stronę żołnierzy, Ben zaczął mówić:

- Uhm, tu Ben Skywalker. Rycerz Jedi Jacen Solo i ja znajdujemy się w... Nie jestem pewien, ale chyba w tajnym sektorze fabryki firmy Dammant Killers, usytuowanej pod miastem Cartann na planecie Adumar. Macie przed sobą halę produkcyjną pocisków i rakiet. Wytwarza się tu broń bez wiedzy Galaktycznego Sojuszu. Właściciele fabryki sprzedają ją władcom planet, które nie powinny jej dostawać. Dammant Killers postępują niezgodnie z regułami. Aha, czy słyszycie ten hałas? To ich ludzie starają się nas zabić.

Jacen wyczuł ruch Bena, kiedy jego kuzyn się odwrócił, żeby zarejestrować zmagania właścicieli

blasterowych karabinów z właścicielami świetlnych mieczy.

- Wystarczy? - Zapytał Ben.

Jacen pokręcił głową.

- Zarejestruj jeszcze widok całej hali - polecił. - A kiedy będziesz go rejestrował, zastanów się, co powinniśmy później zrobić.

- Moim zdaniem spróbować się stąd wydostać - podsunął Ben.

Jacen odbił szpicem klingi miecza błyskawicę lecącą w kierunku jego prawej łydki i skierował z powrotem w stronę kobiety, która ją wystrzeliła. Strzał trafił w jej karabin blasterowy i przemienił go w trudną do rozpoznania bryłę, a zielony naramiennik właścicielki stanął w ogniu. Kobieta się cofnęła, a jeden z jej towarzyszy stłumił płomienie. Przeciwko Jedi walczyło już tylko dziesięciu czy jedenastu żołnierzy, a ich tymczasowy dowódca na pewno się zastanawiał, czy nadal ma stać nieugięte na straży powierzonego obiektu.

- Dobrze - pochwalił Jacen. - W jaki sposób?

- No cóż, w taki sam, w jaki tu się dostaliśmy... Nie - doszedł do wniosku Ben. - Będą tam na nas czekali.

- Racja.

- Nigdy nie powinniśmy toczyć walki z przeciwnikiem w wybranym przez niego miejscu, jeżeli możemy tego uniknąć.

Jacen wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu. Słowa Bena zabrzmiały dziwnie dorośle. Prawdopodobnie dzieciak zacytował Hana Solo, którego rozsądek często podawano w wątpliwość... Z wyjątkiem sytuacji, w których w grę wchodziło jego osobiste bezpieczeństwo albo życie.

- To także prawda - powiedział rycerz Jedi.

- A więc... Drugi koniec tej hali produkcyjnej?

- Dobrze. W drogę.

Jacen usłyszał chrobot podeszwy o metal i odgadł, że Ben odbił się od podłogi, żeby przeskoczyć nad poręczą. Nie zwlekając, przesadził ją z półmetrowym zapasem i obrócił się w locie. Jego kuzyn wylądował na ugiętych nogach na najbliższym taśmociągu z opalizującymi łuskami pocisków. Kiedy Jacen lądował, dla osłabienia impetu pomagając sobie skierowanym w górę pchnięciem Mocy, Ben biegł już w przeciwną stronę hali. Reagując instynktownie, odbijał ręce zbyt gorliwych robotników, którzy starali się go powstrzymać. W końcu skulił się i przeskoczył przez mały otwór na końcu linii montażowej.

Jacen poszedł w jego ślady. Usłyszał i poczuł żar blasterowych błyskawic, które wbijały się w taśmociąg za nim. Machnął za plecami klingą świetlnego miecza, żeby przechwycić jakiś strzał, ale zamiast go odbić w kierunku sąsiedniej linii montażowej, zdecydował się przyjąć na klingę jego impet.

Biegnącego Jedi nie dałby rady schwytać żaden robotnik, więc kilka sekund później Jacen precyzyjnie przeszedł przez niewielkie przejście.

ROZDZIAŁ 2

Obaj Jedi znaleźli się w następnej hali produkcyjnej. Biegli między taśmociągami albo nad nimi przeskakiwali. Niektórzy pracownicy schodzili im z drogi, a inni, widocznie odważniejsi albo głępsi, usiłowali ich schwytać. Uciekinierzy dostrzegli wreszcie drzwi szybu turbowindy. Kiedy do nich dotarli, wcisnęli kilkakrotnie guzik z napisem „Przywołanie”, ale światełka na panelu kontrolnym nie wskazywały, żeby kabina była w ruchu. Zmartwiony Jacen ciężko westchnął i wyciął w drzwiach szybu spory otwór. Wskoczyli przez niego, chociaż krawędzie wciąż jeszcze się żarzyły, i schwycili zainstalowane po przeciwnej stronie szybu ukośne wsporniki. Trzymając się mocno, zauważyli dziesięć metrów niżej dach nieruchomej kabiny turbowindy. Na szczęście ich szyb przylegał do sąsiedniego, w którym kabina sunęła szybko w górę.

Jacen skoczył w tamtą stronę i przygotował się na impet zderzenia z dachem kabiny. Orientował się, że Ben go naśladuje, a nawet wyczuwał, że jego kuzyn także zaczyna się skupiać na aspektach Mocy, które pozwolą mu zamortyzować energię kinetyczną...

Chwilę później zderzyli się stopami z dachem jadącej w górę kabiny. Obaj zamortyzowali uderzenie ugięciem kolan i użyciem Mocy. Już po chwili jechali szybko w górę mrocznego szybu.

Jacen ocenił, że pokonali co najmniej trzysta metrów, zanim kabina raptownie zwolniła i znieruchomiła zaledwie trzy metry poniżej sklepienia szybu. Obaj Jedi chwycili się wsporników zainstalowanych na bocznej ścianie. Po chwili usłyszeli dobiegające z dołu odgłosy - syk otwieranych drzwi kabiny, tupot stóp, rozmowy, szmer zamykanych drzwi - i kabina zaczęła opadać. Zostali sami we względnej ciszy na górze szybu.

- Chyba jesteśmy nad powierzchnią - stwierdził Ben.

- I to wysoko - przyznał Jacen. Zapalił klingę świetlnego miecza i zanurzył szpic w czymś, co jego zdaniem było tylną ścianą szybu, usytuowaną naprzeciwko tej, w której znajdowały się drzwi. Zaczął zataczać klingą spory krąg, ale zanim skończył, tarcza wypadła na zewnątrz i do szybu dostało się jaskrawe światło. Jacen poczuł, że o mało nie wypchnął go na zewnątrz strumień uciekającego powietrza, które ze świstem uchodziło z głębi szybu.

Przez otwór zobaczyli panoramę wieżowców miasta Cartann, fragment państwa Cartann i stolicy planety Adumar. Wokół stały czterdziestopiętrowe apartamentowce z mnóstwem balkonów, pełniących zazwyczaj funkcję niewielkich lądowisk dla osobistych gwiazdnych myśliwców. Między nimi widać było smukłe iglice biurowców i okrągłe wieże obronne o gładkich na pozór ścianach, w których ukryto stanowiska artylerii. Jacen i Ben zauważyli także wysokie maszty, na których powiewały kilkudziesięciometrowe flagi instytucji rządowych, władz dzielnic, drużyn sportowych i agencji reklamowych.

Rycerz Jedi wysunął głowę na zewnątrz i przekonał się, że ściana gmachu pod nimi biegnie ukośnie, nie pionowo. Daleko w dole zobaczył powietrzne szlaki z uporządkowanymi strumieniami powietrznych śmigaczy.

Ben także się wychylił.

- Bomba - powiedział. - Wiem, jak się stąd wydostać.

- Nie mów „bomba” - ofuknął go Jacen.

- Dlaczego?

- Bo to pokoleniowy slang, wymyślony w celu odróżnienia twojego pokolenia od wszystkich poprzednich za pomocą bezużytecznego i irytująco precyzyjnego słownictwa, a ja nie należę do twojego pokolenia - odparł rycerz Jedi.

Ben odwrócił się i spojrzał na niego. Poruszył ustami, jakby się zastanawiał nad ciętą odpowiedzią.

Jacen nie dał mu jednak dojść do słowa.

- Masz w saszetce u pasa linkę z kotwiczką? - Zapytał.

- Jasne, ale nie będzie mi potrzebna - odparł kuzyn. - Umiem schodzić po ukośnych ścianach.

- Przygotuj ją jednak... Na wszelki wypadek - polecił Jacen.

Ben coś burknął, ale wyjął z saszetki kotwiczkę i wyciągnął kilka metrów cienkiej mocnej linki.

- No dobrze, ty pierwszy - zdecydował Jacen.

Ben wyszczerzył zęby i wyskoczył przez wycięty otwór. Jacen przypiął do pasa rękojeść świetlnego miecza i poszedł w ślady kuzyna.

Każdy przeturlał się kilka metrów, ale po chwili akrobatyczne szkolenie Jedi w połączeniu z panowaniem nad Mocą pozwoliło im ześlizgiwać się na podszwach butów po ukośnej ścianie. Ich zadanie było stosunkowo łatwe: polegało na zmniejszaniu momentu bezwładności oraz utrzymywaniu jak największego współczynnika tarcia między podszwami butów a ścianą gmachu.

Czasami zbiegali, a kiedy indziej zjeżdżali między durastalowymi belkami oddzielającymi szerokie i wysokie transpastalowe iluminatory. Niekiedy widzieli za nimi twarze z ustami szeroko otwartymi z niedowierzania.

W pewnej chwili Jacen uświadomił sobie, że za sekundę uderzy w nich podmuch wiatru. Zaparł się nogami i dopomógł sobie Mocą.

Mniej doświadczony Ben tego nie zrobił. Jacen widział, jak peleryna chłopca łopocze na wietrze. Usłyszał krzyk i jego kuzyn oderwał się od ukośnej ściany gmachu.

Wyciągnął do niego rękę, ale Ben, nie tracąc przytomności umysłu, już posyłał ku niemu kotwiczkę z linką. Jacen chwycił ją w locie i owinął linkę kilka razy wokół nadgarstka, zanim zdążyła się wyciągnąć na pełną długość. Przygotował się na szarpnięcie i wytrzymał je, nie pozwalając się oderwać od ściany.

Panując nad linką i pomagając sobie Mocą, przyciągnął Bena do ściany. Obecnie on ześlizgiwał się pierwszy, a jego kuzyn zjeżdżał kilka metrów za nim. W pewnej chwili usłyszał jego okrzyk:

- Możesz mnie już puścić!

W głosie chłopca brzmiało lekkie zakłopotanie. Jacen odwinął linkę i puścił kotwiczkę.

- Teraz wiesz, jak ześlizgiwać się po ukośnych ścianach takich gmachów, hm? - Zapytał.

- Słucham?

- Powiedziałem...

- Nie słyszę, co mówisz! Za silny wiatr! - Przerwał chłopak. Jacen zachichotał.

- Popatrz w górę, dziewięćdziesiąt stopni! - Usłyszał jeszcze.

Spojrzał w tamtym kierunku. Nad nimi, tuż nad dachami wieżowców, leciał niebiesko-zielony pojazd. Kiedy znalazł się nad kopułą jednej z wież, skręcił w ich stronę. Maszyna nie wyglądała jak

produkowany na Adumarze myśliwiec o rozdwojonym ogonie - pojazd typu Blade, którymi wielu Adumarian latało i toczyło pojedynki. Przypominała ogromny gwiazdoowoc. Centralną część stanowił kadłub, od którego odchodziło pięć ramion. Jacen zauważył, że każde kończy się pękatą komorą, w której mieszczą się jednostki napędowe, dysze repulsorów i luty pokładowej broni. Doszedł do wniosku, że pojazd, chociaż powolny, ma dużą zdolność manewrową, a kierująca nim osoba może atakować cele w różnych miejscach, może nawet we wszystkich równocześnie. Ramiona mogły się obracać niezależnie od kadłuba. Pośrodku sterczała chroniąca fotel pilota przyciemniona transpystalowa owiewka.

Myśliwiec nie powinien stanowić większego zagrożenia dla obu Jedi, o ile nie był uzbrojony w broń przeciwpiechotną - pociski, które mogły przebić ciało, choć nie typowy materiał budowlany. Prawdę mówiąc, prawdopodobieństwo, że pilot zdecyduje się na atak, było bardzo małe...

Nagle z najbliższej wyrzutni myśliwca wyleciał pocisk. Jacen zobaczył smugę dymu za rakieta, która kierowała się w ich stronę.

Poczuł napływające od strony Bena pchnięcie Mocy i zobaczył, że chłopak odskakuje w bok. Zwiększył więc energię kinetyczną ślizgania się po ścianie i zmniejszył współczynnik tarcia. Po chwili usiadł, żeby ześlizgiwać się jeszcze szybciej.

Rakietę wbiła się w ścianę gmachu kilkadziesiąt metrów nad jego głową. Rycerz Jedi usłyszał huk eksplozji i poczuł, że gmach pod nim zadrżał, ale sam nie został trafiony przez odłamki ani oparzony przez falę żaru. Domyślił się, że przed eksplozją głowica przedostała się do środka gmachu. Ogarnęło go oburzenie na myśl, że bezlitosny przeciwnik zlekceważył życie cywilów, byle tylko trafić cel, ale mimo to zachował zdolność do analizowania sytuacji. Młody Solo przyhamował, wyprostował się i zwiększył tarcie podszew o ścianę gmachu.

Nieprzyjacielski myśliwiec podleciał bliżej, ale po chwili zanurkował i zniknął.

Zniknął?

Jacen pochylił się do przodu. Kilkadziesiąt metrów pod nim ukośna ściana budynku się kończyła, ale wciąż jeszcze pozostawała duża odległość od ulicy. Oznaczało to, że od tamtego miejsca ściana przechodzi w pion. Napastnik musiał czekać na niego gdzieś poniżej punktu załamania.

Jacen spojrzął na drugą stronę ulicy i zobaczył odbitą w oknach odległych wieżowców nieprzyjacielską maszynę. Unosząc się blisko pionowej ściany gmachu, miała nieruchomą część centralną i obracające się ramiona. Tkwiła cztery piętra poniżej krawędzi załamania i kilka metrów na prawo od miejsca, w którym Jacen powinien się ześlizgnąć z ukośnej ściany.

Naturalnie gdyby nadal zjeżdżał po niej pod tym samym kątem.

Zbliżając się do linii załamania, odbił się dwa razy od iluminatorów i wylądował na durbetonowym gzymsie dokładnie nad nieprzyjacielskim myśliwcem. Wyjrzał poza krawędź.

Znajdował się mniej więcej dwadzieścia metrów nad poziomem ulicy. Widział w dole szeroką aleję z mnóstwem pojazdów naziemnych. Na wysokości pierwszych czterech czy pięciu pięter ulicę przecinały sieci kabli prywatnych systemów telekomunikacyjnych przeciągniętych nad ulicami miast całego Adumara, żeby mieszkający po przeciwnych stronach znajomi mogli bezpiecznie porozumiewać się ze sobą.

Bezpośrednio pod Jacenem unosiła się adumariańska maszyna. Młody Solo wykonał salto, przeskoczył nad gzymsem i wylądował okrakiem na jednym z jej ramion, dokładnie w miejscu spojenia z kadłubem. Od impetu uderzenia myśliwiec się zakołysał i opadł kilka metrów. Przez transpystalową owiewkę kabiny Jacen zobaczył osłoniętą hełmem głowę pilotującej maszyny kobiety,

a z jej nerwowych ruchów wywnioskował, że na widok przeciwnika wpadła w przerażenie.

Szarpnęła rękojeść drążka sterowniczego i maszyna zaczęła się oddalać od ściany gmachu. Jacen dostrzegł kątem oka zakończoną kotwiczką białą linkę, która owinęła się wokół sąsiedniego ramienia maszyny.

Myśliwiec zatoczył łuk i zaczął lecieć wysoko nad ulicą. Dłuższy czas szybował na tej samej wysokości, ale w pewnej chwili pilotka zanurkowała, jakby zamierzała lądować na ulicy.

Jacen się uśmiechnął. Adumarianka najwyraźniej zamierzała zastosować sprytną taktykę. Przeciągnięte nad ulicą kable powinny poszatkować napastnika - zakładając, że był nim zwyczajny osobnik - na plasterki, nie powodując uszkodzenia samej maszyny.

Kłopot w tym, że Jedi nie byli zwyczajnymi napastnikami.

Ben wciągnął się na ramię, w które wbiła się jego kotwiczka. Miał twarz zarumienioną od wiatru, który wicherzył jego gęste rude włosy.

- Dostań się do kabiny - zachęcił go Jacen.

Ben usiadł okrakiem na ramieniu maszyny. Obejmując je obiema nogami i jedną ręką, drugą odczepił od pasa świetlny miecz i zapalił energetyczną klingę.

Jacen wychylił się i spojrzał w dół. Poziom ulicy znajdował się o wiele bliżej niż przed kilkoma sekundami. Opuścił rękę, zgął palce... I nagle telekomunikacyjne kable bezpośrednio pod nim zafalowały niczym rozdrażnione węże. Kiedy napiął mięśnie, kable rozsunęły się na boki, a niektóre nawet wyskoczyły z gniazd po jednej albo drugiej stronie. Myśliwiec wpłynął między przewody, ale z żadnym nawet się nie zetknął. Zanim jednak osiadł na ulicy pod najniższymi kablami, pilotka wyrównała pułap lotu i włączyła się do strumienia lądowych śmigaczy.

Dopiero wówczas uniosła głowę i spojrzała na obu Jedi. Na pewno się spodziewała, że zobaczy pozbawione kończyn ciała przeciwników albo tylko ślady krwi. Ledwo zdążyła się zdziwić, zanim Ben wbił szpic ostrza świetlnego miecza w bok owiewki jej kabiny. Kiedy nim obracał, starając się przeciąć zawiasy albo zamek, klinga niemal otarła się o udo pilotki. Adumariankę ogarnęła panika. Jacen nie umiał znaleźć innego wytłumaczenia tego, co zrobiła. Kiedy szarpnęła rękojeść drążka sterowniczego w bok pod nienaturalnym kątem, jej maszyna skrzyła tak raptownie, że owiewka oderwała się od kadłuba. Poszybowała w kierunku gąszczy telekomunikacyjnych kabli, o mało nie odrywając Bena od ramienia maszyny.

Chwilę później uruchomiły się silniczki manewrowe fotela, który wystrzelił w górę. W górę, między kable. Na wpół oślepiiony przez ogień z dysz wylotowych Jacen dostrzegł, jak fotel się zderza z najniższymi przewodami.

Kable wytrzymały, czego nie dało się powiedzieć o pilotce myśliwca. Przecięło ją wraz z fotelem na dwie części, z których każda poszybowała w inną stronę. Jacen zauważył jeszcze, że tułów kobiety zderza się z następnym kablem, ale później szczątki jej ciała zniknęły mu z oczu.

Spojrzał w kierunku, w którym leciała adumariańska maszyna. Pozbawiony pilotki myśliwiec zwiększał pułap lotu i po kilku sekundach miał znów wlecieć w gęstwinę kabli, tym razem pod takim kątem, że leciałby długo na tej wysokości.

- Zmywamy się stąd - zaproponował rycerz Jedi.

Ben kiwnął głową, wyłączył klingę świetlnego miecza i zeskoczył. Jacen postąpił tak samo.

Ben wylądował na rufie zielonego śmigacza, odbił się od niej jak od trampoliny i poszybował w kierunku najbliższego gmachu. Wylądował na balkonie pierwszego piętra, na brzegu suto zastawionego stołu - grad spadających talerzy z potrawami musiał wywierać imponujące wrażenie -

po czym zeskoczył na poziom ulicy. Jacen zadowolili się odbiciem od kadłuba ciężkiego transportowego śmigacza i od razu przetoczył się po chodniku, zanim znieruchomiał obok Bena. Adumariańscy przechodnie obrzucili obu Jedi zdumionymi spojrzeniami, ale nie wyglądali na przerażonych. Większość zresztą i tak gapiła się w górę, na myśliwiec przedzierający się przez gąszcz kabli nad ich głowami.

Ben trzymał duszone udko jakiegoś ptaka. Zdażył nawet odgryźć kawałek i energicznie żuł smaczne mięso.

- Co, nie wystarczy ci jedzenie ze Świątyni Jedi? - Zagadnął Jacen.

Ben pokręcił głową.

- Co teraz? - Zapytał.

- Meldunek - odparł zwięźle Jacen.

- Nie chcesz się sam tym zająć? - Zapytał jego kuzyn. - Mimo wszystko jesteś rycerzem Jedi.

- Ale to nie ja muszę się nauczyć, jak to robić. - Jacen odwrócił się i przeciskając między przechodniami, ruszył w drogę. Jeżeli się dobrze orientował, dalszy marsz w tym kierunku powinien ich doprowadzić do hangaru, w którym czekał na nich wahadłowiec.

Ben westchnął z niezadowoleniem, odrzucił niedojedzone udko i wyciągnął z saszetek u pasa niewielką holokamerę, komputerowy notes i komunikator. Ledwo mogąc utrzymać wszystkie trzy przedmioty w chłopięcych dłoniach, zaczął korzystać z urządzeń kontrolnych i klawiatur, żeby wpisać odpowiednie polecenia.

- W porządku - stwierdził w końcu. - Za chwilę pakiet danych zostanie skompresowany i zaszyfrowany.

- W tym czasie możesz sprawdzić, czy holokomunikator wahadłowca jest wciąż włączony - polecił Jacen. - Połącz się z nim, korzystając ze zdalnego sterownika, i odbij sygnał zwrotny od powierzchni starej stacji księżycowej Nowej Republiki.

- Rozkaz. - Tym razem w głosie Bena nie zabrzmiała uraza. Chłopak potraktował polecenie jak wyzwanie; miał się zająć czymś, czego nigdy przedtem nie robił, przynajmniej bez zezwolenia. Wpisał do pamięci komputerowego notesu kilka następnych rozkazów i przesłał je za pomocą komunikatora. - Holokomunikator jest aktywny - zameldował.

Wiele kilometrów dalej pokładowy system telekomunikacyjny wahadłowca Jacena - wszechstronne urządzenie, zdolne do przekazywania sygnałów przez nadprzestrzeń, a więc szybciej niż prędkość światła - przeszedł ze stanu czuwania w stan gotowości do pracy.

- Wzywam automatyczne systemy komunikacyjne na stacji przekaźnikowej ADU-Jeden-Jeden-Zero-Cztery, żeby przekazały sygnał na Coruscant - odezwał się chłopak. Jego głos brzmiał zdecydowanie bardziej dorośle, ilekroć Ben miał do wykonania poważne zadanie. - Potwierdzenie echa - powiedział. Na ekranie jego notesu pojawiła się następna informacja. - Pakiet zaszyfrowany.

- Prześlij go - polecił Jacen. Cały czas obserwował mijających go przechodniów, ale nie spodziewał się z ich strony żadnych niespodzianek. Na pewno upłynie sporo czasu, zanim operatorzy z firmy Dammant Killers domyślą się, dokąd poszli obaj Jedi.

- A później zczekaj na potwierdzenie odbioru i zażądaj potwierdzenia, że pakiet został rozszyfrowany.

- Rozkaz - powtórzył Ben. Wpisał następny zestaw rozkazów i schował do saszetki holokamerę, bo nie miała mu już być potrzebna. - A więc jak stąd odlecimy? - Zapytał.

- Wrócimy na pokład wahadłowca i po prostu wystartujemy - wyjaśnił Jacen.

- Przecież w przestworzach systemu aż się roi od gwiazdnych myśliwców - przypomniał Ben. - Samotny wahadłowiec, choćby nawet najlepiej uzbrojony, po prostu nie da rady się przedrzeć między nimi.

- Tylko dlaczego ich piloci mieliby nas zaatakować? - Zapytał Jacen.

- Żeby powstrzymać nas... Powstrzymać... - W oczach Bena pojawiło się zrozumienie. - Żeby uniemożliwić nam ujawnienie zdobytych tu informacji.

- Racja - przyznał rycerz Jedi.

- Ale myśmy je właśnie ujawnili, więc i tak jest za późno. - Ben przeniósł spojrzenie na ekran komputerowego notesu. - Odebrali pakiet - zameldował. - Właśnie go rozszyfrowują. - Na jego twarzy odmalowała się niepewność. - A jeżeli Adumarianie zaatakują nas z czystej zemsty?

- Zastanów się nad tym, Benie. Nie musisz się spieszyć - odparł Jacen.

Dotarli do rozległego placu i Jacen upewnił się, że nie zabłądzili. Rzeczywiście kierowali się w stronę właściwych hangarów, od których dzieliło ich zaledwie kilka kilometrów.

- Jeżeli pakiet zostanie rozszyfrowany i szpiegzy zobaczą to samo co my, przystąpią do rozmów z przedstawicielami miejscowej władzy - odezwał się po dłuższej chwili Ben.

- Funkcjonariusze Wojskowego Wywiadu, nie szpiegzy - poprawił go Jacen.

- Och, przecież to szpiegzy. - Ben wyglądał na urażonego uwagą Jacena. - Moja mama jest szpiegiem, a dzięki temu, co zrobiliśmy, my także jesteśmy szpiegami.

- Twoja matka jest Jedi, my też - sprzeciwił się Jacen.

- Szpiegami Jedi. - Z komputerowego notesu wydobył się pisk i Ben spojrzał ponownie na ekran urządzenia. Przeczytał widoczną na nim informację i zatrzasnął wieczko. - Wiadomość rozszyfrowana. Nasi szefowie szpiegzy mówią: „Dobra robota”. A więc... Porozmawiają sobie z przedstawicielami adumariańskiego rządu, którzy się dowiedzą, że mogą się spodziewać najgorszego, jeżeli przydarzy się nam jakiegokolwiek nieszczęście.

- Słusznie.

- A więc możemy odlecieć.

- Żeby się zająć następnym zadaniem.

Na twarzy Bena odmalował się niepokój.

- Musimy? - Zapytał chłopak.

- Tak, musimy - odparł Jacen.

- Będziemy mieli do pokonania wielu przeciwników.

- Na pewno nie tylu, ilu właśnie pokonaliśmy.

- Znajdziemy się znów w hałaśliwym otoczeniu.

- Na pewno nie tak hałaśliwym jak tamta hala produkcyjna.

Pokonany Ben mógł tylko ciężko westchnąć.

Kilka minut później obaj Jedi weszli na pokład wahadłowca Jacena - opancerzonej odmiany starego modelu klasy Lambda, wyposażonego w holokomunikator i wieżyczkę z laserowym działkiem - i wystartowali. Wkrótce po odlocie z Adumara wygięte do góry skrzydła statku przyjęły położenie poziome, po czym starszy Jedi skierował wahadłowiec w kierunku adumariańskiego nieba.

Piloci klucza czterech gwiazdnych myśliwców typu Blade - adumariańskich maszyn z charakterystycznym rozdwojonym ogonem - eskortowali wahadłowiec, dopóki nie opuścił grawitacyjnej studni planety i nie zniknął w nadprzestrzeni. Żaden jednak nie podleciał na tyle blisko, żeby otworzyć ogień do statku Jedi.

ROZDZIAŁ 3

Coruscant

Leia Organa Solo, była księżniczka planety Alderaan, była przywódczyni Nowej Republiki, a obecnie rycerz Jedi, stała przed drzwiami w białych szatach, stosownych albo dla rycerza Jedi, albo dla polityka, który nie musi przestrzegać zasad protokołu. Drzwi nie były zwyczajne, chociaż wyglądały identycznie z miliardami innych drzwi innych mieszkań na Coruscant. Wykonaną wcześniej z kompozytu płytę zastąpiono niepozornie wyglądającą pancerną taflą, która mogła wytrzymać - przynajmniej jakiś czas - energię blasterowych strzałów. Drzwi pomalowano na zimny niebieski kolor, który kłócił się z ich obronnym przeznaczeniem.

Mąż Leii, Han Solo, jeden z najślawniejszych mężczyzn w galaktyce, podszedł do żony i stanął u jej boku. Nosił ulubione ubranie: ciemne wojskowe spodnie z koreliańskimi krwistoczerwonymi pasami, na które zasłużył za młodu, a do tego jasną koszulę z długimi rękawami, czarną kamizelkę i praktyczne czarne buty. Gdyby nie bruzdy na jego twarzy i siwe włosy, które zawdzięczał upływowi czasu i głośnym wyczynom, trudno byłoby go odróżnić od mężczyzny, którego Leia poznała tyle lat wcześniej na pokładzie pierwszej Gwiazdy Śmierci.

Księżniczka od razu poczuła się rażniej. Bez względu na to, jak trudna byłaby sytuacja, zawsze wydawała się lepsza, ilekroć Han stał u jej boku.

Nie żeby musiała mu to zaraz mówić. W miarę upływu lat ego Hana ani trochę się nie zmniejszyło.

Jej mąż spojrzał posępnie na drzwi mieszkania.

- Przypuszczasz, że właśnie tędy będą chcieli się do nas dostać? - Zapytał.

Leia kiwnęła głową.

- To jedyny sensowny sposób, a ty dobrze o tym wiesz - powiedziała.

- No cóż, dla nas najbardziej sensownym sposobem będzie pozostawienie tych drzwi otwartych - stwierdził Han. - Jeżeli zobaczą, że drzwi frontowe są otwarte, będą mniej skłonni do wdzierania się bocznymi. Będzie można ich ostrzelać, kiedy pojawią się na progu. A kiedy okaże się, że jest ich zbyt wielu, żeby im dać radę, możemy zarządzić odwrót przez tylne pokoje.

Leia zastanowiła się nad jego propozycją.

- No, nie wiem - odparła w końcu. - Może powinnam stać pośrodku, na tyle blisko drzwi, żeby odbijać blasterowe strzały? Mógłbyś wówczas ostrzeliwać ich z boku.

- O rety! - W głosie, który nagle usłyszeli, bardziej piskliwym niż głos Hana, było słychać nutę przerażenia. - Jeżeli wolno zapytać, czy nastąpiła jakaś zmiana w planach?

Han i Leia odwrócili się w stronę, skąd dobiegał głos. Do pokoju wkraczał właśnie C-3PO, złocisty android protokolarny, który ostatnich czterdzieści lat służył im tyleż wiernie, co gderliwie.

C-3PO podszedł do nich z ledwo słyszalnym skowytym serwomotorów, jaki wydobywał się przy

każdym kroku z jego mechanicznych stawów.

- O ile mi wiadomo, plan polegał na tym, żeby najpierw ich wpuścić, a później poczęstować przekąskami, których przygotowanie zajęło mi tyle czasu - mówił dalej. - Przekąski stoją w kuchni. Czyżbym się pomylił? Czy naprawdę zanosi się na strzelaninę?

Han i Leia wymienili spojrzenia.

- Przekąski byłyby lepsze - przyznał Solo.

- A poza tym w ściany trafi mniej blasterowych błyskawic, więc będzie mniej do naprawy - zgodziła się z nim Leia. - Rzeczywiście możemy wykorzystać przekąski.

- No dobrze, Złota Sztabo. - Han klepnął Threepia po błyszczącym ramieniu tak mocno, że android się zachwiał. - Zrobimy to po twojemu. Tym razem.

- Znów się pan ze mnie nabija, prawda, proszę pana? - C-3PO głośno westchnął.

Han kiwnął głową.

- To bardziej zabawne i bezpieczniejsze, niż gdybym zawiesił ci na szyi kawał mięsa i wypuścił na ciebie psy wojny - powiedział.

- Hm! - Android odwrócił się w stronę tych samych drzwi, którymi wkroczył do komnaty. - Muszę jednak przyznać, że to niezbyt uprzejme.

Rozległ się melodyjny kurant - cichych pięć pierwszych tonów *Ścieżki do nieba*, ballady z rodzinnej planety Leii, Alderaana.

Han ciężko westchnął.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby zmienić zdanie - zauważył. - Powstrzymalibyśmy ich kilka dni.

Leia uśmiechnęła się do niego.

- Bądź cicho - powiedziała.

Pierwsi przeszli przez drzwi Luke Skywalker i jego żona Mara Jade Skywalker. Luke włożył na tę okazję czarny płaszcz Jedi i nie zapomniał o stosownym ekwipunku. Czerń płaszcza silnie kontrastowała z jego wciąż jeszcze jasną cerą i blond włosami. Mara była ubrana w bardziej tradycyjny strój Jedi - barwy płowej z akcentami ciemnego brązu. Przewiązała go czerwonym pasem, który podkreślał kolor jej płomiennorudych włosów.

Przybyli w towarzystwie R2-D2, astromechanicznego robota, który w ciągu dziesięcioleci służył na zmianę Luke'owi i rodzinie Solo. Mały robot miał kształt pocisku i objeżdżając pomieszczenia nowego mieszkania Solo, wydał tyle melodyjnych pisków, ile ludzie wygłosili komentarzy.

Kilka minut później pojawili się Jacen i Ben. Oprowadzany przez Threepia Jacen wydawał niezobowiązujące pomruki zamiast komentarzy na temat przedpokoju, salonu, głównej sypialni, sypialni noghriańskich ochroniarzy Leii, Meewalhy i Cakhmaima, gościnniej sypialni, biblioteki, toalet, umeblowanego balkonu, kuchni, jadalni i ośrodka łączności. Wszystkie - z wyjątkiem ostatniego pomieszczenia - zastawiono meblami wykonanymi z pastelowego twarodrewna. W niektórych komnatach leżały ciemne dywany, podłogi innych ozdobiono mozaiką. Ośrodek łączności, w którym trzymano większość komputerów i elektronicznego sprzętu naprawczego, miał nowocześniejszy wygląd. Dominowały w nim stalowe powierzchnie i niebieskie metalowe regały na kółkach.

Ben miał tylko jedną uwagę:

- A gdzie są tajne skrytki?

C-3PO stanął jak wryty i dziwnie się pochylił, żeby spojrzeć na chłopca.

- Obawiam się, że nie rozumiem, paniczu - powiedział.

- Daj spokój. - Ben wyszczerzył zęby do androida. Nie musiał nawet bardzo zadzierać głowy, bo od czasu, kiedy C-3PO go ostatnio widział, urósł kilka centymetrów. - Wujek Han jest przemytnikiem. Idę o zakład, że w jego mieszkaniu aż się roi od tajnych skrytek. We wszystkich są przechowywane blastery. W niektórych mieszczą się także fałszywe karty identyfikacyjne i karty kredytowe, elektroniczny sprzęt szpiegowski, a może nawet rozebrany na podzespoły zwiadowczy śmigacz. Są też na pewno kryjówki dla Noghrich.

- Mogę panicza zapewnić, że nie ma tu żadnych tajnych skrytek - odparł C-3PO tonem ostrym jak na androida.

- Ha! - Ben uniósł oskarżycielskim gestem wskazujący palec. Wyglądał, jakby właśnie wpadł na kluczowy ślad, który pomoże mu rozwikłać zagadkę morderstwa. - „Mogę panicza zapewnić” nie oznacza dokładnie tego samego co „nie ma”. Daj spokój, Threepio. Powiedz to. Powtórz: „Nie ma tu żadnych tajnych skrytek”.

- Mogę panicza zapewnić, że tu nie ma...

- Aha!

Android posłał Jacenowi spojrzenie, które - na ile młody Solo umiał interpretować język metalowego ciała androida - mogło oznaczać tylko urazę.

- Proszę pana, czy każde pokolenie rodów Solo i Skywalkerów musi się tak zachowywać? - Zapytał.

Jacen pokiwał głową.

- Obawiam się, że tak - powiedział.

Przeszli do salonu, w którym C-3PO podsunął Marze tacę ze starannie ułożonymi kwadratowymi i trójkątnymi krakersami z serem i grzybami.

- Niedawno rozmawiałam z Jainą - oznajmiła Leia. - Zjawi się tu za kilka minut razem z Zekkiem. Han, który siedział na kanapie, nagle się wyprostował. Nie krył irytacji.

- Z Zekkiem? - Powtórzył. - Kto, jeżeli mogę zapytać, zaprosił tu Zekka? Nie jest członkiem rodziny.

- Jeszcze nie - odparli równocześnie Luke i Mara.

Han spiorunował ich spojrzeniem.

- To ja go zaprosiłam - oznajmiła Leia. - Właśnie w tej chwili. Gdybym tego nie zrobiła, Zekk musiałby pójść do Świątyni i spędzać czas sam, w maleńkiej komnacie, którą mu tam przydzielili. Jadłby niesmaczny posiłek ze stołówki Jedi sam jak palec...

- A na jego głowę padałby deszcz, dokądkolwiek by się udał - podjął Han. - A na korytarzach by rozbrzmiewała posepna syntetyzowana muzyka. - Posłał żonie krytyczne spojrzenie.

Leia zaprezentowała mu w zamian doprowadzający do szału uśmiech polityka, który nie da się zbić z tropu.

- Hanie, Zekk jest partnerem Jainy - przypomniała. - Jej partnerem Jedi. Czy gdyby był jej, powiedzmy, partnerem przemytnikiem, też byś go tu nie zaprosił?

- To zależy od tego, jak na nią patrzy - odparł Han. - Widzisz, właśnie na tym polega cały problem. Ojciec ma prawo się wściekać na każdego młodego bantha, który nie odstępuje na krok jego córki.

Księżniczka pokręciła głową.

- Jaina twierdzi, że są przyjaciółmi - powiedziała. - Tylko przyjaciółmi.

Han zrobił jeszcze groźniejszą minę, co wyglądało niemal komicznie.

- Jaina dała się omotać - stwierdził ponuro. - To musi być jedna z właściwości Mocy... Podobno Moc wywiera silny wpływ na ludzi, którzy nie chcą uwierzyć w prawdę.

Luke parsknął.

- Wcale nie - powiedział.

- Tak czy owak, mam prawo straszyć Zekka, ale Zekk jest Jedi, a Jedi niełatwo wpadają w przerażenie. Więc co mam zrobić? - Zastanowił się głośno Han, rozglądając się po salonie. W kątach stali bez ruchu, nie rzucając się w oczy, ochroniarze Leii, Cakhmaim i Meewalha. Istoty rasy Noghri były szaroskóre, nie wyższe niż R2-D2 i ubrane w szare płaszcze. Podobnie jak używane do napadów blastery, były małe, trudne do zauważenia i równie śmiertelne. - Może namówilibyśmy Cakhmaima i Meewalhę, żeby go nastraszyli?

- Daj spokój, Hanie - zaprotestowała Mara. - Leio, podoba mi się wasze mieszkanie.

- Dzięki. - Księżniczka usiadła obok nadąsanego męża na kanapie. - Nawet nie wiecie, jak przyjemnie jest mieć coś stałego zamiast hotelu, kwater na pokładzie dyplomatycznego statku czy sypialni na pokładzie „Sokoła”. To pierwsze miejsce, które od upadku Coruscant naprawdę możemy nazwać domem.

Po jej twarzy przemknął cień. Coruscant wpadła w ręce Yuuzhan Vongów mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zginął najmłodszy syn jej i Hana, Anakin Solo. To był koszmarne okres w ich życiu.

- Prawie się już zdecydowaliśmy zamieszkać na Korelii - dodał Han. - Bo na tamtej planecie można przejść trzy metry bez obawy zderzenia się ze ścianą. Problem w tym, że mamy tu zbyt wielu członków rodziny i przyjaciół. - Od strony drzwi znowu rozległ się kurant. - A jeżeli już o tym mowa...

Tym razem przyszli Jaina i Zekk. Córka Leii i Hana także miała na sobie standardowy płaszcz Jedi. Uszyty z wytrzymałego materiału, nadawał się dobrze do noszenia podczas podróży, a w dodatku na pozór nie wyglądał jak strój rycerza Jedi. Jaina była mniej więcej tego samego wzrostu, co jej matka, ale szczuplejszej budowy ciała. Miała ciemne oczy i delikatne rysy twarzy. Jej partner, Zekk, był trochę starszy niż Jaina i dobiegał trzydziestki. Prawie pod każdym względem stanowił jej przeciwieństwo. Był tak wysoki, że Przeszypując próg, o mało nie zawadził czubkiem głowy o górną framugę drzwi. Miał długie czarne włosy, związane w kitkę z tyłu głowy, i cokolwiek by na siebie włożył, wyróżniałby się w każdym tłumie. Wyglądał pogodnie i młodzieńczo. Miał łagodne usposobienie, a podczas oglądania mieszkania nie odezwał się ani słowem, jakby był onieśmielony albo zakłopotany. Tylko raz zapytał Leię:

- Domyślam się, że z tej okolicy usunięto przynajmniej większość skutków vongizacji, prawda?

W najgorszym okresie wojny z Yuuzhan Vongami, po upadku Coruscant, obce istoty wykorzystwały swoje umiejętności w dziedzinie inżynierii biologicznej, aby zmienić przyrodę planety. Zainstalowały na niej Mózg Świata, który miał koordynować przekształcanie środowiska na modłę Yuuzhan Vongów. Działając pod kierunkiem Mózgu, wprowadziły liczne gatunki wyhodowanych przez siebie form życia roślinnego i zwierzęcego, żeby doprowadzić do erozji konstrukcji pokrywających niemal całą powierzchnię planety. Chciały zastąpić miejscowe formy życia wytworami własnej bioinżynierii, aby nie można się było domyślić, że na powierzchni Coruscant żyły kiedykolwiek inne istoty. Proces ten, zwany vongizacją, mógł się zakończyć w ciągu kilku standardowych dekad, gdyby nie to, że z Mózgiem Świata zaprzyjaźnił się uwięziony tam Jacen Solo. Przekonał go, żeby zwrócił się przeciwko swoim twórcom i pomógł nieco wcześniej powstałemu

Galaktycznemu Sojuszowi odzyskać panowanie nad planetą. W chwili obecnej skutki vongizacji były stopniowo likwidowane dzięki intensywnemu stosowaniu wytworów techniki i trucizn, ale niemal wszędzie na Coruscant można było zobaczyć ślady działalności Mózgu Świata: w szczelinach, szparach i przepustach wciąż jeszcze pienią się obce pleśnie, a nieznane wcześniej owady stały się chyba na dobre elementem ekosystemu planety. W mrocznych kanałach ściekowych i innych elementach podziemnej infrastruktury gnieździły się także inne, niesamowite i niebezpieczne formy życia.

Leia wzruszyła ramionami.

- Kilka kilometrów stąd znajdują się szkaradnie zarośnięte ruiny i miejsca, które moim zdaniem nie mogły być niczym innym jak parkami Yuuzhan Vongów - odpowiedziała. - Najbliższa okolica wygląda jednak zupełnie normalnie. Pamiętaj, że nawet przed vongizacją nie było tu zbyt bezpiecznie po zmierzchu. Tylko najodważniejsi zapuszczali się w miejsca, gdzie nie docierają promienie słońca. Obecnie sytuacja wygląda tylko trochę gorzej niż przed vongizacją. Można by pomyśleć, że Coruscant jest taka sama jak przed wojną... Tyle że cienie są teraz trochę mroczniejsze i bardziej gęste. Mam nadzieję, że wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Zekk kiwnął głową i lekko się uśmiechnął.

- Wiem wszystko na ten temat - powiedział.

Sprzeczka zaczęła się, kiedy podano przyprawomięso.

Naturalnie jej powodem nie było samo danie. Ta tradycyjna koreliańska potrawa zawierała mielone mięso, przyprawione do granic wytrzymałości jedzących go osób. Przyrządzona przez Leię, była umiarkowanie pikantna i aromatyczna, a zatem nie powinna stać się powodem do sprzeczki. Trzeba pecha, że znalazła się na talerzach w chwili, kiedy Han postanowił upierać się przy własnym zdaniu.

Odłożył widelec i spojrzał podejrzliwie na swojego bratanka, Bena.

- Co takiego tam robiłeś? - Zapytał.

- Upewniałem się, że zajmują się rzeczywiście tym, co twierdzą przedstawiciele ich rządu. - Chłopak odwzajemnił spojrzenie wuja. Nie wyglądał na onieśmiałego. - Uniemożliwiłem im produkcję broni z wyjątkiem tej, która jest potrzebna ich władzom.

- No cóż, to łagodnie powiedziane - wtrącił się Jacen. - W tamtej adumariańskiej fabryce produkowali nie tylko taką broń i materiały wybuchowe, które powinni wytwarzać dla sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu albo w celu wywiązania się z zamówienia GAO-jedenaście-trzydzieści-trzy-B... To znaczy przekraczali ilości niezbędne do obrony swojej planety. Krótko mówiąc, montowali protonowe torpedy i rakiety, aby je sprzedawać rządowi innych planet, nie Galaktycznemu Sojuszowi.

- I co z tego? - Zapytał Han. - Przecież to nie jest problem Jedi. To sprawa dla polityków, którzy nie mają nic lepszego do roboty. Ani się obejrzymy, a we wszystkich ośrodkach władzy na Korelii pojawią się Jedi, którzy będą mówili nam, co robić.

Leia się uśmiechnęła. Han nie mieszkał na Korelii od kilkadziesiąt lat, ale w sercu pozostał Korelianinem. Był uosobieniem zadziorności, chępliwości i beztroski, które obywatele tego systemu uważali za najważniejsze przymioty swojej cywilizacji. Dzięki swoim wyczynom w czasach Rebelii i później stał się ulubieńcem mieszkańców całego systemu. Drugi, niemal równie sławny Korelianin z tamtego okresu, Wedge Antilles, który także mieszkał na Korelii, był bardziej powściągliwy, mniej zuchwały i chyba nie cieszył się równie dużą sympatią Korelian jak Han Solo.

Luke jednak nie uznał uwagi Hana za zabawną.

- Posłuchaj, Korelianie prowadzą niebezpieczną grę - zaczął. - Domagają się wszelkich korzyści, jakie może im zapewnić członkostwo w Galaktycznym Sojuszu: ulg handlowych, możliwości korzystania z systemów łączności i infrastruktury umożliwiającej odbywanie podróży, praw przysługujących obywatelom Sojuszu i tak dalej, ale nie zamierzają pokrywać swojej części kosztów jego działalności. Ociągają się z dostawami okrętów i personelu dla sił zbrojnych, z płaceniem podatków...

- Właśnie o to mi chodzi. - Han sięgnął po widelec i wymierzył go w pierś Luke'a, jakby chciał się dobrać do jego serca. - Możemy sami stworzyć nasze siły zbrojne zamiast nędznego korpusu pokojowego czy oddziałów policji, do których utrzymywania zobowiązują nas nowe prawa. Ilekroć nadchodziła pora wojskowej akcji, Korelianie zawsze wysyłali do walki własne wojska pod własnymi sztandarami, nawet nie będąc członkami jakiegokolwiek wspólnoty, która im to nakazywała. Robiliśmy to dla Starej i dla Nowej Republiki. Postępowaliśmy tak również podczas wojny z Vongami.

Jaina się skrzywiła.

- To nie najlepszy przykład, tato - powiedziała. - Ile osób zginęło i ile systemów straciliśmy podczas wojny z Yuuzhan Vongami tylko dlatego, że rządy planet nie umiały ze sobą współpracować, nie miały standardowego uzbrojenia, systemów łączności ani wspólnej taktyki?

Tym razem Han spiorunował spojrzeniem własną córkę.

- A ile osób zginęło i ile systemów straciliśmy - odciął się - bo rząd Nowej Republiki był do tego stopnia nadęty, niewrażliwy i głupi, że nie potrafił się zorientować, kiedy ktoś kopie go w tyłek, ani nie troszczył się o to, że miliony jego obywatele tracą życie? Ilu członków dawnej Rady Borska uciekło do swoich ojczyzn na pokładach wyładowanych skarbami jachtów i zostawiło na pewną śmierć mieszkańców tej planety?

- Właśnie tak poczynają sobie Korelianie - stwierdził Luke łagodnym tonem, choć minę miał surową. - Starają się chronić swoje skarby i unikać finansowego obciążenia, jakie nakłada odbudowa naszej cywilizacji na całą resztę Galaktycznego Sojuszu. Chroniąc się za tarczą planetarnej dumy, usiłują wmówić ludziom, że u podstaw ich decyzji leży coś lepszego niż nieodpowiedzialność i egoizm. Najgorsze jednak, że inne systemy zaczynają ich naśladować i uważać za przywódców. Jeżeli ktoś traktuje Galaktyczny Sojusz jak Imperium, a Korelię jak Sojusz Rebeliantów, jest osobą nieodpowiedzialną. Poczynania Korelian mogą się tak właśnie skończyć: następną rebelią, głupią i zupełnie niepotrzebną.

- Luke - odezwała się Mara ostrzegawczym tonem.

- Czy właśnie tak wygląda oficjalne stanowisko zakonu Jedi? - Zapytał Han bardziej zaczepnym tonem. - Czy waszym zdaniem galaktyka potrzebuje jednego języka, jednego systemu miar, jednego munduru i jednej flagi? Czy powinniśmy po prostu wyrzucić słowo „nie” z języka i zastąpić je zwrotami w rodzaju „tak jest, proszę pana”, czy „natychmiast, proszę pana”?

- Hanie - odezwała się Leia. - Nie wypada się kłócić w obecności gościa.

- Zekk nie jest gościem! - Wybuchnął Han. - Jest mężczyzną uganiającym się po całej galaktyce za moją córką.

- Tato!

- Osobiście uważam... - Han urwał i powiódł spojrzeniem po twarzach siedzących przy stole osób. Chyba w końcu się zorientował, że wszyscy na niego patrzą. Wbił widelec w ostatni kawałek przyprawomieszana talerzu i pospiesznie przełknął całą porcję. - Osobiście uważam, że mam dosyć -

powiedział. - Pójdę teraz do kuchni pozmywać naczynia.

- Bardzo proszę - zgodziła się Leia.

Jej mąż wstał, zabrał talerz i sztućce i ruszył do kuchni. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Mara zapytała:

- Na pewno nic mu nie jest?

Księżniczka wzruszyła ramionami i upiła niewielki łyk wina.

- Jest coraz gorzej, odkąd konflikt między Korelią a Galaktycznym Sojuszem zaczął się zaostrzać - przyznała. - Z jednej strony, niepokoi go fakt, że jego kuzyn, przywódca Korelii, Thrackan Sal-Solo, prowadzi dwulicową i nieuczciwą polityczną grę. Z drugiej strony zaś, od czasu wojny z Yuuzhan Vongami Han nie ufa ponadplanetarnej władzy. Co prawda zawsze tak było, ale ostatnio jest jeszcze gorzej. Od śmierci Anakina...

Leia urwała i posłała Luke'owi przepraszające spojrzenie.

Mistrz Jedi się wyprostował. Wiele lat wcześniej, podczas najgorszego okresu wojny z Yuuzhan Vongami, najmłodszy syn Hana i Leii, Anakin Solo, nazwany tak na cześć swojego dziadka, wyruszył na czele oddziału Jedi na wyprawę do opanowanych przez Yuuzhan Vongów przestworzy Myrkra. Zabił królową voxynów, co uniemożliwiło dalszą hodowlę wrażliwych na Moc i mordujących Jedi potworów, ale przypłacił ten sukces życiem.

Luke, chociaż niechętnie, zgodził się na tamtą wyprawę.

- Od czasu śmierci Anakina Han nie ufa także zakonowi Jedi, prawda? - Zapytał.

Leia pokręciła głową.

- To dziwne - powiedziała. - Ufa tobie jako swojemu dobremu przyjacielowi Luke'owi, ale nie jako mistrzowi Jedi, przywódcy zakonu. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Prawdę mówiąc, nie wiele ma tu do powiedzenia, bo każdy członek jego najbliższej rodziny jest Jedi.

Jacen uśmiechnął się, uniósł kielich z winem i wyciągnął rękę w kierunku drzwi kuchni.

- Za ironię losu, tato - oznajmił.

ROZDZIAŁ 4

Jacen, Leia i Mara pozostali w salonie. Odprężyli się i rozsiedli wygodniej. Han, spędzając czas w kuchni na dobrowolnym wygnaniu, wyzywał się na Threepiu, któremu polecił pozmywać naczynia. Luke zamknął się w ośrodku łączności, żeby skorzystać ze sprzętu rodziny Solo i odbyć rozmowę w sprawach Jedi. Ben i R2-D2 przebywali na balkonie, pogrążeni w melodyjnej, ale bezkrwawej hologrze. Jaina i Zekk także wyszli na balkon i stojąc przy poręczy, obserwowali niekończące się strumienie płynących na tle nocnego nieba różnobarwnych pojazdów.

- Ben stał się ostatnio bardziej ufny - zwróciła się Mara do Jacena.

Młody Solo kiwnął głową i pogrążony w zadumie, upił z kielicha łyk wina.

- Chyba tak - przyznał. - Zaczyna rozumieć Moc... I ludzi. Na jego korzyść przemawia to, że z natury rzeczy traktuje to wszystko odrobinę podejrzliwie. Czyni postępy, ale ostrożnie i powoli. Nie jest skłonny do ulegania podszeptom Ciemnej Strony Mocy... Ani nawet wpływowi młodzieńczych hormonów.

Ben, który podczas tragicznej wojny z Yuuzhan Vongami był małym dzieckiem, bał się Mocy i traktował ją nieufnie. Mimo odziedziczonych skłonności nie chciał włączyć Mocą. Dopiero kiedy został nieoficjalnym uczniem Jacena, emocjonalne rany, jakie odniósł w tamtych czasach, zaczęły się zblizniać.

Mara się wzdrygnęła.

- Nie wywołuj ducha eksplozji młodzieńczych hormonów - powiedziała.

Leia parsknęła.

- A co, jeszcze nie jesteś gotowa zostać babcią? - Zapytała.

- Przebiłabym się raczej klingą swojego świetlnego miecza - odparła mistrzyni Jedi.

Księżniczka się uśmiechnęła.

- A ja chyba jestem na to gotowa - oznajmiła. - Zamierzam być dającą zły przykład irytującą osobą, która będzie uczyła wnuki ubolewania godnych rzeczy. - Odwróciła się do syna. - Ile jeszcze każesz mi czekać? - Zapytała.

Jacen posłał jej karcące spojrzenie.

- Jeżeli chcesz mnie wprawić w zakłopotanie, mówisz do mikrofonu wyłączzonego komunikatora - powiedział.

- Nie chcę cię wprawić w zakłopotanie - zapewniła matka. - Staram się tylko ułożyć sobie jakiś harmonogram.

- Zapytaj o to Jainę.

Leia skrzywiła się zabawnie.

- Ale ona kazała mi spytać ciebie - oznajmiła.

- To może zapytaj Zekka - zasugerował Jacen. - Jestem pewny, że ma już wszystko zaplanowane. Tylko jeszcze nie powiedział o tym Jainie.

Trzymając przy ustach kielich z winem, Leia pokręciła głową.

- Będę musiała wymyślić dla Hana odpowiednią karę - stwierdziła. - Za to, że nasze dzieci są takie wygadane i niesłowne do współpracy.

- Żarty żartami, Jacenie, ale muszę ci podziękować - zaczęła Mara. - Ben radzi sobie teraz o wiele lepiej. Wiele lat się obawiałam, że nigdy nie pogodzi się z sobą, ze swoim dziedzictwem Jedi i z problemami, przed którymi nie da rady uciec. Dzięki tobie mam nadzieję, że niedługo przestanę się martwić.

- Nie dziękuj - odrzekł młody Solo. - Z drugiej strony jednak, jak mama to ujęła, będę musiał wymyślić stosowną karę dla ciebie.

Mara wyglądała na zaskoczoną.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Zapytała.

- No cóż, mama twierdzi, że winę za niesforność wygadanych dzieci Solo ponosi tylko ojciec. A zatem rodzina Skywalkerów nie ma z tym nic wspólnego. Mam rację? Oznacza to jednak, że wygadanie i brak skłonności do współpracy Bena to tylko twoja wina, więc któregoś dnia będę musiał wymyślić stosowną zemstę.

Mara uśmiechnęła się szeroko, jakby wrócił jej dobry humor. Poklepała zawieszoną u pasa rękojeść świetlnego miecza.

- Masz ulubionego producenta protez? - Zagadnęła niewinnym tonem. - Jeżeli nie, mogę ci kogoś polecić.

- Jacenie... - Luke wszedł do głównego salonu z korytarza prowadzącego do ośrodka łączności rodziny Solo. - Nie poszedłbyś ze mną na spacer?

- Chętnie. - Jacen wstał. Wszyscy wiedzieli, że w tych okolicznościach niewinne zaproszenie na spacer prawdopodobnie oznaczało: „Czas porozmawiać o problemach Jedi”.

Wyszli przez portal, którego Han i Leia dopiero co chcieli bronić za pomocą błyskawic blasterowych strzałów. Pograżony w półmroku korytarz doprowadził ich do szerokich drzwi, które od czasu do czasu lekko drżały. Dochodził zza nich stłumiony pomruk i szum przelatujących pojazdów. Kiedy obaj Jedi podeszli bliżej, płyty drzwi rozsunęły się na boki. Luke i Jacen zobaczyli różnobarwne smugi światła pozycyjnych rozmaitych pojazdów, począwszy od dwuosobowych śmigaczy, a skończywszy na niewielkich towarowych transportowcach. Ich piloci lecieli na różnych wysokościach powietrznym szlakiem, przebiegającym zaledwie kilkanaście metrów od tarasu dla przechodniów, który znajdował się za drzwiami.

Kiedy skrzydła drzwi się zamknęły, obaj Jedi spędzili jakiś czas przed poręczą ochraniającą taras, patrząc dwieście pięter w dół, w kierunku coruskańskiego gruntu. Okna na wszystkich piętrach były jasno oświetlone, a reklamy i szyldy płonęły jasnym blaskiem, ale mimo to na poziomie odległego gruntu było zbyt ciemno, żeby dało się cokolwiek zobaczyć.

Kiedy Jacen był dzieckiem, zapuścił się kiedyś pod powierzchnię planety w towarzystwie Jaiiny i zabłądził, ale od tamtej pory przestały go przerażać mroczne głębin. Nawet obecnie, ponad dwadzieścia lat później, uważał je tylko za miejsce tajemnicze i zasługujące na zbadanie.

Tyle że Coruscant nie była tą samą planetą, jaką zapamiętał z czasów dzieciństwa. Vongizacja przekształciła prawie cały jej obszar na modłę Yuuzhan Vongów. Od zakończenia wojny upłynęło wprawdzie wiele lat, ale nadal ogromne obszary miasta, które zajmowało kiedyś niemal całą powierzchnię, były porośnięte niesamowitą roślinnością. Nocą panowały tam nieprzeniknione ciemności. Podziemne poziomy i kryjąca się pod powierzchnią infrastruktura były nadal siedliskiem

pełzających form życia Yuuzhan Vongów. Wszyscy wiedzieli, że niektóre są śmiertelnie niebezpieczne.

Z wysokości dwustu pięter nie było jednak widać ran, jakie odniosła wówczas Coruscant i stara Nowa Republika. Planeta wyglądała jak za dawnych czasów. Napowietrznymi szlakami sunęły tysiące latających pojazdów, a w mieszkalnych wieżowcach jarzyły się miliony iluminatorów.

Taras, na którym stali obaj Jedi, biegł wzdłuż ściany budynku nad bezdennym kanionem. Przecinały go kładki, chodniki i pomosty. Niektóre były zadaszone, inne zaś odsłonięte, żeby można było obserwować niebo i wieżowce po obu stronach kanionu. Co kilkaset metrów - w miejscach, w których chodnik dla pieszych krzyżował się z innymi - zmieniał się jego wygląd, rodzaj nawierzchni i typ oświetlenia. Gdyby ktoś nie musiał pracować, nie był ograniczony wysokością konta kredytowego i miał stopy wytrzymałe jak durbeton, prawdopodobnie mógłby na tej wysokości obejść pieszo całą Coruscant.

Większości podążających tym chodnikiem mężczyzn, kobiet i istot obcych ras - w odległości stu kroków w każdą stronę Jacen naliczył zaledwie trzydzieści kilka osób - przyświecały jednak mniej ambitne zamiary. Rycerz Jedi widział spacerujących przedsiębiorców w towarzystwie tajnych i jawnych ochroniarzy. Zauważył także zakochanych i zamożne rodziny, którzy chyba obywali się bez strażników. Niektórzy prawdopodobnie nie martwili się niebezpieczeństwami takiego spaceru bez ochrony, ale inni byli lepiej chronieni, niż można było się domyślić na pierwszy rzut oka.

Luke wskazał w lewo, gdzie na mniej więcej pięćdziesięciometrowym odcinku chodnik wznosił się seriami po kilka schodów. Ruszyli w tamtą stronę.

- Twój ojciec mnie zaskoczył, kiedy wspomniał, że Jedi przeniknęli do ośrodków władzy na Korelii - odezwał się Luke.

- Zaskoczył cię? - Jacen zaczął się zastanawiać. - Nie uważasz go chyba za paranoika, bo nim nie jest... A to musi oznaczać, że rzeczywiście ktoś ma takie plany.

Luke sposepniał i pokiwał głową. Nasunął kaptur i owinął się szczelniej płaszczem, żeby lepiej ukryć pod nim rękojeść świetlnego miecza.

Jacen postąpił tak samo. W ich stronę, popychając repulsorowy wózek z niemowlęciem, zdążyła para młodych ludzi, którym towarzyszyło dwóch ubranych na czarno ochroniarzy, mężczyzna i Rodianin. Obaj Jedi niewątpliwie rzucali się w oczy, bo mieli na sobie płaszcze, które wyglądały jak anonimowe ubrania gwiazdnych podróżników. Ich widok na tak dużej wysokości byłby czymś niezwykłym... Z drugiej strony jednak, mieszkające tak wysoko zamożne osoby często ubierały się w dziwne stroje, więc widok płaszczy nie powinien budzić niczyich podejrzeń. Nie odsłaniając twarzy, Jedi minęli niczego nieświadomą parę i ich czujnych strażników.

Kiedy oddalili się na bezpieczną odległość, Jacen spojrzał na wuja.

- To nie wygląda dobrze - powiedział. - Czyżby Galaktyczny Sojusz zrezygnował z prowadzenia negocjacji z władzami Korelii?

- Galaktyczny Sojusz wie o rzeczach, które nie przedostały się do biuletynów informacyjnych HoloNetu - odparł mistrz Jedi. - Na przykład o tym, że Korelianie nie prowadzą negocjacji w dobrej wierze. Drwią z negocjatorów Sojuszu i nie chcą się stosować do nowych zarządzeń. Albo o tym, że Korelianie potajemnie zachęcają władców innych systemów do stosowania podobnych metod biernego oporu. A jeszcze... - Luke rozejrzał się niespokojnie. - To, co ci teraz powiem, jest wyłącznie do twojej wiadomości - oznajmił surowo.

- Rozumiem.

- Wygląda na to, że koreliański rząd albo jakiś jego przedstawiciel rozpoczął budowę potężnej floty szturmowej - ciągnął Luke. - W najgłębszej tajemnicy.

Jacen zmarszczył brwi. W przeszłości istniał tylko jeden powód budowy takiej floty, i to w tajemnicy: zamiar dokonania niespodziewanego ataku na inny system.

- Przeciwno komu? - Zapytał.

- To dobre pytanie - odparł Luke. - Na razie wywiad wojskowy nie zna na nie odpowiedzi. - Wzruszył ramionami. - Istnieją jednak dziesiątki możliwości. Po zakończeniu wojny z Yuuzhan Vongami Korelia zaciągnęła na odbudowę planety wiele pożyczek, z których większość nie została spłacona. Korelianom nie brakuje także zatargów o charakterze handlowym. Kto wie, może nawet chodzi im o opanowanie siłą źródeł surowców? Na tym etapie można sobie wyobrazić zbyt wiele powodów, żeby pokusić się o zgadywanie.

- Dlaczego powiedziałeś, że to koreliański rząd albo tylko jakiś jego przedstawiciel? - Zainteresował się Jacen. - Nie wiemy, kto za to odpowiada?

Luke pokręcił głową.

- Prawda wygląda tak, że informacje agentów wywiadu są oparte głównie na analizach zamówień i dostaw, a także na długiej historii zatrudniania podejrzanych osób - powiedział.

- Chwileczkę - zastrzegł młody Solo. - Wniosek o istnieniu tej floty opiera się na doniesieniach... Księgowych?

Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A właściwie co masz przeciwko księgowym? - Zapytał.

- Chyba nic - odparł Jacen.

- Problem z zebranymi materiałami polega na tym, że nie mamy pojęcia, gdzie Korelianie budują tę flotę - stwierdził mistrz Jedi. - Wiemy tylko, że trwa to od prawie dziesięciu lat, a nasi specjaliści od logistyki twierdzą, że przedsięwzięcie dobiega końca.

Jacen pogrążył się w zadumie.

- Chcesz, żebym znalazł tę stocznię i potwierdził dane agentów naszego wywiadu, tak? - Zapytał w końcu.

Luke pokręcił głową.

- Chciałbym, żeby to było takie proste - powiedział ponuro. - Admirał Pellaeon jest przekonany, że wywiad wojskowy wkrótce odnajdzie tę bazę. Potrzebujemy ciebie, żebyś się zajął bardziej nagłą sprawą.

- Bardziej nagłą niż atak na planetę?

- Tak. - Luke głęboko odetchnął. - Koreliański rząd kończy prace nad ponownym uruchomieniem stacji Centerpoint.

Jacen stanął jak wryty. Spojrzał na wuja z takim zdumieniem, że Luke musiał pokiwać głową.

Stacja Centerpoint była reliktem, artefaktem prastarej cywilizacji. W pewnym sensie istoty tej rasy stworzyły cały System Koreliański, bo przyciągnęły do niego kilka nadających się do zamieszkania planet i zostawiły je na wzajemnie korzystnych orbitach. Stacja miała średnicę kilkuset kilometrów i była większa nawet niż zniszczona kilkadziesiąt lat wcześniej Gwiazda Śmierci, którą Imperium zamierzało wykorzystywać przeciwko władcom buntowniczych planet. Stacją usiłowały zawładnąć różne - koreliańskie i obce siły polityczne albo wojskowe, które jednak nie nauczyły się, jak się nią posługiwać.

Sercem stacji Centerpoint była aparatura zdolna do skupiania ciężenia i przeciągania planet w

inne miejsca, a nawet do zmiany orbit gwiazd. Mogła je nie tylko przemieszczać, ale także na nie wpływać, jak również - jeżeli ktoś by się na to ośmielił - całkowicie je niszczyć. Korelianie i inni od bardzo dawna byli bliscy wykorzystania stacji jako niezawodnej, straszliwej broni. Od wielu jednak lat z potęgi Centerpoint mogła korzystać tylko jedna osoba, której dane biometryczne stacja uznawała: Anakin Solo.

Ostatni raz posłużono się nią podczas wojny z Yuuzhan Vongami, wiele lat wcześniej jednak stacja krążyła w Systemie Koreliańskim, właściwie niewykorzystana. W końcu jednak ktoś wpadł na to, że stacja reaguje wyłącznie na dane biometryczne Anakina Solo i że tylko on może przywrócić jej sprawność. Jacen twierdził, że stacji nie powinno się wykorzystywać ani przeciwko Yuuzhan Vongom, ani nikomu innemu... Była po prostu zbyt nieprzewidywalna, zbyt niebezpieczna. Anakin Solo miał jednak na ten temat inne zdanie. Uważał, że powinno się ją wykorzystać jako broń przeciwko Yuuzhan Vongom, aby powstrzymać ich przed zabiciem milionów niewinnych istot.

Pobudził stację do działania, ale ognia z niej dał Thrackan Sal-Solo. Strzał jednak nie spełnił jego oczekiwań. Zniszczył większą część potężnej floty wojennej Gromady Hapes, jednego z sojuszników Nowej Republiki. Później, ale jeszcze podczas wojny, Anakin zginął i wszystko wskazywało, że szanse ponownego posłużenia się stacją zmalowały do zera.

Jacen miał ambiwalentne uczucia. Dawniej sprzeciwiłby się użyciu stacji Centerpoint, ale obecnie, w takich samych okolicznościach, wcale by się przed tym nie wzdragał. Od tamtych czasów jego zastrzeżenia zniknęły, jakby wyparowały. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, jak bardzo się zmienił. Musiało się to odbywać bardzo powoli i niezauważalnie.

Jacen sprzed ponad dziesięciu lat już nie istniał. Był równie martwy jak Anakin. Młody Solo głęboko odetchnął i zaczął się zastanawiać, dlaczego już nie rozpacza z powodu jednej, ale także tej drugiej straty.

- Jakim cudem znów pobudzili ją do działania? - Zapytał.

Luke wzruszył ramionami.

- Z dostępnych informacji wynika, że wymyślili sposób skopiowania najważniejszych danych biometrycznych Anakina... To znaczy odcisków palców, wzorów siatkówek i fal mózgowych - powiedział. - Nie wiem jednak, jak tego dokonali bez jego kodu DNA.

Jacen poczuł, że w jego sercu wzbiera fala gniewu. Wykorzystanie do tego celu danych biometrycznych brata uznał za brak szacunku dla zmarłego. Wyczuwał w tym jakąś fatalną siłę, która mu się nie podobała. Pomyślał, że taka reakcja jest nielogiczna i postanowił nie przywiązywać do niej wagi.

- A Galaktyczny Sojusz się obawia, że Korelianie wykorzystają stację jako broń do walki z nimi, tak? - Zapytał.

- Nie bezpośrednio... I nie w początkowej fazie - odparł mistrz Jedi. - Jeżeli jednak Korelianie wykorzystają swoją nową flotę do zaatakowania jakiegoś systemu, będą mogli trzymać Galaktyczny Sojusz w szachu groźbą, jaką stanowi użycie stacji Centerpoint. A nawet jeżeli się nie zdecydują na niespodziewany atak, przewodniczący Omas się obawia, że jeżeli Galaktyczny Sojusz zechce się nadal upierać przy egzekwowaniu swoich obecnych praw, Korelianie będą się mogli posłużyć stacją dla zachowania swojej niezależności, swojej autonomii.

- To nie byłoby... - Zaczął Jacen, ale urwał. Zamierzał powiedzieć: „To nie byłoby takie złe”, ale doszedł do wniosku, że nie ma racji. Gdyby słynący z zamiłowania do niezależności Korelianie dysponowali najpotężniejszą bronią w galaktyce, ale zamiast wykorzystywać ją dla wspólnego

dobra, mogli się nią posłużyć do realizacji własnych planów, sytuacja Galaktycznego Sojuszu wyglądałaby źle. Bardzo źle. Rycerz Jedi powędrował myślami na chwilę w przyszłość... W jeden z możliwych wariantów przyszłości, najbardziej prawdopodobny, jaki wynikał z przedstawionej przez Luke'a sytuacji. Ujrzał wizję toczących walkę potężnych flot i bombardowanych powierzchni planet, a także strzelających do siebie sióstr i braci. Trwająca mgnienie oka wizja przyprawiła go o skurcz żołądka. - To dlatego Galaktyczny Sojusz wzywa na pomoc zakon Jedi - dokończył dyplomatycznie. Luke kiwnął głową.

- A ściślej admirał Pellaeon. To on uważa, że dalsza bierność Galaktycznego Sojuszu może doprowadzić do rebelii wielu gwiazdnych systemów - powiedział. - Na taką możliwość wskazują komputerowe symulacje skutków takiej bierności, nie wspominając o intuicji admirała. Z jego opinią zgadzają się także inni konsultowani w tej sprawie admirałowie, więc Cal Omas podjął decyzję o realizacji tego planu.

Jacen nabrał powietrza i zaczął się zastanawiać. W ciągu wielu dziesięcioleci admirał Pellaeon był dowódcą, dzięki któremu Ruiny Imperium zachowały niezależność, etos i dumę, ale dopiero przed kilkoma laty został wybrany na naczelnego dowódcę floty Galaktycznego Sojuszu. Stanowiło to nieomylny znak rosnącego znaczenia Ruin Imperium i roli, jaką miały odgrywać w Galaktycznym Sojuszu. Jeżeli Pellaeon uważał, że dalszy upór Korelian doprowadzi do wybuchu wojny domowej, Jacen nie bardzo mógłby polemizować z jego opinią.

- A więc jak wygląda ten plan? - Zapytał.

Luke postanowił udzielić wymijającej odpowiedzi.

- Wśród naukowców, inżynierów i techników, którzy prowadzą badania nad wykorzystaniem stacji Centerpoint na potrzeby Korelii, znajdują się także szpiedzy Galaktycznego Sojuszu - zaczął. - Nie dadzą jednak rady wprowadzić na pokład stacji elitarnego oddziału żołnierzy, którzy uszkodzą albo zniszczą jej kontrolne urządzenia. Mogą najwyżej przemycić jednego albo dwóch agentów. A jeżeli zadanie wymagające oddziału wojska ma wykonać jedna albo dwie osoby...

- ...To oznacza Jedi - domyślił się Jacen.

- Tak - przyznał Luke.

- Co miałbym zrobić?

- Polecieć na stację Centerpoint i uszkodzić ją albo zniszczyć.

Jacen poklepał ręką jeść świetlnego miecza.

- Uszkodzić albo zniszczyć stację wielkości księżyca, używając tylko tego, co dam radę przemycić na jej pokład? - Zapytał.

- Podobne stacje bywały niszczone przy użyciu protonowej torpedy i odpowiednich informacji - przypomniał mistrz Jedi. - Zapewnimy ci odpowiednie informacje, a Galaktyczny Sojusz rozpocznie w innym miejscu Systemu Koreliańskiego operację, która powinna odwrócić od ciebie uwagę obrońców stacji. Zrobisz to?

- Tak, naturalnie - odparł Jacen. - Ale dlaczego ja?

- Z kilku powodów - zaczął mistrz Skywalker. - Po pierwsze, w przeciwieństwie do większości Jedi, już tam kiedyś byłeś. Po drugie, dzięki człowiekowi, który cię wychowywał, potrafisz mówić z autentycznym koreliańskim akcentem. Liczy się także fakt, że przynajmniej częściowo odziedziczyłeś po ojcu koreliański wygląd, dzięki czemu będziesz mógł się łatwiej poruszać po terenie stacji, nie zwracając na siebie uwagi. Po trzecie, dzięki specjalistycznemu szkoleniu w dziedzinie alternatywnych filozofii Mocy jesteś bardziej wszechstronny niż wielu innych rycerzy, a nawet

mistrzów Jedi, a zatem trudniej będzie cię powstrzymać.

- A Ben? - Zapytał Jacen.

Luke długo się nie odzywał. Obaj Jedi skręcili na pomost przerzucony nad kanionem między dwoma długimi rzędami wieżowców. Do jego budowy użyto transpastali, w którą wtopiono różnobarwne ziarenka piasku i kamyki. Pomost miał po bokach wysokie bariery, żeby hulający w durbetonowych kanionach wiatr nie strącał pieszych w przepaść. Przechodnie poruszający się po przezroczystej powierzchni mogli widzieć pod stopami dwukilometrową otchłań. Czasami pomost się kołysał od podmuchów wiatru. Kilkanaście metrów niżej płynął strumień powietrznych pojazdów, podobny do rzeki różnobarwnych świateł.

Kiedy mistrz Jedi w końcu się odezwał, nadał głosowi sztucznie obojętne brzmienie:

- Jesteś jego nauczycielem, więc to ty powinieneś o tym zdecydować - powiedział.

Mistrzowie Jedi nawet na niebezpieczne wyprawy często zabierali uczniów... Bo dzięki temu ich podopieczni się uczyli. Czasami nauczyciele i uczniowie nie wracali z takich wypraw. Luke nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, czy Jacen powinien zabrać na tę wyprawę jego syna, i postanowił zostawić decyzję wyłącznie w rękach siostrzeńca.

Zareagował tak, jak powinien zareagować mistrz Jedi. Nie dopuścił, aby jego osąd został zmałowany przez fakt, że tym uczniem jest jego syn. Jacen postąpiłby tak samo.

Ben był bystrym, pomysłowym i na ogół posłusznym chłopcem. Bywało jednak, że zachowywał się jak każdy nad wiek rozwinięty trzynastolatek... A w takich chwilach nikt by nie podejrzewał go o to, że jest Jedi. Na pewno byłby cenną pomocą podczas takiej wyprawy.

- Poleci ze mną - zdecydował młody Solo.

Luke kiwnął głową, jakby zaakceptował jego decyzję bez zastrzeżeń.

- Po wykonaniu zadania nasza sytuacja na Centerpoint może stać się paskudna - ciągnął rycerz Jedi. - Korelianie wpadną we wściekłość.

- To prawda - przyznał Luke. - Ale druga część operacji ma na celu odwrócenie uwagi obrońców stacji od was. Będzie polegała na demonstracji siły. Nieoczekiwanie w koreliańskich przestworzach pojawi się potężna flota Galaktycznego Sojuszu. W opinii specjalistów z wywiadu wojskowego na jej widok Korelianie powinni zrozumieć, że nie mogą nadal robić tego, co im się podoba, i pogodzić się z utratą stacji Centerpoint.

Jacen pokręcił głową.

- Kto wpadł na równie błyskotliwy pomysł? - Zapytał.

- Nie wiem - przyznał mistrz Jedi. - Przedstawili mi go Cal Omas i pani admirał Niathal, jedna z doradczyń Pellaeona.

- Jest Kalamarianką, nie Korelianką - zauważył Jacen.

- No cóż, jej zdaniem eksperci od wojny psychologicznej ocenili nastawienie Korelian i doszli do wniosku, że podobna operacja wywrze pożądany skutek... Pod warunkiem, że zniszczenie stacji Centerpoint się powiedzie.

Młody Solo parsknął.

- O co chcesz się założyć, że ci eksperci oparli swoją opinię na przestarzałych danych, pochodzących jeszcze sprzed wojny z Yuuzhan Vongami? - Zapytał. - Kto wie, może nawet z czasów dyktatury? Moim zdaniem nie wzięli pod uwagę tego, że wygranie wojny wywarło duży wpływ na psychikę Korelian. Podbudowało ich dumę.

- Jestem pewien, że wykorzystali najnowsze informacje - zaprotestował Luke. - A zresztą i tak nie

nam wpływu na tę część operacji. Zostanie przeprowadzona bez względu na opinię zakonu Jedi. - Mówił spokojnie, ale Jacen usłyszał nutkę żalu w jego głosie. - Lepiej wracajmy.

- Chciałbym jeszcze trochę pospacerować - odparł młody Solo. - Muszę zebrać myśli i zastanowić się, co powiem ojcu, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

- Tylko nie planuj ze zbyt dużym wyprzedzeniem. - Luke klepnął siostrzeńca po ramieniu i zawrócił. - Przyszłość trzeba przeżywać, nie organizować.

Kiedy dotarł do drzwi budynku, w którym mieścił się apartament Hana i Leii, coś pobudziło jego świadomość, zupełnie jakby ktoś zmaterializował się za jego plecami i połaskotał go piórkami. Luke odwrócił się, żeby sprawdzić, o co chodzi.

Za nim nie było nikogo, ale po drugiej stronie kanionu, w odległości prawie trzydziestu metrów, na chodniku dla pieszych biegnącym na mniej więcej tej samej wysokości, dostrzegł kogoś, kto go obserwował.

Nieznajomy stał kilka metrów od najbliższego źródła światła. Miał na sobie płaszcz z kapturem, podobny do stroju, jaki nosili Luke i inni Jedi. Fałdy płaszcza maskowały budowę ciała. Luke mógł powiedzieć tylko tyle, że nieznajomy jest przeciętnego wzrostu i wygląda na szczupłego.

Mistrz Jedi doszedł do wniosku, że coś w jego postawie przypomina mu zjawę ze snu. Ciekaw był, czy twarz nieznajomego przypomina oblicze dawno zmarłego Anakina Skywalkera i czy jego oczy mają intensywnie żółty kolor...

Na skutek wewnętrznego gniewu i stosowania technik Sithów. Obserwator zapewne się zorientował, że Luke go zauważył, bo przeszedł kilka kroków do najbliższych drzwi w ścianie budynku, otworzył je i zniknął w mroku.

Luke pokręcił głową. Naturalnie mógł pójść za nieznajomym, ale pokonanie dzielącej ich odległości zajęłoby mu zbyt dużo czasu, żeby mógł go dogonić. Nieznajomy mógł nie mieć związku ze snem Luke'a, albo świadomie usiłował nawiązać z nim kontakt, żeby pozdrowić go lub ostrzec. Tak czy owak, nie pozostawił po sobie żadnego śladu.

Mistrz Skywalker odwrócił się i wszedł do gmachu, w którym mieścił się apartament rodziny Solo.

W końcu wszyscy goście wyszli. Większość wróciła do swoich kwater w Świątyni Jedi. Mieszkanie Solo pogrążyło się w ciemności. Han i Leia, przytuleni do siebie, leżeli na łóżku w głównej sypialni.

Sypialnia przylegała do zewnętrznej ściany gmachu, pod biegnącym po murze chodnikiem dla pieszych. Przez szeroki transpystalowy iluminator rozciągał się widok na biegnące na zewnątrz napowietrzne szlaki... Albo na niebo, jeżeli Han i Leia podeszli wystarczająco blisko i się schylili. Jak przystało na apartament byłej przywódczyni Nowej Republiki i jej równie sławnego męża, którzy mogli stać się celem porywaczy albo zamachowców, transpystalowa płyta iluminatora ich sypialni była o wiele grubsza niż w większości mieszkań innych osób. Takie grube płyty, stosowane zazwyczaj na pokładach gwiazdnych okrętów, były jednym z najkosztowniejszych elementów wyposażenia mieszkania Solo. Iluminator w sypialni był jednak równie przezroczysty jak każdy inny, toteż przy odsłoniętych żaluzjach można było obserwować ciągnące się bez końca, wielobarwne strumienie przelatujących pojazdów.

- Byłeś dzisiaj bardzo surowy dla Zekka - zwróciła uwagę księżniczka. - Cały wieczór.

- Tak uważasz? - Han zastanowił się nad jej zarzutem. - Nie wyzwalałem go przecież na pijacki pojedynek ani nie wypytywałem o niefortunne związki, jakie z pewnością zawierał w przeszłości.

- Całe szczęście. - Leia pokiwała głową. - Mogłeś jednak być dla niego trochę... Milszy.

- Dla mężczyzny, który ugania się za moją córką? - Prychnął Han. - Dałbym mu niewłaściwy przykład. Jestem jej ojcem, a on ją wykorzystuje.

- Nie bądź śmieszny - zachnęła się księżniczka.

- Zaraz, zaraz - przerwał jej mąż. - Jaina nie wierzy, że zależy mu na niej. Łudzi się, że są tylko dobrymi przyjaciółmi, bez względu na wszystko, co się wcześniej wydarzyło. Dzięki temu Zekk może się trzymać blisko i utrwalać w niej to przekonanie.

- To dobry chłopak - stwierdziła Leia.

- Kiedy w grę wchodzi dobro mojej córki, żaden chłopak nie jest dość dobry - zaproponował Han. - A poza tym ktoś tego wzrostu nie powinien być nazywany „chłopakiem”.

- Jeżeli Jaina lubi wysokich mężczyzn, prawdopodobnie zawdzięcza to upodobanie swojemu otoczeniu w dzieciństwie.

- Czyżby? - Zapytał Han i zaczął się zastanawiać. - Przypuszczasz, że to z mojego powodu czuje się lepiej w towarzystwie wysokich mężczyzn?

- Nie, z powodu Chewiego - odparła Leia.

Han spojrzał na nią. Na łóżko padał wąski snop błękitnego światła, mógł więc widzieć oczy żony. Malowało się w nich coś pośredniego między udawaną niewinnością a rozbawieniem.

Wookie Chewbacca, najlepszy przyjaciel i drugi pilot Hana, zginął przed niemal dziesięciu laty, na początku wojny z Yuuzhan Vongami. Upłynęło wiele lat, zanim Han mógł wypowiedać jego imię albo reagować na nie bez ukłucia bólu w sercu. Naturalnie nadal odczuwał ból po stracie przyjaciela, ale także z rozrzewnieniem wspominał wspólnie przeżyte chwile.

- Nie powinnaś kpić z Hana Solo, bohatera galaktyki - powiedział.

- Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła - zapewniła go żona. - Kpiłam tylko z Hana Solo, wtrącającego się do wszystkiego ojca i największego egoisty, jakiego zna ta galaktyka.

- To cię będzie dużo kosztowało - stwierdził Han.

Leia spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem.

ROZDZIAŁ 5

Coruscant

Dwa dni po rodzinnym obiedzie, w którym wzięli udział członkowie rodzin Skywalkerów i Solo, Han siedział na jednej z kanap w salonie z przenośnym terminalem komputerowym na kolanach i piorunował spojrzeniem ekran urządzenia. Od czasu do czasu wpisywał serię rozkazów albo wydawał polecenia głosem, ale ilekroć usiłował nawiązać kontakt z komputerem, widział czerwony ekran, który oznaczał fiasko jego starań.

W pewnej chwili nad jego ramieniem pochyliła się Leia, żeby przeczytać na głos tekst na ekranie:
- „Operacja zakończona niepowodzeniem. Możliwe, że korzystasz z przestarzałego oprogramowania, dzięki czemu uzyskanie połączenia jest niemożliwe”.

- Starasz się poprawić nasze zeznanie podatkowe? - Zapytała.

- Bardzo zabawne. - Han nie wyglądał na rozbawionego. - Pamiętasz Wildis Jiklip?

Leia zmarszczyła brwi. Wildis Jiklip była niezwykle uzdolnionym matematykiem mniej więcej w wieku Hana. Dużo podróżowała, miała koreliańską matkę i coruscańskiego ojca, dzięki czemu kształciła się w obu tych systemach. Już w wieku dwudziestu kilku lat uzyskała licencję na prowadzenie wykładów na akademii albo uniwersytecie. Później zniknęła i dwadzieścia lat nie dawała znaku życia. Tylko kilka osób wiedziało, co robiła w tamtym czasie.

Została przemytniczką i przybrała pseudonim Red Stepla. Latała niezwykle szlakami, transportowała niezwykle ładunki i wykazywała niezwykłą umiejętność dostarczania zakazanych towarów na rynki w czasie, kiedy ich wartość sięgała zenitu. Nikt inny nie mógł się poszczycić równie spektakularnymi sukcesami. Większość przemytników z trudem wiązała koniec z końcem, wydając zarobione kredyty w kosmoportach na gry hazardowe czy inne uciechy i zostawiając sobie tylko tyle, żeby wystarczyło na paliwo albo zdobycie następnego ładunku. Tymczasem Red Stepla i członkowie jej załogi, inwestując zarobione kredyty w kosmoportach całej galaktyki, dyskretnie wiedli dostatnie życie.

Kilka lat przed wybuchem wojny z Yuuzhan Vongami Red Stepla i jej załoga przeszli w stan spoczynku... Czyli po prostu zniknęli. Nieco później Wildis Jiklip znów się pojawiła. Była niezależną, zamożną uczoną i od czasu do czasu prowadziła zajęcia na uniwersytetach Coruscant oraz Lorda. Tym razem tematem jej wykładów była międzyplanetarna gospodarka w warunkach wolnego handlu, uwzględniającego prawa podaży i popytu, reakcje systemów gospodarczych na szerzącą się wojnę i podobne zagadnienia.

Han znał tajemnicę jej podwójnej tożsamości, a Leia dowiedziała się o niej z ust samej Wildis. Uczona oznajmiła, że wierzy każdej kobiecie, której Han ufa na tyle, aby ją poślubić.

Leia kiwnęła głową.

- Jasne - powiedziała. - Dlaczego pytasz?

- Powszechnie uważa się, że Jiklip przebywa na Coruscant, gdzie prowadzi cykle wykładów - zaczął Han. - Staralem się z nią skontaktować, żeby porozmawiać o Korelii. Sądziłem, że może dostanę od niej jakąś wskazówkę na temat oficjalnej reakcji Galaktycznego Sojuszu na to, co się tam dzieje. Okazało się jednak, że zaledwie kilka dni temu przerwała wykłady w środku cyklu, a wszystkie moje próby nawiązania z nią kontaktu spaliły na panewce... Za każdym razem dostaję tylko informację, że wyjechała na urlop z powodu nagłych kłopotów rodzinnych.

Leia wzruszyła ramionami.

- I co z tego? - Zapytała.

- No cóż, Wildis Jiklip nie ma rodziny - przypomniał mąż. - Taa, wiem, nie ma w tym niczego podejrzanego, ale chciałem porozmawiać o polityce także z innymi Korelianami. Na przykład z Antillesem. Spróbowałem się z nim połączyć za pomocą kanału holograficznego.

Leia zdziwiła się, ale niczego po sobie nie pokazała. Nie przywiązywała dużej wagi do środków materialnych. Jako dziewczynka i młoda kobieta wiodła beztrudne życie planetarnej księżniczki, chociaż jej rodzina była odpowiedzialna finansowo. Zarządzała także funduszami najpierw Sojuszu Rebeliantów, a później prawowitej władzy. Rzadko zwracała uwagę na wysokość wydatków, ale Han, który dorastał w ubóstwie i pierwszą połowę życia borykał się z kłopotami finansowymi, dużo bardziej liczył się z kredytami. Zapłacenie za prowadzoną na żywo rozmowę z przebywającym wiele lat świetlnych dalej przyjacielem musiało być dla niego nie lada wyrzeczeniem. Mówiło więcej o jego zaniepokojeniu koreliańską polityką niż wszystkie słowa, jakie wypowiedział w ciągu ostatnich kilku dni.

- A więc jak się miewa Wedge? - Zapytała Leia.

- No cóż, nie dałem rady połączyć się z nim za pośrednictwem HoloNetu - przyznał mąż. - Dowiedziałem się tylko, że z powodu awarii aparatury uzyskanie natychmiastowego połączenia z koreliańskim systemem planetarnym nie zawsze jest możliwe.

- A więc wysłałeś mu wiadomość za pomocą standardowej aparatury rejestrująco-odtwarzającej, tak? - Domyśliła się księżniczka.

Han kiwnął głową.

- Krótki tekst w rodzaju: „hej, stary, co u ciebie?” - powiedział.

- No i?

- Wiadomość do niego dotarła, a ja dostałem odpowiedź, ale kilka godzin później, niż się spodziewałem. Wystarczająco długo, żeby moja wiadomość i odpowiedź zostały przechwycone, rozszyfrowane, przeczytane i przeanalizowane, zanim trafiły do odpowiednich adresatów.

Leia nie powiedziała: „Zachowujesz się jak paranoik”. W pierwszej chwili tak pomyślała, ale Han nie był paranoikiem. Prawdopodobnie więc w świetle nasilającej się pogardy, z jaką władze Korelii traktowały zarządzenia Galaktycznego Sojuszu, jego rząd objął nadzorem wszystkie wiadomości, jakie przesyłano na Korelię albo stamtąd wysyłano.

- Rozumiem - odezwała się księżniczka. - A więc łączność z Korelią została objęta ścisłym nadzorem.

- Zacząłem węszyć. - Han wyglądał na zaniepokojonego. - Uruchomiłem kilka fałszywych tożsamości. Przekazałem pakiety informacji na Korelię za pośrednictwem Commenora i kilku innych planet. Skontaktowałem się też z przyjaciółmi, którzy nadal są przemytnikami, i dowiedziałem się, że w przestworzach Korelii i kilku planet, które publicznie poparły jej poczynania, wzrosła liczba i aktywność antyprzemytniczych patroli Galaktycznego Sojuszu. Naprawdę dochodzę do wniosku, że

na coś się zanosì.

Leia obeszyła kanapę i usiadła obok męża.

- Masz na myśli coś więcej niż tylko umiarkowane nękanie przez Galaktyczny Sojusz, żeby uprzykrzyć życie systemowi, który nie przestrzega ustalonych reguł, prawda? - Zapytała.

- Taa - przyznał Han. - Nie wiem jednak, jak to potwierdzić i jak udowodnić, że przecucie mnie nie myli.

Leia zastanowiła się nad jego słowami. Jako rycerz Jedi musiała być lojalna wobec zakonu i Galaktycznego Sojuszu. Jeżeli Sojusz rzeczywiście zamierzał przedsięwziąć kroki przeciwko Korelii, miała obowiązek je popierać.

Był to jednak tylko jeden spośród jej obowiązków. Nie mogła zapomnieć o obowiązkach względem Hana, nawet jeżeli jej mąż popierał czyjeś nierozsądne poczynania. Uśmiechnęła się szeroko, bo coś sobie uświadomiła. Otóż ilekroć Han popierał nierozsądne poczynania, z perspektywy czasu okazywały się rozsądne, włączając w to działalność Sojuszu Rebeliantów.

- Co cię tak rozbawiło? - Zapytał Han.

- Nic - odparła księżniczka. - Myślałam tylko o... Innych sposobach zorientowania się, co się dzieje.

- Na przykład?

Leia zaczęła odginać po kolei palce.

- Po pierwsze, jeżeli rzeczywiście Galaktyczny Sojusz planuje przeciwko Korelii jakąś akcję, wie o niej całkiem sporo osób w jego władzach. Te, które prowadzą na Korelii gospodarcze interesy, zrobią wszystko, co w ich mocy, by je chronić. Jeżeli nie zachowają ostrożności, może to zwrócić naszą uwagę na ich transakcje i poczynania. Po drugie, jeżeli do akcji przeciwko Korelii zostaną użyte siły zbrojne, może uda nam się dowiedzieć, które konkretnie oddziały będą brały w niej udział. Inne zostaną na pewno wykorzystane do szturmów, a inne do blokady. Zdobycie tych informacji nie będzie łatwe, zwłaszcza jeżeli nie chcemy, żeby uznano nas za szpiegów, ale może się udać, a my mamy pewną przewagę, bo od dość dawna nie braliśmy udziału w żadnej wojnie. Dzięki temu przepisy bezpieczeństwa nie są przestrzegane równie skrupulatnie, jak na przykład w szczytowym okresie zmagania z Yuuzhan Vongami czy podczas wojny przeciwko Imperium.

Han kiwnął głową.

- Racja, racja - powiedział.

- Po trzecie - podjęła księżniczka - możemy sami ułożyć hipotetyczne plany działań wymierzonych przeciwko Korelii. Ustalimy, jakie środki są niezbędne do ich realizacji, a później postaramy się dowiedzieć, czy te środki są naprawdę kierowane we właściwe miejsca. To dałoby nam pojęcie, na co się zanosì... Zakładając, że nasze plany okażą się dokładne.

- Słusznie. - Han się rozpromienił. - Nie bardzo się znam na liczbach czy przetwarzaniu danych, ale widzę, że szykuje mi się sporo roboty tego rodzaju.

- Mogę ci w niej pomóc - zaproponowała żona.

- Dzięki.

- Ale po śniadaniu.

Han uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Czy aby na pewno jesteś tą samą niezmordowaną altruistką, którą poślubiłem? - Zapytał.

- Raczej nie.

- To moja wina, że się zmieniłaś.

Księżniczka dramatycznie westchnęła.

- No cóż, za to ty jesteś tym samym niezmordowanym egoistą, którego ja poślubiłam - powiedziała.

Funkcjonariuszka KorSeku wyglądała zgrabnie w brązowo-pomarańczowym mundurze. Kryjąc twarz za odporną na blasterowe strzały przesłoną bojowego hełmu, wskoczyła przez drzwi i uniosła blasterowy karabin. Zanim jednak zdążyła wymierzyć go w Jacena, rycerz Jedi machnął klingą świetlnego miecza i przeciął na pół broń, a przy okazji kobietę. Obie dymiące części runęły na metalową posadzkę z głośnym łoskotem.

Jacen wyjrzał za drzwi, przez które wskoczyła kobieta, i zobaczył ciągnący się jak okiem sięgnąć ponury korytarz. Wszędzie widział poskręcane kable i wystające spomiędzy nich mechanizmy. Mimo kilkudziesięcioletnich badań nikt nie zdołał zrozumieć tych konstrukcji ani nawet domyślić się ich przeznaczenia. W głębi korytarza leżał Ben, trafiony w pierś przez jedną z wielu blasterowych błyskawic zaporowego ognia, który okazał się zbyt intensywny, żeby Jacen zdążył odbić wszystkie strzały...

Rycerz Jedi pokręcił głową. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby jego uwagę rozpraszały podobne błahostki, zwłaszcza że do osiągnięcia sukcesu brakowało tak niewiele. Posługując się Mocą, uwolnił myśli i omiół nimi sąsiednie pomieszczenia. Chciał się zorientować, czy za drzwiami czyhają na niego żywe istoty, ale żadnej nie wyczuł, więc przestąpił próg.

Znalazł się w sterowni stacji Centerpoint. Biorąc pod uwagę niewiarygodną potęgę broni, pomieszczenie było zdumiewająco małe. Mogło pomieścić najwyżej niezbyt liczną grupę naukowców. A przecież najważniejsza sala tak potężnego obiektu powinna mieć odpowiednio duże rozmiary. Nie zaszkodziłoby także, gdyby stała tu monumentalna rzeźba, upamiętniająca dawne czasy, kiedy jeszcze z sali korzystano. Zamiast tego Jacen zobaczył krzesła, szeregi świecących lampek, przełączniki i rękojeści dźwigni, a także główne stanowisko ze sterującym przed nim w górę kontrolnym drążkiem... Wszystko wyglądało dokładnie tak jak przed wielu laty.

Prawdę mówiąc, krótko przed narodzinami Bena. Ostatni raz widział te urządzenia, zanim chłopiec się narodził. Obecnie zaś oglądał je ponownie, krótko po tym, jak Ben zginął od strzału z blastera.

Błahostki. Jacen sięgnął do kieszeni płaszcza Jedi i wyjął nietypową kartę danych. W odróżnieniu od standardowych kart, pasujących do otworów czytników miliardów elektronicznych notesów, komputerów, komunikatorów czy paneli kontrolnych gwiazdnych statków, których sprzęt umożliwiał odczytywanie i wykorzystywanie zapisanych informacji, karta Jacena miała zaokrąglone rogi i wąskie złote wypustki, dzięki czemu nadawała się do wykorzystania tylko w jednym znanym gnieździe w całej galaktyce.

Ale gdzie szukać tego gniazda? Jacen omiół spojrzeniem rzędy przełączników i innych urządzeń kontrolnych. Nie zauważył wśród nich żadnej szczeliny, do której mógłby wsunąć mikroobwód. Nie było jej także na właściwej sekcji kontrolnego pulpitu, gdzie, jak mu powiedziano, powinien ją znaleźć. Słyszał napływające z dalszych części korytarza okrzyki. Oznaczało to, że w jego stronę biegną uzbrojeni funkcjonariusze Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa. A więc na wykonanie zadania miał najwyżej kilka sekund.

Zamknął oczy i zaczął badać pomieszczenie zmysłami Jedi, które niełatwo było oszukać.

Niemal natychmiast znalazł to, czego szukał: gniazdo o kształcie pasującym do czołowej krawędzi jego karty danych. Nie otwierając oczu, wyjął z kieszeni mikroobwód i ruszył naprzód.

Poczuł, że karta danych jest wciągana w głąb urządzenia, które musiało się znajdować pod powierzchnią kontrolnego pulpitu. Puścił ją i otworzył oczy.

Tysiące lampek sygnalizacyjnych w pomieszczeniu zgasło, a dobiegający z oddali tupot stóp i okrzyki umilkły. W sterowni rozległ się kobiecy głos:

- Symulacja zakończona. Szacunkowe prawdopodobieństwo powodzenia: siedemdziesiąt pięć procent.

Jacen wyszczerzył zęby, jakby krzywił się z niesmakiem. Wynik powyżej pięćdziesięciu jeden procent gwarantował, że zainicjuje jedną z kilku technik, które miały doprowadzić do uszkodzenia albo zniszczenia stacji Centerpoint, dzięki czemu jego wyprawa zakończy się powodzeniem. Siedemdziesiąt pięć procent to jednak było za mało - oznaczało, że ktoś straci życie: albo on, albo Ben. Przy wyniku na poziomie pięćdziesięciu jeden procent mieli zginąć obaj, choć po wykonaniu zadania.

Na progu drzwi sterowni pojawił się Ben. Ostrożnie przeszedł ponad szczątkami androida w pancerzu KorSeku. Potarł pierś. Wyglądał na zakłopotanego.

- Ogłuszające błyskawice są bolesne - powiedział.

Jacen kiwnął głową.

- Tym bardziej powinieneś się starać, żeby cię żadna nie trafiła - przestrzegł surowo.

Ściana za główną płytą kontrolną uniosła się pod sufit, ukazując pomieszczenie z aparaturą monitorującą. W jej skład wchodziło kilka stanowisk komputerowych i stojący pośrodku fotel, otoczony przez cztery zainstalowane na cienkich giętkich prętach monitory do prowadzenia obserwacji.

Siedzący na fotelu siwobrody mężczyzna - silnie zbudowany, a nawet lekko otyły - powitał obu Jedi lekkim uśmiechem.

- Lecicie tam - powiedział niskim, dudniącym tonem.

- Ten sposób wydaje się dosyć łatwy, doktorze Seyah. - Jacen omiółł sterownię zamaszystym gestem. - Tylko jedna strażniczka w ostatnim pomieszczeniu...

- Łatwy? - Zachnął się Ben, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Wystrzelili do nas co najmniej tysiąc blasterowych błyskawic!

- Jacen ma rację - stwierdził doktor Seyah. - Ten sposób jest lepszy. To prostsze niż inicjowanie wirowego ruchu stacji i niszczenie urządzeń odpowiedzialnych za wytwarzanie sztucznego ruchu antywirowego, żeby stacja rozleciała się na kawałki. Jest to także łatwiejsze niż wpisywanie zestawu współrzędnych samej stacji do systemów celowniczych komputerów broni, żeby stacja sama się zniszczyła. No i dużo prostsze niż porywanie gwiazdowego niszczyciela i wbijanie go we właściwe miejsce na powierzchni stacji...

Ben się rozpromienił.

- Hej, tego jeszcze nie robiliśmy - zauważył.

- I nie będziecie robili - odparł Seyah. - To nie jest zadanie dla rycerzy Jedi, ale dla szalonych, emerytowanych oficerów marynarki.

- Szkoda. - Ben sposepniał. - Spodobałoby mi się coś takiego.

Doktor Seyah odgiął na boki dwa przeszkadzające mu pręty monitorów i wstał z fotela.

- Problem w tym, że nie mamy pojęcia, jak w tej chwili wygląda główna sterownia tej broni - powiedział. - Tak wyglądała trzy tygodnie temu, zanim wszystkich z wyjątkiem głównej grupy naukowców, starannie wybranych, bez zastrzeżeń popierających politykę władz Korelii, przeniesiono

w inne miejsca. Nie wiemy, czy nasi przeciwnicy nie zastąpili całego sprzętu atrapami albo nie zalali sterowni durbetonem, chociaż nie mamy też powodu przypuszczać, że to zrobili. - Wzruszył ramionami. - A więc dopóki macie tę kartę danych w stanie nienaruszonym i dopóki tamto gniazdo na kontrolnym pulpicie wciąż istnieje... Nawet, jeżeli będziecie musieli poświęcić sporo czasu, żeby je odnaleźć... Taki sposób powinien się zakończyć zniszczeniem stacji.

- Powinien się zakończyć? - Powtórzył zaskoczony Jacen.

- Prawdopodobnie się zakończy - uspokoił go doktor Seyah. - Po dziesięciu minutach od wsunięcia karty zapisane w jej pamięci rozkazy mają spowodować wytworzenie skomplikowanego impulsu repulsorowego, po którym stacja rozpadnie się na kawałki. Pod warunkiem, że jej naukowcy nie przeprogramowali swoich systemów na tyle, że oprogramowanie waszej karty stanie się bezużyteczne. Zakładając także, że w ciągu tych wszystkich lat członkowie mojego zespołu naukowego i ja prawidłowo wykonywaliśmy swoją pracę oraz jeszcze wiele innych rzeczy. - Doktor Seyah westchnął i położył dłonie na ramionach obu Jedi. - Mogę gwarantować wam tylko jedno - podjął po chwili. - Jeżeli zechcecie mi towarzyszyć do stołówki, zafunduję wam lunch.

- Czasami najprostsze sposoby są najlepsze - zgodził się z nim Jacen i pozwolił się skierować w stronę wyjścia.

Mimo to w głębi duszy nie umiał się pozbyć wątpliwości. W osiemdziesięciu procentach przeprowadzonych dotąd symulacji Ben zawodził albo ginął, co sugerowało, że nie powinien brać udziału w tej wyprawie. Mimo to wizje przyszłości, jakie Jacen codziennie przeżywał, mówiły mu, że udział chłopca będzie miał kluczowe znaczenie dla powodzenia ich wyprawy... Jeżeli ich wyprawa w ogóle miała szanse powodzenia. Możliwe więc, że obie opcje były prawidłowe. Ich wyprawa mogła zakończyć się powodzeniem tylko wtedy, jeżeli Ben zginie podczas wykonywania zadania.

Ale gdyby tak się miała zakończyć, jak będzie mógł spojrzeć w oczy Luke'owi?

- A więc jak to jest być szpiegiem? - Zainteresował się Ben.

- Doktor Seyah nie jest szpiegiem, Benie - mruknął Jacen. - Bądź dla niego miły.

- Ależ naturalnie, że jestem szpiegiem - zaprotestował Seyah. - Naukowcem i szpiegiem. A Ben jest bardzo miły. Studiując prastare wytwory techniki, poznaję zasady funkcjonowania wszechświata. Od czasu do czasu muszę jednak robić sobie wakacje, żeby się uczyć, jak instalować najnowsze komunikatory podsłuchowe, jak krzyżować plany albo zwodzić nieprzyjacielskich szpiegów, jak posługiwać się najnowszymi blasterami i latać najnowszymi śmigaczami...

- A czy kiedykolwiek skrzył pan komuś kark? - Wpadł mu w słowo Jacen.

- No cóż, tak - przyznał naukowiec. - Ale wtedy jeszcze nie byłem szpiegiem w ścisłym znaczeniu tego słowa...

W ciągu następnych dni Han i Leia zestawiali fakty i liczby. Rejestrowali nazwiska osób, które nagle zniknęły albo się pojawiły. Zbierali informacje na temat ruchów okrętów i personelu. Zwracali uwagę na to, co mówiono, ale i na to, co starano się zachować w tajemnicy. Wszystkie te dane kazali wpisywać Threepiowi do pamięci analizującego rozwój sytuacji komputera. Protokolarny android skrupulatnie wykonywał wszystkie ich polecenia... Chociaż niezupełnie je rozumiał.

Fakt: elementy Drugiej Floty Galaktycznego Sojuszu odciągano od wykonywania bieżących zadań. Jako przykład można by podać kalamariański ciężki lotniskowiec „Błękitny Nurek”, którego załoga powinna się kierować do Ramienia Tingel galaktyki na organizowaną co roku wyprawę. Jej celem było prześledzenie trasy, jaką Yuuzhan Vongowie wniknęli do galaktyki, aby przekonać się,

czy nie pozostały tam ślady ich podróży. Jednak kiedy załoga „Nurka” pobrała zaopatrzenie, z listy zabranych w drogę rzeczy nie wynikało, żeby okręt miał lecieć na trwającą miesiąc samotną wyprawę.

Fakt: łączność między Coruscant a Korelią nadal stwarzała mnóstwo problemów, co mogło sugerować, że przesyłane sygnały są przechwytywane i analizowane. Na coraz bardziej niezależny system nie nałożono jednak żadnych sankcji gospodarczych ani nie podjęto decyzji o jego bojkocie.

Fakt: z każdym dniem coraz trudniej było nawiązać kontakt z cywilnymi doradcami koreliańskiego rządu do spraw gospodarczych i wojskowych. Żaden wprawdzie nie zniknął, ale wszyscy przebywali „na wakacjach”, „na urlopie”, albo „otrzymali do wykonania ważne zadanie w innym rejonie galaktyki”. Tego samego nie dałoby się powiedzieć o ekspertach z innych planet, które opowiedziały się po stronie Korelii w sporze z Galaktycznym Sojuszem... Na przykład z Commenora czy Fondora.

Fakt: Pefederan Lloyn, pani prezes Rady Finansowej Sojuszu, sprzedała swoje akcje koreliańskich spółek albo zamieniła je na podobne akcje spółek kuatskich. Oficjalnym powodem było jej stanowisko w rządowych instytucjach finansowych, przez co podobno nie mogła bezpośrednio nadzorować działalności spółek, w których zarządach zasiadała. Na czas służby dla rządu przekazała więc kierowanie nimi swoim partnerom w interesach... Ale Han Solo nie wierzył, żeby przedstawiciele rządu odznaczeni tak wysokim poziomem etyki.

To były tylko wrywkowe próbki danych, jakie Han i Leia zebrali i wpisali do nowego programu analizującego w pamięci Threepia. Wszystkie te fakty dowodziły jednak, że planetarnemu systemowi, w którym dorastał Han, zagraża coś złego. Jego niepokój jeszcze wzrósł, kiedy podczas jednej z analiz w salonie apartamentu rodziny Solo C-3PO powiedział:

- Wszystko wskazuje na to, że Korelia zdrowo... Oberwie? Chyba tak brzmi to określenie.

Zirytowany Han prychnął tak głośno, że protokolarny android aż się cofnął.

- Czy twoje nowo nabyte umiejętności analizowania rozwoju sytuacji pozwalają ci stwierdzić, jaką formę przyjmie to „oberwanie”? - Zapytał.

- Nie, proszę pana - odparł C-3PO. - Musiałbym dysponować programem umożliwiającym wszechstronne planowanie operacji wojskowych, nie wspominając o kompletnych bazach danych, żebym mógł przedstawić w tej sprawie użyteczną prognozę. Naturalnie coś takiego nie pozostałoby bez wpływu na moje funkcjonowanie jako protokolarnego androida. Sama konieczność zwolnienia dużych obszarów pamięci zmusiłaby mnie do usunięcia z niej translatorów milionów języków i tłumaczy modulacji głosu. To byłaby prawdziwa katastrofa. Mógłbym nawet się stać... - Android zmniejszył natężenie głosu - ...Bardziej agresywny.

Leia z trudem zachowała kamienną twarz.

- To byłoby rzeczywiście okropne - stwierdziła. - Jaką formę przyjęłaby ta agresja? Czy zacząłbyś dusić funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i kopać dzieci?

- Och, nie, proszę pani - zachnął się android. - Mógłbym jednak pozwalać sobie na... Więcej sarkazmu, a nawet na wygłaszanie niestosownych uwag.

- Złota Sztabo, przynieś nam po kubku kawy - polecił Han.

- Tak jest, proszę pana. - C-3PO się wyprostował. - Wydaje mi się jednak, że nie jest zaparzona. Lubi pan rozpuszczalną?

- Mniej więcej tak samo jak blasterowy postrzał w rzepkę - burknął Solo. - Idź do kuchni i zaparz świeżą. - Zaczekał, aż android zniknie w kuchni, a kiedy drzwi zamknęły się za nim, odwrócił się do

żony. - A więc co zrobimy, żeby do tego nie dopuścić? - Zapytał.

Leia już chciała odpowiedzieć, ale na kilka długich sekund zamilkła. Han patrzył na nią ze zdziwieniem. Żona wyraźnie zastanawiała się nad odpowiedzią, chociaż w dyskusjach miała tak dużą wprawę, że na ogół przygotowywała przemówienie chwilę przed jego wygłoszeniem. Dla niej taka zwłoka była czymś niezwykłym.

- Może najlepiej byłoby się nie wtrącać - odezwała się w końcu i obrzuciła Hana nieufnym spojrzeniem, zupełnie jakby się spodziewała, że jej mąż przemieni się w szalejącego rankora.

- Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem powinniśmy siedzieć z założonymi rękami - podsumował Han.

- Jak myślisz, co się stanie, jeżeli Korelia nadal będzie robić to, co teraz... I ujdzie jej to na sucho? - Zagadnęła księżniczka.

- Jeżeli nie poniesie żadnych konsekwencji?

- Pewnie stanie się znów niepodległa. - Han wzruszył ramionami. - I co z tego?

- A jeżeli inne planety pójdą w jej ślady?

- Powiem to samo: i co z tego? - Odparł mąż.

- Sojusz ulegnie osłabieniu - stwierdziła Leia. - Sytuacja w galaktyce stanie się bardziej... Niestabilna. Będzie więcej okazji do popełniania przestępstw. Rozkwitną czarne rynki, zatriumfuje korupcja...

Tym razem to Han ładnych kilka chwil zastanawiał się nad odpowiedzią. Łatwo mógłby palnąć, co mu ślina na język przyniesie, ale dobry rząd i stabilna galaktyka miały duże znaczenie dla jego żony, więc musiał uważać na to, co mówi.

- Leio, w tej galaktyce musi się znaleźć miejsce dla niezależności i dla pewnej dozy chaosu - odezwał się w końcu. - W galaktyce tak uporządkowanej, higienicznej i stabilnej, o jakiej myślisz, chyba nie czułbym się swobodnie. A chciałbym, żeby było w niej miejsce dla takich gości jak ja.

Leia odwróciła głowę i spojrzała w iluminator, ale mimo to Han zdążył dostrzec na jej twarzy cień żalu, a może nawet przygnębienia. Kolejny raz jego żona rozpacziała po utracie systemu i rządu, który zawsze istniał tylko w jej wyobraźni... Tak niezwykle sprawiedliwego i mądrego, że nawet gdyby powstał, nie miałby szans na przetrwanie.

- A więc powinienes ostrzec Korelię - odezwała się wreszcie. - Nie możesz informować Galaktycznego Sojuszu, że chcesz to zrobić, bo mógłbyś trafić do więzienia.

- Łatwo byś mnie z niego wyciągnęła - zapewnił Han. - Chyba żebyśmy wcześniej sam uciekli.

Księżniczka uśmiechnęła się z przymusem. Cały czas patrzyła na iluminator i na wiodące na balkon rozsuwane drzwi ich apartamentu.

- Potrzebuję twojej pomocy, Leio - powiedział Han. - Nie dam rady zrobić tego sam.

Musiał się przemóc, żeby wypowiedzieć te słowa. Przyznanie się, że nie da rady sam wykonać prostego zadania - na przykład ocalenia planety przed inwazją - musiało być dla niego bardzo bolesne. Najgorsze jednak, że musiał prosić o pomoc kobietę, która całe życie poświęciła utrzymaniu ładu i porządku, aby zrezygnowała dla niego ze swoich przekonań.

- Wiem. - Leia spojrzała wreszcie na niego. - Zrobię to, Hanie, ale tylko, jeżeli zrobisz to, co powiem. Korelia nie może grać na dwa fronty. Jeżeli jakiś system chce być niezależny, musi być naprawdę niezależny. Nie może nadal korzystać z przywilejów, jakie mu daje członkostwo w Galaktycznym Sojuszu, a zarazem lekceważyć jego prawa. Jeżeli zamierzasz poinformować Korelian, że Galaktyczny Sojusz chce ich zmusić do posłuszeństwa, musisz ich skłonić, aby traktowali go

poważnie. Będą musieli wysmarować tłuszczem całego bantha.

Han zamrugał ze zdziwienia.

- Wysmarować tłuszczem... Co takiego? - Zapytał.

- Wysmarować tłuszczem całego bantha - powtórzyła księżniczka. - To takie powiedzenie...

Chyba z Agamara.

- Akurat.

- Naprawdę - odparła żona. - A ty starasz się tylko uniknąć odpowiedzi.

- Nie, to nieprawda. Masz rację, Leio - odparł Han. - Korelia będzie musiała zacząć traktować

Galaktyczny Sojusz poważnie.

- Jeżeli naprawdę tak uważasz, możesz liczyć na moją pomoc.

- I na więcej tłuszczu do smarowania banthów - dodał Solo.

- Nie żartuj sobie, Hanie - stwierdziła Leia. - Nie zapominaj o konsekwencjach.

- Moglibyśmy wysmarować tłuszczem protokolarnego androida - zaproponował mąż.

- Hanie, ostatni raz cię ostrzegam...

ROZDZIAŁ 6

Koronet, Korelia

Wedge Antilles, ubrany tylko w krótkie spodnie i niebieski podkoszulek z emblematem Sojuszu Rebeliantów - niegdyś czarnym, ale obecnie spłowiałym i szarym - podszedł do drzwi wejściowych i włączył kontrolny panel, zainstalowany obok nich na ścianie. Na ekranie zobaczył mężczyznę i kobietę, stojących na korytarzu. Oboje byli młodzi, mieli najwyżej po dwadzieścia kilka lat. Nosili szare kombinezony oraz płaszcze, w których nie wyróżnialiby się w tłumie przechodniów na ulicach Korelii. Mimo to ich włosy - krótko przystryżone na modłę wojskową - a także trudny do określenia język ciała i wyraz twarzy, sugerowały, że są przybyszami z innej planety.

Nie powinni byli bez wiedzy Wedge'a dostać się aż pod drzwi jego apartamentu. Budynek oddano na potrzeby emerytowanych wojskowych, którzy zakończyli służbę dla Nowej Republiki, dla KorSeku - Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa - albo dla koreliańskich sił zbrojnych. Wszystkie wejścia do kompleksu mieszkalnego, w którym mieściło się mieszkanie Antillesów, chronił system bezpieczeństwa, więc jeżeli ci dwoje dotarli przed drzwi bez zapowiedzi, musiał ich wpuścić inny mieszkaniec kompleksu.

Wedge wzruszył ramionami. System bezpieczeństwa zaprojektowano w taki sposób, żeby uniemożliwiał wstęp zwykłym osobom, ale nie agentom, którzy mogli mieć do przekazania ważne informacje.

Obejrzał się przez ramię. W drzwiach sypialni stała jego żona, Iella. Miała na sobie prosty biały szlafrok. Jej włosy, które zazwyczaj spływały na ramiona jak wodospad, były rozwichrzone, a jeden kosmyk sterczał niemal pionowo. Iella przysłoniła lewą dłonią usta, żeby zamaskować ziewnięcie, a w prawej trzymała na wysokości biodra spory pistolet blasterowy. W końcu zamknęła usta, uniosła brew i obrzuciła męża pytającym spojrzeniem.

Wedge wzruszył ramionami i włączył system akustyczny.

- O co chodzi? - Zapytał.

Silnie umięśniona blondynka, która niemal dorównywała mu wzrostem - nie było w tym nic niezwykłego, bo Antilles był trochę niższy niż przeciętny mężczyzna - zapytała:

- Czy pan generał Wedge Antilles?

- Wyprowadził się stąd - burknął Wedge. - Prawdopodobnie mieszka teraz w bloku Zet. Pozostawił dywany w opłakanym stanie.

Naturalnie poddawał ich próbie. Gdyby nieznajomi próbowali się wycofać, mogłoby to oznaczać, że są zwykłymi wielbicielami albo dziećmi kolegów... A zatem mogli się z nim skontaktować normalnymi kanałami i w ciągu dnia, nie w nocy. Gdyby zaś tego nie zrobili...

Nie zrobili. Barczysty ciemnowłosy mężczyzna, który wyglądał jak reprezentacyjny zapaśnik jednostki wojskowej, po jego słowach tylko się uśmiechnął.

- Przykro nam, że przychodzimy tak późno, panie generale, ale naprawdę musimy z panem porozmawiać - ciągnęła kobieta.

Wedge włączył oświetlenie salonu i znów obejrzał się przez ramię. Drzwi do sypialni były otwarte, ale nie zobaczył w nich Ielli. Wiedział, że żona kryje się w ciemności, ubrana w coś mniej rzucającego się w oczy niż biały szlafrok. Na pewno nie wypuściła blastera z rąk... Na wszelki wypadek.

Wedge pstryknął innym przełącznikiem na kontrolnym panelu. Zamknął nim drzwi do bocznego korytarza, a więc nawet gdyby najmłodsza córka Wedge'a i Ielli, Myri, się obudziła, nie mogłaby się dostać do salonu. Była inteligentną i upartą dziewczynką, która odziedziczyła po matce docieklive usposobienie. Gdyby się obudziła i stwierdziła, że w salonie toczy się rozmowa, na pewno spróbowałaby ją podsłuchać.

W końcu Wedge przycisnął guzik i otworzył drzwi. Skrzydła rozsunęły się na boki i ukazały gości.

Wyprostowali się, jakby stawali na baczność przed emerytowanym generałem, ale na ich twarzach malowało się zwątpienie. I nic dziwnego: mieli przed sobą siwiejącego mężczyznę o guzowatych kolanach i w podkoszulku, który był starszy niż którekolwiek z nich i mógł mieć tylko sentymentalną wartość. Wygląd Antillesa niewątpliwie kłócił się z wyobrażeniem, jakie wyrobili sobie o nim na podstawie jego sławy.

Wedge z trudem pohamował irytację.

- Proszę dalej - powiedział.

- Dziękujemy panu - odezwała się kobieta.

Wedge zamknął drzwi, zaledwie przestąpili próg. Zasuważące się skrzydła zatrzasnęły się tak szybko, że o mało nie przycisnęły fałdy płaszcza na plecach mężczyzny.

- Przepraszamy, że wyciągnęliśmy pana z łóżka - podjęła nieznajoma. - Nazywam się Barthis i służę w Sekcji Wywiadu w stopniu kapitana. A to mój współpracownik, porucznik Titch.

- Karty identyfikacyjne - zażądał zwięźle Antilles.

Oboje sięgnęli do wewnętrznych kieszeni płaszczy. Wedge odruchowo napiął mięśnie, ale agenci wyjęli tylko dokumenty. Antilles wyciągnął rękę - nie zamierzał im zabierać kart, których zgodnie z regulaminem i tak by mu nie wręczyli - ale chciał, żeby na jego wyciągniętą dłoń padło zielone światło ze skanera w kontrolnym panelu.

Pani kapitan Barthis przesunęła kartą identyfikacyjną nad jego dłonią, a porucznik Titch poszedł w jej ślady. Komputerowy system Antillesa, przetwarzając zapisane w kartach dane, zaczął je porównywać z informacjami zarejestrowanymi w koreliańskim systemie bezpieczeństwa i w kilku bazach danych, do których Wedge oficjalnie nie miał dostępu.

Zaprosił gestem gości do salonu, gdzie stały wyściełane kremową tapicerką meble.

- Usiądźcie - zaprosił.

Pani kapitan Barthis pokręciła lekko głową.

- Prawdę mówiąc, panie generale, siedzieliśmy wiele godzin na pokładzie wahadłowca - oznajmiła.

- Naturalnie. - Wedge uzbroidł się w cierpliwość.

- Galaktyczny Sojusz potrzebuje pańskiej pomocy, panie generale - powiedziała kobieta.

Wedge cicho parsknął.

- Pani kapitan, w Galaktycznym Sojuszu nie brakuje oficerów, którzy po wojnie z Yuuzhan

Vongami musieli przejść w stan spoczynku z tego prostego powodu, że w czasach pokoju siły zbrojne nie potrzebują tylu wojskowych - zaczął. - Niektórzy z nich są całkiem zdolni i w przeciwieństwie do mnie nie mogą się doczekać, kiedy powrócą do czynnej służby. Co do mnie, wolę chodzić w wygodnych ubraniach i poświęcać żonie cały czas, którego nie mogłem z nią spędzać z powodu służby w wojsku. Chcę także dokończyć pisać pamiętniki. Zwracacie się do niewłaściwego człowieka.

- Nie, panie generale. - Pani kapitan Barthis pokręciła energicznie głową. - Galaktyczny Sojusz potrzebuje właśnie pana i takiej pomocy, którą tylko pan może mu zapewnić.

W końcu przemówił towarzyszący jej mężczyzna. Miał łagodniejszy głos, niż Wedge mógłby się spodziewać.

- To ma coś wspólnego z wydarzeniami sprzed niemal trzydziestu lat, kiedy Eskadra Łotrów przygotowywała się do odbicia Coruscant z rąk wojskowych Imperium - powiedział.

- Rozumiem - odparł Antilles. - I w tej sprawie musieliście się ze mną spotkać osobiście, zamiast odbyć rozmowę przez komunikator?

- Tak jest, panie generale - przyznała Barthis.

- I przyszliście tu do mnie w środku nocy dlatego, że potrzebujecie mojej pomocy właśnie w tej chwili?

Tym razem pani kapitan tylko kiwnęła głową, a na jej twarzy odmalowało się ubolewanie.

Wedge pstryknął dźwigienką przełącznika kontrolnego panelu i skrzydła drzwi wejściowych znów się rozsunęły.

- Zaczekajcie na mnie na dole na korytarzu - powiedział. - Zjadę tak szybko, jak będę mógł.

Funkcjonariusze wywiadu spojrzeli po sobie.

- Wolelibyśmy zostać tu, panie generale - odezwała się Barthis.

Wedge uśmiechnął się zimno.

- Żeby rejestrować holokamerą sceny pożegnania z członkami mojej rodziny? - Zapytał. - A może wolicie uściskać zamiast mnie naszą córkę?

Barthis chrząknęła, zastanowiła się i postanowiła usłuchać. Wyszła na korytarz, a Titch poszedł w jej ślady. Wedge zamknął za nimi drzwi mieszkania.

Na progu sypialni znów stanęła Iella. Narzuciła na szlafrok zielono-czarny płaszcz przeciwdeszczowy i wyglądała na zirytowaną.

- Czego chcieli od ciebie? Nie mogli o to poprosić kilkadziesiąt lat temu? - Zapytała.

Wedge wzruszył ramionami.

- „Emerytowany” to takie nieprecyzyjne określenie - westchnął. - Czy rzeczywiście są tymi, za kogo się podają?

Iella kiwnęła głową.

- Rzeczywiście są - zapewniła. - Prawdę mówiąc, pracowałam kiedyś rok z ojcem Barthis. Pochodzi z koreliańskiej rodziny. - Podeszła do męża i zarzuciła mu ramiona na szyję. - Czasami żałuję, że podczas służby byłeś kimś tak wpływowym. Najwyższy czas, żeby wojskowi przestali się do ciebie zwracać za każdym razem, kiedy zapomną, jak koordynować pojedynki myśliwców z udziałem X-wingów.

Wedge objął żonę w pasie i przyciągnął do siebie.

- A po kogo przybyli ostatnim razem, i to godzinę przed świtem, badając korytarz, czy nie zainstalowano w nim urządzeń podsłuchowych, jeszcze zanim wcisnęli guzik kuranta u drzwi? -

Zapytał.

- No cóż, po mnie. - Iella służyła jako funkcjonariuszka służby bezpieczeństwa, najpierw KorSeku, a później Wywiadu Nowej Republiki. Przeszła w stan spoczynku, ale mimo to zwracano jej głowę sprawami zawodowymi niemal równie często jak mężowi.

Wedge ją pocałował.

- Obudź Myri, żebym mógł się z nią pożegnać - powiedział.

- Ja w tym czasie się ubiorę i zapakuję torbę podrózną.

Iella otworzyła drzwi do bocznego korytarza i ruszyła do sypialni córki.

- Nie podoba mi się ten Titch - stwierdziła, nie oglądając się na męża.

- Taa. - Wedge wiedział, co naprawdę żona chce przez to powiedzieć. Nie chodziło jej o to, że nie podoba się jej ktoś, kogo nie znała. Titch był jednak funkcjonariuszem wywiadu, a jego rolą było dopilnować, żeby eskortowana osoba nie sprawiała kłopotów. To z kolei rodziło pytanie: czy Titch jest naprawdę stałym partnerem pani kapitan Barthis, czy tylko został do niej przydzielony, bo ktoś się spodziewał, że Antilles będzie sprawiał kłopoty?

Coruscant

Han i Leia usiedli blisko siebie, żeby obiektyw holokamery stojącego przed nimi terminalu mógł jednocześnie przesłać ich wizerunki.

- Luke Skywalker - odezwał się Solo.

Światelka na obudowie kamery zamigotały i kilka sekund później w polu widzenia pojawił się wizerunek twarzy mistrza Jedi. Luke stał na tle anonimowej białej ściany. Miał na sobie chroniący przed zimnem czarny płaszcz, ozdobiony zygzakowatymi szarymi liniami. Na widok rozmówców okazał zaskoczenie.

- Witajcie - powiedział.

- Zastanawialiśmy się, czy w najbliższej przyszłości nie zamierzasz dokądś lecieć X-wingiem - zaczęła księżniczka.

Mówiła umyślnie beztroskim tonem.

Jakąś sekundę Luke wyglądał na zdziwionego, ale zaraz na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia.

- A dlaczego cię to interesuje? - Zapytał.

- No cóż, zamierzaliśmy polecieć na wakacje - zaczął Han. - „Sokołem Millenium”. Chcieliśmy pokręcić się tu i tam, spotkać z dobrymi przyjaciółmi. Ja, Leia, Złota Sztaba, Noghri... Czy zaczynasz rozumieć, do czego zmierzam?

Luke uśmiechnął się szerzej.

- Chyba tak - powiedział.

- Leia i ja możemy sobie rozmawiać, Noghri zajmą się sami sobą, ale jeżeli Threepio nie będzie miał towarzystwa R2-D2, nie da nam żyć. - Wycelował sobie w skroń palec wskazujący niczym lufę blastera. - Ratuj mnie, Luke'u Skywalker! Jesteś moją jedyną nadzieją!

Nie zmieniając pogodnego wyrazu twarzy, mistrz Jedi pokręcił głową.

- Żałuję, ale nie mogę - powiedział. - Mara i ja zamierzamy polecieć na krótką wycieczkę szkoleniową z grupą rycerzy Jedi, którzy chcą się nauczyć stosowania wcześniej swoich umiejętności władania Mocą do zadań związanych z pilotowaniem X-winga. Innymi słowy, zamierzam wziąć ze

sobą Artoo.

- Szkoda. - Han obrzucił szwagra zrozpaczonym spojrzeniem. - No cóż, mówi się trudno. Właśnie skazałeś mnie na wysłuchiwanie dzień po dniu wiernopoddańczych hołdów Threepia.

- Ciekawy dobór słów - zauważył Luke. - A przy okazji, dokąd się wybieracie na te wakacje? Leia wzruszyła ramionami.

- Jeszcze się nie zdecydowaliśmy - powiedziała. - Może wpadniemy do Landa i Tendry, żeby zwiedzić ich nowy kompleks produkcyjny. Tylko nie mów im o tym, bo zamierzamy im sprawić niespodziankę. Zastanawialiśmy się też, czy nie odbyć wyprawy do systemu Alderaana, a później wylądować na kilku planetach wzdłuż Perlemańskiego Szlaku Handlowego.

- To dobre miejsce na zakupy - podsunął Han tonem sugerującym, że gdyby miał możliwość wyboru, uznałby taki los za niewiele lepszy od śmierci.

- To świetnie - stwierdził mistrz Jedi. - Miłej zabawy i przepraszam, że nie mogę wam pomóc w sprawie Artoo.

- Czasami nie można nic poradzić - odparł Han.

Luke wyciągnął rękę i przerwał połączenie. Han dopiero po chwili przestał się uśmiechać. Zgarbił się na krześle jak po ciosie pięścią w brzuch.

- Macza w tym palce - oznajmił.

- Nie możemy być tego pewni... - Zaczęła księżniczka.

- Nie próbuj mnie oszukiwać, Leio - przerwał mąż. - Luke nosił ciepły płaszcz w zamkniętym pomieszczeniu, a to oznacza, że albo wyszedł z łazienki... Chociaż miał suche włosy... Albo narzucił płaszcz, żeby zasłonić coś, co miał na sobie, na przykład mundur pilota. Czy zwróciłaś uwagę na tę ścianę za jego plecami? Była biała i lekko zakrzywiona. To gródz jakiegoś okrętu. Luke już leci na miejsce akcji.

Pokonana jego argumentami Leia pokiwała głową.

- To możliwe - przyznała niechętnie.

- Jest po ich stronie - stwierdził Han.

- Jako mistrz zakonu Jedi składał przysięgę, że dochowa lojalności Galaktycznemu Sojuszowi. - Leia mówiła z prawdziwą powagą. - Pamiętaj, że to nie jest prosta sytuacja, w której wszyscy po jednej stronie są mądrzy i dobrzy, a wszyscy po drugiej źli i głupi. To coś bardziej skomplikowanego, przynajmniej dla mnie.

Han przyciągnął żonę do siebie.

- Taa - przyznał. - Przepraszam, ale czuję się, jakby... Jakby ktoś mnie uderzył, kiedy się tego najmniej spodziewałem. - Ukrył twarz w jej włosach i nabrał powietrza w płuca. - A więc dobrze - powiedział. - Trzeba także ruszać w drogę.

Zaskoczony Wedge, który zajmował miejsce najbliżej kabiny pilota, wyprostował się na fotelu. Za iluminatorem lądującego wahadłowca zobaczył znajomy statek typu YT-1300, który śmignął w niebo.

- To był „Sokół Millenium”! - Wykrzyknął.

- Jeżeli pan tak twierdzi, generale... - Siedząca po drugiej stronie przejścia kapitan Barthis nie kryła wątpliwości. - W przestworzach wciąż jeszcze latają tysiące tych starych koreliańskich transportowców.

- Ale to był na pewno „Sokół” - powtórzył Antilles. - Znam na pamięć wszystkie szczegóły jego kadłuba, nie wyłączając charakterystycznych płatów rdzy. Kilkadziesiąt lat temu musiałem je

dokładnie odtworzyć na kadłubie statku, który miał służyć za przynętę. Bez względu na to, co Han zrobi: polakieruje czy poanodyzuje kadłub, po kilku miesiącach albo kilku latach plamy rdzy pojawią się znów w tych samych miejscach.

Barthis pokiwała głową, chociaż Antilles był przekonany, że robi to tylko dla świętego spokoju. Zaraz znów przeniosła spojrzenie na ekran komputerowego notesu, który trzymała na kolanach.

Pół godziny później Wedge, Barthis, Titch i towarzyszący im android tragarz weszli do rządowego kompleksu. Pani kapitan poinformowała Antillesa, że w ciągu co najmniej kilku następnych dni właśnie tu będzie się mieściła jego kwatera. Szary gmach w kształcie piramidy został wzniesiony na skraju dawnej imperialnej dzielnicy rządowej. Po wyjściu z kabiny turbowindy wszyscy czworo skręcili w mroczny korytarz, który prowadził do dużego wydzielonego pomieszczenia, zastawionego rzędami monitorujących stanowisk. Większość była nieczynna, bo ekrany monitorów się nie świeciły, ale na dwóch widniały jakieś obrazy. Przedstawiały ukazywane przez obiektywy holokamer długie pokoje, każdy z czterema łózkami w jednym końcu i czterema biurkami w drugim.

Barthis poprowadziła wszystkich do jakichś drzwi. Kiedy stanęli przed nimi, płyta uniosła się z łoskotem, a potem z jeszcze głośniejszym hukiem opadła za ich plecami, co sugerowało, że jest opancerzona. Światła w pomieszczeniu się zapaliły i Wedge znalazł się w pokoju bardzo podobnym do tych, które widział na ekranach monitorów. Najbliżej drzwi stały cztery zastawione komputerami biurka, zwrócone przodem jedno do drugiego. W odległym końcu pokoju zobaczył cztery prycze i przesadnie duże szafki na sprzęt. Z boku znajdowały się drugie, mniejsze drzwi, które prowadziły prawdopodobnie do łazienki.

Android tragarz podszedł do najbliższej pryczy i rzucił na nią bagaże Antillesa. Barthis i Titch zostali przy drzwiach. Pani kapitan wywiadu wskazała na stojące w pokoju meble.

- Trochę skromne - przyznała. - Przykro mi z tego powodu, panie generale.
- Są luksusowe w porównaniu z kilkoma innymi miejscami, w których musiałem mieszkać. - Wedge przyjrzał się komputerom na biurkach. Zwrócił uwagę na ich kształt i markę producenta. - Te terminale muszą mieć ze trzydzieści lat - zauważył.

Barthis pokiwała głową.

- Prawie - przyznała. - Wywiad urządził ten ośrodek krótko po tym, jak Nowa Republika odbiła Coruscant i zmusiła Ysannę Isard do udania się na wygnanie. Sprzęt jest z tamtej epoki... Ale od tamtych czasów naprawiano go i modernizowano.

- Jakiemu celowi ma służyć ten ośrodek? - Zainteresował się Antilles.
- Kiedyś nazywaliśmy go Szybkowarem - odezwał się Titch.
- Chodziło o to, żeby w czasie kryzysu zebrać grupę cywilnych szyfrantów, techników i specjalistów, którzy mieliby ze sobą stały i łatwy kontakt. Ci ludzie musieli pracować po szesnaście, a czasami nawet po dwadzieścia godzin na dobę, więc było lepiej, żeby mieszkali razem, wymieniali poglądy, podtrzymywali się nawzajem na duchu i tak dalej, niż gdyby mieli oddzielne gabinety, w dodatku oddalone od siebie.

- Rozumiem. - Wedge chwycił oparcie najbliższego fotela na kółkach, obrócił go i usiadł. - Nie powiedzieliście mi jeszcze, do czego jestem wam potrzebny. Nie chcieliście mi tego zdradzić na Korelii ani na pokładzie wahadłowca, więc może wreszcie tu, w samym sercu tajnego ośrodka, dowiem się, o co chodzi? - Zapytał. - Co mam robić?

Barthis i Titch wymienili spojrzenia. Ich twarze pozostały obojętne, ale zdaniem Wedge'a oboje

chcieli sobie powiedzieć, że zaraz się zacznie. Barthis zerknęła na Antillesa.

- Tylko, uhm... Czekać, panie generale - oznajmiła.

Korelianin zamrugał.

- Na rozkazy? - Zapytał.

- Nie. - Pani kapitan zrobiła ubolewającą minę, a potem poleciała gestem androidowi tragarzowi, żeby wyszedł. Automat usłuchał bez słowa. Wedge zauważył, że chociaż Titch wygląda na odprężonego, cały czas jest gotów do akcji. Ustawił się przy drzwiach w takim miejscu, żeby móc łatwo wyciągnąć blaster z kabury na biodrze i użyć go bez stwarzania zagrożenia dla zwierzchniczki.

- Nie o to chodzi - ciągnęła Barthis. - Nie mamy dla pana żadnych rozkazów, za to polecono nam, żebyśmy podczas pańskiego pobytu w tym ośrodku zapewnili panu jak najwięcej wygód.

Wedge stwierdził, że zaczyna się niepokoić, ale niczego po sobie nie okazał.

- Czas mojego pobytu w tym ośrodku? - Zapytał.

Barthis wzruszyła ramionami.

- Nieznany - odparła.

- A jego cel? - Dociekał Antilles.

- Nie mogę powiedzieć.

Wedge zamknął oczy i powoli wypuścił powietrze z płuc. Po chwili znów spojrzął na agentów wywiadu.

- Wiecie przecież, że odmówiłem - powiedział.

Wyglądali na zdezorientowanych.

- Kiedy oficerowie koreliańskich sił zbrojnych zgłosili się do mnie i oznajmili: „Między nami a Galaktycznym Sojuszem zanoszą się na kłopoty”, odparłem: „Przykro mi, koledzy, ale jestem emerytem. Równie dobrze może wam doradzać ktoś inny, o wiele lepiej obeznany z bieżącą sytuacją. Musicie zwrócić się z tym do któregoś z koreliańskich oficerów”. Zostawili mnie w spokoju, więc dlaczego wy zawracacie mi głowę?

Barthis otworzyła usta, ale widocznie uświadomiła sobie, że nie może odpowiedzieć bez złamania rozkazu, więc szybko je zamknęła.

- Coś pani powiem... - Zaczął Wedge. Tym razem nie umiał za panować nad sobą i w jego chrapliwym głosie dał się słyszeć ból.

- Widzi pani, gdyby się coś wydarzyło, spędzałbym w tej chwili czas z rodziną. Ktoś z Galaktycznego Sojuszu doszedł jednak do wniosku, że powinien usunąć mnie z drogi z powodu tego, co się ma wydarzyć. Najgorsze jednak, że rozdzielił mnie z rodziną.

- Popatrzył gniewnie na oboje funkcjonariuszy.

Pani kapitan się cofnęła i pokręciła głową.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. Nie przyznała, że Wedge ma rację, ale w jej głosie dało się słyszeć współczucie, które chyba naprawdę odczuwała. Odwróciła się, wyszła na korytarz, a potem udała się do sąsiedniego pomieszczenia.

W przeciwieństwie do niej Titch miał obojętną minę.

- Jeżeli kiedykolwiek spróbuje pan przejść przez te drzwi, kiedy będą otwarte, od razu się zatrzasną - zapowiedział. - Gdyby chciał pan na przykład uciec, kiedy przyniosą panu posiłek, pańskie starania zakończą się niepowodzeniem. A jeżeli podejmie pan inną próbę ucieczki, będę musiał pana zabić. - Poklepał wymownym ruchem kaburę z blasterowym pistoletem. - Ten model można nastawiać na ogłuszanie albo na zabijanie - dodał po chwili. - Zawsze nastawiam przełącznik

na zabijanie.

Popatrzył na Antillesa, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na nim jego słowa.

Zerknął jeszcze na drzwi, przez które wyszła jego zwierzchniczka. Prawdopodobnie chciał się upewnić, że go nie usłyszy. Odwrócił się znów do Antillesa.

- Chciałbym dodać coś jeszcze - powiedział. - Robi mi się niedobrze, kiedy członkowie Sojuszu Rebeliantów chełpią się, jak to zdeptali Imperium, i kiedy biadolą, że galaktyka powinna zapewnić im utrzymanie i traktować ich ze specjalnymi względami. Gdybyście nie „pokonali” Imperium, jego armia wkopałaby Yuuzhan Vongom zęby do gardła, a ja nie straciłbym niemal wszystkich przyjaciół z czasów dzieciństwa. No cóż, ważne osoby chyba uważają, że zasługujecie na szacunek, więc niech tak zostanie. Może pan jeść, co panu przyniesiemy, ćwiczyc do woli i trzymać gębę na kłódkę, a kiedy pokrzykiwanie dobiegnie końca, będzie pan mógł wrócić do domu i dokończyć pisanie pamiętników, w których na pewno się pan chełpi, jak wygrał osobiście pół tuzina wojen. Właśnie tak wygląda pana sytuacja. Czy to jasne?

Wedge przyglądał mu się w milczeniu.

- Gdybyś był trochę rozsądniejszy, może zostawiłbym ci cień nadziei na kontynuację kariery, już kiedy stąd wyjdę - odezwał się w końcu. - Ale tego nie zrobię. Do końca życia będziesz czyścił toalety.

Titch prychnął i udał, że słowa więźnia nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Wycofał się tyłem na korytarz, a płyta drzwi zatrzęsnęła się za nim z hukiem.

ROZDZIAŁ 7

Otwarte Przestworza, okolice Systemu Koreliańskiego

Z nadprzestrzeni wyskoczył okręt, który powrócił do istnienia w fizycznym wszechświecie kilka lat świetlnych od gwiazdy Korei.

Wyglądał trochę jak dawny gwiazdny niszczyciel klasy Imperial. Miał mniej więcej taką samą długość, ale znacznie mniej przypominał grot strzały, z którym kojarzył się wygląd imperialnego niszczyciela. W porównaniu z nim był szerszy i o połowę cięższy.

Nazywał się „Dodonna” i był drugim gwiazdnym okrętem liniowym Galaktycznego Sojuszu, nazwanym tak na cześć służącego w czasach Sojuszu Rebeliantów generała, który zaplanował i przeprowadził operację zniszczenia pierwszej Gwiazdy Śmierci. Okręt był zarazem pierwszą ukończoną jednostką nowego typu - szturmowym lotniskowcem klasy Galactic. Wymyślono ją w celu uniknięcia nieprzyjemnego skojarzenia ze starym gwiazdnym niszczycielem, którego nowy okręt był właściwie tylko przerobioną i unowocześnioną wersją.

Na mostku, na szerokim pomoście nad stanowiskami dla techników, stał admirał Matric Klauskin. Dowódca „Dodonna” i całej operacji spoglądał przez iluminatory w pustkę przestworzy. W pewnej chwili zauważył kątem oka, że po stronie sterburty wyskoczył z nadprzestrzeni jeden z kalamariańskich gwiazdnych krążowników. W jego kadłubie technika organiczna łączyła się z nieorganiczną.

W ciągu następnych kilku godzin obok „Dodonna” miało się pojawić wiele innych jednostek Drugiej Floty Galaktycznego Sojuszu. Kiedy wszystkie utworzą właściwy szereg, Klauskin miał dać rozkaz rozpoczęcia operacji.

Admirał wiedział, że na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie dowódcy spokojnego i opanowanego, wręcz przekonanego o własnej nieomyślności. Gdyby podczas studiów w akademii przewidziano zajęcia z okazywania pewności siebie, za każdym razem osiągałby najwyższą liczbę punktów. Klauskin czuł jednak, że jego żołądek wyprawia dzikie harce.

Jeżeli wyda kilka odpowiednich rozkazów i wykona parę właściwych manewrów, może nie dopuści do wybuchu straszliwej wojny. Galaktyka zaś może nie doświadczy na nowo okropieństw, jakie przeżywała zaledwie kilka lat wcześniej, jeszcze za pamięci większości żyjącej w niej osób. Klauskin mógł zapobiec agonii obleganych planet, rozdzieranych rodzin i niszczonej domów.

Mógł temu zapobiec. Jego starania musiały zakończyć się sukcesem.

Musiały.

Koronet, Korelia

Ubrana w fałdziste szaty kobieta była drobnej budowy ciała. Obwiesiła się sznurami

nieprzyzwoicie kosztownych klejnotów, jakie zazwyczaj nosiły tylko szlachetnie urodzone Hapanki. Dolną połowę jej twarzy przesłaniała półprzezroczysta woalka. Idący za nią ochroniarz stanowił jej przeciwieństwo pod każdym względem. Był wysoki i wyglądał jak prymitywny brutal. Miał na sobie zakurzone szaty, a w rękach toporny karabin blasterowy, jakich używali Jeźdźcy Tusken, Pustynni Ludzie z zapadłej Tatoonie. Skrywał twarz za niewrażliwą na uderzenia ziarenek piasku maską w rodzaju takiej, jaką Tuskenowie noszą na ojczystej planecie.

Pani premier Pięciu Światów, Aidel Saxan, przyglądała się, jak goście wkraczają do przedsionka hotelowego apartamentu. Była urodziwą czarnowłosą kobietą w średnim wieku, obdarzoną dosyć dużą polityczną władzą, ale na widok osób, które miała przyjąć, wcale się nie czuła jak przywódczyni ponadplanetarnego rządu.

O ile mogła się zorientować, była rówieśniczką gości, i właśnie dlatego zgodziła się ich przyjąć w stosunkowo słabo strzeżonym hotelu, z daleka od wścibskich oczu postronnych osób.

Kiedy po kilku latach od zakończenia wojny z Yuuzhan Vongami Galaktyczny Sojusz postanowił wynagrodzić System Koreliański odwołaniem mianowanego przez siebie generalnego gubernatora, zgodził się na obsadzenie nowych stanowisk politykami, urodzonymi w tym systemie. Mieszkańcy każdej z pięciu planet wybrali własnego przywódcę; postanowili także powołać do życia urząd premiera Pięciu Światów. Piastująca go osoba miałaby odpowiadać za koordynowanie budżetów, pozyskiwanie zasobów naturalnych oraz politykę zewnętrzną wszystkich planet, a także reprezentować cały system podczas negocjacji z innymi multiplanetarnymi organizacjami. Aidel Saxan była pierwszą i na razie jedyną osobą, która piastowała to stanowisko.

Zaczekała, aż za plecami gości zamkną się zewnętrzne i wewnętrzne drzwi komnaty, po czym wstała z ozdobnego fotela, który pełnił funkcję prowizorycznego tronu. Powitała gości kiwnięciem głowy.

- Witajcie w Koronecie - powiedziała.

- Dziękujemy pani - odparła kobieta. - Zanim przejdziemy do rzeczy, chciałabym zapytać, czy z tej komnaty usunięto wszystkie urządzenia podsłuchowe?

Saxan obejrzała się przez ramię na funkcjonariusza KorSeku, który wyszedł zza parawanu w kącie komnaty.

- Co do jednego - zameldował. - Tych kilka, które znaleźliśmy, były bardzo stare... W rodzaju takich, jakie hotelowa służba bezpieczeństwa mogła instalować do szantażowania gości albo trzymania ich w ryzach. Wszystkie usunąłem.

- Dziękuję panu - powiedziała nieznajoma kobieta. Uniosła rękę i odczepiła jeden koniec woalki, która zsunęła się i ukazała twarz... Twarz Leii Organy Solo.

Należy przyznać, że funkcjonariusz KorSeku w żaden sposób nie zdradził zaskoczenia. Bez słowa wrócił do pogrążonego w półmroku kąta komnaty.

Rzekomy jeździec Tusken, bardziej niecierpliwy czy mniej taktowny niż jego towarzyszka, bezceremonialnie ściągnął przeciwpiaaskową maskę. Spod kaptura płaszcza ukazała się kanciasta i zarumieniona twarz Hana Solo.

- Bardzo dziękuję, Wasza, uhm... - Zaczął mąż Leii.

- Ekscelencjo - podsunęła księżniczka.

- Właśnie, Ekscelencjo - dokończył Han.

- Zapewniam, że jednego z najsłynniejszych bohaterów Korelii jestem gotowa przyjmować na audiencji w każdym miejscu i o każdej porze - zaczęła Saxan. - Przyznaję jednak, że wasza prośba o

zachowanie tego spotkania w ścisłej tajemnicy wydaje mi się bardzo niezwykła. Proszę, chodźcie ze mną. - Pani premier poprowadziła gości do sąsiedniej komnaty, sądząc z wyglądu, pozbawionej okien jadalni. Stojący w niej ciężki stół, o blacie z inkrustowanej złotym drutem płyty z czarnego kamienia, przetoczono pod lśniącą niebieską ścianę. Na środku zostawiły tylko ustawione w dwa półokręgi wyściełane fotele. Saxan usiadła na fotelu pośrodku jednego półokręgu, a ochroniarz KorSeku stanął kilka kroków za nią. Han Solo zajął miejsce naprzeciwko pani premier, Leia zaś usiadła po jego prawej ręce.

Ciekawe, pomyślała Saxan. A więc to on ma do mnie jakąś sprawę.

- Przejdę od razu do rzeczy - zaczął Han, którego twarz odzyskiwała powoli normalny kolor. Pod maską Tuskena było mu okropnie gorąco. - Mam powody przypuszczać, że w ciągu tygodnia, a może nawet już jutro, Galaktyczny Sojusz podejmie przeciwko Korelii akcję o charakterze wojskowym.

- Dlaczego miałby to robić? - Zapytała Saxan opanowanym, beznamiętnym tonem. - Między nami a Coruscant toczą się nadal przyjazne negocjacje. Naturalnie znajdują się na wstępnym etapie.

Han wzruszył ramionami.

- Nie znam powodu - powiedział. - Przeczuwam tylko, że zamierzają podjąć taką akcję. Wskazują na to wszystkie ich polityczne, finansowe i wojskowe posunięcia. Z moich informacji wynika, że możecie się spodziewać takiej akcji już niedługo.

Saxan zaczęła się zastanawiać. Czyżby Galaktyczny Sojusz w końcu się dowiedział o istnieniu stoczni Kiris? To było mało prawdopodobne. Saxan pełniła obowiązki cały rok, zanim rewidenci księgowi jej budżetu odkryli, że opanowane przez Thrackana Sal-Solo i jego politycznych sojuszników stocznie są wykorzystywane do budowy tajnej floty szturmowej. Rządowi rewidenci mieli jednak ułatwione zadanie, bo dysponowali dokumentacją koreliańskiego budżetu, więc agenci Wywiadu Galaktycznego Sojuszu, mając przeciwko sobie funkcjonariuszy słynnego koreliańskiego kontrwywiadu, nie powinni byli tak szybko odkryć tych samych faktów.

Bardziej prawdopodobne wydawało się, że powodem wyprzedzającej akcji Galaktycznego Sojuszu jest reaktywacja stacji Centerpoint. Mimo wszystko od czasu, kiedy Galaktyczny Sojusz, chociaż z oporami, przekazał władzę nad nią Korelii, na pokładzie stacji prowadzono intensywną działalność wywiadowczą i kontrwywiadowczą. Widocznie ktoś wysłał na Coruscant meldunek o bieżących postępach tej działalności.

Naturalnie Saxan nie wspomniała o tym ani słowem.

- A właściwie dlaczego mi pan o tym mówi? - Zapytała.

- No cóż, powiedzmy, że to mnie wkurza - odparł Han. - Jeżeli Korelia chce być niezależna, nie mam nic przeciwko temu.

- A może wygłosiłby pan publicznie takie oświadczenie? - Zainteresowała się Saxan. - Mógłby pan przemówić do Korelian.

- Ależ bardzo chętnie - zgodził się Han. - Jeżeli tylko pani poda się do dymisji, a Thrackan zrezygnuje z pełnienia obowiązków przywódcy Korelii.

Tym razem Saxan nie umiała ukryć zaskoczenia.

- Miałabym się podać do dymisji? - Zapytała. - Dlaczego?

- Bo nie podoba mi się to, co pani robi - palnął bez ogródek Solo. - Mówi pani „niepodległość” jednym kątem ust, a „korzyści” drugim.

- To tylko strategia - zastrzegła Saxan.

- Wcale nie - sprzeciwił się Han. - Zbyt wiele osób słucha pani słów i zgadza się z nimi. I nikt z

nich nie ma dość czasu, energii ani rozsądku, żeby się zastanowić nad tym, co słyszy. Ci ludzie pani ufają, bo pani ojciec był sławny, albo dlatego, że im się pani podoba. - Han w końcu pozwolił, żeby na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie, a może nawet niesmak. - Powinna pani uświadomić Korelianom, jakie życie będą prowadzili, jeżeli ich planeta stanie się naprawdę niezależna. Planetarna duma to jedno, i nie mam nic przeciwko niej, ale planetarna duma plus założenie, że gospodarka będzie się rozwijała i wszyscy będą was kochali, to zupełnie inna sprawa. To zwykłe kłamstwo.

Po reprimendzie Hana Saxan poczuła gniew i urazę, ale ich nie okazała. Odwróciła się do Leii.

- A pani? - Zaczęła. - Jest pani rycerzem Jedi, a Jedi przysięgali bronić Galaktycznego Sojuszu.

Czy przylatując tu, nie dopuściła się pani zdrady?

Leia spojrzała na nią i zamrugła.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - Zapytała.

- Pani mąż życzy sobie, żebym podjęła kroki niebezpieczne pod względem politycznym - odparła Saxan. - A jednak pani tu przyleciała, czyli opowiada się pani i po jednej, i po drugiej stronie. Moim zdaniem oboje powinniście zostać tu, na Korelii, i udzielić nam swojego poparcia. Tak byłoby dla was najbezpieczniej. Gdyby ci z Coruscant dowiedzieli się, że tu przybyliście bez ich wiedzy i zgody, niewątpliwie ucierpiałyby wasza reputacja.

Leia uśmiechnęła się szeroko.

- To prawda, jestem Jedi - przyznała. - I rzeczywiście składałam przysięgę, że będę broniła Galaktycznego Sojuszu. Czasami nawet przed nim samym. Przylatując tu z Hanem i słuchając jego spekulacji na temat przyszłości politycznych związków, nie dopuściłam się jednak zdrady. Po prostu udzieliłam wsparcia własnemu mężowi.

- Spekulacji? - Powtórzyła zaskoczona Saxan.

Leia kiwnęła głową.

- Spekulacji - potwierdziła.

- Czy to znaczy, że nie macie żadnych dowodów na poparcie tych przypuszczeń?

Han obdarzył ją krzywym, ale rozbajającym uśmiechem, który Saxan tyle razy widywała na informacyjnych hologramach i od czasu do czasu osobiście.

- A o jakie dowody chodzi? - Zapytał.

- Mogłam się była tego spodziewać.

- A przy okazji - zaczął Han, nagle poważniejąc - nikomu by się nie opłaciło donosić tym z Coruscant, że przylecieliśmy tu, aby przekazać swoje opinie. Wzielibyśmy to sobie do serca. A jeżeli zechce pani poszperać w historycznych dokumentach na nasz temat, przekona się pani, co się dzieje, kiedy bierzemy sobie coś do serca.

Saxan nie musiała pytać, czy to groźba. Naturalnie, że Han jej groził. Co więcej w przeszłości już nieraz dowiódł, że umie spełniać swoje groźby.

Mimo to uznała, że spotkanie zakończyło się sukcesem. Dowiedziała się dwóch ważnych rzeczy: że Galaktyczny Sojusz prawdopodobnie wie o postępach prac na pokładzie stacji Centerpoint i że Han Solo umie być równie uparty i bezwzględny jak jego kuzyn Thrackan Sal-Solo.

Pozwoliła, żeby na jej twarzy ukazał się łaskawy uśmiech.

- Proszę się nie obawiać, Korelia wie, kto jest jej przyjacielem - oznajmiła. - A przy okazji, jak długo zabawicie w naszym systemie?

Leia wzruszyła ramionami.

- Kilka dni - powiedziała.

- Znakomicie - stwierdziła pani premier. - Chciałabym, żebyście któregoś dnia zaszczylili nas oficjalną wizytą. Czy to w czasach wojny, czy to pokoju, pani mąż jest jednym z najślawniejszych synów Korelii.

- Bardzo chętnie. - Uznając słowa Saxan za koniec audiencji, Leia wstała i przymocowała woalkę na poprzednim miejscu. Han poszedł w ślady żony i zaczął się zmagać z przeciwpiaaskową maską.

- Aha, Hanie... - Saxan uśmiechnęła się, bo zobaczyła, że Leia marszczy lekko brwi. Na pewno musiała się zastanawiać, dlaczego wbrew wymogom protokołu pani premier zwraca się do jej męża po imieniu. - Co mam przekazać Thrackanowi, jeżeli go zobaczę?

Han w końcu uporał się z maską i nasunął kaptur na głowę.

- Tylko jedno - stwierdził. - Co pani powie na: „Miej się na bacności”?

- Na pewno mu to przekażę - obiecała Korelianka.

Otwarte Przystanki, koreliański szlak handlowy, okolice Yag'dhula

Przedział pasażerski nie był zbyt luksusowy. Prawdę mówiąc, był kiedyś przedziałem towarowym w rodzaju takiego, jakim transportowano masowe ilości surowców. Wyposażono go jednak w rozkładane fotele, zdemontowane z pokładów przeznaczonych na złom pasażerskich wahadłowców. Każdy rząd miał obicia innej barwy, a niektóre fotele okropnie cuchnęły.

Zaliczał się do nich także fotel, na którym siedziała Jaina. Gdyby młoda Solo była w nastroju do samobójstwa, mogłaby pomyśleć, że kiedyś, w zamierzchłej przeszłości fotel zajmował Hutt cierpiący na rozstrój żołądka. Od czasu do czasu, kiedy po nieostrożnym ruchu ciała Jainy wyściółka fotela się ścisnęła, wydzielala odrażający gorzko-słodki odór, po którym wykręcało nie tylko jej nos, ale także odpowiedniki nosów najbliższych sąsiadów.

Jaina podróżowała w interesującym towarzystwie. Większość pasażerów wyglądała, jakby uciekała. W każdym razie rozglądali się wokół, czy nikt nie zwraca na nich zbyt dużej uwagi. Wybrzuszenia na ubraniach wskazywały, że właściciele ukrywają pod nimi blaster, a w torbach i workach mieściły się zagadkowe przedmioty, które istoty wołały mieć pod ręką. Wśród podróżnych byli ludzie, Bothanie i Rodianie. W tylnej części przedziału Jaina zauważyła nawet Bitha. Jednym z pasażerów był poobijany wojenny android typu ZYV 1, który podróżował bez towarzysza.

Niektórzy pasażerowie byli też Jedi, chociaż wcale na to nie wyglądali. Jaina miała na sobie strój, dzięki któremu nie wyróżniałaby się spośród dawnych kompanów ojca: obcisłe spodnie i kamizelkę z czarnej skóry bantha, a także do tego czerwoną jedwabną koszulę z luźnymi rękawami i podobnego koloru przepaskę na głowie. U pasa Jainy wisiała kabura z blasterem, a połowę twarzy pokrywał sztuczny tatuaż. Na policzku widniał czerwony kwiat, a całą wolną przestrzeń od szczęki do czoła zajmowały zielone wici liści. Młoda Jedi miała także włosy prowizorycznie ufarbowane na blond kolor.

Siedzący obok niej Zekk zamknął oczy i spał. Miał na sobie absurdalną, zakończoną frędzlami, żółto-brązową skórzaną kurtkę, pod którą ukrywał bandolet z ośmioma wibroostrzami. Twarz mistrza Jedi zdobiły dwie fałszywe blizny. Jedna biegła poziomo na czole, a druga przecinała oko, które Zekk przesłonił przepaską z mrugającą czerwoną diodą.

Dwie następne sekcje, licząc w kierunku rufy statku, podzielono na klaustrofobicznie małe

sypialnie. W sekcji najbliższej rufy mieściły się bagaże.

Pasażerów otaczały kontenery z gazem tibanna, pozyskanym w przestworzach Bospina, w których transportowiec rozpoczął podróż. Gdyby go ktoś zaatakował, gaz mógłby eksplodować, a Jaina i wszyscy jej przyjaciele zostaliby rozpyleni na atomy.

Bo pomimo swoich rozmiarów to był statek przemytniczy, a gaz tibanna, który nim transportowano, służył do zwiększania niszczyielskiej siły blasterów. Władze Galaktycznego Sojuszu ograniczały jego pozyskiwanie i eksport, dzięki czemu odważni przemytnicy dysponujący dużymi ilościami tego towaru mogli zarobić krocie, transportując gaz do systemów planet, na których go potrzebowano.

Jedną z takich planet była Korelia. To właśnie ona stanowiła cel podróży pilota statku. Ładunek był przeznaczony dla fabryk broni, produkowanej z cichym przyzwoleniem władz planety. Oznaczało to, że kiedy transportowiec dotrze do Systemu Koreliańskiego, funkcjonariusze straży celnej go zignorują i nie będą niepokoili jego pasażerów, do których zaliczała się grupa władających świetlnymi mieczami Jedi. Mara, mistrzyni Jedi i była nauczycielka Jaina, nakłoniła swojego najlepszego przyjaciela i przemytnika Talona Karrde'a, żeby jej w tym pomógł. Karrde wymyślił sposób, dzięki któremu Jedi mogliby wylądować na Korelii w taki sposób, aby nikt nie zwrócił uwagi na ich sprzęt i świetlne miecze. Przemysłnik zgodził się nie tylko wypożyczyć statek, ale także określił czas startu i opracował trasę lotu.

I zapewnił cuchnące fotele.

W pewnej chwili Zekk otworzył oczy.

- Czy jesteśmy już na Korelii? - Zapytał cicho.

Jaina pokręciła głową.

- Jeszcze co najmniej kilka godzin - powiedziała.

Jej towarzysz zamknął oczy, ale po chwili znów je otworzył.

- Czy jesteśmy już na Korelii? - Powtórzył niewinnym tonem.

Jaina wbrew sobie parsknęła śmiechem.

- A może wyjdiesz na dwór, żeby się trochę pobawić? - zaproponowała.

Coruscant

Między częścią biurową a sypialną było sporo wolnego miejsca i Wedge postanowił je wykorzystać. Stawiał tam fotel na kółkach i posługiwał się nim w niezwykle sposób. Siadał twarzą do ściany i niespodziewanie wstając, odpychał go do tyłu nogami tak daleko, jak umiał. Kiedy fotel nieruchomiał, odwracał się i podchodził do niego, żeby sprawdzić, jaką odległość pokonał i jak daleko zatrzymał się od kreski, którą narysował na podłodze.

Dokładnie co sześć godzin w pomieszczeniu pojawiał się Titch, który przynosił więźniowi posiłki. Ilekroć Wedge korzystał z komputerowego terminalu, siadał tyłem do drzwi przy biurku stojącym najbliższym wejścia. Przyzwyczał się nazywać je w myśli pierwszym biurkiem. Dokładnie co sześć standardowych godzin, rano w południe i wieczorem, Titch dostarczał jedzenie i picie. Stawiał je po prawej stronie Antillesa, na sąsiednim biurku, któremu Wedge nadał w myśli numer drugi.

Za pierwszym razem, kiedy porucznik wywiadu zobaczył, jak Wedge odpycha do tyłu fotel na kółkach, nie zwrócił na to żadnej uwagi. Korelianin spodziewał się po nim właśnie takiej reakcji. Prawdopodobnie Titch, Barthis i kilku innych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa cały czas

obserwowali więźnia za pomocą ukrytych holokamer, więc i tak musieli wiedzieć o jego „rozrywce”. Titch postawił na zwykłym miejscu tacę z posiłkiem Antillesa i na widok jego poczyńań z politowaniem pokręcił głową. Kiedy wyszedł, płyta drzwi od razu opadła za jego plecami.

Wedge spojrział na nią i wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu.

Sześć godzin później, kilka minut przed spodziewaną wizytą Titcha, usiadł przy pierwszym biurku i włączył stojący na nim terminal. Naturalnie komputer nie zapewniał dostępu do obejmującej całą planetę sieci informacji, bo to stałoby w sprzeczności z celami internowania Antillesa. Łączył się jednak z tą siecią raz czy dwa razy w ciągu standardowej doby, dzięki czemu Wedge mógł śledzić coruskańskie i galaktyczne wiadomości. Miał też do dyspozycji mnóstwo trzydziestoletnich gier i programów symulacji bitew. Czekaając na posiłki, uruchomił program umożliwiający odtworzenie zasadzki sił zbrojnych Imperium na okręty Sojuszu Rebeliantów pod Derrą Cztery i zaczął korzystać z niego, jakby był jednym z pilotów gwiazdowego myśliwca Rebeliantów. Naturalnie pamiętał, że bitwa miała miejsce, zanim przyszedł na świat którykolwiek z jego więziennych nadzorców.

Niewielki chronometr w prawym górnym rogu ekranu monitora uświadomił mu, że do posiłku zostało jeszcze pięć minut.

Upił łyk wody z kubka, którego nie dotykał od południa, kiedy Titch przyniósł mu poprzedni posiłek. Kubek był prawie pełny. Powoli, udając, że zwraca uwagę tylko na ekran monitora, opuścił rękę z kubkiem na kolana i wyciągnął ją pod blatem, aż znalazła się pod biurkiem numer dwa. Ostrożnie wylał większą część wody na podłogę, na której zaczęła się powoli rozlewać niemal niewidoczna kałuża.

Do wizyty Titcha zostały jeszcze trzy minuty. Wedge nie powinien się za bardzo spieszyć, bo porucznik wywiadu mógł się zjawić kilka sekund później niż zazwyczaj. Nie można było liczyć na to, że młodzi oficerowie zawsze będą punktualni.

Cofnął rękę, uniosł ją nad drugie biurko i powoli odwrócił kubek do góry dnem, tak blisko blatu, jak mógł. Obserwujący go funkcjonariusze powinni pomyśleć, że odstawia na bok puste naczynie. Resztką wody wypłynęła z kubka i rozlała się po blacie drugiego biurka. Popłynęła nie tylko w kierunku stojącego przed meblem fotela, ale także w stronę krawędzi blatu stykającej się z jego biurkiem. Podobnie jak woda na podłodze, nie powinna być widoczna, bo do szpiegowania więźniów używano kamer o niskiej rozdzielczości obrazów.

Wedge wpisał do symulacyjnego programu następną sekwencję rozkazów i pochylił się nad terminalem, żeby się przyjrzeć rezultatom. Nie zmieniając pozycji, zaczął ostrożnie manipulować rękami pod biurkiem, aż trafił na zasilający kabel, biegnący od głównego procesora systemu do monitora na sąsiednim biurku.

Zostały dwie minuty. Wedge udawał, że obserwuje, jak Imperialcy na ekranie dokonują masakry Rebeliantów w przestworzach Derry Cztery, podobnie jak ponad trzydzieści lat wcześniej. W pewnej chwili parsknął, jakby obserwowane sceny go zirytowały. Jedną ręką wyłączył zasilanie terminalu, a drugą wyciągnął z gniazda kabel zasilający i przyciągnął go do siebie pod blatem biurka, żeby nie leżał luźno na podłodze. Dopiero wówczas rozsiadł się w fotelu.

Płyta drzwi wejściowych za jego plecami uniosła się i do pomieszczenia wszedł Titch. Wedge domyślił się, że to on po energicznym odgłosie stawiania ciężkich butów.

- Nie idzie najlepiej, co? - Zapytał porucznik wywiadu.

W końcu pojawił się w zasięgu wzroku Antillesa, skierował się do biurka numer dwa i postawił na nim tacę. Krótką chwilę, kiedy jego palce zetknęły się z kałużą, wyglądał na zdezorientowanego.

Wedge włączył zasilanie monitora i rzucił kabel na biurko numer dwa.

Titch podskoczył i porażony prądem, zaczął dygotać. Światło, sączące się dotąd z paneli sufitowych, przygasło.

Wedge odepchnął do tyłu fotel na kółkach i obejrzał się za siebie. Fotel znieruchomiał dziesięć centymetrów od miejsca, w którym powinien, dokładnie pośrodku otwartych drzwi wejściowych.

Korelianin przyglądał się jeszcze chwilę, jak prąd razi funkcjonariusza służby bezpieczeństwa. Musiał uzbroić się w cierpliwość i poczekać, ale nie sądził, żeby to miało trwać dłużej niż kilka sekund. Jeżeli Barthis nie zareaguje, zanim w organizmie Titcha zajdą nieodwracalne zmiany, Wedge może będzie musiał...

W końcu usłyszał dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia okrzyk pani kapitan Barthis:

- Wyłączyć zasilanie w bloku czterdzieści-pięć-zero-dwa! Natychmiast!

Nic się nie wydarzyło. Wedge nadal czekał. Usłyszał tupot biegnącej osoby, którą mogła być tylko Barthis. Przypuszczał, że funkcjonariuszka jest uzbrojona w blaster, a on nie miał broni.

W końcu światła w pomieszczeniu zgasły. Wedge usłyszał stęknienie Titcha, a po chwili stłumiony huk, kiedy agent runął na podłogę. Pół sekundy później rozległ się zgrzyt i łoskot, z jakimi pozbawiona zasilania płyta drzwi opadła na obrotowy fotel.

Antilles odnalazł Titcha dzięki dotykowi. Funkcjonariusz jeszcze się ruszał. Wedge namacał jego pas, wyjął z kabury blaster i przełączył go z zabijania na ogluszanie. Powiedział cicho tylko dwa słowa:

- Pamiętaj... Toalety.

Później, czołgając się na czworakach, ruszył w kierunku niedomkniętej płyty drzwi. Zanim do niej dotarł, wyczuł pęd powietrza wpływającego do pomieszczenia. Wolną ręką namacał jedno z kółek fotela. Ostrożnie i cicho prześlizgnął się obok niego, chociaż fotel skrzypiał pod ciężarem pancernych płyt.

Przyczał się i usłyszał dobiegający z odległości zaledwie kilku metrów głos pani kapitan Barthis:

- Przysłać do bloku czterdzieści-pięć-zero-dwa oddział uzbrojonych funkcjonariuszy! Więzień przebywa w pomieszczeniu, ale ma za zakładnika porucznika Titcha. Nie, na razie jestem bezpieczna.

Po chwili włączyły się awaryjne panele jarzeniowe, zainstalowane pod sufitem w miejscach, w których stykał się ze ścianami. Korytarz zalała słaba pomarańczowa poświata. Przez otwarte drzwi sąsiedniego pomieszczenia Wedge zobaczył biurka i stojące na nich komputerowe terminale. Kilka metrów od niego stała Barthis z komunikatorem w dłoni.

Ona także go zobaczyła i otworzyła szerzej oczy.

Wedge dał ognia. Obezwładniona funkcjonariuszka zwała się na podłogę, chociaż z mniejszym hałasem niż przedtem Titch.

Antilles przywłaszczył sobie jej komunikator, blasterowy pistolet, kartę identyfikacyjną i inne przedmioty. Wsunął to wszystko do kieszeni kombinezonu. Przepchnął Barthis przez próg swojego pokoju i kopnął fotel z taką siłą, że wyslizgnął się spod drzwi i wjechał do środka. Pozbawiona zasilania pancerna płyta opadła z łoskotem na podłogę.

Wedge zaczął metodycznie rozbijać kolbą blastera Titcha panele jarzeniowe awaryjnego oświetlenia na korytarzu. Kiedy zniszczył ostatni, ukrył się pod biurkiem obok drzwi, przez które wprowadzono go do tej sekcji gmachu.

Minutę później usłyszał zgrzyt i domyślił się, że ktoś z zewnątrz podłączył do drzwi

prowizoryczne źródło zasilania. Na korytarz wpadło czterech zakutych w pancerze i uzbrojonych strażników służby bezpieczeństwa.

- Pani kapitan Barthis? - Zawołał dowódca.

Wedge wyczołgał się cicho spod biurka na kiepsko oświetloną klatkę schodową, chwycił podłączone do kontrolnego panelu tymczasowe źródło zasilania i wyszarpnął kabel z gniazda. Ciężka płyta z hukiem opadła na podłogę i odcięła strażnikom drogę odwrotu.

Na razie dobrze, pomyślał Antilles. Powinien znaleźć szatnię z szafkami na ubrania, żeby się pozbyć przydzielonego kombinezonu. Był pewien, że to tam kryje się zaszyty czujnik powodujący zamykanie drzwi, ilekroć się do nich zbliża. Później wystarczy już tylko przebrać się w miejscowy mundur, znaleźć drogę do hangaru i porwać wyposażony w jednostkę napędu nadświatlnego myśliwiec albo wahadłowiec. Musiał to zrobić tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi szukających go funkcjonariuszy wywiadu.

Łatwizna, pomyślał.

ROZDZIAŁ 8

System Koreliański, w drodze od planety Talus

Wahadłowiec nie wyglądał elegancko. Miał podłużny kształt z dyszami i jednostką napędu nadświatelnego w jednym końcu oraz mostkiem z iluminatorami w drugim. Pośrodku znalazło się sporo miejsca dla pasażerów, a w samym przedziale pasażerskim fotele były miękkie i umocowane we właściwych odstępach jeden od drugiego. Za oparciem każdego fotela zainstalowano monitor umożliwiający siedzącemu z tyłu pasażerowi oglądanie koreliańskich wiadomości, rozrywkowych hologramów albo widoków przestworzy, przekazywanych przez kamery na kadłubie statku.

Doktor Seyah przełączył monitor na ukazywanie widoków przestworzy przed wahadłowcem. Jak zawsze, mógł od początku obserwować pojawienie się stacji Centerpoint i przyglądać się, jak z każdą sekundą staje się coraz większa. Na razie nie widział jednak niczego poza gwiazdami, bo pilot wahadłowca nie dokonał jeszcze ostatniego skoku przez nadprzestrzeń, po którym miał się znaleźć blisko stacji.

Seyah miał na sobie plastikową koszulę, na tyle wygodną, że nie zawsze był świadom kontaktu ciała ze sztucznym tworzywem. W materiał wszyto obwody elektroniczne, dzięki którym koszula mogła zmieniać barwę i wzór na piersi. Obecnie miała kolor pomarańczowy, na którego tle krzyżowały się jaskrawopurpurowe płomienie. Taki strój pasowałby do kogoś, kto przebywa na wakacjach, spacerując po słonecznej, piaszczystej plaży. Z dokumentów Seyaha wynikało, że właśnie tak spędził kilka poprzednich tygodni. Uwiarygodnić to miała naniesiona na skórę warstwa sztucznej opalenizny. W rzeczywistości miała ona maskować fakt, że podczas szkolenia Jedi, którzy mieli zniszczyć stację Centerpoint, naukowiec nie tylko się nie opalił, ale stracił wcześniejszą opaleniznę.

Takie koszule, sprzedawane zamożnym turystom, miały ciekawą właściwość: kiedy się je energicznie szturchnęło, z trzaskiem zmieniały zarówno kolor, jak i wzór.

Siedzący obok naukowca mniej więcej trzyletni brzdąc, równie śniadoskóry jak jego matka, odkrył to, kiedy niechcący kopnął doktora Seyaha zaledwie kilka minut po starcie z Talusa. Skruszona matka napomniała synka, żeby nie dokuczał sąsiadowi, ale nie umiała powstrzymać malca przed wtykaniem palca w materiał koszuli, aby wydawała trzask i zmieniała obrazek. Za każdym razem chłopczyk chichotał. Kiedy mu się znudziło - czyli mniej więcej po minucie - znów wyciągał rękę i szturchał w bok naukowca.

Doktor Seyah nie zwracał na to uwagi. Prawdę mówiąc, był przygnębiony. Od chwili rozpoczęcia pracy na pokładzie stacji Centerpoint uświadamiał sobie, że jej potęga i niszczycielski potencjał mogą któregoś dnia doprowadzić do katastrofy. Stacja mogła powodować eksplozje gwiazd, więc jeżeli ktoś chciał temu zapobiec, mógł liczyć tylko na rozsądek jej operatorów... Albo na to, że ktoś położy kres jej istnieniu.

A w ostatnim okresie rozsądek był towarem deficytowym.

Trzask. Koszula przybrała różowy kolor. Po ramionach i piersi płynęły pierzaste chmurki, a widoczne na wysokości bioder turystyczne morskie śmigacze muskały fale czerwonego oceanu.

Doktor Seyah nie chciał, żeby stacja Centerpoint została zniszczona. Podobnie jak niemal wszyscy naukowcy na jej pokładzie, bardzo chciał się dowiedzieć czegoś więcej o dawno zaginionej rasie obcych istot, które ją skonstruowały. Te same istoty wykorzystaly później stację do przemieszczenia planet, które nadawały się do zamieszkania. Rzadko spotykało się systemy z dwiema planetami, na których mogły żyć inteligentne formy życia. Tymczasem wokół Korela krążyło aż pięć takich planet. Gdyby naukowcom udało się odkryć tajemnicę niezwykłego obiektu, zamieszkujące galaktykę inteligentne istoty mogłyby dokonać podobnego wyczynu jak przed wiekami nieznanymi konstruktorzy stacji - stworzyć całe systemy dla zaspokojenia potrzeb własnych albo swoich potomków.

Najważniejsze jednak, że stacja, wykorzystując te same siły, które utrzymywały wszechświat w jednym kawałku, mogła pomóc naukowcom lepiej zrozumieć mechanizmy jego działania. Gdyby stacja Centerpoint została zniszczona, taka okazja już by się nie powtórzyła.

Na szczęście istniało prawdopodobieństwo, że do tego nie dojdzie. W rozmowach z Jedi doktor Seyah wielokrotnie podkreślał, że do pozbawienia Korelian władzy nad stacją powinno wystarczyć zniszczenie zainstalowanych tam przez nich komputerów. Liczył na to, że Jedi go wysłuchają. Jeżeli zaś będzie miał szczęście, zgodzą się z jego zdaniem.

Trzask. Tym razem jego koszula przybrała intensywny niebieski kolor. Z przodu pojawił się ogromny ryczący rankor, który rozłożył na boki masywne łapy. Malec zachichotał.

Doktor Seyah spojrział na matkę chłopczyka.

- Czy leci pani z dzieckiem na stację? - Zapytał.

Śniadolica kobieta kiwnęła głową, aż zakołysały się jej czarne włosy, przysypane błękitnym sztucznym szronem. Były tak wiotkie, że poruszały je nawet słabe podmuchy z pokładowego systemu podtrzymywania życia.

- Jestem kartografem i członkiem ekipy sporządzającej mapę tej stacji - powiedziała. - Nazywam się Loreza Plirr. - Wyciągnęła do niego rękę nad kolanami synka.

Doktor Seyah ją uścisnął. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie powiedzieć: „Nie lądujcie na tej stacji. W ciągu następnych kilku godzin może się zamienić w obłok przegrzanego gazu. Wracajcie na Talusa”. Zamiast tego tylko się przedstawił:

- A ja nazywam się Toval Seyah.

Na tym właśnie polegała jego praca. To była mroczna strona wykonywania równocześnie dwóch zawodów: naukowca i szpiega... Nic dziwnego, że nawet nie usiłował tego wytłumaczyć chłopcu Jedi. Mógł pozwolić, żeby piękna młoda kobieta i jej niewinne dziecko stracili życie.

Niech to zaraza, pomyślał ponuro.

- A to mój syn Deevan - ciągnęła pani kartograf.

- Cześć, Deevan. - Zachowując powagę, doktor Seyah ujął i lekko ścisnął małą dłoń chłopczyka.

Malec zachichotał.

Widoczne na ekranie monitora gwiazdy skrzyły się i wydłużyły. Naturalnie w rzeczywistości tego nie zrobiły, ale właśnie tak wyglądał wizualny efekt wskoczenia do nadprzestrzeni. Wahadłowiec opuścił ją niemal natychmiast, bo podróż z szybkością większą niż prędkość światła trwała zaledwie kilka sekund... A kiedy gwiazdy znów przybrały normalny wygląd i znalazły się dokładnie w tych samych miejscach co przed skokiem, pośrodku ekranu widniała stacja Centerpoint.

Nie była piękna ani nawet elegancka jak Gwiazda Śmierci, którą przewyższała rozmiarami. Wyglądała jak szarawobiała kula z wystającymi po obu stronach osi cylindrami. Robiła wrażenie głównie z powodu wielkości... I zniszczeń, jakie mogła spowodować.

Naturalnie z tak daleka jej rozmiary nie rzucały się jeszcze w oczy, ale doktor Seyah wiedział, że kiedy znajdzie się bliżej, zobaczy nieregularną powierzchnię, usianą wieżami, iglicami, zwykłymi i parabolicznymi antenami, podzespołami, umożliwiającymi dostęp śluzami i komorami, zestawami baterii wielkości wieżowców, generatorami ochronnych pól i innymi urządzeniami... Wiedział też, że będzie to wyglądało jak powierzchnia Coruscant w najgęściej zaludnionych rejonach, ale bez nieudolnych starań, o jaki taki architektoniczny porządek.

Doktor Seyah pomyślał, że jego dom w przestworzach wygląda szkaradnie.

Szarpnął kołnierz koszuli, żeby uruchomić wszyty tam mikroobwód. Nacisk pobudził element do wysłania zaszyfrowanego impulsu o ściśle określonej częstotliwości. Transmisja trwała zaledwie kilka mikrosekund.

Trzask. Tym razem koszula zmieniła barwę i obraz, chociaż chłopczyk nawet nie dotknął naukowca. To był znak dla właściciela, że mikroobwód odebrał sygnał zwrotny. Mimo to malec i tak zachichotał.

Doktor Seyah rozsiadł się wygodniej w fotelu i patrzył, jak stacja rośnie na ekranie monitora. Próbował się przygotować na walkę, a może nawet tragedię, która miała wkrótce się wydarzyć.

W towarowej ładowni wahadłowca, w kontenerze o rozmiarach przeciętnego lądowego śmigacza, melodyjny kurant alarmowy wyrwał ze snu Jacena Solo. Rycerz Jedi zamrugał i otworzył oczy.

Niewiele zobaczył. Wnętrze kontenera było oświetlone tylko przez usytuowane po lewej stronie urządzenie, które stanowiło połączenie komputera i systemu podtrzymywania życia. Jacen poczuł na twarzy podmuch chłodnego powietrza.

Nie dość chłodnego. Młody Solo miał na sobie ciężki skafander próżniowy, w którym było mu stanowczo za gorąco. Podczas snu się spocił, a kontener cuchnął niczym nora rankora.

Rycerz Jedi odwrócił głowę i spojrział na ekran monitora. Widoczny na nim tekst uświadomił mu, że doktor Seyah właśnie przesłał zaszyfrowaną informację o zakończeniu ostatniego skoku przez nadprzestrzeń przed lądowaniem statku na pokładzie stacji Centerpoint.

Jacen wyłączył komputer i wewnątrz kontenera pograżyło się w ciemności.

Namacał gałkę zaworu umieszczonego po zewnętrznej stronie kołnierza nieporęcznego skafandra i obracał ją, aż pokrętko zablokowało się w pozycji odpowiadającej całkowitej przepustowości. Usłyszał cichy syk zdatnego do oddychania powietrza. W butlach, które zabrał w drogę, miał go dość, żeby oddychać nim pół godziny.

Odwrócił się i namacał leżący po prawej stronie hełm skafandra. Nasunął go na głowę i obrócił, aż usłyszał szcęknięcie zatrzasków kołnierza. Dopiero wówczas sięgnął do przełącznika zainstalowanego na ścianie kontenera na wysokości biodra i przestawił dźwignię w przeciwne skrajne położenie.

Kiedy pokrywa kontenera się uniosła, zobaczył kiepsko oświetlone sklepienie ładowni. Dzieliło go od niego zaledwie kilka metrów.

Czując się nieswojo w próżnioszczelnym skafandrze, z trudem się wyprostował. Wsunął butle z powietrzem do gniazd na plecach i wygramolił się z kontenera.

Znajdował się na najwyższym poziomie stosu pojemników wielkości modułów publicznych

toalet. Zauważył, że pokrywa kontenera na wierzchu sąsiedniego stosu także się otwiera.

Dostrzegł ubranego w podobny skafander i hełm Bena, który z trudem starał się wyprostować.

Jacen musiał przekupić robotników załadunkowych kosmoportu, żeby umieścili ich kontenery na najwyższym poziomie. Gdyby tego nie zrobili, wydostanie się z kryjówek byłoby trudniejsze, choć nie niemożliwe. Byli Jedi, więc mogli zapalić klingi świetlnych mieczy i powycinać otwory w ścianach czy w pokrywach. Problem w tym, że podczas rozładunku uszkodzone miejsca zostałyby zauważone, co mogłoby zagrozić powodzeniu wyprawy obu Jedi.

Na szczęście robotnicy załadunkowi dali się przekupić.

A sam skafander... Jacen uzbroił się w cierpliwość i obiecał sobie, że nie będzie go przeklinał. Wygramolił się z kontenera i zamknął za sobą pokrywę. Skafander był najcięższym i najbardziej niewygodnym strojem, jaki kiedykolwiek nosił.

Ochrony przed promieniowaniem nie zapewniały w nim elektroniczne ekrany ani energetyczne pola, ale grube warstwy materiałów. Powietrze do oddychania pochodziło z butli, których zawory należało otwierać i zamykać ręcznie. Skafander nie miał wszytych czujników elektronicznych ani serwowatorów, które by ułatwiały wykonywanie ruchów i pokonywanie ciężaru stroju. W hełmie nie zainstalowano też komunikatora ani wzmacniacza obrazów.

Prawdę mówiąc, w całym skafandrze nie było ani jednego urządzenia elektronicznego. Obaj Jedi dysponowali tylko świetlnymi mieczami, osobistymi notesami komputerowymi, kartami danych i komunikatorami... Na razie wszystkie te urządzenia były jednak nie tylko wyłączone, ale także pozbawione źródeł zasilania, które Jacen i Ben wyjęli z gniazd w obudowach.

Rycerz Jedi powoli, nieporadnie, zszedł ze stosu kontenerów. Przyglądał się, jak to samo robi Ben.

Jedyną zaletą ich prymitywnych skafandrów była niewrażliwość na promienie skanerów, którymi celnicy Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa sprawdzali wszystko na pokładach stacji Centerpoint. Pozbawione urządzeń elektronicznych skafandry po prostu nie pojawiały się na ekranach funkcjonariuszy KorSeku. Na szczęście szefowie celników KorSeku już dawno doszli do przekonania, że dla oszczędności czasu i pieniędzy wystarczy omiatać przywożone ładunki promieniami skanerów wykrywających urządzenia elektroniczne, rezygnując z tych wrażliwych na obecność form życia. Uznali, że żadna żywa istota nie mogłaby się poruszać na zewnątrz stacji, pozbawiona ich pomocy. Najwyżej mynocki i inne żyjące w przestworzach nieinteligentne pasożyty.

To dlatego Jacenowi i Benowi nadano kryptonim Grupa Mynock.

Rycerz Jedi pomógł kuzynowi zeskoczyć na płyty pokładu, po czym obaj udali się do rufowej śluzy. Na ścianie obok kontrolnego panelu zobaczyli wydrapany w lakierze znak X, niemal niewidoczny w półmroku ładowni. Znak dowodził, że udało się przekupić jeszcze kogoś, kto wyłączył czujniki systemu bezpieczeństwa tej śluzy. Kiedy Jacen otworzył wewnętrzną klapę wjazdu, obaj Jedi weszli do ciasnej komory. Rycerz Jedi z trudem się odwrócił i przycisnął guzik, żeby śluza wykonała pełny cykl pracy.

Minutę później cykl dobiegł końca i zniecierpliwiony Ben otworzył zewnętrzną klapę. Oczom obu Jedi ukazał się oszałamiająco piękny widok usianych iskierkami gwiazd przestworzy. Jacen widział nie tylko gwiazdy, ale także odległe mgławice, a nawet kometę, której ogon zaczynały rozjaśniać promienie gwiazdy Korei.

Wysunął głowę i spojrzał w stronę dziobu wahadłowca. Zobaczył w oddali stację Centerpoint. Znajdowała się tak blisko, że wyglądała jak ogromny księżyc. Można było dostrzec nawet urządzenia

zainstalowane na jej powierzchni.

Koronet, Korelia

Pilot środka transportu - dziesięciometrowego powietrznego śmigacza, który składał się chyba tylko z miejsc do stania i okien - zostawił Jainę i połowę jej grupy na ulicy przed oficjalną rezydencją pani premier Pięciu Światów. Później odleciał, unosząc resztę ciężkiego ładunku w postaci zdążających do pracy robotników, turystów i załatwiających własne sprawy mieszkańców koreliańskiej stolicy.

Jaina głęboko odetchnęła i powiodła spojrzeniem po najbliższej okolicy. Chciała się upewnić, czy ktoś nie zwraca na nich zbyt dużej uwagi. Nikt nie powinien się nimi interesować. Wylądowali na planecie przed wieloma godzinami, więc mieli dość czasu, żeby wprowadzić się do schroniska, wykapać, zdrzemnąć i pozbyć elementów przebrania, które nadawały im charakterystyczny wygląd przemytników. Jaina była obecnie ubrana w niewygodny commenoriański strój podróży. Pozbyła się fałszywego tatuażu z policzka i przywróciła włosom naturalny ciemny kolor.

- Brakuje mi tego tatuażu - wyznał Zekk. Był ubrany podobnie jak większość Korelian: ciemne spodnie, rozpinana kurtka, jaśniejsza koszula z długimi rękawami i sięgające kolan czarne buty. Rycerz Jedi zaplótł długie czarne włosy w warkocz z tyłu głowy.

Przechodząca obok niego młoda kobieta o pomarańczowych włosach i w przezroczystej zielonej sukience obdarzyła go przelotnym uśmiechem. Jaina poczuła irytację, ale od razu usunęła ją z myśli.

Zekk spojrzał na nią i się uśmiechnął.

- Hej, czym było to, co poczułem? - Zapytał.

Młoda Solo spiorunowała go spojrzeniem.

- Jesteśmy tu służbowo - przypomniała. - Skup się na wykonywaniu zadania.

- Rozkaz, pani dowódco. - Zekk nie przestał się uśmiechać, ale zwrócił uwagę znów na rezydencję pani premier.

Kilka lat wcześniej umysły i osobowości obojga Jedi połączyła więź znacznie mocniejsza od zwykłej bitwowiezi Mocy. Stało się to podczas kontaktów z obdarzonymi zbiorową świadomością insektoidalnymi istotami, zwanymi Killikami. Później intensywność więzi łączącej Jainę i Zekka osłabła, ale ich myśli i uczucia pozostały splecione w stopniu niezwykłym nawet dla rycerzy Jedi. Czasami znajdowali w tym pociechę, a nawet sprawiało im to radość. Kiedy indziej jednak, jak w obecnej chwili, czuli się z tym nieswojo, bo łącząca ich więź nie pozwalała im się skupić.

W końcu Jaina doszła do wniosku, że ani ona, ani jej towarzysze nie zwracają na siebie niczyjej uwagi. Szeroka wielopasmowa aleja przed nimi była zatłoczona lądowymi śmigaczami, a Korelianie słynęli z tego, że są szalonymi pilotami. Wszyscy przechodnie na chodniku, którzy mieli choć odrobinę rozsądku, patrzyli tylko w górę, jak właściciele archaicznych pojazdów zmieniają pasy ruchu, żeby się wcisnąć w każdą lukę.

W przeciwieństwie do ruchu na ulicy ogromny budynek za plecami Jedi wyglądał na wymarły. Spora część terenu, na którym go wzniesiono, kryła się w cieniu drzew i pędów winorośli. Nawet strażnicy po obu stronach bramy i przed głównymi drzwiami stali zupełnie nieruchomo.

Po chwili do Jaina i Zekka dołączyło dwoje innych członków ich grupy, Bothanka Kolir Hu'lya i Falleen Thann Mithric. Najmłodsza ze wszystkich Kolir zaledwie przed kilkoma tygodniami przeszła pomyślnie próby i uzyskała prawo noszenia tytułu rycerza Jedi. Miała na sobie krótką sukienkę, która

kontrastowała z jej jasnobrązową sierścią i tego upalnego dnia pozwalała utrzymywać właściwą temperaturę ciała. Ubrany w strój podróźny Thann najbardziej przypominał rycerza Jedi, jednak w odwiedzanej przez wielu turystów stolicy nawet on nie rzucał się w oczy. Pod kapturem ukrył długą czarną kitkę na czubku głowy i nadał skórze jasnopomarańczową karnację, dzięki której trudno go było odróżnić od zwykłego mężczyzny.

- Nie widzę niczego, co mógłby stworzyć problemy - odezwała się Kolir.

Jaina nie poczuła się specjalnie uspokojona opinią osoby, która zaledwie kilka tygodni wcześniej była uczennicą. Usłyszała parsknięcie Zekka. Bothanka spojrzała na niego dziwnie. Jaina poleciła:

- Prześlijcie wiadomość, że wylądowaliśmy na Korelii.

Kolir kiwnęła głową. Poszperała w białym worku podróźnym, w którym ukryła świetlny miecz i zestaw innych śmiertelnych broni, i wyjęła komunikator. Uśmiechnęła się, jakby zamierzała uciąć sobie pogawędkę z chłopakiem.

- Tu Grupa Purella - powiedziała. - Meldujemy, że jesteśmy na miejscu.

Otwarte Przystworza, okolice Systemu Koreliańskiego

Luke Skywalker, ubrany w na pozór normalny brązowopłowy płaszcz Jedi, który jednak krył wszelki niezbędny sprzęt i mógł także służyć jako kombinezon pilota, siedział na kręconych schodach, umożliwiających mechanikom dostęp do górnych powierzchni X-winga. Mistrz Jedi wiedział, że do tego celu nie będą mu potrzebne schody. Mechanicy skończyli się zajmować jego gwiazdny myśliwcem typu XJ6, a Luke nie musiał się wspinać po stopniach, żeby się dostać do kabiny. W tym celu każdemu Jedi wystarczał jeden wspomagany Mocą podskok.

Na lądowisku, gdzie czekały na start eskadry gwiazdnych maszyn, trwała gorączkowa praca. W wielu miejscach permabetonowej płyty widniały rysy i zwęglenia, ale sklepienie, z którego sączyło się światło, było nieskazitelnie białe. Hangar miał rozmiary boiska sportowego i mieścił nie tylko myśliwce eskadry Luke'a, ale także eskadrę maszyn przechwytyjących typu Eta-5, dwie eskadry wyposażonych w ochronne pola myśliwców TIE ze Szczątków Imperium i pół eskadry B-wingów wsparcia. Mechanicy tankowali maszyny i dokonywali ostatnich napraw. Na lądowisko przybywali piloci na ostatni przegląd myśliwców, za których sterami mieli wkrótce zasiąść. Dowódcy, przechodząc od pilota do pilota i od myśliwca do myśliwca, udzielali rad i wydawali rozkazy.

Luke tego nie robił. Wszyscy piloci jego eskadry byli Jedi, więc zachowywali kamienny spokój, chociaż czekała ich bitwa, w której mogli stracić życie.

Przy sąsiednim X-wingu Mara, ubrana w podobny strój co mąż, wykonywała ostatnie zamaszyste ruchy hydrokluczem zapadkowym. Kiedy skończyła poprawiać położenie laserowego działka, zamknęła z trzaskiem klapę panelu dostępu na dolnej powierzchni płata skrzydła swojej maszyny, wrzuciła hydroklucz do skrzynki z narzędziami i podeszła do męża.

- Są jakieś wieści o Benie? - Zapytała.

Luke pokręcił głową.

- Jesteś niezwykle cichy. - Mara pogłaskała go po policzku. - Na pewno wszystko w porządku?

- Niedawno skończyłem medytować - odparł Luke. - I widziałem Bena rozmawiającego z mężczyzną, który nie istnieje.

- To nie był sen - stwierdziła mistrzyni Jedi. - To była wizja, prawda?

Luke tylko kiwnął głową.

- Orientujesz się, kiedy to się zdarzy? - Zagadnęła żona.

- W przyszłości. Ben był trochę starszy i wyższy.

- To pomyślna wróżba... Jeśli pamiętamy o tym, co ma zrobić dzisiaj - zauważyła Mara.

W końcu Luke się uśmiechnął.

- Dzięki za to, że mnie nie zabiłaś - powiedział.

- Chodzi ci o ten pierwszy raz, kiedy się spotkaliśmy? - Domyśliła się Mara.

- Nie, nie... Wtedy, kiedy ci powiedziałem, że pozwoliłem Jacenowi podjąć decyzję w sprawie udziału Bena w tej wyprawie - uściślił mistrz Jedi.

- Aha. - Mara nie odwzajemniła uśmiechu męża. - Mogłabym się do tego posunąć, gdybym znała właściwą odpowiedź - podjęła po chwili.

- W przeszłości pokpiłam sprawę, bo za bardzo starałam się go chronić. Jak bardzo trzeba chronić własnego syna, żeby nie przesadzić?

Luke wzruszył ramionami.

- Pytasz o to mistrza Jedi, nie mistrza wychowywania dzieci - powiedział.

- A w ogóle istnieje taki mistrz? - W końcu i Mara się uśmiechnęła. - Ponad trzynaście lat zamartwiałam się o syna. Dzięki temu jednak naprawdę rozumiałam, dlaczego dawni Jedi nie mogli zawierać małżeństw, wiązać się uczuciowo i tak dalej. Gdyby im tego nie zabraniano, nie ginęliby z rąk Sithów, krwiożerczych obcych istot czy z powodu naturalnych kataklizmów, ale dlatego, że zamartwiali się o swoje dzieci.

- Chyba masz rację - przyznał Luke.

- Mistrzu Skywalker? - Kobięcy głos wydobywał się z okolic piersi mistrza Jedi.

Luke sięgnął pod połą płaszcz i wyjął komunikator.

- Tu Skywalker - powiedział.

- Tu mostek - usłyszał w odpowiedzi. - Grupa Purella melduje, że wylądowała na Korelii.

- Dziękuję. - Luke schował komunikator. - Jaina jest gotowa do akcji - podjął po chwili. - Kolejna załatwiona sprawa na naszej liście, żeby można było zaczynać tę operację.

Mara spojrzała na przeciwległą ścianę ogromnego hangaru, gdzie chronometry pokazywały czasy w kilku miejscach galaktyki. Umieszczone pod wyświetlaczami napisy głosiły: „Rządowy ośrodek Coruscant, stolica Korelii” - „Koronet, dobowy cykl stacji Centerpoint” i tak dalej.

- Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem, będziemy otrzymywali więcej takich meldunków - stwierdziła.

Wszyscy w hangarze także to wiedzieli. Tempo przygotowań się nasilało. Mechanicy zaczęli odchodzić od myśliwców, a kilku pilotów wspinało się po drabinkach do kabin.

Luke powiódł spojrzeniem po twarzach pilotów swojej eskadry. Niektórzy rozmawiali z kolegami. Trzej spali na płycie lądowiska w cieniu swoich X-wingów, ubrani w płaszcze Jedi, które przed startem mieli zapakować i schować. Dwaj inni, pogrążeni w medytacjach, siedzieli ze skrzyżowanymi nogami. Ich widok kojarzył się z oazą spokoju w oku cyklonu. Luke pokiwał aprobowczo głową.

- Mistrzu Skywalker? - Usłyszał po chwili. - Grupa Mynock melduje, że znalazła się na miejscu.

Luke poczuł taką ulgę, że o mało nie osunął się na płytę lądowiska. Wiadomość oznaczała, że Ben, Jacen i doktor Seyah wylądowali na pokładzie stacji Centerpoint i czekają w pogotowiu.

Wyjął komunikator, żeby podziękować pani operator z mostka, ale pełniąca tam służbę kobieta znów się odezwała:

- Grupa Tauntaun melduje, że dotarła na wyznaczoną pozycję - powiedziała. - Grupa Piaskoszczur melduje, że nie widzi w swojej strefie żadnej aktywności. Grupa... Proszę chwilę zaczekać...

Z głośników interkomu hangaru rozległ się głos pełniącego służbę na pokładzie „Dodony” dowódcy eskadr gwiazdnych myśliwców:

- Wszyscy piloci do maszyn! Skok do nadprzestrzeni za pięć minut. Wszyscy piloci do maszyn!

Otoczający Luke'a i Marę rycerze Jedi zerwali się na nogi. Mistrzynie Jedi pochyliła się, żeby pocałować męża.

- Najwyższy czas, żebyś zrobił jedną z sześciu czy ośmiu rzeczy, które robisz najlepiej - powiedziała.

Luke uśmiechnął się do żony.

- Zaraz, zaraz, a gdzie twoja tradycyjna porcja połajanek? - Zapytał. - Zaczynasz mięknąć, Jade.

- Jasne, że tak. - Mara odwróciła głowę, uśmiechnęła się do niego i podeszła do swojego X-winga.

Luke powiódł spojrzeniem po podwładnych.

- Piloci Eskadry Hardpoint, do maszyn - rozkazał.

ROZDZIAŁ 9

Koronet, Korelia

Kolir pokazała jakiś obiekt w głębi ulicy i spojrzała na chronometr umieszczony w zamku worka.

- Punktualnie co do minuty - oznajmiła.

Pozostali Jedi odwrócili się, żeby spojrzeć w tamtą stronę. Zobaczyli konwój powietrznych śmigaczy. Zbliżał się szybko, co było niezwykle, nawet jeżeli za sterami maszyn siedzieli koreliańscy piloci. Dwa pierwsze i dwa ostatnie śmigacze były polakierowanymi na brązowo i pomarańczowo maszynami KorSeku, bo nad ich przednimi iluminatorami błyskały raz po raz ostrzegawcze światła podobnej barwy. Lecący między nimi pojazd miał burty koloru ponurej purpury i nieprzezroczyste iluminatory, żeby nikt nie mógł zobaczyć pasażerów.

- Jedi, poznajcie Aidel Saxan, panią premier Pięciu Światów - odezwała się Jaina. - Aidel, poznaj swoich porywaczy. Thannie, poinformuj kontrolę, że nawiązaliśmy kontakt wzrokowy. Do dzieła.

Nadlatujący znad strumienia lądowych śmigaczy konwój opadł i wtopił się w strumień nadlatujących maszyn. Kiedy zbliżył się do pięciorga Jedi, piloci zwolnili do prędkości innych pojazdów. Kolir rozsunęła na boki zapięcia worka i weszła do niego, a zapięcia zacisnęły się wokół jej talii. Stojąc nieruchomo, Bothanka przywołała do dłoni srebrzysty cylinder świetlnego miecza.

Konwój znajdował się w odległości kilku metrów i się zbliżał, chociaż piloci zwolnili przed skrętem w lewo, w stronę bramy rezydencji.

- Dokładnie tak jak ćwiczyliśmy - oznajmiła Jaina. - Trzy, dwa, jeden... Teraz!

Reagując idealnie równocześnie, czworo Jedi skoczyło w powietrze, przeleciało nad poprzecznym strumieniem ruchu i poszybowało łukiem, każde w kierunku innego śmigacza KorSeku.

Jaina zrzuciła w locie strój podróżny, pod którym miała obcisły czarny kombinezon. Zanim wylądowała na masce pierwszej maszyny, odczepiła od pasa świetlny miecz i zapaliła klingę broni. Wbiła szpic ostrza w metalową powierzchnię przed stopami i obróciła klingę w taki sposób, żeby przeciąć przedział silnikowy. Usłyszała stłumiony huk, po którym śmigacz zaczął tracić prędkość i wysokość.

Pilot lecący za nim drugiej maszyny KorSeku zadarł dziób i przeleciał nad śmigaczem, na którym stała Jaina. Prowadził pojazd bardzo nisko, żeby ją strącić i prawdopodobnie zabić. Młoda Solo rozplaszczyła się na przodzie maski i kiedy drugi śmigacz przelatywał nad jej głową, uniosła wyprostowaną rękę ze świetlnym mieczem. Energetyczna klinga przecięła pancerną płytę podwozia i przeorała przedział silnikowy oraz środek przedniej części kabiny dla pasażerów. Tym razem rozległ się nie stłumiony huk, ale odgłos podobny do kasłania. Z rozcięcia strzeliły kłęby niebieskoczarnego dymu, maszyna skręciła raptownie w lewo i zanurkowała w kierunku alei.

Z głośników wszystkich czterech śmigaczy KorSeku rozległ się jazgotliwy sygnał alarmowy.

Jego wysoki ton i duża częstotliwość o mało nie rozsadziły uszu Jainy i oznajmiały wszystkim Korelianom w promieniu kilometra, że dzieje się coś złego.

Jaina poczuła silny wstrząs, kiedy zaatakowany przez nią śmigacz zderzył się z nawierzchnią alei. Pilot był widać doświadczony, bo szybko zapanował nad sterami. Maszyna uderzyła w coś z dużym impetem, skręciła na bakburtę, później na sterburtę i krzesząc iskry, odbiła się kilka razy od chodnika niczym płaski kamyk od powierzchni stawu. W końcu znieruchomiła niedaleko bram rezydencji pani premier.

Drugi uszkodzony przez Jainę śmigacz nie wzbił się w powietrze. Jego pilot leciał cały czas kilka metrów nad głową młodej Solo. Niesprawna maszyna, obracając się w locie wokół pionowej osi, kierowała się w stronę strumienia lądowych śmigaczy. Ich piloci skręcali gorączkowo we wszystkie możliwe strony, żeby uniknąć zderzenia.

Dwa unieszkodliwione, dwa inne nadal sprawne, pomyślała Jaina. Ułamek sekundy później poczuła napływający od Zekka impuls zaskoczenia i przerażenia.

Kiedy Zekk wylądował na śmigaczu pani premier, wbił szpic klingi świetlnego miecza w dach przedziału dla pasażerów - niezbyt głęboko, bo bał się kogoś zranić. Zaczął zataczać ostrzem krąg, ale wypalenie otworu zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał. Powietrzny śmigacz był opancerzony, a kiedy Zekk wylądował na dachu, pilot maszyny zaczął wykonywać raptowne manewry w pionie i w poziomie, w nadziei, że pozbędzie się intruza.

Zekk tylko wyszczerzył zęby w pogardliwym uśmiechu. Pomagając sobie Mocą, bez wysiłku zachowywał równowagę. Każdy manewr i każda chwila lotu z pełną prędkością oddalały pojazd pani premier od unieszkodliwionych maszyn KorSeku, od bramy jej rezydencji i wszystkich czekających tam strażników.

W końcu pilot śmigacza Aidel Saxan obrócił maszynę do góry podwoziem i w tej pozycji leciał pięćdziesiąt metrów nad strumieniem lądowych śmigaczy. Zekk skończył wycinać otwór klingą świetlnego miecza i pozwolił, żeby wypalony krąg przeleciał obok niego. Zgiął się pod ostrym kątem, jakby zamierzał wykonać ćwiczenie wzmacniające mięśnie brzucha, i wsunął głowę do przedziału dla pasażerów, żeby spojrzeć na ofiarę.

- Pani premier! - Zaczął głośno i wyraźnie, żeby przekrzyczeć świst wpadających do kabiny podmuchów wiatru. - Przepra...

Rozejrzał się po kabinie, ale nie zobaczył Aidel Saxan. Prawdę mówiąc, nie widział ani jednej żywej osoby. Nawet siedzący z przodu pilot, który prowadził pojazd, był androidem. Mundur funkcjonariusza KorSeku po prostu na nim wisiał. W wyściełanej purpurowym aksamitem, przestronnej kabinie siedział poobijany stary android protokolarny w źle skrojonej sukni balowej i w niebieskim kapeluszu z szerokim rondem. Zekk widział tylko jego metalową twarz i ramiona, na których spod srebrzystej powłoki prześwitywały plamy brązowej rdzy.

Android trzymał kanciasty przedmiot, podobny do dużego przenośnego terminalu komputerowego. Na górnej pokrywie mrugała czerwona lampka.

- Poinstruowano mnie, że w razie pojawienia się nieproszonych gości mam odtworzyć to nagranie - odezwał się automat przyjaznym, ale oficjalnie brzmiącym tonem. Wyciągnął rękę i przycisnął guzik na obudowie urządzenia.

Zekk wyprostował się, wystawił z otworu głowę i ramiona i zeskoczył... Prosto w dół.

Zdażył się oddalić najwyżej dwa metry od lecącego do góry podwoziem powietrznego śmigacza, zanim pojazd eksplodował.

Kolir i Thann dosiadałi uszkodzonych śmigaczy KorSeku, które odbijały się od chodnika i raz po raz zmieniały kierunek lotu. W pewnej chwili usłyszeli huk eksplozji i spojrzeli w górę.

Czerwonawy błysk wystarczył, żeby Falleen na kilka sekund oślepl. Młody Jedi przesłonił wolną ręką oczy i skupił się na utrzymywaniu równowagi.

Kolir nie spojrzała prosto w stronę miejsca eksplozji, ale zobaczyła wylatujące z kłębow dymu odłamki powietrznego śmigacza. Po lewej stronie i trochę pod nimi opadało bezwładne ciało Zekka. Jego ubranie stało w ogniu. Bothanka wyczuła, że rycerz Jedi jest nieprzytomny.

Bez namysłu uniosła rękę. Poczula, że Moc wypływa z jej ciała i miesza się z charakterystycznym zestawem wrażeń, wspomnień oraz struktur komórek, które były Zekkiem.

Jej problem nie polegał na tym, że nie umiała przemieszczać Mocą niespełna stukilogramowych ciężarów. W innych okolicznościach dałaby radę, posługując się umiejętnością telekinezy, unieść nawet tonę. Inne okoliczności pozostawiłyby jej jednak konieczną do skupienia się chwilę, żeby ukierunkować przepływającą przez nią Moc i wyeliminować wszystko, co zakłócałoby koncentrację...

Bothanka zrobiła wszystko, co mogła, i skupiła się na nowym zadaniu. Przestała kontrolować wspomaganą przez Moc przyczepność, która pozwalała jej utrzymać równowagę na śmigaczu, chociaż jego pilot zachowywał się jak pijany. Zapomniała o zapalanej klindze świetlnego miecza w dłoni. Chyba nawet nie słyszała sygnałów akustycznych nadlatujących ku niej lądowych śmigaczy, których piloci zbaczali z kursu i mijali ją o włos dosłownie w ostatnim ułamku sekundy.

Odnalazła Zekka i zaczęła spowalniać tempo opadania jego ciała. W pewnej chwili w powietrzu między nią a nieprzytomnym obiektem przeleciał repulsorowy autobus, ale Kolir nie uciekała się do pomocy zmysłu wzroku. Cały czas zwalniała szybkość opadania ciała rycerza Jedi, nawet wtedy, kiedy coś jej go przesłaniało. W końcu Zekk znieruchomiał piętnaście metrów nad chodnikiem przed rezydencją pani premier Pięciu Światów. Jego ubranie na plecach wciąż płonęło, a z ramion unosiły się smugi dymu.

W pewnej chwili uszkodzony przez Bothankę powietrzny śmigacz wbił się w rufę jednej z maszyn, zniszczonych wcześniej przez Jainę Solo. Kolir, pchnięta do przodu impetem zderzenia, wylądowała na bocznej powierzchni owiewki kabiny dla pasażerów. Odbiła się pod ostrym kątem, spadła na chodnik i przetoczyła się po permabetonie kilkanaście metrów, zanim znieruchomiała, nieprzytomna i zakrwawiona.

Oślepiąona przez błysk eksplozji Jaina odzyskała ostrość spojrzenia w samą porę, żeby zobaczyć Zekka. Rycerz Jedi unosił się nieruchomo obok niej w powietrzu na wysokości kilkunastu metrów, ale nagle zaczął spadać. Jaina odbiła się od maski powietrznego śmigacza, przefrunęła między nadlatującymi maszynami na sąsiednim pasie ruchu i wylądowała na chodniku przed rezydencją Aidel Saxan. Posługując się energią Mocy szybciej i z większą pewnością siebie niż przedtem Kolir, schwytała ciało Zekka kilka metrów nad chodnikiem i powoli, lecz ostrożnie opuściła go na miejsce obok siebie. Energicznymi ruchami rąk zduśiła płomienie trawiące ubranie młodego Jedi.

Uwolniła myśli i dzięki Mocy uświadomiła sobie, że życie nadal pulsuje w jego ciele. Korzystając z łączącej ich więzi, wyczuła też ból: ciało Zekka doznało obrażeń wskutek eksplozji. Na plecach i barkach miał pełno oparzeń, a z miejsc, w które wbiły się fragmenty zniszczonego śmigacza powietrznego, promieniował silny ból.

Jaina nie miała czasu na ustalanie, czy jakiś odłamek nie przebił ważnego organu i czy życie Zekka nie jest w niebezpieczeństwie. Usłyszała zgrzyt i spojrzała w stronę, z której doleciał. Drzwi

kabiny pierwszego zniszczonego przez nią śmigacza powietrznego się otworzyły i z kabiny wysiadło dwóch pasażerów.

Nie byli to wcale funkcjonariusze KorSeku. Obaj pasażerowie byli wysocy, mieli kanciaste kształty i ciała wykonane z połyskującego metalu, a w rękach trzymali potężne karabiny blasterowe. Ruszyli w stronę Jainy z pewnością siebie wynikającą z agresywnego oprogramowania i braku troski o własne bezpieczeństwo.

Byli androidami typu ZYV - Zabójcami Yuuzhan Vongów - produkowanymi przez firmę Tendrando Arms podczas wojny z Yuuzhan Vongami i tak zaprojektowanymi, żeby pod względem okrucieństwa i zdecydowania dorównywały budzącym trwogę wojownikom obcej rasy.

- Wpadliśmy w tarapaty - stwierdziła Jaina.

Drzwi kabiny opanowanego przez Thanna powietrznego śmigacza się otworzyły i z pojazdu wyszły dwa bojowe androidy typu ZYV. Oba wymierzyły blasterowe karabiny w miejsce na dachu, które zajmował rycerz Jedi.

Falleen odskoczył w prawo i wywinął w powietrzu salto nad głową pierwszego androida. Unikając strumienia blasterowych błyskawic, wylądował i kucnął za kadłubem uszkodzonej maszyny, żeby schować się przed stojącym nieopodal drugim androidem. Kiedy pierwszy automat kierował ku niemu broń, Thann machnął z góry na dół świetlistą klingą i przeciął łożysko jego blasterowego karabinu. Broń zaskwierczała i eksplodowała z odgłosem wprawdzie cichszym niż huk eksplozji powietrznego śmigacza, którym powinna podróżować pani premier Pięciu Światów, ale i tak donośnym. Karabin rozpadł się na kawałki, a w pierś rycerza Jedi wbiły się gorące odłamki.

Tymczasem bojowy android wcale nie wyglądał na zaskoczonego takim obrotem sprawy. Podszedł do Thanna, żeby go kopnąć. Opancerzony but automatu trafił rycerza Jedi w pierś. W ostatniej chwili Falleen zgiął się wpół, żeby osłabić impet uderzenia, ale i tak poczuł się, jakby trafił go pneumatyczny młot. Kopnięcie pozbawiło go równowagi i odrzuciło do tyłu. Thann runął na wznak na jezdnię alei dla lądowych śmigaczy, ale zaraz przetoczył się do tyłu, zerwał na nogi i nastawił zapaloną klingę świetlnego miecza.

Drugi bojowy android wskoczył na dach powietrznego śmigacza, skąd mógł lepiej widzieć ofiarę. Thann poraził pierwszy automat falą telekinetycznej energii i odrzucił go do tyłu w stronę drugiego androida. Obaj napastnicy spadli z dachu śmigacza, ale drugi zdążył jeszcze dać ognia z blasterowego karabinu. Na szczęście wszystkie błyskawice poleciały w niebo.

Thann przypomniał sobie wreszcie zasady taktyki walki. „Kryć się przed wzrokiem przeciwnika. Złożyć przelożonym meldunek o sytuacji. Ocenić możliwości sprzymierzeńców i wrogów”. Wskoczył w powietrze, wywinął salto i odbił się wolną dłonią od burty przelatującego śmigacza powietrznego z otwartą kabiną. Posłużył się Mocą, żeby pchnęła go dalej w tym samym kierunku, pilnując jednocześnie, żeby nie zwichnąć sobie ręki pod wpływem impetu zderzenia z burtą maszyny. Obejrzał się i widząc przerażenie na twarzy pilotującego pojazd ciemnowłosego kilkunastoletniego chłopaka, uśmiechnął się uspokajająco. Odbił się stopą od drugiej burty maszyny, wywinął w powietrzu jeszcze jedno salto i wylądował bezpiecznie na przedniej masce lecącego najwyższym pasem ruchu innego śmigacza. Prowadził go ubrany w kosztowny garnitur mężczyzna w średnim wieku, który zaczął gniewnie wymachiwać rękami i coś krzyczeć, ale jego słowa zagłuszył świst wiatru.

Thann szybował w powietrzu na wysokości dziesięciu metrów i coraz bardziej oddalał się od miejsca bitwy z bojowymi androidami w kierunku, z którego przyleciał konwój pani premier Pięciu

Światów.

Nie przejmując się furkotem fałd płaszcza, wyciągnął komunikator i spokojnie zameldował:

- Purella do Tauntauna, Purella do kontroli. Grupa Purella wpadła w zasadzkę. Cel naszej akcji nie został osiągnięty. Miejcie się na baczności.

Otwarte Przesławia, lotniskowiec „Dodonna”

Czekając na rozkaz startu, Lysa Dunter siedziała na fotelu pilota i przeklinała swoją grzywkę.

Była urodziwą młodą kobietą o błękitnych oczach i ciemnoblonde włosach. Nigdy nie narzekała na brak zainteresowania płci przeciwnej, zwłaszcza gdy grzywka spadała jej na oczy. Jeżeli jednak nie zaczesła włosów do góry idealnie dokładnie, i to na ułamek sekundy przed założeniem hełmu pilota, grzywka wymykała się spod niego i przesłaniała górną część jej pola widzenia... Jak w obecnej chwili.

Mogła wprawdzie zdjąć hełm w ciasnej kabine myśliwca przechwytyjącego typu Eta-5 i poprawić włosy, ale gdyby to zobaczył dowódca jej eskadry, którego maszyna spoczywała w hangarze gwiazdnych myśliwców „Dodonna” jeden poziom wyżej i na lewo od jej maszyny, zacząłby się z niej nabijać. A Lysa nie znosiła, kiedy ktoś z niej żartował.

Czekając na sygnał startu, siedziała w kabine, zirytowana z powodu grzywki. Wybijała prawą stopą na podłodze kabiny rytm, który miał jej pomóc się uspokoić i uzbroić w cierpliwość.

Nagle z głośnika pokładowego komunikatora rozległ się trzask, a zaraz po nim dał się słyszeć głos dowódcy eskadry:

- Tu „W-Miecz Jeden” do wszystkich pilotów. Meldować stan. Natychmiast odezwał się skrzydłowy dowódcy:

- „W-Miecz Dwa”, stan idealny, gotów do startu.

Lysa uświadomiła sobie, że oddycha coraz szybciej. Niedługo miała wystartować na pierwszą prawdziwą wyprawę bojową. Dowódca powiedział, że jeżeli jego podwładni będą mieli szczęście, w ogóle nie zobaczą żadnej walki... A każdy, kto chciał mieć szczęście, mógł poprosić o przeniesienie do innej eskadry. Lysa nie chciała takiego szczęścia.

Usłyszała, że poprzedni pilot w kolejce kończy meldować stan swojej maszyny.

- Tu „W-Siódemka” - odezwała się, kiedy nadeszła jej kolej. - Dwa zielone, broń gotowa do strzału.

Później przyszła kolej na jej skrzydłowego.

Po kilku następnych sekundach, kiedy meldunek o stanie myśliwca złożył ostatni z dziesięciu pilotów Eskadry Wibromieczny, w kabine myśliwca Lysy rozległ się znów głos dowódcy:

- „W-Miecz Siedem”, słyszymy dziwne odgłosy z mikrofonu twojego komunikatora.

Przyłapana na gorącym uczynku Lysa unieruchomiła stopę, którą nerwowo wybijała rytm na podłodze kabiny.

- Przepraszam, dowódco - powiedziała. - Musiałam umocować obłuzowany podłokietnik fotela.

- Jesteś pewna, „Siódemko”, że to nie była noga fotela? - W głosie dowódcy eskadry brzmiało rozbawienie.

Lysa zamknęła oczy i zmeła w ustach przekleństwo. Nie zamierzała odpowiadać, żeby nie dawać przełożonemu kolejnego powodu do drwin. Zignorowała cichy śmiech, jaki rozległ się w kanale wspólnym pilotów jej eskadry.

Chwilę później usłyszała inny głos:

- Skok przez nadprzestrzeń zakończony. Wszystkie eskadry, przygotować się do startu. Pierwsza wylatuje Eskadra Hardpoint, a zaraz po niej wahadłowiec „Niebiosa Chandrili”.

Na posadzce hangaru prosto przed dziobem myśliwca Lysy pojawiła się czarna linia, częściowo przesłonięta przez stojące bliżej niej rzędy myśliwców przechwytyjących typu Eta-5 i X-wingów. Po chwili linia się rozszerzyła i Lysa zobaczyła usiane iskierkami gwiazd przestworza.

Piloci X-wingów przesłali energię do jednostek napędowych. Niektórzy włączyli repulsory i unieśli tęponose maszyny metr czy dwa nad płytę lądowiska. Na myśl, że podczas tej operacji to eskadra Jedi wyleci pierwsza z pokładu „Dodony”, Lysa poczuła lekką irytację, ale szybko się jej pozbyła.

Jej ojciec powiedział kiedyś: „Dopóki będziesz pilotką, musisz godzić się z faktem, że władający Mocą piloci będą reagowali szybciej, mierzyli celniej, dostawali lepsze myśliwce i cieszyli się większą sławą. My jednak, którzy nie umiemy władać Mocą... No cóż, kiedy wzniesiemy się na wyżyny naszych możliwości, będziemy mogli spoglądać Jedi prosto w oczy i przypominać sobie, że osiągnęliśmy to wszystko bez uciekania się do sztuczek”.

Lysa uświadomiła sobie, że ta myśl ją uspokoiła. Włączyła repulsory tak delikatnie i precyzyjnie, że zaimponowałyby każdemu Jedi, który by ją obserwował. Uniosła maszynę dokładnie metr nad płytę lądowiska, unieruchomiła ją w powietrzu i postanowiła ostatni raz sprawdzić odczyty pokładowych przyrządów.

Rycerze Jedi przesłali energię do jednostek napędowych swoich X-wingów, wylecieli z hangaru i zanurkowali w usianą punkcikami gwiazd pustkę przestworzy. Chwilę później ich śladem ruszył powoli opancerzony wahadłowiec „Niebiosa Chandrili”.

- Eskadro Wibromieczny, teraz wasza kolej!

Admirał Klauskin stał przed iluminatorem na mostku „Dodony” i wpatrywał się w przestworza. Próbował pogodzić to, co widzi, ze słowami swojej doradczyni.

Po stronie sterburty, całkiem blisko, unosiła się Korelia. Lotniskowiec wyskoczył z nadprzestrzeni po jej nocnej stronie i tak blisko, że tarcza planety przesłaniała promienie słońca. Okręty biorące udział w operacji opuściły nadprzestrzeń, zwrócone dziobami ku planecie. Ich dowódcy mieli wykonać zwrot na bakburkę, zająć pozycje na wysokiej orbicie i obrać kurs ku skapanej w blasku słońca stronie Korelii.

Po stronie bakburty unosiły się dziesiątki biorących udział w operacji okrętów liniowych: krążowników, lotniskowców, niszczycieli i fregat. Z ich hangarów wylatywały setki gwiazdnych myśliwców i jednostek pomocniczych. Każdy pilot miał zapalone światła pozycyjne. Wszyscy mieszkańcy planety w dole powinni widzieć świetliste piękno i potęgę sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu, które ostrzegały samą swoją obecnością: nie rzucajcie wyzwania najpotężniejszej władzy galaktyki.

Klauskin odwrócił się do stojącej za jego plecami doradczyni, Fiav Fenn. Sullustanka mówiła coś o precyzji bojowego szyku, w jakim wyłoniły się okręty floty Galaktycznego Sojuszu. Wszystko wskazywało na to, że dowodzone przez Klauskina jednostki zajmują pozycje o współrzędnych, które admirał ustalił poprzedniego dnia podczas generalnej odprawy. Klauskin pokręcił głową i machnięciem ręki przerwał potok słów doradczyni.

- Odpowiedź z dołu? - Zapytał.

Sullustanka urwała tak raptownie, jakby musiała zmienić bieg swoich myśli.

- Na razie żadnej, panie admirale - powiedziała.

- Żadnej? - Klauskin zmarszczył brwi. - Ile czasu upłynęło, odkąd wyskoczyliśmy z nadprzestrzeni?

- Cztery minuty i trzydzieści osiem sekund - zameldowała doradczyni. - Trzydzieści dziewięć, czterdzieści, czterdzieści jeden...

- Wystarczy, wystarczy. - Klauskin zamrugał. Dowódcy koreliańskich sił zbrojnych musieli być bardzo kiepsko wyszkoleni albo niekompetentni, skoro mimo upływu niemal pięciu minut od pojawienia się na niebie nieznannej floty nie wydali rozkazu startu pilotom pierwszych eskadr gwiazdnych myśliwców.

Chwilę później w przestworzach pojawiło się setki błysków i z nadprzestrzeni wyłoniła się inna flota.

Admirał zobaczył kątem oka błysk zielonych świateł pozycyjnych, a na mostku jego lotniskowca rozległo się wycie alarmowych syren. Klauskin odwrócił się w lewo, żeby spojrzeć przez iluminator, i zamarł.

Całą przestrzeń między jego flotą a każdym rozsądnym wektorem odwrotu z okolic Korelii zajmowały gwiazdne jednostki innej armady, rozsiane w przestworzach rzadko niczym węzły niewidocznej sieci. Wszystkie leciały tym samym kursem, ale na wyższej orbicie. Musiały rozwijać o wiele większą prędkość niż flota Klauskina, skoro zajmowały cały czas te same pozycje nad okrętami Galaktycznego Sojuszu.

Było za daleko, żeby gołym okiem rozpoznać skład nowo przybyłej armady. Widząc ją z takiej odległości, admirał mógł tylko zauważyć, że każdy z dziesiątków czy setek myśliwców albo okrętów ma zapalone zielone światła pozycyjne, co sprawiało zadziwiająco jednolite wrażenie, jakby piloci byli połączeni jedną myślą. Klauskin żałował, że nie pomyślał o takim przekonującym manewrze, kiedy wydawał rozkaz startu dowódcom jednostek swojej floty.

Uświadomił sobie, że słyszy rozmowy członków personelu mostka, którzy - zajęci wykonywaniem obowiązków - starali się przekrzyczeć zawołanie alarmowych syren. Słyszał tylko strzępki zdań:

- ...Utworzyli szyk po przeciwnej stronie Crolli czy Soronii i przeskoczyli...

- ...żadnych wrogich ruchów...

- ...Utrzymują łączność między sobą, ale nie nawiązali jej z nami...

W końcu Klauskin odzyskał panowanie nad głosem.

- Wyłączyć alarmowe syreny! - Krzyknął, ale rozkaz zabrzmiał niepewnie nawet w jego uszach. - Już wiemy, że tu są! Skład nieprzyjacielskiej armady?

- Właśnie się tym zajmujemy, panie admirale - zameldował szef grupy operatorów stanowisk czujników i skanerów. - Nie mają jednostek klasy „Dodony”, ale ściągnęli gwiazdne okręty obronne klasy Strident, a także mnóstwo fregat, korwet, patrolowców, kanonierek i ciężkich transportowców. Naturalnie większość wyprodukowano w firmie Corellian Engineering Corporation. Musieli wydać rozkaz startu nawet na w pół ukończonym jednostkom, wszystkim przerdzewiałym baliom i wszystkim luksusowym jachtom w systemie, żeby dokonać tej sztuki.

Klauskin uśmiechnął się kwaśno.

- Nasze sensory nie powiedzą nam, które z nich to przerdzewiałe balie, a które są okrętami w idealnym stanie?

- To prawda, panie admirale. Nie z tej odległości - odparł szef grupy operatorów stanowisk. -

Naliczyliśmy także przynajmniej tuzin eskadr gwiazdnych myśliwców, może nawet więcej... Z tak daleka zwarty szyk czasami daje echo podobne do sygnału średniej wielkości okrętu. Podejrzewamy, że większość to stare jednostki... „Quat A-Dziewiątki” i „A-Dziesiątki”, Wycobiegacze i rozmaite klasy myśliwców typu TIE.

- Z szalonymi koreliańskimi pilotami za sterami - dodał Klauskin.

- Tak jest, panie admirale.

Dyskretna do tej pory doradczyni Fiav zdecydowała się zaakcentować swoją obecność i stanęła u boku naczelnego dowódcy floty.

- Panie admirale - szepnęła. - Czy planuje pan zmianę rozkazów tej operacji?

- Zmianę rozkazów? - Powtórzył zdezorientowany Klauskin. Zauważył z przerażeniem, że ma pustkę w głowie. Bardzo go to zaniepokoiło, bo jego charakterystyczną cechą w karierze zawodowej było zawsze zdecydowanie.

Musiał jakoś rozwiązać ten problem. Powinien wydać nowe rozkazy, żeby dowódcy jego okrętów mogli wykonać zadanie mimo komplikacji, jakie stwarzało przybycie koreliańskiej armady. Przy poprzednich rozkazach było to niemożliwe. Głównym celem Galaktycznego Sojuszu miała być demonstracja siły. Chodziło o to, żeby wzbudzić u Korelian podziw, strach, a może nawet konsternację.

Klauskin nie mógł już liczyć na taki efekt, bo Korelianie odpowiedzieli na jego ruch swoim ruchem, zamiast wpaść w przerażenie na widok ściągniętych przeciwko nim sił zbrojnych. Pewnie udałoby się ich pokonać... Ale za cenę rozlewu krwi, a tego Klauskin chciał za wszelką cenę uniknąć.

Uświadomił sobie, że przegrał. Jego operacja trwała niespełna pięć minut, a on poniósł sromotną klęskę. Nie umiał myśleć o niczym innym.

- Rozkazy, panie admirale?

Klauskin pokręcił głową.

- Kontynuować operację zgodnie z poprzednio wydanymi rozkazami - powiedział. - Skierować połowę eskadr gwiazdnych myśliwców do osłony okrętów liniowych. Nie rozpoczynać działań zaczepnych.

Odwrócił się i wbił spojrzenie w powierzchnię Korelii. Zobaczył rozchodzące się promieniście linie oświetlonych ulic w miastach i jaśniejszą poświatę w miejscu, w którym wkrótce miało wzejść słońce. Dotarło do niego, że nowe rozkazy właściwie nie zmieniają sytuacji jego floty. Zwłaszcza, jeżeli Korelianie mogli mieć w zanadrzu jeszcze więcej niespodzianek.

Musiał uporać się z tym problemem. I to natychmiast.

Po starcie Eskadra Wibromieczy stała się typowym, szybko lecącym strumieniem myśliwców przechwytyjących typu Eta-5. Kiedy Lysa wyleciała z wrót bakburtowego dziobowego hangaru dla gwiazdnych maszyn, zobaczyła w oddali błyski ognia z dysz wylotowych myśliwców Eskadry Hardpoint pod dowództwem Luke'a Skywalkera. Siedzący za sterami X-wingów Jedi nurkowali w kierunku atmosfery planety, żeby wykonać zadanie, które miało się rozpocząć po słonecznej stronie.

Chwilę później Lysa zobaczyła w oddali po stronie bakburty mrowie zielonych świateł pozycyjnych. O mało nie otworzyła ust ze zdumienia.

- Dowódczo, mamy problem... - Zaczęła.

Jej głos zmieszał się z meldunkami innych pilotów, którzy przekazywali tę samą informację we wspólnym kanale eskadry.

- Utrzymywać kurs i prędkość. - W głosie dowódcy W-Mieczy brzmiała, jak zawsze, spokojna

pewność siebie. Tym razem jednak Lysa nie usłyszała w nim kpiarskiego tonu. - Poprawka. Lecieć za mną. - Dowódca W-Mieczy i jego skrzydłowy zatoczyli łuk i zawrócili. Nie kierowali się jednak prosto w stronę „Dodony”, ale do punktu przestworzy kilka kilometrów od burty lotniskowca. Kiedy się z nim zrównali, obrali kurs równoległy i zwolnili. - To nasza nowa pozycja - oznajmił dowódca. - Macie mieć oczy szeroko otwarte i spodziewać się wrogich intencji ze strony Korelian.

- Dowódco, tu „Siódemka” - odezwała się Lysa. - Czy sama ich obecność w tym miejscu nie stanowi dowodu wrogich intencji?

- Prawdopodobnie na widok naszej floty, „Siódemko”, Korelianie zadają sobie to samo pytanie - usłyszała. - A odpowiedź na oba pytania jest twierdząca.

- Dziękuję panu, dowódco. - Lysa uświadomiła sobie, że jej stopa znów wybija rytm na podłozie kabiny myśliwca. Tym razem jednak nie zadała sobie trudu, żeby zapanować nad nerwami.

ROZDZIAŁ 10

Stacja Centerpoint, System Koreliański

Jacen zsunął na bok płachtę przesłaniającą jego głowę i wyjrzał na zewnątrz. Popatrzył do góry i do tyłu.

Podróżował dziwnym środkiem lokomocji - odkrytym wagonikiem pociągu repulsorowego. Połączone w szereg wagony unosiły się nad płytami trakcyjnymi ułożonymi przed wieloma laty wzdłuż dłuższej osi stacji Centerpoint. Rycerz Jedi spojrział na sklepienie, które znajdowało się w odległości najwyżej kilkuset metrów nad jego głową i z każdą chwilą się zbliżało. Zorientował się, że repulsorowy pociąg opuścił już ogromny, otwarty obszar centralny, zwany Jaskiniowem, i zmierzał do przewężenia w „górze” stacji - czyli do miejsca, gdzie odkryto najczęściej ważnych pomieszczeń kontrolnych i sterowni. To właśnie tam badający stację naukowcy zainstalowali większość sprzętu komputerowego.

Wysoko nad głową Jacen zobaczył grupę kanciastych budynków mieszkalnych o ścianach barwy stonowanego brązu i zieleni. W tym prastarym obiekcie domy wyglądały dziwnie nie na miejscu. Jacen miał do wykonania bardzo ważne zadanie, ale mimo to ubawił go widok domów, które wzniesiono „do góry nogami”. Na pewno czułby się dość nieswojo, gdyby każdego ranka, budząc się ze snu, patrzył na odległą podłogę, po której przemieszczają się nieustannie repulsorowe pociągi i turbodźwigi.

Leżał sam pośrodku sterty towarów dla mieszkańców stacji: paczek z ubraniami, konserw, okratowanych skrzyń z kartami danych oraz ze zdezaktywowanymi androidami i robotami. Ben podróżował tym samym repulsorowym pociągiem kilka wagoników dalej i na razie pozostawał w ukryciu. Jacen zdecydował się na tę metodę działania w końcowym etapie planowania wyprawy. „Będziesz się trzymał za mną w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów - polecił kuzynowi. - Ćwicz techniki ukrywania swojej obecności i nie staraj się skontaktować ze mną, chyba że twoje życie będzie zagrożone. Gdyby mnie ktoś obezwładnił albo zabił, albo gdyby mnie wessało popsute urządzenie do uzdatniania atmosfery zostaniesz sam. Mogą się wydarzyć różne nieprzewidziane rzeczy, które uniemożliwią mi wykonanie zadania. A wtedy będziesz musiał zrobić to sam”. Ben pokiwał wówczas ponuro głową. Prawdopodobnie pierwszy raz uświadomił sobie, że to nie przelewki. Rozwój sytuacji mógł sprawić, że będzie zdany tylko na własne siły.

Sklepienie cały czas się zbliżało, aż znalazło się zaledwie trzydzieści metrów nad głową Jacena. Niespodziewanie rycerz Jedi przetoczył się na burtę wagonika, kiedy repulsorowy pociąg gwałtownie skręcił i zanurkował. Sunął obecnie w głąb tunelu o średnicy trzykrotnie większej, niż wydawała się konieczna do pomieszczenia całego składu. Oświetlenie zapewniały rozmieszczone w równych odstępach pręty jarzeniowe, które wydzielaly bladozielone światło. Mniej więcej co sto metrów ze ścian wystawały poziomo metalowe płyty. Jacen doszedł do wniosku, że szyb zbudowano

niegdyś w zupełnie innym celu. Prawdopodobnie po jego odkryciu nowi właściciele stacji doszli do wniosku, że to miejsce dobrze się nada do ukrycia zwykłego pociągu repulsorowego przed oczami użytkowników, zwłaszcza że szyb prowadził do miejsca naszpikowanego wrażliwą aparaturą elektroniczną.

Jacen zauważył także, że na wystających metalowych pomostach ktoś wymalował ogromne cyfry. Doktor Seyah wyjaśnił, że to numery włączów umożliwiających dostęp do zespołów pomieszczeń i korytarzy na górze lub na dole. Zazwyczaj z szybu korzystali tylko robotnicy. W innych szybach tego typu instalowano najczęściej otwarte ze wszystkich stron, prowizoryczne turbowyciągi korbowe w rodzaju takich, jakie widywało się na placach budów całej Coruscant.

Zanim Jacen minął metalowy występ z cyfrą 103, odrzucił na bok przykrywającą go płachtę i rozejrzał się, aby się upewnić, że nikt go nie widzi. Wyskoczył z wagonika, wylądował na metalowej platformie i ruszył w kierunku najbliższego włączu z klapą oznaczoną tyleż wyraźnie, co niechlujnie - kilkoma maźnięciami pędzla zanurzonego w wiadrze z pomarańczową farbą.

Włącz mieścił się we wgłębieniu bocznej ściany, które miało wysokość dwóch trzecich wzrostu przeciętnego mężczyzny i kształt zbliżony do spłaszczonej elipsy. Zamykające włącz zbrojone durastalowe drzwi wyglądały, jakby zainstalowano je dużo później. Podobne wrażenie rozbił komputerowy panel kontrolny na ścianie obok.

Jacen szarpnął za sztabę, która zamykała klapę włączu. Przez łukowaty otwór w metalowej płycie widział tylko uchwyt sztaby. Gdyby dał radę przestawić ją z lewej w prawo, włącz stanąłby przed nim otworem.

Sztaba jednak ani drgnęła. Klapa nie dała się otworzyć.

Jacen spojrzął na panel kontrolny. Doktor Seyah zdradził mu kombinację cyfr, po której wpisaniu klapa by się otworzyła. Jeżeli jednak funkcjonariusze KorSeku przydzielali inne kombinacje różnym pracownikom, a później rejestrowali, kiedy dany kod został użyty, wpisanie osobistego kodu doktora Seyaha zdemaskowałoby go jako osobę, która wyjawiała tę tajemnicę Jacenowi.

Rycerz Jedi zapalił klingę świetlnego miecza i wbił szpic w metalową płytę. Szło mu ciężko, bo żaroodporna płyta była bardzo gruba. W końcu Jacen przebił się na wylot i powoli zaczął przesuwając klingę poziomo.

Pół minuty później krawędzie przecięcia rozjarzyły się złocistym blaskiem. Metalowa sztaba puściła z brzękiem. Jacen zgasił miecz, złapał uchwyt sztaby wysoko nad wypalonym miejscem i szarpnięciem otworzył klapę włączu.

Zobaczył za nim zwyczajny cylindryczny metalowy szyb, oświetlony przez rozmieszczone w równych odstępach pręty jarzeniowe. Na wysokości głowy Jacena wisiały cztery grube metalowe liny z pętlami i cztery cieńsze kable, zakończone sterownikami o dwóch przyciskach, takich, jakich używano do wciągania albo opuszczania pracowników. Robotnik na budowie zaczepiał do pętli grubej liny hak osobistego pasa bezpieczeństwa i wciskał guzik z napisem „Wciąganie”. Jacen przypasał rękojeść świetlnego miecza, chwycił lewą ręką grubszą linę i palcami prawej wcisnął odpowiedni guzik. Gdzieś na górze obudził się do życia kołowrót wciągarki i Jacen zaczął się unosić z oszałamiającą szybkością.

Jazda dobiegła końca po czterdziestu metrach. W tym miejscu od szybu odchodził w bok poziomy tunel. Jacen pomógł sobie Mocą, zbliżył się do progu tunelu, przefrunął nad nim i bezgłośnie wylądował na metalowej posadzce. Kilka metrów dalej zauważył następny nowoczesny włącz.

Zamykająca go sztaba znajdowała się po prawej stronie, a kontrolny panel obok klapy nie był

podświetlony. Jacen przyjrzał mu się uważnie. Doktor Seyah przekazał mu kod dostępu umożliwiający otworzenie klapy także tego wjazdu, ale wszystko wskazywało, że rycerz Jedi nie będzie musiał się nim posłużyć.

Wszystko na to wskazywało.

Jacen odczepił od pasa rękojeść świetlnego miecza, a drugą ręką uchylił klapę wjazdu.

Musiał użyć większej siły, niż zazwyczaj wymagało przemieszczenie takiego ciężaru, bo ciśnienie atmosfery po drugiej stronie wjazdu było wyższe niż po stronie Jacena. Kiedy rycerz Jedi uchylił klapę na szerokość dłoni, poczuł strumień chłodnego powietrza. Pchnął jeszcze dalej, żeby wyjrzeć, ale po drugiej stronie panowała nieprzenikniona ciemność, więc napał na klapę z całej siły i otworzył klapę do końca. Przeskoczył ponad progiem wjazdu i powoli zamknął ciężką metalową płytę. Musiał pilnować, żeby różnica ciśnień atmosfery nie zatrzęsła jej z donośnym hukem.

Zamarł, ale usłyszał tylko odgłos swojego oddechu i napływające z oddali echo pracy klimatyzatora. Nie widział niczego, ale pomieszczenie musiało być bardzo duże. Pokiwał głową. Wszystko zgadzało się z tym, co powiedział mu doktor Seyah. Prawdopodobnie znalazł się w owalnej, pustej sali, na tyle dużej, żeby można było w niej organizować na niewielką skalę wyścigi lądowych śmigaczy. Naturalnie rzeczywiste przeznaczenie wielkiej sali pozostawało nieznane. Po drugiej stronie powinien się natknąć na kilka ramp umożliwiających dostęp na wyższe poziomy, skąd mógłby się dostać do głównej sterowni stacji Centerpoint i generatorów odpowiedzialnych za wytwarzanie sztucznego ciężenia. Instalowane od wielu lat urządzenia dopiero nieco wcześniej osiągnęły pełną wydajność.

Nagle od strony wjazdu, przez który wszedł do pomieszczenia, doleciał głośny łoskot, a umieszczony na ścianie obok klapy kontrolny panel się rozjarzył. Podświetlone na czerwono i zielono guziki z cyframi dawały tyle światła, że Jacen mógł się zorientować, gdzie stoi.

Chrząknął i krzyknął najgłośniej jak mógł:

- Czy mam czekać, aż ktoś wygłosi powitalne przemówienie?!

Wysoko nad jego głową zapaliły się oślepiające białe światła. Rycerz Jedi osłonił oczy przed blaskiem i skupił uwagę na Mocy, usiłując wyczuć, czy nie nadciąga niebezpieczeństwo, albo czyjeś złe zamiary.

Niczego groźnego nie wyczuł.

Z daleka, z usytuowanych wysoko po drugiej stronie hali ramp, dobiegł męski głos:

- To ma być żart? Spośród wszystkich osób przysłali właśnie ciebie?

Kiedy Jacen odzyskał ostrość spojrzenia, zobaczył mężczyznę w butach, granatowych spodniach, wymiętej tunice i rozpiętej kurtce, a obok niego kilkunastu zakutych w pancerze i uzbrojonych w karabiny żołnierzy KorSeky. Stali na balkonie, którym Jacen mógłby się wydostać z hali. Rycerz Jedi znał tego człowieka, ale kiedy go rozpoznał, przeżył wstrząs.

Mężczyzna wyglądał identycznie z jego ojcem... Był tylko trochę szczuplejszy i nosił szpakowatą brodę. Zdradzał pewność siebie, graniczącą z arogancją - inaczej niż zuchowatość Hana.

- Thrackan Sal-Solo - odezwał się Jacen. - Sądziłem, że przebywasz na Korelii, gdzie mówisz obywatelom, co mają myśleć, i udajesz, że nie jesteś skazanym przestępcą.

- Mały Jacen. - Wyglądający niemal jak sobowtór jego ojca mężczyzna uśmiechnął się pogardliwie. - Na razie kieruję pracami zmierzającymi do przywrócenia stacji Centerpoint dawnej świetności. Doszły mnie słuchy, jakoby Galaktyczny Sojusz zamierzał rozpocząć w Systemie Koreliańskim ofensywę. Taka akcja nie miałaby sensu z politycznego punktu widzenia... Chyba że

Sojusz się dowiedział, jak niewiele brakuje do przywrócenia stacji pełnej sprawności. Doszedłem więc do wniosku, że powinienem tu przylecieć, żeby poczynić przygotowania do odparcia ataku żołnierzy oddziałów szturmowych, komandosów... Albo Jedi.

Jacen obrzucił kuzyna karcącym spojrzeniem.

- Nie można się przygotować przeciwko Jedi - powiedział.

- Owszem, można - sprzeciwił się Thrackan. - Muszę przyznać jednak, że czuję się obrażony. Czy dla zniszczenia celu równie ważnego jak stacja Centerpoint nie powinno się wysłać Luke'a Skywalkera? A może jesteś silniejszy Mocą niż on?

Jacen obdarzył krewniaka wymuszonym uśmiechem.

- Nie, po prostu jestem wyszkolony w trochę inny sposób - odparł lodowatym tonem. - A poza tym z mojego doświadczenia wynika, że każdy, kto uważa się za silniejszego niż mistrz Skywalker, może się spodziewać wielu przykrości ze strony jego zwolenników.

Thrackan spojrział na niego ze współczuciem.

- Rozumiem, rozumiem - powiedział. - W podobny sposób postępuje się u nas z każdym, kto twierdzi, że jest lepszym Korelianinem niż Han Solo.

- Ach, tak? - Jacen uniósł rękojeść świetlnego miecza, ale nie wysunął energetycznej klingi. - Mam nadzieję, że ty i twoi żołnierze zechcecie wyświadczyć mi przysługę i usunąć się z drogi - dodał. - Dzięki temu będzie mniej odciętych kończyn i głów.

Thrackan obrzucił go znów współczującym spojrzeniem.

- Nie możemy dopuścić, żebyś uszkodził albo zniszczył tę stację - powiedział. - Nie pozwolimy na to. Jeżeli się od razu poddasz, ocalisz życie. Nie stanie ci się żadna krzywda.

- Tak myślałem. - Jacen ruszył w kierunku najbliższej rampy pod balkonem, na którym stał Thrackan.

Przywódca Korelii nonszalancko wyciągnął rękę. Jeden z agentów KorSeku wręczył mu coś, co wyglądało jak hełm pilota. Powoli, wykonując zamierzone ruchy i nie odrywając spojrzenia od Jacena, Thrackan założył hełm na głowę i pstryknął palcami. Dwa małe roboty, podobne do jednostek astromechanicznych typu R-5, ale bez kopulek, zamiast których zainstalowano niczym nieosłonięte urządzenia, wytoczyły się zza pleców agentów KorSeku i znieruchomiały przed poręczą balkonu.

I zaczęły emitować dźwięki.

W pierwszej chwili Jacen nic nie usłyszał. Fale dźwiękowe poraziły go niczym uderzenie porywistego wiatru. Powaliły go na kolana i zadały ból każdemu milimetrowi kwadratowemu jego skóry, jakby była przypiekana przez ogromny palnik plazmowy. Rękojeść świetlnego miecza wyslizgnęła się z jego zdrętwiałych palców i potoczyła po metalowej posadzce.

W ostatnim przeblysku świadomości, jaka mu jeszcze pozostała, dręczony bólem Jacen uświadomił sobie, jaką metodę zastosował Thrackan Sal-Solo: atak soniczny, którego nie trzeba było kierować - sam w sobie wystarczał, żeby obezwładnić rycerza Jedi.

Poruszając się cicho jak duch, Ben doszedł do miejsca, z którego zobaczył właz. To tędy wszedł Jacen. Chwilę później usłyszał łoskot zamykanej klapy i zobaczył, że na kontrolnym panelu zapala się lampka. Przyjrzał jej się podejrzliwie, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dlaczego Jacen uniemożliwia mu dalszą wędrówkę?

Kilka sekund później zorientował się, że ktoś nadchodzi z odległego krańca tunelu... Słyszał wypowiedane słowa i odgłos kroków. Niektóre dźwięki brzmiały jak huk uderzenia metalu o metal i niosły się w tunelu donośnym echem po gładkiej podłodze. Ben odwrócił się i pokonał sprintem

odległość do krawędzi pionowego szybu.

Dopiero tam stanął, jakby się zawahał. Gdyby skoczył, chwycił jeden z wiszących kabli i zjechał w głąb szybu, wszyscy dowiedzieliby się o jego obecności... Zdradziłyby go warkot pracującej wciągarki i kołysanie się grubej liny.

Zamiast tego odwrócił się, uklęknął i ostrożnie ześlizgnął się w głąb szybu. Zawisł na palcach lewej ręki, a prawą chwycił przyczepioną do pasa rękojeść świetlnego miecza. Doszedł do wniosku, że zaciśnięte na krawędzi, nieruchome palce będą go mniej zdradzały niż rozkołysana lina i warkot wciągarki.

Wstrzymał oddech i słuchał zbliżającego się odgłosu kroków wielu osób. Ucichły dopiero w odległości kilkunastu metrów od niego... Prawdopodobnie przed zamkniętym włazem, za którym zniknął Jacen.

Ben usłyszał kobiecy głos:

- Zastawimy ją tutaj. Obserwujcie cały korytarz. Jedi mają paskudny zwyczaj wypalania otworów w ścianach w miejscach, w których się ich nikt nie spodziewa. „Dziewięć-dwa-Zet”, zajmij pozycję w tym miejscu.

Ben usłyszał dźwięczne odgłosy stąpania kogoś ciężkiego, kto prawdopodobnie miał podkute buty. Podciągnął się i wyjrzał ponad progiem tunelu.

Przed włazem stał oddział zakutych w pancerze żołnierzy KorSeku, którym towarzyszyły dwa automaty. Ben rozpoznał bojowe androidy typu ZYV - wojenne maszyny, zaprojektowane do walki z Yuuzhan Vongami. Wyglądały jak ludzie, ale były wyższe i miały szersze torsy. Dysponowały potężną siłą ognia i śmiertelnie skutecznym oprogramowaniem.

Oba androidy miały plecaki tak duże, że zmieściłby się w nich dorosły człowiek. Jeden ZYV podszedł do włazu i znieruchomiał przed stojącą tam funkcjonariuszką KorSeku.

- Słuchajcie, żołnierze - ciągnęła kobieta. - Jeżeli zobaczycie intruza, wycofajcie się, staniecie w szeregu i otworzycie ogień. Dziewięć-dwa-Zet, na widok Jedi podejdiesz do niego tak blisko, jak się da, i zdetonujesz swój ładunek.

Android pokiwał głową.

- Zrozumiałem - powiedział generowanym przez elektroniczny syntetyzator, pozbawionym wszelkich emocji, głosem.

Funkcjonariuszka odwróciła się do pozostałych.

- Słyszeliście? - Zapytała. - Jeżeli zobaczycie, że android idzie w kierunku intruza, uciekajcie. Dopiero kiedy zdetonuje ładunek, wróćcie i posprzątajcie.

Ben wyprostował lewą rękę i zawisł nieruchomo w szybie.

Działo się coś złego... Coś bardzo, bardzo złego. Każdy android miał w plecaku materiały wybuchowe. Rozkazy agentki były jednoznaczne: jeżeli automat odkryje jego albo Jacena, ma ruszyć do ataku. Ben wiedział, że nie dałby rady pokonać bojowego androida ZYV... Na pewno by nie zdążył, zanim automat wykryje go i detonuje swój ładunek.

Wyprostował palce i zaczął się osuwać w głąb szybu.

Pomagając sobie Mocą, przycisnął się do ściany, żeby tarcie płaszcza o metal spowolniło tempo opadania. Ześlizgnął się niemal bezszelestnie czterdzieści metrów tą samą drogą, którą przedtem pokonał w przeciwną stronę. Kiedy do niższego poziomu zostało mu pięć metrów, odepchnął się lekko od ściany, wskoczył do otworu tunelu na niższym poziomie i przetoczył się kilka razy po metalowej podłodze. Obecnie żołnierze KorSeku nikogo by nie zobaczyli, nawet gdyby coś usłyszeli

i zajrzeli w głąb szybu.

Był zdany na własne siły. Musiał wykonać zadanie sam, bez pomocy Jacena.

Najgorsze jednak, że pozostawał na łasce wrogów swojego nauczyciela, swojego kuzyna. Otrząsnął się z odrętwienia, które zaczynało ogarniać jego umysł, i pobiegł do wjazdu w tunelu repulsorowej kolejki.

Koronet, Korelia

Jaina stała nad rannym, nieprzytomnym Zekkiem z zapaloną klingą świetlnego miecza. Cztery bojowe androidy ZYV, kryjąc się za rozbitymi śmigaczami powietrznymi KorSeku, posyłały ku niej niemal nieprzerwane strumienie błyskawic blasterowych strzałów. Na razie udawało się jej wszystkie odbijać. Posyłała je w permabeton albo z powrotem w kierunku napastników. Żaden odbity przez nią strzał nie powodował jednak najmniejszych uszkodzeń, a intensywność ognia androidów zaczynała ją męczyć. Jaina potrzebowała paru sekund wytchnienia, żeby przyjść do siebie i unieszkodliwić automaty... Ale ZYV nie dawały jej ani chwili spokoju.

Nagle za ostatnim androidem pojawiła się kolumna skupionego światła. Zatoczyła świetlisty łuk, po którym trysnęła fontanna iskieł, a głowa androida spadła z jego karku.

Pozostałe bojowe androidy odwróciły się, żeby spojrzeć w tamtą stronę. Jaina wykorzystała okazję, żeby dać krok naprzód i w bok. Dopiero wówczas zobaczyła Kolir. Bothańska Jedi wyglądała absurdalnie w krótkiej, lekkiej sukience i z gotowym do użytku świetlnym mieczem w dłoni. Z prawego kąca jej ust ściekała strużka krwi. Bothanka odrzuciła kopnięciem na bok wciąż jeszcze stojące szczątki androida i odwróciła się, żeby stawić czoło trzem pozostałym.

Automaty skierowały ku niej blasterowe karabiny... Ale Jaina zyskała upragnioną sekundę wytchnienia. To jej zupełnie wystarczyło. Młoda Solo uwolniła myśli i szarpnęła najbliższy bezzałogowy ciężki transportowiec towarowy. Pomagając sobie Mocą, uniosła go na wysokość kilkunastu metrów i cisnęła na dwa bojowe androidy. Transportowiec przygniótł je z siłą, jaką nadał mu kilkutonowy ładunek. Jaina zobaczyła plastikowe i metalowe pojemniki, które zsuwały się we wszystkie strony z odkrytej platformy statku. Mimo to repulsorowy pojazd nie zmienił wektora lotu. Odbił się kilka razy od permabetonu, ale widocznie jego pokładowy komputer dysponował wszechstronnym oprogramowaniem, bo transportowiec znów wzbił się w powietrze. Z rykiem silników odleciał z miejsca kolizji, chociaż trzy czwarte jego ładunku nadal ślizgało się albo toczyło po alei.

Młoda Solo skoczyła w stronę powalonych automatów. Zderzenie z transportowcem zabiłoby większość żywych istot, a może nawet zakutego w pancerz bantha, ale nie wystarczyło do unieszkodliwienia androida typu ZYV, najwyżej spowolniło szybkość jego reakcji. Lecąc w powietrzu, Jaina wygięła ciało, dzięki czemu uniknęła zderzenia ze skracającym akurat niebieskim śmigaczem. Zauważyła, że Kolir zbliża się do ostatniego stojącego ZYV, który otwiera do niej ogień.

Jaina wylądowała obok krateru w permabetonie. Przypomniała sobie, że w tym miejscu stał jeden z dwóch powalonych przez transporter automatów. Lądując, przekonała się, że krater jest wybitym w nawierzchni ulicy otworem wiodącym do systemu kanalizacyjnego albo odpływowego.

Z otworu wyskoczył android ZYV i momentalnie odwrócił się w jej stronę. Jaina machnęła klingą świetlnego miecza na wysokości jego talii, jeszcze zanim android zdążył się wyprostować. Pancerz bojowego automatu stawiał opór nawet ostrzu broni Jedi, ale klinga wyłoniła się po drugiej stronie

torsu i obie połowy przeciętego androida runęły na permabetonową nawierzchnię.

Górna połowa nadal jednak była groźna. Odwróciła się i zaczęła unosić blasterowy karabin. Jaina doskoczyła do szczątków napastnika i machnięciem klingi przecięła blaster na dwie części tuż przed gniazdem zasobnika energii. Później zaś wbiła szpic ostrza w tors unieszkodliwionego androida i zaczęła zataczać klingą kręgi, żeby wyrządzić jak najwięcej szkód wewnętrznym podzespołom.

Metr od jej stóp wylądowała głowa następnego automatu. Jaina postanowiła zanotować w pamięci, że to już drugi android ZYV, zniszczony przez Kolir, i odwróciła się w stronę miejsca, w którym powinien znajdować się ostatni napastnik.

Wstawał właśnie, zwrócony do niej tyłem. Do jego pleców przykleiło się tyle permabetonu, że wyglądało to jak nowa warstwa źle dopasowanego pancerza. Jaina obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że w jej kierunku nadlatuje następny, o wiele cięższy, bezzałogowy śmigacz towarowy. Zauważyła z satysfakcją, że to wypełniony płynnym durbetonem niewielki tankowiec. Posługując się Mocą, wyszarpnęła go z pasa ruchu i skierowała na głowę ostatniego androida. Tankowiec zmiażdżył go i rozwłóczył części po alei. Jaina dostrzegła szczątki automatu, oderwane przez impet zderzenia - w jednym miejscu rękę, a w innym nogę. Kiedy pojazd ją minął i przeleciał kilkadziesiąt metrów, spod dziobu trysnął snop iskier. Jaina usłyszała stłumiony huk eksplozji jakiegoś urządzenia w korpusie androida.

Odwróciła głowę i spojrzała na Zekka. Rycerz Jedi nadal leżał nieprzytomny tam, gdzie go zostawiła. Klęczał nad nim mężczyzna w zielonym garniturze, który chyba nie żywił względem Zekka złych zamiarów. Trzymał go za nadgarstek, żeby wyczuć puls.

Jaina postanowiła sprawdzić, jak radzi sobie Kolir.

- Jak tam? - Zapytała.

- S plawej stłony rusają mi się zęby - wysepleniała Bothanka. Przy każdym wypowiedzanym słowie z kącika jej ust wyciekało trochę krwi, ale Kolir nie zwracała na to uwagi. - Tam jest Thann. - Wskazała kierunek klingą świetlnego miecza.

W ich stronę rzeczywiście kierował się młody Falleen. Przeskakiwał z jednego śmigacza na następny niczym rozpierany przez energię insekt.

Nie było w tym nic dziwnego, bo ścigały go dwa strumienie blasterowych błyskawic. Jaina zauważyła, że Thann zanurkował pod jednym i odbił drugi na bok klingą świetlnego miecza. Drugi strumień zmusił go jednak do odskoczenia w bok, bo nadleciał, kiedy Falleen był w połowie skoku.

Ze swojego miejsca Jaina zobaczyła w oddali jeszcze jednego androida ZYV. Wypełniony płynnym durbetonem tankowiec, którym się posłużyła do zmiażdżenia ostatniego przeciwnika, nadal leciał tym samym kursem, a nawet przyspieszał, żeby się oddalić od miejsca walki. Jaina uwolniła myśli, pochwyciła tankowiec i zawróciła go z obranej trajektorii lotu. Spuściła go z impetem na metalową głowę bojowego androida i zmiażdżyła go na okruchy równie skutecznie jak przedtem poprzedniego.

Kolir stosowała równie subtelną taktykę. Podniosła karabin pierwszego zniszczonego przez siebie automatu. Broń była dla niej zbyt ciężka i nieporęczna, więc Bothanka stanęła w rozkroku i dopiero mogła dać z niej ognia. Posłała laserowy strumień w stojącego dość daleko kolejnego androida. Jaina zauważyła, że trafiły go przynajmniej dwie błyskawice, które odbiły się od pancerza i poszybowały w niebo.

Atak wystarczył jednak, żeby automat odwrócił się i spojrzał na Bothankę. Thann, który spadł

obok niego jak z nieba, przeciął klingą świetlnego miecza jego nogi na poziomie kolan, a później posiekał resztę metalowego cielska na kawałki tak drobne, żeby żaden nie mógł mu wyrzucić krzywdy.

Kilka sekund później młody wojownik Falleen pojawił się obok Zekka. Przybiegł tak szybko, jak umieją Jedi. Na widok trzech zapalonych kling świetlnych mieczy przechodzień, który badał puls nieprzytomnego rycerza, wyprostował się, cofnął i rozłożył ręce na boki.

- Nic mu nie zrobiłem - zapewnił.

- Wiem - powiedziała Jaina. - Ale teraz lepiej niech się pan stąd oddali.

Mężczyzna odwrócił się i odszedł bez słowa. Młoda Solo uklękła obok Zekka i przyłożyła dłoń do nieoparzonego miejsca na jego szyi. Wyczuła silny puls.

- Nasza operacja zakończyła się kompletnym fiaskiem - oznajmiła. - A sądząc po rozwoju sytuacji, zamierzają nas zaatakować strażnicy sprzed bramy rezydencji Aidel Saxan. Chyba nie pozwolimy im popełnić samobójstwa, co? Thannie, zorganizuj nam jakiś środek transportu.

- Załatwione. - Falleen wyciągnął jakiś przedmiot z saszetki u pasa. Wyglądał zupełnie jak standardowa złota karta identyfikacyjna tajnego funkcjonariusza KorSeku, ale prawidłowo identyfikował właściciela jako członka zakonu Jedi. Rycerz ruszył w kierunku najbliższego pasa ruchu. Trzymając lewą ręką złotą kartę wysoko nad głową, prawą wyciągnął przed siebie, żeby nakłonić pilota jakiegoś pojazdu do zatrzymania się obok niego.

Kiedy odchodził, Jaina zauważyła, że jego skóra zmienia barwę z jasnopomarańczowej na ciemnoczerwoną.

Serce zaczęło jej szybciej bić, i to nie tylko dlatego, że uświadomiła sobie, co zamierza zrobić młody Falleen. Thann umiał panować nad intensywnością uwalnianych feromonów - chemicznych związków, których obecność w powietrzu wywoływała wiele emocjonalnych reakcji, zwłaszcza u istot płci przeciwnej. Rycerz Jedi posługiwał się więc zarówno Mocą, jak i potęgą feromonów, żeby zwrócić na siebie uwagę, oszołomić i obezwładnić pilotkę jakiegoś śmigacza. Prawdopodobnie używał Mocy również po to, żeby jego karta identyfikacyjna wywierała na mieszkańców Koronetu jak największe wrażenie...

Jaina dostrzegła kątem oka, że Kolir się chwieje. Podtrzymała ją, żeby młoda Bothanka nie straciła równowagi.

- Nie powinien tego lobić, kiedy jestem lanna - wysepleniła cicho.

W końcu na chodniku obok Thanna wylądował czerwony śmigacz, pilotowany przez ciemnowłosą kobietę w czerwonych goglach. Ostre rysy jej kanciastej twarzy nie zdradzały absolutnie żadnych emocji.

- Jakiś problem, panie władzo? - Zapytała pilotka.

Thann odpowiedział gładko niczym aktor holodramatu:

- Dwoje moich kolegów zostało rannych - oznajmił. - Musimy ich zabrać do ośrodka medycznego, a później ruszyć w pościg za przestępcami. Czy możemy zarekwirować pani śmigacz?

- Możecie zarekwirować mój śmigacz - odparła Korelianka.

Thann dał znak, żeby Jaina i Kolir podeszły do śmigacza, po czym odwrócił się do pilotki.

- Lepiej niech pani z niego wyjdzie - rozkazał. - To może być niebezpieczne.

- Już wychodzę. - Kobieta wyskoczyła z kabiny na chodnik.

- Proszę nikomu nie mówić, kim pani jest, ani nie podawać szczegółów identyfikacyjnych swojego śmigacza - ciągnął Falleen. - Wokół kręci się pełno szpiegów, którzy starają się nas

schwytać.

- Nikomu nic nie powiem - obiecała pilotka.

Jaina uwolniła myśli, wysłała je do Zekka i uniosła go w powietrze na wysokość metra. Złożyła go delikatnie na tylnym siedzeniu śmigacza, po czym wsiadła i położyła głowę rycerza Jedi na swoich kolanach.

Zaczekała, aż Thann i Kolir zajmą miejsce na przednich fotelach maszyny.

Falleen pocałował wnętrze swojej dłoni i dmuchnął na nią, jakby posyłał pocałunek oczarowanej Koreliance. Poderwał śmigacz i śmiało włączył się do ruchu.

- Kontrola potwierdziła mój meldunek - oznajmił. - Nie mamy jednak łączności z Grupą Tauntaun. Podejrzewam, że także wpadli w zasadzkę.

- Ja też tak uważam. - Jaina postukała palcami w burtę śmigacza. - Nic nie potoczyło się zgodnie z planem, a troje Jedi z Grupy Tauntaun: Tahiri Veila, Doran Tainer i Tiu Zax nie dają znaku życia.

- Chyba wiesz, że nie powinieneś być tego łobić - odezwała się Kolir.

Thann zerknął na nią kątem oka.

- Czego? - Zapytał.

- Posugiwać się łównocześnie umysłowymi sztuczkami Jedi i felomonami - wyjaśniła Bothanka. - To zaglywka niegodna Jedi.

Thann wzruszył ramionami.

- A co, miałem się ograniczyć do stosowania myślowych sztuczek i pozwolić, żeby moje starania zakończyły się niepowodzeniem? - Zapytał.

- No coś, chyba nie - mruknęła pokonana Kolir.

Thann postanowił zmienić temat rozmowy.

- Jak się czuje Zekk? - Zagadnął Jainę.

- Auć - odezwał się nagle mistrz Jedi i otworzył oczy.

- Lepiej - stwierdziła młoda Solo.

ROZDZIAŁ 11

Nad Korelią

Kiedy Luke Skywalker i piloci dowodzonej przez niego Eskadry Hardpoint, lecąc po wysokiej orbicie, zobaczyli w dole skąpaną w promieniach słońca powierzchnię planety, zanurkowali w głąb jej atmosfery. Musieli lecieć powoli, żeby mieć oko na wahadłowiec „Niebiosy Chandrili”, zdolny do międzyplanetarnych lotów uulshosański lekki pojazd szturmowy. Wahadłowiec był niewiele dłuższy niż X-wing, ale dzięki dziobowi w kształcie poziomo usytuowanego dłuta miał kadłub o wiele szerszy niż tęponosy myśliwiec. W środku było dość miejsca dla kilkunastu pasażerów, a więc statek nadawał się doskonale do ewakuowania działających obecnie na terenie Koronetu grup rycerzy Jedi.

Koreliańska armada nie zmieniała położenia ani odległości od floty Galaktycznego Sojuszu. Było to jawne szyderstwo, ale na razie nikt z Korelian nie pokusił się o stawienie czoła dowodzonej przez Luke'a Skywalkera eskadrze X-wingów. W pewnej chwili jednak w kanale wspólnym eskadry rozległ się głos Mary:

- Widzę coś na ekranie - stwierdziła mistrzyni Jedi. - Chyba zanosi się na kłopoty. Wygląda na to, że roje gwiazdnych maszyn startują z Koronetu na spotkanie z nami.

Luke sprawdził wskazania pokładowych sensorów swojego X-winga. Rzeczywiście z oddali napływały niewyraźne sygnały, ale wyglądały jak start dwóch transportowców albo jak rój powietrznych śmigaczy lecących na pułapie wyższym, niż zwykle zarezerwowany dla tego typu pojazdów. Mara, która podczas tej wyprawy pełniła obowiązki operatorki sensorów, miała w kabinie zestaw bardziej wrażliwych urządzeń niż te, w jakie wyposażony był X-wing jej męża.

- Potwierdzam, dwie eskadry - odezwała się po chwili mistrzyni Jedi. - Prawdopodobnie jakaś odmiana myśliwców typu TIE, jeżeli sądzić po ich wektorach lotu. Za dwie minuty znajdziemy się w maksymalnym zasięgu ich laserów.

Szkoda, pomyślał Luke. Skręcił na bakburkę, ale nadal kierował się ku powierzchni planety. Widział wszędzie zielone lasy, oddzielone od błękitnego morza cienkimi złocistymi liniami piaszczystych plaż. Taki piękny świat, pomyślał. Jaka szkoda, że jego obywatele skazali pilotów swoich maszyn na zderzenie z powierzchnią i śmierć w płomieniach.

Nagle w kanale komunikatora rozległ się nieznany głos:

- Wzywam eskadrę gwiazdnych myśliwców zbliżających się kursem trzy-pięć-siedem do Koronetu. Tu Naczelne Dowództwo Koreliańskich Wojsk Obronnych z siedzibą w Koronecie. Uznał was za wrogów. Podajcie swoją tożsamość albo wracajcie do przestworzy.

Luke przełączył komunikator, żeby przekazać odpowiedź na tej samej częstotliwości, na której usłyszał wezwanie.

- Tu Eskadra Hardpoint Drugiej Floty Galaktycznego Sojuszu - powiedział. - Dowódca Luke

Skywalker. Jeżeli do tej pory wasz transponder nie rozpoznał w nas legalnej formacji Galaktycznego Sojuszu, musi być uszkodzony. Przekazuję wam nasz sygnał identyfikacyjny... Razem z rozkazami dla was. Czekać w pogotowiu.

- Wyłączył mikrofon komunikatora i dodał: - Artoo, prześlij im ten pakiet.

Astromechaniczny robot zaświergotał, a dźwięk wydobył się z głośników w kabinie. Luke zrozumiał to jako potwierdzenie, że pakiet danych został wysłany.

Na powierzchni planety w dole widać było obecnie mniej lasów, a więcej nawadnianych pól uprawnych. Mistrz Jedi widział także żeglujące po morzu jachty i statki wycieczkowe.

Po kilku sekundach w kabinie jego X-winga rozległ się znów głos koreliańskiego oficera łącznościowca:

- Przykro mi, ale Korelia nie uznaje władzy, która wydała te rozkazy. Zawróćcie albo zostanieie ostrzelani.

Luke pokręcił głową i nie odpowiedział. Przełączył komunikator na kanał wspólny eskadry. Na ekranie monitora sensorów widać było wyraźnie eskadry nadlatujących z dwóch stron myśliwców. W dole pod nim pojawiły się obrzeża Koronetu, a nad miastem dwie grupy zbliżających się maszyn, które wyglądały jak koreliańskie myśliwce szturmowe. Mistrz Jedi naliczył osiemnaście plamek na ekranie monitora sensorów, a zatem nie było to poważne zagrożenie dla liczącej dziesięć X-wingów eskadry rycerzy Jedi.

Nagle piloci nadlatujących eskadr skręcili na boki - jedna na sterburtę, a druga na bakburtę, obie pod kątem prostym do wektora lotu Eskadry Hardpoint.

Luke zdrętwiał.

- Beczka! - Wykrzyknął i wykonując własny rozkaz, skręcił ostro X-wingiem na bakburtę, żeby wykręcić beczkę. Uświadamiał sobie, że Mara trzyma się cały czas blisko niego, trochę z tyłu i po stronie sterburty.

Siła nagłej eksplozji wstrząsnęła jego tęponosym myśliwcem z taką siłą, że Luke usłyszał grzechot własnych zębów. R2-D2 zakwilił, ale od razu zaczął przysyłać na ekran taktycznego monitora meldunki o stanie pokładowych urządzeń i podzespołów. Mistrz Jedi wyszedł z beczki kilometr bliżej powierzchni Korelii. Grzmoty wybuchów nadal rozsadywały bębunki jego uszu, ale dobiegały z większej odległości niż pierwsza eksplozja. Odwrócił głowę i spojrzał ponad pulpitem z ekranem monitora sensorów na niebo za rufą swojego X-winga.

Zobaczył na niebie mnóstwo pierzastych szarych chmur. Wyglądały zupełnie niegroźnie, ale każda była pozostałością po eksplozji... Rezultatem ostrzału z naziemnych stanowisk artylerii przeciwlotniczej.

Mistrz Jedi przekonał się, że cały czas leci za nim dziesięć X-wingów. Odetchnął z ulgą, ale zaraz zdrętwiał. Powinien był naliczyć jedenaście...

- Co z wahadłowcem „Niebiosa Chandrili”? - Zapytał.

- Został trafiony - odparła Mara. - Zniknął.

Niebo nad Eskadrą Hardpoint zaczęło się zapełniać szarymi chmurkami. Za nimi czekali, krążąc w miejscu, piloci dwóch eskadr koreliańskich myśliwców szturmowych.

- Trójko, poinformuj „Dodonnę” o naszej sytuacji - rozkazał Luke swojemu podwładnemu łącznościowcowi. - Zapytaj, czy nie mają dla nas uaktualnionych rozkazów. Na razie lecimy dalej, jakby nic się nie stało. Jeżeli nie uda się porwać innego wahadłowca, ewakuujemy naszych Jedi z Korelii, nawet jeżeli będziemy musieli lądować jeden po drugim i pakować ich do pokładowych

przedziałów bagażowych.

- Mamy zestawy współrzędnych celu CEC-Jeden - zameldowała Fian, spoglądając na Klauskina. Posługiwała się kodem, który oznaczał najbliższe orbitalne stocznie firmy Corellian Engineering Corporation. Lotniskowiec „Dodonna” i pozostałe okręty grupy leciały kursem, który miał ich zaprowadzić w pobliże celu CEC-Jeden. - Chroni je wiele eskadr gwiazdnych myśliwców i garść fregat. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że kiedy się zbliżymy do stoczni, na pomoc zlecą się także jednostki koreliańskiej armady.

- To możliwe - przyznał Klauskin. Cały czas spoglądał na przestworza przed dziobem okrętu, gdzie wkrótce cel CEC-Jeden miał się pojawić tak blisko, żeby można było nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

Fiav milczała jakiś czas, jakby czekała na bardziej zrozumiałą odpowiedź, ale po jakiejś minucie chyba straciła cierpliwość.

- Piloci eskadr koreliańskich myśliwców stwarzają zagrożenie dla eskadr naszych maszyn - odezwała się w końcu. - Na razie tylko kręcą się wokół nich, ale wcześniej czy później ktoś odda laserowy strzał, który zapoczątkuje ostrą walkę.

Klauskin energicznie pokiwał głową.

- Zrozumiałem - powiedział.

Sullustanka znów odczekała jakiś czas.

- Luke Skywalker melduje, że jego eskadra została ostrzelana, a wahadłowiec zniszczony - powiedziała. - Proszę nas o przydzielenie innego wahadłowca, ale jeżeli nie będą mieli wyjścia, ewakuują innych Jedi z powierzchni Korelii po jednej osobie do każdego X-winga.

- A to dobrze - przyznał Klauskin. - Cieszę się, że Skywalker ma jakiś plan.

- Panie admirale, czy przewiduje pan zmianę dotychczasowych rozkazów? - Zapytała Sullustanka z niepokojem w głosie.

- Tak. - Klauskin był zachwycony stanowczością, z jaką wypowiedział to słowo. - Cała flota ma zmniejszyć procent prędkość lotu o połowę.

- Tak jest, panie admirale - odparła Fiav. - Uhm, czy nie zapewnimy rycerzom Jedi następnego wahadłowca?

- Oczywiście, że nie - zachnął się naczelny dowódca. - Ze słów Skywalkera wynika, że panuje nad sytuacją.

- Tak jest, panie admirale - powtórzyła Sullustanka.

Jej słowa zawisły w powietrzu na kilka długich sekund, zanim Fiav odwróciła się, żeby wykonać rozkaz Klauskina.

Admirałowi wydawało się, że jego mózg pracuje na zwiększonych obrotach niczym przegrzana jednostka napędowa gwiazdnego myśliwca. Jeśli eskadra zmniejszy prędkość o połowę, da mu to dość czasu na podjęcie decyzji i wymyślenie sposobu wybrnięcia z trudnej sytuacji.

Bardzo potrzebował tego czasu. Myślał i myślał, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Powinien skierować swoją flotę w stronę otwartych przestworzy i przełamać blokadę jednostek koreliańskiej armady, ale... Jeżeli jej dowódcy zdecydują się go powstrzymać, musi stoczyć z nimi walkę. Przede wszystkim jednak należy się oddalić od grawitacyjnej studni Korelii na tyle, żeby dało się włączyć jednostki napędu nadświetlnego i zniknąć w nadprzestrzeni.

Nie było to jednak zadowalającym rozwiązaniem. Nie mógł po prostu uciec. Musiał zrobić coś, żeby osiągnąć planowane cele wyprawy. Musiał Korelian zastraszyć albo wprawić ich w

zakłopotanie. Właśnie tak. W dowolnym miejscu. W dowolny sposób.

- W-Miecze, głowy do góry - rozległ się głos dowódcy Wibromieczy. - Prosto na nas leci jakaś jednostka.

Rozmyta chmurka na ekranie monitora sensorów myśliwca Lysy wyglądała jak niewielka formacja koreliańskich myśliwców szturmowych. Ich piloci nie lecieli jednak cały czas tym samym kursem. Odłączyli się od koreliańskiej armady i zatoczyli tak obszerny łuk, że przecięli projektowany wektor lotu myśliwców przechwytyjących, zawrócili i z każdą chwilą zbliżali się do Eskadry Wibromieczy.

- Prowokują nas - stwierdził „W-Miecz Osiem”, skrzydłowy Lysy, Quarren z Kalamara.

- Racja - potwierdził dowódca. - A więc trzymajcie nerwy na wodzy. Pamiętajcie, że kto pierwszy drgnie, przegrywa.

- A pierwszy, który mrugnie? - Zainteresował się „Ósemka”.

- Pierwsi mrugną Korelianie, „Ósemko” - skarcił go dowódca.

- A teraz się zamknij.

Piloci myśliwców szturmowych zbliżali się coraz bardziej. Wkrótce Lysa mogła już policzyć nadlatujące maszyny na ekranie monitora sensorów - pełna eskadra w sile dwunastu maszyn - a jeszcze później nawiązać z nimi kontakt wzrokowy. Myśliwce były w odległości mniej więcej kilometra. Lysa widziała, jak przesłaniają iskierki gwiazd... I z każdą chwilą się zbliżają.

- Dowódco, tu „Siódemka” - powiedziała. - Moim zdaniem zamierzają przelecieć między naszymi myśliwcami.

- „Siódemko”, prawdopodobnie masz rację - potwierdził Pierwszy. - Eskadro, Korelianie zamierzają przelecieć między nami, jakby nas nie zauważyli. Widocznie chcą nas zmusić, żebyśmy mrugnęli. Zezwalam na włączenie generatorów ochronnych pól dopiero wówczas, kiedy będziecie absolutnie pewni, że dojdzie do kolizji. Jeżeli to nastąpi, złożycie mi meldunek. Kiedy wypowiem słowo: „Nadlatują”, rozdzielcie się na pary, włączcie generatory ochronnych pól, przekażcie energię do systemów uzbrojenia i strzelajcie bez rozkazu. Piloci Eskadry Wibromieczy nie boją się niczego.

Lysa usłyszała chór potwierdzeń kolegów pilotów i bez wahania się do niego przyłączyła.

Czuła się jednak fatalnie. To nie miała być czysta walka. Tym razem chodziło chyba o próbę odporności psychicznej... O to, kto ma mocniejsze nerwy. Pomyślała, że jej ojciec też nie byłby zachwycony, gdyby się znalazł w podobnej sytuacji.

Uzbroiła się w cierpliwość.

Koronet, Korelia

Zarekwirowany przez Thanna lądowy śmigacz leciał jedną z głównych alei Koronetu w rzadziejającym strumieniu innych maszyn. W pewnej chwili z oddali napłynęło zawodzenie policyjnych syren, a na niebie na wschód od Jedi - dokładnie nad miejscem, do którego zmierzali - pojawiło się mnóstwo pierzastych szarych chmurek. Thann trzymał rękojeść drążka sterowniczego jedną ręką, a drugą przyciskał komunikator do ucha.

Zekk, leżący cały czas na tylnym siedzeniu pojazdu z głową na kolanach Jainy, miał zamknięte oczy. Nie stracił przytomności, ale pogrążył się w przejściowym leczniczym transie Jedi. Musiał zrobić wszystko, żeby rany i oparzenia nie spowalniały jego ruchów, kiedy trzeba będzie wziąć udział w akcji. W pewnej chwili Thann wyłączył i schował komunikator.

- Jak wygląda sytuacja?! - Krzyknęła do niego Jaina.

Falleen wskazał odległe chmurki po eksplozjach pocisków artylerii przeciwlotniczej.

- Chodzi ci o to?! - Odkrzyknął. - To twój wujek Luke i jego Jedi. Nadlatują, żeby zabrać nas z tej planety. Problem w tym, że stracili wahadłowiec i nic nie wskazuje, żeby mieli dostać następny.

- Jasne - mruknęła młoda Solo.

- Członkowie Grupy Tauntaun wpadli w zasadzkę podobną do tej, z jakiej my się wyrwaliśmy. Przedostali się do pałacu Thrackana Sal-Solo, ale zostali zaatakowani przez żołnierzy i proboty.

- Gdzie są w tej chwili?

- Zamierzają porwać śmigacz, żeby polecieć na spotkanie z nami - odparł rycerz Jedi. - Chcą także ukraść przeznaczone na wypłatę kredyty albo porwać bożyszcze holodramatu, żeby nie wracać do domu z pustymi rękami.

- Mają ambitne zamiary - stwierdziła Jacen. - Coś jeszcze?

- Flota Galaktycznego Sojuszu wyskoczyła z nadprzestrzeni i także wpadła w zasadzkę - ciągnął Thann. - Wygląda na to, że nic nie idzie zgodnie z planem.

- Będziemy musieli poszukać kosmoportu, żeby porwać jakiś wahadłowiec! - Zawołała Jaina.

- Wszystkie wojskowe i cywilne kosmoporty pozostaną zamknięte, dopóki sytuacja się nie ustabilizuje, a w głównym kosmoporcie Koronetu będzie się roiło od funkcjonariuszy KorSeku - zauważył Falleen.

- Na planecie są jeszcze mniejsze kosmoporty - przypomniała młoda Solo. - Prywatne, prowincjonalne... W niektórych na pewno są organizowane czarterowe loty promowe.

- Lacja, lacja - wtrąciła Kolir. Prawy policzek wypychała jej chusteczka, którą usiłowała powstrzymać krwawienie. Sięgnęła do poplamionego krwią worka i wyjęła komputerowy notes. Zaczęła przeszukiwać bazę danych Koronetu, którą wcześniej wpisała.

- Znajdź kosmoport, którego dyrektorką jest kobieta - podsunął Thann.

Kolir wykrzywiła się do niego.

- To pomoże nam szybciej zdobyć wahadłowiec - wyjaśnił Falleen.

- Jeżeli kiedykolwiek się dowiem, że łobisz to, aby umawiać się na landki, obetnę ci pewną część ciała - zagroziła Bothanka.

- Jestem Jedi, więc nie powinnaś podejrzewać mnie o nieetyczne postępowanie - zachnął się Thann. Jaina nie potrafiła powiedzieć, czy oburzenie w jego głosie jest prawdziwe, czy udawane. Rycerz Jedi miał mniejsze emocjonalne usposobienie niż większość Falleenów, ale żeby uspokoić towarzyszy, często nie okazywał prawdziwych uczuć. - Wpływam na umysły ludzi tylko wtedy, kiedy jestem na służbie.

Stacja Centerpoint

Jacen odbił się nogą od metalowej podłogi, żeby nadać ciału moment obrotowy, i przetoczył się w bok. Kiedy pierwsza Blasterowa błyskawica wbiła się w miejsce, gdzie chwilę wcześniej klęczał, znajdował się już jakiś metr dalej. Turlał się jeszcze jakiś czas nieporadnie, zaciskając zęby z szarpiącego ciała bólu, lecz w końcu zerwał się na nogi. Jeszcze nie odzyskał ostrości spojrzenia, ale zdołał dostrzec na metalowych płytach rękojeść świetlnego miecza. Wyciągnął ku niej rękę...

...I wtedy na podłodze obok niego wylądowały dwa jajowate białe pojemniki. Rycerz Jedi odskoczył do tyłu, wykonał w powietrzu salto i wylądował, ale nogi się pod nim ugięły i runął jak

długi.

Mimo to nie stracił z oczu świetlnego miecza. Uwolnił myśli i wysłał je po rękojęść. Cylinder obrócił się na podłodze i powoli potoczył w jego stronę.

Jajopodobne pojemniki eksplodowały i w powietrzu pojawiły się gęste kłęby białego dymu. Rozprzestrzeniały się tak szybko, że uniemożliwiały dostrzeżenie czegokolwiek za nimi. Jacen nie stracił jednak koncentracji i świetlny miecz wskoczył do jego dłoni, zanim rycerz Jedi znalazł się w kłębach dymu.

Przetoczył się znów w bok. Usłyszał świst i poczuł żar blasterowych błyskawic, który wbiły się w podłogę obok niego. A więc napastnicy mnie widzą, uświadomił sobie. Na pewno mają elektroniczne urządzenia w hełmach, które to umożliwiają. Muszą także korzystać z tłumików dźwięku. No cóż, on także miał w zanadrzu kilka sztuczek, przeciwko którym jego przeciwnikom nie pomogą nawet specjalizowane urządzenia.

Wiedział więcej o bólu, niż jego wrogowie przypuszczali. W okresie najzacieklejszych zmagania z Yuuzhan Vongami był kilka miesięcy ich więźniem. Podczas tortur cierpiał męki, jakie obce istoty miały zwyczaj zadawać nawet swoim ciałom. Nauczył się żyć w Objęciach Cierpienia, a rytuały, w których musiał brać udział, przyczyniłyby się do śmierci każdej istoty nieprzyzwyczajonej do znoszenia takich męczarni.

Naturalnie nagły impuls bólu mógł wytrącić go z równowagi, ale nie mógł powstrzymać.

Jacen pozwolił, żeby ból przepłynął przez niego jak energia Mocy. Pogodził się z nim i przyjął jak dawno niewidzianego przyjaciela... Którego jednak nie chciałby zbyt często gościć u siebie.

Wstał i ruszył naprzód. Pierwsze kilka kroków zrobił nieporadnie i powoli, ale każdy następny stawiał coraz szybciej i pewniej. Kiedy zupełnie zapanował nad ciałem i trawiącym je bólem, przyspieszył do prędkości, jaką potrafili osiągać dobrze wyszkoleni Jedi, a nawet uskakiwał przed posyłanymi w ślad za nim blasterowym błyskawicami.

Nie zwalniając i nie zwracając uwagi na szarpiący ból, dotarł do przeciwległej ściany. Wysoko podskoczył i wylądował na jednej z wiodących w górę ramp. Wprawdzie nadal otulała go chmura dymu, ale posyłane z góry błyskawice strzałów nie mogły mu wyrządzić żadnej krzywdy. Kilka sekund później dotarł na poziom, na którym się czaił Thrackan Sal-Solo.

Nadal nic nie widział, ale Moc pozwalała mu wykrywać czekające tam na niego formy życia. Niektóre się cofały, a ich miejsca zajmowały inne. Stojące w pierwszym rzędzie mierzyły do niego z blasterowych karabinów.

Po chwili błyskawice strzałów efektownie rozświetliły kłęby dymu i poleciały w jego stronę. Jacen odbijał wszystkie w kierunku, z którego nadlatywały. Bezlitośnie mierzył w żołnierzy, którzy je posyłali.

Po chwili jednak zmienił taktykę. Zorientował się, że w formacji zagradzających mu drogę istot utworzyły się niewielkie luki. Odgadł, że to roboty wyposażone w generatory impulsów sonicznych. Zaczął odbijać w ich kierunku błyskawice strzałów i w pewnej chwili natężenie szarpiącego nerwy dźwięku zmalało o połowę. Po trzech następnych odbitych strzałach dźwięki i ból znikły. Jacen usłyszał dziwne skwierczenie i motywator zainstalowany w drugim generatorze impulsów sonicznych z głośnym hukem eksplodował we własnej obudowie.

- Przerwać ogień!

Rozkaz wydał Thrackan, który stał za sześcioma pozostałymi przy życiu żołnierzami KorSek. Podwładni usłuchali.

- Imponujące, Jacenie, ale powinieneś zrozumieć - zaczął Korelianin. - Mamy dość niespodzianek, robotów i żołnierzy, żeby się z tobą rozprawić. Niektórzy już tu są, a inni wkrótce przybędą. Nie pozwolimy ci się zbliżyć do miejsca, z którego mógłbyś zniszczyć chociaż część tej stacji.

- Może masz rację, kuzynie - odparł młody Solo. Zwrócił uwagę, że przywódca Korelii nie wspomniał ani słowem o Benie. Nie zauważyliście go jeszcze, prawda? - Pomyślał. - Ale zamierzam zrobić wszystko, żeby ją zniszczyć.

Kłęby dymu zaczynały rzednąć i wkrótce Jacen mógł dostrzec najbliższych trzech żołnierzy KorSeku. Jeden klęczał, dwaj stali, a wszyscy mierzyli ku niemu z blasterowych karabinów.

- Życzę szczęścia - odparł Thrackan. - Wznówić ostrzał!

Jego podwładni dali ognia. Jacen ruszył naprzód, odbijając blasterowe błyskawice w kierunku, z którego nadlatywały.

Tym razem jednak posyłał je nad głowami żołnierzy ku miejscu, z którego dobiegał głos Sal-Solo.

Koronet, Korelia

Nagle odgłosy eksplozji ucichły. Z nieba po obu stronach i przed dziobem tęponosego myśliwca zniknęły obłoczki szarego dymu.

Luke rzucił okiem na ekran monitora diagnostycznego komputera. Górny sterburtowy silnik jego X-winga został trafiony przez kilka odłamków, ale nadal pracował z sześćdziesięcioprocentową wydajnością.

Za jego myśliwcem leciało już tylko dziewięciu pilotów Eskadry Hardpoint. Pilotowany przez Rodianina Toile'a Senna X-wing rozleciał się na kawałki, rozerwany przez wstrząsy eksplozji trzech pocisków, które wybuchły w bezpośrednim sąsiedztwie kadłuba. Pilot się katapultował, ale kiedy osiągnął apogeum trajektorii lotu, zniknął pośrodku następnej szarej chmurki. Luke wyczuł nagły zanik jego funkcji życiowych.

Eskadra Hardpoint leciała nad wolną przestrzenią, w której czekali na nich piloci koreliańskich myśliwców szturmowych.

- Miejcie oczy szeroko otwarte - rozkazał mistrz Jedi, cały czas śledząc ekran monitora sensorów. - Rozłożyć skrzydła do pozycji bojowej. Złamać szyk i atakować bez rozkazu, ale zdążać nadal w kierunku wyznaczonego miejsca spotkania.

- Nadlatują z góry i z tyłu - zameldowała Mara.

Rzeczywiście, dwie chmury szturmowych maszyn spadały na nich niczym jastrzębionietoperze. Luke zanurkował, żeby jego X-wing przyspieszył. Mistrz Jedi chciał mieć więcej czasu, zanim lecący na czele szyku pierwszy koreliański pilot zbliży się na odległość strzału. Przesłał więcej energii do generatora rufowych pól ochronnych i upewnił się, że Mara leci cały czas blisko skrzydła jego myśliwca.

Kilka sekund później o rufowe pola ochronne jego X-winga zaczęły się rozpryskiwać zielone błyskawice laserowych strzałów. R2-D2 alarmująco zapiszczał - pewnie chciał przygotować pilota, a także siebie, na to, co się może wydarzyć.

Kiedy trzech pilotów koreliańskich myśliwców szturmowych zbliżyli się od strony rufy, wzrosła energia ich laserowych strzałów, które rozbijały się o rufowe osłony obu X-wingów. Mistrz Jedi

niespodziewanie odciał dopływ energii do jednostek napędowych tęponosego myśliwca. Dzięki łączącej go z żoną więzi wyczuł, że Mara zrozumiała jego zamiar i postąpiła tak samo.

Istniało prawdopodobieństwo, że niedoświadczeni koreliańscy piloci nie zwolnią w porę i przelecą nad X-wingami obojga Jedi, dzięki czemu staną się na sekundę czy dwie łatwymi celami.

Okazało się jednak, że siedzący za sterami myśliwców szturmowych Korelianie mieli duże doświadczenie. Kiedy sylwetka pilotowanego przez Luke'a X-winga zaczęła zbyt szybko rosnać na ekranach ich celowniczych komputerów, od razu zmienili wektor lotu. Dwaj śmignęli w górę, a jeden skręcił na sterburtę.

Mistrz Jedi był także doświadczonym pilotem, a Moc pozwoliła mu zobaczyć na sekundę wizję przyszłości. Przyciągnął do siebie rękojeść dźwigni drążka sterowniczego i zakończył manewr zwalniania, po czym przesłał impuls energii do repulsorów. Kiedy jego prześladowcy wyrównali pułap lotu i zaczęli zataczać łuki, jego myśliwiec leciał pionowo w górę. Luke widział przed sobą błękitne niebo i dwa koreliańskie myśliwce szturmowe, z których jeden wyprawiał dzikie harce na ekranie celowniczego komputera jego X-winga. Mistrz Jedi dał ognia i czerwone nitki laserowych strzałów trafiły lecącą po stronie bakburty maszynę. Ułamek sekundy później skręcił lekko na sterburtę i dał ognia, jeszcze zanim pokładowy komputer potwierdził namierzenie drugiego myśliwca.

Pierwszy strzał trafił cel, który po prostu zniknął z nieba, a drugi odciał sterburtowe skrzydło nieprzyjacielskiej maszyny. Uszkodzony myśliwiec wpadł w korkociąg i zaczął się oddalać od pola bitwy.

Koreliańskie maszyny szturmowe nie miały ochronnych pól. Luke pokręcił głową, kiedy to sobie uświadomił. Posłużył się Mocą i uwolnił myśli, po czym zaczął się rozglądać za X-wingiem Mary.

Jego żona skręciła na sterburtę i rozpyliła na atomy trzeci szturmowy myśliwiec, którego pilot leciał w jej stronę. Po dokonaniu dzieła zniszczenia zataczała łuk, żeby zawrócić i przyłączyć się do męża.

Mistrz Skywalker spojrzął na pulpity z ekranem monitora sensorów. Na początku do walki przystąpili piloci dziewięciu X-wingów i osiemnastu koreliańskich maszyn szturmowych. Kilkanaście sekund później na polu walki pozostawało nadal dziewięć tęponosych myśliwców i tylko jedenastu nieprzyjaciół. Luke ciężko westchnął. Korelianie byli równie dzielni, a prawdopodobnie także równie dobrze wyszkoleni jak jego przyjaciele: Han, Wedge i Corran. Ubolewał, że musi ich zestrzeliwać. Czasami gorzko żałował przysięg i tradycji, które związały zakon Jedi z Galaktycznym Sojuszem.

Zawrócił w kierunku pola walki. Mara zajęła pozycję trochę niżej i po stronie bakburty jego X-winga, po czym dostosowała do niego prędkość i wektor lotu swojej maszyny.

Nad Korelią

Pulpit z ekranem monitora sensorów w kabynie myśliwca Lysy rozjarzył się niczym lampki na choince. Młoda pilotka spojrzała na wskazania pokładowych przyrządów i zrozumiała, że namierzył ją jeden z nieprzyjaciół. Zmusiła się do zignorowania tego faktu, ale jej noga zaczęła wybijać jeszcze bardziej gorączkowy rytm na podłodze kabiny.

- Dowódcu, tu „Ósemka”. - W głosie jej skrzydłowego brzmiała udręka. - Namierzyli mnie. Proszę o zezwolenie na złamanie szyku i otwarcie ognia.

- Nie zezwalam, „Ósemko”. - W głosie dowódcy Eskadry Wibromieczny brzmiała wyraźna irytacja.

- Starają się tylko wyprowadzić cię z równowagi, „Ósemko” - zapewniła Lysa. - Sprowokować do działania.

- „Siódemka” ma rację, „Ósemko” - stwierdził dowódca. - Skup się na tym, co ona robi. Dokładnie powtarzaj każdy jej manewr.

Lysa się rozpromieniła. Właśnie usłyszała jedną z niewielu pozbawionych złośliwości, pozytywnych uwag, jaką dowódca wygłosił na jej temat w ciągu kilku miesięcy, kiedy była członkiem jego eskadry... A do tego wygłosił tę pochwałę w obecności pilota, który miał staż o rok dłuższy niż ona.

W świetle odbitym od powierzchni planety widziała bardzo wyraźnie koreliańskie myśliwce szturmowe. Ich piloci wyłonili się chyba z warstw atmosfery... Lecieli w stronę Eskadry Wibromieczny powoli i beztrąsko, jakby nie widzieli na kursie ani jednego myśliwca przechwytyjącego.

Lysa obserwowała, jak się zbliżają. Gdyby nie zmienili wektora lotu, powinni przelecieć przez środek szyku maszyn typu Eta-5, między W-Mieczami „Piątym” a „Szóstym”.

Zmienili jednak wektor lotu. Piloci jednej pary myśliwców szturmowych skrzył lekko, żeby przeciąć zamierzoną trajektorię lotu „Piątki” i „Szóstki”, a piloci innej pary także dokonali poprawki, ale w przeciwnym kierunku, i obrali kurs w stronę pozycji, które „Siódemka” i „Ósemka” miały zająć po upływie mniej więcej dziesięciu sekund.

- Dowódco...

- Zamknij się, „Ósemko” - ofuknął go „Jedynka”. - Leć nadal tym samym kursem, „Siódemko”.

- Przyklej się do mnie, „Ósemko” - rozkazała Lysa. Położyła wskazujący palec na przycisku włącznika generatora ochronnych pól. Pod względem napięcia nie dorównywały wprawdzie osłonom X-winga, ale mimo to zapewniały pewną ochronę przed kolizją, a nawet błyskawicami laserowych strzałów z działek szturmowego myśliwca.

Obliczyła, że „Piątka” i „Szóstka” spotkają się pierwsi z nadlatującymi przeciwnikami. Dzieliło ich od nich zaledwie kilkadziesiąt metrów. Gdyby spojrzała w iluminator, na pewno by zobaczyła, jak pozycje przed dziobem jej myśliwca - powoli, ale nieubłaganie - zajmują piloci drugiej pary koreliańskich maszyn, ale tego nie zrobiła. Nie odrywając spojrzenia od pulpitu z ekranem monitora sensorów, śledziła świetliste plamki maszyn „Piątki” i „Szóstki”, a także poczynania pary swoich przeciwników.

W pewnej chwili zielona plamka reprezentująca „W-Miecz Piąty” na chwilę zlała się z czerwoną plamką swojego przeciwnika.

- Tu „Piątka”. - W tle głosu pilotki Lysa usłyszała w kabinie swojego myśliwca sygnał alarmowy. - Zderzenie!

- Nadlatują! - Rzucił Dowódca.

Lysa włączyła generatory ochronnych pól, odepchnęła rękojeść dźwigni drążka sterowniczego i zanurkowała w kierunku planety. Przesłała energię do głównych jednostek napędowych, żeby strumienie płonących gazów wylotowych z dysz bliźniaczych silników jonowych osmały spód myśliwca szturmowego, który przelatywał zaledwie trzy metry za ogonem jej maszyny. Nurkując w kierunku górnych warstw koreliańskiej atmosfery, zaczęła się oddalać od pary napastników.

- Hej! - Lysa zobaczyła, że zielona plamka myśliwca jej skrzydłowego z pewnym opóźnieniem

powtarza jej manewr. - Gdzie, do ciężkiego wobbera... Hej, oberwałem!

- Jak bardzo? - Lecąc z maksymalną prędkością, Lysa zaczęła wyprowadzać myśliwiec z lotu nurkowego. Zamierzała strzelić świecą w niebo, żeby zająć pozycję na tyłach szyku koreliańskich maszyn szturmowych. Jej trajektorię lotu mógłby przeciąć pilot lecącej prosto nieprzyjacielskiej maszyny, ale każdy, kto chciałby ją ścigać, zostałby daleko z tyłu, za ogonem o wiele szybszego myśliwca przechwytyjącego Eta-5.

- Żadnych uszkodzeń... Całą energię pochłonęły osłony - zameldował Quarren. - Mój napastnik mnie nie ściga.

- Więc dlaczego w ogóle mi o tym mówisz?

- Żeby powiedzieć, że ty swojego zniszczyłaś.

Lysa uniosła brwi. Spodziewała się, że płonące gazy z dysz wylotowych jej silników osmalać maszynę przeciwnika, przerażą pilota i zmuszą go do oddalenia się z pola bitwy, ale widocznie ogień przedostał się do jego kabiny.

Poczuła się... Właściwie nie była pewna, jak się poczuła.

„Zachowaj uczucia na później, kiedy wrócisz do domu”, przypomniła sobie znów słowa ojca, które w ciągu wielu lat słyszała, co najmniej pięćdziesiąt razy. Doszła do wniosku, że to mądra rada.

Wzbiła się na dużą wysokość i wyrównała pułap lotu. Widziała obecnie pole walki pilotów myśliwców swojej eskadry z przeciwnikami zarówno przez owiewkę kabiny, jak i na ekranie monitora sensorów. Jej towarzysze i Korelianie rozciągnęli się w nieregularną linię długości kilku kilometrów. Piloci par gwiazdnych myśliwców okrążali się nawzajem i ostrzeliwali.

Linia... Lysa lubiła takie linie. Zwróciła dziób myśliwca przechwytyjącego ku bliższemu końcowi i zanurkowała w tamtą stronę z maksymalną prędkością.

- „Ósemko”, bądź gotów do posłania kilku laserowych błyskawic - rozkazała.

- Ja... Tak jest - usłyszała w odpowiedzi. - Jestem twoim skrzydłowym.

ROZDZIAŁ 12

Fiav podeszła do Klauskina.

- Panie admirale, doszło do incydentu - zameldowała. - Jedna z eskadr naszych gwiazdnych myśliwców nawiązała kontakt bojowy z eskadrą koreliańskich maszyn. W tej chwili piloci obu formacji toczą zawziętą walkę. Na miejsce bitwy zlatują się na pomoc eskadry obu walczących stron.

Klauskin pokiwał głową.

- To dobrze, bardzo dobrze - powiedział.

- Panie admirale, z całym szacunkiem, ale to niedobrze - wyprowadziła go z błędu Sullustanka. - Walki w przestworzach nie były celem naszej operacji. - Doradczyni zniżyła głos do szeptu. - Gdyby poinformował pan oficerów, co właściwie chce pan osiągnąć w obecnej sytuacji, poprawiłoby to ich morale. Czy zamierzamy przypuścić atak na cel CEC-Jeden? Bo jeżeli tam dolecimy, obrońcy stoczni na pewno nas zaatakują. A może chce się pan przedrzeć przez blokadę i odlecieć z Systemu Koreliańskiego? Czy zamierza pan zaatakować koreliańską armadę?

Klauskin zastanowił się nad jej pytaniami i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że jest mu wszystko jedno. Na szczęście takie nastawienie powinno mu pomóc w podjęciu logicznej decyzji. Zaatakowanie celu CEC-Jeden na pewno nie było celem jego wyprawy. Wojskowi potrzebowali tych stoczni w nieuszkodzonym stanie, kiedy Korelia stanie się ponownie pełnoprawnym członkiem Galaktycznego Sojuszu i wszyscy znów będą przyjaciółmi. Oznaczało to jednak, że powinien dokonać zmiany wektora lotu okrętów swojej floty, więc musiał obmyślić inny plan wybrnięcia z tej sytuacji.

A może się przedrzeć przez blokadę i powrócić do domu z podwiniętym ogonem? Wykluczone. Taka decyzja dowodziłaby, że się godzi z fiaskiem wyprawy. Na zawsze okryłby się hańbą i zyskał opinię nieudolnego dowódcy.

Najlepszym wyjściem ze wszystkich, jakie przychodziły mu do głowy, było chyba zaatakowanie koreliańskiej armady. Problem w tym, że nie miał wystarczających informacji o jej składzie. Prawdopodobnie Korelianie nie dorównywali jego eskadrom pod względem siły ognia, ale bronili ojczystych przestworzy, więc mogli kryć w zanadrzu kilka naprawdę paskudnych niespodzianek. Zanim by zostali pokonani, zniszczyliby wiele okrętów jego floty. Klauskina doprowadzała do szału świadomość, że ma tak mało możliwych wyjść z obecnej sytuacji. Potrzebował czegoś nowego, czegoś lepszego. Żałował, że nie może na chwilę wrócić do kabiny, położyć się i porozmawiać ze swoją... Ze swoją...

- Edela - szepnął mimo woli.

Powinien był pamiętać, żeby nie szeptać w pobliżu Sullustan. Istoty tej rasy miały nie od parady tak wielkie uszy.

- Edela? - Powtórzyła zaskoczona Fiav. - Chodzi o pańską żonę?

- Tak.

- Panie admirale, pańska żona od czterech lat nie żyje.

- Tak, wiem.

I nagle znalazł odpowiedź. Odpoczynek... Trochę spokoju. Planeta, na której wszyscy mogliby się odprężyć i odpocząć. Właśnie tego było im potrzeba.

Poczuł, że w jego żyłach zaczyna krążyć nowa energia. Odwrócił się do doradczynie.

- Jak się nazywa piąta zamieszkała planeta tego systemu? - Zapytał. - Talus czy Tralus?

Sullustanka skierowała na niego ogromne oczy i zamrugła, wyraźnie zaskoczona nową siłą w jego głosie.

- Uhm, obie są piąte, panie admirale - powiedziała. - Krążą wokół tego samego punktu przestworzy, więc czasami jedna jest czwarta, a kiedy indziej piąta.

- Która jest w tej chwili piąta? - Uściślił Klauskin.

Fiav uniosła do ust komunikator, chwilę rozmawiała i zaczęła na odpowiedź.

- Tralus, panie admirale - oznajmiła.

- Więc obrać kurs na Tralusa - zdecydował Klauskin. - Przekazać ten rozkaz dowódcom jednostek floty, ale na razie go nie wykonywać. Zaczekać, aż do hangarów wrócą wszystkie gwiazdne myśliwce i statki pomocnicze, które nie mają jednostek napędu nadświatlnego. Poinformować dowódców tych, którzy je mają, że mogą sami podjąć decyzję o powrocie do hangarów macierzystych okrętów liniowych. Który z naszych oficerów jest najlepszy w planowaniu ataku na miasto czy planetę w krótkim czasie... Bardzo krótkim czasie?

Fiav znów zamrugła.

- Zaraz się tego dowiem, panie admirale - obiecała.

- Kiedy będzie to pani wiedziała, proszę powierzyć mu zadanie zaplanowania ataku i okupacji Tralusa - rozkazał Klauskin.

- Za kwadrans chcę znać najlepszy plan, jaki można opracować.

- Z trudem zapanował nad sobą, bo miał ochotę parsknąć śmiechem.

Nagle poczuł się tak dobrze, jakby na nowo stał się panem swojego przeznaczenia.

Jego operacja nie zakończy się niepowodzeniem. Nikt nie będzie mógł go za to obwiniać.

Nagle trajektorię lotu „Dodonna” przeciął mały transportowiec w kształcie dysku.

- Zestrzelić mi ten wrak przed dziobu - rozkazał Klauskin.

- To nasi, panie admirale! - Zaprotestował oficer pełniący służbę na niższym poziomie mostka przy stanowisku sensorów. - To „Sokół Millennium”!

Klauskin pochylił się i spiorunował go spojrzeniem.

- Czy to znaczy, że nie możemy go zestrzelić? - Zapytał gniewnym tonem.

- Uhm... Nie możemy, panie admirale - usłyszał w odpowiedzi.

- No cóż, w takim razie powiedzcie im, żeby się stąd zabierali - oznajmił Klauskin. - W tej okolicy jest bardzo niebezpiecznie.

- Rozkaz, panie admirale.

- A gdzie nie jest niebezpiecznie? - W głosie Hana brzmiała prawdziwa furia. - Wy jesteście tu, na wysokiej orbicie czeka na nas koreliańska armada, podobno nad Koronetem toczy się walka pilotów gwiazdnych maszyn, więc dokąd chcecie, żebym poleciał? Jest tu ze mną moja żona... Jak waszym zdaniem mam jej zapewnić bezpieczeństwo?

Siedząca na fotelu drugiego pilota w sterowni „Sokoła” Leia obrzuciła męża zdumionym spojrzeniem.

- Zapewnić mi bezpieczeństwo? - Wyszeptała bezgłośnie, ale mąż ją zrozumiał.

Posłał jej przeproszające spojrzenie.

- Solo, wleciałeś cywilnym statkiem w sam środek konfliktu zbrojnego - usłyszał głos anonimowej osoby z pokładu „Dodonna”. - Zalecamy, żebyś znalazł sobie bezpieczniejsze miejsce. Natychmiast. Nie mamy czasu się zastanawiać, gdzie będziecie bezpieczni, a gdzie nie.

Leia postukała palcami w pulpity sensorów. Na ekranie zainstalowanego tam monitora było widać eskadry gwiazdnych myśliwców. Znajdowały się jeszcze zbyt daleko, żeby sensory mogły stwierdzić, czy to przyjaciele, czy wrogowie, ale odłączyły się od koreliańskiej armady i kierowały w stronę „Sokoła”.

- Hej, leci do mnie pełna eskadra - zdziwił się Han. - Wysłaliście eskortę na nasze powitanie?

- To nie są nasi - odparł ten sam oficer z pokładu „Dodonna”. - A to prawdopodobnie oznacza, że lecą rozpylić was na atomy.

- Aha - mruknął Solo. - Posłuchajcie, zamierzam przeciąć orbitę między jednostkami waszej floty. Wykorzystam je, żeby zapewniły mi osłonę. Powiedzcie ich dowódcom, żeby nie otwierali do mnie ognia. „Sokół” przerywa połączenie.

- Chwileczkę...

Han pstryknął dźwigniką wyłącznika komunikatora i spojrzał na żonę.

- Przypnij się, kochanie - powiedział. Leia usłuchała, chociaż niezbyt chętnie.

- Hanie, to niebezpieczna zabawa - ostrzegła.

- Przykro mi, że powiedziałem to o zapewnieniu ci bezpieczeństwa - wyznał mąż. - Użyłem tej wymówki, żeby wywieść ich w pole...

- Nie chodzi mi o to - przerwała księżniczka. - Miałam na myśli beztroski spacer po polu walki.

- Chcę poznać skład ich floty - wyjaśnił Solo. - Chcę się także przekonać, jak się zachowają, stwarzając zagrożenie dla mojej ojczyzny. Trzymaj się.

Wprowadził „Sokoła” w przyprowadzający o mdłości ciasny łuk i skierował frachtowiec z powrotem w kierunku dziobu „Dodonna” - ale niżej, żeby przeciąć trasę lotu lotniskowca kilka kilometrów pod jego kadłubem.

Z informacji na ekranie monitora sensorów wynikało, że nadlatujące myśliwce zbliżają się do „Sokoła”. Niebawem pojawił się schemat maszyn prześladowców. Myśliwce miały kadłuby obłoczym tułów żuka i dwa wygięte ku dołowi skrzydła, na których końcach zainstalowano jednostki napędowe. Pod kadłubem umieszczono pojedynczą wieżyczkę laserowego działka.

- To maszyny przechwytyjące typu A-9 Vigilance - stwierdziła Leia. - Szybkie małe bestie.

- Ale mają słabe kadłuby - odparł Han. - Za młodu przegryzałem je zębami i wysysałem metal ze środka.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś mocny w gębie - przyznała żona.

W końcu lotniskowiec „Dodonna” znalazł się po stronie bakburty „Sokoła”. Artylerzyści baterii jego turbolaserów nie kierowali luf w ślad za przelatującym frachtowcem.

- No i na pewno nie otworzą do mnie ognia - dodał Han. - Mimo wszystko jestem nadal jednym z najsylniejszych Korelian.

Leia parsknęła.

- Lepiej upewnij się, że nasz transponder jest nastawiony na wysyłanie twojej prawdziwej tożsamości - doradziła. - W przeciwnym razie nie będą mieli powodu, żeby do nas nie strzelać.

- Słuszna uwaga. - Solo zerknął na pulpit komunikatora i wyraźnie uspokojony, pokiwał głową. - Bądź tak dobra i włącz dziobową holokamerę. - Poprosił. - Chcę zarejestrować wszystko, co zobaczymy.

Leia westchnęła i spełniła jego prośbę.

Stacja Centerpoint

Ben leżał na górnej płaszczyźnie metalowego rurociągu, który miał najwyżej metr szerokości i tyle samo wysokości. Rura wisiała jakiś metr pod sufitem i pięć metrów nad podłogą korytarza. Prosto pod Benem dwaj uzbrojeni strażnicy KorSeku prowadzili beztróską rozmowę.

- Jakież wieści? - Zapytał pierwszy.

- Zapędzili go w pułapkę do jednej z pustych hal teatralnych - poinformował drugi.

- A więc jednak go dopadli.

- No, nie wiem.. - Zawahał się drugi. - To Jedi, a oni są szczwani.

Ben pokazał zęby w bezgłośnym uśmiechu. Szczwani, pomyślał. Spodobało mu się to określenie.

Usłyszał odgłos kroków zbliżającej się trzeciej osoby. Pierwszy strażnik KorSeku krzyknął:

- Stać! Okazać kartę identyfikacyjną!

- Nazywam się Ables i pracuję w Wydziale Transportu - oznajmiła nadchodząca kobieta.

- Musi pani ewakuować swój personel z tej części stacji - powiedział strażnik. - Wstęp do niej jest zabroniony.

- Mnie to nie dotyczy - wyjaśniła funkcjonariuszka Wydziału Transportu. - Mam specjalne upoważnienie.

- Rzeczywiście - odparł mężczyzna. - W takim razie może pani przejść na swoje stanowisko.

Byle szybko.

Kobieta się oddaliła.

- Wracamy do patrolowania - odezwał się pierwszy strażnik.

- Tylko nie dajmy się ześwietlnomiczować - zakpił drugi.

- Bardzo zabawne.

Strażnicy KorSeku rozeszli się w przeciwnie strony i Ben został sam na rurociągu.

Nie podobała mu się własna sytuacja. Dotąd skradał się cicho jak duch - a umiał to robić znakomicie - ale skradanie się zajmowało zbyt dużo czasu. Czajenie się, maskowanie, ukrywanie, pełzanie... Wszystko to trwało stanowczo za długo. Ben znajdował się w korytarzu prowadzącym do głównej sterowni repulsora stacji. Oceniał, że od celu dzieli go zaledwie kilkaset metrów. Gdyby chciał pokonać je w dotychczasowym tempie, dotarcie zajęłoby mu wiele godzin.

A wszystko dlatego, bo jego nieprzyjaciele wiedzieli, że mają do czynienia z Jedi.

Ben wyprostował się tak raptownie, że uderzył głową w sufit. Potarł bolące miejsce i zaczął się zastanawiać. W obecnej chwili nie musiał korzystać z umiejętności Jedi. Wykonując szybkie, ale trochę nieskoordynowane ruchy, ściągnął buty i zdjął płaszcz Jedi wraz z całym wyposażeniem. Minutę później był już tylko w czarnym podkoszulku i czarnych spodenkach gimnastycznych. Wsunął do worka świetlny miecz i wszystkie elektroniczne zabawki, które miały zapewnić mu powodzenie.

Nie wypuszczając worka z prawej ręki, zeskoczył na podłogę. Przetoczył się, od razu wstał i pobiegł w kierunku miejsca przeznaczenia.

Lysa przeleciała nad całą linią, na której piloci Eskadry Wibromieczny i koreliańskich myśliwców szturmowych toczyli zawzięte pojedynki. Oddaliła się od pola walki i zawróciła, żeby dokonać ponownego przelotu. Za pierwszym razem na pewno trafiła kilka nieprzyjacielskich maszyn, ale przemknęła nad nimi tak szybko, że nie miała pojęcia, czy je zestrzeliła, czy tylko wyeliminowała z dalszej walki.

Zabijała Korelian.

„Ósemka” trzymał się cały czas blisko ogona jej myśliwca, ale z dyszy bakburtowej jednostki napędowej jego maszyny strzelały raz po raz snopy iskier.

- „Siódemko”, dostałem - zameldował.

- Jak to wygląda? - Zainteresowała się Lysa.

- Niezbyt dobrze - odparł Quarren. - Mój silnik się przegrzewa, a w przestworzach nie może oddać nadmiaru ciepła.

- Wyłącz go i wróć do hangaru „Dodonny” - rozkazała pilotka.

- Rozkaz. - W głosie „Ósemki” zabrzmiał żal. - A ty lepiej dołącz do pilotów Eskadry Wibromieczny i postaraj się znaleźć tymczasowego skrzydłowego.

- Masz rację. - Nagle Lysa zobaczyła na ekranie monitora sensorów czerwoną plamkę oznaczającą samotną nieprzyjacielską maszynę. Jej pilot chciał przelecieć obok niej i kierował się ku powierzchni planety. - Tylko się z nim rozprawię - dodała.

- Lyso, nie rób tego sama - ostrzegł Quarren.

- Do zobaczenia w hangarze „Dodonny”. - Pilotka zatoczyła łuk, żeby podążyć w ślad za samotną maszyną.

Wkrótce zidentyfikowały ją jej sensory: ścigała X-winga. Lysa zdziwiła się, bo nie sądziła, że Korelianie mają eskadry myśliwców tego typu. Z drugiej strony jednak, nie widziała jeszcze wszystkiego, czym dysponują obrońcy planety. Pozwoliła, żeby na jej twarzy pojawił się pogardliwy uśmiech, który jej nauczyciele nazywali drapieżnym - i puściła się w pościg za nową ofiarą.

Siedzący za sterami X-winga pilot obniżał pułap lotu, dzięki czemu oddalał się od floty Galaktycznego Sojuszu. Może zamierzał się przyłączyć do kolegów toczących walkę z eskadrą Skywalkera? Może wyruszył na zwiad i wracał, żeby przekazać Korelianom ważne informacje, które zarejestrowały zestawy jego skanerów? Lysa pokręciła głową. Tak czy owak, nie zamierzała pozwolić, żeby nieprzyjacielski pilot dotarł do zamierzonego celu.

Na razie wołała go nie namierzać. Piloci X-wingów nie dawali się łatwo zestrzelić, a ze wskazań przyrządów na pulpicie sensorów wynikało, że jej przeciwnik przesyła podwójną porcję energii do generatorów rufowych pól ochronnych.

Dopiero kiedy pokładowy dalmierz pokazał, że jej myśliwiec znajduje się w największej odległości skutecznego strzału z laserowych działek, zaczęła kierować czworokąt na ekranie monitora celowniczego komputera na sylwetkę ściganego X-winga. Jego pilot zaczął jednak wykonywać uniki - w dół, w górę i na boki, na bakburtę i sterburtę. Zawsze skręcał w stronę przeciwną do tej, z której zbliżał się do niego czworokąt celowniczy na ekranie monitora. Wyglądało to, jakby pilot tęponosego myśliwca dobrze wiedział, kiedy Lysa zamierza zacząć go namierzać.

Pilotka nie była pewna, czy go przeklinać, czy dalej się uśmiechać. Jej przeciwnik był dobry, bardzo dobry. Pozwolił się namierzyć trzykrotnie, ale trwało to za krótko, żeby wystrzelone przez nią

błyskawice dotarły do kadłuba jego X-winga. Za każdym razem Lysa chybiała, chociaż czasami zaledwie o kilka metrów.

Niespodziewanie pilot ściganej maszyny zwolnił, jakby zastopował w przestworzach.

Czując przyływ adrenaliny, Lysa przeleciała nad nim. Nieprzyjaciel zastosował klasyczną technikę walki z szybszym przeciwnikiem, i to dokładnie w chwili, kiedy jego prześladowczyni najmniej się tego spodziewała.

Lysa odepchnęła rękojeść dźwigni drążka sterowniczego na tyle długo, aby jej przeciwnik doszedł do wniosku, że zamierza zanurkować i zatoczyć pętlę. Sekundę później przyciągnęła rękojeść z powrotem, żeby zwiększyć pułap lotu, obróciła maszynę i skrzyła na bakburcie.

Niedoświadczony pilot, który dałby się zwieść jej pierwszą szybką, pozorowaną reakcją, zanurkowałby i poleciałby w ślad za nią. Lysa mogłaby wówczas dokonać poprawki kursu i zaczekać, aż Korelianin ją wyprzedzi, żeby puścić się za nim w pościg. Bardziej doświadczony albo czujny przeciwnik zostałby za ogonem jej myśliwca i poświęciłby kilka sekund, żeby ją namierzyć i posłać w ślad za nią błyskawice laserowych strzałów czy nawet protonową torpedę. Skorzystałby z faktu, że maszyna typu Eta-5 jest o wiele bardziej wrażliwa od X-winga.

Lysa nie usłyszała jednak w kabinie skrzeczenia, które ostrzegłoby ją, że jest namierzana. Rzuciła okiem na pulpit sensorów. Jej przeciwnik nie zanurkował ani nie rzucił się za nią w pościg. Wyglądało na to, że spokojnie wrócił na poprzedni kurs, kiedy zaczęła wykonywać manewr wymijania.

Zaskoczona pilotka siedziała chwilę jak sparaliżowana. Korelianin nawet nie usiłował otworzyć do niej ognia!

Usłyszała trzask z głośnika komunikatora, a skaner poinformował ją, że dostała sygnał na wspólnej częstotliwości sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu. Sygnał miał jednak tak niewielką moc, że prawdopodobnie tylko ona go odbierała.

- Niezły manewr jak na myśliwiec przechwytyjący - odezwał się jej przeciwnik. - Mógłbym przysiąc, że nauczył cię go Tycho Celchu.

Lysa znów zamarła. Rzeczywiście nauczyła się tego manewru od generała Celchu, słynnego oficera, który ponad trzydzieści lat wcześniej najpierw wleciał A-wingiem w głąb drugiej Gwiazdy Śmierci, a później z niej wyleciał.

I nagle rozpoznała przeciwnika, chociaż zakłócenia i niewielka moc transmisji zmieniały ton jego głosu.

- Tata? - Zapytała.

- Cześć, kochanie.

Lysa obróciła maszynę w locie i zanurkowała w stronę X-winga. Tym razem nie zamierzała jednak zajmować pozycji za jego ogonem i nie chciała go ostrzelać. Zamiast tego obrała kurs na przechwycenie, ale wyłączyła urządzenie namierzające swojego komputera celowniczego. Ograniczyła prędkość dopiero nad kadłubem tęponosego myśliwca. Zwolniła, aby jej maszyna przechwytyjąca typu Eta-5 leciała kilka metrów nad X-wingiem. Obróciła swoją maszynę wzdłuż podłużnej osi, żeby owiewki obu kabin dzieliła odległość nie większej niż cztery metry.

I spojrzała w twarz ojca, Wedge'a Antillesa.

Drugi najsłynniejszy pilot Korelii powitał ją szerokim uśmiechem i uniesionymi kciukami. Miał na głowie standardowy hełm pilota tęponosego myśliwca, ale nie był to jego stary, poobijany hełm z charakterystycznymi klinami. Ten był ozdobiony na krawędzi szlakiem z trójkątów.

- Tato, przecież przeszedłeś w stan spoczynku. Zmiataj stąd. - Lysa pomyślała z zakłopotaniem, że zachowuje się jak smarkata. Uświadamiała sobie, że otworzyła ogień do swojego ojca, i czuła się, jakby kręciło się jej w głowie albo siły wyciekały z jej ciała.

- Zaraz to zrobię, kochanie. - Wedge pogroził jej palcem. - Tylko nie daj sobie zrobić krzywdy.

- Będę na siebie uważała, tato - obiecała Lysa.

Wedge zmienił kurs i zaczął opadać w kierunku planety. Lysa obróciła maszynę do poprzedniego położenia, żeby mieć planetę pod kadłubem, i przyciągnęła rękojeść dźwigni drążka sterowniczego, aby nabrać większej wysokości. Powoli zatoczyła szeroki łuk i obrała kurs w kierunku ostatniej znanej pozycji pilotów swojej eskadry.

Jej ojciec cieszył się niezwykłą sławą, ale Lysa aż dotąd nie uświadamiała sobie, jak wiele musiał osiągnąć, żeby na nią zasłużyć. Słyszała różne opowieści, kiedy dorastała. Marzyła o karierze pilotki, ale nie chciała zawdzięczać niczego reputacji ojca. To właśnie dlatego studiowała w akademii pod przybranym imieniem i nazwiskiem Lysy Dunter zamiast Syal Antilles. Z tego samego powodu zdecydowała się także latać szybkimi i zwinnymi, ale stosunkowo słabo opancerzonymi myśliwcami przechwytyjącymi w rodzaju maszyn typu Eta-5, zamiast silnie uzbrojonymi i opancerzonymi X-wingami - ukochanymi maszynami jej ojca. A wszystko dlatego, że nie chciała, aby ją z nim porównywano.

Zawsze dotąd uważała, że jego sława to legenda, a nie fakt historyczny. Kiedy jednak zmierzyła się z nim w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach - w miejscu i czasie, gdzie tworzyła się historia - nie udało jej się wyrzucić mu krzywdy, chociaż ze wszystkich sił się starała. Pierwszy raz uświadomiła sobie, że jej ojciec w pełni zasługuje na swoją sławę.

Strzelała do ojca. Prawdopodobnie także zabiła kilku koreliańskich ziomków... Wykonywała rozkazy, bo do tego się zobowiązała, kiedy składała przysięgę oficerską, z której nie wolno jej było się wycofać. Nie mogła nic poradzić, że tym razem nieprzyjacielem jest jej własna ojczyzna.

W ciągu zaledwie kilku minut wszechświat stracił wszelki sens.

Pilotka ocknęła się z zadumy. Miała toczyć walkę z nieprzyjaciółmi przed dziobem swojej maszyny, więc gdyby się zdekoncentrowała, mogłoby to ją kosztować życie. „Skup się”, usłyszała słowa ojca, dochodzące z jej pamięci, nie z głośnika pokładowego komunikatora. Skup się, jeżeli chcesz zwiększyć szanse swojego przeżycia.

Tak, zrobi to. W końcu obiecała ojcu, że będzie na siebie uważała.

Syal Antilles zauważyła na kursie świetliste plamki maszyn nieprzyjaciół. Ze wskazań przyrządów na pulpicie sensorów wynikało, że to dwa myśliwce przechwytyjące typu A-9 Vigilance. Pilot pierwszej maszyny wyraźnie osłaniał drugą, z której dysz sypały się raz po raz snopy iskier. Syal usunęła z umysłu wszystko oprócz tych dwóch myśliwców, zwiększyła dopływ energii do jednostek napędowych i rzuciła się w pościg za parą nieprzyjaciół.

ROZDZIAŁ 13

Stacja Centerpoint

Jacen przeciął na pół blasterowy karabin ostatniego przeciwnika i wymierzył mu kopniaka, po którym mężczyzna przeleciał nad poręczą ochronnej balustrady i z przeraźliwym wrzaskiem pokonał dwa piętra, zanim runął na metalową podłogę. Prawdopodobnie tylko doznał obrażeń, ale nie zginął.

Rycerz Jedi odwrócił się i spojrział na kilka metrów, które właśnie pokonał. Na pomoście leżało ośmiu żołnierzy KorSeku. Niektórzy byli nieprzytomni, inni krwawili, a dwaj mieli odcięte prawe ręce. Ze zniszczonych generatorów impulsów sonicznych w korpusach astromechanicznych robotów typu R5 unosiły się strużki dymu.

Pozostali przy życiu czterej żołnierze KorSeku i Thrackan Sal-Solo zniknęli za ciężkimi metalowymi drzwiami. Miały wysokość mniej więcej czterech metrów i wyglądały jak element oryginalnego wyposażenia stacji Centerpoint. Widoczny na ścianie obok nich kontrolny panel został jednak na pewno wyprodukowany i zainstalowany o wiele później. Jacen wyczuwał, że za drzwiami czyha niebezpieczeństwo, a kryjące się tam osoby żywią względem wobec niego złe zamiary.

Uniósł rękę do przycisku z napisem „Otwieranie”. Nie spodziewał się, że uda mu się otworzyć drzwi, bo Thrackan na pewno je zablokował. Oczami wyobraźni zobaczył jedną z możliwych wersji przyszłości - i szybko cofnął rękę. Gdyby przycisnął guzik, elektroniczny sygnał powędrowałby ścieżkami urządzeń systemu bezpieczeństwa do zainstalowanego za drzwiami urządzenia: ładunku wybuchowego tak potężnego, że jego eksplozja wyrwie drzwi i zamieni w pył spory fragment ściany, w których je osadzono.

Wycofał się w głąb korytarza na bezpieczną odległość i skupił myśli na kontrolnym panelu. Ledwo widział niewielki, podświetlony na zielono guzik.

Oślonił dłońmi uszy, wysłał myśli do guzika i przycisnął go, korzystając z energii Mocy... Zobaczył oślepiający błysk i usłyszał donośny huk. Drzwi wyleciały z futryny, zgięły się i przeleciały przez miejsce, w którym by stał, gdyby nie zobaczył wizji przyszłości. Szczątkom pancерnej płyty towarzyszył dym i okruchy, w które zamieniła się otaczająca drzwi ściana. Pomost pod stopami Jacena się zakołysał, ale zaraz znieruchomiał. Pomagając sobie Mocą, rycerz Jedi pokonał sprintem odległość do dymiącej wyrwy i przeskoczył przez otwór w ścianie.

W obie strony ciągnął się szeroki, pogrążony w ciemności korytarz. Po lewej, z daleka od miejsc stacji, do których Jacen chciał się dostać, nie widział nikogo. Po prawej, w dosyć dużej odległości, drogę zagradzał dwuszereg liczący co najmniej dwudziestu uzbrojonych żołnierzy KorSeku. Agenci w pierwszym rzędzie klęczeli, osłonięci wygiętymi transpastalowymi tarczami, a funkcjonariusze w drugim stali z gotowymi do strzału blasterami. Za żołnierzami stał Thrackan Sal-Solo.

Trochę bliżej, w odległości jakichś dziesięciu metrów, Jacen zobaczył dwa proboty. Ich korpusy były usiane śladami po trafieniach przez kawałki muru, a z kilku miejsc snuły się pasemka dymu. Oba

automaty płynęły w powietrzu w jego stronę. Wyglądały prawie tak samo jak ich odpowiedniki z okresu Rebelii. Miały ponad dwa metry wysokości i niezgrabne pękate korpusy. Dzięki repulsorom unosiły się nad podłogą i podobnie jak dawne zwiadowcze automaty, miały po cztery mechaniczne manipulatory. Automaty były jednak brązowe, nie czarne, a masywne manipulatory wyglądały na bardziej wytrzymałe niż chwytaki starych probotów.

Każdy manipulator kończył się czymś w rodzaju gniazda systemu uzbrojenia.

Kiedy Jacen przeskoczył przez dziurę w ścianie, proboty włączyły generatory pól deflektorów, których nie miały dawne automaty, i popłynęły w powietrzu w jego stronę.

A później uniosły manipulatory i dały ognia. Pierwszy strzelał z blastera, a drugi posyłał ku Jacenowi niewielkie owalne pojemniki, które na pewno zawierały materiały wybuchowe.

Ben usłyszał i wyczuł stłumiony huk odległej eksplozji, gdzieś głęboko w trzewiach stacji. Zaniepokojony, posłużył się Mocą i uwolnił myśli, żeby odszukać Jacena. Wyczuł niewyraźnie obecność nauczyciela... Ruch i energię jego życia.

Tak się skoncentrował na szukaniu Jacena, że nie uważał, jak idzie. Nagle zderzył się z twardym pancernem, odbił od niego i wylądował na metalowej podłodze.

Uniósł głowę i zobaczył nad sobą funkcjonariusza KorSeku, który piorunował go spojrzeniem.

- Wracaj tam, skąd przyszedłeś, synu - burknął strażnik. - To teren zamknięty. Wstęp wzbroniony.

Ben postanowił improwizować.

- Muszę zobaczyć się z ojcem - odparł bez namysłu. - Stoi na straży sterowni repulsora. Muszę się upewnić, że nie stało mu się nic złego.

- Mowy nie ma, chłopcze. Nie wolno ci tam iść - upierał się strażnik.

- Muszę wiedzieć, czy nie został zabity albo ranny. - Ben nadał słowom płaczliwy ton, jakby był rzeczywiście przerażonym dzieckiem. Zerwał się z podłogi, podszedł do strażnika KorSeku, prześlizgnął się pod jego wyciągniętymi rękami i pobiegł dalej, w głąb korytarza.

Nie mógł nic poradzić na to, że w oczekiwaniu na strzał napina mięśnie pleców. Uwolnił myśli i wysłał je do strażnika, żeby się zorientować, jak mężczyzna zareaguje na jego ucieczkę.

Nie wyczuł zagrożenia, a strażnik nie wymierzył do niego z blastera. Od żołnierza promieniowała mieszanina irytacji i współczucia. Funkcjonariusz wyraźnie zastanawiał się nad podjęciem decyzji, ale dopiero po kilku chwilach Ben uświadomił sobie, o co mu chodzi. Strażnik wahał się, czy uprzedzić kolegów, że w ich stronę biegnie kilkunastoletni chłopak. W końcu zdecydował się tego nie robić, odwrócił się i ruszył w przeciwny koniec korytarza.

Ben uśmiechnął się do siebie. To było łatwe, pomyślał zadowolony, ale zaraz się zreflektował. Jeżeli jego wyprawa zakończy się powodzeniem i stacja Centerpoint eksploduje, ten miły, współczujący strażnik może stracić życie.

Gdyby jednak nie wywiódł go w pole, mogłoby zginąć o wiele więcej osób.

Zdecydował się na małe zło, żeby zapobiec większemu. Ci, w których imieniu działał, na pewno nie wzięliby mu tego za złe. Ben słyszał te słowa setki razy, przeważnie z ust Jacena, i w końcu zaczął sobie uświadamiać, co naprawdę oznaczają.

Mimo to pamiętał, co kiedyś powiedział mu ojciec: „Czasami rzeczywiście cel uświęca środki. Jeżeli jednak będziesz zbyt często szermował takim argumentem, może się okazać, że stworzyłeś całą filozofię zła”. Zaniepokojony Ben ruszył w dalszą drogę.

Wymachując klingą świetlnego miecza, Jacen odbijał błyskawice strzałów, które kierował ku niemu unoszący się po prawej stronie probot. Nie posyłał ich jednak w określonym kierunku, bo

wymagałoby to od niego zbyt dużego skupienia. Wyciągnął przed siebie lewą rękę i korzystając z energii Mocy, odnalazł pojemniki wystrzelone przez drugiego probota. Chwycił je i odrzucił od siebie, mierząc najpierw w jeden, potem w drugi automat.

Poszybowały w powietrzu, ale tylko do pół deflektorów, i przykleiły się do nich mniej więcej metr od korpusów probotów. Później zaś jeden po drugim eksplodowały.

Jacen zorientował się, że po każdej eksplozji słabną deflektorowe pola probotów. Polegając na swojej szybkości i przewadze, jaką dawało zaskoczenie, puścił się biegiem w stronę automatów. Dostarczył do probota mierzącego do niego z blastera. Po eksplozji ostatniego pojemnika, jeszcze zanim deflektorowe pola osiągnęły poprzednie natężenie, machnął poziomo klingą świetlnego miecza, najpierw w prawo, a później w lewo.

Oba proboty, przecięte na połowy w najwęższym miejscu pękających korpusów, zwały się z donośnym łoskotem na metalową podłogę.

Zapadła cisza, w której rycerz Jedi usłyszał rozkaz Thrackana:

- Otworzyć ogień!

Stojący w drugim szeregu żołnierze KorSeku wystrzelili z blasterów. Każdy miał karabin nastawiony na automatyczny ogień, więc w przestrzeni między żołnierzami a Jacenem zaroilo się od dziesiątków blasterowych błyskawic.

Rycerz Jedi unikał ich, jak mógł. Uskakując, wyginając ciało i kręcąc młynka klingą świetlnego miecza, żeby stworzyć ochronną zaporę, przechwytywał i odbijał niemal wszystkie strzały.

Nie dość szybko. W pewnej chwili poczuł żar na lewej łydce, w miejscu, które musnęła blasterowa błyskawica. Następna, która przeleciała niemal równie blisko, zahaczyła o prawy rękaw jego płaszcza i wypaliła w nim dymiącą dziurę.

Jacen odskoczył do tyłu, wykonał młynek i oddalił się od strefy najintensywniejszego ostrzału. Zanim agenci Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa skierowali ku niemu lufy blasterów, dopomógł sobie Mocą i poszybował pod sufit korytarza. Z całej siły szarpnął ku sobie krawędź ciężkiej metalowej płyty.

Poddając się jego woli, gruby arkusz oderwał się i wygiął. Kiedy Jacen lądował, brzeg wyszarpiętego z zamocowań, wygiętego szerokiego pasa oparł się z trzaskiem niespełna dwa metry przed nim na podłodze. Drugi koniec wciąż się trzymał sufitu, więc Jacen miał przed sobą wiodącą w górę prymitywną rampę, która mogła mu służyć także jako wygięta tarcza chroniąca przed błyskawicami blasterowych strzałów.

Młody Solo spojrział w górę i zmarszczył brwi. Rampa wiodła donikąd. Pod miejscem, z którego się oderwała, widać było tylko gruby metal przegrody. Dobrze chociaż, że metalowa płyta mogła mu zapewnić kilka chwil wytchnienia.

Mimo to drżała pod wpływem energii blasterowych strzałów. W miejscu, w którym żołnierze KorSeku skupili ogień, zaczynała się już jarzyć.

Na ułamek sekundy Jacen wysunął głowę zza prowizorycznej osłony. Ściągnął na siebie ogień żołnierzy, ale przy okazji uzyskał bezcenne informacje o ich taktyce.

Zobaczył, że trzech uzbrojeni w blastery agenci zmieniają równocześnie zasobniki energetyczne swoich karabinów - zapewne zrobili to na rozkaz, według ustalonej kolejności. Oznaczało to, że mają dość zapasów energii, aby utrzymać dłuższy czas ciągły ogień i uniemożliwić mu wyskoczenie zza metalowej osłony.

Jacen przeszedł do drugiej krawędzi tarczy i odczekał chwilę, zanim wysunął głowę z tamtej

strony. Siła jego przeciwników mogła stać się ich słabością, więc gdyby wykorzystał ją przeciwko nim... Usłyszał kurant komunikatora - trzy melodyjne tony - i o mało nie podskoczył, taki przeżył wstrząs. Sygnał pochodził od Bena i oznaczał: „Cel w zasięgu wzroku”.

Rycerz Jedi pokiwał głową. Nie musiał już iść naprzód, żeby osiągnąć cel wyprawy. Postanowił więc ściągać na siebie uwagę obrońców stacji i stopniowo wyczerpywać ich zasoby, żeby dać Benowi więcej czasu na wykonanie zadania.

Zamknął oczy i korzystając z pozostałych zmysłów, zaczął szukać źródeł energii, źródeł ciepła.

Znalazł kilka, tak blisko jedno obok drugiego, że tworzyły nieprzerwaną linię: blastery przeciwników. Wszyscy utrzymywali broń w stanie pełnej sprawności, co oznaczało, że zasobniki energii radzą sobie nieźle z rozpraszaniem dużych ilości ciepła, jakie musiały się wydzielać podczas ciągłego ognia.

No cóż, Jacen musiał tylko sprawić, żeby zasobniki energetyczne blasterów jego przeciwników zaczęły sobie kiepsko radzić z tym zadaniem. Uwolnił myśli, wysłał je do źródeł ciepła i w końcu na samym skraju szeregu żołnierzy znalazł takie, na jakim mu zależało. Przelewając do niego własną energię, zaczął szukać słabych miejsc i szczelin, przez które energia mogłaby się wydostać na zewnątrz...

Zwiększył tempo przesyłania własnej energii. Zasobnik opierał się jakiś czas jego woli, ale w końcu Jacen usłyszał okrzyk przerażenia jednej z agentek służby bezpieczeństwa... I trzask, z jakim eksplodował zasobnik energetyczny jej blastera.

Wyjrzał zza prowizorycznej tarczy. Ranna funkcjonariuszka KorSeku leżała na podłodze, a z jej ciała unosiły się strużki dymu. Obrażenia odnieśli jeszcze dwaj żołnierze: chroniący ją nosiciel tarczy i stojący obok kobiety strzelec z blasterowym karabinem. Na prawym skraju dwuszeregu utworzyła się niewielka luka. Zanim agenci KorSeku zdążyli go zobaczyć, Jacen wycofał się za zasłonę i od razu zaczął poszukiwać zasobnika energii innego blastera.

Drugi, jaki znalazł, był jeszcze gorętszy, ale i słabszy, więc rycerz Jedi nie musiał się tak wysilać, żeby wywołać eksplozję. Kiedy usłyszał huk, wychylił głowę zza tarczy i zobaczył czterech następnych żołnierzy, leżących na podłodze. Pozostali, wyraźnie zdezorientowani, zmniejszyli częstotliwość strzałów albo przełączyli karabiny na pojedynczy ogień.

Stojący za dwuszeregiem żołnierzy Thrackan zbliżył do ust komunikator, odwrócił się i pobiegł w głąb korytarza.

Jacen uśmiechnął się niewesoło. Strzelający do niego żołnierze powinni niebawem przejść do historii... A on miał się przekonać, jakie jeszcze niespodzianki kryje dla niego w zanadru kuzyn.

Ben zbliżył się na odległość pięćdziesięciu metrów od sterowni. Przed drzwiami stało dwoje agentów KorSeku, mężczyzna i kobieta. Między nimi unosił się w powietrzu robot w kształcie kuli, z której zwisały cztery manipulatory. Na widok Bena automat wyleciał z pomrukiem repulsorów na korytarz i znieruchomiał pośrodku, jakby zagradzał mu dalszą drogę.

Wyciągnął w stronę intruza dwa manipulatory, każdy zakończony pękającym gniazdem najeżonym lufami. Ben uniósł ręce i krzyknął:

- Nie strzelaj! Jestem tylko dzieckiem!

Zenująca wymówka. Ben chciałby wreszcie dorosnąć, żeby już nigdy nie musiał się uciekać do podobnych argumentów. Wszystko jednak wskazywało, że jego słowa wywarły pożądany skutek. Strażniczka spojrzała na niego i rozkazała:

- Wstrzymaj ogień!

Oddaliła się parę kroków od drzwi i gestem zachęciła Bena, żeby podszedł do niej. Młody Skywalker skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

- Chyba zablądziłem - wyznał płaczącym tonem.

- Jakim cudem udało ci się zejść tak daleko? Do tego obszaru wstęp jest zabroniony - zdziwiła się agentka. W czasie, kiedy zadawała to pytanie, Ben zbliżył się do niej prawie o dziesięć metrów.

- Badałem labirynt rurociągów, zmęczyłem się, zgłodniałem i zasnąłem - wyjaśnił zwięźle chłopak. - Później usłyszałem huk eksplozji, wycie alarmowych syren i odgłosy kroków biegnących osób. W końcu zobaczyłem pod sobą prawdziwy korytarz, ale nie mam pojęcia, gdzie jestem. - Cały czas idąc, przybliżył się do obojga strażników i przystanął dopiero, kiedy dzieliło go od nich zaledwie pięć metrów. Starał się rozplakać, ale łzy nie chciały płynąć. Doszedł do wniosku, że musi nad tym popracować.

- Masz komputerowy notes? - Zagadnęła strażniczka. - Mogę ci wpisać mapę tej części stacji, żebyś wiedział, jak się stąd wydostać.

- Nie mam - odparł Ben. Podszedł jeszcze bliżej i stanął dopiero przed unoszącym się w powietrzu robotem.

Automat wyglądał solidnie, a na górnej powierzchni kopułki miał wypukłości, w których prawdopodobnie mieściły się emiterzy ochronnego pola. Nic jednak nie wskazywało, żeby generator pola funkcjonował. Robot zresztą nie wyglądał, jakby jego polakierowana na brązowo metalowa obudowa mogła wytrzymać wiele blasterowych strzałów.

- Nie odchódź - poleciła agentka. - Przyniosę ci wydruk mapy.

Jej towarzysz, który nie ruszył się sprzed drzwi ani o krok, widocznie doszedł do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo.

- Wykluczone - powiedział. - Postępujesz niezgodnie z regulaminem służby wartowniczej. Powinniśmy zameldować o incydencie, żeby nasi przełożeni mogli przysłać tu kogoś, kto wyprowadzi tego chłopaka poza kordon.

- Nie ma nikogo, kto mógłby się tym zająć - przypomniała strażniczka protekcyjnym tonem. - Wiesz przecież, że wszystkich ściągnięto do Celu Alfa. Jeżeli nie chcesz, żebyśmy go musieli niańczyć, zanim kogoś tu przyślą, co może im zająć wiele godzin, odeślemy go z kopią mapy.

Zirytowany funkcjonariusz KorSeku westchnął, ale nie odpowiedział.

Ben poczuł, że jego serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem. Jeżeli strażniczka przekona partnera, sama otworzy drzwi do sterowni... A Ben będzie miał ułatwione zadanie.

Jeżeli jednak chce się dostać do pomieszczenia, musi zabić i ją, i jej towarzysza, a także unieszkodliwić tę latającą kulę.

Pamiętaj o priorytetach, ilekroć zamierzasz coś zrobić, mawiał zawsze Jacen.

Najważniejsze było niewątpliwie unieszkodliwienie repulsorowego robota. Automat był prawdopodobnie czymś w rodzaju wersji bojowej, więc musiał być opancerzony, a może nawet spodziewał się ataku ze strony rudowłosego wyrostka. Ben uwolnił myśli, niepostrzeżenie otworzył worek i zerknął w dół, na rękojeść świetlnego miecza. Gdyby po nią sięgnął, robot mógłby prawidłowo zinterpretować jego ruch jako zapowiedź napaści. Ben nie musiał jednak wcale opuszczać ręki. Po unieszkodliwieniu robota zamierzał zabić tę ze strzegących drzwi osób, która pierwsza zareaguje na jego ruchy, a później drugą. Postanowił jednak poczekać z podjęciem decyzji co do kolejności.

Inna powtarzana przez Jacena lekcja brzmiała: „Przemyśl i zaplanuj swoje posunięcia”.

Strażniczka podchodziła już do drzwi i zamierzała wsunąć osobistą kartę identyfikacyjną do szczeliny czytnika systemu bezpieczeństwa. Agent się nie poruszał, ale cały czas patrzył na nią z dezaprobatą.

Ben miał trochę czasu na ułożenie planu działania. Musiał poczekać, aż drzwi się otworzą. Dopiero wówczas będzie mógł zniszczyć robota. Potem powinien się dostać do sterowni repulsora, zanim drzwi się zamkną po otrzymaniu sygnału z dowolnego czujnika systemu bezpieczeństwa. Po zniszczeniu robota Ben musiał więc jak najszybciej przebiec przez próg i po drodze rozprawić się z obojgiem strażników.

A później... Jacen byłby rozczarowany, gdyby Ben nie opracował planu wydostania się ze stacji, ale chłopak nie miał obecnie na to czasu. W końcu strażnik przestał piorunować spojrzeniem koleżankę i zirytowany odszedł na bok, żeby partnerka mogła wsunąć identyfikacyjną kartę do szczeliny czytnika.

Sytuacja zaczęła się rozwijać w zwolnionym tempie, jakby korytarz wypełnił się nagle gęstą, niewidzialną galareta. Ben zobaczył, że płyta drzwi zaczyna powoli sunąć do góry. Zwykle takie płyty otwierały się błyskawicznie, ale czas płynął tak wolno, że młody Jedi czekał w napięciu, aż dolna krawędź metalowej płyty uniesie się chociaż metr nad podłogę.

Niepostrzeżenie zbliżył dłoń do wylotu worka i przywołał do dłoni rękojeść świetlnego miecza. Zacisnął palce na metalowym cylindrze, włączył klingę i skierował ją ku unoszącemu się przed nim robotowi, jak tylko basowy pomruk dał mu znać, że ostrze jest włączone.

Wyskoczył pod sufit i skierował klingę w dół, żeby szpic wbił się w guzik emitera ochronnego pola. Kiedy klinga przebiła metalowy pancerz automatu i zaczęła sunąć w dół, do miejsc, gdzie znajdowały się elektroniczne podzespoły, Ben chwycił rękojeść oburącz, żeby ciężar jego ciała pomógł klindze przebić na wylot latającą kulę.

Robot runął na podłogę w tym samym tempie, jak opadał Ben... To znaczy przerażająco powoli. Młody Jedi zobaczył, że pierwszy na jego atak zareagował strażnik, który zaczął unosić blasterowy karabin.

Ben wylądował na podłodze i od razu przetoczył się w bok, w kierunku całkowicie otwartych drzwi. Agent KorSeku starał się skierować w ślad za nim lufę blastera. Strażniczka, na której twarzy malowało się zaskoczenie, uniosła rękę do kontrolnego panelu i wcisnęła guzik z napisem „Zamykanie”, chociaż nie wyjęła jeszcze karty identyfikacyjnej ze szczeliny czytnika.

Ben zerwał się na nogi między obojgiem strażników - na tyle blisko mężczyzny, żeby strzał z jego karabinu nie mógł go trafić - i wpakował szpic klingi świetlnego miecza w kontrolny panel. Ostrze przecięło elektroniczne obwody i stopiło je w kulę razem z kartą strażniczki, parząc ją przy okazji w dłoń. Mimo to agentka zdążyła przycisnąć guzik z napisem „Zamykanie”, już na wpół stopiony od żaru świetlnego miecza. Ben wtoczył się po podłodze do pogrążonej w półmroku sterowni. Kiedy płyta drzwi całkiem opadła, ciemności rozjaśniała jedynie płonąca błękitnym blaskiem klinga jego broni.

Niewiele było widać w mrocznym pomieszczeniu. Ben miał przed sobą duży ciemny obiekt, który wyglądał jak niewielki śmigacz lądowy. Doktor Seyah nie pokazywał mu niczego takiego podczas symulacji. W kilku miejscach na ścianach sterowni paliły się różnokolorowe lampki.

Najpierw sprawy najważniejsze. Młody Jedi odwrócił się i skoczył w kierunku drzwi. Wbił szpic klingi miecza w miejsce nad górną krawędzią płyty, gdzie powinien się znajdować mechanizm umożliwiający otwieranie i zamykanie. Ciął w górę i na boki, żeby zniszczyć główny element wykonawczy albo przynajmniej go uszkodzić. Chciał zyskać więcej czasu na osiągnięcie celu swojej wyprawy.

Jego wyprawy. Na myśl o tym niemal zakręciło mu się w głowie. To była obecnie jego wyprawa.

Kiedy skończył z drzwiami, uderzył otwartą dłonią we włącznik oświetlenia. Zaczekał, aż zapłoną sufitowe panele jarzeniowe, odwrócił się i nadstawił klingę świetlnego miecza na wypadek, gdyby w ciemności czekali na niego nieprzyjaciele.

Nie zobaczył jednak żywych przeciwników. Mimo to sterownia nie wyglądała tak jak powinna.

Zobaczył pod ścianami źródła światła, komputery i rezerwowe konsole kontrolne. Niektóre były oryginalne, a inne zainstalowali później Korelianie. Wszystkie dokładnie takie jak na symulacjach doktora Seyaha.

Tam jednak, gdzie powinien się znajdować główny pulpit kontrolny, Ben zobaczył coś zupełnie innego.

Była to spora maszyna, która wyglądała trochę jak rzeźba przedstawiająca sześciu Huttów zmagających się ze sobą w zapasach bez ustalonych reguł. Przypominała też nieco człowieka, którego głowę rozmiarów biurka naszpikowano gniazdami sensorów i ozdobiono antenami, niewielkimi monitorami oraz obiektywami holokamer. Korpus składał się z rozmaitych modułów, każdy przynajmniej wielkości głowy. Połączono je durastalowymi kablami i przewodzącymi światło transpystalowymi włóknami. Dołączone do korpusu podzespoły prawdopodobnie otaczały kontrolny pulpit, do którego Ben musiał się dostać. Grube ramiona maszyny wyglądały jak cylindryczne chwytaki demolującego budynki robota i kończyły się topornymi, niszczycielskimi palcami. Zamiast nóg urządzenie miało grubą płytę z osłonami, pod którymi chyba kryły się repulsory. Podzespoły były w różnych kolorach: niektóre czarne, inne srebrzyste, a jeszcze inne barwy przemysłowej zieleni.

Gdyby automat się wyprostował, miałby ze cztery metry wysokości, ale był zgięty wpół i pochylony do przodu. Wyglądał jak leniwy uczeń, klęczący w pozycji pełnej skruchy.

Odwrócił kanciastą głowę i skierował na Bena dwa największe obiektywy holokamer. Z wnętrza głowy wydobył się elektronicznie syntetyzowany głos, bardzo podobny do głosu Jacena Solo:

- Kim jesteś?

- Nazywam się Ben Skywalker - odparł chłopak, ale nie dodał: „Przybyłem tu, żeby zniszczyć stację Centerpoint”.

- Wspaniale - odezwał się automat. - Bardzo się cieszę, że cię poznałem. A ja nazywam się Anakin Solo.

ROZDZIAŁ 14

Koronet, Korelia

Kosmoport Behareh był niewielki jak na standardy Koronetu czy jakiegokolwiek innego dużego miasta, ale zajmował bardzo dużą powierzchnię, chociaż znajdował się zaledwie kilka kilometrów od śródmieścia stolicy Korelii. Na nieszczęście dla Jainy i członków jej grupy różnił się bardzo od głównego miejskiego kosmoportu: nie miał centralnego parkingu, hangaru dla lądowych śmigaczy gości ani dużego wspólnego terminalu, gdzie łatwo byłoby wtopić się w tłum. Zamiast tego kosmoport Behareh podzielono na dziesiątki mniejszych prywatnych terenów, zazwyczaj otoczonych przez budynki biur i hangary trzech albo czterech firm, korzystających ze wspólnego parkingu i lądowiska.

Kolir wskazała Thannowi grupę instytucji, których parking otaczały wysokie drzewa. Falleen wylądował. Zawroźnienie syren broniących Koronetu stanowisk artylerii przeciwlotniczej brzmiało tu ciszej niż w dzielnicy rządowej, ale operatorzy baterii cały czas wysyłali w niebo alarmowe sygnały.

Kiedy lądowy śmigacz znieruchomiał, Zekk otworzył oczy. Wyglądał już prawie normalnie.

- Czy jesteśmy jeszcze na Korelii? - Szepnął.

- Cicho! - Ofuknęła go ostro Jaina, ale odgarnęła mu z czoła kędzior delikatnym ruchem, który miał złagodzić tę surowość.

- Thann, Kolir, jaka sytuacja? - Zapytała.

- Eskadra Skywalkerów atakuje ośrodki rządowe - zameldował Falleen. - Chcą ukryć prawdziwy powód swojego przybycia i dać nam więcej czasu na wystartowanie. Kiedy stąd odleciemy, zakończą atak i zaczną eskortować nas podczas powrotu do przestworzy. Za kilka minut wylądować tu śmigacz Tahiri. - Zmarszczył brwi. - Chyba nie o wszystkim nam powiedziała.

- Coś przed nami zataiła? - Zainteresowała się Jaina.

- Nie jestem pewny - odparł Thann. - Nie chciała o tym mówić.

- Mam odpowiednią kandydatkę - odezwała się nagle Kolir, unosząc komputerowy notes. Na miniaturowym ekranie widniał żółto-czerwony znak firmowy z napisem „Donoslane Excursions”.

- Właścicielką jest kobieta. Biura powinny się znajdować... - Rozejrzała się i zauważyła za rufą lądowego śmigacza żółty durbetonowym budynek z ukośnym dachem. - ...Tam - dokończyła.

Jej towarzysze spojrzeli we wskazanym kierunku, ale zainteresowało ich coś innego: drugi śmigacz, tym razem barwy bladego błękitu. Maszyna wylądowała na sąsiednim lądowisku. Za sterami siedziała Tahiri Veila, kilka standardowych lat młodsza niż Jaina, blondwłosa i zielonooka dziewczyna, ubrana w szary kombinezon pracownicy służb komunalnych Koronetu. Miejsce na fotelu obok niej zajmował Doran Tainer - wysoki, brązowooki, przystojny blondyn, który mógłby grać rolę amanta w każdym holodramacie. Miał na sobie dziwnie nieodpowiedni brązowy kombinezon z zielonymi plamami, niczym ogrodnik, który właśnie skończył kosić trawę. Tahiri i Tainer byli Jedi,

choć wcale na to nie wyglądali.

Na tylnym siedzeniu śmigacza siedziała osoba wzrostu dorosłej kobiety, otulona w brązowy płaszcz od kolan po czubek głowy. Na nogach miała buty z brązowej skóry.

Czując nagły niepokój, Jaina wyslizgnęła się spod głowy Zekka i podbiegła do drugiego śmigacza.

- To nie to, co myślisz - odezwał się Doran.

Jaina rozchyliła płaszcz, żeby przyjrzeć się nieznajomej osobie... I zdębiała na widok wypolerowanego do połysku, srebrzystego androida protokolarnego ze zgaszonymi fotoreceptorami.

- A to co? - Zapytała. - Gdzie jest Tiu?

Doran obdarzył ją wymuszonym uśmiechem.

- Została w pałacu Thrackana Sal-Solo - powiedział.

- Schwytali ją?

- Nie - odparła Tahiri. - Ukryła się.

- Ukryła?

- Wpadliśmy w pułapkę - wyjaśnił Doran. - Wygląda na to, że i ciebie by spotkał podobny los. Mnóstwo strażników. Kilka bojowych probotów. Kilka androidów typu ZYV. Paskudna sytuacja, więc postanowiliśmy zarządzić odwrót.

Tahiri obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

- I tak niczego byśmy tam nie zdziałali, więc to ja wydałam rozkaz odwrotu - uściśliła. - I byłoby wszystko w porządku, gdyby ten goguś nie wpadł na wspaniały pomysł.

Jaina spiorunowała spojrzeniem Dorana.

- Co takiego ci przyszło do głowy? - Zapytała.

Jedi wzruszył ramionami.

- W pomieszczeniu, skąd mieliśmy rozpocząć odwrót, natknęliśmy się na wyłączony androida protokolarnego - zaczął. - Przyszło mi do głowy, że jeżeli go przebiorę w moje ubranie, a Tahiri i Tiu wyniosą go z pałacu, wszystko będzie wyglądało, jakbyśmy zabierali w bezpieczne miejsce ранego towarzysza. Nasi przeciwnicy widzieli, że do pałacu weszły trzy osoby, więc gdyby zobaczyli, że trzy uciekają... Postanowiłem się tam ukryć, żeby przekonać się, czy nie zdobędę cennych informacji. Nie chciałem, żeby nasza wyprawa zakończyła się zupełną katastrofą.

- A jak długo według ciebie mógłby się tam ukrywać nagi mężczyzna wielkości niedorozwiniętego Wookiego? - Wybuchnęła Jaina.

Doran się skrzywił.

- O to samo zapytała mnie Tiu - przyznał niechętnie. - Prawdę mówiąc, użyła prawie tego samego argumentu. Powiedziałem: „W takim razie zapomnijcie o tym”. Tiu stwierdziła jednak, że to dobry plan, ale jak zwykle, ma poważną wadę. Wyeliminowaliśmy tę wadę i plan stał się możliwy do wykonania.

Jaina pokiwała głową.

- A usunięcie wady polegało na zastąpieniu ciebie drobną Omwatką, tak? - Zagadnęła.

Kipiała ze złości, ale starała się głęboko ukrywać emocje. Nie chciała, żeby choć jeden członek jej grupy pozostał na Korelii... Ale musiała przyznać, że Jedi, ukrywająca się w ogromnym pałacu Thrackana Sal-Solo, może oddać w przyszłości nieocenione usługi. Co więcej, Tiu, chociaż miała błękitną karnację i charakterystyczne dla istot swojej rasy perłowe jasne włosy, doskonale umiała się ukrywać i wymykać przeciwnikom.

Jaina zakryła głowę protokolarnego androida, wysiadła z kabiny i wycelowała palec w Dorana.

- Zajmij się rannymi - powiedziała. - Przyłóż opatrunki z bactą na oparzenia Zekka i zapewnij Kolir wszystko, czego potrzebuje, żeby powstrzymać upływ krwi z rany w ustach. - Przeniosła spojrzenie na Thanna. - Zapewnisz nam środek transportu - rozkazała.

Orbita nad Korelią

Han Solo zanurkował „Sokołem Millenium”, zajął pozycję na trochę niższej orbicie niż formacja okrętów Klauskina i zawrócił w kierunku, skąd przyleciała. Jego manewr powtórzyli piloci eskadry myśliwców przechwytyjących typu A-9 Vigilance.

- Nie rezygnują z pościgu - stwierdziła Leia.

- Widzę - przyznał Han zirytowanym tonem. - Czy nie mają zaufania do własnych transponderów? Naprawdę uważają, że tylko udaję Hana Solo?

Obok sterburtowych iluminatorów sterowni frachtowca przeleciały zielone błyski laserowych błyskawic. Chwilę później „Sokół” się zatrzęsł, kiedy jeden ze strażów prześladowców trafił w rufowe pola. Z jakiegoś pomieszczeń na śródokręciu transportowca dobiegło biadolenie Threepia:

- O rety...

Han zaczął wykonywać uniki z boku na bok, po czym zadarł dziób statku i zajął pozycję na wyższej orbicie, niemal prosto na kursie kalamariańskiego ciężkiego lotniskowca „Błękitny Nurek”.

- Hanie, co ty wyprawiasz? - W głosie księżniczki dała się słyszeć nutka lekkiego niepokoju.

- Artylerzyści tych okrętów nie ostrzelają mnie - odparł mąż z wielką pewnością siebie, chociaż trudno było uwierzyć w jego słowa. - Rozmawiałem z operatorami „Dodonny”, pamiętasz? Liczę na to, że otworzą ogień do naszych prześladowców.

- To możliwe - przyznała Leia.

Oboje widzieli, że „Błękitny Nurek” ma włączone osłony, bo z wysokiej orbity ostrzeliwali go piloci koreliańskich myśliwców. W pewnej chwili Han zauważył, że artylerzyści dziobowych i sterburtowych baterii turbolaserów lotniskowca zaczęli śledzić paradę niewielkich jednostek, na których czele leciał „Sokół”. Z tej odległości nie umiał jednak stwierdzić, czy kierują na niego lufy swoich dział.

Kiedy do rufy „Sokoła” zbliżyli się piloci szybkich i zwinnych A-Dziewiątek, frachtowiec znowu zadygotał, jeszcze silniej niż poprzednio. Piloci dwóch koreliańskich myśliwców przechwytyjących przelecieli obok dziobu statku i zaczęli się od niego oddalać.

- Za jakąś minutę znajdą się tak daleko przed nami, że zawrócą i polecą w naszą stronę - zauważyła Leia. - Będziesz musiał rozdzielić energię ochronnych pól po równo, żeby chroniły cały statek. Laserowe błyskawice z działek tych myśliwców niosą tak dużą energię, że przynajmniej niektóre dotrą do kadłuba.

- Wiem - mruknął jej mąż udręczonym tonem.

- Hanie, musimy odpowiedzieć ogniem na ich strzały - nalegała księżniczka. - Zmusić ich, żeby poszli w rozsypkę i zaczęli robić uniki.

- Nie mogę strzelać do Korelian, Leio - odparł Han. - Nie po tym, jak... Jak...

Leia nie dokończyła za niego, chociaż wiedziała, co mąż chce jej powiedzieć: „Nie po tym, jak do tego doprowadziłem”.

„Sokół” i jego prześladowcy dotarli w końcu na odległość strzału turbolaserów „Błękitnego

Nurka”. Ich artylerzyści rzeczywiście otworzyli ogień i obok frachtowca przemknęły słupy spójnego światła... Ale przemknęły także obok ścigających go zawzięcie A-Dziewiątek, których piloci wykonywali szaleńcze uniki. Leia stwierdziła z ulgą, że „Sokół” raczej nie jest jednym z celów obsługi dział lotniskowca. Błyskawice turbolaserowych strażów przeleciały jednak bardzo blisko frachtowca, a któryś artylerzysta mógł go trafić po prostu przez pomyłkę.

W pewnej chwili Han skierował „Sokoła” równoległe do kadłuba „Błękitnego Nurka”, ale bardzo blisko sterburty, z której nadal leciały błyskawice turbolaserowych strażów.

W końcu frachtowiec przeleciał obok rufy kalamariańskiego lotniskowca. „Sokoła” ścigało już tylko sześciu pilotów A-Dziewiątek, a dwaj, którzy go wyprzedzili, zaczęli zawracać.

- Hanie - odezwała się Leia. - Zaraz stracisz „Sokoła”.

Nie powinna była tego mówić. Jej proste słowa miały dodatkowe, niewypowiedziane znaczenie: „Stracisz swoją pierwszą miłość. Stracisz swoją wolność”.

Han warknął jak bardzo zirytowane zwierzę.

- Taa - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Uważaj.

Tym razem nie chodziło mu tylko o to, żeby żona zaczekała. Zatoczył frachtowcem na sterburcie ciasny łuk, po którym „Sokół” zaczął się oddalać od rufy „Błękitnego Nurka”. Śmignął w kierunku otwartych przestworzy między flotą Galaktycznego Sojuszu a koreliańską armadą, gdzie piloci myśliwców obu stron nadal toczyli zawzięte pojedynki.

- Obsadź działko - polecił żonie.

Leia odpięła pasy ochronnej uprząży i przeszła na śródokręcie.

- Meewalho! - Krzyknęła. - Idź do wieżyczki dolnego działka!

Kiedy dotarła do pionowego szybu z drabinką umożliwiającą dostęp do wieżyczek obu działek, wspięła się do górnej, wskoczyła na fotel i błyskawicznie się przypięła.

Syal i jej tymczasowy skrzydłowy, Kalamarianin pilotujący „Wibromiecz Dziesięć”, wylecieli z boku rosnącego kłębowiska walczących myśliwców i zaczęli zataczać łuk, żeby wpaść do niego z innej strony.

Z każdą minutą sytuacja wyglądała coraz gorzej. Do walki w przestworzach przyłączało się coraz więcej eskadr gwiazdnych myśliwców. Wszystko wskazywało na to, że zamierzają się też włączyć także dowódcy innych jednostek, większych niż gwiazdne myśliwce, ale mniejszych niż okręty liniowe.

- „Dodonna” do Eskadry Wibromieczy.

Syal zobaczyła błysk w przestworzach i spojrzała w tamtą stronę. Od szyku koreliańskiej armady odłączała się właśnie większa jednostka, której dowódca wyraźnie zdążył na pole bitwy. Nawet z tak daleka pilotka stwierdziła, że to lekka fregata klasy Nebulon. Okręt miał charakterystyczny dziób w kształcie ostrza siekiery, okrągłą rufę, a między nimi długi cienki łącznik. Syal nie zauważyła nigdzie większej jednostki, która też by się kierowała na pole bitwy. Dotknęła wskazującym palcem świetlistej plamki na ekranie monitora sensorów. Światelko rozjarzyło się zarówno u niej, jak i na pulpicie w kabinie myśliwca jej skrzydłowego. Skręciła i obrała kurs na fregatę.

Tymczasem z głośników komunikatora w jej kabinie rozbrzmiewał w kółko rozkaz z pokładu okrętu flagowego:

- Wrócić do hangaru „Dodonna”. Po wylądowaniu nie opuszczać maszyn. Czekać w pogotowiu na sygnał do natychmiastowego startu.

Syal zakłępała pod nosem. Gdyby zawróciła, straciłaby bezpowrotnie szansę otwarcia ognia do

fregaty. Gdyby jednak leciała nadal tym samym kursem, postąpiłaby wbrew jednoznaczному rozkazowi. Potrzebowała minuty... No, może trzydziestu sekund zwłoki, w ciągu których mogłaby lecieć nadal tym samym kursem.

Przełączyła komunikator na kanał wspólny wszystkich jednostek biorących udział w wyprawie.

- „Wibromiecz Siedem” do „Dodonny” - powiedziała. - Proszę o powtórzenie rozkazu.

O właśnie. Oto zdobyła pięć cennych sekund. Prawdopodobnie operator systemu łączności nie powtórzy rozkazu natychmiast, bo będzie zajęty udzielaniem odpowiedzi na żądania innych pilotów, którzy wcześniej prosili go o to samo. Lysa liczyła także na to, że starsi stopniem piloci gwiazdnych maszyn pierwsi dostaną takie potwierdzenia.

Upłynęło jeszcze dziesięć sekund, zanim operator „Dodonny” zaczął powtarzać rozkaz, a następnych piętnaście, zanim go zakończył. Syal potwierdziła, że zrozumiała, i zaczęła zataczać szeroki łuk w stronę lotniskowca. Kurs, który obrała, miał ją wprowadzić w sam środek strefy walki... I pozwolić przeciąć trajektorię lotu koreliańskiej fregaty.

Koronet, Korelia

Luke skręcił w stronę X-winga Mary, która zbliżała się do niego. Przy ogromnej prędkości obu tęponosych myśliwców cyferki na wyświetlaczach dalmierzy zmieniały się zbyt szybko, aby dało się je przeczytać.

Kiedy zbliżyli się do siebie na tyle, że Luke mógłby chyba zobaczyć twarz żony - w takiej odległości większość pilotów nie zdążyłaby zareagować w porę, aby uniknąć zderzenia - Mara zanurkowała, przeleciała kilka metrów pod X-wingiem męża... I odstłoniła nieprzyjacielski myśliwiec, którego pilot zawzięcie ją ścigał.

W ostatniej chwili Korelianin zmienił kurs, ale nie uniknął ognia laserów X-winga mistrza Jedi. Czerwone błyskawice laserowych strzałów skupiły się na kabynie nieprzyjacielskiej maszyny, która przemieniła się w chmurę dymu i ognistych szczątków. Kiedy Luke przez nie przelatywał, fragmenty kadłuba koreliańskiego myśliwca szturmowego odbiły się od dziobowych pól deflektorów i otarły o kadłub X-winga. Mistrz Jedi wyłonił się po drugiej stronie chmury szczątków i spojrzał w błękitne niebo.

Manewr, jaki właśnie wykonał, nosił nazwę Koreliańskiego Ślizgu. Powtarzana wśród pilotów myśliwców legenda głosiła, że wymyślili go szaleni koreliańscy piloci obojga płci, którzy w przeszłości bronili ojczystego systemu. Luke pokręcił głową, trochę zasmucony z powodu tej ironii losu.

Spojrzał na pulpity z ekranem monitora sensorów i zobaczył, że Mara zatacza łuk, aby dołączyć do niego. Liczebność formacji szturmowych myśliwców, z których pilotami walczyli, zmalała do dwóch zdolnych do walki gwiazdnych maszyn. Ich piloci widocznie sobie uświadomili, jak niewielu ich zostało, bo raptownie zmienili kurs i zrezygnowali z dalszej walki. Na polu bitwy pozostało dziewięć pilotowanych przez Jedi X-wingów, wprawdzie bardziej poobijanych, ale nadal zdolnych do walki.

- Dowódcu, tu „Trójka” - usłyszał nagle Luke z głośnika komunikatora.

- Słucham, „Trójko”. - Mistrz Jedi spojrzał na ekran monitora diagnostycznego komputera. R2-D2 wyświetlił na nim meldunek o niewielkiej awarii bakburtowego dolnego działka laserowego, w którego obwodach zaczynały narastać oscylacje. Stwierdził także, że i jego myśliwiec został lekko

uszkodzony, kiedy o kopułkę otarła się wystrzelona przez pilota jakiegoś myśliwca szturmowego laserowa błyskawica, która przegrzała obwody umożliwiające manewrowanie.

- Zgłosiła się grupa wykonująca zadanie na powierzchni Korelii - zameldował „Trójka”. - Mają wahadłowiec i są gotowi do startu. Spodziewają się jednak pościgu, kiedy osiągną pułap, którego nie wolno przekraczać pilotom cywilnych maszyn.

Luke przywołał na ekran mapę Koronetu. Odnalazł na niej pozycję swojej eskadry i - dzięki uprzejmości Hardpoint „Trójki” - świetlisty punkcik wskazujący miejsce pobytu grupy Jainy. Musnął ekran czubkiem palca w punkcie usytuowanym o wiele bliżej miejsca pobytu Jainy niż swojej eskadry.

- Artoo, oznacz ten punkt jako miejsce spotkania - rozkazał. - „Trójko”, przekaz grupie naziemnej, żeby dostali się do tego punktu, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Dołączymy tam do nich i razem skierujemy się w przestworza.

- Zrozumiałem - potwierdził „Trójka”.

- Eskadro Hardpoint, utwórz szyk za mną. - Luke zczekał, aż dołączą do niego piloci pozostałych siedmiu X-wingów, a później zanurkował i skierował się prosto w stronę niskich, szerokich budynków, które dominowały w tej dzielnicy Koronetu.

Kilkaset metrów nad powierzchnią planety zaczął wyrównywać pułap lotu, ale nadał X-wingowi tak dużą prędkość, że jego manewr miał się zakończyć trochę poniżej poziomu dachów otaczających go budowli. Wypatrzył najszerszy bulwar w okolicy i śmignął mniej więcej w kierunku, w którym znajdowała się grupa Jainy. Piloci eskadry Hardpoint utrzymywali cały czas zwarty szyk za ogonem jego myśliwca.

- Artoo, obierz kurs na miejsce pobytu grupy Jainy - rozkazał.

- Tylko szerokie ulice, jeśli łaska.

Na dowód potwierdzenia R2-D2 radośnie zaświergotał.

Syal i „Wibromiecz Dziesięć” wpadli w głąb kuli, w której toczyły się zawzięte walki, z maksymalną prędkością, na jaką pozwalały jednostki napędowe ich myśliwców. Na ekranie monitora sensorów w kabinie Syal roilo się od wirujących czerwonych i niebieskich plamek. W przestworzach za dziobowym iluminatorem jej myśliwca pojawiały się raz po raz rozbłyski, świetliste nitki laserowych strzałów i ogniste kwiaty eksplozji, które dowodziły, że bitwa obejmuje coraz większy obszar. Korzystając z przewagi, jaką zapewniała jej szybkość i zwinność myśliwca przechwytyjącego typu Eta-5, Syal wykonywała uniki we wszystkie strony, żeby żaden nieprzyjaciel nie mógł namierzyć jej maszyny i nie posłał ku niej błyskawic laserowych strzałów.

W iluminatorach przed dziobem cały czas rosła sylwetka fregaty klasy Nebulon. Kiedy Syal się do niej zbliżała, okręt przelatywał ze strony bakburty na sterburtę, a jego pilot obniżał pułap lotu. Z dziobowych działek i baterii turbolaserów leciały nieustannie smugi śmiertcionośnych strzałów.

- „Dziesiątko”, weźmiemy na cel generator ochronnego pola tej fregaty - odezwała się Syal. - Rakiety udarowe z niewielkiej odległości, żeby spowodować jak najwięcej zniszczeń.

Znajdowali się tak blisko okrętu, że na ekranie monitora sensorów pojawił się schemat fregaty tej klasy. Syal stuknęła palcem w górną powierzchnię rufowego guza, żeby powiększył się na ekranie. Na schemacie pojawiły się etykiety i zakończone strzałkami linie wskazujące, który element jak się nazywa. Pilotka stuknęła palcem w etykietę z napisem: „Generator pola deflektorów”, a kiedy słowa zapłonęły jaśniejszym blaskiem, przeciągnęła na nie czworokąt celowniczy z kąta ekranu. Później przeciągnęła na to samo miejsce sylwetkę myśliwca przechwytyjącego typu Eta-5, żeby jej

celowniczy komputer automatycznie odszukał generatory, a „Wibromiecz Dziesięć” otrzymał zestaw danych wskazanego celu.

- Zaprzeczam, „Siódemko”, zaprzeczam - odezwał się „Dziesiątka”. - Nawet jeżeli trafimy, co wcale nie jest pewne, osiągniemy tylko tyle, że pozbawimy okręt osłon... A ktoś inny go wykończy, zanim zdążymy zawrócić. Moim zdaniem powinniśmy posłać rakiety w głąb hangarów gwiazdnych myśliwców. Prawdopodobnie główne włązy będą nadal otwarte. Możemy mieć szczęście.

- Nie możemy liczyć na szczęście, „Dziesiątka”. - Syal poczuła się dziwnie, zupełnie jakby słuchała ojca. - Musimy postępować rozsądnie, a szczęście i tak sprzyja temu, komu zechce. Weźmiemy na cel generatory ochronnego pola.

- Jestem od ciebie starszy stopniem, „Siódemko” - usłyszała w odpowiedzi.

- Taa, ale to ja lecę pierwsza. - Syal przekazała jedną czwartą energii z generatora ochronnych pól do jednostek napędowych myśliwca, co było w obecnej sytuacji bardzo ryzykownym posunięciem. Nie mogła jednak dopuścić, żeby „Dziesiątka” ją wyprzedził i pokrzyżował jej plany. Tymczasowy skrzydłowy rzeczywiście pojawił się przed nią, ale na krótko, bo zaraz został z tyłu. Widocznie nie ośmielił się cały czas przesyłać dodatkowej energii do jednostek napędowych kosztem osłabienia mocy generatorów swoich pól siłowych.

Syal bezgłośnie się uśmiechnęła. Strach cię obleciał, co? - Pomyślała.

Obecnie znajdowali się zresztą zbyt blisko, żeby zmienić kurs i wziąć na cel otwory hangarów w rufowym module fregaty. Syal przekazała energię do generatora dziobowych deflektorów.

Nagle obok jej myśliwca przechwytyjącego przeleciała turbolaserowa błyskawica, a w kabynie rozjęczały się syreny alarmujące o zbliżaniu się do jakiegoś obiektu. Pilotka leciała cały czas prosto w kierunku modułu generatora pola deflektorów fregaty, jakby zamierzała go staranować. Wykonywała uniki w pionie i w poziomie tylko na tyle, żeby nie dać się namierzyć.

W końcu czworokąt celowniczy jej komputera odnalazł generatory fregaty i uzyskał stabilny zamiar. Syal wstrzymała oddech, skoncentrowała się i zaczęła, aż celowniczy komputer wskaże maksymalny skuteczny zasięg strzału. Po chwili, kiedy obraz na ekranie rozbłysnął na czerwono na dowód optymalnego zasięgu, dała ognia. Zobaczyła białe smugi i z wyrzutni jej myśliwca pomknęły dwie rakiety.

Nawet wtedy nie zmieniła kursu. „Wielu pilotów skręca, żeby uniknąć zderzenia, w tej samej chwili, kiedy wystrzeliwuje rakiety - mawiał jej ojciec. - Wie o tym większość artylerzystów, którzy tylko na to czekają. Widzą, jak nadlatujący cel się zbliża i kiedy wypuszcza rakiety, więc określają dla niego najbardziej prawdopodobny wektor ucieczki i posyłają tam błyskawice turbolaserowych strzałów. Raz na dziesięć razy odgadują prawidłowo i rozpylają cel na atomy... Chyba że ogniem kieruje Tycho Celchu, bo wówczas udaje się to raz na cztery razy”.

Syal nie zmieniła więc kursu, chociaż niespodziewanie w przestworzach tuż nad nią i po stronie sterburty jej myśliwca pojawiły się czerwone smugi laserowych strzałów. Dopiero kiedy przemknęły obok niej, zanurkowała i skręciła na sterburtę. Zaczęła się oddalać od fregaty i obrała kurs na „Dodonnę”.

Na ekranie monitora sensorów zobaczyła ognisty kwiat eksplozji na górnej powierzchni rufowego modułu fregaty. Na razie nie widziała na ekranie meldunku o zasięgu uszkodzeń, ale były chyba większe, niż gdyby rakiety eksplodowały na ochronnych polach.

Kiedy dwie maszyny przechwytyjące typu Eta-5 zrównały się z kadłubem lotniskowca, okręt nie był atakowany przez pilotów koreliańskich myśliwców. Z głośników komunikatorów rozległa się

wiadomość, że fregatę klasy Nebulon wykończył dowódca W-Mieczy, który posłał cały zasób rakiet udarowych w jej jednostki napędowe. Nieprzyjacielski okręt stracił zdolność manewrową, a od jego kadłuba oderwały się setki kapsuł ratunkowych.

- Nie ma to jak przyjść na gotowe - prychnął „Dziesiątka”. - Nie mów, że cię nie uprzedzałem, „Siódemko”. My odwalamy całą czarną robotę, a on dostaje nagrodę.

- Co jest ważniejsze, „Dziesiątka”? - Zagadnęła pilotka. - Sylwetka fregaty na kadłubie twojego myśliwca czy świadomość, że dzięki tobie przeżyło więcej towarzyszy broni?

- Sylwetka - odparł bez namysłu skrzydłowy.

- Ale z ciebie bałwan - zadrwiła Syal. - Wiesz chyba, że powiedziałeś to otwartym tekstem we wspólnym kanale eskadry?

- Sithowe nasienie! - Wybuchnął Kalamarianin. - Nie miałem o tym pojęcia... - Chwilę później warknął oburzony: - Wcale tego nie powiedziałem, ty kłamczucho!

Syal wybuchnęła beztróskim śmiechem i przeleciała przez wrota hangaru.

Posługując się celowniczym komputerem i pomagając sobie Mocą Leia wzięła na cel nieprzyjacielski myśliwiec. Jej komputer zaświergotał na znak, że obiekt został namierzony, ale w pierwszej chwili księżniczka nie wyczuła emocji przeciwnika. Dopiero kiedy obróciła o ułamek stopnia lufy czterech laserowych działek, zalała ją fala żaru. To pilot namierzonego celu uświadomił sobie niebezpieczeństwo.

Dokonała jeszcze jednej drobnej poprawki i dała ognia. Nitki oślepiającego światła trafiły myśliwiec typu Vigilance, odcięły lufy jego laserowych działek i wbiły się w rufę. Leia zobaczyła, że z kabiny ucieka atmosfera. Chwilę później pilot skazanej na zagładę maszyny odstrzelił owiewkę i katapultował się w przestworza. Kiedy znalazł się w próżni, otaczała go słaba poświata podtrzymującego życie ochronnego pola. Zdążył przelecieć kilkaset metrów, zanim jego myśliwiec eksplodował.

Świetlista plamka reprezentująca inny A-9, trafiony przez Meewalhę, zniknęła z ekranu monitora sensorów. Leia poczuła napływające z oddali wrażenie zaniku Mocy, które zwiastowało śmierć pilota.

- Pięciu zestrzelonych - poinformował Han przez interkom. - Pozostało jeszcze czterech... Nie ma co się nimi przejmować. Czterech pozostałych rezygnuje z pościgu. Wracam na poprzedni kurs.

Kilka sekund później, kiedy Leia była w połowie drogi do sterowni, jej mąż oznajmił:

- Nareszcie. Wynosimy się stąd.

Wykonał nagły zwrot na bakburtę. Siła odśrodkowa rzuciła Leię na ścianę, ale księżniczka była na to przygotowana. Zamortyzowała impet uderzenia odpowiednią pozycją ciała i odrobiną Mocy.

Han nadal robił uniki, ale jakoś dotarła do sterowni i przypięła się do fotela drugiego pilota.

- Co się dzieje? - Zapytała.

- Nie jesteśmy pod ostrzałem - uspokoił ją mąż. - Nawet się nie palimy.

- Pierwsza dobra wiadomość od bardzo dawna - mruknęła Leia.

- Mamy jednak uszkodzony kadłub z powodu zbyt silnych naprężeń - dodał Han. - A piloci gwiazdnych myśliwców Galaktycznego Sojuszu odlatują z pola walki. - W jego głosie brzmiało zadowolenie. - Uciekają! Inne jednostki Sojuszu także kierują się ku otwartym przestworzom.

Leia zerknęła na pulpit czujników i spojrzała przez dziobowy iluminator. Zobaczyła starą fregatę, której trzystumetrowy dziób wyglądał jak zestaw zakładanych na końcówki sztangi talerzowatych obciążników. Okręt opuszczał orbitę Korelii i kierował się ku przestworzom.

- Wspaniale - powiedziała. - Może jednak udało się nam zażegnać tę katastrofę.

ROZDZIAŁ 15

Stacja Centerpoint

Jacen ruszył w kierunku Thrackana Sal-Solo. Zauważył, że w oddali za plecami kuzyna zaczęły się pojawiać sylwetki żołnierzy, a prawdopodobnie także bojowych androidów.

Thrackan skręcił w bok, uderzył dłonią w kontrolny panel jakichś drzwi i zniknął. Płyta zamknęła się za nim, dzięki czemu jego żołnierze mogli bez przeszkód otworzyć ogień.

Skwapliwie skorzystali z tej okazji.

Stali jednak daleko i chociaż strzelało wielu naraz, Jacen bez wysiłku odbijał wszystkie strzały. Biegając w stronę napastników, kierował błyskawice z powrotem ku nim. Niektóre lądowały na ochronnych tarczach pierwszego szeregu żołnierzy, którzy czasami chwiali się od impetu strzałów.

Rycerz Jedi stanął dopiero obok drzwi, za którymi zniknął Thrackan. Nie mógł kierować się nadal ku sterowni repulsora stacji Centerpoint, bo na pewno podążyłoby za nim wielu żołnierzy, co utrudniłoby Benowi wykonanie zadania. Powinien trzymać funkcjonariuszy jak najdalej od miejsca, w którym chłopak miał dokonać sabotażu.

Przycisnął otwartą dłonią guzik z napisem „Otwieranie” na kontrolnym panelu. Płyta drzwi uniosła się i zastygła nieruchomo. Jacen poczuł satysfakcję. Thrackan był tak przekonany, że jego przeciwnik stanie do walki z żołnierzami i bojowymi androidami, że nawet nie zadał sobie trudu zablokowania zamka.

Jacen miał przed sobą czterdziestometrowy korytarz, kończący się w oddali podobnymi drzwiami z uniesioną płytą. Stojący za ich progiem Thrackan z zaskoczeniem spoglądał na rycerza Jedi.

Jacen przestąpił próg, opuścił płytę drzwi i wepchnął szpic klingi świetlnego miecza w panel kontrolny na ścianie. Zaczekał, aż klinga przebije go na wylot i stopi elektroniczne obwody po drugiej stronie. Goniący go żołnierze musieli obecnie szukać innej drogi, co powinno im zająć przynajmniej kilka minut.

Odwrócił głowę i znów spojrzał na Thrackana. Jego kuzyn wyglądał na sparaliżowanego niespodziewaną zmianą taktyki przeciwnika. Ocknął się jednak, uderzył w kontrolny panel na ścianie i płyta jego drzwi opadła.

Jacen pobiegł do drzwi i przycisnął guzik z napisem „Otwieranie”, ale tym razem płyta nie chciała się unieść. Rycerz Jedi uśmiechnął się do siebie. Thrackan szybko się uczył, bo tym razem zablokował zamek. Młody Solo wbił klingę świetlnego miecza w miejsce nad górną framugą i zniszczył mechanizm, który nie pozwalał płycie się otworzyć. Zamierzał posłużyć się Mocą, żeby ją unieść i przeskoczyć przez próg na drugą stronę.

Usłyszał napływający zza drzwi cichnący rytm kroków na metalowej podłodze i domyślił się, że Thrackan uciekł.

- Nie, to nieprawda - odezwał się Ben pod adresem topornej zbieraniny elementów i

podzespołów różnych automatów. - Anakin Solo nie żyje. Zginął, kiedy byłem małym dzieckiem.

Mechaniczne stawy, łączące metalowe ręce androida z korpusem, uniosły się ze zgrzytem w geście podobnym do wzruszenia ramionami.

- Rzeczywiście zginąłem - przyznał automat. - Stałem się duchem, a później pozwoliłem się tu ściągnąć i zamieszkałem w tym sklonowanym ciele, żeby pomóc moim przodkom, Korelianom.

- To nie jest sklonowane ciało - sprzeciwił się chłopak. - To ciało androida.

Automat schylił głowę, jakby chciał spojrzeć na samego siebie.

- Mylisz się, mały kuzynie - powiedział. - A może celowo starasz się mi namieszać w głowie. Podejrzewam, że chodzi o to drugie. Przybyłeś tu, żeby dokonać aktu sabotażu na tej stacji, prawda? Zamierzasz ją zniszczyć, żeby Korelianie nie mogli się nigdy cieszyć wolnością i niezależnością.

- O rety, ale cię zaprogramowano - westchnął Ben.

Zrobił krok naprzód, uniosł świetlny miecz jak do zadania ciosu i wyciągnął drugą rękę do głowy androida. Zamierzał posłużyć się Mocą, żeby mu ją wykręcić na bok. Gdyby się znalazł poza zasięgiem obiektywów holokamer automatu, mógłby do niego podejść niezauważony...

Nagle zadrżał spazmatycznie i przestał cokolwiek widzieć. Świetlny miecz wysunął się z jego zdrętwiałych palców i z donośnym brzękiem potoczył się po metalowej podłodze. Pomrukiwał jeszcze jakiś czas, zanim odpowiedzialne za bezpieczeństwo elektroniczne obwody odłączyły źródło zasilania.

Ben pokręcił głową i powoli zaczął odzyskiwać ostrość spojrzenia.

Stwierdził, że unosi się metr nad podłogą, a powietrze wokół niego dziwnie iskrzy. Jego nogi wciąż jeszcze lekko drżały.

Android znów wzruszył ramionami.

- Przykro mi z tego powodu - powiedział. - To stosowana przeciwko Jedi obronna sztuczka, wymyślona przez mojego innego kuzyna Thrackana Sal-Solo. Sensory w mojej głowie nieustannie śledzą fale mózgowie wszystkich osób w otoczeniu. Włączają się po wykryciu aktywności ośrodka mózgowego osoby, która posługuje się Mocą. Zainstalowane pod podłogą repulsory unoszą Jedi nad podłogę, a elektryczne wyładowania, przeważnie bezbolesne, zakłócają jego koncentrację. Zauważyłeś chyba, że kiedy zrezygnowałeś z posługiwania się Mocą, pole elektryczne przestało cię razić. Proste i skuteczne, prawda?

- Taa, jasne, jeżeli tak twierdzisz... - Ben uwolnił myśli, żeby przywołać świetlny miecz do dłoni... I ponownie zadygotał, kiedy systemy obronne androida poraziły jego ciało. Dopiero po kilkunastu sekundach odzyskał panowanie nad mięśniami. - To chyba rzeczywiście działa - przyznał niechętnie.

- Sam mogłeś się o tym przekonać, prawda? - Odparł android. - A więc właściwie po co tu przyszedłeś?

- Żeby zniszczyć stację, a przynajmniej unieszkodliwić urządzenia, które zainstalowano, żeby odzyskać kontrolę nad bronią repulsorową. - Ben spojrzał powątpiewająco na automat. - Obawiam się, że to ty jesteś tym urządzeniem - dodał ponuro.

Zza drzwi zaczęły napływać odgłosy, jakby ktoś w nie czymś walił. Ben się skrzywił, bo zrozumiał, że strzegący ich strażnicy wezwali kogoś na pomoc. Co prawda uszkodził mechanizm umożliwiający ich otwieranie, ale usunięcie usterki nie powinno zająć Korelianom więcej niż kilkanaście minut.

Poniósł klęskę.

No cóż, może jeszcze nie. Odwrócił się znów do androida.

- Wmówili ci, że zamierzają się posłużyć repulsorem stacji, aby zachować niepodległość - zaczął. - I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie chodziło im o nic więcej, ale to nieprawda. Okłamali cię. Pierwsze wielkie kłamstwo, jakim cię uraczyli, to to, że jesteś nowym wcieleniem Anakina Solo. Nie jesteś nim. Jesteś androidem.

Automat westchnął.

- Tak, tak, naturalnie - powiedział.

- To prawda! - Wykrzyknął Ben. - Potrzebowali danych bio... Bio... Jakichś tam Anakina Solo...

- Biometrycznych - podsunął android.

- Taa, biometrycznych, żeby przejąć kontrolę nad repulsorową bronią - podchwycił Ben. - Prawdopodobnie wyciągnęli odciski jego palców ze starych baz danych i odtworzyli jego fale mózgowie z danych medycznych, do jakich mogli dotrzeć. Zapewne musieli dokonywać w nich jakichś poprawek i przeprowadzić wiele prób, zanim udało im się uzyskać wpływ na działanie urządzeń kontrolnych tej stacji. A później wszystko zapisali w twojej pamięci. Chcieli mieć Anakina Solo, który będzie myślał i zachowywał się jak człowiek... Ale posłusznie wykonywał ich rozkazy.

- Jestem Anakinem Solo. Jestem Jedi. Mam władzę nad Mocą. Widzisz? - Automat wyciągnął rękę i rękojeść świetlnego miecza, która dotąd spoczywała na podłodze, potoczyła się i pofrunęła do jego dłoni.

- To nie jest Moc - zaprotestował Ben. - Poczulbym, gdybyś na prawdę posłużył się Mocą. - Zastanowił się głęboko. - Nie możesz mieć zainstalowanych w tej sterowni emiterów repulsorów, więc prawdopodobnie chodzi o ukierunkowane pole magnetyczne - podjął po chwili. - Schwytałeś metalową rękojeść mojego miecza dzięki zwykłemu przyciąganiu magnetycznemu. - Starał się nie okazać lęku i smutku, ale chyba z niewielkim powodzeniem. Nie chodziło tylko o to, że jego wyprawa może zakończyć się fiaskiem. Musiał toczyć dyskusję z androidem, który naprawdę uważał, że jest jego kuzynem. Taka rozmowa miała w sobie coś groteskowego.

Musiał znaleźć sposób, żeby go zniszczyć. - Na pewno są tu jakieś holokamery systemu bezpieczeństwa, prawda? - Zagadnął w końcu.

- Naturalnie - przyznał android.

- A więc jak wyglądasz w ich obiektywach?

- Jestem bardzo dużym kilkunastoletnim człowiekiem - odparł automat. - Mam wyjątkowo grube kości i silnie rozwinięte mięśnie, żeby mogły się uporać z dużą masą mojego ciała.

- Za chwilę otworzę worek i wyjmę z niego niewielką holokamerę - uprzedził Ben. - Zarejestruję nią twój wizerunek i pokażę ci, jak naprawdę wyglądasz.

- Proszę bardzo.

Ben sięgnął do worka po miniaturową holokamerę, którą posłużył się na Adumarze. Zaledwie zdążył ją wyjąć, android wyszarpnął ją z jego palców i przerzucił w powietrzu do drugiej dłoni.

- Hej! - Zaprotestował Ben. - Obiecywałeś!

- Wcale nie. - Android uniósł kamerę na wysokość głowy i zaczął ją badać za pomocą różnych czujników. - Muszę się upewnić, czy to nie blaster, który tylko wygląda jak holokamera.

- To nie jest żaden blaster - oburzył się chłopak. - A ty się zachowujesz, jakbyś obawiał się śmierci.

- Naprawdę obawiam się śmierci - przyznał automat.

Ben poczuł uniesienie. A więc jednak coś osiągnął. Uczynił pierwszy krok na drodze do

zwycięstwa.

- Anakin Solo niczego się nie obawiał - powiedział. - To dowód, że nie jesteś nim.

- Cicho! Zamierzam zbadać oprogramowanie tego przedmiotu.

W głowie androida, w miejscu, gdzie mogłyby znajdować się usta, pojawił się spory otwór. Automat umieścił w nim holokamerę Bena i zasunął klapkę.

- Hej! - Żachnął się Ben. - Co ty wyprawiasz?

- Posługuję się urządzeniem umożliwiającym połączenie Mocy z komputerowym sprzętem, żeby dokonać analizy oprogramowania tego przedmiotu - wyjaśnił android.

- To nie jest żadna Moc, ty półgłówku - burknął chłopak. - Chodziło mi o to, co zrobiłeś! Umieściłeś moją kamerę w swojej głowie!

- Chyba oszalałeś. - Android otworzył otwór i pochylił głowę, żeby holokamera mogła wypaść na podstawioną dłoń. Metalowe palce zadrżały i niespodziewanie holokamera poszybowała w powietrzu w kierunku Bena.

Młody Jedi ją schwytał.

- No i? - Zapytał.

- Upewniłem się, że to nie broń - odparł android. - Nie zawiera oprogramowania umożliwiającego wykonywanie innych czynności niż standardowe rejestrowanie dźwięków i obrazów.

Ben uniósł holokamerę do oka, sprawdził, czy pole magnetyczne automatu nie wpłynęło na jej działanie, i zaczął rejestrować wygląd androida.

- Wyświadcz mi przysługę - powiedział. - Zachowuj się jak na wakacjach. Masz jakąś wiadomość dla rodziców? Powiedz im coś... Cokolwiek zechcesz. Pomachaj im.

- To dobry pomysł. - Android niezgrabnie pomachał ręką.

- Cześć, mam, cześć, tato. Ciężko tu pracuję, ale świetnie się bawię. Mam nadzieję, że wkrótce znów się z wami zobaczę. - Urwał i chwilę milczał. - Jak wypadło? - Zapytał w końcu.

- Całkiem nieźle. - Ben czuł coraz większe przerażenie. Banalne pozdrowienia, jakie mógłby wypowiedzieć każdy kilkunastolatek podczas rozłąki z rodzicami, wywarły na nim wstrząsające wrażenie.

Zakończył rejestrowanie wizerunku androida i wyciągnął holokamerę w jego stronę.

- A teraz popatrz na to, co zarejestrowałem. Może to cię przekona, jak naprawdę wyglądasz - powiedział.

Holokamera wyrwała się z jego palców i wylądowała w mechanicznej dłoni automatu, który jeszcze raz wsunął ją do otworu w głowie, żeby poddać oględzinom.

Ben uzbroił się w cierpliwość, chociaż z korytarza dobiegały głosy wielu osób i szurganie jakiegoś sprzętu po metalowej podłodze. Tu, w środku, słyszał jednak tylko szum aparatury elektronicznej w sterowni i cichy szmer swojego oddechu.

- To kłamstwo - odezwał się w końcu automat.

- Przecież sam zbadałeś holokamerę - przypomniał chłopak.

- Powiedziałeś, że nie zawiera żadnego nietypowego oprogramowania.

- Musiałem coś przeoczyć - oznajmił android.

- Niczego nie przeoczyłeś i sam o tym dobrze wiesz - stwierdził Ben. - Ta holokamera jest mniej skomplikowana niż robot-mysz. Nie zawiera niczego, co mogłoby ujść twojej uwagi.

Android odwrócił głowę i znów spojrzał na Bena. Chłopak mógłby przysiąc, że jego metalowy

rozmówca sposepniał. Poczul, ze do jego oczu naplywaja lzy, i otarl je grzbietem dloni.

- Bardzo mi przykro, ale to prawda - powiedzial. - Jesteś androidem, którego zaprogramowano, żeby myślał jak Anakin Solo. Gdybyś był naprawdę Anakinem, pomógłbyś mi unicestwić tę stację, bo twoi konstruktorzy zamierzają ją wykorzystać jako broń. Musisz wiedzieć, że mogą nią niszczyć gwiazdy.

- Jak zamierzasz mnie unieszkodliwić? - Zainteresował się automat.

- Nie przyleciałem tu, żeby cię zniszczyć - wyjaśnił młody Skywalker. - Przybyłem, żeby zlikwidować stację. Znam sposób, żeby z tej sterowni wysłać do stacji impuls, który dokona tego dzieła.

- A przy okazji zabije wszystkich na jej pokładach - zauważył android.

- Nie, najpierw wyśle awaryjny kod ewakuacyjny i zaczeka dziesięć minut - uspokoił go Ben.

- Dziesięć minut? - W głosie automatu zabrzmiała uraza. - Naprawdę uważasz, że wszyscy na pokładach tak ogromnej stacji zdążą dotrzeć do kapsuł ratunkowych w ciągu zaledwie dziesięciu minut?

Dręczony wyrzutami sumienia chłopak wzruszył ramionami.

- Hej, to nie ja wymyśliłem ten plan - przypomniał ponuro.

- Daj mi nośnik informacji - zażądał automat.

Ben wyjął z worka zakończoną szpikulcami kartę danych. Po namyśle wyjął także inne karty, które powinny skłonić pozostałe sterownie stacji Centerpoint do wysłania sygnałów powodujących samozniszczenie albo zakończenie pracy. Wyciągnął je w kierunku androida i poczul, że pole magnetyczne wyszarpuje nośniki z jego palców. Chwilę później karty danych zniknęły w otworze głowy automatu.

- Analizuję - oznajmił android dzieciennym tonem, od którego zmiękło serce Bena. - Och, przecież wiem, gdzie się znajduje odpowiednie gniazdo! - Dodał po chwili. - A cały czas przypuszczałem, że to otwór dystrybutora słodyczy.

- Chyba źle przypuszczałeś - stwierdził Ben.

- Muszę dokonać ponownej interpretacji siebie w świetle tego, czym jest ten otwór - oznajmił automat. - Te rozkazy... Nie, nie pozbawię niepotrzebnie nikogo życia.

- Niepotrzebnie? - Zachnął się młody Jedi. - Pomyśl lepiej, co się stanie, jeżeli tego nie zrobisz.

- To prawda. Ktoś zginie - przyznał jego rozmówca. - Oni albo ja. Ja albo oni.

- Tyle że ty wcale nie zginiesz - zauważył Ben. - Jesteś androidem. Androidy nie umierają jak żywe istoty.

Automat pochylił się ku niemu, jakby chciał mu wyrządzić krzywdę.

- Jeżeli to zrobię, przestanę istnieć - powiedział. - Wszystko, czym jestem, zakończy się na zawsze. Powiedz mi, że to nie jest umieranie. Proszę bardzo. Zaraz mi to powiedz.

Ben wyprostował plecy, wciąż unosząc się w powietrzu. Czul się zawstydzony, upokorzony.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

Android się wyprostował.

- Analizuję oprogramowanie - stwierdził obojętnym tonem, jakiego użyłby każdy automat. - Boczniki systemów bezpieczeństwa, kody dostępu... Hej, znalazłem tu coś naprawdę ciekawego!

- Pracowali nad tym nasi najlepsi szpiedzy - wyjaśnił Ben, nie zastanawiając się nad słowami. Dobiegające zza drzwi odgłosy uderzania metalu o metal brzmiały coraz głośniejsze. Po chwili dał się słyszeć skowyt, płyta drzwi uniosła się centymetr nad podłogę i do sterowni wpadło trochę światła z

korytarza.

- Odwiedzam miejsca, o których istnieniu nie miałem pojęcia - ciągnął android. - Widzę dzięki obiektywom holokamer systemu bezpieczeństwa, do których poprzednio nie umożliwiano mi dostępu. - Android spojrział w górę i pomachał ku sufitowi. - Spójrz, tam jestem! - Powiedział zachwycony. - Widzę nowe miejsca, uzyskuję dostęp do starych, bardzo starych systemów. Wspaniała robota. Mogę... Już prawie... Uzyskać do nich dostęp. - Automat westchnął z rozpaczą. - Ale nie pozwalają mi się do nich dostać.

- Mam wrażenie, że czas ucieka - przypomniał Ben. - Co zamierzasz zrobić, Anakinie?

- W rzeczywistości nie jestem Anakinem, prawda? - Zapytał android.

- Jesteś... Jakimś Anakinem... Ale nie Anakinem Solo - odparł chłopak.

- Jestem Anakinem Sal-Solo. - Android roześmiał się z przymusem. - Potomkiem Thrackana Sal-Solo. Oto kim jestem.

Ben poczuł nagle, że spada na podłogę. Wylądował na ugiętych nogach i spojrział nieufnie na metalowego rozmówcę.

- Nie zamierzam zniszczyć tej stacji - oznajmił automat. - Gdybyś mógł czuć to, co ja w tej chwili... Tętniące w niej życie... Całą wiedzę, jaką zawiera... Nie pozwolę jednak, żeby mój ojciec i jego przyjaciele się nią posłużyli. A to chyba oznacza, że muszę zginąć.

- Bardzo mi przykro - powtórzył Ben. Naprawdę było mu przykro. Nie mógł uznać androida za swojego kuzyna, ale uświadomił sobie niespodziewanie, że uważa go za żywą istotę... Żywą i szlachetną.

- Już mam - stwierdził w końcu automat. - W miejscu, w którym łączy się inteligencja ludzka z inteligencją konstruktorów, znalazłem kod, który uzależnia funkcjonowanie stacji od danych biometrycznych Anakina Solo. Instaluję teraz procedury, które wprowadzają chaos do programów nakazujących stacji rozpoznawać Anakina Solo. Instaluję też oprogramowanie, które skasuje zawartość pamięci we wszystkich moich zasobach rezerwowych. Bez tych... Zasobów... Wątpię, czy moi twórcy będą kiedykolwiek mogli naprawić to, co zrobiłem.

Metalowa płyta drzwi śmignęła nagle metr w górę. Nie patrząc w tamtą stronę, android wyciągnął ku niej rękę. Płyta opadła z taką siłą, że wygięła się framuga, w której była osadzona. Ben usłyszał dobiegające z korytarza okrzyki przerażenia i wściekłości.

- Oto mój własny kod, moje oprogramowanie - podjął android.

- Ze wszystkimi kodami kontrolnymi we właściwych miejscach. Pozbądźmy się tego. - Westchnął z wielką ulgą. - Koniec z tym. Nie muszę się już obawiać śmierci. Przejdź trzy kroki w prawo.

Dopiero po chwili Ben uświadomił sobie, że automat mówi do niego. Bez słowa usłuchał.

Świetlny miecz wyskoczył z dłoni androida i poszybował ku młodemu Jedi. Ben chwycił go w powietrzu.

- Prosto pod miejscem, gdzie w tej chwili stoisz, znajduje się niestrzeżone pomieszczenie - poinformował go android. - Można się z niego dostać na korytarz biegnący równoległe do tego za drzwiami. Powinieneś teraz stąd wyjść.

- Dziękuję ci - odparł chłopak. Czuł się, jakby miał odrętwiałe mięśnie. Włączył klingę świetlnego miecza, wbił szpic w metalową podłogę przed stopami i zaczął zataczać krąg. Z podłogi uniosły się strużki dymu.

- Chyba jednak włączę sygnał alarmowy do ewakuacji stacji - zdecydował android. - Chcesz wiedzieć dlaczego?

- Dlaczego? - Zapytał Ben.

- Bo zabawnie będzie obserwować, jak wszyscy dookoła biegają jak opętani. - Android znów się roześmiał i tym razem chyba naprawdę był rozbawiony. - Czy to nie dobry sposób skończenia ze sobą? Zamiast odczuwać ból, będę się przyglądał, jak głupio zachowują się ludzie... Zupełnie jak w holokomedii.

- Masz rację, to dobry sposób - przyznał Ben, kończąc wypalanie otworu w podłodze. Z oczu leciały mu łzy i spadały na klingę świetlnego miecza. Zamieniały się z sykiem w niewielkie obłoczki pary i łączyły się z dymem z podłogi.

Jacen dogonił Thrackana na skrzyżowaniu korytarzy. W podłodze pod ścianą zobaczył dwa błyszczące srebrzyste dyski ponadmetrowej średnicy. Dokładnie nad nimi z sufitu wystawały dwudziestocentymetrowe końce przezroczystych rur tej samej wielkości co dyski. Wyglądały jak osłony awaryjnych włazów, ale nie prowadziły do nich żadne drabiny.

Thrackan uniósł rękę, żeby wcisnąć guzik na kontrolnym panelu, ale Jacen posłużył się Mocą i pchnął mężczyznę na ścianę. Korelianin odbił się od niej, jęknął i osunął się na kolana na jeden z dysków.

Rycerz Jedi doskoczył do przeciwnika i zbliżył szpic klingi świetlnego miecza do jego szyi. Zauważył, że broda Thrackana pociemniała od żaru.

Jego kuzyn, zdyszany i niemal sparaliżowany, spojrzał na niego i powiedział głośno:

- Wygląda na to, że wygrałeś.

- Chyba rzeczywiście na to... - Zaczął Jacen.

- Gotuj się na śmierć, Solo!

Tym razem głos Thrackana dobiegł zza pleców rycerza Jedi. Jacen odwrócił się i odruchowo uniósł klingę świetlnego miecza w obronnym geście.

Zdażył wykonać półobrót, kiedy usłyszał odgłos blasterowego strzału, dochodzący z miejsca, gdzie kłęczał Thrackan Sal-Solo. Błyskawica trafiła w rękojeść jego świetlnego miecza i wytrąciła mu z dłoni broń, która potoczyła się po podłodze korytarza.

Jacen odwrócił się jak użądłony. Thrackan wstał i strzelił z blastera prosto w pierś młodszego krewniaka.

Rycerz Jedi odbił błyskawicę dłonią, ale rozproszył energię strzału, zanim dotarła do skóry. Uśmiechnął się i pokazał Thrackanowi otwartą dłoń na dowód, że nie stała mu się żadna krzywda.

Thrackan znów dał ognia. Jacen machnął dłonią w lewo i odbił drugi strzał.

Wyciągnął ku przeciwnikowi lewą rękę, zagiął wskazujący palec, wyszarpnął blaster z ręki Thrackana i przywołał go do swojej dłoni. Spojrzał na podłogę, gdzie leżał jego świetlny miecz, i wyciągnął po niego drugą rękę. Metalowy cylinder przeleciał w powietrzu cztery metry i wylądował w palcach prawej dłoni. Jacen ponownie włączył klingę i zbliżył szpic do szyi krewniaka.

- Niech to zaraza - burknął Korelianin. Wyglądał na autentycznie oszołomionego. - Mówiono mi, że takie sztuczki umiał robić Darth Vader. Czy nauczyli się ich wszyscy Jedi?

- Nie - odparł młody Solo. - Co to było? Nagranie?

- Miniaturowy rejestrator dźwięków - przyznał Thrackan. - Włączył się, kiedy powiedziałem: „Wygląda na to, że wygrałeś”.

- Gotuj się na śmierć, Solo! - Rozległo się znów zza pleców Jacena.

Rycerz Jedi parsknął, rozbawiony mimo powagi sytuacji.

- Rozumiem - powiedział.

- Tyle że w rzeczywistości przegrałeś - podjął Thrackan. - Za minutę przybiegną tu wszyscy żołnierze, których wezwałem na pomoc. Będą iść twoim śladem i nękać cię, dopóki jeden z nich cię nie zastrzeli. A wtedy twój plan zniszczenia stacji zakończy się niepowodzeniem. W pewnym sensie już się zakończył.

Z oddali napłynęło zawrodożenie alarmowych syren. Drażniący nerwy dźwięk dobiegał jakby ze wszystkich stron naraz, a odbite echa nakładały się na siebie, zupełnie jakby gigantyczny android rozpaczał po stracie potomka.

Thrackan zbladł.

Jacen wyszczerzył zęby w triumfującym uśmiechu.

- To sygnał alarmowy obwieszczający ewakuację - powiedział.

- Mamy najwyżej dziesięć minut, aby się stąd wydostać, zanim stacja ulegnie samozniszczeniu.

Wynika z tego, że mój uczeń, który na szczęście nie jest z tobą spokrewniony, poradził sobie z wysłaniem sygnału autodestrukcji. - Pochylił się w stronę starszego kuzyna i jeszcze bardziej zbliżył szpic klingi świetlnego miecza do jego szyi. Thrackan wygiął ciało do tyłu. - Wciąż jeszcze mogę zakończyć sukcesem moją część zadania. Powinienem cię zabić, żeby zmazać hańbę, jaką stanowisz dla galaktyki.

Thrackan pokręcił głową.

- Jedi nie zabijają jeńców, którzy się poddają - powiedział.

- Jeszcze się nie poddałeś - przypomniał młody Jedi.

- Poddaję się. - Thrackan uniósł ręce na wysokość głowy.

- Bardzo proszę.

Dawniej Jacen mógłby się poczuć urażony bezczelnym lekceważeniem w głosie starszego krewniaka, ale obecny Jacen postanowił odplacić mu pięknym za nadobne.

- Może i Jedi tak nie postępują... Ale ja mógłbym się o to pokusić - powiedział. - Przysporzyłeś wielu kłopotów Korelii, Nowej Republice i mojej rodzinie, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem. Czy wszechświat bez ciebie nie będzie lepszym miejscem?

- Bardzo zabawne - burknął Korelianin, ale Jacen wyczuł, że w emocje mężczyzny wkradła się cień niepokoju.

Niepokoju? Nie, wyczuwał coś innego, co napływało z innego miejsca. Ból. Śmierć. Nadchodziły z przyszłości.

Z jakiejś przyszłości, z jednego z wielu możliwych jej wariantów. Zerknął w głąb tej przyszłości i pozwolił, żeby omył go prąd wydarzeń tej potencjalnej linii czasu. Nie odrywał spojrzenia od kuzyna, spodziewając się jakiegoś podstępu z jego strony.

Przyszłe wydarzenia przeplęwały przez niego zbyt szybko, żeby mógł zrozumieć ich znaczenie. Piloci gwiazdnych myśliwców, posyłając rakiety i strzelając z laserowych działek, zabijali niewinne osoby. Dlaczego nie cierpieli ci, którzy na to zasługują? Rycerz Jedi nie widział winnych w tym konflikcie. Pilot przeciwko pilotowi, żołnierz przeciwko żołnierzowi. Nikt z nich nie był winny. Żadna z walczących stron nie była gorsza niż druga.

Wojna rozchodziła się od Korelii niczym zmarszczki po powierzchni stawu, do którego wrzucono wielki kamień. A na tym kamieniu widniały wizerunki Jacena i Thrackana. Młody Solo widział rozprzestrzeniające się chmury ognistych gazów w miejscach, w których latali śmiałkowie. Patrzył na zaścielone trupami pola, na których toczyli walki. Widział także niemal niemożliwe do rozpoznania wraki, które były kiedyś ogromnymi okrętami liniowymi, ale w zderzeniu ze skalistymi

powierzchniami księżyców zostały zgniecione niczym zwykle puszki z gazowanym napojem.

I odczuwał ból... Ból, który szarpał tkankę Mocy jak nigdy od czasu zakończenia wojny z Yuuzhan Vongami. Czuł cierpienia członków swojej rodziny. Słyszał płacz po stracie bliskich.

Skupił się na kamieniu pośrodku stawu - na sobie i na Thrackanie. Zrozumiał, że jeżeli go nie zabije, ciąg wydarzeń rozpocznie się w chwili i w miejscu, w którym obecnie się znajdują.

Wstrząśnięty, wyrwał się z wizji przyszłości i zaczął z wysiłkiem chwycić powietrze.

- Co ci się stało, chłopcze? - Zapytał niemal współczującym tonem Thrackan. - Okropnie zbladłeś.

Jacen zamrugał i spojrzał na kuzyna. Czuł się jak robak na haczyku. Jego umysł mówił mu, że nie może zrobić czegoś, co rozsądek podpowiadał, że musi. Nie mógł pozbawić życia nieprzyjaciela, który się poddał.

Luke wielokrotnie mu powtarzał, żeby ufał Mocy... Żeby miał zaufanie do swoich uczuć.

Musiał pozbawić życia nieprzyjaciela, chociaż ten nieprzyjaciel się poddał.

Spowolnił tempo bicia serca i oddychania i zapanował nad głosem.

- Przepraszam - powiedział. - Prawdę mówiąc, nie mam innego wyjścia. Muszę cię teraz zabić.

- Chyba oszalałeś. Przecież się poddałem - przypomniał Thrackan.

- To nie wystarczy. Jeżeli cię nie zabiję, galaktyka będzie miała parszywą przyszłość. - Nie, to nie było do końca prawdą. Prawdą było jednak, że gdyby pozwolił Thrackanowi żyć, przyszłość malowała się w ponurych barwach. - Dla dobra ogółu, nie zważając na tradycje Jedi, muszę cię zabić.

- Nareszcie przybyły moje roboty bojowe!

Zza pleców Jacena doleciał odgłos blasterowego strzału. Rycerz Jedi odwrócił się, żeby przechwycić błyskawicę... Ale jeszcze zanim zakończył obrót, przeklął sam siebie w duchu za to, że znów dał się podejść.

Nikogo w korytarzu nie zobaczył. Źródłem odgłosów blasterowych strzałów było niewielkie okrągłe urządzenie, przytwierdzone do sufitu w pobliżu obudowy pręta jarzeniowego.

Mimo to Jacen nie przestał się obracać, żeby klinga jego świetlnego miecza zatoczyła pełne koło i przecięła Thrackana na wysokości pasa.

Trafiła jednak w błyszczącą metalową kolumnę.

Jacen uniósł głowę i spojrzał w górę. Kolumna, która wyrosła spod podłogi, unosiła ku sufitowi metalowy dysk ze stojącym na nim Thrackanem. Kiedy dysk się zderzył z krawędzią przezroczystej rury, rozległ się dźwięczny łoskot. Stopy Thrackana oderwały się od dysku i mężczyzna zniknął w głębi rury.

Jacen skoczył na drugi dysk i przycisnął od razu wszystkie cztery guziki na kontrolnym panelu. Dysk uniósł się szybko ku sufitowi. Kiedy zetknął się z wylotem drugiej rury, dał się słyszeć kolejny łoskot, po którym rycerz Jedi poszybował w górę.

Zawdzięczał to energii, której na razie nie potrafił zidentyfikować... Repulsory? Strumień sprężonego powietrza? Promień przyciągający? Lecąc w górę przezroczystą rurą, mijał piętra i korytarze. Widział transpastalowe iluminatory, za którymi ciągnęły się usiane punkcikami gwiazd przestworza albo oświetlone pomosty, po których biegali przerażeni ludzie.

Szyb, którym biegły obie rury, był na przemian albo pełen skomplikowanych urządzeń, albo zupełnie pusty. Pierwszy raz, kiedy nic nie przesłaniało mu widoku, Jacen dostrzegł Thrackana, lecącego jakieś sto metrów nad nim w swojej rurze.

W pewnym miejscu ta druga rura wyginała się pod kątem prostym i niknęła w oddali. W normalnych okolicznościach przejście przez taki zakręt zamieniłoby ludzkie ciało w miazgę. Grawitacja, pomyślał rycerz Jedi. Tylko manipulacja siłą ciężenia mogła pozwolić Thrackanowi przeżyć.

Kiedy Jacen osiągnął tę samą wysokość, jego rura także skręciła, ale w przeciwną stronę. Poczuł, że jego żołądek wywinął kozła. W dodatku nagle zaczął się oddalać od krewniaka... Mężczyzny, którego chciał za wszelką cenę zabić.

Jęknął z wściekłości, ale z powodu świstu wiatru w rurze ledwo usłyszał własny głos. Wyłączył klingę świetlnego miecza, przypiął rękojeść do pasa i wsunął do saszetki blaster Thrackana.

Musiał zachować spokój i opuścić stację, ale przede wszystkim musiał się dowiedzieć, co się dzieje z Benem.

Thrackan miał rację. Jacen przegrał. Jego wyprawa zakończyła się sromotną klęską... Ale nie dlatego, że nie wykonał wyznaczonego zadania. Nie wywiązał się z ważniejszego obowiązku.

ROZDZIAŁ 16

Koronet, Korelia

- Na ekranie komputerowego notesu widzę, że ta aleja nazywa się See See See Trzydzieści Dziewięć! - Krzyknął Doran z przedziału pasażerskiego.

Siedzący obok Jaina Zekk odwrócił się z wysiłkiem i odkrzyknął:

- Powtarzam ci, że widziałem tabliczkę z napisem: „Bulwar Wedge'a Antillesa”!

- Uspokójcie się - warknęła Jaina z fotela pilota. - To musi być ta sama aleja. Władze miast co chwila zmieniają nazwy ulic.

Ich pojazd - standardowy wahadłowiec klasy Lambda ze skrzydłami zablokowanymi w pozycji dolnej - leciał środkiem bulwaru Koronetu. W strumieniu innych pojazdów wyglądał absurdalnie nie na miejscu. Nie był wprawdzie bardziej masywny niż lecące tą samą aleją niektóre towarowe śmigacze lądowe, ale odróżniał się od nich zdecydowanie. Jego skrzydła sięgały daleko na boki, a górny stabilizator wystawał ponad poziom zastrzeżony dla tego pasa ruchu. Pod innymi względami wahadłowiec także rzucał się w oczy. Miał kadłub polakierowany na żółtobrazowy kolor pustynnego piasku, a na każdej burcie prężyła się do skoku koreliańska pantera piaskowa. Był ozdobiony zdecydowanie bardziej krzykliwie niż większość koreliańskich osobistych pojazdów.

Zekk odwrócił się znów i spojrzał przed siebie.

- Ten fotel jest dla mnie za mały - oznajmił ponuro.

- Byłby za mały dla każdego z nas - uświadomiła mu Jaina. - Prawdopodobnie przeznaczono go dla dziecka.

- No i cuchnie sierścią - dodał rycerz Jedi.

Jaina odwróciła się w jego stronę.

- Taa, i w dodatku ktoś zostawił na nim mnóstwo włosów, które przykleiły się do twojego ubrania - powiedziała. - To musiał być jakiś Bothanin.

Zekk wygiął ciało do tyłu, żeby obwąchać oparcie fotela.

- Nie pachnie jak sierść Bothanina - zauważył.

- Nie wszyscy pachniemy tak samo! - Zawołała oburzona Kolir z przedziału pasażerskiego. - Ciekawe, gdzie usłyszałeś podobną bzdurę.

- Nie nadwerężaj swoich ust, skoro jesteś ranna! - Odkrzyknęła Jaina.

Z niższego pasa ruchu wzbił się lądowy śmigacz, a jego pilot zajął miejsce tuż przed dziobem wahadłowca - tak blisko, że w kabinie Lambdy odezwał się sygnał alarmowy ostrzegający o zbliżaniu się jakiegoś obiektu. Niewątpliwie właśnie taki skutek chciał osiągnąć zirytowany Korelianin. Jaina zakłęta pod nosem. Chyba wszyscy piloci lądowych śmigaczy reagowali oburzeniem na widok wahadłowca na pasie ruchu powietrznego. Ci, którzy lecieli za nimi, zbliżali

się co chwila, jakby zamierzali ich wyprzedzić, a ci przed dziobem zwalniali, aby zmusić Jainę do ograniczenia prędkości. Inni zajmowali pozycje nad skrzydłami wahadłowca, żeby tylko zdenerwować pilota.

- Najbardziej ordynarni piloci w całym wszechświecie - stwierdziła młoda Solo. - Jak daleko jeszcze do miejsca, w którym czeka na nas wujek Luke?

- Niedaleko, niedaleko - uspokoił ją Thann z przedziału dla pasażerów.

Wkrótce do wnętrza wahadłowca dotarł nowy dźwięk: świergotliwy odgłos syreny lądowego śmigacza KorSeku. Jaina westchnęła. Spojrzała na pulpity sensorów i odszukała pojazd Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa. Jego pilot leciał tuż za wahadłowcem, miał włączone pulsujące światła i gestami dawał znaki, żeby lądowała. Niewątpliwie przesyłał także ostrzeżenie, ale sprzęt łączności wahadłowca był nastawiony na kanał Eskadry Hardpoint i częstotliwości operacyjne.

- Czy jesteśmy jeszcze na Korelii? - Zagadnął niewinnym tonem Zekk.

- Przy pierwszej okazji wyrzucę cię w przestworza - zapowiedziała Jaina.

W końcu dotarli do miejsca, w którym Bulwar Wedge'a Antillesa przebiegał pod szerszą trasą, zwaną Aleją Pięciu Braci. Tym razem nazwa na ekranie komputerowego notosu zgadzała się z tym, co głośno podświetlane znaki uliczne. Aleją Pięciu Braci leciało więcej pojazdów niż Bulwarem Wedge'a Antillesa, bo przebiegała wyżej. Wyglądała jak transpastalowy wiadukt, upstrzony ciemnymi plamami w miejscach, w których nawierzchnię zeszpeciły gazy wylotowe z dysz przelatujących maszyn, i tak szerokim, że nawet najszybsze pojazdy wlokły się w cieniu bulwaram pod nim wiele długich sekund.

Kiedy porwany wahadłowiec zbliżał się do skrzyżowania, Jaina i Zekk zauważyli nad Aleją Pięciu Braci lecącą w strumieniu innych pojazdów formację X-wingów. Zbliżał się do niej śmigacz KorSeku, którego pilot był na pewno bardzo zirytowany.

Jaina włączyła komunikator na pulpicie łączności.

- Hardpoint, tu Purelle i Tauntauny - powiedziała. - Mamy was w zasięgu wzroku. Odbiór.

Natychmiast usłyszała trochę zniekształcony głos Luke'a Skywalkera:

- Czy wasz statek nadaje się do lotu w przestworzach... Chwileczkę, ja też was widzę! - Wykrzyknął mistrz Jedi. - Czy aby nie za bardzo rzucacie się w oczy? Piaskowe pantery na kadłubie? Odbiór.

- To najlepsze, co mogliśmy zdobyć w tak krótkim czasie - wyjaśniła Jaina. - A nasz wahadłowiec nadaje się do lotu w przestworzach. Odbiór.

- A więc zaczynajcie zwiększać pułap lotu. Bez odbioru.

- Przypnijcie się i trzymajcie! - Rozkazała młoda Solo. Zachwyt w jej głosie był całkiem zrozumiały. Wreszcie mogli się pozbyć ograniczeń, jakie nakładało na nich wolne tempo lotu i świadomość, że ich wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Nie czekając, aż jej podwładni wykonają rozkaz - tym bardziej, że powinni się byli przypiąć, kiedy weszli na pokład wahadłowca - posłużyła się repulsorami i zadarła dziób statku.

Pilot ścigającego ich pojazdu KorSeku podleciał trochę za szybko i za blisko rufy Lambdy. Jaina usłyszała dźwięczny łoskot, kiedy dziób lądowego śmigacza zderzył się z dyszą wylotową głównej jednostki napędowej wahadłowca. Przesłała energię do silników, żeby strumień gazów wylotowych omył maskę pojazdu KorSeku, i dała jego pilotowi dwie sekundy, aby zwolnił, po czym przesłała pełną energię do jednostek napędowych i repulsorów.

Wahadłowiec śmignął w niebo.

Nie poszybował jednak równie wdzięcznie jak X-wingi na wiadukcie nad nim. Ich piloci po prostu zadarli dzioby i śmignęli pionowo świecą w chmury. W porównaniu z myśliwcami wahadłowiec wznosił się niczym ociężały balon.

To było jednak lepsze, niż gdyby nadal leciał pasem ruchu.

Piloci czterech X-wingów zwolnili i zajęli pozycje za rufą Lambdy. Trzej ustawili się wokół kadłuba, jeden po stronie sterburty, drugi po stronie bakburty, a trzeci nad nim, żeby utworzyć ochronny trójkąt. Luke i Mara postanowili lecieć przed dziobem statku.

Jaina wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Wolałaby wprawdzie lecieć w kabinie zwinnego myśliwca i osłaniać bardziej wrażliwy cel... Ale jeżeli musiała być eskortowana, nie mogłaby sobie wyobrazić nikogo lepszego niż Luke i Mara, komu mogłaby powierzyć to zadanie.

Przestworza Korelii

W końcu okręty floty admirała Klauskina wyrwały się z objęć grawitacji Korelii, ale dopiero po upływie wielu minut miały się znaleźć na tyle daleko grawitacyjnej studni planety, żeby móc wskoczyć do nadprzestrzeni.

Wokół nich zaczęły się gromadzić jednostki koreliańskiej armady. Skupiały się w niewielkich grupach, po cztery i pięć okrętów.

- Nie zajmują pozycji wyjściowych do ataku - zauważyła Fiav Fenn. - Ich dowódcy wezwali do powrotu eskadry gwiazdnych myśliwców.

- W takim razie możemy się spodziewać najwyżej nękającego ostrzału - stwierdził Klauskin.

- Prawdopodobnie - przyznała Sullustanka.

- Co słysząc z ich fregatą?

- Unosi się nieruchomo w przestworzach - odparła doradczyni. - Na ile udało się nam ustalić, jej załoga poniosła minimalne straty w ludziach, ale sam okręt jest właściwie wrakiem. Wszystkie kapsuły ratunkowe zostały przechwycone przez inne jednostki ich armady.

- To dobrze, bardzo dobrze. - Klauskin pokiwał machinalnie głową.

W końcu czołowe okręty jego floty, a wśród nich „Dodonna”, zbliżyły się do najdalej wysuniętego punktu nowego szyku koreliańskiej armady. Lotniskowiec zadrżał, kiedy o jego osłony zaczęły się rozbijać posyłane z daleka sztychy turbolaserowych strzałów. Jak przewidywał Klauskin, jego okrętu flagowego nie trafiło na szczęście nic groźniejszego... A przynajmniej nic, co by groziło pokonaniem energii deflektorów.

- Ogień nękający?...

Admirał pogardliwie się uśmiechnął.

- Mniej więcej za pół godziny pożałują, że nie zdmuchnęli nas z nieba - powiedział.

- Tak jest, panie admirale - odparła Fenn obojętnie.

Klauskin zastanowił się, dlaczego słyszy w jej głosie tak mało entuzjazmu.

Kiedy przelatywali przez zaporę nękającego ognia, lotniskowiec trząsał się i dygotał, ale Klauskin ani razu nie poczuł się zagrożony. Na mostek zaczęły napływać meldunki, z których wynikało, że z każdą chwilą więcej okrętów Galaktycznego Sojuszu osiąga punkt skoku do nadprzestrzeni. Można już było dokonać wstępnej oceny strat wśród biorących udział w walce gwiazdnych maszyn i ocenić rolę, jaką odegrał przypadkowy intruz, „Sokół Millenium”. Eskadra Hardpoint zameldowała o pomyślnym wyrwaniu się z atmosfery.

W końcu dowódca ostatniego okrętu grupy szturmowej zgłosił gotowość wniknięcia do nadprzestrzeni.

- Dowódcy wszystkich okrętów, skok - rozkazał Klauskin.

Chwilę później światło gwiazd w dziobowym iluminatorze „Dodonny” skrzyło się i zawirowało niczym obrazki w ruchomym kalejdoskopie. Zaraz jednak świetliste nitki znów się skupiły i w oddali na kursie pojawiła się otoczona białymi chmurami, błękitno-zielona kula planety Tralus.

- Piloci wszystkich eskadr gwiazdnych myśliwców, start! - Rozkazał Klauskin.

Dwie godziny później akcja dobiegła końca: Tralus został zdobyty i ujarzmiony.

Z wojskowego punktu widzenia opanowanie go nie było wybitnym sukcesem. Planeta była rzadko zaludniona. Broniło jej tylko kilka rozproszonych jednostek KorSeku i niebezpieczny oddział świetnie uzbrojonych komandosów. Ci ostatni pilnowali kompleksu repulsora, który współpracował z urządzeniami stacji Centerpoint.

Siły zbrojne Klauskina nie zamierzały walczyć z obrońcami repulsora. Przypuściły za to szturm na miasto Rellidir, którego milionowa ludność nadawała mu status metropolii według standardów Tralusa, a później porwały przywódców miasta i planety, żeby osadzić ich w areszcie. Oddziały Klauskina zajęły najważniejsze gmachy w dzielnicy rządowej. Wokół kompleksu repulsora wylądowało kilka szturmowych wahadłowców z doborowymi oddziałami żołnierzy, którzy otoczyli budynki, żeby uniemożliwić obrońcom ucieczkę. Pozostałe jednostki floty Galaktycznego Sojuszu pozostały na orbicie, gdzie utworzyły obronny perymetr.

W przestworzach nad nimi zaczęły wyskakiwać jednostki koreliańskiej armady. Ich piloci, latając tu i tam, badali sytuację i starali się stwarzać jak największe zagrożenie, ale Klauskin od razu się zorientował, że są dezorientowani i kiepsko dowodzeni.

Uśmiechnął się do siebie. Opanowując przyczółek, osiągnął zamierzony cel: pomieszał szyki przeciwnikom. Nareszcie mógł powiedzieć, że ich zastraszył.

- W przestworzach pojawiają się nadal nieprzyjacielskie posiłki, ale nie decydują się na akcję. Prawdopodobnie boją się odwetu albo strat, jakie mogłyby przypadkiem wyrządzić cywilnej ludności - oznajmił nawykłym do wydawania rozkazów, dźwięcznym tonem. Urwał, żeby się zastanowić, czy nie warto by wygłosić oświadczenia, które wzbudziłoby nadzieję i wprawiło słuchaczy w dobry nastrój, ale pokręcił głową. - Operacja „Okrażenie”, naczelny dowódca admirał Matric Klauskin. - Kiwnął głową w kierunku Fenn na - znak, że doradczynie może zakończyć rejestrowanie.

Sullustanka wcisnęła odpowiedni guzik na płycie czołowej komputerowego notesu.

- Czy mam to wyczyścić przed wysłaniem, panie admirale? - Zapytała.

- Nie, proszę wysłać w takim stanie, w jakim to pani zarejestrowała - odparł Klauskin. - Nie możemy pozwolić, żeby admirał Pellaeon czekał dłużej niż to absolutnie konieczne. Wie pani przecież, że posunął się w latach.

- Tak jest, panie admirale.

- Muszę teraz trochę odpocząć. Będę w swojej kabinie. - Klauskin odwrócił się plecami do dziobowego iluminatora, który absorbował jego uwagę przez ostatnich kilka godzin, i ruszył pieszo w długą drogę do kwatery.

Kilkanaście minut później stanął przed drzwiami, które rozsunęły się i pozwoliły mu wejść do kabiny. Dopiero wówczas przestał się poruszać szybko i energicznie. Przygarbił się i zaczął powłóczyć nogami.

Był wyczerpany... I fizycznie i emocjonalnie. Uratowanie wyprawy przed nieuchronną klęską kosztowało go sporo wysiłku, ale ostateczny rezultat mógł nazwać sukcesem.

Kwatera admirała okrętu liniowego była przestronna, ale Klauskin urządził ją bardzo skromnie. Największe pomieszczenie, które mogło wyglądać jak salon pełen wygodnych mebli i urządzeń zapewniających rozrywkę, przypominało raczej salę konferencyjną. Pośrodku stał spory owalny stół otoczony przez wygodne fotele, a iluminatory zapewniały piękny widok sterburtowego wycinka usianych iskierkami gwiazd przestworzy. Admirał minął stół, nie zwracając uwagi ani na niego, ani na oszałamiający widok za iluminatorem, i podążył do sypialni. Usiadł na łóżku, zdjął buty i od razu się położył.

Nad sobą, w rozświetlonym nagle powietrzu, zobaczył Edelę. Jego żona miała lekką nadwagę, ale potrafiła się ubierać w taki sposób, żeby jej tusza nie rzucała się w oczy. Tego dnia miała na sobie zieloną suknię z głębokim dekoltem. Przetykane pasemkami siwizny brązowe włosy upięła wysoko na głowie według coruskańskiej mody. Zdaniem niektórych ten styl był już przestarzały, ale Klauskin zawsze uważał go za klasyczny. Żona nie nosiła żadnej biżuterii. Gardziła ozdobami.

W ciągu wielu lat ich małżeństwa nigdy nie wyglądała bardziej promiennie. Prawdę mówiąc, w obecnej chwili sprawiała wrażenie zdrowszej i szczęśliwszej niż w miesiącach przed śmiercią.

Klauskin dawno przestał się dziwić, jak wielkie miał szczęście, że Edela pojawiła się znów w jego życiu. Spojrzał na nią i uśmiechnął się do niej.

- Cieszę się, że przyszedłaś do mnie - powiedział.

- Ćśś. - Edela przyłożyła wskazujący palec do ust, ale zaraz opuściła rękę i musnęła palcem jego wargi. - Musisz odpocząć. Spisałeś się dzisiaj doskonale.

- Naprawdę tak uważasz? - Zapytał admirał.

- Naturalnie. Nie pozwól, aby ktokolwiek ci wmawiał, że tak nie jest. - Żona mówiła z powagą, niemal uroczystym tonem. - Niedługo sam się o tym przekonasz. Wkrótce wszędzie będą mówić, że podjąłeś się wykonania niewykonalnych rozkazów i odniosłeś zwycięstwo. Staniesz się sławny. Dostaniesz awans do stopnia pełnego admirała.

- Masz rację, kochanie - przyznał Klauskin.

- A ty nie zgodzisz się przyjąć żadnej innej nagrody - ciągnęła Edela. - Każdą propozycję potraktujesz jak zniewagę.

- Masz rację, kochanie - powtórzył admirał.

- A teraz zaśnij, Matricu.

Mąż usłuchał rady żony.

Coruscant

Dwa dni później ubrany w oficjalny płaszcz mistrza Jedi Luke Skywalker udał się pod eskortą do sali konferencyjnej w głębi rządowego kompleksu.

Zastał już tam innych zaproszonych gości. Miejsce u szczytu stołu konferencyjnego zajmował przywódca Cal Omas, szczupły starszawy mężczyzna o rzadziejących jasnych włosach. Najwyraźniej zestresowany pełnieniem tak wysokiej funkcji, wyglądał mizernie, a nawet krucho, ale siedział z godnością, dumnie wyprostowany. Miał na sobie ubranie podobne do wojskowego munduru Galaktycznego Sojuszu, ale nieregulaminowego koloru ciemnej purpury.

Po jego prawej ręce siedział admirał Gilad Pellaeon, który pełnił obowiązki naczelnego

dowódcy sił zbrojnych Sojuszu. W czasach Starej Republiki był zadziornym młodszym oficerem marynarki i miał na koncie wiele sukcesów. Nawet obecnie, ponad sześćdziesiąt lat później, wykazywał się ogromną inteligencją, pomysłowością i bezkompromisowym charakterem. Wymienili z Luke'em spojrzenia i lekko ironiczne uśmiechy, bo ponad trzydzieści lat wcześniej byli zaciętymi wrogami. Luke walczył w siłach zbrojnych Nowej Republiki, a Pellaeon po stronie Ruin Imperium. Obecnie obaj służyli jednak pod tym samym sztandarem. Mimo podeszłego wieku Pellaeon prezentował się wspaniale. Miał nadal szerokie barki, bujne siwe włosy i sumiaste wąsy, a jego mundur admirała Galaktycznego Sojuszu był równie nieskazitelny jak maniery.

Po jego prawej stronie siedziała kalamariańska pani admirał Niathal. W przeciwieństwie do Ackbara, prawdopodobnie najlepszego kalamariańskiego oficera sił zbrojnych w historii Nowej Republiki, słyęła z lodowatego usposobienia i kąśliwych uwag. Kiedy Luke wszedł do sali konferencyjnej, od razu skierowała na niego ogromne wylupiaсте oczy. Mistrz Jedi obrzucił ją spojrzeniem i powitał lekkim kiwnięciem głowy. Nie znał jej dobrze i nie darzył ani sympatią, ani pogardą.

Pozostałe miejsca wokół stołu zajmowali doradcy trojga gości. Ich obecność uświadomiła mistrzowi Jedi, że tematem dyskusji będą sprawy wojskowe i ich wpływ na politykę... Czyli na zamieszanie, do jakiego doszło w przestworzach Korelii.

Omas wskazał Luke'owi wolne miejsce po swojej lewej ręce. Mistrz Jedi zajął fotel obok niego.

- Miło cię znów widzieć, mistrzu Skywalker - powitał go przywódca Galaktycznego Sojuszu. - Dziękuję, że przybyłeś tak szybko.

- Cieszę się, że mogłem spełnić twoje życzenie. - Luke pojawił się rzeczywiście bardzo szybko, bo od lądowania transportowca, na którego pokładzie przyleciał razem z grupami swoich Jedi i pozostałymi uczestnikami operacji „Okrażenie”, nie zdążyła upłynąć godzina.

- A więc zaczynamy. - Omas przeniósł spojrzenie na Pellaeona. - Panie admirale, czy zechciałby pan pierwszy zabrać głos?

- Bardzo chętnie. - Pellaeon spojrzał na ekran komputerowego notesu na stole. - Mistrzu Skywalker, jakim rezultatem zakończyły się twoim zdaniem akcje oddziałów Jedi, które także brały udział w operacji „Okrażenie”?

- Nie całkiem pomyślnym - stwierdził Luke. - Mieliśmy do wykonania pięć zadań, którym nadano kryptonimy: Piaskoszczur, Purella, Tauntaun, Szczur Womp i Mynock.

Pellaeon uśmiechnął się z przymusem.

- Wybraliście zwierzęta złośliwe albo cuchnące - zauważył.

- Racja, panie admirale - przyznał mistrz Jedi. - Grupa Piaskoszczur pod dowództwem mistrza Corrana Horna składała się z dwóch osób, które miały prowadzić obserwacje głównego kosmoportu Koronetu i meldować o starcie silnych formacji gwiazdnych myśliwców. Większość eskadr Koronetu zaokrętowano jednak w hangarach okrętów koreliańskiej armady, więc Piaskoszczury nie miały właściwie nic do roboty.

Purella i Tauntaun, dowodzone odpowiednio przez Jainę Solo i Tahiri Veilę, miały porwać panią premier Aidel Saxan i przywódcę Thrackana Sal-Solo z ich rezydencji.

Jeden z siedzących na końcu stołu bothańskich doradców chrząknął, a jego sierść zafalowała, co Luke zinterpretował jako zakłopotanie.

- Porwanie nie jest chyba właściwym słowem - odezwał się cicho doradca.

Niathal zamrugła i przeniosła spojrzenie na Bothanina.

- Mistrz Skywalker nie wypowiada się publicznie ani nie udziela wywiadu dziennikarzom, więc nie musi się liczyć ze słowami - odezwała się chrapliwym, surowym tonem. - W tym gronie zamierzamy używać precyzyjnych określeń, a nie paplaniny na użytek opinii publicznej. Czy możemy kontynuować?

Sierść Bothanina znów zafalowała, a Luke wyczuł u niego połączenie strachu i urazy z powodu napomnienia.

- Tak jest, pani admirał - odparł doradca.

- W przyszłości proszę się ograniczyć do uwag, które wniosą do naszej dyskusji coś istotnego - dodała Niathal.

- Tak jest, pani admirał - powtórzył skruszony Bothanin.

Luke zmusił się do zachowania powagi i odwrócił znów do Pellaeona.

- Ich wyprawa zakończyła się niemal całkowitym fiaskiem. Wyglądało to, jakby ktoś zdradził Korelianom nasze plany - powiedział. - Saxan i Sal-Solo nadal przebywają na Korelii.

Grupa Szczur Womp pod moim dowództwem miała za zadanie ewakuację Grup Tauntaun i Purella z Korelii. Nasza operacja zakończyła się powodzeniem, chociaż ponieśliśmy pewne ofiary. Straciliśmy wahadłowiec z dwuosobową załogą i X-winga z pilotem Jedi.

Pozostaje jeszcze Grupa Mynock - ciągnął mistrz Jedi. - To była najważniejsza z naszych operacji. Wszystkie pozostałe - chociaż mogły wydawać się ważne - służyły właściwie tylko odwróceniu uwagi naszych przeciwników. Operacja „Mynock” zakończyła się spektakularnym sukcesem zarówno na krótką, jak i na dłuższą metę. Udało się zniszczyć urządzenia kontrolne, zainstalowane przez Korelian w celu przywrócenia sprawności repulsora, dzięki czemu stacja Centerpoint przestała stwarzać zagrożenie. Sama stacja nie została jednak zniszczona, co oznacza, że może być nadal badana. Wprawdzie kilku broniących jej funkcjonariuszy Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa straciło życie, ale żaden z Jedi, którzy brali udział w tej wyprawie, nie odniósł obrażeń... I to pomimo faktu, że broniący stacji Korelianie byli w pełni świadomi, co ich czeka. Wiedzieli nawet, że złożą im wizytę sabotażyści Jedi.

Pellaeon zmierzył Luke'a spojrzeniem, które najbardziej trafnie można by nazwać zaniepokojonym.

- Jesteś tego pewny? - Zapytał. - Wiedzieli o przybyciu Jedi?

Luke pokiwał głową.

- Tak, panie admirał - powiedział. - Z raportu Mynocków wynika, że Korelianie opracowali właściwe taktyki walki i posłużyli się bojowymi androidami zaprogramowanymi specjalnie do akcji przeciwko Jedi. Wykorzystali uniwersalne systemy broni w rodzaju ataku sonicznego i ładunków wybuchowych, przed którymi Jedi nie umieją się bronić. Mieli także w pogotowiu oddziały szybkiego reagowania, zdolne do akcji przeciwko groźnym, ale działającym w pojedynkę sabotażystom. Prawdopodobnie sieć czujników ich holokamer umożliwiała im śledzenie samotnych osób poruszających się po terenie stacji. Jej obrońcy wymyślili nawet pułapkę, która miała uniemożliwić Jedi korzystanie z potęgi Mocy. Poza tym źródło pozostające na Korelii - Luke nie wymienił nazwiska doktora Seyaha, bo wszyscy i tak dobrze wiedzieli, o kogo chodzi - melduje o rozmowach, jakie prowadzili między sobą żołnierze KorSeku, omawiając swoje krótkie szkolenie na wypadek spotkania z Jedi.

- Rozumiem. - Pellaeon nie wyglądał na zaskoczonego podejrzeniem, że Korelianie wiedzieli zawczasu nie tylko o samej operacji, ale także o szczegółach dotyczących jej uczestników. -

Słyszałem, że do sukcesu Grupy Mynock przyczynił się walcie twój syn.

- Zgadza się, panie admirale - przyznał Luke.

- Trzynastoletni syn - uściślił Pellaeon.

Luke się uśmiechnął.

- To także prawda, panie admirale - powiedział.

- Jesteś twardszy, niż przypuszczałem, mistrzu Skywalker.

Luke pokręcił głową.

- Po prostu nie płynę pod prąd Mocy - oznajmił.

Niathal poprosiła o pozwolenie na zabranie głosu.

- Czy źródłem przecieku informacji, jakie otrzymali Korelianie, mógł być generał Wedge Antilles? - Zapytała.

Zaintrygowany Luke zmarszczył brwi i jakiś czas się nad tym zastanawiał.

- Raczej nie - odezwał się w końcu. - Wedge przeszedł w stan spoczynku. Wątpię, aby miał z tym coś wspólnego albo żeby się opowiedział po którejkolwiek stronie.

- Och, miał z tym wiele wspólnego - stwierdziła Niathal.

- W ramach akcji prewencyjnej podobnej do tej, w której wzięły udział Grupy Tauntaun i Purella, krótko przed rozpoczęciem operacji „Okrażenie” został porwany i przetransportowany tu, na Coruscant... Na wszelki wypadek, żeby nie stwarzał zagrożenia.

Luke zasłonił dłonią oczy.

- Wkrótce później uciekł i prawdopodobnie wrócił na Korelię - ciągnęła Kalamarianka. - Właśnie dostałam wiadomość, że przywódca Sal-Solo zdymisjonował poprzedniego ministra wojny i sam przejął jego obowiązki, a Antilles został oficerem łącznikowym między nim a panią premier Aidel Saxan.

- Jestem zaskoczony - przyznał mistrz Jedi, patrząc znów na Niathal. - Nie mogę uwierzyć, że się zgodził służyć w takim charakterze.

- A ja mogę - odezwał się Pellaeon. - Gdyby mnie ktoś potraktował tak jak my jego, mógłbym wypowiedzieć osobistą wojnę rządowi, który usankcjonował takie postępowanie. Nie sądzę, żeby Antilles walczył po stronie Korelii. Raczej wypowiedział wojnę nam... Konkretnym osobom. - Wskazał na siebie i Omasa, a później odwrócił się do Niathal. - Proszę się dowiedzieć, jak brzmią nazwiska funkcjonariuszy, którzy pokpili sprawę podczas działań przeciwko Antillesowi. Może generał zrezygnuje ze swoich zamiarów, jeżeli się dowie, że ukaraliśmy wszystkich, poczynawszy od najważniejszego, a skończywszy na zwykłym woźnym.

- Panie admirale, zrobię to z przyjemnością. - Niathal zwróciła się do Luke'a. - Chciałabym, żeby kierował się pan logiką, a nie sentymentem, odpowiadając na moje następne pytanie. Czy źródłem przecieku mogła być pańska siostra? Czy mogła poinformować Korelian, że w akcji wezmą udział Jedi?

Luke pokręcił głową.

- To niemożliwe - oznajmił stanowczo.

Niathal pociągnęła nosem, co było kalamariańskim odpowiednikiem pogardliwego prychnięcia.

- Nie ma rzeczy niemożliwych, Skywalker - powiedziała.

- Kierując się logiką, postaram się wyjaśnić, dlaczego moim zdaniem to wykluczone - ciągnął mistrz Jedi. - Gdyby Leia wiedziała o udziale rycerzy Jedi w naszej operacji, musiałyby się także orientować, że do ich grona będą się zaliczali jej syn, jej córka i mój syn. Czy możesz sobie

wyobrazić, że zdradziłaby Korelianom informacje, które mogłyby doprowadzić do śmierci jej dzieci i bratanka?

Niathal rozłożyła ręce na boki, dając do zrozumienia, że nie jest pewna.

- To zależy od siły i rodzaju jej przekonań - stwierdziła. - Musiałbyś udowodnić, że ceni wyżej życie członków swojej rodziny niż niepodległość Korelii.

- Dość tego! - Uciał przywódca Omas. - To wykluczone.

- Gdzieś jednak istnieje przeciek - przypomniał Luke. - W zakonie albo tu, wśród członków rządu... Nie jestem pewien, ale tak czy owak musimy go znaleźć i zlikwidować.

- Mam jeszcze jedno pytanie - odezwał się Pellaeon. - Jaką ma pan opinię o admirale Klauskinie?

Luke zastanowił się, zanim odpowiedział.

- Nie miałem mu nic do zarzucenia, przynajmniej we wstępnej fazie operacji - zaczął z namysłem. - Klauskin sprawiał wrażenie rozsądnego i stanowczego. Kiedy jednak sytuacja zaczęła się rozwijać nie po jego myśli... No cóż, chyba wszyscy przyznamy, że dokonał niewłaściwego wyboru. Wygląda na to, że improwizowanie nie jest jego mocną stroną.

- Łagodne określenie - stwierdził Omas. - Ale czy to wszystko, co możesz o nim powiedzieć? A co mówili inni twoi Jedi?

- No cóż... Niewiele mówili. - Luke zmusił się, żeby nie westchnąć. To nie było odpowiednie miejsce na wzdraganie się przed wygłaszaniem niepocholebnych opinii. - Inni Jedi właściwie nie mieli okazji, żeby go lepiej poznać. Tylko ja spotkałem się z nim podczas kilku odpraw. Z wyjątkiem Corrana Horna pozostali dowódcy grup, to znaczy Jaina, Tahiri, Jacen i ja, uczestniczyli w jednej odprawie, a cały zespół Jedi spotkał się z nim raz podczas obiadu. To właśnie po tym obiedzie jedna z moich Jedi, Tiu Zax, która nieco wcześniej uzyskała prawo do tytułu rycerza Jedi, oznajmiła, że admirał Klauskin wywarł na niej bardzo dziwne wrażenie.

- Mianowicie jakie? - Zapytała Niathal.

- W pewnej chwili stał się jakby nieobecny duchem - wyjaśnił Luke. - Kiedy wymieniałem z Jainą uwagi na temat pilotowania gwiazdowego myśliwca, Klauskin po prostu... Odplynął, zupełnie jakby jego fale mózgowe zanikły. Ich zanik trwał tylko kilka sekund, ale był tak niezwykły, że Tiu wyczuła to dzięki Mocy.

Niathal wybałuszyła oczy jeszcze bardziej, co chyba miało onieśmielić jej rozmówcę.

- A ty o tym nie zameldowałeś? - Zapytała.

- Właściwie o czym? - Luke wzruszył ramionami. - Czasami tak się dzieje, kiedy ktoś pogrąża się w medytacji albo oddaje osobistym wspomnieniom. Tiu jest tak młoda i niedoświadczona, że nigdy przedtem się z czymś takim nie spotkała, w przeciwieństwie do mnie... A ja nie uważam tego za coś niezwykłego. Czy przypuszczasz, że to może oznaczać poważniejszy problem?

- O tak. - Niathal pokiwała głową, znacznie większą i dłuższą niż głowa przeciętnego człowieka.

- Wygląda na to, że Klauskin przeżył całkowite załamanie emocjonalne i umysłowe. Dwadzieścia standardowych godzin po zajęciu Tralusa jego doradczyni, pani pułkownik Fenn, stwierdziła, że jej przełożony błąka się w szlafroku po korytarzach „Dodonna” i mówi wszystkim, że szuka swojej żony... Swojej zmarłej żony. Od tamtej pory właściwie nie odpowiada na pytania ani nie reaguje na rozkazy. Oficerów „Dodonna” poinformowano, że ich dowódca załamał się z powodu wyczerpania.

- A to prowadzi nas do ostatniego poważnego problemu, który musimy z tobą omówić, mistrzu Skywalker. - Przywódca Omas potarł podbródek. - Problemu okupacji Tralusa i jej konsekwencji. Operacja „Okrażenie” miała uświadomić Korelianom, że nie mogą dążyć do przywrócenia

sprawności swojego gigantycznego blastera w przestworzach. Mieliśmy zniszczyć ich superbroń i pogrozić im palcem. Z pogrożenia nic nie wyszło, bo pojawiła się ich armada, ale udało się nam unieszkodliwić ich wielki blaster. Gdyby po wykonaniu tego zadania nasza grupa szturmowa wróciła do przestworzy Coruscant, uzyskalibyśmy w tej rozgrywce pewną, chociaż niezbyt dużą, przewagę.

- Okupacja Tralusa jednak rozwścieczyła Korelian - podjęła Niathal. - Doprowadziła ich do furii... To chyba właściwsze określenie.

- Korelia nadal się zbroi - stwierdził Pellaeon. - A przedstawiciele innych planet wyrażają oburzenie z powodu sposobu zakończenia operacji „Okrażenie”. Commenor, Fondor, Bepin... Koalicje w obrębie Sektora Wspólnego. Z każdą godziną jest ich więcej. Naturalnie niektórzy spośród nich chcą tylko zyskać więcej punktów w grach politycznych, ale pozostali mogą połączyć się z Korelią w sojuszu wojskowym.

- Wiem - przyznał ponuro Luke. - Może jednak władcy tych planet byliby skłonni zrezygnować ze swoich zamiarów, gdybyśmy im pokazali dowody zebrane na temat tajnej koreliańskiej floty szturmowej...

- Nie możemy tego zrobić - sprzeciwił się Omas. - Nie dysponujemy niepodważalnymi dowodami, a nawet gdybyśmy je mieli, i tak władcy niektórych planet sprzymierzyliby się z Korelią. My zaś ujawnilibyśmy tylko swoje źródła informacji i nie osiągnęli zamierzonego celu.

- A przy tym nie poznalibyśmy kryjówek tej floty - dodał Pellaeon. - Może jednak coś osiągniemy dzięki dyplomacji? Pani premier Saxan zasugerowała, że chciałaby się z nami spotkać na negocjacje, aby nie dopuścić do wybuchu wojny. Zgodziłaby się nawet w tym celu opuścić Korelię, ale za nic nie przyleci tu, na Coruscant.

- W takim razie gdzie? - Zapytał mistrz Jedi.

- Jeszcze tego nie ustalono - odparł Pellaeon. - A zresztą nie to jest najważniejsze. Trzeba wytypować system, który obie strony uznają za neutralny. Galaktycznego Sojuszu nie może reprezentować przywódca Omas, bo jego stanowisko jest o wiele wyższe niż stanowisko Saxan. Gdyby przywódca setek planet wyprawił się na spotkanie z przedstawicielką pięciu, poczytano by mu to za oznakę słabości.

- To prawda - przyznał Luke. Głęboko oddychał, żeby zwalczyć mdłości. Nigdy nie znosił politycznych rozgrywek... Omawiania głupich szczegółów zależnych od wzajemnego postrzegania znaczenia, zasług czy korzyści.

- A więc negocjatorem będę ja - ciągnął Pellaeon. - Każda strona będzie mogła zabrać ochronę, którą zapewni jej bezpieczeństwo. Pani premier Saxan poszła jednak na pewne ustępstwa. Zgadza się uznać neutralność Jedi w tym sporze i pozwala na udział w negocjacjach tylu przedstawicieli zakonu, ilu zażyczy sobie Luke Skywalker. Ma nadzieję, że Jedi zapewnią większe bezpieczeństwo podczas rozmów dyplomatów.

Luke pokiwał głową.

- Proszę podać mi szczegóły, a ja wyznaczę odpowiednie osoby do udziału w tej wyprawie - powiedział. - Nie rozumiem jednak, dlaczego Saxan się na to zgadza. Zakon Jedi to organizacja, która broni Galaktycznego Sojuszu. Nie jesteśmy całkiem bezstronni w tym sporze.

- Mam pewną sugestię, opartą na doświadczeniu zdobytym podczas kilkudziesięciu lat politycznych negocjacji - odezwał się Omas. - Moim zdaniem Saxan zależy na pokoju. Wybuch wojny pozwoliłby przywódcy Sal-Solo ogłosić stan wyjątkowy i przejąć kontrolę nad bogactwami planety, a wówczas pani premier już nie będzie w stanie ograniczyć jego władzy. Saxan musi znaleźć taki

sposób zachowania pokoju, który pomoże Korelianom zachować twarz. My także powinniśmy znaleźć taki sposób.

- Moglibyśmy wycofać jednostki okupujące Tralusa - zaproponował Luke.

Przywódca Omas pokiwał głową.

- To prawda, ale niech to będzie jeden z punktów przetargowych negocjacji z panią premier Saxan - powiedział. - Na pewno będzie na to nalegała, a my w końcu się na to zgodzimy.

- Nie powinniśmy tego robić - odezwała się nagle Niathal tonem jeszcze bardziej nieprzyjemnym niż poprzednio. - Lepiej byłoby wysłać tam posiłki i rozpocząć przymusowe przesiedlanie cywilnej ludności. Potrzebujemy Tralusa w charakterze bazy wypadowej, w razie gdyby Korelianie nie zgodzili się na nasze żądania, a my musielibyśmy opanować ich system siłą. Jeżeli oddamy im Tralusa, możemy za to zapłacić wysoką cenę.

Przywódca Omas obrzucił ją karcącym spojrzeniem.

- Jeszcze o tym porozmawiamy - zapowiedział i zwrócił się znów do Luke'a. - Przyznaję, że nasza taktyka ma charakter bardziej polityczny niż wojskowy - podjął po chwili. - Jeżeli wycofamy się od razu z Tralusa, Korelianie uznają nasze posunięcie za oznakę słabości. Jeżeli jednak zgodzimy się ustąpić dopiero w wyniku negocjacji z panią premier Saxan, nie wyjdziemy na mięczaków, a przy okazji wzmocnimy jej polityczną pozycję.

- Rozumiem - odparł mistrz Jedi.

- W takim razie proszę o ułożenie listy kandydatów Jedi, którzy zapewnią nam bezpieczeństwo - odezwał się Pellaeon. - Poinformujemy was o rozwoju sytuacji.

Luke wstał.

- Niech Moc będzie z panem, admirale - powiedział.

Pellaeon uśmiechnął się szeroko.

- Kiedyś, dawno temu, byłem pewny, że nigdy nie usłyszę tych słów skierowanych pod moim adresem - zauważył.

Luke odwzajemnił jego uśmiech.

- Czasy się zmieniają - stwierdził pogodnie. Kiwnął głową na pożegnanie pozostałym osobom i opuścił salę obrad.

ROZDZIAŁ 17

Coruscant

Powietrzny śmigacz był wielki, a jego przestronna kabina sprawiała dość archaiczne wrażenie. Błękitny kadłub był powgniatany, poobijany i porysowany w wyniku całych lat kolizji. Krótko mówiąc, wyglądał równie nieszkodliwie jak drzemiący banth.

Na kanapie z tyłu kabiny rozpiętał się mężczyzna. Oparł stopy o krawężnik biegnącego wyżej chodnika, obok którego śmigacz parkował. Mężczyzna miał na sobie ciemne spodnie z wąskimi czerwonymi pasami po zewnętrznej stronie nogawek, jasnobrązową koszulę z długimi rękawami, ciemną kamizelkę i znoszone buty. Zakrył twarz żółtą szmatą i na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby spał, osłaniając twarz przed promieniami słońca. Potencjalni porywacze śmigacza zwróciliby jednak uwagę na sposób, w jaki mężczyzna opiera głowę o burtę, kieruje niewidoczne spod szmaty oczy na chodnik i trzyma prawą dłoń blisko zgiętej nogi, gdzie prawdopodobnie ma ukryty blasterowy pistolet - nielegalny, ale często zabierany dla obrony.

Od strumienia przechodniów odłączyła się niewysoka kobieta w brązowym stroju podróżnym z zasłaniającym twarz kapturem. Podeszła szybko do śmigacza i zeskoczyła na fotel pasażera.

Mężczyzna na tylnej kanapie ściągnął łachman z twarzy i przetoczył się zgrabnie na fotel pilota. W mgnieniu oka cofnął maszynę o trzydzieści metrów, śmignął naprzód i włączył się do strumienia pojazdów z prędkością, która budziłaby zdumienie przy tak niezgrabnej maszynie, gdyby nie kierował nią Han Solo.

- Czego się dowiedziałaś? - Zapytał.

Wpadający do kabiny wiatr ściągnął z głowy Leii kaptur, który zsunął się jej na plecy. Księżniczka nie zadała sobie trudu, żeby go znów nasunąć na głowę, nie kryła także niepokoju.

- Może powinniśmy wrócić do domu, zanim zaczniemy o tym rozmawiać - powiedziała.

- Już i tak czekałem kilka godzin - przypomniał Han.

- W takim razie może powinieneś znów gdzieś zaparkować. W końcu mąż spojrzał na nią.

- Aż tak źle? - Zapytał.

- Jeszcze gorzej.

- Wyrzucić to z siebie.

Zapadła krótka cisza. Han wiedział, że żona układa w myślach fakty i decyduje o kolejności ich przedstawiania.

- Niektóre informacje to tylko domysły, wysnute na podstawie tego, co powiedziano i czego nie powiedziano - zaczęła. - Inne sama podsłuchałam. Zacznę chyba od najważniejszej wiadomości i przejdę do mniej istotnych. Twierdzenia Korelian, jakoby sabotażu na stacji Centerpoint dokonali Jedi, okazały się prawdziwe. Stacja została poważnie uszkodzona, przez co koreliańscy naukowcy stracili wiele lat, które poświęcili na badania. A Jedi, którzy dopuścili się tego sabotażu... To Jacen i

Ben.

Oślupiały Han znów zerknął na żonę, napotkał jej karcące spojrzenie i szybko wlepił wzrok w pas ruchu. I całe szczęście, bo patrząc ułamek sekundy na Leię, bezwiednie zacisnął dłonie na rękojeściach dźwigni urządzeń sterowniczych. Jego śmigacz zaczął zbaczać z pasa ruchu w kierunku małego, ale bardzo szybkiego i nowoczesnego pojazdu, w którym siedziała para śniadoskórych osób. Han obdarzył ich przepraszającym uśmiechem i spojrzał znów na żonę, ale tym razem poświęcał więcej uwagi pilotowaniu maszyny.

- Jacen - powtórzył.

- Tak.

- I Ben.

- Tak.

- Czy Luke oszalał?

Tym razem księżniczka nie odpowiedziała. Postanowiła przekazać mężowi następne fakty.

- Grupy Jedi próbowały także porwać z Koronetu kilkoro najważniejszych koreliańskich polityków - ciągnęła. - Jedną z tych grup dowodziła Jaina.

Han zacisnął zęby i zrobił taką minę, że żona mimowolnie odsunęła się od niego. Nie obawiała się męża, bo nigdy nie dał jej po temu powodu, ale przypomniawszy sobie, co kiedyś powiedział o nim jeden z jego znajomych: „Kiedy Han Solo wpada w gniew, wygląda groźniej niż jakakolwiek istota ludzka w znanej części galaktyki”.

- Znów to robi - odezwał się w końcu Han. - Pakuje moje dzieci... Nasze dzieci... W niebezpieczne sytuacje, w których w ogóle nie powinny się znaleźć. Co mam zrobić, żeby go powstrzymać?

- To nie wszystko - stwierdziła żona. - Na pewno nie dasz się namówić do zaparkowania śmigacza?

- Czy możesz mi powiedzieć coś, po czym stracę swoje umiejętności pilota? - Zapytał Han. Uświadomił sobie, że jest rozdrażniony. Nie chciał wyładowywać gniewu na Leii, więc postarał się nadać głosowi spokojne brzmienie. - Po prostu mi to powiedz.

- Korelianie zorganizowali obronę i zastawili na nich pułapki - powiedziała księżniczka. - Pułapki i zasadzki przygotowane specjalnie na Jedi.

Kilka następnych minut lecieli w milczeniu. Han obracał usłyszane informacje w głowie jak coś bardzo delikatnego, co może zaraz wybuchnąć.

Zauważył jednak machinalnie, że śmigacz drży. Kilka razy ostrożnie przyspieszył i zwolnił, a nawet zmienił biegi.

Nie, śmigacz funkcjonował prawidłowo. To tylko jego ręce i dłonie trzęsły się tak bardzo, że wywierały wpływ na lot maszyny.

Raptownie opuścił pas ruchu i z absurdalnie niebezpieczną szybkością podleciał do niezajętego miejsca parkingowego na wysokości pięciuset metrów, tuż obok chodnika wiodącego do bocznego wejścia restauracji. Widząc rozpędzony pojazd, przechodnie na chodniku wrzasnęli z przerażenia i rozbiegli się na boki, jakby obawiali się staranowania. Han jednak zastopował maszynę kilka centymetrów od chodnika i pozwolił, żeby chwytak przeciągnął ją ostatnie kilka centymetrów na miejsce parkowania. Machinalnie wsunął kartę kredytową do szczeliny czytnika parkometru.

Kilkanaście długich sekund nie potrafił się zmusić, żeby spojrzeć na żonę.

- A więc to moja sprawka - odezwał się w końcu niskim, drżącym tonem. - O mało się nie

przyczyniłem do śmierci naszych dzieci.

- To nieprawda.

- Prawda. Powinienem się być domyślić, że nasze dzieci zostaną wysłane na Korelię - powiedział. - A mimo to polecałem tam i powiedziałem Korelianom, żeby wymierzili swoją broń w naszego chłopca i w naszą dziewczynkę.

- Hanie, przecież uprzedzałeś ich, że to tylko domysły - przypomniła żona. - Nie słuchasz tego, co mówię. Powiedziałam, że byli przygotowani na wizytę Jedi. Czy wyjawiałeś Korelianom cokolwiek, co by im pozwoliło spodziewać się wizyty Jedi dokładnie w tym miejscu i w tym czasie, w którym Jedi się tam pojawili?

Han zastanowił się nad jej pytaniem.

- Niczego takiego im nie zdradziłem - stwierdził w końcu.

- No właśnie - powiedziała Leia. - A więc?

- A więc... Ktoś inny musiał im donieść, gdzie i kiedy mają się spodziewać wizyty Jedi - doszedł do wniosku Solo.

- Zgadza się - odparła księżniczka. - A teraz zastanówmy się nad problemem stacji Centerpoint. Korelianie nie grzeszą szczerością, kiedy mówią, że Jedi pojawili się tam, aby dokonać sabotażu. Nie wspominają, że wcześniej doprowadzili stację do stanu pełnej sprawności albo byli bardzo bliscy osiągnięcia tego celu.

Han spojrział na żonę, starając się wyciągnąć wnioski z jej informacji. Nie miał wprawdzie politycznego doświadczenia, ale zawsze był zręcznym taktykiem i domyślał się, jak duże znaczenie pod względem wojskowym odgrywałaby Korelia, gdyby mogła liczyć na potęgę repulsora stacji Centerpoint. Poczul się nieswojo. Mając do dyspozycji sprawną stację, Korelianie prawdopodobnie zdołaliby uzyskać niepodległość szybko i bez przelewu krwi. Ich system mógłby jednak to osiągnąć, uciekając się do pogroźek - terrorystycznych pogroźek - pod adresem Galaktycznego Sojuszu. Niespodziewanie Han przestał być pewny, czy na tych warunkach może nadal popierać dążenia ziomków do niepodległości, i kiedy sobie to uświadomił, poczul się jeszcze bardziej nieswojo.

- Widać stąd, że masz dla mnie mnóstwo dobrych informacji - zażartował, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

- Mam ich jeszcze więcej - oznajmiła Leia. - Ale tym razem nie wiem, co mogą oznaczać.

- Zamieniam się w słuch.

- Otóż najbardziej przyczynił się do zniszczenia urzędów kontrolnych stacji Ben - zaczęła księżniczka. - Przeżył tam coś niewiarygodnego, lecz nie chce o tym mówić. Wyznał prawdę tylko ojcu, ale Luke nie przekazał nikomu ani słowa z tego, co usłyszał. A sam Ben dziwnie reaguje, kiedy ktoś mu składa gratulacje. Gdy sama chciałam to zrobić, w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać. Stał, gapił się na mnie i tylko kiwał głową, a później wycofał się tak szybko, jak umiał. Wyglądał, jakby... Jakby dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Prawdopodobnie się domyślił, jak ja bym zareagował na tę informację.

- To możliwe - stwierdziła żona. Han westchnął głęboko.

- Jest coś jeszcze? - Zapytał.

Leia kiwnęła głową.

- Nadal starają się rozwiązać problem metodami dyplomatycznymi. Saxan i Pellaeon zgodzili się spotkać i omówić całą sprawę. Bezpieczeństwo mają im zapewnić obie strony i rycerze Jedi. Luke poprosił mnie, żebym wzięła udział w tym spotkaniu. Ma nadzieję, że ty także zechcesz w nim

uczestniczyć.

- I zgodziłaś się? - Zapytał Han.

- Tylko we własnym imieniu - zastrzegła księżniczka.

Jej mąż pokiwał głową.

- To znaczy, że również w moim - powiedział.

W końcu Leia się uśmiechnęła.

- Miałam nadzieję, że to powiesz - przyznała. - W takim razie mamy do załatwienia jeszcze tylko jeden problem...

- Nie przerywaj, mój mózg i tak zaraz się przegrzeje - odparł Han. - Jaki problem?

- Wielbicieli.

Han uniósł głowę i spojrzał w bok. W odległości kilku metrów od nich zebrało się przynajmniej dwadzieścia istot różnych ras. Wszystkie patrzyły na niego i żonę. Stały na chodniku, utrudniając drogę innym przechodniom. Kiedy Han spojrzał w ich stronę, niektóre istoty mu pomachały, inne odwróciły głowy, a jeszcze inne stały nadal jak sparaliżowane, jakby trafiła je ogłuszająca błyskawica blasterowego strzału.

- Han Solo! Księżniczka Leia! - Krzyknął jakiś Devaronianin. Jego czerwona karnacja i białe rogi wyglądały dziwnie niestosownie, oświetlone przez jaskrawe promienie słońca. - Czy możemy zarejestrować sobie hologram z wami?

- Nasza publika - mruknął Han.

- Uwielbiasz ją, i dobrze o tym wiesz - szepnęła żona.

Han obdarzył ją uśmiechem, wstał i wyciągnął rękę szarmanckim gestem, żeby pomóc jej wysiąść z kabiny. Spojrzał na Devaronianina.

- Proszę bardzo - powiedział i odwrócił się do żony. - Mam nadzieję, że w tym tłumie nie ma nikogo, kto umiałby czytać z ruchu warg.

System Kuata, stacja Toryaz

Pięć dni później do gwiazdnej stacji w systemie Kuata zleciała się dziwaczna zbieranina statków.

Zresztą sama stacja też wyglądała dziwnie. Umieszczony pośrodku rdzeń był dyskiem o średnicy dwóch kilometrów i grubości trzystu metrów. Dysk miał krawędzie ukośnie ścięte i wygładzone, jak w prastarej, wypolerowanej monecie kredytowej, a na obwodzie roiło się od rozjarzonych iluminatorów, we wszystkich możliwych kolorach, z wyraźną przewagą niebieskiego. Od dysku odchodziło w równych odstępach dwanaście cienkich szprych długości kilometra. Każda kończyła się kapsułą o średnicy dwustu pięćdziesięciu metrów i wysokości - w najgrubszym miejscu - czterdziestu metrów. Sześć kapsuł miało kształt dysków podobnych do centralnego rdzenia, a sześć pozostałych wyglądało jak przytwierdzone do szprych jednym wierzchołkiem trójkąty. Kapsuły rozmieszczono na przemian, co nadawało konstrukcji symetryczny wygląd.

Stacja Toryaz była miejscem rywalizacji i wypoczynku, negocjacji i romansów, układanych na zimno planów i wybuchów wściekłości. W centralnym dysku mieściły się sklepy, hotele, ogrody i wodospady. Z polecenia zarządzających stacją rodzin handlowych hotele nie miały pokoi jednoosobowych. Najskromniejszymi możliwymi do zarezerwowania kwaterami były luksusowe apartamenty, których wynajęcie na jeden dzień kosztowało tyle, ile zarabiała w ciągu roku średnio zamożna rodzina. To właśnie tu korporacje i klany handlowe wynajmowały albo utrzymywały

apartamenty, w których gościły gwiazdy holodramatów albo ubijały interesy decydujące o losach tysięcy pracowników i kooperantów.

Dwanaście kapsuł wyglądało mniej luksusowo, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Każda mogłaby funkcjonować jako samodzielna gwiazdna stacja, gdyby nie łącząca ją z rdzeniem wytrzymała szprycha, w której mieściły się szerokie pasma ruchu. W sytuacjach kryzysowych każda kapsuła mogła się jednak odłączać od szprychy i samodzielnie latać w przestworzach dzięki niewielkiej i mało wydajnej, ale praktycznej jednostce napędowej. Mogła także pozostawać w próżni wiele dni, a nawet tygodni, czekając na przybycie ekipy ratunkowej.

Każda kapsuła, która zawierała setki apartamentów, sal konferencyjnych, siłowni, pomieszczeń rekreacyjnych, teatrów, kuchni, hangarów dla pojazdów, wartowni funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, a nawet cel dla niesfornych gości, nie wspominając o przestronnych atriach, mogła zostać wynajęta w całości na miejsce towarzyskiego czy oficjalnego spotkania. Głowy rodów handlowych zapraszały do kapsuł setki najbliższych przyjaciół, żeby świętować setne urodziny. To właśnie w tych kapsułach dyrektorzy Kuat Drive Yards, największego producenta w całym systemie, organizowali wystawy, podczas których demonstrowali swoje osiągnięcia.

W ostatniej chwili władze Galaktycznego Sojuszu wynajęły jedną z trójkątnych kapsuł, zwaną habitatem Narsacc, na czas bliżej nieokreślony, co wiązało się z koniecznością nagłego przeniesienia w inne miejsce spotkania bardzo niezadowolonych producentów powietrznych śmigaczy i grawicykli z różnych miejsc galaktyki. Zatrudnionych w habitacie Narsacc stewardów, kucharzy, kelnerów, lokajów i krawców wysłano na czas pobytu przedstawicieli Galaktycznego Sojuszu na płatne urlopy; odprawiono także androidy sprzątające i remontowe. Żywy personel został zastąpiony przez starannie wybranych pracowników rządowych. Na terenie habitatu pozwolono zostać tylko wybranym funkcjonariuszom miejscowej służby bezpieczeństwa, ale przydzielono im do pomocy specjalistów Galaktycznego Sojuszu, którzy mieli nadzorować ich pracę.

Pierwsze przycumowały do doku habitatu Narsacc dwa ogromne transportowce, po jednym z Coruscant i z Korelii. Z każdego wysypał się tłum żołnierzy i pracowników służby bezpieczeństwa, którzy przystąpili do badania pomieszczeń trójkątnej kapsuły. Poszukiwali urządzeń podsłuchowych, ładunków wybuchowych i ukrytych blasterów. Jak można się było spodziewać, znaleźli całe mnóstwo, niektóre sprzed wielu lat, a nawet dekad. Wszystkie zostawili prawdopodobnie uczestnicy wcześniejszych imprez jako zapomniane dowody dawnych aktów szpiegostwa albo zdrady. Po dwóch dniach przeszukiwania pomieszczeń każda ze stron zameldowała swoim przywódcom, że druga nie zdradza wobec niej złych zamiarów.

Kiedy przywódcy obu stron doszli do wniosku, że wszystko już jest w porządku, wysłali do habitatu protokolarne androidy i ekipy inżynierów, którzy zaczęli sprawdzać wyposażenie i rozmieszczenie kwater. Przewidując przebieg konferencji, specjaliści rozpoczęli negocjacje z inżynierami drugiej strony, aby ich strona dysponowała warunkami zakwaterowania odrobinę lepszymi niż przeciwnicy. Apartamenty usytuowane najbliżej zewnętrznego boku trójkąta zapewniały najlepszy widok przestworzy, a więc właśnie tam musiały się mieścić kwatery delegatów, chociaż sprawiało to dodatkowe kłopoty personelowi służby bezpieczeństwa. Dzięki wirowaniu stacji z niektórych pomieszczeń można było oglądać nowe widoki wcześniej niż z pozostałych, a więc każda ze stron upierała się, żeby właśnie tam zakwaterować przedstawicieli jej delegacji. Śniadania miały być podawane równocześnie do apartamentów Saxan i Pellaeona, i to bez względu na to, o jakiej porze lubili jadać delegaci. Podobne negocjacje zajęły cały następny dzień.

Wedge Antilles nie brał w nich udziału. Zszedł na pokład kapsuły z pierwszą grupą ekspertów służby bezpieczeństwa, ale właściwie nie należał do ekipy, która miała zapewnić ochronę delegacji Korelii. Znalazł w kapsule najlepsze jego zdaniem miejsce - umieszczony pod górnym iluminatorem kapsuły stumetrowej średnicy ogród wodny z bujną roślinnością, skąd mógł obserwować panoramę gwiazd w okresie, kiedy wyłączano sprzyjające wzrostowi roślin oświetlenie - i właśnie tam spędzał większość czasu. Nie przeszkadzali mu inni pracownicy służby bezpieczeństwa, chyba że obserwowali okoliczne przestworza albo szukali ukrytej broni.

Rankiem czwartego dnia, kiedy siedział w ciemności na fotelu, który przy każdym ruchu dostosowywał się do kształtów ciała, usłyszał szmer po przeciwnej stronie biegnącego środkiem ogrodu korytarza. Po chwili w wylocie korytarza, w odległości zaledwie kilkunastu metrów od niego pojawił się jakiś mężczyzna. Miał na sobie mundur generała Galaktycznego Sojuszu. Szedł prosto i sztywno, nie zwracając uwagi na otaczające go paprocie i sztuczne wodospady. Przyciskał ręką do boku wojskową czapkę i kierował spojrzenie na gwiazdy za iluminatorem nad głową. Był mniej więcej w wieku Antillesa. Miał jasne włosy, a jego twarz znaczyły zmarszczki będące wynikiem długich lat odpowiedzialności i smutku, bo na pewno nie podeszłego wieku. Nieznajomy miał arystokratyczny wygląd, choć nie zachowywał się jak arystokrata.

Wedge pokazał zęby w bezgłośnym uśmiechu i zaczerpnął powietrza.

- „Łotr Dwa”! - Wykrzyknął. - Skręć na bakburtę!

Zanim skończył wypowiadać drugie słowo, przybysz runął na posadzkę, przetoczył się i ukrył za długą skrzynią z rozjarzonymi roślinami woosha z Naboo. Chwilę później zerwał się na nogi i podniósł czapkę. Usiłował przybrać zadziorną minę, ale nie umiał powstrzymać się od śmiechu.

- Wedge! Nieładnie! - Powiedział. Otrzepał mundur z kurzu i wyszedł z prowizorycznej kryjówki.

Antilles wstał z fotela, podszedł do mężczyzny, uściśnął jego rękę i porwał go w objęcia.

- Tycho! - Wykrzyknął. - Nie wiedziałem, że i ty bierzesz udział w tej zabawie.

Generał Tycho Celchu poklepał go po plecach i wypuścił z objęć.

- A ja wiedziałem, że ty bierzesz - oznajmił. - Ostatnio były jednak problemy z przesyłaniem ci wiadomości.

- Wiem. - Wedge wskazał stojący obok fotel i usiadł na swoim.

Tycho zajął miejsce, ale siedział sztywno wyprostowany. Po chwili przestał się uśmiechać. Na jego twarzy pozostała mieszanina ubolewania i zaciekawienia.

- Nie mogę uwierzyć, że siedzimy obok siebie w różnych mundurach - powiedział.

Wedge odczuwał dokładnie to samo. Kiwnął głową.

- Ja też nie - przyznał ponuro.

- O co w tym wszystkim chodzi? - W głosie Tycha słychać było niemal gniew... Na pewno mężczyzna był zirytowany. - Słyszałem o twoim porwaniu i ucieczce. Jedno i drugie wywołało poważny wstrząs w szeregach funkcjonariuszy Wywiadu, a po twojej ucieczce mnóstwo idiotów zostało zdegradowanych. Jeżeli chodzi o mnie, nie mam nic przeciwko temu, ale co właściwie robisz w tym mundurze? - Zmrużył oczy i podejrzliwie rozejrzał się po ogrodzie. - Na pewno możemy tu rozmawiać o takich sprawach?

Wedge pokiwał głową od niechcenia.

- Możemy, możemy - powiedział. - Funkcjonariusze twojej i mojej strony badali to miejsce tyle razy i tak dokładnie, że bardziej zdziwiłby mnie widok urządzenia podsłuchowego niż rankora w służbowym garniturze. Ale pamiętaj, Tycho... Rozmawiamy absolutnie nieoficjalnie, jasne?

General Celchu kiwnął głową.

- Korelia ma rząd koalicyjny - ciągnął Wedge. - A Saxan kieruje pracami całego tłumu ministrów i zastępców ministrów, z których większość pożąda jej stanowiska albo pragnie decydować, kto następny je zajmie.

- Wiem o tym - przyznał Tycho.

- Właśnie z powodu różnych nacisków musiała mianować Sal-Solo swoim ministrem wojny.

- O tym także słyszałem. - Na wzmiankę o osławionym polityku na twarzy Tycha odmalował się niesmak. - Zupełnie jakby mianowała piraniożuka swoim ministrem dostaw mięsa. Jakim cudem Korelianie mogli aż tak stracić rozum, żeby pozwolić mu się zajmować czymś bardziej odpowiedzialnym niż zamiatanie chodników?

- Ludzie sami kreują swoich bohaterów - stwierdził Wedge. Ton jego głosu zdradzał przygnębienie. - Sal-Solo to skazany konspirator. Han Solo był kiedyś przemytnikiem przyprawy. Luke i Leia to dzieci najbardziej nikczemnego masowego mordercy w historii galaktyki. - Urwał, bo uświadomił sobie, że może w swoich porównaniach posunął się za daleko - mimo wszystko współdziałał Vadera w zniszczeniu ojczyzny Tycha, Alderaana, był wszystkim dobrze znany, ale Tycho nawet nie mrugnął. - Tak czy owak, Saxan chce mieć pod ręką kogoś, kto będzie nadzorował poczynania Sal-Solo i udzielał mu strategicznych rad, jeżeli podczas kierowania ruchami pionków na wojennej szachownicy Sal-Solo zechce się kierować gruczołami zamiast mózgu i tak dalej. Chce też mieć kogoś do towarzystwa, a może także się przekonać, co potrafię zrobić, żeby doprowadzić do załagodzenia tego sporu.

Tycho pokiwał głową.

- Wiesz chyba, że jeżeli sprawy przybiorą niepomyślny obrót, możesz skończyć jako ścigany przestępca wojenny? - Zapytał.

- Zastanawiałem się nad tym. - Antilles przeciągnął się i zaplótł dłonie za głowę. - Uplętnęło trochę ponad czterdzieści lat, odkąd przestałem być przemytnikiem.

- Och, nawet o tym nie myśl - zachnął się Celchu.

- Idę o zakład, że mógłbym zdobyć dobry, szybki transportowiec - ciągnął Wedge. - Odszukać kilku dawnych kompanów...

- Jeden czy dwaj może nadal żyją - przyznał Tycho.

Wedge wzruszył ramionami.

- Syal jest na najlepszej drodze do kariery, a Myri wkrótce skończy edukację. Iella i ja możemy wrócić na gwiazdne szlaki... Kupować coś w jednym miejscu i sprzedawać w innym. Przydałby mi się dobry drugi pilot...

Tycho umilkł, jakby się zastanawiał nad jego propozycją.

- Robisz to, o co cię prosiłem? - Zagadnął Wedge. - Masz cały czas oko na Syal?

- Oczywiście - odparł przyjaciel. - Niedługo zostanie przeniesiona do eskadry oblatywaczy, jeżeli naturalnie będzie chciała. Na razie jeszcze o niczym nie wie.

- Strzelała do mnie w przestworzach nad Korelią.

- Niemożliwe.

- O tak. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, żeby mnie dopadła. A przecież wciąż jeszcze jest bardzo niedoświadczona. - Wedge uśmiechnął się z dumą, ale zaraz spoważniał. - Tycho, musimy doprowadzić do załagodzenia tego sporu. Jeżeli dojdzie do wojny, a ty i Syal pozostaniecie po tej stronie co teraz, będę miał członków rodziny po obu stronach.

- Przestań, bo się rozplaczę - powiedział Celchu.

Uśmiechnęli się do siebie, popatrzyli na gwiazdy nad głowami i pozwolili, żeby zapadła cisza.

ROZDZIAŁ 18

Później tego samego dnia w hangarach habitatu Narsacc wylądowały statki z resztą członków obu delegacji. Jeden hangar był wyraźnie większy niż pozostałe, ale inżynierowie obu stron nie mogli dojść do porozumienia, której strony przedstawiciel w nim wyląduje, żeby nie stanowiło to ujmy dla delegata drugiej strony, więc zdecydowano, że to lądowisko pozostanie niezajęte. Emisariusze Galaktycznego Sojuszu i Korelii wylądowali więc w hangarach identycznych rozmiarów, a Jedi zadowolili się dokiem mniejszym niż pozostałe.

Potem obie grupy spotkały się w największej sali konferencyjnej habitatu... Tak przestronnej, że można by w niej równocześnie rozgrywać dwa mecze strefopiłki. Część stołów złączono w jedną całość, na kształt stołu konferencyjnego, a fotele wokół niego rozmieszczono zgodnie z hierarchią delegatów. Reszta stołów była zastawiona daniami i przekąskami z kilku planet, głównie z Coruscant i Korelii. Trzecią część pomieszczenia pozostawiono wolną, ale pod ścianą przewidziano miejsce dla androidów-muzyków, środek zaś miał pełnić funkcję tanecznego parkietu.

Han Solo, pod względem technicznym konsultant grupy Jedi, wszedł u boku żony do sali i rozejrzał się po ogromnym pomieszczeniu.

- Nie wygląda mi to na spotkanie negocjacyjne - zauważył.

Leia uśmiechnęła się do niego.

- Nie wygląda - przyznała.

- To przyjęcie!

Księżniczka kiwnęła głową.

- Dlaczego mamy tracić czas na przyjęcia, kiedy obie strony szykują się do wojny?

Luke Skywalker, idący dwa kroki przed nimi obok żony, uśmiechnął się i obejrzał na szwagra.

- Dopóki przebywają tu delegaci obu stron, nikt nie ośmielił się rozpocząć wojny - powiedział. -

Dąży do niej chyba tylko Thrackan Sal-Solo, bo wojna dałaby mu szansę przejęcia kontroli nad całym systemem... Współpracownicy naszego wywiadu twierdzą jednak, że nie ma jeszcze wystarczających wpływów wśród czterech pozostałych przywódców planet Systemu Koreliańskiego, żeby się o to pokusić.

- A to zebranie ma uświadomić wszystkim, że panuje spokój - dodała Leia. - Przylecą na pewno holodziennikarze i historycy, obejrzą sobie nasze bez troskie zachowanie i jeszcze dzisiaj przekażą wiadomość o tym w HoloNecie.

Han się skrzywił.

- Chcę dostać z powrotem mój blaster - zażądał.

Jacen, który szedł tuż za nim, ale przed Benem, zapytał:

- Czujesz się bez niego bezbronny, tato?

- Nic podobnego - odparł Han. - Chcę tylko zastrzelić wszystkich, którzy ustalali te reguły.

Jacen pokiwał współczująco głową.

- Gdybym rządził wszechświatem, pozwoliłbym ci wyświadczyć tę przysługę galaktycznej cywilizacji - zauważył.

Luke uśmiechał się jeszcze chwilę, ale zaraz wyprostował się i spoważniał. Usunął się na bok, żeby przepuścić innych Jedi, po czym szybko spojrział w prawo i w lewo.

Mara, Han i Leia dołączyli do niego i zostali trochę z tyłu. Kiedy Jacen, Ben, Jaina i Zekk kierowali się na środek sali, Ben posłał ojcu pytające spojrzenie.

- O co chodzi? - Zapytała Mara.

- Był tutaj - oznajmił Luke. - Mężczyzna, który nie istnieje.

Mistrzynie Jedi zaczęła dyskretnie omiatać spojrzeniem wielką salę.

- Dawno go widziałeś? - Zagadnęła.

- Nie jestem pewny - przyznał Luke. - Zauważyłem tylko błysk jego postaci w Mocy, ale bardzo wyraźnie... Tym razem to także nie był sen.

- A więc ten mężczyzna istnieje - zdecydowała Mara.

Han chrząknął.

- Czy ktoś mógłby udzielić wyjaśnień osobie, która nie jest Jedi? - Zapytał.

- Ja także nie mam pojęcia, o co chodzi, Hanie - wtrąciła Leia.

- Spotkałem wroga - odparł Luke. - Zacząłem to sobie uświadamiać, kiedy jeszcze nie był realny.

Nawet teraz wydaje mi się, że czasami istnieje, a czasami nie.

- W takim razie trudno go będzie wytropić - stwierdził Solo. - No i zmusić, żeby pokrył koszty swojego pobytu na terenie tej stacji.

Luke posłał szwagrowi strofujące spojrzenie, po czym odwrócił się i podążył za pozostałymi Jedi.

- On naprawdę się martwi - zauważył Han.

Mara kiwnęła głową.

- Z każdą chwilą bardziej - przyznała.

Leia wzięła szwagierkę pod rękę.

- A więc opowiedz nam o tym gościu, który nie istnieje - powiedziała.

Luke musiał przyznać, że przyjęcie spełniło główny cel: dało środkom masowego przekazu informację, która prawdopodobnie uspokoi nastroje obywateli. Osiągnęło także drugi cel: przełamanie lodów.

Z początku przedstawiciele obu stron trzymali się w zwartych grupkach, o których składzie decydowały funkcja i miejsce pochodzenia. Koreliańscy politycy stali odwrócenymi plecami do podobnej pod względem składu, a oddalonej o metr od nich grupy polityków z Coruscant. W jeszcze innym miejscu zgromadzili się Jedi. Tu i ówdzie pod ścianą czuwali funkcjonariusze służby bezpieczeństwa... W jednym miejscu Galaktycznego Sojuszu, w innym KorSeku, a jeszcze w innym agentów stacji Toryaz.

Może to dziwne, ale pierwsi zaczęli przełamywać lody dwaj piloci w podeszłym wieku. Wedge Antilles i Tycho Celchu podchodzili do znajomych z różnych grup, potrząsali ich dłońmi, klepali po plecach i opowiadali różne historie. Okazywali każdemu autentyczną sympatię i nie zwracali najmniejszej uwagi na to, kto należy do której strony.

Tycho zdecydował się pierwszy zatańczyć z panią premier Saxan. Następny był Wedge, który zaprosił do tańca Leię. Wkrótce w wielkiej sali zapanował gwar, a granice grup zaczęły się zacierać.

Jaina postanowiła zatańczyć z ojcem.

- Ty też możesz to robić - powiedziała.

Han posłał jej zdeorientowane spojrzenie.

- Tańczyć? - Zapytał. - Przecież tańczę... To znaczy, jeżeli można nazwać tańcem deptanie po palcach własnej córki.

- Nie chodziło mi o to - odparła Jaina. - Może nie wiesz, ale w tej sali jest jeszcze ktoś oprócz tych dwóch, kogo wszyscy po obu stronach podziwiają i lubią.

- Jasne. - Han spojrzał w prawo i w lewo. - Tam stoi Luke. W tej chwili rozmawia z Pellaeonem.

- Nie. - Córka pokręciła głową, aż zafalowały jej włosy. - Miałam na myśli ciebie. Jesteś bohaterem zarówno dla Korelian, jak i dla reszty Galaktycznego Sojuszu. Ty też możesz podchodzić do zebranych, witać się z nimi i poprawiać nastrój.

Han skrzywił się zabawnie.

- Nie cierpię takich sytuacji - powiedział.

- A więc mój ojciec, bohater, nie przywita się z delegatami i nie porozmawia z nimi swobodnie, nawet gdyby to miało zapobiec wybuchowi wojny? - Zapytała Jaina.

- Jesteś niesprawiedliwa - stwierdził Han. - Kto cię nauczył uciekania się do takich argumentów?

- Mama - odparła córka. - A poza tym możesz odgrywać właściwą rolę choćby tu, na parkiecie. Na wypadek gdybyś tego nie zauważył, dookoła kręcą się damy z obu stron, które tylko czekają, kiedy zostaniesz bez partnerki. Popatrz tylko. - Muzyka, znany kawałek taneczny, zachęciła tancerzy do obrotu, ale kiedy Han znów stanął twarzą do córki, zorientował się, że Jaina tańczy dwa metry dalej z Zekkiem i posyła mu promienny uśmiech.

Han pogroził jej palcem, co miało oznaczać: „jeszcze się z tobą rozprawię”, ale po chwili poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu.

Odwrócił się i zobaczył młodą kobietę o krótkich blond włosach ubraną w mundur młodszego oficera sił bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu.

- Generał Solo? - Zapytała. - Nazywam się Elsen Barthis i służę w stopniu porucznika. Czy zechciałby pan zatańczyć ze mną?

- Naturalnie. - Han rozciągnął usta w nieco wymuszonym uśmiechu i spojrzał przelotnie na Wedge'a, który tańczył z żoną. Znał historię jego ucieczki z Coruscant i wiedział, że Barthis jest jedną z osób, które go porwały. Doszedł do wniosku, że rozmowa na temat jej późniejszej degradacji nie będzie sprzyjała atmosferze odprężenia. - Twój akcent... Jesteś Korelianką? - Zapytał.

- Tak, pochodzę z Korelii - przyznała Barthis. - Ale dziwię się, że zwróciłeś uwagę na mój akcent. Długo starałam się go pozbyć.

- Och, są rzeczy, których nigdy nie da się pozbyć do końca...

Cztery godziny później nieformalna część negocjacji dobiegła końca. Niektórzy delegaci i doradcy przenieśli się do mniejszej sąsiedniej sali, w której ustawiono długi stół konferencyjny. Pani premier Aidel Saxan zajęła miejsce na jednym końcu, Gilad Pellaeon na drugim, a członkowie obu delegacji usiedli przy dłuższych bokach naprzeciwko siebie.

- A więc - zaczął Pellaeon - jakie ustalimy reguły negocjacji?

- Dajmy sobie spokój z regułami - zaproponowała Saxan. Wyglądała na zmęczoną, ale dość zadowoloną.

- W takim razie zdejmę buty - oznajmił Han. - Nie można podejmować racjonalnych decyzji, kiedy bolą stopy.

Wszyscy doświadczeni politycy z wyjątkiem Leii spojrzeli na niego z osłupieniem, ale Solo

wcielił zamiar w czyn. Wsunął rękę pod stół i ściągnął buty. Funkcjonariusz służby bezpieczeństwa uklęknął po przeciwnej stronie i zajrzał pod stół, żeby sprawdzić, czy Han nie wyciąga używanego podczas napadów blastera... Później musiał się jeszcze schylać wiele razy, bo pozostali uczestnicy obrad poszli w ślad Hana i także zdjęli buty, które od wielu godzin uciskały ich stopy. Solo zauważył, że tylko Pellaeon tego nie zrobił. Z zazdrością pomyślał, że stary admirał miał dość doświadczenia i rozsądku, aby włożyć na tę okazję idealnie dopasowane, wygodne obuwie.

- A więc przejdźmy do sedna sprawy, pani premier - podjął Pellaeon. - Czy mogę zwracać się do pani po imieniu... Aidel?

- Bardzo proszę.

- A ja mam na imię Gilad - przypomniał admirał. - Jestem skłonny złożyć oświadczenie, że pojawienie się floty Galaktycznego Sojuszu w Systemie Koreliańskim było wrogim aktem, jeżeli zechcesz przyznać, że takim samym aktem było potajemne przywrócenie sprawności stacji Centerpoint. Zacznijmy od tego, żebyśmy mogli się zastanowić, jak rozwiązać ten problem. Żadna ze stron nie powinna udawać, że jest bez winy.

Saxan uśmiechnęła się do niego z udawaną słodyczą.

- Zawsze jeszcze możemy się licytować, czyje wrogie poczynania miały większy ciężar gatunkowy - powiedziała.

Pellaeon pokiwał głową.

- Możemy - stwierdził beztrąsko. - Pod tym względem masz nade mną przewagę.

Korelianka wyglądała na zaskoczoną.

- Byłbyś skłonny to przyznać? - Zapytała.

- Naturalnie - odparł admirał. - Jestem już bardzo stary. Nie zamierzam się wdawać w przewlekłe dyskusje, bo w każdej chwili mogę umrzeć. - Stary strateg się uśmiechnął, kłamiąc bez zmrużenia oka.

Zbita z tropu Saxan odpowiedziała mu uśmiechem, chociaż trochę wymuszonym.

- W takim razie ustalmy priorytety - postanowiła. - Nie zamierzam stawiać sprawy niepodległości Korelii na ostrzu noża. W przeszłości Korelia rozwijała się doskonale zarówno jako niepodległe państwo, jak i część większej organizacji. Nie może jednak stać się planetą bezbronną, która powierza obronę swoich przestworzy wyłącznie siłom zbrojnym Galaktycznego Sojuszu. Nie pozwoli nam na to koreliańska duma. Jeżeli będziesz na to nalegał... Jeśli albo zmusisz nas do pogodzenia się z taką sytuacją, obywatele Korelii stracą swoją tożsamość. - Wskazała Hana i Wedge'a. - Pomyśl, jak wyglądałaby dzisiaj sytuacja Galaktycznego Sojuszu, gdyby nie ci dwaj Korelianie. Bez takich ludzi jak oni Sojusz w ogóle by nie istniał. Nie istniałaby także Nowa Republika. Nadal władałoby nami Imperium.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. Wszyscy uczestnicy obrad pamiętali, że w czasach powstania Imperium Pellaeon był jego oficerem i wiernie mu służył - także potem, kiedy Imperium toczyło wojnę z Sojuszem Rebeliantów i Nową Republiką, w ciągu dziesięcioleci istnienia w postaci szczątkowej, a także w ostatnim okresie, kiedy wskutek zachodzących w galaktyce zmian Ruiny Imperium stały się częścią Galaktycznego Sojuszu. Jeśli w ogóle można było powiedzieć o Imperium coś pochlebnego, Pellaeon i jemu podobni oficerowie reprezentowali jego najlepszą stronę i gdyby im pozwolono, mogliby przekształcić Imperium w etyczną i cywilizowaną władzę.

Tym bardziej, że i Pellaeon był Korelianinem.

Admirał znów się uśmiechnął, tym razem szerzej. Zrezygnował jednak z wygłoszenia oczywistej

uwagi w rodzaju: „A co byłoby w tym złego?” Zamiast tego zapytał:

- A więc chcesz, żebyśmy się zgodzili na istnienie koreliańskiej marynarki, liczniejszej i silniejszej niż koreliańska flota obronna?

- Oczywiście - przyznała Saxan.

- To nie jest wykluczone - stwierdził admirał. - Ale czy Korelia będzie nadal w stanie przekazywać środki siłom zbrojnym Galaktycznego Sojuszu w stopniu proporcjonalnym do potęgi gospodarki całego systemu, jak robią to inni sygnatariusze? To chyba będzie dla jej gospodarki znacznym obciążeniem.

- No cóż, nasz udział w budowaniu sił zbrojnych Sojuszu powinien zostać zmniejszony o wartość, jaką przedstawia nasza gwiazdna flota - odparła Saxan. - W razie potrzeby flota może przecież brać udział w akcjach wojskowych Sojuszu.

- Nie możemy się na to zgodzić - odparł Pellaeon. - Finansowanie sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu musi mieć pierwszeństwo.

Właśnie w tej chwili Han przestał się interesować przebiegiem negocjacji. Rozumiał, że oboje dyplomaci wymieniają poglądy i uzgadniają rozbieżności z szybkością, która w kręgach dyplomatycznych uchodziłaby za błyskawiczną - w przeciwnym razie o wiele wcześniej straciłby zainteresowanie tokiem dyskusji. Krasomówstwo obojga przedstawicieli osiągnęło jednak toksyczny poziom, na którym nie umiał dłużej skupiać uwagi.

Powiódł spojrzeniem po twarzach uczestników zebrania. Był doświadczonym graczem w sabaka i liczył na to, że miny delegatów ujawnią mu jakieś informacje.

Najwięcej uwagi poświęcił twarzom Saxan i Pellaeona. Oboje wyglądali na czujnych, energicznych i przekonanych o słuszności swoich racji. Musieli się jednak godzić na ustępstwa, bo inaczej oboje by przegrali... Negocjacje nie miały prawa zakończyć się wojną. A zatem pod pozorną stanowczością obojga negocjatorów musi się kryć skłonność do kompromisu. Pozostawało tylko pytanie, kiedy i w jakich okolicznościach jedna ze stron zechce go pierwsza zaproponować.

Leia śledziła pilnie przebieg negocjacji, ale Han zauważył, że po wygłoszeniu każdego prowokacyjnego oświadczenia żona zerka nie na Saxan czy Pellaeona, lecz na głównego doradcę strony, pod której adresem zostało wygłoszone to oświadczenie.

Luke był pogodny, niemal pogrążony w zadumie. Nie... Han uświadomił sobie, że musi dokonać poprawki swojej oceny. Luke był zamyślony, ale nie pogodny. Cały czas promieniował od niego lekki niepokój. Na pewno musiał go martwić problem „nieistniejącego mężczyzny”.

Han także się tym niepokoił. Jego szwagier widział takie rzeczy, których Han nigdy by nie mógł dostrzec, jeżeli więc Luke nie mógł kogoś zobaczyć, nie zdołałaby dokonać żadna żywa istota w galaktyce.

No, może z wyjątkiem... Han przeniósł spojrzenie na twarz syna. Podobnie jak Leia, Jacen śledził z uwagą tok dyskusji, ale od czasu do czasu tracił zainteresowanie jej przebiegiem i kierował spojrzenie w pozornie przypadkową stronę, za każdym razem inną. Han przypuszczał, że syn, znając niezwykle i nietypowe aspekty Mocy, patrzy tam, gdzie nikt inny nie dostrzegłby niczego ciekawego.

Może widział rzeczy, których nie dostrzegął nawet Luke Skywalker?

Postanowił później porozmawiać o tym z Jacenem.

Pierwsze spotkanie Pellaeona i Saxan trwało cztery godziny. W końcu, już pod wieczór, oboje dyplomaci zgodzili się na przerwę i podjęcie negocjacji następnego ranka.

Delegaci i ich doradcy stwierdzili, że zakwaterowano ich w pomieszczeniach po jednej stronie

tego samego korytarza habitatu Narsacc, skąd rozciągał się najwspanialszy widok na gwiazdy i księżyc Ronay. Korytarz nosił nazwę Drogi Kallebartha i miał długość dwustu siedemdziesięciu pięciu metrów. Na każdym końcu i przy skrzyżowaniach z innymi korytarzami mieściły się wartownie funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa.

Delegację Galaktycznego Sojuszu zakwaterowano w pomieszczeniach, skąd można było trochę wcześniej oglądać nowe widoki pojawiające się wraz z obrotem Stacji Toryaz. Członkowie delegacji Sojuszu zyskali prawo do mieszkania w odrobinę korzystniejszych kwaterach z racji tego, że Sojusz pokrywał koszty konferencji. Delegacja Korelii zamieszkała w drugim końcu korytarza, a Jedi zajęli pokoje między obiema delegacjami. Ze względów bezpieczeństwa wiele pomieszczeń w tym korytarzu pozostawało niezajętych. Wolne były także pokoje wzdłuż takiego samego korytarza na wyższym i niższym poziomie habitatu. Nikt nie mógł tam wejść, a pomieszczenia wzdłuż nich zamknięto, żeby potencjalni sabotażyści nie mogli się dostać do którejkolwiek delegacji z dołu albo z góry.

Kilka godzin po zakończeniu pierwszego spotkania Han jeszcze nie spał. Siedział na kanapie ustawionej przodem do największego iluminatora apartamentu i przez odporną na promieniowanie płytę transpastali o wysokości pięciu i długości piętnastu metrów spoglądał na zapierającą dech w piersi panoramę przestworzy. Jedyne szpecącym ją elementem była sylwetka fregaty Galaktycznego Sojuszu „Ognisty Cień”, unoszącej się nieruchomo w przestworzach w odległości zaledwie kilometra. W rzeczywistości okręt nie tkwił nieruchomo, ale leciał równoległe do zamieszkanego krawędzi habitatu Narsacc z taką prędkością, że pozostawał cały czas w tym samym miejscu za iluminatorem.

- Chyba dostaliśmy kwaterę dokładnie pośrodku - odezwał się Han w pewnej chwili. - To przypadek czy świadomy zamiar?

- Świadomy zamiar - przyznała Leia. Siedziała na fotelu dwa kroki bliżej iluminatora niż znajdowała się kanapa, na której rozpiął się jej mąż. - Luke jest wprawdzie mistrzem zakonu, ale z powodu naszej, uhm... Wyjątkowej sytuacji ja i ty cieszymy się opinią najbardziej neutralnych uczestników tych negocjacji. No, może z wyjątkiem funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa Stacji Toryaz. To dlatego dostaliśmy kwatery pośrodku korytarza.

Han wzruszył ramionami.

- Fantastyczny widok - powiedział. Odwrócił się do Jacena, który siedział na drugim końcu tej samej kanapy. - Co o tym sądzisz? - Zapytał.

Jego syn ocknął się z zamyślenia.

- Nie podoba mi się ta historia o „nieistniejącym mężczyźnie” - powiedział.

- Mnie też się nie podoba - przyznał Solo. - Podobnie zresztą jak twojej matce.

- Tyle że mnie i jej nie podoba się z różnych powodów. - Jacen posłał matce przeproszające spojrzenie. - Odkąd tata o tym wspomniał, rozglądam się i wytyżam zmysły. Na ile mogę, spoglądam w przyszłość i badam przeszłość.

Leia kiwnęła głową.

- No i? - Zapytała.

- Nic - odparł Jacen. - Nie widzę ani nie wyczuwam żadnego śladu tej osoby. - Zmarszczył brwi.

- Czuję tylko, chociaż bardzo słabo, obecność jakiejś kobiety, która się czemuś sprzeciwia albo żywi wrogie zamiary. Ta kobieta wywiera jakiś wpływ na Moc, ale tak słaby, że nie musi się odnosić do chwili obecnej ani tego miejsca. To może być pozostałość sprzed wielu lat albo nawet dekad... Z

czasów poprzedzających powstanie Imperium.

- Czy to może być władająca Mocą osoba, która w tej chwili tu przebywa, ale stara się ukryć swoją obecność? - Zagadnęła Leia.

Jacen pokiwał głową.

- To możliwe - powiedział.

- A więc może jest to ten wyczuwany przez Luke'a „nieistniejący mężczyzna”, który korzysta ze swoich umiejętności, aby stworzyć wrażenie osoby innej płci, a wszystko po to, żeby zmylić Luke'a?

Jacen się uśmiechnął.

- Mamo, przecież to nie miałoby sensu - powiedział. - Po pierwsze, gdybym umiał wyczuć obecność tej samej osoby, co Luke, prawdopodobnie wykryłbym ją w ten sam sposób, przynajmniej w pierwszej chwili. Jeżeli wujek twierdzi, że to mężczyzna, ja też powinienem odnieść takie wrażenie. Po drugie... I to moim zdaniem jest bardzo ważne... Dlaczego Luke nie wspomniał ani słowem o kobiecie, którą wyczuwam? Może jej wcale nie zauważył albo ją lekceważył, bo nie wyczuwa jej równie silnie albo bezpośrednio jak swojego „nieistniejącego mężczyznę”? - Głęboko odetchnął. - Mamo, moim zdaniem wujek Luke lekceważył mnóstwo informacji, ostrzeżeń i przeczuć, chociaż je odbiera... Z tego prostego powodu, że nie zgadzają się z jego przekonaniem. Nie potraktował poważnie moich obaw, że Korelianie stawiają większy opór, niż twierdzili wojskowi Galaktycznego Sojuszu, i popatrz, co się stało. Teraz skoncentrował się na mrocznym przeciwniku i chyba nie dociera do niego nic innego.

- To prawda, Luke nie studiował jak ty wszystkich tajemnych dyscyplin Mocy, ale to jeszcze nie oznacza, że się myli - odparła Leia. - Jego opinii nie powinno się lekceważyć.

- Moich też nie - stwierdził Jacen. Zorientował się, że powiedział to ostrzej, niż zamierzał, więc dokończył bardziej pojednawczym tonem: - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało nieuprzejmie, jakbym był zdenerwowany...

- Jesteś zdenerwowany - ucięła matka.

- Możliwe, ale to jeszcze nie znaczy, że moja opinia nie zasługuje na wysłuchanie - powiedział rycerz Jedi. - Wujek Luke wiele lat dźwigał na swoich barkach brzemień walki o przetrwanie zakonu Jedi. Musiał radzić sobie w sytuacjach, którym nie dałby rady żaden inny Jedi w historii galaktyki. Po czterdziestu latach samotnej walki można się wypalić.

- Bardzo wątpię - rzekła Leia. - Sposób, w jaki Luke żył i poznawał tajniki Mocy, to tylko jedna ścieżka do zdobycia wiedzy. Ty podążałaś inną drogą. Czy naprawdę uważasz, że twoja była lepsza?

- Z całym szacunkiem, mamo, ale tak. Właśnie tak uważam - odparł Jacen. - Moim zdaniem wujek Luke zamknął się na niektóre ścieżki wiodące do poznania tajników Mocy, a to może oznaczać, że są rzeczy, których nie będzie w stanie nigdy zobaczyć.

- Mimo wszystko bądź czujny i wyczulony na obecność obcych - odezwał się Han. - Ignorowanie ostrzeżeń to ścieżka, która prowadzi do śmierci.

Jacen się uśmiechnął.

- W tym się zgadzam z tobą - powiedział.

ROZDZIAŁ 19

Dwa poziomy nad Drogą Kallebartha i mniej więcej pośrodku habitatu mieścił się pomocniczy ośrodek dowodzenia, z którego korzystano zazwyczaj tylko w sytuacjach wyjątkowych. Przebywający w nim kapitan Siron Tawaler, wodząc spojrzeniem po pulpitych z ekranami monitorów, wypatrywał potencjalnych zagrożeń. Na ekranie z lewej strony widział obraz przekazywany przez zewnętrzne sensory, ukazujący wszystkie statki, szczątki czy asteroidy większe niż lądowy śmigacz, jakie mogły się znajdować w promieniu kilku tysięcy kilometrów od stacji. W okolicznych przestworzach przemieszczało się wiele jednostek oznaczonych zielonymi punkcikami na dowód, że ich kapitanowie nie żywią wrogich zamiarów.

Następny ekran pokazywał tylko Stację Toryaz. Między szprychami, które łączyły ją z habitatami, poruszała się ostrożnie samotna zielona plamka.

Trzeci ekran pokazywał identyczny obraz, ale bez zielonej plamki. To właśnie ten obraz był przekazywany na mostek, gdzie służbę pełnił personel dowodzenia, a także był rejestrowany w archiwach.

Na ekranie z prawej strony widniał schemat pomieszczeń stacji. Różne kolory oznaczały stan gotowości strzegących ich funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Wszystkie pomieszczenia oznaczono na zielono, z wyjątkiem Drogi Kallebartha, którego żółty kolor oznaczał stan podwyższonej gotowości.

Tawaler wyczuł raczej, niż usłyszał, że nad jego ramieniem pochyliła się kobieta, która tu z nim przebywała. Nie wystraszył się, kiedy do niego przemówiła. Jak zwykle miała jedwabście miękkie, cichy głos:

- Zawsze zdumiewają mnie operatywni funkcjonariusze służby bezpieczeństwa, którzy starają się śledzić obrazy ze wszystkich holokamer na pokładzie okrętu, badać wszystkie poufne pliki komputerowe i mieć dostęp do wszystkich pomieszczeń na pokładzie... Nawet kiedy nie są do tego upoważnieni.

Gdyby ktoś inny wygłosił taką uwagę, Tawaler spróbowałby się usprawiedliwić, ale w ustach swojej towarzyszki uznał to za komplement. Ośmielił się nawet zerknąć na nią.

Stojąca za jego plecami kobieta odznaczała się niezwykłą urodą. Wysoka i szczupła, miała mądre ciemne oczy i nosiła się jak arystokratka. Zgodnie z panującą ostatnio na Kuacie modą miała na sobie kolorowe, chociaż niewygodne ubranie, ale nosiła je z niewymuszonym wdziękiem.

Tawaler wzruszył ramionami i postarał się nadać głosowi ton bez troski:

- Funkcjonariusz służby bezpieczeństwa musi zapewniać bezpieczeństwo, nawet kiedy jego przełożeni zostaną zabici albo unieszkodliwieni - powiedział. - Musi wiedzieć, co robią jego podopieczni i gdzie przebywają, a nawet znać ich myśli. W przeciwnym razie nie będzie panował nad sytuacją.

- Naturalnie masz rację. - W głosie kobiety zabrzmiało lekkie rozbawienie, a Tawaler kolejny raz

uświadomił sobie z zaskoczeniem, że nie czuje się urażony. Słowa zabrzmiały protekcyjnie, ale jego towarzyszka na pewno nie zamierzała sprawiać mu przykrości.

Naturalnie, że nie miała takiego zamiaru. Mimo wszystko przyleciała do niego z wiadomością, że prawdopodobnie to właśnie on, kapitan Siron Tawaler, zostanie jej telbunem - towarzyszem życia, wybranym na ojca przyszłego dziecka zgodnie z prastarą tradycją rządzących Kuatem wielkich rodów handlowych. Kwatka na pewno zwróciła uwagę na jego inteligencję, stanowczość i inne cechy charakteru, i to mimo niezbyt pochlebnych opinii przełożonych o przebiegu jego kariery zawodowej. Prawdopodobnie przypisała te opinie zazdrości i chęci pogrążenia wybitnego podwładnego. Nie przejmowała się tym, że kolejni zwierzchnicy Tawalera uznali go za osobę niekompetentną i niesumienną. Zapewniła osobisty i finansowy sukces nie tylko jemu, ale także członkom jego rodziny. Tawalerowi nie przeszkadzało nawet to, że rola telbuna cieszy się pośród mieszkańców innych planet zdecydowanie niewielkim poważaniem.

Najpierw jednak musiał zdać egzamin z lojalności. Powinien pomóc tej wspaniałej damie ocalić jej ród, eliminując zdradzieckich Jedi, którzy mieli ją zabić.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Jedi mieliby chcieć zabić księżniczkę kuatskiego rodu handlowego, ale wcale się tym nie przejmował. Specjalizował się w zapewnianiu bezpieczeństwa, nie w przewidywaniu możliwych niebezpieczeństw. A poza tym nie lubił Jedi, którzy chadzali dumni, nie okazując szacunku funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa ani przedstawicielom władzy. Ubierali się jak żebracy czy pustelnicy, chociaż wszyscy wiedzieli, że są bogaci. Najlepiej świadczyła o tym wysoka jakość ich obuwia, na które nie stać byłoby biedaków. Najgorsze jednak, że Jedi górowali nad zwykłymi ludźmi, dysponując tak zwanymi mistycznymi mocami. Karygodne, karygodne.

Tawaler znów poczuł ukłucie niepokoju. Pochylająca się nad jego ramieniem kobieta okazała mu wprawdzie dokument, z którego wynikało, że jest przedstawicielką wspaniałego rodu, ale oficer jakoś nie mógł sobie przypomnieć treści tego dokumentu. Wiedział tylko, że zaakceptował go bez pytania. Jego podejrzeń nie wzbudziły także jej wyjaśnienia ani podany cel pobytu na terenie Stacji Toryaz.

No cóż... Jeszcze jeden dowód, że nie jest niekompetentny ani niesumienny. Był o wiele za inteligentny, żeby pracować na takim stanowisku. Odznaczał się odwagą i zdecydowaniem, jak w obecnej chwili. Wszystkie te zalety zamierzał odtąd okazywać w nowej roli. Miał zapewnioną świetlaną przyszłość.

Przeniósł spojrzenie na nieustannie uaktualniane informacje na ekranie monitora.

- Cztery minuty do chwili, kiedy statek zacumuje w doku - powiedział.

- To dobrze - odparła Kwatka. - W takim razie chodźmy ich powitać.

Z pokładu zeszło dwadzieścioro ludzi, mężczyzn i kobiet, zakutych w połyskujące czarne pancerze. Ich napierśniki wyglądały jak sztywne skorupy, a osłony głów były węższe niż hełmy pilotów gwiazdnych myśliwców. Ich ramiona i uda osłaniały wytrzymałe, ale elastyczny siatkopodobny materiał, a przedramiona i łydki tkwiły w takich samych ciężkich skorupach jak torsy. Żołnierze byli uzbrojeni w dziwnie duże, błyszczące czarne karabiny trzech rodzajów, których Tawaler jeszcze nigdy nie widział. Jeden z tych karabinów nieznanego typu, sądząc po miejscu, w którym przytwierdzono wyściółkę i zainstalowano lunetę, był przeznaczony do strzelania z ramienia.

A twarze żołnierzy... Tawaler nie miał pojęcia, co o nich sądzić. Częściowo niewidoczne za bursztynowymi przesłonami hełmów, wyglądały dziwnie nienaturalnie. Podczas gdy mężczyźni i

kobiety przechodzili przez służbę, kapitan służby bezpieczeństwa intensywnie się nad tym zastanawiał.

Ocecił, że przybysze są w wieku od trzydziestu do sześćdziesięciu lat. Byli starsi niż zwykli rekruci, a nawet niż żołnierze oddziałów elitarnych. Pochodzili z... Określenie macierzystej planety nigdy nie było łatwe, ale szczupłe ciała i rzucone na boki, czujne spojrzenia mogły sugerować, że żołnierze pochodzą z Korelii. Z drugiej strony jednak, nie zachowywali się jak Korelianie. Tawaler nie widział ani śladu radości życia, zadziorności i pewności siebie, czym odznaczali się zazwyczaj żołnierze i obywatele tego systemu.

Zwrócił uwagę na zapadnięte policzki i ściągnięte rysy twarzy żołnierzy.

- Oni umierają. - Kuatka szepnęła to wyjaśnienie do jego ucha, jakby odpowiadała na niewyartykułowane pytanie. - Wszyscy bez wyjątku. Z powodu różnych chorób, z którymi nie potrafi sobie poradzić medycyna. Wszyscy są nadal w pełni sił dzięki uśmierzającym ból specyfikom, które jeszcze jakiś czas będą utrzymywały ich w takim stanie. Nie muszą się niczym przejmować, bo wiedzą, że i tak nie przeżyją. Rozkoszne, prawda?

Tawaler wzdrygnął się mimo woli.

- Rozkoszne - powtórzył machinalnie, jakby się zgadzał z jej słowami.

Kuatka zatrzasnęła klapę wjazdu, wyjęła komputerowy notes i stanęła na czele kolumny zakutych w pancerze żołnierzy.

- Prześlę wam plany stacji i miejsca pobytu waszych celów - oznajmiła. - Te informacje powinny się pojawić na wyświetlaczach w polu widzenia każdego z was.

Po przesłonach żołnierzy zatańczyły płonące zielonym blaskiem rozmyte cienie. Kilkoro pokiwało głowami, ale nikt się nie odezwał.

Kuatka się uśmiechnęła.

- To dobrze - powiedziała. - Do roboty.

Żołnierze utworzyli dwie kolumny i w ciszy, jeżeli nie liczyć skrzypienia pancerzy, minęli kobietę z obu stron i wyszli na korytarz. Kiedy zniknęli za zakretem, Tawaler ucieszył się, że stracił ich z oczu.

- Ten sam wahadłowiec, którym przylecieli, zabierze cię teraz na Kuata - poinformowała jego towarzyszką. - Możesz wejść na pokład.

Tawaler odwrócił się i uderzył otwartą dłoń w przycisk na kontrolnym panelu służby. Wszedł do środka i dezorientowany spojrzał przez transpystalowy iluminator zewnętrznej klapy. Nie zobaczył niczego oprócz gwiazd.

- Wahadłowiec odleciał - stwierdził zwięźle.

Dał się słyszeć syk i wewnętrzna klapa wjazdu zamknęła się za nim.

Usłyszał głos kobiety wydobywający się z głośnika interkomu w służbie:

- Nie, wciąż jeszcze tam jest. Popatrz uważnie.

Tawaler poczuł, że kręci mu się w głowie. Bardzo by chciał usiąść na minutę i odpocząć, ale podszedł do iluminatora i wytężył wzrok.

No tak, rzeczywiście się pomylił. Zobaczył rękaw cumowniczy i zapraszająco otwartą klapę wjazdu w dolnej części wahadłowca.

- Lepiej się pospiesz - usłyszał.

Przycisnął guzik zewnętrznej klapy, żeby ją otworzyć. Z głośnika na panelu kontrolnym rozległ się jednak sygnał alarmowy, a na ekranie pojawił się pulsujący na czerwono napis. Tawaler musiał się skupić, żeby go przeczytać. Głosił: „Komora nie została opróżniona z atmosfery”.

Pomyślał, że coś jest nie w porządku. Komora służy nie musiała być opróżniana, skoro nadal był do niej dołączony rękaw cumowniczy. Oznaczało to, że po obu stronach zewnętrznej kłapy powinno panować mniej więcej takie same ciśnienie.

W głosie swojej towarzyszki usłyszał irytację.

- Proszę bardzo, opróżnij ją z powietrza - poleciła Kuatka. - Przecież i tak masz na sobie próznioszczelny skafander.

Tawaler spojrział na siebie. Rzeczywiście był ubrany w próznioszczelny skafander. Nie pamiętał wprawdzie, kiedy go włożył, ale był ubrany od stóp do głów w jeden z ochronnych strojów barwy przemysłowej szarości, jakich używano na terenie stacji. Wpisał kod, żeby pompy opróżniły służę z powietrza, i otworzył zewnętrzną klapę wjazdu.

Usłyszał i poczuł trzask w uszach, po którym jeszcze bardziej zakręciło mu się w głowie.

- Nie martw się, Tawaler. - Głos jego towarzyszki brzmiał coraz ciszej. - To uczucie szybko minie.

Dwadzieścioro umierających zabójców podążało szybko korytarzem prowadzącym ze służy do szybu turbowindy. Najemnicy weszli do kabiny, zjechali dwa piętra i wysiedli na tym samym poziomie co Droga Kallebartha.

Znaleźli się na korytarzu przecinającym ją mniej więcej pod kątem prostym. Jedyne oświetlenie zapewniały zainstalowane na wysokości podłogi awaryjne paski jarzeniowe. Z oddali promieniował jednak blask. Mężczyźni i kobiety pomaszerowali w tamtą stronę. Na schemacie pomieszczeń stacji, który mieli wyświetlany na przesłonach hełmów, ich pozycję oznaczała czerwona plamka.

W końcu zakuci w pancerze zabójcy dotarli do jaskrawo oświetlonego skrzyżowania i zobaczyli wartownię personelu służby bezpieczeństwa. Część szerokości Drogi Kallebartha zajmowały zestawy sensorów, a w ścianie widniała wnęka na tyle duża, żeby zmieściło się w niej biurko i fotele dla dwóch strażników. Pozostała część przypominała służę z zamkniętymi na głucho po obu stronach przezroczystymi drzwiami. Bariery oddzielające stanowiska sensorów od służy i reszty Drogi wykonano także z transpastali, dzięki czemu wartownia wyglądała krucho jak wyrzeźbiona z bryły kryształu.

Kiedy najemnicy znaleźli się na tyle blisko, żeby dostrzec wszystkie te szczegóły, mapa na wyświetlaczach ich hełmów zniknęła, a zamiast niej pojawiło się słowo „Czekać”. Żołnierze znieruchomieli i uzbrowili się w cierpliwość.

Za biurkiem siedziało dwóch funkcjonariuszy w szaro-białych mundurach służby bezpieczeństwa stacji Toryaz. O tak późnej porze, kiedy wszyscy członkowie obu delegacji udali się na spoczynek, odprężeni strażnicy popijali kafeinę i beztrosko gawędzili.

Nagle komputerowy notes na biurku przed nimi eksplodował, a ze środka wydobyła się chmura białego dymu. Kiedy jego kłęby wypełniły przezroczystą służę, pomieszczenie zaczęło wyglądać jak prostopadłościenny blok, wycięty z gęstej mgły dzięki użyciu nadnaturalnej siły.

Mgła szybko się rozproszyła i dwadzieścioro intruzów zobaczyło, że obaj strażnicy służby bezpieczeństwa leżą z głowami na blacie biurka.

Na kontrolnym panelu obok drzwi wartowni zatańczyły różnobarwne światełka i po chwili drzwi się otworzyły.

Napis „Czekać” na przesłonach hełmów zabójców zniknął, a zamiast niego pojawił się inny: „Iść dalej”. Chwilę później zastąpiła go mapa z rozkładem pomieszczeń wiodących do celów przeznaczenia.

Żołnierze ruszyli w dalszą drogę.

Jacen obudził się z niespokojnego snu. Mieszkał z Benem w jednym z pokoi rozmieszczonych wokół centralnego salonu, z którego można było wyjść na główny korytarz. Ich pokój miał dwa łóżka i własną łazienkę, co zupełnie zaspokajało potrzeby podróżujących Jedi. Sypialnia była ciemna, a jedyne oświetlenie zapewniał płonący słabym blaskiem panel jarzeniowy nad drzwiami do salonu.

Działo się coś... Nie, nie złego, ale niezwykłego. Rycerz Jedi powiódł spojrzeniem po sypialni. Zobaczył leżącego nieruchomo na drugim łóżku Bena i ciemny prostokąt otwartych drzwi do łazienki.

Usiadł na łóżku, skrzyżował nogi, zamknął oczy i bez wysiłku pogрузzył się w medytacji.

Szukał zdrady, nienawiści, gniewu. Wyczuwał lekkie ukłucia wszystkich trzech emocji, jednak właśnie czegoś takiego można się było spodziewać podczas zgromadzenia polityków.

Uspokojony, wyciągnął się znów na łóżku.

Kilkanaście metrów dalej, w sypialni po przeciwnej stronie tego samego salonu, Luke Skywalker także usiadł na łóżku.

Leżąca obok niego Mara otworzyła oko i obdarzyła męża leniwym uśmiechem.

- Nerwy? - Zapytała.

Mistrz Jedi pokręcił głową. Popatrzył w prawo i w lewo, ale nie skupiał spojrzenia na niczym konkretnym.

- Dzieje się coś złego - zdecydował.

Mara przeciągnęła się, otworzyła drugie oko i posłała mężowi zirytowane spojrzenie.

- Naprawdę myślisz, że nie wyczułabym spodziewanego ataku albo innego niebezpieczeństwa? - Zapytała.

- Moim zdaniem spodziewanie się napaści czy zagrożenia to błąd. - Luke wyslizgnął się spod koca i wstał. Miał na sobie tylko krótkie spodnie i podkoszulek. - Jeżeli będziesz wypatrywała banthów, przeoczysz jastrzębionietoperza.

Mara odrzuciła na bok koc i wstała, nagle rozbudzona i czujna.

- Nadal nie wyczuwam agresywnych zamiarów... - Zaczęła.

- Nie szukaj agresywnych zamiarów. Szukaj pogodzenia się z czymś nieuniknionym - przerwał mąż. - Choroby... - Wyciągnął lewą rękę w kierunku drzwi, jakby chciał nią odeprzeć spodziewany atak.

Rozległ się huk, po którym podłoga i ściany zadrżały, a Mara na chwilę ogłuchła. Drzwi sypialni Skywalkerów wyskoczyły z ościeżnicy i poleciały w powietrze w stronę Luke'a. Mistrz Jedi skrzywił się i wyprostował lewą rękę. Drzwi od razu zmieniły kierunek lotu, przeleciały przez otwór i z trzaskiem runęły na posadzkę w centralnym salonie.

Luke wyciągnął drugą rękę i skoczył w kierunku progu. Ze stolika obok łóżka poderwał się jego świetlny miecz, przeleciał w powietrze i wślizgnął się do dłoni mistrza Jedi. Skywalker wcisnął kciukiem guzik na rękojeści. Ledwo usłyszał charakterystyczny pomruk i syk, bo i on o mało nie ogłuchł od huku eksplozji. Przeskoczył przez próg i spojrział na metalowe drzwi swojej sypialni.

Leżały na posadzce, wygięte mniej więcej w taki sposób, żeby dostosować się do kształtu ciała przygniecionej przez ciężki metal istoty czelakokształtnej - mężczyzny, który spowodował eksplozję.

Z okrągłego salonu można było się dostać do wielu pomieszczeń. Oprócz drzwi do sypialni obojga Skywalkerów dymiło jeszcze troje innych, także wyrwanych z zawiasów. Po swojej lewej ręce Luke zobaczył dwie pary zakutych w czarne pancerze postaci. Postacie stały przed zniszczonymi drzwiami po przeciwnych stronach salonu. Z luf ogromnych karabinów wciąż jeszcze sączyły się

smugi dymu. Po prawej, niedaleko Luke'a stała zakuta w pancerz kobieta, która zaczynała kierować ku niemu lufę blastera, a trochę dalej, przed trzecimi zrujnowanymi drzwiami, jeszcze jedna para napastników. Intruzi zamierzali się wdrzeć do sypialni... Ignorując stojącą obok niego kobietę z blasterem, mistrz Jedi machnął lewą ręką w prawo i w lewo. Uwolnił energię Mocy, dzięki której zakute w pancerze postacie po obu stronach poderwały się w powietrze, zderzyły z ościeżnicami, wypuściły karabiny z odrętwiąłych palców i runęły na podłogę. Równocześnie wygiął ciało, żeby nie znaleźć się na linii wystrzelonej przez kobietę blasterowej błyskawicy.

Napastniczka natychmiast dała ognia. Mistrz Jedi spodziewał się laserowej błyskawicy, ale kobieta nie była uzbrojona w karabin blasterowy. Z lufy jej broni wyskoczyło coś w rodzaju błyszczącej siatki, rozwinęło się w powietrzu i otuliło Luke'a równie szczelnie jak niespodziewana mgła w lesie, po czym ścisnęło jego głowę, ręce i nogi. Srebrzysta sieć zaczynała się kurczyć w zetknięciu z ciałem.

Luke usłyszał skwierczenie i zauważył, że sieć czernieje w miejscach, gdzie zetknęła się z zieloną klingą jego miecza. Zrozumiał, że za chwilę będzie mógł posłużyć się Mocą, aby ściągnąć siatkę z ciała.

Zabrakło mu jednak tej chwili - nie zdążył się skoncentrować. Sieć przycisnęła jego ręce do boków i złączyła nogi w pozycji, która nie pozwalała mu utrzymać równowagi. Luke zobaczył, że trzymająca karabin kobieta kręci jakąś tarczą na lufie swojej broni. W wylocie lufy pojawiło się światło.

Mara stanęła na progu sypialni i machnęła błękitną klingą świetlnego miecza. Przecięła na ukos lufę broni kobiety, odcięła jej dłoń i pozbawiła ją głowy. Z odciętych miejsc zaczął się sączyć dym, a dłoń, kawałek lufy i głowa potoczyły się po podłodze.

Stojący po lewej stronie Luke'a napastnicy, którzy już mieli wysadzić drzwi do następnej sypialni, odwrócili się, żeby dać ognia do niego i do Mary. Jeden miał broń podobną do karabinu kobiety, a drugi trzymał na ramieniu coś w rodzaju miotacza. Luke wyczuł impuls ich gniewu i identyczne emocje skrytobójców spod przeciwległej ściany.

Obrócił się na pięcie, wypuścił z dłoni świetlny miecz i uniósł rękę, którą go trzymał. Fragment niebieskiego sufitu przed nim - wykonany z wyłożonej dźwiękoszczelną pianką, grubej metalowej płyty - wygiął się, oderwał i runął na napastników. Chociaż przywaleni, strzelali dalej, bo sekundę później różne punkty płyty zaczęły się żarzyć od energii ich strzałów. Izolacja z drugiej strony stanęła w ogniu i salon wypełnił się chmurami gryzącego dymu.

Luke usłyszał napływający zza pleców pomruk i syk klingi świetlnego miecza żony, a chwilę później okrzyk bólu jednego z napastników.

Pomagając sobie Mocą, pozbył się szczątków srebrzystej sieci, po czym przywołał świetlny miecz do dłoni. Wyteżając wrażliwe na Moc zmysły, popchnął w kierunku pozostałych skrytobójców rozpalona metalową płytę sufitową i ruszył naprzód.

Zaledwie Jacen zdążył zamknąć oczy, usłyszał ogłuszający huk i drzwi sypialni wpadły do środka. Oszołomiony i ogłuszony, zareagował dopiero po sekundzie... Ale zdążył wstać i przywołać świetlny miecz do dłoni. Kiedy długa lufa czarnego karabinu pierwszego intruza kierowała się ku niemu, napastnika zważyło z nóg pchnięcie Mocy. W impulsie jej energii Jacen wyczuł charakterystyczne cechy osobowości wuja. Włączył klingę swojego miecza i machnął drugą ręką w kierunku łóżka Bena, które przewróciło się na bok. Śpiący chłopak potoczył się pod ścianę. Kiedy łóżko go nakryło, Jacen wskoczył do salonu.

Przed nim stał napastnik, który usiłował się wedrzeć do jego sypialni. Po lewej druga zakuta w pancerz postać celowała z karabinu w stronę idącej ku niej Mary, która miała na sobie tylko czarną piżamę. A zatem zaskoczyli nas podczas snu, uświadomił sobie rycerz Jedi.

Wiedział, że Mara poradzi sobie z drugim napastnikiem. Machnął klingą świetlnego miecza z dołu do góry i przeciął lufę karabinu pierwszego intruza.

Poruszając się szybko jak piaskoszczur, strzelec odskoczył do tyłu i kucnął. Wprawnym ruchem wyciągnął z kabury blaster i dał ognia. Jacen odbił błyskawicę na bok ledwo zauważalnym ruchem klingi świetlnego miecza, po czym wbił szpic w pancerz na ramieniu napastnika. Wyczuł, że ostrze przebiło na wylot skorupę i ciało zabójcy. Mężczyzna wrzasnął z bólu i runął na plecy. Jacen wyciągnął klingę.

Spojrzał w lewo. Przeciwnik Mary walił się właśnie na podłogę, a z biegnącego od obojczyka do brzucha rozcięcia, które go powaliło, sączył się dym. Luke stał w kręgu czterech nieprzyjaciół, którzy usiłowali go zastrzelić. Potężna błyskawica blasterowego ognia jednego z nich chybiła go i poleciała w kierunku Jacena i Mary, ale oboje Jedi zdążyli odskoczyć w przeciwne strony. Luke kucnął, wyciągnął poziomo klingę świetlnego miecza i zaczął się obracać. Kiedy skończył obrót, każdy z przeciwników coś stracił: lufę blasterowego karabinu, rękę, nogę albo głowę. Trzech zważyło się na podłogę, a czwarty odrzucił na bok bezużyteczną broń i uniósł ręce nad głowę... Ale po chwili zwiotczał i on także dołączył do towarzyszy na podłodze.

Z drzwi najbliższej sypialni Luke'a wyszła Jaina. Była ubrana w brązową nocną koszulę, ale zdążyła zapalić klingę świetlnego miecza. W zniszczonych drzwiach naprzeciwko jej sypialni pojawił się Zekk. Miał usmarowaną sadzami twarz, a we włosach nad czołem snuły się chmurki dymu.

- Cały czas ktoś usiłuje wysadzić mnie w powietrze - powiedział tonem udawanej urazy.

ROZDZIAŁ 20

Han i Leia siedzieli, przytuleni do siebie, w ciemności na kanapie i w milczeniu obserwowali, jak za iluminatorem obraca się galaktyka. Nagle drzwi za ich plecami syknęły i się otworzyły. Do salonu ich apartamentu wpadło światło z korytarza. Oboje Solo odwrócili się i bez słowa spojrzeli w tamtą stronę. Do salonu weszły cicho i szybko cztery zakute w pancerze postaci. Chyba nie zauważyły Hana ani Leii, bo skierowały się prosto do drzwi głównej sypialni. Osobnik trzymający na ramieniu największy blaster przymierzył się do wysadzenia drzwi, a pozostali trzej unieśli lufy karabinów.

Han i Leia wymienili zaskoczone spojrzenia. Księżniczka wzruszyła ramionami.

Han wyciągnął blaster. Spędził wiele frustrujących godzin, bo w obecności dyplomatów funkcjonariusze różnych służb bezpieczeństwa nie pozwalali mu nosić ulubionej broni, więc sięgał po nią, kiedy tylko wracał do kwatery. Uklęknął na kanapie, wymierzył blaster w kierunku czwórki intruzów i położył lufę na oparciu.

- Hej! - Powiedział.

Wszyscy czterej się odwrócili. Jeden zareagował szybciej niż pozostali i zaczął kierować ku niemu lufę karabinu. Solo przestrzelił mu gardło.

Leia zerwała się z kanapy i pomagając sobie Mocą, wyskoczyła pod sufit wysokiego salonu. Lecąc w górę, zapaliła klingę świetlnego miecza, a napastnik z ogromnym blasterem na ramieniu skierował ku niej lufę broni. Han nie miał pojęcia, czy żona włada świetlnym mieczem na tyle sprawnie, żeby odbić klingą strzał z takiego blastera, więc na wszelki wypadek zastrzelił intruza. Jego blasterowa błyskawica trafiła w hełm zabójcy na wysokości skroni i wyleciała z drugiej strony.

Dwaj pozostali przy życiu napastnicy odwrócili się do niego i dali ognia. Pierwszy strzał trafił w oparcie solidnie zbudowanej kanapy. Ciężki mebel z klęczącym na nim Hanem poderwał się w powietrze. Obracając się w locie, poszybował w kierunku przeciwległej ściany i zderzył się z transpastalową taflą iluminatora.

Solo poczuł, że gruba płyta zadrżała od impetu uderzenia. W ciągu trwającego całą wieczność ułamka sekundy zastanawiał się, co będzie, jak tafla pęknie, wyleci z ramy i pośle go w zimną próżnię przestworzy.

Wytrzymała. Rozległ się tylko brzęk, kiedy trafił w nią plecami. Poczul ból w obojczyku i runął na podłogę. Chwilę później spadła na niego kanapa.

Usłyszał pomruk i skwierczenie klingi świetlnego miecza żony i wytoczył się spod przewróconego mebla. W ciągu sekundy, kiedy wstawał i kierował blaster ku napastnikom, sytuacja została opanowana. Jeden z dwóch intruzów leżał z odciętą głową, a drugi, trzęsąc się z bólu, patrzył z niedowierzaniem na kikuty rąk, odciętych na wysokości łokci.

Obaj postrzeleni przez Hana napastnicy nie żyli, a z miejsc, gdzie trafiły jego strzały, wciąż jeszcze sączyły się pasemka dymu.

Leia odwróciła się w stronę drzwi, a Han nie potrzebował zmysłów Jedi, żeby poznać jej myśli.

- Taa - szepnął. - Ty w lewo, ja w prawo.

Wyskoczyli na Drogę Kallebartha. Han pobiegł najszybciej, jak mógł w kierunku apartamentów delegacji Korelii, a Leia puściła się biegiem w stronę kwatery przedstawicieli Coruscant. Pierwsze drzwi, obok których przebiegał Han, otworzyły się i ze środka wyskoczył jakiś mężczyzna. Solo skierował ku niemu blaster, ale od razu go opuścił, bo tym mężczyzną był jego syn.

- Dołącz do mnie, chłopcze - powiedział i pobiegł dalej.

Już z daleka zobaczył, że szerokie dwuskrzydłowe drzwi do apartamentu delegacji Korelii są otwarte. Ze środka wylatywały nitki blasterowych strzałów, które wbijały się w przeciwległą ścianę korytarza. W pewnej chwili z mrocznego prostokąta wyłonił się zakuty w czarny pancerz mężczyzna. Chwiejnie przestąpił próg, bo w kilku miejscach z jego napierśnika sączyły się strużki dymu, prawdopodobnie po trafieniach przez blasterowe strzały. Odwrócił się jednak, skierował lufę ogromnego blastera w głąb pomieszczenia i dał ognia. Z lufy broni wyskoczył sztych czerwonego światła i nagle ciemny prostokąt drzwi rozjarzył się migotliwym pomarańczowym blaskiem.

Han dał ognia i trafił napastnika w pancerz pod pachą. Mężczyzna się zachwiał, ale strzał nie przebił skorupy.

W tej samej chwili Jacen zablokował klingę świetlnego miecza i rzucił nim w mężczyznę. Zanim intruz zdążył odzyskać równowagę po strzale Hana, klinga przecięła mu nogi na wysokości kolan.

Jacen dopomógł sobie Mocą, przyspieszył i wyprzedził ojca. Pozwolił świetlnemu mieczowi wirować w powietrzu tuż przed progiem. Zauważył w ciemnym otworze następne błyski, prawdopodobnie po strzałach z blasterowych pistoletów... I przebiegł ostatnie dwa kroki z takim uczuciem, jakby zbierało mu się na mdłości.

Schwycił rękojęść wirującego miecza i przestąpił próg salonu.

Pomieszczenie stało w ogniu. Nie, niezupełnie. Płonęli tylko trzej funkcjonariusze Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa. Dym unosił się także z luf ich blasterów. Dziwne, że nie zareagowała instalacja przeciwpożarowa, zraszająca pomieszczenie w przypadku wykrycia ognia.

Na podłodze leżały także trzy ciała zakutych w czarne pancerze intruzów. Zwęglone otwory w ich głowach dobrze świadczyły o celności strzałów zabitych funkcjonariuszy KorSeku.

Jedne z wewnętrznych drzwi wiodących do sypialni zostały wyrwane z zawiasów, a na ościeżnicy widniały zwęglone ślady w miejscach, w które wbiły się blasterowe błyskawice z karabinów napastników. W drzwiach stał Wedge Antilles z blasterem w dłoni, ubrany w krótkie spodnie i wypłowiwały podkoszulek z emblematem Sojuszu Rebeliantów. Spojrzał Jacenowi w oczy i z ubolewaniem pokręcił głową.

Rycerz Jedi minął Antillesa i wszedł do następnego pomieszczenia. Na podłodze urządzonej z przepychem sypialni leżały zwłoki pani premier Pięciu Światów Aidel Saxan. W jej piersi widniała wypalona na wylot, wielka jak talerz dziura po blasterowym strzale, a po zwęglonej twarzy nie można było poznać, jaki wyraz gościł na niej ułamek sekundy przed śmiercią.

W miarę zbliżania się do drzwi głównego apartamentu delegacji z Coruscant Leia jeszcze bardziej przyspieszyła. Drzwi były otwarte, a ze środka dobiegały odgłosy blasterowych strzałów. Kilka kroków przed progiem księżniczka zwolniła i znieruchomiała równie szybko jak toydariański handlarz starzyzną po schwytaniu kredyty.

Salon apartamentu i korytarz, z którego można było się dostać do sypialni i innych pokoi, był zasnuty gęstym dymem. Na podłodze leżały zwłoki trzech zakutych w czarne pancerze intruzów, a

obok nich kilku funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu. W głębi salonu siedział lekko pochylony starszy mężczyzna w mundurze admirała. Nie miał głowy, szyi i górnej części piersi, a reszta ciała była zwęglona z powodu dużej energii strzału. Wielka dziura w ścianie na wysokości mniej więcej dwóch metrów stanowiła jedyny ślad po górnej części jego ciała.

Przed nim na podłodze leżał zakuty w czarny pancerz czwarty intruz. Jego blasterowy karabin upadł jakiś metr poza zasięgiem jego palców. Mężczyzna starał się wstać, ale okrakiem nad nim stał inny umundurowany funkcjonariusz Galaktycznego Sojuszu, który trzymał jego hełm za przesłonę. Kiedy zabójca chciał się wyślizgnąć spomiędzy nóg oficera, funkcjonariusz przyłożył mu do karku lufę małego blastera i dał ognia w taki sposób, żeby strzał przebił kręgosłup. Napastnik wzdrygnął się i znieruchomiał.

Widocznie funkcjonariusz uświadomił sobie, że ktoś stoi za jego plecami, bo odwrócił się i unosił lufę pistoletu. Dopiero wówczas Leia rozpoznała w nim Tycha Celchu. Na szczęście stary pilot umiał błyskawicznie odróżniać przyjaciół od wrogów, bo skierował lufę blastera w bok, kiedy Leia unosiła klingę świetlnego miecza do odbicia możliwego strzału.

Księżniczka spojrzała na ciało pod ścianą.

- Och, nie - jęknęła. - Tylko nie Pellaeon.

Tycho pokręcił głową.

- Nie Pellaeon - odparł cicho.

- To mój sobowtór. - Głos dobiegł z mrocznego korytarza, którego drzwi były otwarte, nie wysadzone. Z sypialni wyszedł stary admirał. Był ubrany w czarny szlafrok i trzymał gotowy do strzału blasterowy karabin. Spojrzał ze smutkiem na mężczyznę, który oddał za niego życie. Był tak przygnębiony, że obwisły nawet jego szczeciniaste siwe wąsy.

- Czy Han... - Zaczął Celchu.

- Nic mu nie jest - zapewniła Leia. - Han pierwszy dał ognia.

Odgłosy blasterowych strzałów umilkły. Słysząc było tylko pomruk świetlnego miecza Leii i skwierczenie płonących ciał. Kiedy księżniczka zgasła klingę broni, w pomieszczeniu zrobiło się jeszcze ciszej.

- Chodźmy się przekonać, jak paskudnie wygląda sytuacja - zaproponowała.

- Spojrzał na mnie, zaczął toczyć pianę z ust i padł trupem - powiedział Luke.

- Gość, którego pokonał Jacen, zrobił to samo - stwierdził Wedge.

- Ja też widziałem pianę na ustach kilkorga napastników - dodał Pellaeon.

Wszyscy stłoczyli się w świetlicy w pobliżu apartamentu obojga Solo: przedstawiciele obu delegacji dyplomatycznych, wszyscy Jedi i kilkoro funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa stacji Toryaz.

Jedna osoba z ich grona, pani porucznik Yorvin, chuda jak tyczka kobieta o włosach jeszcze bardziej rudych niż włosy Mary, postanowiła wziąć inicjatywę w swoje ręce.

- Musimy natychmiast zacząć zbierać zeznania - zaczęła. - Kiedy tylko rozstawimy nasze testery prawdomówności. Poproszę też, żeby z Kuata przyleciał jakiś sędzia i zajął się swoimi obowiązkami. Lordzie Solo - wskazała Hana - będzie pan musiał oddać blaster. Przebywa pan znów pośród członków delegacji.

Han posłał jej spojrzenie, w którym oburzenie walczyło o lepsze z niedowierzaniem.

- Nie jestem pewien, jak zareagować na takie żądanie - powiedział. - Zazwyczaj reaguję przemocą.

Pani porucznik Yorvin zorientowała się nagle, że po obu jej stronach stanęli Wedge Antilles i Tycho Celchu.

- Chciałaby pani pooddychać próżnią? - Zainteresował się Wedge.

- Słucham? - Zapytała zdeorientowana funkcjonariuszka.

- Może to określenie nie jest popularne w kuatskiej odmianie basica - odezwał się Tycho. - Mój partner pyta, czy pani porucznik ma ochotę obejrzeć pancerną stację od zewnątrz bez zakładania próżniowego skafandra.

- Ja nie... Ja... - Zająknęła się Yorvin.

- Spokojnie - powiedział Wedge. - Proszę mnie wysłuchać, Rzeczywiście należy przeprowadzić dochodzenie, ale to nie pani będzie nim kierowała. My się tym zajmiemy. Tu są pani rozkazy.

- Ja...

- Po pierwsze, proszę być cicho - uciął Celchu. - Po drugie, proszę pozamykać wszystkie pomieszczenia habitatu Narsacc. Niech pani także odetnie połączenie ze stacją Toryaz, a później zamknie i zablokuje wszystkie drzwi i włączy. Proszę dopilnować, żeby mogły zostać otwarte wyłącznie z pani stanowiska dowodzenia.

- A jeżeli już o tym mowa - wtrącił Wedge - czy na terenie habitatu znajduje się pomocniczy ośrodek dowodzenia? Miejsce, skąd można zmienić stan systemów zabezpieczających oraz blokad, żeby obejść rozkazy z mostka i głównego stanowiska dowodzenia służby bezpieczeństwa stacji?

- Tak jest, panie generale. - Yorvin kilka razy przeniosła spojrzenie z jednego na drugiego pilota. Wyraz jej twarzy sugerował, że zaczyna sobie uświadamiać, co będzie mogła zrobić w tej sytuacji, a czego nie. - Ale łatwiej byłoby...

- Proszę zrobić to stamtąd - uciął Tycho. - I przysłać nam tu swojego kapitana... Zapomniałem, jak się nazywa.

- Tawaler - podsunął Wedge. - Naturalnie nikomu nie wolno dotykać zwłok, broni, zwęglonych miejsc po blasterowym strzale, śladów krwi ani kałuży rozlanej kafeiny.

- Proszę także bez naszego zezwolenia nie interesować się nagraniami zarejestrowanymi przez kamery miejscowego systemu bezpieczeństwa - dodał Tycho. - Ma pani pozostać w pomocniczym ośrodku dowodzenia i być gotowa do otwarcia drzwi czy przekazania informacji, kiedykolwiek poproszę o to ja, generał Antilles, admirał Pellaeon, mistrz Skywalker czy każda inna upoważniona przez nas osoba.

Pani porucznik Yorin podjęła jeszcze jedną próbę.

- Ale... U nas nie prowadzi się dochodzenia w taki sposób - powiedziała.

Wedge odwrócił się znów do Pellaeona.

- Panie admirale, czy jeżeli ci ludzie nie wykonają dokładnie moich poleceń, stacja Toryaz dostanie wynagrodzenie za wynajem tego habitatu? - Zapytał.

- Oczywiście, że nie. - Ubrany znów w kompletny mundur Pellaeon rozsiadł się w wygodnym fotelu.

- A czy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, a nawet pozwani do sądu, jeżeli będą utrudniali dochodzenie? - Zapytał tym razem Tycho.

Pellaeon pokiwał głową jak dobrotliwy dziadek, który niechętnie przekazuje niepomyślne wiadomości.

- W dodatku przegrają - oznajmił. - I to z kretesem.

Wedge przeniósł spojrzenie na funkcjonariuszkę.

- Może pani odejść - powiedział.

Pani porucznik odwróciła się i wyszła, a raczej wybiegła tak szybko, że o mało nie uderzyła nosem w płytę drzwi, która nie dość szybko ukryła się przed nią w ścianie.

- Skoro mamy tu tylko jedną stronę, którą możemy uważać za naprawdę neutralną - zaczął Wedge - proponuję, żebyśmy powierzyli koordynowanie dochodzenia mistrzowi Skywalkerowi i jego Jedi.

- Zgadza się - stwierdził Pellaeon. - Nie chciałbym jednak, żeby zajmowali się tym wyłącznie Jedi.

- Proszę się o to nie martwić - odezwał się Luke. - Z przyjemnością wykorzystam umiejętności wszystkich osób. - Zmarszczył brwi. - Proszę pozwolić, że zadam pierwsze pytanie, panie admirałe. Czy zawsze wybiera się pan w drogę w towarzystwie sobowtóra?

Stary oficer pokręcił głową.

- Zaczniemy od tego, że w ogóle rzadko odbywam podróże dyplomatyczne - oznajmił. - To generał Celchu zasugerował, żebym zabrał sobowtóra i zgodził się na spędzanie nocy w sypialniach, które miały być puste. To właśnie jemu zawdzięczam życie.

- Prawdę mówiąc, na pomysł zachowania takich środków ostrożności wpadliśmy razem, ja i Antilles - wyjaśnił Tycho.

- Ktoś musi wreszcie położyć kres tej zdradzieckiej współpracy - odezwał się Pellaeon teatralnym szeptem, a wyraz jego twarzy wskazywał, że żartuje.

Luke odwrócił się do Antillesa.

- Ale Saxan nie przedsięwzięła takich samych środków ostrożności, prawda? - Zapytał.

Wedge pokręcił głową.

- Sugerowałem ich zastosowanie, ale przypominam, że nie jestem ani nie byłem odpowiedzialny za bezpieczeństwo pani premier Saxan, tak jak Tycho odpowiadał za bezpieczeństwo pana admirała. Ostateczne decyzje w tej sprawie podejmował szef służby bezpieczeństwa pani premier... Gość o nazwisku Tommick. Zginął podczas zamachu.

Han zmarszczył brwi.

- Chyba nie Harval Tommick? - Zapytał.

Wedge pokiwał głową.

- To członek politycznego aparatu Thrackana Sal-Solo - wyjaśnił Han. - Jakim cudem taki gość został szefem służby bezpieczeństwa politycznej rywalki Thrackana?

Wedge obdarzył go posępnym uśmiechem.

- Pełniąc obowiązki ministra wojny, Sal-Solo mógł nalegać, żeby do osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Saxan dołączyła „ekipa Tommicka”. Później to ona zaczęła o wszystkim decydować.

- Kto będzie teraz pełnił obowiązki premiera Pięciu Światów? - Zainteresował się Skywalker. - Zastępca Saxan?

Wedge kiwnął głową.

- Niejaki Denjax Teppler - powiedział. - Prawdę mówiąc, był kiedyś mężem Saxan. Później się z nią rozwiódł, ale oboje pozostawali w przyjaznych stosunkach. Będzie zajmował jej stanowisko do czasu rozpisania nowych wyborów, co może zająć kilka miesięcy.

Han prychnął.

- Chcesz powiedzieć, że dopóki i on nie zostanie zabity - zauważył.

Luke skończył się ubierać i usiadł. Poruszył palcami stóp w butach i zapiął wszyte z boku zamki. Był obecnie ubrany od stóp do głów w posępną czerń, odpowiednią do ponurej sytuacji... Wyglądał

groźnie, jak zawsze, kiedy chciał, żeby politycy i urzędnicy słuchali uważnie tego, co ma im do przekazania.

- No to zaczynamy - powiedział. - Jeżeli jestem odpowiedzialny za to dochodzenie do czasu, aż delegacje Galaktycznego Sojuszu i Korelii otrzymają rozkazy od swoich rządów, będę musiał działać szybko. - Wstał. - Tycho, Wedge i pozostali Jedi rozdzielią się i zaczną zbierać zeznania. Panie admirałe, proszę pozostać tu i koordynować zbieranie informacji. Hanie... - Zmarszczył brwi, bo nie wiedział, jak wykorzystać jego umiejętności w obecnej sytuacji.

Z kłopotu wybawiła go Leia.

- Han może zadbać o bezpieczeństwo - zaproponowała.

- A przy okazji nauczyć się od pana admirała jednej czy dwóch nowych sztuczek w sabaka.

- Nauczyć? Ja? - Powtórzył osłupiały Solo.

- Dwaj sympatyczni, podstarzali Korelianie mogą spędzać razem czas, oddając się nieszkodliwej grze w karty - dokończyła księżniczka z niewinnym wyrazem twarzy.

Pellaeon zmierzył Hana niedowierzającym spojrzeniem.

- Twoja żona uwielbia widok krwi, prawda? - Zapytał.

Solo wyciągnął rękę w kierunku starego oficera marynarki gestem oznaczającym: „a więc postanowione”. Luke omiótł pomieszczenie ostatnim spojrzeniem i zwrócił uwagę na syna. Ben był nienaturalnie cichy i blebszy niż zazwyczaj. Mistrz Jedi zauważył, że kiedy żona wyciągnęła rękę do chłopca, żeby rozwichrzyć mu włosy, a może pogłodzić go po policzku, Ben cofnął się, nie patrząc na matkę. Luke nie wiedział, czy syn wzdraga się przed każdym dotykiem, czy po prostu w obecności innych Jedi nie chce być traktowany jak małe dziecko. Poczul napływającą od Mary lekką urazę, którą żona szybko i bezlitośnie stłumiła.

Zrobiło mu się jej żal, ale nie miał czasu porozmawiać ani z nią ani z Benem.

- Zabierajmy się do pracy - powiedział.

Siedzący obok drzwi Zekk przycisnął otwartą dłońią guzik na kontrolnym panelu i płyta otworzyła się przed mistrzem Jedi. Szeleszcząc fałdami płaszcza, Luke wyszedł na korytarz, a pozostali Jedi poszli w jego ślady. Skywalker wiedział, że czeka go długa noc, wypełniona dochodzeniem, negocjacjami i teoretyzowaniem.

- Przepraszam, czy nie przeszkadzam w paradzie weteranów? - Zapytała Jaina.

Wedge, ubrany w anonimowy szary cywilny strój, i Tycho, nadal w mundurze, szli obok siebie korytarzem habitatu. Antilles obejrzał się na Jainę i Zekka, po czym obaj starzy piloci wymienili spojrzenia.

- Jedi poruszają się cicho jak duchy - stwierdził Celchu. - Zachodzą nas od tyłu, chociaż podobno są naszymi przyjaciółmi.

Wedge wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może po prostu pogarsza ci się słuch - podsunął.

- Straciłem go od słuchania skrzypienia twoich stawów - nie pozostał mu dłużny Tycho.

- To możliwe. - Wedge przeniósł spojrzenie na komputerowy notes, który trzymał w dłoni.

Wieczko było otwarte, a na niewielkim ekranie widniała mapa tego sektora habitatu Narsacc. Tło mapy było czarne, przegrody i ściany wyglądały jak cienkie żółte linie, a od miejsca, w którym się znajdowali, do celu ich wędrówki ciągnęła się przerywana czerwona linia. - Powiedz jej, że nie jestem pewien, czy powinienem rozmawiać ze zdrajczynią.

- Generał Antilles mówi... - Zaczął Celchu.

- Zdrajczynią? - Jaina osłupiała. - Zaraz, zaraz. Z urodzenia jestem w połowie Korelianką, ale nie wychowywano mnie jak obywatelki tej planety. Jako Jedi powinnam przedkładać dobro ogółu nad interes mieszkańców jakiegokolwiek planety...

- Nie o to mi chodziło - odparł spokojnie Wedge. Tycho pokiwał głową.

- Jest młoda i wyciąga pochopne wnioski - powiedział. Wedge wpisał polecenie na klawiaturze notesu i wycinek mapy na ekranie przemieścił się naprzód. Czerwona przerywana linia kończyła się obecnie kilkanaście metrów dalej przed jakąś śluzą.

- A poza tym gada jak najęta - powiedział.

- Musi - stwierdził Celchu. - Dla odmiany gość, który wszędzie za nią łązi, milczy jak skała.

Jaina obejrzała się na Zekka. Rycerz Jedi pokiwał głową na dowód, że zgadza się z tą opinią.

- Chodziło mi o to, że każdy, kto umie pilotować tęponosy myśliwiec równie zręcznie jak ty, ale zamiast latać szwenda się po okolicy w płaszczu i wymachuje niepraktycznym mieczem świetlnym, dopuszcza się zdrady wrodzonych umiejętności - wyjaśnił Wedge.

- Ależ ja latam - zachnęła się Jaina. - Nadal pilotuję X-wingi, a ty usiłujesz uniknąć odpowiedzi na moje pytanie.

Wedge pokiwał głową.

- No dobrze, koniec z unikami. - Nabrał głęboko powietrza w płuca i wypuścił je z pełnym skruchy westchnieniem. - To nie jest żadna parada weteranów - powiedział.

- Dobra robota - stwierdził Tycho. - Nie ma to jak szczerą spowiedź. Nic lepiej nie oczyszcza ducha, prawda?

- Rzeczywiście - zgodził się z nim Antilles.

Jaina zakrzywiła palce obu rąk, jakby zamierzała go udusić. - A więc czego się dowiedzieliście? - Zapytała.

- Jak prawdopodobnie wiecie, nie możemy nigdzie znaleźć dowódcy służby bezpieczeństwa habitatu - zaczął Tycho.

- Wiemy o tym - przyznała ponuro Jaina. - Ja i Zekk też go szukamy. Oglądaliśmy nagrania z holokamer...

- Które nie zarejestrowały Drogi Kallebartha w okresie, kiedy intruzi przypuścili atak - dokończył Celchu.

- Zgadza się - stwierdziła młoda Solo. - Przeszukaliśmy także jego kwaterę. Staraliśmy się go wyczuć... - Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi? - Zapytał Tycho.

Jaina się uśmiechnęła.

- A więc jednak czymś cię zainteresowałam - oznajmiła. - Nareszcie okazało się, że czegoś nie wiecie.

Tycho przewrócił oczami.

- Lepiej jej to powiedz, Wedge - zauważył. - Inaczej niczego się nie dowiemy.

Antilles stanął tak niespodziewanie, że Jaina o mało na niego nie wpadła. Znajdowali się przed klapą wjazdu, przy którym się kończyła czerwona przerywana linia na ekranie jego komputerowego notesu. Korelianiec zamknął wieczko urządzenia.

- Zaraz po ataku Tycho i ja zrobiliśmy pierwszą, najbardziej oczywistą rzecz... - Zaczął.

- Poprosiliście o brandy? - Podsunął Zekk.

- O, więc on umie mówić? - Tycho pokręcił głową. - Nie, poprosiliśmy o te nagrania z

holokamer, które nie istnieją.

- A więc nie macie właściwie niczego konkretnego? - Podsumowała Jaina.

Wedge wyjął z kieszeni kabel i wsunął jeden koniec do gniazda w obudowie komputerowego notesu. Drugi koniec, który wyglądał jak standardowa okrągła wtyczka, umieścił w gnieździe w ścianie pod kontrolnym panelem obok klapy śluzy.

- Sprawdzam stan - wyjaśnił zwięźle. - Chyba w środku panuje normalne ciśnienie. Żadnych niezwykłych impulsów z wewnętrznych sensorów komory. - Odwrócił się do Jainy. - Zapytaliśmy, czy sekcja inżynierska stacji Toryaz rejestruje wszystkie przypadki otwierania i zamykania klap włazów... Żeby na przykład sprawdzić, w którym miejscu występują oznaki zmęczenia materiału, gdzie zachodzi konieczność wymiany i tak dalej.

- Coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy - przyznała młoda Jedi.

Wedge się uśmiechnął.

- Mnie też nie - stwierdził szczerze. - Nauczyła mnie tego żona, a ściślej, uczyła naszą młodszą córkę, a ja tylko podsłuchałem. Jedna córka poszła w moje ślady, a druga w ślady żony. Czyż to nie idealna sytuacja pod względem genetycznym i cywilizacyjnym?

- Idealna - przyznała Jaina. - I co? Dowiedziałeś się czegoś ciekawego na temat częstotliwości otwierania klap tego włazu?

Wedge postukał kostkami palców w wewnętrzną klapę.

- Krótco przed atakiem ta śluza była otwierana - powiedział. - Pozostała otwarta mniej więcej minutę, chociaż nic nie wskazuje, żeby z drugiej strony przycumował jakiś statek. Zwróć uwagę, że znajdujemy się po przeciwnej stronie zewnętrznej krawędzi habitatu, więc tej śluzy nie widać z pokładu fregaty „Ognisty Cień”. To najbardziej niedogodnie usytuowana śluza w całym habitacie. Ma najtrudniejsze podejście, przez co mogą do niej przybijać tylko wahadłowce i mniejsze statki. Tak czy owak, minutę po otwarciu śluza została opróżniona, zewnętrzna klapa się otworzyła i zamknęła, a później śluza została ponownie napełniona atmosferą.

- A więc ktoś przyleciał tu wahadłowcem i tym samym wahadłowcem odleciał - podsumowała młoda Solo. Tycho pokręcił głową.

- To nie ma sensu - zauważył. - Ktoś sprowadza oddział skrytobójców i otwiera śluzę, żeby wpuścić ich do środka. Zamyka ją i każe śluzie wykonać pełny cykl, po czym znów ją otwiera... Dlaczego? Jeżeli ktoś chciał z niej skorzystać, żeby odlecieć, dlaczego nie pozostawił jej otwartej na tych sześćdziesiąt czy dziewięćdziesiąt sekund?

- A to oznacza, że mamy do rozwiązania łamigłówkę - oznajmił Antilles. - Dodajmy jeszcze fakt, że kilka minut później ktoś otworzył drzwi systemu bezpieczeństwa w rurze wiodącej do centralnej części stacji. Wiemy tylko tyle, że odleciał stąd wahadłowiec, a potem ktoś opróżnił śluzę i ponownie napełnił ją powietrzem... Może żeby usunąć z niej jakiś dowód? A jeszcze później ktoś opuścił habitat pieszo. - Z komputerowego notesu w jego dłoniach wydobył się melodyjny kurant i Korelianin otworzył wieczko, żeby spojrzeć na ekran. - Wygląda na to, że czysto - powiedział. - Zaryzykujemy?

- Wpuść tam najpierw dzieci - doradził Tycho.

Wedge wyszczerzył zęby w uśmiechu i wystukał na klawiaturze notesu kombinację cyfr i liter. Dał się słyszeć syk i klapa śluzy stanęła otworem. Antilles wyjął z drugiej kieszeni parę cienkich rękawiczek i je włożył. Nacisnął rogi kontrolnego panelu i przesunął palcami po górnych powierzchniach podświetlonych klawiszy z napisem „Niebezpieczeństwo”. Wszedł do śluzy i zaczął

zaglądać we wszystkie kryjówki i szczeliny.

- Żałuję, że nie ma tu Ielli - powiedział.

- Albo Winter - dodał Tycho.

- Obie nasze żony były kiedyś funkcjonariuszkami wywiadu - wyjaśnił Antilles Zekkowi. -

Prawdę mówiąc, żona Tycha niańczyła kiedyś Jainę. Wszystko, czego się nauczyliśmy, przejęliśmy od naszych żon... Głównie dzięki osmozie.

- Zazwyczaj najpierw strzelamy - wyjaśnił Celchu.

- Zamierzamy niebawem przejść w stan spoczynku - ciągnął Wedge. - Zostawić za sobą ten etap

życia, w którym strzelaliśmy.

Tycho pokiwał głową.

- W gruncie rzeczy jesteście niezmiernie pokojowo usposobieni - dorzucił.

Wedge wyszedł ze służby i wzruszył ramionami.

- Nic - oznajmił zwięźle.

Jaina wyciągnęła do niego rękę.

- Daj mi to - zażądała.

Antilles wyglądał na zaskoczonego.

- Słucham? - Zapytał.

- Widziałam, że schowałeś coś w dłoni, kiedy schylałeś się i szukałeś czegoś na podłodze. Daj

mi to - powtórzyła młoda Jedi.

Wedge pokręcił głową.

- Nasza wskazówka, nasze dochodzenie - stwierdził stanowczo. - Ty i twój małomówny cień możecie się do nas przyłączyć, jeżeli chcecie.

- Możemy pójść na wymianę - zaproponował Zekk.

Wedge posłał mu zaintrygowane spojrzenie.

- Słucham? - Powtórzył.

- Wymieńmy się. Zdradzę ci swoją wskazówkę, którą zdobyłem sam, bez niczyjej pomocy.

- Nie powiedziałeś mi, że cokolwiek zdobyłeś - mruknęła Jaina.

Zekk zignorował jej uwagę.

- A ty przekażesz Jainie swoją wskazówkę - powiedział. - To uczciwa wymiana.

Wedge spojrzał na Tycha.

- Co o tym sądzisz? - Zagadnął.

Celchu pokręcił głową.

- To blef Jedi - zawyrokował.

Zekk się uśmiechnął.

- Mogę ci ułatwić podjęcie decyzji - oznajmił. - Jeżeli zastosujesz moją wskazówkę, będziesz musiał zarekwirować wahadłowiec albo statek ratunkowy i wylecieć nim poza stację.

Antilles westchnął.

- Najgorsi są zawsze ci małomówni. No dobrze, mistrzu perswazji. Zgadzam się na twoją propozycję. - Wyjął z bocznej kieszeni czystą pomarańczową szmatkę, w którą był owinięty jakiś przedmiot. Przytrzymał ją w powietrzu nad wyciągniętą dłonią Jaina, ale nie wypuścił. Spojrzał na Zekka. A twoja wskazówka?

- Jak powiedziała Jaina, my także szukaliśmy Tawalera - zaczął rycerz Jedi. - Jego komunikator twierdzi, że znajduje się poza bazą. W pierwszej chwili zlekceważyłem tę informację, ale później

sobie o niej przypomniałem. „Poza bazą” oznacza zazwyczaj: „poza terenem ziemnej stacji”. W zakonie używamy tych samych określeń, prawdopodobnie dlatego, że i mistrz Skywalker służył kiedyś w wojsku. Określenie oznacza, że właściciel komunikatora nie przebywa na terenie bazy, ale jego urządzenie odpowiada na wezwanie i wysyła sygnał zwrotny. Mam rację?

- Masz - przyznał Wedge. - Jasne, że masz.

Jaina zrozumiała równie szybko, co oznacza „wskazówka” Zekka.

- A więc komunikator naszego podejrzanego nadal odpowiada na sygnał wysyłany z bliska... Ale wszyscy do tej pory przypuszczaliśmy, że Tawaler odleciał na pobliską planetę - podsumowała. - Daj mi to. - Zaczęła przebierać palcami.

Wedge wypuścił pomarańczową szmatkę. Zawinięty w nią przedmiot nie był ciężki... Ważył najwyżej pół kilograma.

Jaina rozwinęła szmatkę i pokazała wszystkim, co jest w środku.

- Ha! - Powiedziała.

ROZDZIAŁ 21

W nocy, kiedy dyplomaci powinni spać albo planować przebieg przyszłych negocjacji, Jedi i wszyscy odpowiedzialni za przebieg dochodzenia przeszukiwali pomieszczenia habitatu Narsacc.

Podczas rozmowy z dowódcą fregaty „Ognisty Cień” Wedge i Tycho dowiedzieli się, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozpoczynał się atak na obie delegacje, z innego habitatu wystartował wahadłowiec. Miał jednostkę napędu nadświetlnego i oddalił się od grawitacyjnej studni Kuata z prędkością, która nie wzbudziła niczyich podejrzeń. Zdażył zniknąć w nadprzestrzeni, zanim z habitatu Narsacc przekazano informację o napaści. Po ogłoszeniu alarmu funkcjonariusze służby bezpieczeństwa zarządziли blokadę, podczas której żaden statek czy pojazd nie mógł wylądować na terenie stacji Toryaz ani z niej odlecieć. Wynikał stąd oczywisty wniosek, że jeżeli osoba albo osoby, które przeszły główną rurą z habitatu Narsacc do centralnej części stacji, nie odleciały na pokładzie tego wahadłowca, musiały się znajdować nadal na terenie stacji.

Leia i Mara wyszukały funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa znajdujących się na medycynie sądowej, żeby dokonali oględzin zwłok napastników. Niektórzy zginęli od strzałów z blasterów, inni od ciosów kling świetlnych mieczy, ale byli też tacy, których śmierć spowodowało wprowadzenie do organizmów silnie toksycznego alkaloidu, wstrzykniętego bezpośrednio do ust przez miniaturowe dozowniki. Ze wstępnych ustaleń wynikało, że wszyscy napastnicy i tak byli umierający z powodu nieuleczalnych chorób, a prosty test genetyczny ujawnił, że przynajmniej trzy czwarte spośród nich pochodziło z Korelii.

Dzięki wstawiennictwu pani porucznik Yorvin, Wedge i Tycho, którym towarzyszył Luke, zarekwirowali wahadłowiec i zestaw skomplikowanych sensorów z komunikatorem. Dopiero jednak po godzinie uważnego latania między szprychami stacji natknęli się na sygnał komunikatora kapitana Tawalera. Oficer, martwy jak skała z powodu eksplozyjnej dekompresji, jakimś cudem nie stracił komunikatora. Obaj starzy piloci zabrali ciało oficera, przetransportowali je na teren stacji i przekazali tym samym specjalistom od medycyny sądowej, którzy badali zwłoki napastników. Eksperci oświadczyli, że Tawaler zginął z powodu krwotoku wewnętrznego i wystawienia ciała na oddziaływanie próżni. Nie znaleźli w ciele żadnych ran ani środków chemicznych. Nie zauważyli także śladów, które by wskazywały, że przed śmiercią został związany. Wszystko wskazywało, że z własnej woli wyskoczył ze śluz w próżnię, gdzie zginął makabryczną, bolesną śmiercią.

Jacen, którego nie odstępował Ben, także badał pomieszczenia habitatu. Szukał dodatkowych śladów, które mogłyby wskazywać na użycie Mocy. Znalazł je w pomocniczym ośrodku dowodzenia służby bezpieczeństwa, które obecnie zajmowała pani porucznik Yorvin, a także w śluzie, z której wyskoczył Tawaler. W każdym z tych miejsc wyczuwał słabą obecność kobiety, ale im usilniej starał się ją wyczuć, tym bardziej jej obraz się rozmazywał.

Mara i Leia zbadały dokładnie pomocniczy ośrodek dowodzenia. Natrafiły w końcu na modyfikacje kodu, dzięki którym pilot wahadłowca mógł przycumować, niezauważony przez sensory

stacji. Znalazły także prawdziwe nagrania, na których uwidocznił przyłot i pospieszny odlot statku.

Admirał Pellaeon przekazywał informacje od jednej grupy do drugiej, a w przerwach, nie mając nic innego do roboty, przegrał w sabaka setki kredytów do Hana Solo. Luke i jego ekipa dochodzeniowa zgromadzili się znów w świetlicy po nieprzespanej nocy. Nikt jednak nie wyglądał na zmęczonego, bo Jedi nie potrzebowali snu dzięki technikom Mocy, a Han, Wedge i Tycho zawdzięczali to kafeinie oraz sile woli.

- A więc czego się dowiedzieliśmy? - Zaczął mistrz Jedi, po czym zaczął wyliczać, odginając kolejne palce. - Napastnicy pochodzili przeważnie z Korelii, co jeszcze niczego nie dowodzi, bo każdy może wynająć koreliańskich skrytobójców. - Zauważył spojrzenia, jakie wymienili Wedge i Han, i dodał szybko: - Nie chciałbym, żebyście opacznie zrozumieli moje słowa.

- Nie ma sprawy - uspokoił go Solo.

- Opracowali bardzo skomplikowany plan - ciągnął Luke. - Przynajmniej w fazie początkowej. Autor planu posłużył się silnymi narkotykami, żeby obezwładnić strażników pełniących służbę w obrzeżach habitatu. Do zabicia intruzów, którzy by ewentualnie przeżyli atak, użył bardzo silnie trujących i trudnych do zdobycia alkaloidów. Zamachowcy doskonale wiedzieli, gdzie kto śpi... A ściślej, gdzie powinien spać, bo admirał Pellaeon i jego personel zajmowali inne sypialnie bez wiedzy funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa samej stacji. Wygląda na to, że ktoś, posługując się Mocą, wpłynął na umysł kapitana Tawalera, aby dobrowolnie wziął udział w realizacji tego planu, a później popełnił samobójstwo... Co niestety zmusza nas do wyciągnięcia wniosku, że w całej akcji maczał palce Ciemny Jedi albo jakiś jego odpowiednik. Wniosek ten jest uzasadniony także tym, że napastnicy dysponowali bronią przeznaczoną do użycia przeciwko Jedi.

- Podobnie jak Korelianie, kiedy przygotowali się do obrony stacji Centerpoint przeciwko atakowi Jedi - przypomniał Wedge.

Zanim Luke zdążył odpowiedzieć, do rozmowy wtrącił się Han.

- To był Thrackan - stwierdził stanowczo.

- To tylko jedna z możliwości, jakie bierzemy pod uwagę: - przyznał mistrz Jedi. Nie mógł jednak zdradzić pomysłu, jaki właśnie przyszedł mu do głowy: jeżeli Saxan bardzo zależało na osiągnięciu pokoju, pani premier mogła posłużyć się tajną koreliańską flotą w charakterze karty przetargowej. Gdyby przywódca Sal-Solo rzeczywiście odpowiadał za budowę tej floty, musiałby podjąć wszelkie kroki, jakie by uznał za konieczne, żeby flota nie mogła stanowić przedmiotu negocjacji.

- Jedna z możliwości, akurat! - Han podniósł głos. - Czy jeszcze ktoś, spośród nas nie wie, że za zniszczenie urządzeń kontrolnych stacji Centerpoint odpowiadają mój syn Jacen i syn Luke'a Ben?

Po jego słowach w świetlicy zapadła głucha cisza. Mistrz Jedi zauważył, że Ben wygląda na zirytowanego oświadczeniem Hana. Na twarzy chłopca pojawił się dziwny wyraz, jakby pełen grozy na wspomnienie wydarzenia, które miało go prześladować do końca życia. Jeszcze raz się zastanowił, czy syn kiedykolwiek opowie obojgu Solo tę część swojej historii, którą wyjawiał tylko podczas składania raportu w gronie Jedi. Bardzo wątpił, żeby Ben zdradził historię androida, który uważał siebie za Anakina Solo.

- Oglądałem nagrania z kamer systemu bezpieczeństwa, zarejestrowane podczas ataku na stację Centerpoint - odezwał się w końcu Wedge. - Jako osoba najgorzej poinformowana z tego grona, muszę stwierdzić, że odpowiedź jest przecząca.

- Widzicie? - Zapytał triumfująco Solo, rumieniąc się z podniecenia. - Thrackan pała żądzą zemsty. W wyniku zniszczeń w sterowni repulsora stacji Centerpoint na marne poszło wiele lat pracy,

a jego planom bardzo daleko do pomyślnego zakończenia. Gdyby ostatniej nocy jego atak się powiódł, zemściłby się i zarazem otworzył sobie drogę do przejęcia całkowitej władzy nad Korelią. Jest jedyną osobą, która mogłaby odnieść korzyść z tego, co się tu stało.

- Niezupełnie - odezwała się Leia. - Odniosłby korzyść tylko wówczas, gdyby przejął kontrolę i osiągnął pokój. Zabicie pani premier Saxan zmniejsza prawdopodobieństwo zawarcia pokoju. Po tym, co się tu wydarzyło, Korelianie wpadną w furję i ze zdwojoną energią będą parli do wojny... A Thrackan z pewnością się orientuje, jak bardzo taka wojna zrujnuje gospodarkę mieszkańców Korelii, nawet gdyby ją wygrali.

- To był Thrackan - obstawał przy swoim Han.

- Jacenie? - Luke pochylił się w stronę siostrzeńca. - Na terenie stacji Centerpoint ścigałeś Thrackana, żeby odwrócić jego uwagę od Bena. Czy odniosłeś wówczas wrażenie, że Sal-Solo zamierza potraktować wasze poczynania jak osobistą zniewagę? Czy nie wydało ci się bardziej prawdopodobne, że zareaguje jak doświadczony konspirator?

Jaceni zastanowił się nad pytaniem wuja. Podczas składania raportu nie wyjawiał, że w pewnej chwili doszedł do wniosku, iż Thrackan musi zginąć. Wszystko wskazywało na to, że i Sal-Solo nie wspomniał nikomu o tym fragmencie ich rozmowy. Jaceni chyba dopiero obecnie rozumiał powody, dla których Thrackan tego nie zrobił. Zatajając ten fragment ich rozmowy, przywódca Korelii liczył na to, że nie będzie kojarzony z tym atakiem. Jaceni miał zatem dwa wyjścia: albo się przyzna do próby zabicia Thrackana - co jeszcze bardziej nadszarpnie zaufanie, jakim darzył go Luke - albo nic nie powie, co pomoże zatrzeć związki Thrackana z atakiem, do którego doszło ostatniej nocy.

No cóż, na razie wystarczy, że wie o tym on, Jaceni. Może prowadzić własne dochodzenie, znając motywy postępowania Thrackana. Pokręcił głową.

- Według mnie nic nie wskazywało, żeby miał to potraktować jako sprawę osobistą - odezwał się w końcu.

Luke rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- W każdym razie będziemy starali się zbadać jego związek z tym zabójstwem - oznajmił. - Coś jeszcze?

- Ja mam - odezwała się Jaina. Wyjęła spod poły płaszcza pomarańczową szmatkę rozmiarów niewiele większych niż jej pięść. Ostrożnie ją rozwinęła i wyciągnęła w kierunku wuja, żeby wszyscy mogli zobaczyć, co skrywała.

W pierwszej chwili mistrz Jedi nie mógł się zorientować, na co patrzy. Przedmiot wyglądał jak wysuszony żyłkowany owoc zmutowanego drzewa. Był jednak elastyczny i miał niebiesko-czarny rdzeń długości kilkunastu centymetrów. Od rdzenia odchodziło we wszystkie strony ponad dwadzieścia rurkowatych gałązek, najwęższych w centralnym punkcie oraz na końcach i trochę grubszych pośrodku. Każda gałązka miała mniej więcej sześć centymetrów długości; każda też była innego koloru. Pomalowano je albo wyrzeźbiono w paski, cętki i inne wzory. Jedna, pękata i guzowata, składała się ze spiralnie zwiniętych, czerwonych i niebieskich pasków. Inna, długa i prosta, miała barwę drażniącej wzrok żółci z czerwonymi i czarnymi cętkami. Na jeszcze innej, barwy brązowokremowej, widniały zygzakowate czarne wzory.

- Znaleźliśmy to w śluzie, z której skorzystał Tawaler, kiedy wyszedł na spacer, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza - ciągnęła Jaina. - Nie miałam czasu zbadać tego na obecność organicznych trucizn, ale przedmiot nie wykazuje biologicznej aktywności. Wygląda jak paciorkowata ozdoba.

- Zostawiona przypadkowo czy świadomie, żebyśmy ją znaleźli? - Zainteresował się mistrz Jedi.

- Przyniósł Tawaler czy ktoś inny?

Jaina wzruszyła ramionami.

- Na razie tego nie wiem - przyznała.

- Bardzo przepraszam. - Słowa wydobyły się z głośników miejscowego interkomu. Luke rozpoznał głos pani porucznik Yorvin. - Mam priorytetową wiadomość dla pana admirała Pellaeona. Nie przebywa w swojej nowej kwaterze. Czy możliwe, że jest nadal w świetlicy?

- Jestem tu - odezwał się Pellaeon. Wstał z wysiłkiem, a Tycho poszedł w jego ślady. - Pewnie mnie wzywają do złożenia sprawozdania, a kiedy to zrobię, ta konferencja dobiegnie końca. - Ciężko westchnął. - Wrócę za kilka minut. - Odwrócił się i sztywno wymaszerował ze świetlicy w towarzystwie Tycha. Drzwi zamknęły się za ich plecami.

Wedge spojrział na wyświetlacz chronometru.

- Martwa pani premier wkrótce też dostanie takie wezwanie - powiedział. - Będę musiał udzielić odpowiedzi zamiast niej. Wybaczcie, że was opuszczam.

Wstał i wyszedł.

- W świetlicy zostali tylko Jedi - zauważył Zekk. - I szwagier osoby, która jest Jedi.

Han spiorunował go spojrzeniem.

Luke zerknął na pozostałych nad dłońmi, które zaplótł przed sobą, jakby pogrążył się w zadumie.

- Moim zdaniem trzeba uznać, że nasza misja na pokładzie tej stacji zakończyła się całkowitą klęską - zaczął. - Zostaliśmy wymanewrowani i zyskaliśmy przynajmniej jednego wroga, o którym nic do tej pory nie wiedzieliśmy... A i w tej chwili wiemy bardzo mało. Za kilka minut delegacje zostaną wezwane do powrotu i dopiero wtedy dochodzenie Jedi będzie mogło rozpocząć się na dobre.

- Jacenie, Benie... Postarajcie się zebrać wszelkie możliwe informacje na temat kapitana Tawalera. Musimy się dowiedzieć, kim jest posługująca się Mocą osoba, z którą prawdopodobnie miał kontakt przed śmiercią. Nie mogła opuścić stacji Toryaz, nie pozostawiając żadnych śladów. Jeżeli nie wpadniecie na jej trop, prześledźcie trasę lotu wahadłowca, na którego pokładzie prawdopodobnie odleciała.

Jacen pokiwał głową.

- Załatwione - powiedział.

- Jajno, Zekku, dowiedzcie się wszystkiego, co się da na temat znalezionej w śluzie przedmiotu. Postarajcie się ustalić, czy zostawiono go przypadkiem, czy celowo, a także skąd pochodzi i co oznacza. Kiedy się tego dowiedziecie, wróćcie do Systemu Koreliańskiego i obejmiecie dowodzenie nad Eskadrą Hardpoint, dopóki Mara i ja nie wrócimy z wyprawy na samą Korelię. Za chwilę powiem wam coś więcej o tej wyprawie.

Leia i Han powinni nadal łagodzić spór między Korelią a Galaktycznym Sojuszem. Nie umiem wyobrazić sobie nikogo, kto bardziej niż wy nadaje się do przekazywania poufnych informacji między tymi dwoma rządami, nawet jeżeli ich wrogość się umocni. Nie mam nikogo innego, kto bez ogródek powie przywódcom obu rządów, że zachowują się jak samce banthów w okresie godowym.

Leia i Han wymienili spojrzenia.

- Chyba możemy się tego podjąć - oznajmiła księżniczka.

- Mara i ja polecimy zaś na Korelię, żeby się dowiedzieć, skąd pochodzą sprawcy zamachu, jaki zorganizowano na nas zeszłej nocy - zakończył Luke.

- Ja także byłem celem zamachu, prawda? - Zagadnął nagle Ben. Chłopiec odezwał się pierwszy

raz od czasu, kiedy Jedi zebrali się znów w świetlicy. Zachowywał się całkiem spokojnie... Nie był wystraszony, ale znacznie poważniejszy niż inni trzynastoletni chłopcy. Luke poczuł, że w jego gardle tworzy się klucha.

- Tak - przyznał. - Jeżeli zamierzali zabić Jacena z powodu tego, co stało się na stacji Centerpoint, zamierzali zabić także ciebie. Twój młody wiek dla nich nic nie znaczy. Postaraj się jednak mnie dobrze zrozumieć: bez względu na to, kim oni są i jak wysoko są postawieni, nie zamierzam tolerować dalszego... - Urwał, zanim dodał słowo „istnienia”. Pojęcie zemsty powinno być obce mistrzowi Jedi, nawet kiedy celem zamachu skrytobójców jest jego syn - ...Dalszego przebywania na wolności ludzi, którzy za cel podstępnych ataków obierają dzieci.

- Hej, jak to delikatnie powiedziane - stwierdziła Mara. - Nie sądzę, żeby powstrzymali się przed zabiciem nas, jeżeli stawimy im czoło. A kiedy to zrobią...

- Nigdy nie powinniśmy szukać okazji do zabijania, Maro - odparł łagodnie Luke. Musiał jednak przyznać, że i jemu przemknęła przez głowę taka myśl. Krążyła na obrzeżach jego samokontroli niczym neki tuż poza zasięgiem blasku obozowego ogniska. - W takim razie do dzieła. Benie, dotrzymasz towarzystwa mnie i matce, zanim będziemy musieli stąd odlecieć.

Kiedy Skywalkerowie zniknęli za drzwiami świetlicy, Jacen zaczął dawać znaki siostrze, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Nie chciał, żeby wychodziła z Zekkiem i pozostałymi Jedi.

- Czy mogę to jeszcze raz obejrzeć? - Zapytał.

- Jasne - odparła Jaina i wyciągnęła ku niemu wielobarwną kitkę. - Proszę bardzo.

Jacen zaczął się przyglądać. Z bliska wyglądało to jak niezwykła plecionka z małych koralików. A może raczej jak zestaw ozdobnych plecionek, z których każda miała inny kształt, kolor i charakter ozdób, ale wszystkie były dołączone do centralnego długiego rdzenia. Rdzeń kończył się sznurem takiego samego niebieskoczarne koloru, ale nieozdobionego żadnymi koralikami. Sznur miał trzy lub cztery centymetry długości i został na końcu ucięty, prawdopodobnie tępym narzędziem, bo materiał był wystrzępiony. Przedmiot mógł się zaklinować w jakiejś szczelinie albo ktoś go wyrwał z dłoni umierającego mężczyzny, który pewnie nawet nie zauważył jego straty. Jacen liczył się z tym, że kitka mogła zostać celowo pozostawiona w służbie.

Nie mógł oderwać spojrzenia zwłaszcza od jednej plecionki, brązowokremowej z zygzakowatym czarnym wzorem. Stwierdził, że spomiędzy ściśniętych koralików wystają końce cieniutkich czarnych nitek. Oglądana z odległości metra kitka przypominała sznurek, który powinien zostać wygładzony, ale z bliska końce nitek kojarzyły się z miniaturowymi pazurkami.

A wykonanie samej kitki... Jacen był bliski zrozumienia intencji artysty, który ją zaplątał. Jasnobrązowy kolor oznacza pokój, powiedział sobie. Sterczące na boki czarne nitki to niepokój albo walka, a zagięte końce nitek to haczyki albo pazury. Morał: nawet podczas spokojnego życia można trafić na wojnę. Wojna będzie miała haczyki, które wciągną cię w nią jeszcze głębiej. Staną się pułapką dla nieostrożnych osób. Rycerz Jedi przeczuwał, że we wzorze chodzi o coś więcej. Za wzorami z koralików kryło się jakieś przesłanie, ale nie umiałby powiedzieć jakie.

Nagle poczuł się głupio. Był rycerzem Jedi, nie krytykiem dzieł sztuki. Nie do niego należało odgadywanie znaczenia wzorów tandetnego świecidełka, które prawdopodobnie kosztowało niecały kredyt na miejskim rynku jakiejś zacofanej planety. Mimo to przedmiot cały czas przyciągał jego uwagę.

Nagle uświadomił sobie, że siostra coś do niego mówi, i oderwał uwagę od plecionek kitki. Uśmiechnął się do Jainy i pokręcił głową.

- Przepraszam - powiedział. - Śniłem na jawie.

- To do ciebie niepodobne - stwierdziła siostra.

- Już bardziej do Anakina - zgodził się brat. - Posłuchaj, nie chciałabyś się zamienić?

Jaina zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli? - Zapytała.

- Chodzi mi o przydzielone nam zadania - wyjaśnił Jacen. - Wyczuwam coś, co promieniuje z tych plecionek. A ty?

- Nie, raczej nie. - Jaina nachyliła się nad kitką, żeby się jej lepiej przyjrzeć, ale po chwili pokręciła głową.

- A więc to ja powinienem się zająć jej badaniem - stwierdził brat. - Ty zajmij się sprawą Tawalera, a później możesz objąć dowództwo eskadry wujka Luke'a.

Jaina zastanowiła się chwilę nad jego propozycją,

- Uzgodnijmy to najpierw z wujkiem Lukiem - zdecydowała.

- Lepiej nie - sprzeciwił się Jacen. - Ostatnio podawał w wątpliwość zasadność moich przeczuć, chociaż cały czas mi radził, żebym im ufał. No cóż, właśnie teraz im ufam... I to ja powinienem się zająć sprawą wyjaśnienia tajemnicy tych plecionek.

Jaina posłała mu udęczone spojrzenie.

- A kiedy o to zapyta... - Zaczęła.

- ...Powiesz, że to wszystko moja wina - dokończył brat.

Jaina pokiwała głową.

- Na pewno w to uwierzy - zapewniła. - Mimo wszystko jesteś mężczyzną.

Luke, Mara i Ben szli Drogą Vargannera, korytarzem biegnącym o jeden poziom wyżej, równoległe do Drogi Kallebartha. Na krótki okres negocjacji między delegacjami Galaktycznego Sojuszu i Korelii korytarz został zamknięty, ale obecnie Luke go otworzył, żeby z całą rodziną móc pospacerować tam, gdzie nikt nie będzie im przeszkadzał.

Przystanęli dopiero przy wnęcie w zewnętrznej ścianie habitatu. Większą część wgłębienia zajmowała przejrzysta jak kryształ płyta transpastali. Rozciągał się stąd podobny widok jak z iluminatora w apartamencie obojga Solo, ale obejmujący jeszcze większy wycinek przestworzy. W obecnej chwili Skywalkerowie widzieli majestatyczną panoramę gwiazd i odległe słońce Kuata.

- Benie, twoje myśli krążą tuż pod powierzchnią - odezwał się w końcu Luke.

- Powinniśmy tam wszyscy lecieć - stwierdził chłopiec. - Na Korelię. My, Jacen i Jaina. Powinniśmy tak długo przesłuchiwać Thrackana Sal-Solo, aż przyzna się do tego, co tu zrobił. A później powinniśmy go zamknąć, żeby nie zrobił tego nigdy więcej.

- Wszyscy razem, jako rodzina, tak? - Zapytał mistrz Jedi.

Ben pokiwał głową, ale nie spojrzął na ojca. Z uporem wpatrywał się w odległą mgławicę w kształcie rombu.

- Jesteśmy wszyscy oburzeni tą napaścią - stwierdziła Mara.

- Nie możemy jednak wykorzystywać naszych umiejętności Jedi tylko dlatego, że powoduje nami gniew. Nie możemy zaatakować Thrackana za samo podejrzenie, że to on stoi za tym zamachem. Musimy zebrać więcej dowodów.

- Wiem. - W głosie Bena zabrzmiała rezygnacja. - Jeżeli czujesz wściekłość, nie możesz poddać się instynktowi, bo wtedy działa nie Moc, ale twój gniew. Możemy jednak ulec instynktom na zimno. Jacen jest także zimny.

Jego rodzice wymienili ukradkowe spojrzenia.

- Prawdopodobnie to, co wyczuwasz u niego jako chłód, jest w rzeczywistości zanurzeniem się w Mocy - stwierdził Luke.

- Emocje Jacena okresowo zanikają. Rzeczywiście może to sprawiać wrażenie chłodu.

- Wszystko jedno. - Ben wzruszył ramionami. - Ja i tak uważam, że możemy to zrobić. Możemy schwytać Sal-Solo. Możemy także powstrzymać Korelian przed rozpoczęciem wojny.

- To zupełnie inna sprawa - oznajmił Luke. - A jeżeli Moc ci podpowie, żebyś nie robił im żadnej krzywdy? Albo nie rozstrzygnie jednoznacznie, czy powinni wygrać, czy nie?

W końcu Ben spojrzał na ojca.

- Hm? - Zapytał.

- Benie, czy możesz mnie zapewnić z ręką na sercu, że Korelian nie powinni odłączyć się od Galaktycznego Sojuszu, nawet jeżeli naprawdę na tym im zależy? - Zapytał Luke. - Pomyśl o Korelianach, których znasz... Na przykład o wujku Hanie i o Wedge'u Antillesie. Jeżeli większość mieszkańców ich systemu pragnie niepodległości, dlaczego nie mieliby się nią cieszyć?

Ben zmarszczył brwi.

- To nie ma sensu - odparł po namyśle. - Korelia stanowi część Galaktycznego Sojuszu. Nie może go opuścić.

- Dlaczego? - Zapytała Mara.

- Bo to wywoła ferment - odparł chłopak. - Tak przynajmniej mówi Jacen.

Mistrzynie Jedi kiwnęła głową.

- To rzeczywiście wywoła ferment - przyznała. - W życiu spotykamy wiele takich fermentów. Moc jest tworzona przez życie, więc także ma w sobie ferment. Jeżeli otwierasz się na Moc, jak mógłbyś się nie otworzyć także na pewną dawkę fermentu?

Ben obrzucił rodziców podejrzliwym spojrzeniem. Miał minę chłopca, który za nic nie chce uchodzić za łatwowiernego.

- Po czyjej stronie właściwie stoicie? - Zapytał.

Luke parsknął.

- Zakon Jedi chroni Galaktyczny Sojusz i służy mu, podobnie jak przedtem służył Nowej Republice - zaczął. - I tak samo jak wcześniej stary zakon służył Starej Republice. Zdecydowaliśmy się jednak na pewną swobodę w interpretacji naszych zadań, naszych rozkazów. Robimy to dla dobra ogółu. To oznacza, że jeżeli dostaniemy rozkaz wyruszenia do walki, ale dojdziemy do wniosku, że łatwiej zwyciężymy dzięki negocjacom albo bezkrwawej demonstracji siły, właśnie na to się zdecydujemy. Jeżeli stwierdzimy, że da się osiągać pokój, zmuszając przeciwne strony do wysłuchania swoich racji, zrobimy to... Nawet jeżeli jedna z tych stron jest uprawniona do wydawania nam rozkazów.

Ben popatrzył na panoramę gwiazd.

- Niektóre dzieciaki twierdzą, że nie znoszą słyszeć od rodziców: „Zrób to, bo ja tak mówię”. Czasami wydaje mi się, że one mają łatwe życie.

Mara roześmiała się cicho i rozwichrzyła jego rude włosy.

- Prawdopodobnie masz rację - stwierdziła. - W dodatku nie muszą latać po całej galaktyce i ćwiczyć prawdziwym świetlnym mieczem.

- Taa, chyba tak - przyznał Ben. - Ale decydowanie o czymś jest trudne i trochę niesprawiedliwe. I chyba nigdy nie ma właściwej odpowiedzi.

Luke znów poczuł, że ma ściśnięte gardło, ale tym razem z dumy, nie z niepokoju.

- Właśnie o to chodzi - powiedział. - „Chyba nigdy nie ma właściwej odpowiedzi” to właściwa odpowiedź.

- Aha.

- Uważaj na ludzi, którzy twierdzą, że znają właściwą odpowiedź - przestrzegła Mara. - Może ją rzeczywiście znają, ale często się mylą. Wielu wie, że decyzje są trudne, więc w ogóle nie chce zadawać sobie tego trudu. Wolą mieć przywódcę, któremu mogą ufać... Który ich zwolni od myślenia. Mam nadzieję, że tobie nie jest potrzebny taki przywódca.

Ben otworzył usta, jakby chciał zadać jeszcze jedno pytanie, ale zaraz je zamknął.

- Masz rację - stwierdził Luke. - Gdybyś zapytał, czy powinieneś opowiedzieć Hanowi i Leii o androidzie, który uważał siebie za Anakina Solo, musielibyśmy ci odpowiedzieć, że nie wiemy.

Ben znów uniósł głowę i spojrzał na ojca.

- Czasami nie znosisz być mistrzem Jedi, prawda? - Zapytał.

Luke zastanowił się chwilę i kiwnął głową.

- Od czasu do czasu - przyznał.

- Ja też - oznajmił chłopak.

W ciągu następnej godziny ze stacji Toryaz odlecieli członkowie trzech grup - wszyscy z wyjątkiem Jaiiny, Zekka, Jacena i Bena, którzy zostali, żeby rozpocząć własne dochodzenie w habitacie Narsacc. Machali na pożegnanie wszystkim odlatującym na pokładach korwet i transportowców z iluminatora apartamentu, w którym mieszkali oboje Solo.

Kiedy zniknął ostatni statek, Jacen odwrócił się do pozostałych.

- Najpierw musimy się wyspać - powiedział. - Później zabieramy się do pracy.

ROZDZIAŁ 22

Koronet, Korelia

Przemycenie dwojga najszlachetniejszych ludzi w galaktyce na powierzchnię rozwiniętej i gęsto zaludnionej planety, której władze przywiązywały dużą wagę do bezpieczeństwa, okazało się nadspodziewanie proste. Luke wiedział, że nie będzie z tym problemu, więc nie poinformował o tym żadnego z wielu przyjaciół i sojuszników z Wywiadu. Zadowolony się załatwieniem fałszywych dowodów tożsamości dla siebie i dla Mary.

Stał w zatłoczonej sali odpraw urzędu celnego w długiej kolejce do jednego z wielu okienek kosmoportu najgęściej zaludnionego miasta Korelii, Koronetu. Kiedy przysła jego kolej, z uśmiechem spojrzał na pooraną zmarszczkami, poważną twarz funkcjonariusza służby bezpieczeństwa Systemu Koreliańskiego, KorSeku. Funkcjonariusz zmrużył oczy i spojrzał na niego.

- Luke Skywalker - powiedział.

Luke kiwnął głową i uśmiechnął się do niego jeszcze szerzej.

- Nawet nie jesteś do niego podobny - stwierdził policjant.

- Och, niech pan da spokój. - Mara wyłoniła się zza pleców męża, żeby stanąć w jego obronie. -

Wygląda zupełnie jak on.

- Jest za niski - zawyrokował funkcjonariusz KorSeku. - Nikt by nie uwierzył, że Skywalker jest taki niski.

- Umiem wykonywać salto do tyłu - powiedział Luke z lekką urazą. - Zupełnie jak on.

- Na pewno. - Policjant machnął sfalszowaną kartą identyfikacyjną Skywalkera przed spiczastym wylotem przekaźnika danych. Mikroskopijna dioda na dokumencie zmieniła barwę z czerwonej na zieloną na znak, że wiza Emereka Tovalla, pochodzącego z Fondora aktora wcielającego się w postać mistrza Jedi, została zatwierdzona. Luke miał obecnie prawo przebywania na terenie Koronetu i zajmowania się wszelką dozwoloną przez prawo działalnością zarobkową,

- Może chce pan autograf? - zaproponował mistrz Jedi.

- Nie, dziękuję. Może pan iść. - Wyraźnie znudzony policjant wyciągnął rękę po kartę identyfikacyjną Mary.

W kolejce do sąsiedniego okienka stała para, która do złudzenia przypominała Hana Solo i Leię Organę... Jak oboje wyglądali przed kilkudziesięciu laty, w czasach bitwy o Yavin. Kobieta była nawet ubrana w białą senatorską togę i miała warkocze skręcone i zaplecione w koki po bokach głowy. Odprawiająca podróżnych funkcjonariuszka KorSeku przeniosła sceptyczne spojrzenie z twarzy Hana na ekran stojącego przed nią monitora.

- Jiyam Solo? - Zapytała.

- Zgadza się - odparł aktor wcielający się w postać Hana z większą emfazą i tonem niższym, niż zrobiłby to prawdziwy Han Solo.

- Jest pan jego krewnym?

Aktor pokręcił głową.

- Zmieniłem nazwisko ze względów zawodowych - wyjaśnił.

- Pomaga? - Zainteresowała się policjantka.

- Mam mnóstwo zleceń. Przylecieliśmy tu, żeby wystawić bioholodramat, którego bohaterami są oboje Solo - wyjaśnił mężczyzna. - Sztuka ma dwa zakończenia, w zależności od tego, po której stronie w nadchodzącym konflikcie zdecyduje się opowiedzieć prawdziwy Solo...

Stojąca za jego plecami aktorka odgrywająca Leię poklepała zwinięty warkocz przy prawym uchu i powiedziała coś do stojącego przed nią mężczyzny. Poprzez gwar w hali odpraw Luke z trudem usłyszał jej słowa:

- Nie jesteśmy małżeństwem, ale już z nim pracowałam. No cóż, to możliwe. Gdzie zamierzasz się zatrzymać?

Mara popchnęła męża w plecy.

- Nie zatrzymuj się, mały - powiedziała. - Ja też przeszłam przez odprawę.

Luke dźwignął torbę podróżną i ruszył do wyjścia z wielkiej hali w ślad za innymi podróżnymi. W torbie miał świetlny miecz, którego rękojeść sprawiała wrażenie zupełnie niewinne, a źródło zasilania zastąpiono o wiele słabszym. Broń wyglądała jak osobisty pręt jarzeniowy i podobnie jak broń Mary, została odprawiona bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. Oryginalne obudowy i źródła zasilania świetlnych mieczy obojga Skywalkerów, wysłane oddzielnie, miały na nich czekać u celu wyprawy.

- Poszło nadspodziewanie łatwo - stwierdził mistrz Jedi.

- Rzeczywiście - przyznała żona. - Moim zdaniem wynajęcie aktorów do odgrywania różnych „ról” było znakomitym pomysłem. Szkoda, że w zabawie nie mógł uczestniczyć ktoś udający Chewbacę.

Luke wzruszył ramionami.

- Trudno zwerbować odpowiedniego Wookiego w ostatniej chwili - zauważył. - Zwłaszcza kiedy trzeba by go ufarbować i przystrzyc mu sierść. Mimo to... - Znów pozwolił, żeby w tonie jego głosu zabrzmiała uraza - ...Mimo to moim zdaniem wyglądam zupełnie jak Luke Skywalker.

- Dokładnie tak samo - przyznała uspokajającym tonem Mara, ale postarała się, żeby nie zabrzmiało to protekcjonalnie.

- A więc zanim zaczęłaś odgrywać rolę jego żony, jaki miałaś naprawdę kolor włosów? - Zapytał niewinnym tonem Luke.

- Chłopcze z farmy, dopraszasz się o lanie...

Po wyjściu z hali odpraw urzędu celnego Luke i Mara zgodzili się pozować do holozdjęcia z dwójką turystów, którzy byli zachwyceni, że spotkali osoby wcielające się w Jedi. Po wszystkim pocałowali się, nasunęli na głowy kaptury podróżnych płaszczy i rozeszli się w przeciwnie strony.

Mistrzynie Jedi wsiadła do powietrznego śmigacza, który wynajęła pod przybranym nazwiskiem, i polecała spotkać się z kilkoma osobami. Miała dostać od nich sprzęt i informacje konieczne do wykonania zadania. Luke, który miał do załatwienia kilka równie ważnych, chociaż może nie tak pilnych spraw, machnięciem ręki zatrzymał lądowy śmigacz transportu publicznego i podał pilotowi adres domu w jednej z mniej ruchliwych dzielnic rządowych Koronetu.

Wysiadł obok budynku, którego adres wymienił, chociaż od celu podróży dzieliły go jeszcze trzy inne domy. Kiedy lądowy śmigacz odleciał, przeszedł pozostałą odległość i stanął przed budynkiem

o prostym, ale miłym wyglądzie. Niski parterowy dom miał po bokach skrzydła, a pośrodku stożkowatą strzelistą iglicę o wysokości kilku pięter. Całość wzniesiono z jasnobrązowego durbetonu w czarne cętki, a drzwi i okna wykonano z zielonej transpastali. Środkową część dzielił od ulicy mniej więcej pięćdziesięciometrowy trawnik poprzecinany wąskimi durbetonowymi alejkami, a cały teren ogrodzono płotem z niebiesko-czarnych plastalowych sztachet czterometrowej wysokości.

Na frontowej bramie wisiała plansza z wydrukowanym napisem: „Zamknięte na czas planetarnej sytuacji wyjątkowej. O pomoc albo informacje należy się zgłaszać do Koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa”. Pod spodem mniejszymi literami zamieszczono adresy. W kilku miejscach na planszy z napisem ktoś dopisał ręcznie slogany w rodzaju: „Śmierć Jedi, wracajcie do domu” oraz „Każdy, kto przedkłada filozofię ponad dobro planety, zdradza jedno i drugie”. Luke słyszał już kiedyś to ostatnie hasło, bo pochodziło z nieco wcześniejszego przemówienia, jakie wygłosił do Korelian przywódca Sal-Solo.

Ciemnozielony trawnik był zaśmiecony, a na frontowych ścianach i oknach obu skrzydeł budynku widniały wgłębienia po blasterowych strzałach. Na ulicy przed płotem przechadzała się umundurowana funkcjonariuszka KorSek, która przyglądała się podejrzliwie przechodniom i przelatującym śmigaczom.

Luke minął policjantkę, starając się nie nawiązywać z nią kontaktu wzrokowego. Najlżejszym możliwym ruchem dłoni i odrobiną Mocy powstrzymał funkcjonariuszkę od zwrócenia uwagi na mijającego ją przechodnia w płaszczu z kapturem. Kiedy już się oddalił i dotarł niemal do rogu, gdzie plastalowe sztachety płotu stykały się z litym murem i gdzie zaczynał się teren miejskiej biblioteki, odwrócił głowę i obejrzał się przez ramię.

Policjantka nie patrzyła w jego stronę. Miała przejść jeszcze kilka kroków, zawrócić i ruszyć z powrotem. Mistrz Jedi spojrział ukradkiem w prawo i w lewo. Kiedy się zorientował, że nikt nie zwraca na niego uwagi, odbił się od chodnika i przefrunął nad płotem.

Wylądował niemal bezszelestnie na trawniku, przetoczył się, poderwał i przebiegł kilka metrów, żeby się ukryć za krzakami, rosnącymi wzdłuż skrzydła niewielkiej enklawy Jedi.

Transpastalowe okna po tej stronie wyglądały, jakby zostały na stałe wtopione w ścianę i nie dały się otworzyć, ale Luke stanął przed trzecim oknem od ulicy, jeszcze raz się rozejrzał i wyjął komunikator. Nastawił go na częstotliwość używaną zazwyczaj przez Jedi podczas operacji w terenie, zbliżył usta do mikrofonu i cicho zagwizdał trzy tony.

Rozległ się syk, okno się uchyliło i z wnętrza wydostało się chłodne powietrze. Mistrz Jedi chwycił dolną krawędź - okno nie wypadło, bo miało zawiasy u góry - i wślizgnął się do środka. Wylądował na posadzce niewielkiego pokoju, który wyglądał jak szkolna klasa. Chwilę później okno samo się zamknęło i uszczelniło.

Pomieszczenie było nieoświetlone, lecz nie mroczne. Nie palił się w nim żaden pręt jarzeniowy, ale przez iluminator wpadał do środka zielonkawy blask słońca. Luke powiódł spojrzeniem po pomieszczeniu. Zobaczył krzesła i ławki zbyt małe dla dorosłych osób. Na ścianach wisiały rysunki przedstawiające kąty ataku i obrony podczas pojedynku na świetlne miecze. W jednym miejscu wisiała podobizna dawno zmarłego Yody. Sędziwy mistrz Jedi miał ściągnięte rysy twarzy z powodu skupienia, bo dzięki telekinezie utrzymywał nad głową wielotonową kanonierkę Starej Republiki. Inny obraz przedstawiał mistrzynię Jedi - prawdopodobnie osobę fikcyjną, bo Luke nigdy nie widział kogoś podobnego ani na własne oczy, ani kiedy zapoznawał się z rejestrami. Pograżona w medytacji kobieta siedziała ze skrzyżowanymi nogami i z zamkniętymi oczami.

Pośrodku salki stał wyłączony srebrzysty android protokolarny. Znieruchomiał z uniesioną ręką, jakby chciał nadać większą wagę słowom, które wypowiadał, zanim ktoś przestał korzystać z jego usług.

W pomieszczeniu było słycać tylko pomruk aparatury klimatyzacyjnej enklawy. Luke pokręcił ze smutkiem głową. Ośrodek szkoleniowy Jedi nie powinien być taki cichy i taki pusty, ale po ataku sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu na stację Centerpoint i Tralusa Korelianie uznali Jedi za wrogów planety. Zamknęli ich ośrodki szkoleniowe i podjęli próbę internowania wszystkich rycerzy, którzy przebywali wówczas w koreliańskim systemie planetarnym.

To ostatnie nie bardzo im się udało. Luke postanowił nie dopuścić, żeby nauki Jedi poszły w zapomnienie jak za czasów Imperatora Palpatine'a, i nauczył swoich adeptów wszystkiego, co wiedział o technikach wymykania się prześladowcom. A wiedział bardzo dużo.

Podszedł do drzwi, ale kiedy stanął przed nimi, płyta nie schowała się w ścianie. Chwycił za krawędź i pchnął w bok. Dopiero wówczas drzwi odsunęły się na dobrze naoliwionych szynach.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł znajomy syk i pomruk zapalanej srebrzystej klingi świetlnego miecza. Trzymający go mężczyzna powiedział:

- Trudno ci będzie kraść, kiedy odetnę ci rękę.

Luke wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu.

- Ja też się cieszę, że zastałem cię w dobrym zdrowiu, Corranie - powiedział.

Drugi Jedi wyłączył klingę świetlnego miecza równie szybko jak przedtem ją zapalił.

- Luke! Mistrz Skywalker! - Wykrzyknął z radością.

Wyszedł z kryjówki i stanął w prostokącie padającego z jego pokoju słabego blasku.

Był mniej więcej tego samego wzrostu i w tym samym wieku co Luke, ale miał szersze barki i wyglądał na trochę bardziej krępego. Był wnukiem słynnego koreliańskiego Jedi z czasów Starej Republiki, lecz uświadomił sobie własny potencjał i rozpoczął szkolenie Jedi jeszcze później niż Luke. Wcześniej był funkcjonariuszem KorSeku i pilotem gwiazdowego myśliwca Sojuszu Rebeliantów. Za młodu nie zdawał sobie sprawy ze swoich możliwości i obowiązków i nie umiał się zdecydować, jaką obrać drogę życia, ale w końcu został mistrzem Jedi. Jego siwiejące włosy i broda doskonale pasowały do roli starszego męża stanu zakonu. W obecnej chwili nie był jednak ubrany jak Jedi. Miał na sobie poplamiony smarem i hydraulicznymi płynami, zwyczajny kombinezon w niebieskie i białe pasy, a na czole ochronne gogle spawacza. Kiedy wyciągał rękę do Luke'a, wyglądał jak zwykły mechanik, gotów oznajmić, ile będzie kosztowała naprawa jednostki napędu nadświetlnego statku klienta. Skywalker uściśnił jego dłoń i porwał go w ramiona.

- Jak się miewa twoja rodzina? - Zapytał.

- Dobrze. - Corran powiedział to jednak bez wielkiego przekonania. - Mirax przebywa w areście domowym. Było z tym zresztą sporo zamieszania. Niektórzy przedstawiciele rządu chcą wykorzystać jej doświadczenie w przemycaaniu niedozwolonych materiałów do systemu. Inni jej nie ufają, bo ma męża Jedi. Mirax na szczęście została w domu, a wszystkie jej potrzeby zaspokajają pracownicy rządowi. Prawdę mówiąc, czuje się jak na wczasach - parsknął. - A jeżeli chodzi o Jysellę i Valina... No cóż, prawdopodobnie wiesz lepiej niż ja, co się z nimi dzieje.

Luke pokiwał głową. Dzieci Mirax i Corrana byli Jedi, szkolonymi zarówno przez nauczycieli w akademii Jedi, jak i rodziców. W obecnej chwili zajmowały się interesami zakonu.

- Dzięki, że nie wyznaczyłeś im zadań na samej Korelii - dokończył miękko Horn.

- To nie była trudna decyzja - stwierdził Luke. Kiedy przechodził przez próg, Corran usunął się

na bok. Zaczekał, aż mistrz Jedi wyjdzie na korytarz, po czym zamknął drzwi. Obaj znaleźli się w niemal zupełnej ciemności, rozproszonej jedynie przez mdłą poświatę jarzeniowych pasków rozmieszczonych na ścianach na poziomie podłogi. - Nie chciałem, żeby Jedi byli uważani za zdrajców na macierzystych planetach. Wielu zadowala się tym, że mogą od czasu do czasu wracać do domu.

Corran nie skomentował jego uwagi. Luke był wyjątkiem od tej reguły. Jego macierzysta planeta, Tatooine, wcale go nie kusiła... Nie kusiła go zresztą w ciągu dziesięcioleci, odkąd stamtąd odleciał, żeby gdzie indziej poszukać nowego domu.

Corran wskazał przeciwległy koniec korytarza.

- Urządziłem tam jedną z naszych kryjówek - powiedział. - Znajdziesz w niej elementy swojego świetlnego miecza, a także ubrania, niezbędny sprzęt, kredyty...

- Dzięki. - Obaj przeszli korytarzem do kręconych schodów i zeszli nimi na niższy poziom. - A więc to tak - stwierdził Luke.

- Właśnie tak.

- Jakie jest nastawienie koreliańskich Jedi? - Zapytał Skywalker. - Co muszę wiedzieć?

Schody doprowadziły ich do innego korytarza, oświetlonego także tylko awaryjnymi paskami jarzeniowymi. Corran przeszedł trzy kroki, przystanął i uniósł rękę. Przyłożył ją do ściany tuż pod sufitem.

- Tutaj - powiedział. - Zwyczajny sworzeń i przeciwwaga. Wystarczy pociągnąć.

Luke uwolnił myśli i posługując się Mocą, wysłał je w głąb ściany. Pozwolił, żeby minęły dłoń Corrana oraz ścianę i dotarły do samego urządzenia. Wyczuł zawieszony na metalowym kablu obciążnik z otworem pośrodku i poprzeczny pręt, którego koniec przechodził przez otwór. Delikatnie wypchnął poprzeczkę z otworu i pociągnął w dół ciężarek.

Część ściany uniosła się pod sufit, a korytarz zalało jasne światło. Odstłonił się nieduży pokój, a w nim stały zastawione komputerowymi monitorami, szafki w ścianach i cztery prycze. Kiedy obaj Jedi weszli do pokoju, Luke przestał napierać na obciążnik i fragment ściany opadł za ich plecami.

- Jak to robisz? - Zainteresował się Skywalker. Jedną z nielicznych słabości Corrana jako mistrza Jedi była nieumiejętność wykorzystywania telekinezy do podnoszenia i przemieszczania ciężarów. Horn raczej nie umiałby wypchnąć poprzeczki z otworu ani manipulować obciążnikiem.

- System rezerwowy - wyjaśnił Corran. - Wystarczy powiedzieć: „Zimorodek daje sobie radę”. To hasło, które otwiera drzwi. Mechanizm korzysta ze źródła zasilania. Mam uruchamiane ręcznie dynamo, które ładuje to źródło energii.

Wzruszył ramionami i usiadł na krześle przed jednym z biurk z komputerowym monitorem. Na drugim biurku leżały obudowa i źródło zasilania świetlnego miecza Skywalkera.

- A więc to tak - powtórzył mistrz Jedi. Usiadł, wyjął z worka fałszywy pręt jarzeniowy i zaczął instalować elementy broni.

- Znasz teraz moje stanowisko - oznajmił Horn. - Trzeba akceptować rolę oraz obowiązki Jedi i przedkładać interes zakonu oraz dobro ogółu nad interes planety, a nawet nad interes rodziny. To nie znaczy, że trzeba zupełnie się odcinać od rodziny albo od świata... Wystarczy dojść do wniosku, że przedkładanie osobistych interesów nad dobro ogółu to w rzeczywistości coś w rodzaju przywiązania.

Luke usunął główne podzespoły świetlnego miecza z obudowy jarzeniowego pręta i odłożył obudowę ze słabiutką baterią na bok. Kilka sekund później miał złożony świetlny miecz. Zapalił na

próbę energetyczną klingę, poczuł żar promieniujący od kolumny zielonego światła i ją wyłączył.

- A co z młodszymi Jedi, którzy się tu uczyli? - Zapytał.

- Ci, którzy nie pochodzą z Korelii, mają się doskonale - odparł Horn. - Czekają w gotowości. W przeciwieństwie do nich Korelianie są... Zdezorientowani. Muszą się ukrywać, a władze starają się ich wykorzystać do działań przeciwko Galaktycznemu Sojuszowi. Są także zirytowani, bo traktuje się ich jak potencjalnych sabotażystów i szpiegów. Niemniej stosują się do zarządzeń zakonu Jedi.

- Na razie - stwierdził Luke.

- Na razie - przyznał Corran. - Wyświadczyć mi przysługę i zabierz ich z Korelii, byle dalej od tego środowiska. Niech pełnią swoje obowiązki wobec zakonu bez konieczności dokonywania wyboru między nim a rodziną czy domem.

Luke pokiwał głową, co nie miało oznaczać zgody, ale stwierdzenie, że usłyszał uwagę Corrana i docenił znaczenie problemu.

- A dzieci? - Zapytał.

- Sam nie wiem. - Corran miał obojętny wyraz twarzy, ale w jego głosie brzmiała nuta bólu. - Zabranie ich z Korelii jeszcze bardziej by je oddaliło od rodzin. Pozostawienie ich tutaj też byłoby niebezpieczne. Musiałyby wybierać między nauczycielami a rodziną, która namawiałaby ich do opowiedzenia się po stronie władz Korelii. Jak powinniśmy postąpić?

Luke rozłożył ręce, dając do zrozumienia: „Wiem tyle, co i ty”.

- Chyba jednak postaram się je stąd zabrać - powiedział. - Będą mogły się uczyć dalej w miejscu bardziej neutralnym niż Korelia. To pozwoli zminimalizować problem przywiązania do rodziny. Zajmę się tym jeszcze dzisiaj. Ilu młodych uczniów masz tu pod swoją opieką?

- Tylko pięcioro.

- Zupełnie nieźle - przyznał mistrz Skywalker. - A skoro już mowa o przywiązaniu, Mara będzie bardzo niezadowolona, jeżeli nie poznam wszystkich faktów i nie załatwię wszystkich spraw, zanim ona zacznie wykonywać swoje zadanie. Jeżeli będzie musiała odlecieć stąd w pośpiechu, a ja nie będę gotów... - Nie dokończył zdania i wstał. - Czas na mnie.

- Niech Moc będzie z tobą, mistrzu.

- Z tobą także.

Mara doszła do wniosku, że otoczenie Thrackana Sal-Solo idealnie odzwierciedla jego mentalność. Przywódca Korelii miał opinię osoby obawiającej się ataku, więc jego rezydencja wyglądała jak bunkier. Niewykluczone, że w przeszłości Thrackan miał bardziej wyrafinowany zmysł estetyczny i mieszkał w ładniejszym domu, ale nawet jeżeli tak było, w ostatnim okresie wykorzenił tę słabość swojego charakteru.

Rezydencja Thrackana, przewyższająca pod względem brzydoty wszystkie rezydencje ważnych polityków, jakie Mara widziała, mieściła się na równinie kilometr na zachód od głównych dzielnic rządowych Koronetu. Równinę porastały tylko niebiesko kwitnące chwasty, podobne do koniczyny. Mara nie zauważyła żadnych drzew, kwietników ani ozdobnych, egzotycznych roślin mięsożernych.

Pośrodku całego obszaru wznosił się tylko jeden budynek, trzypiętrowe monstrum z pomalowanego na turkusowo durbetonu. Gdyby frontowa ściana była bardziej zaokrąglona, dach przypominałby kopułę, ale był spłaszczony i wyglądał jak zagrzebana do połowy ogromna kula, którą jakiś olbrzym umieścił na budowli i trochę przygniótł.

Na parterze umieszczono kilkoro drzwi o rozsuwanych na boki płytach z niebieskozielonej durastali. Dwoje było tak dużych, że mogły przez nie przelatywać śmigacze, ale Mara nie zauważyła

żadnych okien. Podobno zamiast nich Thrackan kazał zainstalować na ścianach budynku dziesiątki holokamer, a w każdym pomieszczeniu można było oglądać na ekranach przekazywane przez nie widoki.

Cały kompleks był otoczony szarym durbetonowym murem, na tyle niskim, żeby mistrzyni Jedi dała radę go przeskoczyć, ale wystarczająco wysokim, żeby sylwetka przeskakującego intruza wyraźnie odcinała się od jego tła.

Z raportu agentów Wywiadu wynikało, że pod powierzchnią gruntu rozmieszczono w nieregularnych odstępach czujniki nacisku i ruchu, a sygnały z zainstalowanych na zewnątrz kamer przekazywały obrazy nie tylko na ekrany w pokojach, ale także do ośrodka służby bezpieczeństwa Thrackana. Rezydencja dysponowała własnymi generatorami na wypadek awarii miejskiego zasilania, a rury doprowadzające wodę i odprowadzające ścieki miały tak małą średnicę, żeby nie mogło się przez nie przecisnąć nic większego niż kowakiańska małpojaszczurka.

Mistrzyni Jedi zajęła stanowisko naprzeciwko rezydencji, na płaskim dachu domu po drugiej stronie szerokiej, ale mało uczęszczanej alei. Jak na ironię losu w tym piętrowym budynku, którego prosta, wręcz banalna architektura była o wiele miłsza dla oka niż uduchowiona forma rezydencji Thrackana, mieścił się sztab dzielnicowego oddziału koreliańskiej służby bezpieczeństwa. Mara wspięła się szybko po pionowej ścianie i jeszcze szybciej unieszkodliwiła zainstalowane na dachu sensory. Stwierdziła, że z dachu rozciąga się idealny widok na rezydencję przywódcy Sal-Solo.

Grupa Tauntaun, która wdarła się do rezydencji w tym samym czasie, kiedy Grupa Purella starała się porwać panią premier Saxan, miała do rozwiązania to samo trudne zadanie: jak się dostać do środka, żeby nikt ich nie zauważył. Obserwatorzy Wywiadu Galaktycznego Sojuszu przekazali informację, jakie trasy i kiedy obierał Thrackan, podróżując z budynków rządowych do swojej rezydencji. Trójka Jedi - Tahiri Veila, Doran Tainer i Tiu Zax - ukryła się w studziencie systemu kanalizacyjnego na ostrym zakręcie tej trasy. Kiedy przelatywały nad nimi lądowe śmigacze kawalkady Thrackana, przykleili się dzięki silnym magnesom od spodu do przelatujących nad nimi pojazdów między emiterami generatorów repulsorów. Przypuszczali, że dostaną się do bunkropodobnej rezydencji dzięki uprzejmości samego Thrackana, ale wkrótce się okazało, że - podobnie jak w przypadku ataku na rezydencję pani premier Saxan - śmigaczami kawalkady Sal-Solo lecieli tylko funkcjonariusze koreliańskiej służby bezpieczeństwa w towarzystwie bojowych androidów. W dodatku policjanci zostali uprzedzeni o możliwości ataku Jedi.

Dwoje członków Grupy Tauntaun uciekło, a trzecia osoba, Tiu Zax, czekała obecnie na zapadnięcie nocy w rezydencji Sal-Solo równie niecierpliwie jak Mara po przeciwnej stronie alei.

Z nadejściem zmierzchu mistrzyni Jedi wyciągnęła się i zmieniła niewygodną pozycję na krawędzi dachu. Usłyszała strzępki zdań funkcjonariuszy KorSeku, którzy prowadzili rozmowę przy otwartym oknie najwyższego piętra.

- ...Powinniśmy zebrać wszystko, co mamy, i polecieć na Tralusa, żeby zdmuchnąć ich z tamtego przyczółka...

- ... Straty możliwe do zaakceptowania...

- ...Niezbędne popularne pociągnięcie, ale naprawdę nie potrzebujemy aż tak silnej marynarki...

- ...Widziałem nowy holopobudzacz Taranii Lony. Ma najbardziej...

- ...Nadal nie zechcą współpracować, będziemy musieli...

- ...Gdyby byli prawdziwymi Korelianami, nigdy by się nie dali wziąć żywcem...

Kiedy nastąpiła zupełna ciemność, mniej więcej w połowie wysokości niekształtnej kopuły

rezydencji Thrackana pojawił się niewielki zielony punkt. Płynął zaledwie pół minuty i zniknął.

Mara upewniła się, że nie zgubiła świetlnego miecza ani innego sprzętu. Przetoczyła się przez krawędź dachu i lekko jak liść sfrunęła na chodnik.

Kucnęła i przekonała się, że dzięki czarnemu ubraniu jest prawie niewidoczna. Odczekała chwilę i kiedy nad aleją nie przelatował żaden śmigacz, poderwała się niczym sprinterka z bloków startowych, przebiegła na drugą stronę i znieruchomiała przed gładką durbetonową ścianą. Ugięła nogi, dopomogła sobie Mocą i znalazła się na szczycie muru...

Niezupełnie na szczycie. Nie mogła dotknąć stopami durbetonu. Z dostępnych informacji wynikało, że także na wierzchu muru zainstalowano czujniki nacisku, które ujawniłyby jej obecność, gdyby to zrobiła. Musiała otoczyć się bąblem Mocy, który izolował ją od wierzchołka muru. Przepłynęła nad nim i zaczęła opadać, aż znalazła się nad porośniętą niebieską koniczyną powierzchnią po drugiej stronie.

Nadszedł czas, żeby wykorzystała swoje umiejętności Jedi, nie szpiega. Gdyby była zwykłym szpiegiem, prawdopodobnie zainstalowałaby wyrzutnik na dachu budynku KorSeku i wystrzeliła w kierunku rezydencji Thrackana niemal niewidoczną linkę z kotwiczką, żeby wbiła się w kopułę. Później zaś, posługując się elektryczną albo ręczną wciągarką, pokonałaby ćwierć kilometra, które dzieliło oba domy. Problem w tym, że nawet wówczas mogłaby zostać łatwo dostrzeżona. Zamiast tego postanowiła nie zabierać prawie żadnego sprzętu. Szanse jej zauważenia miały zależeć tylko od tego, jak dobrze umie się koncentrować.

Kiedy znalazła się po drugiej stronie muru, nie przestała wytwarzać bąbla energii Mocy. Łatwiej było go jej utrzymywać, kiedy unosiła się kilka centymetrów nad porośniętą niebieską koniczyną powierzchnią gruntu, bo mogła sobie wyobrazić, że znajduje się w wypełnionym powietrzem, niewidocznym balonie. Przypomniła sobie wszystkie myślowe sztuczki, które pomagały się koncentrować, bo zamierzała zrobić coś, co miało ją kosztować sporo wysiłku.

Stała chwilę z zamkniętymi oczami u stóp muru i skupiając uwagę na innych problemach. Musiała je rozwiązać, jeżeli chciała pokonać usiany sensorami dwustumetrowy odcinek otwartej przestrzeni, jaka oddzielała ją od rezydencji Sal-Solo.

Powietrze. Nie mogła spowodować, żeby się nie poruszało. Zamiast tego, zbliżając się do bunkra Thrackana, musiała przemieszczać cząsteczki powietrza, nadając im identyczny kierunek i tę samą prędkość, żeby płynęły kilkanaście metrów przed nią. Sensory systemu bezpieczeństwa rezydencji Thrackana powinny to zinterpretować jako podmuch wieczornej bryzy.

Ciepło. W tym przypadku zadanie było trudniejsze. Gdyby jej ciało wypromieniowywało ciepło, niewątpliwie zarejestrowałyby je wrażliwe na podczerwień sensory. Mara otoczyła się więc drugim bąblem Mocy, który miał uniemożliwić rozpraszanie się ciepła... I od razu poczuła, że temperatura wokół niej wzrasta dzięki izolacji bąbla. Skorzystała z nabytej kiedyś umiejętności, żeby powstrzymać wydzielanie potu, ale podwyższało to temperaturę ciała.

Nie mogła utrzymywać ciepła przy skórze zbyt długo, bo mogłoby to spowodować utratę przytomności. Powinna jednak wytrwać na tyle długo, aż pokona dzielącą ją od bunkra otwartą przestrzeń w taki sposób, żeby jej obecności nie wykryły wrażliwe na podczerwień sensory. Pomyślała, że da radę.

Prawdopodobnie.

Ruszyła naprzód. Skupiła się na stawianiu jednej nogi przed drugą. Cały czas przypominała sobie, że ruchy jej nóg są tylko kojącą nerwy namiastką, bo gdyby pokonywała odległość, lewitując

w innej pozycji, musiałyby się jeszcze bardziej skoncentrować. Przy każdym „kroku” wydawało się jej, że się chwieje, jakby stąpała po gąbczastym podłożu. W końcu jednak złapała właściwy rytm i pozwoliła, żeby jej mięśniami kierowały zapamiętane odruchy.

Każdy rycerz Jedi mógł umieć się posługiwać jedną z tych trzech technik, najczęściej techniką lewitacji, ale tylko doświadczony mistrz mógł wykorzystywać wszystkie trzy, i to podczas pokonywania tak dużej odległości.

W końcu Mara uderzyła nosem w coś twardego i zamarła. Tuż przed sobą zobaczyła jednolitą szarość.

Spojrzała w górę na zakrzywioną powierzchnię ściany bunkra Thrackana. Powiedziała sobie, że tylko doświadczony mistrz Jedi mógł się skupić do tego stopnia, aby zapomnieć o całym świecie i zderzyć się z murem.

Zachwiała się i o mało nie upadła, zamoczona z powodu wzrastającej temperatury ciała. Pospiesz się, Tiu, pomyślała. Do tej pory powinnaś była mnie wyczuć...

Po jej twarzy ześlizgnęła się kilkumilimetrowej grubości linka, przezroczysta i w ciemności niemal niewidoczna. Mara chwyciła ją pospiesznie, owinęła trzykrotnie wokół pasa i szarpnęła.

Linka się naprężyła i zaczęła ją ciągnąć w górę. Mara zaczęła iść po ścianie. Czowała drżenie mięśni rąk i nóg z powodu nieznośnego upału. Dobrze, że jeszcze nie straciła przytomności. Całą wieczność później dotarła na wysokość dziesięciu metrów i znalazła się naprzeciwko trójkątnego otworu w durbetonowym murze. Przepchnęła się przez mroczną szczelinę, zeskoczyła z wysokości metra na twardą podłogę i upadła, bo nogi odmówiły dalszego utrzymywania ciężaru ciała.

Zlikwidowała oba bąble energii Mocy i poczuła, że jej skóra się ochładza. Resztką sił odsunęła od siebie rozgrzane powietrze i poczekała, aż większość ciepła ucieknie przez szczelinę w murze, która wkrótce potem się zamknęła. Dopiero wówczas Mara zaczęła się intensywnie pocić. Od stóp do głów pokryła się warstewką wilgoci, nieprzyjemnej w dotyku niczym lepki olej silnikowy.

W ciemności dał się słyszeć kobiecy głos:

- Wielkie nieba! Cuchniesz jak rankor po długim biegu!

Mara uśmiechnęła się z przymusem.

- Nikt nie powinien witać w taki sposób mistrzyni Jedi - powiedziała. - A ty nigdy nie wahałaś rankora po długim biegu.

- Owszem, wahałam.

W pomieszczeniu rozległ się trzask i Marę oślepiło padające z sufitu jaskrawe światło. Mistrzyni Jedi osłoniła oczy przedramieniem.

Kiedy źrenice przyzwyczyły się do blasku, opuściła rękę. Znajdowała się w ciasnym pomieszczeniu, węższym przy zewnętrznej ścianie rezydencji, ale dosyć długim. Niemal całą wolną przestrzeń zajmował latający pojazd o cylindrycznym kadłubie w kolorze neutralnego błękitu. Wyglądał jak gwiazdny myśliwiec, ale zamiast skrzydeł Mara zobaczyła tylko krótkie płetwy manewrowe. Pojazd miał otwartą owiewkę, która odchylała się do tyłu, zamiast do przodu.

W przeciwnym końcu pomieszczenia znajdowała się metrowej średnicy śluza. Stała przy niej Tiu Zax z ręką na kontrolnym panelu. Młoda Omwatka była o centymetr niższa niż Leia i szczupła jak większość istot jej rasy. Miała jasnobłękitną karnację i bardzo jasne włosy, wyglądające jak opalizujące nitki, a w jej twarzy o delikatnych rysach wyróżniały się wielkie oczy. Była ubrana w czarne spodnie i tunikę Jedi, ale Mara nigdzie nie zauważyła jej butów, pasa ani płaszcza.

Z wysiłkiem usiadła na podłodze. Była wyczerpana i wciąż jeszcze przegrzana, ale czuła się o

wiele lepiej.

- Co to za pomieszczenie? - Zapytała.

- To tajna komora ratunkowa. - Tiu podeszła do pojazdu, sięgnęła do kabiny i nie zaglądając do środka, przycisnęła kilka guzików na pulpicie sterowniczym. Otworzyła się klapka skrytki w kadłubie pojazdu. Mara zobaczyła w środku zwinięte ubrania, opakowane racje żywnościowe i przedmioty, których nie umiała rozpoznać. Tiu sięgnęła po jeden z nich i podała mistrzyni Jedi. Dopiero wówczas Mara stwierdziła, że to transpastałowa manierka z wodą. - Zdaje się, że rezydencja Thrackana ma cztery takie komory, ale nie dotarłam do wszystkich, bo wejścia do nich zostały zamaskowane. W tych dwóch, które udało mi się znaleźć, stoją zaparkowane dwuosobowe pojazdy ratunkowe.

- To do niego bardzo podobne. - Mara odkręciła manierkę i wypila kilka łyków wody, która miała lekko metaliczny posmak.

- Przede wszystkim muszę ci powiedzieć jedno: mistrz Skywalker uważa, że ukrywając się w rezydencji Thrackana, spisałaś się na medal.

Tiu się rozpromieniła.

- Po drugie... Twój raport?

Tiu usiadła na podłodze i skrzyżowała nogi.

- Krótka wersja? - Zapytała. - Przebywam tu zaledwie od kilku dni, ale dowiedziałam się, jak podłączyć komputerowy notes do sieci wewnętrznego systemu holokamer i zaprogramować go na głośny pisk, kiedy pomieszczenie, w którym obecnie przebywam, ma się zaraz znaleźć pod obserwacją. Ostatnio spędzałam czas głównie na włożeniu pod stoły.

Mara uśmiechnęła się i wypila jeszcze łyk wody.

- Sal-Solo spędza tu niewiele czasu - ciągnęła Omwatka. - Dzięki temu jednak dostałam się kilka razy do jego prywatnego apartamentu. Znalazłam w nim ciekawy sprzęt. Moim zdaniem jest to zestaw głównej aparatury kontrolnej systemów bezpieczeństwa tej rezydencji i komputerowego sprzętu łączności, ale dostanie się do jednych albo drugich przekraczało moje umiejętności. Do posługiwania się nimi są prawdopodobnie potrzebne dane biometryczne samego Thrackana, których nie mam.

- Ale ja mam. - Mara poklepała jedną z saszetek u pasa pod czarnym płaszczem. - Co jeszcze?

Tiu wzruszyła ramionami.

- Sporządziłam plan wszystkich pomieszczeń tego budynku, do których udało mi się dostać, ale musiałam się bardzo pilnować, żeby mnie nikt nie zauważył - odparła Tiu. - To było trudne, bo nie tylko Sal-Solo zachowuje się jak paranoik. Tak samo reagują jego strażnicy i funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Chyba niewiele tu osiągnęłam.

- Wręcz przeciwnie, dałaś sobie świetnie radę - zapewniła Mara.

- Moim zdaniem nic więcej tu nie wskórasz. Odleciez ze mną.

Tiu znów się uśmiechnęła i udała, że oddycha z ulgą.

- No to załatwione - dodała mistrzyni Jedi. - Teraz trochę odpocznię... Dopóki nie uznasz, że nadeszła najlepsza pora na złożenie wizyty w prywatnym apartamencie Thrackana. Dopiero wtedy zabierzemy się do pracy.

ROZDZIAŁ 23

Dwa bojowe androidy typu ZYV poprowadziły Hana i Leię łukowatym korytarzem. Na suficie paliła się tylko trzecia część prętów jarzeniowych, więc w wielu miejscach zalegały głębokie cienie. Większość drzwi do pomieszczeń znajdowała się w ścianie po prawej stronie, bo między pokojami po lewej widniały wyloty bocznych korytarzy.

Przymaszerowawszy noga w nogę, androidy stanęły przed drzwiami po prawej stronie. Jeden ZYV wyciągnął ku nim rękę i przesłał kod dostępu. Rozległ się syk i płyta schowała się w ścianie.

Androidy znieruchomiały. Solo wymienili spojrzenia. Han wzruszył ramionami i oboje weszli do środka.

Znaleźli się w przestronnym, dobrze wentylowanym pokoju. W przeciwległej ścianie zainstalowano transpystalowe okna, z których rozciągał się widok na jeszcze większą salę na niższym poziomie. Spod drzwi było widać tylko przeciwległą ścianę tej sali, ale nie podłogę. Pomieszczenie na niższym piętrze było chyba okrągłe i otoczone salkami obserwacyjnymi podobnymi do tej, w której się znajdowali. Wydawało się jednak równie mroczne jak korytarz za ich plecami.

W salce, do której wprowadziły ich androidy, nie paliło się żadne źródło światła. Pomieszczenie rozjaśniał tylko blask wpadający przez transpystalowe okna i otwarte drzwi na korytarz. To ostanie źródło światła zresztą zniknęło, kiedy płyta drzwi zasunęła się za ich plecami.

W różnych miejscach salki obserwacyjnej stały krzesła i kanapy, a przed iluminatorami ustawiono rząd obrotowych foteli z wysokimi oparciami. Jeden z nich się odwrócił i siedzący na nim mężczyzna spojrzał na oboje Solo. Z powodu ciemności trudno było dobrze obejrzeć rysy jego twarzy, ale gospodarz był chyba ciemnowłosy i dosyć przystojny. Miał na sobie strój podobny w stylu i kroju do ubrania Hana, ale w odcieniach brązu i ciemnej czerwieni. Nosił także wojskową tunikę z długimi rękawami, rozpiętą z przodu, żeby czuł się swobodniej.

Na widok gości wstał z fotela.

- Kapitanie Solo, księżniczko Organo - powiedział. - Cieszę się, że w końcu was widzę.

Han i Leia podeszli do niego i uścisnęli jego dłoń.

- Witam pana, premierze Teppler - odezwała się Leia. - Dziękujemy, że zechciał pan się z nami spotkać. Proszę przyjąć najszczerze kondolencje z powodu pańskiej straty.

- Poniosłem podwójną stratę - poprawił ją Teppler. - W obronie Aidel Saxan życie stracił także mój brat.

Han przyjrzał się uważniej twarzy tymczasowego premiera Pięciu Światów i mimo panującej ciemności dostrzegł w niej coś znajomego. Denjax Teppler wyglądał jak trochę starsza i łagodniejsza wersja strażnika KorSeku, który towarzyszył Aidel Saxan, kiedy Han i Leia pierwszy raz się z nią spotkali.

- Przykro mi - odezwała się księżniczka. - Nie mieliśmy o tym pojęcia.

- Nie powinienem był o tym wspominać - zreflektował się Teppler. - Przyzwyczaiłem się do

odgrywania roli ministra, który udziela informacji, a nie wczułem się jeszcze w rolę premiera, który zachowuje je dla siebie. Proszę, usiądźcie. - Gestem wskazał stojące naprzeciwko niego wyściełane krzesła i ponownie zajął miejsce w swoim fotelu.

Kiedy oboje Solo usiedli, Leia oznajmiła:

- Byliśmy zaskoczeni, kiedy dostaliśmy pańską zakodowaną wiadomość.

- Zdziwiło was, że Aidel dzieliła się ze mną swoimi tajemnicami, chociaż już nie byliśmy małżeństwem? - Zapytał Teppler.

Leia kiwnęła głową.

- Prawda jest taka, że wcale się nimi ze mną nie dzieliła. - Nawet mimo panującego półmroku było widać, że mężczyzna ucieka spojrzeniem gdzieś w dal. Leia wyczuła, że Teppler oddaje się wspomnieniom. - Kiedy została zamordowana, przekazano mi pakiet z nagłówkiem: „Otworzyć po mojej śmierci”. W pakiecie były informacje na temat rozmowy z wami, a także wyrazy ubolewania. Aidel twierdziła, że zginę z jej winy.

Han zmarszczył brwi.

- Nie zginął pan, prawda? - Zapytał.

- Jeszcze nie - przyznał mężczyzna. - Możliwe, że będę żył, dopóki niektóre grupy będą widziały we mnie raczej sprzymierzeńca niż przeszkodę na drodze do realizacji swoich planów. - Teppler wzruszył ramionami. - Chciałbym jeszcze trochę pożyć. Zależy mi na tym bardziej niż na pozostaniu na czele ponadplanetarnej władzy. Najbardziej jednak boję się, żeby nie doprowadzić Korelii do ruiny. Długotrwałe zmagania z Galaktycznym Sojuszem wyniszczyłyby gospodarkę planety, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby rządy przypadły nieodpowiedniej osobie. Zrujnowałoby to gospodarkę, ale także wyczerpało zasoby najważniejszych surowców.

Oboje Solo pokiwali głowami. Domyślali się, że Teppler ma na myśli przywódcę Sal-Solo i jego politycznych sojuszników.

- Właśnie dlatego zaprosiłem was do siebie - ciągnął premier.

- Jeżeli chcę obronić moich obywateli i moją planetę, muszę popełnić akt zdrady stanu. Przemyciłem was tu, do najściślej strzeżonej sekcji budynku naszego Ministerstwa Wojny, żebyście byli świadkami narady, w której zabroniono mi uczestniczyć.

- Zabroniono? - Leia uniosła brew. - Jak ktokolwiek może panu czegoś zabronić?

- Bardzo prosto - odparł Teppler. - Zmuszając mnie do załatwiania naglących spraw w czasie, kiedy odbywa się ta narada.

- Z każdą chwilą mężczyzna bardziej posepniał. - Mój brat nie żyje, a ja nie miałem kiedy zdobyć sobie lojalnych, wiernych sojuszników-konspiratorów. Od czasu śmierci Aidel nie mam nikogo, komu mógłbym zaufać. Moi polityczni przeciwnicy świetnie o tym wiedzą. Jestem dla nich idealnym figurantem... Człowiekiem bezradnym i bezbronny. Po zapoznaniu się z informacją Saxan o waszej potajemnej wizycie - przeniósł spojrzenie na Hana - doszedłem do wniosku, że mam do czynienia z jednym z najmniej skorumpowanych Korelian, który dla dobra ogółu i dla dobrobytu swojej ojczyzny odważył się zaryzykować utratę domu i dobrych stosunków z własnym rządem...

Han patrzył na niego z coraz większym zdziwieniem.

- Najmniej skorumpowany? - Powtórzył. - A to dlaczego?

Leia spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

- Dlatego, że jesteś taki uparty i dumny, kochanie - powiedziała. - Jedno i drugie powstrzymuje cię przed przyjmowaniem niewłaściwych łapówek.

- Słucham? - Zapytał zdezorientowany Solo. - A to, że byłem przemytnikiem, już się nie liczy?

- Teraz już nim nie jesteś. - Leia przeniosła spojrzenie na Teplera i spoważniała. - Chciałby pan, żebyśmy pełnili rolę szpiegów podczas tej narady?

- Tak. To będzie ściśle tajna narada wojskowych - poinformował Korelianin. - Będą omawiali sprawę usunięcia wojsk Galaktycznego Sojuszu z Tralusa.

Księżniczka zmarszczyła brwi.

- A dlaczego pan uważa, że nie zdradzę wojskowym Sojuszu planów, które podsłucham podczas tej narady? - Zapytała.

Korelianin uśmiechnął się niewesoło.

- Bo wie pani równie dobrze jak ja, że dopóki siły zbrojne Galaktycznego Sojuszu nie zostaną usunięte z Tralusa, nie może być mowy o żadnej inicjatywie pokojowej - zaczął. - Sojusz nie może negocjować warunków odlotu. Już tego próbował, ale bezskutecznie. Nie może też po prostu opuścić Tralusa, bo straciłby wiele na prestiżu... Więcej, niż gdyby został stamtąd usunięty siłą. Dobrowolny odlot sugerowałby, że zajęcie Tralusa od samego początku było poważnym błędem. A dopóki najeźdźcy przebywają na powierzchni tej planety, Korelianin nawet nie zechcą myśleć o pokojowym rozwiązaniu tego konfliktu.

Smutek na twarzy Teplera przerodził się w prawdziwą rozpacz.

- Wie pani także, że nie zapanuje pokój, dopóki Sojusz nie opuści tego systemu. A jeżeli pani zdradzi wojskowym Sojuszu nasze plany, nie usuniemy najeźdźców z Tralusa. Sprawa wygląda więc bardzo prosto.

Leia długo się nie odzywała.

- Nie doceniłam pana, panie premierze - przyznała w końcu. - Jest pan sprytniejszym graczem, niż przypuszczałam.

- Mam nadzieję. - Tepler obdarzył ją rozbajającym uśmiechem.

- Tak czy owak, kiedy zjawią się u mnie nasłani zabójcy albo wykonawcy orzeczeń sądu wojennego, nie powitam ich propozycji z radością. - Wzruszył ramionami. - Na razie mogę ufać bez zastrzeżeń tylko czterem androidom typu ZYV, które zaprogramował mój brat w trosce o moje bezpieczeństwo. Mam nadzieję, że po zakończeniu tej narady dowiem się od was, czy mogę liczyć na lojalność jeszcze kogoś. Przynajmniej potwierdzicie brak lojalności innych, których o to podejrzewam. To także powinno mi się przydać.

- Zastanowimy się nad tym - obiecał Han. - Prawdopodobnie będziemy obserwowali przebieg narady, a później postanowimy, co robić.

- Chyba o nic więcej nie mógłbym was prosić. - Kiedy Tepler wstał, oboje Solo poszli w jego ślady. - Moje androidy przyjdą po was, kiedy uznają, że możecie stąd bezpiecznie wyjść. Do tej pory dzięki polaryzującej warstwie na powierzchni iluminatora i ciemności w tej salce nikt z dołu was nie zauważy.

- To prawdopodobnie oznacza, że nie powinniśmy tu włączać oświetlenia - odezwał się z udawaną powagą Solo.

Tepler spoglądał na niego długo i w końcu lekko się uśmiechnął.

- Dokładnie tak - powiedział.

Mara usiadła przed konsolą w gabinecie prywatnego apartamentu Thrackana i w ciągu niespełna trzech minut pokonała zabezpieczenia komputera.

Pierwszym problemem, z jakim się uporała, była medyczna część procesu identyfikacyjnego.

Mistrzynie Jedi posłużyła się dozownikiem, żeby umieścić kroplę krwi Sal-Solo na igle sensora we wgłębieniu w płycie konsoli. Krew, pobraną podczas jednej z wizyt Thrackana w laboratorium, zakupił trochę wcześniej, potajemnie i za absurdalnie wysoką cenę, jeden z funkcjonariuszy Wywiadu Galaktycznego Sojuszu.

Potem przyszła kolej na odciski palców koreliańskiego przywódcy. Mara włożyła przezroczystą, niemal niewykrywalną rękawiczkę z naniesionymi odciskami palców Thrackana po zewnętrznej stronie. Na ogół taka rękawiczka wystarczała do pokonania większości systemów bezpieczeństwa.

Trzecim etapem było potwierdzenie wizualne. Zanim komputer dotarł do tego etapu sprawdzania tożsamości, mistrzyni Jedi włączyła niewielki holoprojektor-skaner, który omiótł jej twarz, zarejestrował ją w pamięci i nałożył na nią trójwymiarowy obraz rysów twarzy Thrackana. Urządzenie nie wprowadziłoby w błąd żadnej żywej istoty, bo twarz Thrackana fosforyzowała, zwłaszcza w półmroku jego gabinetu, ale komputerowy skaner ją zaakceptował.

Później pozostało już tylko wprowadzenie właściwego hasła. Mara odgadła je przy trzeciej próbie.

Tiu pochyliła się nad jej ramieniem i zapytała:

- Jak brzmiało?

- To było imię jednej z jego kochanek. - Mistrzynie Jedi pokręciła głową z powodu oczywistości tego wyboru. - A teraz poszperajmy.

Zaczęła przeglądać pliki i przepisywać wszystko, co znalazła, do pamięci własnego notesu. Prawdę mówiąc, nie było tego dużo.

- Wygląda na to, że przesłał wszystkie bazy danych i zbiory do systemu w pomieszczeniach rządowych - stwierdziła. - Jest bardzo pedantyczny. Niedobrze dla nas.

- A więc wszystko na próżno? - Przez twarz Omwatki przemknął wyraz rozpacz. - Tyle dni jedzenia okropnych koreliańskich potraw z pikantnymi przyprawami... Na nic?

Mara wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Może jednak nie wszystko stracone - oznajmiła. - Po prostu musimy poszperać trochę głębiej.

Znalazła procedury bezpieczeństwa i hasła, które miały im ułatwić wydostawanie się z budynku i wchodzenie do niego... Przynajmniej dopóki nie zostaną zmienione. Natrafiła także na kiepsko zabezpieczone osobiste pliki, przechowywane w systemie informatycznym przez funkcjonariuszy domowej służby bezpieczeństwa. Wiele spośród nich doskonale się nadawało do szantażowania innych strażników, prywatnych obywateli i rządowych urzędników niższego szczebla.

W końcu Mara znalazła to, czego szukała - informację, która nadeszła kilka dni wcześniej.

- „Do wiadomości Thrackana Sal-Solo, przywódcy Korelii. Wyrazy szacunku i pozdrowienia - przeczytała. - Zaczynam ten list od przekazania panu daru wiedzy. Spodziewane spotkanie przedstawicieli Korelii i władz Galaktycznego Sojuszu będzie miało miejsce na pokładzie stacji Toryaz w systemie Kuata”. No cóż, kimkolwiek był nadawca tego listu, pod tym względem się nie pomylił.

- Kto go wysłał? - Zainteresowała się Tiu.

- „Niestety, dar jest niekompletny, bo ochrona stacji będzie bardzo silna - czytała dalej Mara. - Na szczęście i pod tym względem mam dla pana pomysły wieści. Mogę przekazać panu szczegóły na temat zakwaterowania wszystkich delegatów, a także wymienić środki ostrożności, które mają zapewnić im bezpieczeństwo na cały okres ich pobytu tutaj”.

- Tutaj - powtórzyła Tiu. - A więc ktokolwiek przesłał Thrackanowi tę wiadomość, znajdował

się na terenie stacji Toryaz.

- Niekoniecznie - stwierdziła mistrzyni Jedi. - Dobór słów może mógł też służyć zmyleniu Sal-Solo. „Gdyby ta informacja pana zainteresowała, proszę się ze mną skontaktować o czasie i na częstotliwości HoloNetu, które podaję na końcu tej wiadomości. Standardowy szyfr, ale w charakterze klucza proszę wykorzystać zawartość tego listu”. Później podano już tylko czas i częstotliwość.

- Żadnego nazwiska? - Zaniepokoiła się Tiu.

- Żadnego - potwierdziła Mara. Zaczęła przeszukiwać skrzynkę pocztową w nadziei, że znajdzie w niej następne informacje o tych samych cechach co pierwsza. - Nie widzę żadnej wiadomości z kluczem do szyfrowania - stwierdziła w końcu. - Prawdopodobnie przekazano ją w inny sposób.

- Nie czuję żadnej urazy do nadawcy tej wiadomości - odezwała się nagle młoda Omwatka.

- Nie czujesz? - Zaskoczona Mara uniosła głowę i spojrzała na Tiu.

- Nie. Czy to znaczy, że mam prawo go zabić?

Mara się uśmiechnęła.

- Okłamywanie samej siebie to kiepski pomysł, Tiu - powiedziała.

- Chyba że miałoby to wprowadzić w dobry humor mistrzynię Jedi.

- No cóż... To prawda - przyznała Mara.

Tiu spoważniała.

- Pamiętaj jednak, że chociaż Thrackan dostał tę wiadomość, nie oznacza to jeszcze, że za nią zapłacił - oznajmiła. - Nie znaczy także, że to on jest odpowiedzialny za tamten zamach.

- To na pewno on. Jeśli nawet nie dostał drugiej informacji i nie wysłał skrytobójców - sprzeciwiła się mistrzyni Jedi. - Nie powiadomił przecież funkcjonariuszy KorSeku ani pani premier Saxan, a to oznacza, że dopuścił się zdrady. Nie musimy się zastanawiać, czy sam maczał w tym palce, czy tylko zataił informację o planowanym zamachu. Tak czy owak, odpowiada przynajmniej w części za zamordowanie Saxan i za paskudną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

- Rozumiem. - Tiu się rozpromieniła. - Ale wiesz co... W dalszym ciągu nie czuję do niego urazy. Czy mogę...

- Nie - ucięła Mara. Spojrzała na sufit, jakby chciała przebić spojrzeniem kilka poziomów, dzielących ją od tajnego pomieszczenia, przez które dostała się do bunkra. - Ten pojazd ratunkowy. .. Czy ma jednostkę napędu nadświatelnego? - Zapytała.

- Ma - potwierdziła Tiu.

- Obawiam się jednak, że gdybyśmy nim stąd wyleciały, po kilku minutach miałybyśmy na ogonie eskadrę myśliwców KorSeku.

- Nad tym też się zastanawiałam - przyznała młoda Jedi. - Nie wiem wprawdzie, czy mam rację, ale nie wydaje mi się to możliwe.

- Wyjaśnij, co masz na myśli - zażądała Mara.

- Pojazd miał posłużyć Thrackanowi do ucieczki w krytycznej sytuacji - zaczęła Tiu. - Jedną z takich sytuacji byłoby objęcie rządów przez nową władzę, która mogłaby wysłać za nim w pościg pilotów gwiazdnych maszyn KorSeku. Przypuszczam, że Thrackan przekazał Koreliańskiej Służbie Bezpieczeństwa kody transpondera, które będą uznawane za prawdziwe, dopóki wszystkie ślady jego działalności nie zostaną usunięte z pamięci rządowych komputerów.

Mara pokiwała głową z aprobatą.

- A to może zająć sporo czasu, zwłaszcza jeżeli wpuszczę wirusa do tego komputera i zaczekam

wystarczająco długo, żeby współpracujące z nim systemy też się zaraziły - stwierdziła. - Co powiesz na to, żebyśmy porwały pojazd ratunkowy Thrackana? Jeżeli nikt nas nie będzie ścigał, wpadniemy po drodze po mojego męża i polecimy do domu. W przeciwnym razie pošlemy ten pojazd w głąb oceanu i odlecimy z Korelii we wcześniej zaplanowany sposób.

- Podoba mi się ten plan - oznajmiła młoda Omwatka.

Pół godziny po wyjściu premiera Teplera do okrągłej sali konferencyjnej na niższym poziomie zaczęli się schodzić wojskowi. Było ich wielu, bo każdemu ważnemu dostojnikowi towarzyszyła grupka konsultantów i doradców. Dostojnik i jeden doradca siadał przy ustawionym pośrodku sali ogromnym trójkątnym stole, a reszta zajmowała miejsca przy stolikach pod ścianami, gdzie mieli pozostać do czasu, aż zostaną wezwani.

Uczestnicy narady rozmawiali w niewielkich grupach. Tylko czasami oboje Solo mogli usłyszeć ich słowa. Później Han zauważył, że wypowiedzi dostojników są wzmacniane przez aparaturę elektroniczną i wydobywają się z głośników na ścianie pod biegnącym górą iluminatorem.

W końcu do sali weszła otoczona świtą najstarsza stopniem uczestniczka spotkania, pani admirał Vara Karathas, szefowa sztabu Ministerstwa Wojny i naczelny dowódca sił zbrojnych Korelii. Wszyscy pozostali oficerowie starali się żeby sprawiać wrażenie okropnie zapracowanych. W wielkim pomieszczeniu zapłonęły wszystkie zainstalowane w suficie źródła światła.

- Dlaczego jeszcze nie zaczynają? - Han zmarszczył brwi i spojrzał w dół na zgromadzonych dostojników. - Co ich powstrzymuje? W czasach Sojuszu Rebeliantów szybciej się załatwiało takie sprawy.

- Ale ciebie to nie dotyczyło - przypomniała Leia.

- Mnie nie, ale innych tak - zgodził się Han. - Często musiałaś na mnie czekać.

Nawet z wysokości iluminatora w salce obserwacyjnej premiera Teplera było widać, że pani admirał Karathas wygląda o wiele lat starszej niż podczas HoloNetowej transmisji, kiedy to oboje Solo złożyli pierwszą wizytę pani premier Aidel Saxan. Nie chodziło o nowe zmarszczki ani bardziej posiwiałe włosy. Widać to było w jej postawie, nie tak sztywnej jak kiedyś. Wyglądała na zmęczoną, a przecież niedawno jeszcze trudno było o bardziej nieugiętą i stanowczą kobietę.

Nie, nie była jeszcze pokonana, ale sprawiała wrażenie, jakby można było ją pokonać. Han skrzywił się z niesmakiem. Nie spodobała mu się ta zmiana.

Karathas stanęła u wierzchołka trójkątnego stołu, wyjęła z kieszeni chronometr i znacząco spojrzała na wyświetlacz. Widząc to, oficerowie spojrzeli w kierunku salki obserwacyjnej Teplera - na szczęście trochę niżej i bardziej w lewo. Wymieniali spojrzenia i szept, jakby dawali do zrozumienia, że narada w końcu może się rozpocząć.

Z kierunku, gdzie patrzyli, do sali konferencyjnej wszedł Wedge Antilles. Miał na sobie znów koreliański mundur, ale nie przyszedł w towarzystwie żadnego doradcy.

Pani admirał Karathas obdarzyła generała nikłym uśmiechem.

- Jak zwykle w ostatniej chwili, Antilles, hm? - Zapytała tak głośno, że siedzący w salce obserwacyjnej Han usłyszał wyraźnie jej słowa... Chociaż mogło to się brać stąd, że mikrofony współpracujące z głośnikami w salce Teplera były nakierowane na trójkątny stół. Wedge kiwnął głową, podszedł do stołu i stanął obok Karathas.

- Pani admirał, gdybym dostawał kredyty za każdym razem, kiedy ktoś mi to mówi... - Zaczął.

- Tak, prawdopodobnie mógłby pan zapłacić komuś, żeby wypłatał nas z tej sytuacji - dokończyła Karathas. Uniosła głowę i spojrzała w górę na coś, co znajdowało się niepokojąco blisko salki

Teplera. Chyba jednak kierowała spojrzenie na miejsce po prawej stronie Hana i Leii, poza ścianę salki, w której siedzieli. - Czy wszyscy są gotowi? - Zapytała. - Tak? W takim razie zaczynamy. Proszę usiąść.

Kiedy zajmowała miejsce, niektórzy oficerowie zwolnili miejsca przy trójkątnym stole, a zamiast nich usiedli inni, którzy dotychczas stali w różnych punktach sali.

- Podsumujmy - zaczęła Korelianka. - Znajdujemy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, niemożliwej do zaakceptowania, ale nieuniknionej. Musimy stoczyć walkę z siłami zbrojnymi przeciwnika, który okupuje śródmieście jednego z naszych miast. Nie damy rady go pokonać bez ogromnych ofiar wśród ludności cywilnej, co może zwrócić przeciwko nam opinię publiczną... A to z kolei zaszkodzi obronie Systemu Koreliańskiego. Z drugiej strony, nie możemy po prostu zignorować przyczółka nieprzyjaciół, bo to pozwoliłoby im go powiększyć, wzmocnić i wyprowadzać z niego ataki na pozycje w obrębie naszego systemu. Ich ośrodek dowodzenia w Rellidirze na Tralusie musi zostać zlikwidowany. Operacja „Szlachetny Dzikus” ma służyć osiągnięciu tego celu. Chcemy w ten sposób obrócić niewątpliwą klęskę propagandową na naszą korzyść.

Nie był to stanowczy, pewny ton wojskowego. Nie pasował do buńczucznej treści przemówienia.

Han zobaczył kątem oka, że Leia drgnęła. Posłał jej pytające spojrzenie.

- Nie wspomniała ani słowem o zminimalizowaniu ofiar wśród ludności cywilnej - szepnęła księżniczka.

Han pochylił się do przodu, żeby się uważniej przyjrzeć pani admirał Karathas.

- Może zaraz do tego przejdzie - powiedział.

- Może - zgodziła się z nim żona.

Korelianka dała znak jednej z osób siedzących w cieniu pod ścianą wielkiej sali i w wolnej przestrzeni nad środkiem stołu roziskrzył się hologram. Przedstawiał śródmieście Rellidira, ale widziane z lotu ptaka, żeby siedzące przy stole osoby, spoglądając w górę, mogły widzieć drapacze chmur tak, jak wyglądają z kabiny gwiazdowego myśliwca. Niektórzy uczestnicy dziwili się tej niezwyklej perspektywie, ale większość zebranych stanowili piloci - amatorzy, zawodowcy albo wojskowi - więc widok nie wywarł na nich większego wrażenia.

Hologram w kształcie dysku obracał się powoli. Jego centralny punkt - ogromny, okrągły biały gmach z ośmioma smukłymi konstrukcjami na krawędzi dachu, dzięki którym wyglądał jak królewska korona - zaczął raz po raz zmieniać kolor z białego na czerwony. Budynek wyróżniał się spośród innych wieżowców, bo był otoczony szerokim pasem zieleni miejskiego parku, tu i ówdzie poprzecinany cienkimi szarymi liniami alejek. W różnych miejscach wokół wieżowca mrugały czerwone niewielkie prostokąty. Stały w rzędach i szeregach, ale były zbyt małe, żeby z tak wysoka Han mógł się zorientować, co oznaczają. Za to kilka większych prostokątów tego samego koloru oznaczało prawie na pewno zaparkowane transportowce wojskowe i korwety.

- To ich ośrodek dowodzenia - wyjaśniła Karathas. - Zajęli Centrum Sztuk Scenicznych Navosa. Z wojskowego punktu widzenia dokonali świetnego wyboru, bo budynek jest przestronny i ma duże podziemne magazyny, do których nie można się dostać z podziemi miejskiej infrastruktury. Z budynku rozciąga się dobry widok na okolicę. W środku znajdują się generatory siłowych pól, a system obronny zapewnia dwustopniową ochronę. - Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na hologramie rozjarzyła się siatka linii ochronnego pola samego gmachu. Kończyła się na obrzeżach otaczającego ośrodek dowodzenia zielonego parku i mrugała pomarańczowo. Druga siatka, obejmująca obszar kilku kwartałów w każdą stronę od wieżowca, migotała na hologramie

czerwonym światłem. Wyglądały jak mniejsza kopuła wewnątrz większej półkuli. - Ośrodek ma duże znaczenie strategiczne, bo wzniesiono go w samym środku jednej z najgęściej zaludnionych dzielnic śródmieścia Rellidira - ciągnęła Koreliananka. - Każdy szturm na ten budynek spowoduje tysiące ofiar wśród ludności cywilnej. Pierwsza rakietka udarowa, która nie trafi w cel, może zniszczyć cały ogromny budynek mieszkalny... A na pewno będzie wiele takich, które chybią. Najbardziej ponurym zadaniem naszych wojskowych będzie więc obrócenie na naszą korzyść tych straszliwych, ale nieuniknionych skutków wojny.

Karathas wypowiedziała te słowa półgłosem, chrapliwym tonem.

- Galaktyczny Sojusz dokonał jednak na szczęście także kilku niezbyt trafnych wyborów - podjęła po chwili. - Dla demonstracji siły rozmieszczono wokół ośrodka dowodzenia kilka eskadr gwiazdnych myśliwców i niektóre zdolne do lądowania na powierzchni jednostki szturmowe. Kiedy zaatakujemy sam gmach, będziemy mogli przy okazji zniszczyć wiele celów... Wysadzić je w powietrze, zbombardować i co najważniejsze, zarejestrować wszystko.

- Fatalny pomysł - szepnął Han gniewnym tonem.

Siatki ochronnych pól na hologramie zaczęły migotać chaotycznie.

- Podczas pierwszego etapu naszej operacji do samego Rellidira przenikną oddziały naszych komandosów - ciągnęła Karathas. - Postarają się dostać do generatorów ochronnych pól i wysadzić je w powietrze za pomocą potężnych ładunków wybuchowych. Ułatwiłoby nam to zadanie, ale powodzenie naszego planu nie zależy od tego, czy dadzą radę wysadzić te generatory.

- Kto wymyślił ten plan? - Han, nie zważając na to, że ktoś go może usłyszeć na dole czy w sąsiedniej salce obserwacyjnej, z każdą chwilą mówił głośniej. - Lepszy ułożyłby See-Threepio. Wojskowi Galaktycznego Sojuszu będą się spodziewali po Korelianach właśnie takiej reakcji.

Zauważył, że żona zeszywniała. Na pewno nie chodziło jej o wybuch gniewu Hana, bo była do tego przyzwyczajona. Prawdopodobnie czuła coraz większy niepokój, bo podejrzewała, że każdy następny element planu wojskowych Korelii będzie gorszy niż poprzedni.

Na oglądanym z lotu ptaka planie śródmieścia Rellidira pojawiło się w różnych miejscach na obrzeżach sześć zielonych kropek. Wszystkie zaczęły sunąć w kierunku nieprzyjacielskiego ośrodka dowodzenia, a za każdym podążał strumień czerwonych plamek.

- W pierwszej fazie naszej operacji chroniony przez siłowe pola obszar zaatakują ze wszystkich stron piloci koreliańskich bombowców YT-5100 typu Shriek - podjęła Karathas. - Na pewno w pościg za nimi puszcza się piloci gwiazdnych myśliwców i kanonierek Galaktycznego Sojuszu. Piloci naszych maszyn... Ci, co przeżyją... Zbombardują siłowe pola, a później będą atakować sam ośrodek dowodzenia, dopóki go nie zniszczą. - Pani admirał otarła czoło rękawem kurtki munduru, a w jej głosie dała się słyszeć udręka. - Wybraliśmy do tej akcji bombowce typu Shriek, bo są produktem w stu procentach koreliańskim. Zaprojektowane przez Corellian Engineering Corporation, nie weszły jednak jeszcze do seryjnej produkcji. Na razie dysponujemy dziesięcioma najnowszymi i kilkoma wcześniejszymi prototypami.

Hologram śródmieścia Rellidira niespodziewanie zniknął, a zamiast niego pojawił się powoli wirujący obraz smukłego szarego dysku z dwiema wystającymi „zuchwami”. Bombowiec wyglądał jak opływowy „Sokół Millenium” bez usytuowanej z boku sterowni.

- Ścigające je maszyny będą miały wprawdzie barwy i symbole gwiazdnych myśliwców i okrętów Galaktycznego Sojuszu, ale w rzeczywistości będą jednostkami Koreliańskich Wojsk Obronnych - podjęła Karathas. - Zamiast strzelać do Shrieków, nasi piloci potraktują je kilkoma

niosącymi niewielką energię strzałami, które nie zrobią im krzywdy. Ich prawdziwe zadanie będzie polegało na wzmocnieniu siły ognia bombowców... I na stworzeniu odpowiednich pozorów, żebyśmy mogli obarczyć Galaktyczny Sojusz winą za wymordowanie naszych cywilów.

Po wyjaśnieniu pani admirał zapadła głucha cisza. Leia ukryła twarz w dłoniach, usiłując zachować spokój. Han głęboko odetchnął. Koreliański plan rzeczywiście stawał się z każdą chwilą gorszy.

Wedge odwrócił się do Karathas z szerokim, chociaż pełnym gorczy uśmiechem.

- Wygląda na to, że dla powodzenia naszego planu liczba ofiar wśród ludności cywilnej powinna być jak największa - zauważył.

Leia uniosła głowę i otworzyła szeroko oczy. Pani admirał Karathas miała wygląd osoby trafionej z blastera nastawionego na ogłuszanie.

- Generale Antilles, to chyba najbardziej bezduszna uwaga, jaką kiedykolwiek usłyszałam z pańskich ust - powiedziała.

Wedge zrobił pogardliwą minę i machnął ręką, odrzucając jej oskarżenie.

- Pani admirał, nazywajmy skiftera skifterem - zaczął. - Jak sama pani powiedziała, operacja „Szlachetny Dzikus” została pomyślana w taki sposób, żeby przemienić niewątpliwą klęskę propagandową, związaną ze śmiercią tysięcy cywilnych osób, w sukces, który przyniosłby korzyść sprawie niepodległości Korelii. Wściekłość naszych obywateli obróci się przeciwko nam, jeżeli jej nie skierujemy przeciwko naszym przeciwnikom. Ta wściekłość wzmocni opór Korelian w walce przeciwko Galaktycznemu Sojuszowi, dzięki czemu będziemy mogli uderzyć z większą siłą, energiczniej. Logika zatem podpowiada, że im skuteczniej zrzucimy na siły zbrojne Galaktycznego Sojuszu winę za naszą ofensywę, tym większa będzie wściekłość naszych obywateli. Mam rację?

Korelianka zamrugnęła. Wyglądała obecnie znacznie młodziej.

- Panie generale, za chwilę każę się panu zamknąć i opuścić tę naradę - warknęła.

- Popełni pani błąd - odparł spokojnie Antilles tonem równie ostrym jak Karathas. - W takim wypadku nie będę mógł wskazać, jak osiągnąć wojskowe cele bez bezsensownego zabijania niewinnych Korelian. Chciałbym zauważyć, że operacja „Szlachetny Dzikus”, chociaż prawdopodobnie odwróci wściekłość ludności od naszych sił zbrojnych i skieruje ją na wojskowych Galaktycznego Sojuszu, bardzo poważnie zwiększy prawdopodobieństwo wciągnięcia nas do wojny. Jeżeli zabici na Tralusie cywile nie zostaną pomszczeni, nasi obywatele nie zechcą przecież zrezygnować z dalszej konfrontacji?

Karathas się zawahała. Szacunek, jakim cieszył się Antilles wśród ogromnej większości wojskowych Korelii, a także niesmak, jaki budził ten plan w niej samej, powstrzymały ją przed wybuchem wściekłości, kiedy Wedge potraktował ją tak ostro. Mimo to Leia nie bardzo jej współczuła, skoro Karathas zgodziła się na przedstawienie swoim wojskowym tak upiornego planu. Księżniczka darzyłaby panią admirał o wiele większym szacunkiem, gdyby Karathas poleciła innemu oficerowi przedstawić ten plan, bo to by oznaczało, że sama jest przeciwna realizacji „Szlachetnego Dzikusa”.

Nagle na stół w sali narad padł czworokąt jasnego światła z innej salki obserwacyjnej, w której włączono oświetlenie. Zajmująca ją osoba wyraźnie chciała, żeby wszyscy z dołu ją zobaczyli. Oboje Solo powiedli spojrzeniem po kręgu iluminatorów obserwacyjnych salek, ale w żadnej nie paliło się światło. Oznaczało to, że jakiś obserwator zajmuje sąsiednie pomieszczenie.

I rzeczywiście, z pokoju po ich lewej stronie dał się słyszeć wzmocniony przez elektroniczną

aparaturę głos męczyzny:

- Panie generale, czy mam rozumieć, że uważa pan za bezsensowną operację, którą pomagałem zaplanować i którą zamierzam wcielić w życie?

Leia skrzywiła się, a Han zapragnął sięgnąć po blaster. Od razu rozpoznał charakterystyczny głos Thrackana Sal-Solo i poczuł się głupio. Powinien był się domyślić, że koreliański przywódca ma swój pokój obserwacyjny obok pomieszczenia premiera Pięciu Światów... To oczywiste, że Thrackan także przybył, aby obserwować przebieg narady.

Zerknął w lewo, w kierunku miejsca, z którego dobiegał głos Thrackana. Po drugiej stronie cienkiej ściany siedział mężczyzna, który od wielu dziesięcioleci przyprawiał go o ból głowy. Odwrócił się do żony.

- Czuję się znów jak dziecko - szepnął. - Schowałem się w łóżku pod kocem, bo w szafie czai się potwór.

Leia uśmiechnęła się, chociaż wcale nie było jej wesoło.

Han wykonał gest, jakby wyciągał blaster i kierował go w ścianę po lewej stronie. Zastanowił się, ile strzałów musiałby oddać, żeby w takich warunkach zastrzelić Thrackana, i czy po dokonaniu tego on i Leia mieliby szansę wydostania się z budynku.

Cóż, taka próba raczej nie miałaby sensu. Nie tym razem. Solo westchnął i zrobił gest, jakby chował blaster do kabury.

Wedge odwrócił się i uniosł głowę w stronę iluminatora salki obserwacyjnej Sal-Solo, zupełnie jakby patrzył na Hana i Leię.

- Źle mnie pan zrozumiał - powiedział. - Na pewno pański android protokolarny tłumaczy panu w tej chwili, że użycie przez mnie słowa „bezsensowny” dotyczyło niepotrzebnej śmierci wielu naszych rodaków i obywateli. Musimy także wziąć pod uwagę jeszcze jeden problem. Prawdopodobnie uda się jakiś czas utrzymać w tajemnicy straszliwy fakt, że w rzeczywistości to my odpowiadamy za śmierć tylu niewinnych osób, ale wcześniej czy później ktoś się wygada. Sekrety mają to do siebie, że podobnie jak płyny hydrauliczne wyciekają na zewnątrz w najmniej spodziewanych sytuacjach.

- Czy to miała być groźba, Antilles? - Zagrzmiął znów głos Sal-Solo.

Wedge wykonał lekceważący gest, który zdaniem Hana musiał doprowadzić Thrackana do wściekłości.

- Nie, to była tylko realistyczna ocena naszej sytuacji - odparł generał. - Oceniam, że operacja „Szlachetny Dzikus” prawdopodobnie okaże się skuteczna i zakończy się powodzeniem... Ale to nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Jeżeli mamy zachować zdrowy rozsądek, musimy osiągnąć nasze cele przy minimalnej liczbie ofiar wśród ludności cywilnej. Musimy także zmniejszyć szansę wciągnięcia nas w pełnometrażową wojnę.

- A pan oczywiście wie, jak to wszystko osiągnąć, generale - warknął Thrackan. - A przy okazji, jeżeli już o tym mowa, okryć się jeszcze większą sławą, tak?

- Wiem - odparł spokojnie Wedge. - A przy okazji to pan okryje się większą sławą, bo to pan jest ministrem wojny i to pan zatwierdzi operację, dzięki której ocaleją dziesiątki tysięcy lojalnych obywateli tego systemu.

Han zobaczył, że Leia wstrzymuje oddech. Wedge podejmował niebezpieczną grę. Odwoływał się do politycznych instynktów Thrackana, które nakazywały mu dbać o własną skórę, ale przy okazji kompletnie dyskredytował jego pomysły. Możliwe, że Wedge miał powyżej uszu przemawiania

łagodnym tonem i spełniania zachcianek polityków. Może, jak Han, nienawidził Thrackana do tego stopnia, że po prostu nie mógł się przemóc, aby nadal wykonywać jego rozkazy?

- W takim razie wysłuchajmy tego, co ma pan do powiedzenia - odezwał się w końcu Sal-Solo. - Jeżeli spodoba mi się to, co usłyszę, może nie będzie pan musiał od jutra zebrać na rogu ulicy.

Wedge odwrócił się plecami do obserwacyjnej salki Thrackana i z kieszeni na piersi bluzy wyjął komputerowy notes. Rozejrzał się po sali, zobaczył wejście sensora hologramów i skierował ku niemu notes. Roziskrzony wizerunek pośrodku sali od razu uległ zmianie.

Nad trójkątnym stołem pojawiło się znów śródmieście Rellidira, ale przedstawione w mniej realistyczny sposób. Wszystkie drapacze chmur wyglądały jak proste szare prostopadłości, bez zaznaczonych okien, balkonów ani ozdób. Chwilę później na hologramie pojawiły się roziskrzone różowe siatki dwóch ochronnych pól, utrzymywanych przez najeźdźców z Galaktycznego Sojuszu.

- Ten sam problem, inne rozwiązanie - zaczął Antilles.

Na hologramie zapłonęły dwie grupy po sześć zielonych punktów, które oznaczały dwie półeskadry gwiazdnych maszyn. Myśliwce pojawiły się na obrzeżach pokazywanego obszaru. Podążając z dwóch prostopadłych kierunków, nad ochronnymi polami przeleciała najpierw jedna, a później druga grupa. Wkrótce na wizerunku zapłonęły czerwone kropki, których liczba wzrosła szybko z dwudziestu do stu. Kropki puściły się w pościg za odlatującymi półeskadrami i wkrótce obie formacje zniknęły z hologramu.

- Etap pierwszy to odwrócenie uwagi przeciwnika przez zbombardowanie ochronnych kopuł - ciągnął Wedge. - To standardowa operacja, która ma na celu przeciążenie siłowych pól i doprowadzenie do ich zaniku. Biorąc jednak pod uwagę, że najeźdźcy nie tylko zainstalowali w swoim ośrodku dowodzenia potężne wojskowe generatory, ale także dołączyli do nich zarekwirowany miejski sprzęt, ochronne pola wieżowca będą miały bardzo duże natężenie. Możemy się spodziewać, że próba ich przeciążenia zakończy się niepowodzeniem. Piloci naszych bombowców szybko wrócą na orbitę, nie zwracając uwagi na nielicznych prześladowców, którzy pewnie rzucą się za nimi w pościg.

Wedge przycisnął inny guzik na klawiaturze komputerowego notesu. Tuż przed granicą ochronnego pola wyrósł jeszcze jeden masywny szary gmach, który zaczął raz po raz zmieniać kolor z żółtego na zielony.

- To Kompleks Mieszkalny Terkury'ego - wyjaśnił Antilles.

- Na razie nieukończony. Wznosi się na miejscu starego kompleksu, który ze względów bezpieczeństwa musiał zostać zburzony. Nowy kompleks ma być wyższy niż większość otaczających go mieszkalnych domów, będzie miał nowoczesne udogodnienia i przestronny podziemny hangar dla prywatnych ścigaczy, wahadłowców i tak dalej.

- Niemal udało się panu mnie namówić, żebym tam zamieszkał - zadrwił z wysoka Sal-Solo.

- W tej chwili, proszę pana, to nie byłby dobry pomysł - odparł Wedge. - Etap drugi mojego planu przewiduje bowiem wykorzystanie pary bombowców typu Shriek. Ich piloci przelecą przez Kompleks Mieszkalny Terkury'ego do Centrum Sztuk Scenicznych i rozpoczną jego niszczenie.

Sal-Solo chrząknął, a wzmocniony przez elektroniczną aparaturę dźwięk odbił się echem od ścian sali konferencyjnej w dole.

- Ponieważ ma pan opinię doskonałego stratega, na pewno pan zauważył, że kompleks mieszkalny, przez który proponuje pan przelecieć, znajduje się w obrębie ochronnego pola - powiedział.

- Owszem, proszę pana - przyznał Antilles.

- I nie uważa pan tego za poważny problem?

- Nie, proszę pana.

- Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę, ale przypadkiem wiem, ile materiałów wybuchowych może zabrać na pokład pilot Shrieka - ciągnął Sal-Solo. - Moim zdaniem nawet dwaj nie dadzą rady zabrać ilości wystarczającej do przeciążenia obu ochronnych pól, a później zniszczenia samych generatorów, które je wytwarzają.

- Zgadza się, proszę pana - przyznał spokojnie Antilles. - Uwzględniłem to w swoich rachubach i dlatego piloci naszych shrieków zabiorą na pokład tylko niewielkie ilości materiałów wybuchowych.

Zapadła długa cisza. Sal-Solo zwlekał z odpowiedzią. Han mógł sobie wyobrazić kuzyna, który stoi przed iluminatorem z udręczonym wyrazem twarzy i nie może wykrztusić słowa.

- Znalazł się pan jeszcze bliżej tego rogu ulic, o którym wspominałem, Antilles - odezwał się w końcu tonem groźby Thrackan.

Wedge obejrzał się na niego przez ramię. Miał rozbawioną minę, jakby mówił: „Nie powinieneś się wtrącać, kiedy dorośli rozmawiają na poważne tematy”. Uniósł komputerowy notes i przycisnął kciukiem jakiś guzik. Kąt wyświetlanego hologramu zaczął się zmieniać i po chwili wizerunek wyglądał jak oglądany z wysokości kilku metrów nad jezdnią szerokiej arterii komunikacyjnej. Na przeciwległym krańcu arterii wznosił się budynek zmieniający kolor z żółtego na zielony.

- Wspomniałem o dużym podziemnym hangarze pod Kompleksem Mieszkalnym Terkury'ego - podjął Antilles. Hologram zaczął się przemieszczać, jakby obserwator leciał w kierunku zmieniającego kolor gmachu. - Na tym obrazie widzicie państwo symulację podejścia pilotów obu shrieków do kompleksu mieszkalnego. Kiedy będzie dzieliło ich od niego kilka przecznic, zrzucą parę bomb... - W kierunku zmieniającego barwę budynku pomknęły niebieskie przerywane linie, które opadły tuż przed czaszą ochronnego pola i wbiły się w nawierzchnię arterii komunikacyjnej - ...I wyrwą w jezdni ogromną dziurę wiodącą prosto do podziemnego hangaru. Piloci bombowców wleczą do środka, wysadzą w powietrze przeciwległą ścianę, przelecą przez ten otwór i skierują się do właściwego celu. Kiedy się do niego zbliżą, wypuszczą prawdziwy ładunek, to znaczy androidy celownicze. Są to prymitywne automaty, używane przez nasze siły zbrojne podczas ćwiczeń z celności strzelania i do oceny trajektorii lotu wystrzelonych pocisków. Posługując się laserowymi dalmierzami i innymi sensorami, androidy wskażą właściwe cele. Określą współrzędne nie tylko samego ośrodka dowodzenia, ale także dokładnego punktu na czaszy ochronnego pola.

- A później? - Zapytał Sal-Solo, po raz pierwszy zdradzając zainteresowanie.

- Później setki rakiet wystrzelonych śladem obu shrieków skierują się na punkty o współrzędnych przekazanych przez te androidy, wylecą z podziemnego hangaru i trafią od góry we wskazany punkt na czaszy ochronnego pola, które ulegnie przeciążeniu. Kiedy osłona zaniknie, pozostałe rakiety polecą dalej. Ekspłodują nie tylko na terenie samego ośrodka dowodzenia, ale trafią także zaparkowane na powierzchni pojazdy, myśliwce i okręty. Wystarczy kilka wymierzonych z chirurgiczną precyzją ciosów.

- Nadal istnieje prawdopodobieństwo, że przelecą nad celem - przypomniała pani admirał Karathas.

Wedge kiwnął głową.

- Bardzo chcemy, żeby nasza operacja była chirurgicznie precyzyjna, ale nie można wyeliminować do końca ryzyka strat pośród cywilów - powiedział. - Zależy mi na tym, więc

przedsięwzięciem niezbędne środki ostrożności. Po pierwsze, możemy polecić androidom celowniczym, żeby wskazały cele na wierzchołku nieprzyjacielskiej osłony, a później na szczycie gmachu, w którym najeźdźcy mają ośrodek dowodzenia. Możemy zaprogramować nasze rakiety, żeby po opuszczeniu hangaru poleciały tak wysoko, jak to tylko możliwe, a później zanurkowały i trafiły od góry we wskazane cele. Dzięki temu zmniejszymy prawdopodobieństwo, że przelecą obok celu i trafią w boczną ścianę sąsiedniego, zamieszkanego gmachu.

- Chciałbym się upewnić, że dobrze rozumiem - powiedział Sal-Solo. - Piloci pańskich dwóch bombowców typu Shriek będą się narażali na ogień obrońców Galaktycznego Sojuszu, którzy nie dadzą się wywieść w pole przez naszą wcześniejszą akcję dywersyjną.

- Zgadza się - odparł Wedge.

- To oznacza udział kanonierek, gwiazdnych myśliwców, stanowisk artylerii przeciwlotniczej i kto wie, czego jeszcze - uściślił Thrackan.

- Zgadza się - powtórzył Antilles.

- Jak sobie z nimi poradzą?

- No cóż, władze Galaktycznego Sojuszu znają charakterystyczne cechy i możliwości shrieków, ale bombowce nie weszły jeszcze do seryjnej produkcji, więc te informacje prawdopodobnie nie są powszechnie znane - zaczął generał. - Istnieje duża szansa, że nie trafiły do baz danych dowódców rozmieszczonych wokół Tralusa okrętów Galaktycznego Sojuszu. To oznacza, że obrońcy nie będą wiedzieli, czego dokładnie mogą się spodziewać po tych bombowcach. Po drugie, na widok niewielkiej liczby biorących udział w ataku maszyn obrońcy je zlekceważą. Dojdą do wniosku, że nie muszą się obawiać, więc nie zdecydują się wystawić dużych sił do walki. Po trzecie, zamierzam wybrać... Naturalnie jeżeli to mnie zostanie powierzona realizacja tego planu, bo w przeciwnym razie zamierzam to tylko zalecić - pilotów wyjątkowo dobrze przygotowanych do udziału w tego rodzaju wyprawach. Nie chodzi mi o osoby, które oblatują te shrieki, chociaż nie wątpię w ich umiejętności. Mam na myśli wytrawnych weteranów z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem w zakresie pilotowania gwiazdnych maszyn serii YT... Takich, którym nieobce jest latanie na niewielkiej wysokości i inne rzekomo samobójcze techniki pilotażu.

Nie odrywając spojrzenia od Antillesa, Han pochylił się do przodu tak bardzo, że o mało nie przycisnął czoła do transpastali.

Usłyszał, że Leia szepnęła:

- Och, nie.

- Pani admirał Karathas, moim zdaniem ten plan zasługuje na szczególną uwagę... - Zagrzmiął z wysoka wyraźnie zadowolony Thrackan.

ROZDZIAŁ 24

System Kuata, stacja Toryaz

Jacen siedział na obrotowym fotelu, trzymając stopy na blacie biurka. Wiedział, że na przesyłanym właśnie hologramie będzie widać najpierw podeszwy jego butów, później resztę ciała i na końcu stojącego za nim Bena.

- Co takiego? - Zapytał.

Nad biurkiem iskrzył się metrowej wysokości, trójwymiarowy wizerunek starego Twi'leka o skórze barwy pustynnego piasku i głowoogonach artystycznie owiniętych wokół szyi. Hologram był na tyle duży, że rycerz Jedi mógł zauważyć wyraz jego twarzy, na której malowało się rozbawienie.

- To tylko myśl - wyjaśnił Twi'lek. - Pomysł.

Jacen uniósł na wysokość oczu zestaw plecionek kitki i zaczął mu się przyglądać.

- Wszystkie? - Zapytał.

Końce głowoogonów Twi'leka zadrżały, ale widocznie istota uświadomiła sobie, że nie rozmawia z innym osobnikiem swojej rasy, bo postanowiła odpowiedzieć mniej taktownym, ale powszechnie zrozumiałym gestem: wzruszeniem ramion.

- Nie wiem tego - odparł Twi'lek. - Mogę się wypowiadać tylko na temat plecionki, która znajduje się na samym dole.

Jacen przyjrzał się wskazanemu fragmentowi uważniej. Plecionka składała się z sześciu odrębnych kompletów jasnobrązowych i czerwonych paciorków. Każdy komplet został kunsztownie zapleciony.

- Jakim cudem mogą wyrażać czyjaś myśl? - Zapytał.

- To coś w rodzaju pisma - wyjaśnił naukowiec. - Tak charakterystyczny i specyficzny wzór węzłów może służyć przekazywaniu myśli, podobnie jak litery na arkuszu flimsiplastu. Musiałem się tu posłużyć holoskanem o wyjątkowo dużej rozdzielczości, który mi przesłałeś. Zbadałem później ten przedmiot interpretatorem rzeźb i wykonałem trójwymiarową kopię z elastycznego materiału, zanim wszystko stało się dla mnie jasne. Znaczenie można zrozumieć tylko wtedy, jeżeli plecionka jest trzymana i obracana w palcach.

- W takim razie co oznacza?

- Tłumacząc z grubsza na basic, znaczy to: „Wzmocni się poprzez ból”.

Jacen obrzucił Twi'leka podejrzliwym spojrzeniem.

- Wyglądasz na zaskoczonego, mistrzu Solo - zauważył naukowiec.

Jacen pokręcił głową.

- Nie jestem mistrzem, ale rycerzem Jedi, For'ali - powiedział. - Przepraszam, jeżeli odniosłeś wrażenie, że rozmawiasz z osobą równą tobie pod względem statusu społecznego.

- Nie rozumię w takich kategoriach, Jedi Solo - zaprotestował Twi'lek.

- A jeżeli chodzi o moje zaskoczenie... Ten cytat bardzo przypomina stare powiedzenie Jedi: „Nie ma bólu tam, gdzie leży siła”. Czy znaczenie tej plecionki można wyrazić w taki sposób?

For'ali pokręcił głową z przesadną emfazą.

- Nie - powiedział. - Bliższe prawdy są słowa: „Wzmocni się poprzez ból”.

- A więc twierdzisz, że nie dasz rady zrozumieć znaczenia pozostałych?

- Nie. Nie są twi'lekańskie - odparł For'ali. - Prawdę mówiąc, ta, której znaczenie zrozumiałem, nie jest powszechnie twi'lekańska. To pozostałość po cywilizacji Tahu'ipów z Rylotha, prastarego podzbioru naszej współczesnej cywilizacji. Podobnie jak ludzie, nie jesteśmy społeczeństwem homogenicznym.

- Naturalnie - przyznał młody Solo. - Ile czasu mogło upłynąć, odkąd stosowano takie techniki rejestrowania myśli?

- Kto wie, może pięćset standardowych lat? W chwili obecnej ta technika jest znana tylko kilku naukowcom. Nie chcę się za bardzo przechwalać, ale jestem jedną z trzech osób dysponujących wystarczającą wiedzą, aby wyjaśnić znaczenie tego przedmiotu po wykonaniu jego kopii.

Jacen zastanowił się.

- A więc jeżeli inne plecionki nie zostały sporządzone przez Twi'leków... - Zaczął.

- Tak czy owak pochodzą z ich cywilizacji - dokończył For'ali.

- Właśnie to miałem na myśli - przyznał rycerz Jedi. - Czy mogą być również formą pisma?

- Tak, a przynajmniej kilka spośród nich - przyznał Twi'lek. - Pod wieloma względami jednak się różnią, bo każdą wykonano inną techniką. Jeżeli naprawdę wszystkie mają do przekazania jakąś informację, moim zdaniem każda wykorzystuje inny środek przekazu... Prawdopodobnie z innej planety albo nawet odrębnej cywilizacji.

Jacen obdarzył rozmówcę uśmiechem.

- Wiem, że to zabrzmiało, jakbym chciał zwalić na kogoś robotę... - Zaczął.

- ...Ale czy istnieje centralne źródło wiedzy, które mogłoby rozszyfrować znaczenie pozostałych plecionek? - Dokończył Twi'lek.

- Jesteś bardzo dobry w czytaniu w myślach, For'ali - pochwalił go Jacen. - Czyżbyś był wrażliwy na oddziaływanie Mocy?

- Nic podobnego, jestem tylko dobrze obeznany z pojęciem akademickiego lenistwa. - Twi'lek urwał, żeby się zastanowić nad odpowiedzią. - Sugerowałbym Lorrda - podjął w końcu. - Ta planeta to skarbnica akademickiej wiedzy, a jej obywatele, podobnie jak moi ziomkowie, rozwinęli sposoby porozumiewania się bez słów bardziej niż istoty większości innych ras. Prawdopodobieństwo odgadnięcia znaczenia pozostałych plecionek jest znaczne, gdyż Lorrddianie dysponują na ten temat olbrzymią wiedzą. Musisz jednak polecieć do nich z tym przedmiotem. Nie mogę gwarantować, że eksperci w dziedzinie innych form komunikacji zrozumieją znaczenie którejkolwiek z tych plecionek, oglądając wyłącznie ich kopie.

Jacen pokiwał głową.

- Właśnie to chciałem usłyszeć - powiedział. - Dzięki za wszystko, For'ali.

- To ja jestem twoim dłużnikiem, Jedi Solo, bo ukazałeś mi problem godny mojego zainteresowania - odparł naukowiec.

- Kiedy już poznasz znaczenie pozostałych plecionek, prześlij mi oryginał, żebym mógł go zbadać. - For'ali się uśmiechnął. - Kopie nigdy nie są tak dobre jak oryginały.

- Zobaczą, co się da zrobić - odparł niezobowiązująco rycerz Jedi. - Jeszcze raz dziękuję i do

zobaczenia.

- Żegnaj, Jedi Solo.

Jacen przerwał połączenie i hologram Twi'leka rozplątał się nad blatem biurka. Rycerz Jedi rozsiadł się wygodnie na fotelu i z uwagą oglądał najniższą plecionkę.

- Nie daje ci spokoju, prawda? - Zapytał Ben.

Nie zwracając na niego szczególnej uwagi, Jacen pokiwał głową. Gestem wskazał chłopcu sąsiedni fotel. Ben usiadł.

- Bo znaczenie tej plecionki jest podobne do jednego z powiedzeń Jedi? - Nie dawał za wygraną młody Skywalker.

- Częściowo - przyznał Jacen. - To brzmi jak stara mantra, ale mniej... Nie wiem... Przyjemnie. Niepokoi mnie także fakt, że znaczenie tej plecionki może dotyczyć mnie samego... A przynajmniej osoby, którą byłem w okresie wojny z Yuuzhan Vongami. A także sposobu, w jaki mnie traktowano, kiedy wpadłem w ich ręce... Oni nie znali się właściwie na niczym oprócz zadawania bólu.

- Czy to znaczy, że lecimy na Lorrda? - Domyślił się Ben.

- Lecimy na Lorrda - potwierdził Jacen. - Zaczynaj się pakować.

Koronet, Korelia

Sala konferencyjna niemal opustoszała. Wedge Antilles pożegnał się z panią admirał Karathas oraz z jej doradcami i w milczeniu odprowadził ich spojrzeniem do wyjścia. Później zaczął wpisywać polecenia na klawiaturze komputerowego notesu. Na pewno zamierzał uporządkować liczne pliki wyświetlane przez różnych oficerów, którzy chcieli poznać więcej szczegółów, od kiedy jego plan wyzwolenia Tralusa został wstępnie zatwierdzony.

- Musimy poczekać, aż przyjdą po nas androidy typu ZYV - przypomniała mężowi szeptem Leia.

- Wiem - odparł Han. - Nie zamierzałem wybiegać na korytarz, skoro czekają tam funkcjonariusze służby bezpieczeństwa Thrackana.

- No cóż, wyglądasz na zniecierpliwionego - zauważyła księżniczka.

- Naprawdę? - Han postarał się wyglądać na mniej zniecierpliwionego.

Bezsukutecznie. Niemal wszystkie komórki jego mózgu zajmował plan Antillesa. Naturalnie jego żona nie dała się wywieść w pole.

- Tylko się nie waz zgłaszać na ochotnika - ostrzegła.

- Hm? - Zapytał Solo. - Do czego?

- Do realizacji planu Wedge'a.

- Ja... - Część mózgu Hana, która umiała przekonująco wynajdywać wymówki i argumenty, jakoś przestała pracować. Korelianin nie miał innego wyjścia, jak wyjawić prawdę. - Muszę, Leio - powiedział. - Ta wyprawa to coś stworzonego specjalnie dla mnie.

- Nie sądzisz, że Thrackan się dowie, kim są piloci? - Zapytała księżniczka. - Nawet jeżeli przeżyjesz, w drodze powrotnej na Korelię rozerwie cię na strzępy zdalnie sterowany ładunek wybuchowy.

- Na pewno Wedge coś...

- Panie generale Antilles - rozległ się nagle głos Thrackana, dobiegający głośno i wyraźnie z sąsiedniej salki obserwacyjnej.

Stojący na dole Wedge uniósł głowę.

- Słucham - powiedział.

- Chciałbym pana prosić o przysługę jako minister wojny - rzekł Sal-Solo. - Powinien pan spełnić swój patriotyczny obowiązek i zrobić coś, co powinien pan już do tej pory dawno zrobić.

Tym razem przywódca Korelii mówił przymilnym, nie zaczepnym tonem.

Wedge znów przeniósł spojrzenie na ekran komputerowego notesu.

- Słucham - powiedział.

- Pańska córka służy w siłach zbrojnych Galaktycznego Sojuszu pod przybranym imieniem i nazwiskiem Lysy Dunter - podjął Sal-Solo. - Oddelegowano ją do oddziałów okupujących Tralusa.

Nawet z tak wysoka, nie widząc wyraźnie twarzy Antillesa, oboje Solo zauważyli, że ich przyjaciel skamieniał.

Han mógł sobie wyobrazić, co Wedge czuje. Zwalczył w sobie nieodpartą chęć: chciał poprosić żonę o zgodę na wybicie otworu w oddzielającej oba pomieszczenia ścianie, żeby móc oddać chociaż kilka strzałów z blastera.

Wedge zamknął wieczko komputerowego notesu i wsunął urządzenie do kieszeni, a potem z udawaną nonszalancją odwrócił się na fotelu w stronę Thrackana.

- To prawda. Moja córka służy w siłach zbrojnych Galaktycznego Sojuszu - powiedział obojętnym tonem. - Podobnie jak wielu innych Korelian. Nie jestem jednak pewny, gdzie w tej chwili przebywa.

- Zamierzam przesłać jej wiadomość - ciągnął Thrackan. - Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan dołączyć do niej moją propozycję współpracy w pewnej sprawie.

- A właściwie co chce jej pan zaproponować? - Zapytał Wedge.

- To nie powinno pana interesować.

Tym razem Antilles nawet nie usiłował udawać rozbawienia ani nonszalancji.

- Naturalnie, że mnie to interesuje - powiedział. - Chce pan, żebym w ciemno poparł wszystko, co jej pan proponuje?

- Tak. To pański obowiązek. Muszę nalegać, żeby właśnie tak się pan zachował.

- Proszę bardzo - odparł obojętnie Antilles.

Tym razem w głosie Thrackana dało się słyszeć zdezorientowanie.

- Słucham? - Zapytał Sal-Solo.

- Proszę bardzo. Niech pan nalega. Jestem ciekaw, co usłyszę - odparł Wedge.

- A więc dobrze. Generale Antilles, jako przywódca Korelii i minister wojny rozkazuję panu nawiązać łączność ze swoją córką Syal i zrobić wszystko, co w pańskiej mocy, żeby nakłonić ją do przyjęcia mojej propozycji - oznajmił Sal-Solo. - Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

- Jak najbardziej - przyznał Wedge. - No i?

- Niech pan idzie do diabła.

- Thrackan zamierza popełnić samobójstwo - szepnęła Leia.

Han kiwnął głową.

- Chodźmy do niego i życzymy mu powodzenia - powiedział.

- Ćśś.

- Antilles, właśnie odmówił pan wykonania jednoznacznego rozkazu wydanego w czasie trwania kryzysu wojskowego, a ja to zarejestrowałem - zagrzmiął Sal-Solo. - Jeżeli zechcę, nawet w tej chwili mogę wydać agentom służby bezpieczeństwa rozkaz aresztowania pana. Zostanie pan postawiony przed sądem w ciągu godziny, a jutro rano odbędzie się egzekucja.

- Oczywiście, że pan to wszystko może. - Wedge wstał, żeby rozprostować mięśnie. Uniósł ręce nad głowę i przeciągnął się z bezgranicznym lekceważeniem. Leia niemal słyszała trzask jego kręgow i stawów. Po chwili Wedge odprężył się i wyprostował. - Może pan także nasłać na mnie skrytobójców w czasie pokoju, żeby mnie zabili, bo mam bujniejsze włosy niż pan. Gdybym przejmował się takimi drobiazgami, nie mógłbym w ogóle zasnąć. A teraz wyjaśnię panu, dlaczego byłoby wielkim, bardzo wielkim błędem, gdyby się pan na to zdecydował.

- Proszę bardzo - warknął Sal-Solo.

- Jeżeli odmówię, co właśnie robię, a pan każe mnie zamordować, poświęci pan doświadczonego oficera w zamian za bardzo problematyczną możliwość zdobywania informacji albo dopuszczania się aktów sabotażu przez całkiem młodą osobę. Moim zdaniem to nierozsądny pomysł. Nie nazywam się wprawdzie Garm Bel Iblis, ale jestem najlepszym strategiem, jakiego ma pan w tej chwili pod ręką. Mam także rozsianych po całej galaktyce potężnych i wpływowych przyjaciół, więc jeżeli każe mnie pan stracić, nie będę mógł prosić ich o pomoc, co oznacza, że i pan nie odniesie z tego żadnej korzyści. Nie będę mógł na przykład ich namówić, żeby wykorzystali swoje wpływy do przekonania rządów swoich planet o słuszności koreliańskiego punktu widzenia w tym sporze.

- A na czym polega różnica między tym a zrobieniem tego, co właśnie panu zasugerowałem? - Zapytał Thrackan.

- Rozkazał mi pan, panie ministrze, nie zasugerował - przypomniał Antilles. - Cóż, chodzi o to, że zwrócenie się z prośbą, powiedzmy, do Wesa Jansona, żeby szepnął wojskowym albo władzom swojego rodzinnego Taanaba kilka słów w naszej sprawie, byłoby postępkami szlachetnym. Proponowanie zaś mojej córce, żeby sprzeniewierzyła się przysiędze, jaką składała, otrzymując stopień oficerski, i nakłanianie jej do zdrady, takim czynem nie jest. Czy wystarczająco dobitnie wyjaśniłem panu tę różnicę?

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie, Antilles - warknął Thrackan.

- Proszę wyłączyć moją rodzinę ze swoich knowań, Sal-Solo.

- Zamierzam się skontaktować z pańską córką - upierał się Thrackan. - Przekonam ją, żeby zrobiła to, co jej powiem.

- Proszę bardzo. - Wedge wzruszył ramionami.

- Nie martwi się pan, że mi się powiedzie? - Zdziwił się Sal-Solo.

- Nie wykluczam tego - przyznał Wedge. - Ale ja nie zamierzam przyłożyć do tego ręki.

Nie doczekał się odpowiedzi. Kilka chwil później w oknie sąsiedniej salki zgasło światło, które aż dotąd rzucało blask na stół w dole.

Wedge ruszył do wyjścia i zniknął w drzwiach pod stanowiskiem obserwacyjnym Thrackana.

- Antilles właśnie popełnił samobójstwo - odezwała się Leia.

Han kiwnął głową.

- Jest zbyt sprytny, żeby tego nie wiedzieć - powiedział. - Myślę jednak, że nie musi się tym przejmować w najbliższej przyszłości. Na razie Sal-Solo go potrzebuje.

- Ale kiedy wpadnie w taką wściekłość, że zapomni o konieczności dbania o własną skórę... - Zaczęła Leia.

- Taa - dokończył Han.

- Nie jestem tym zachwycona - odezwała się Jaina.

Stała pod błękitnym niebem na zielonym trawniku skąpanym w blasku słońca. Łagodne poddmuchy wiatru wicherzyły jej włosy i przyjemnie chłodziły skórę. Obok niej stał Zekk, oferując milczące wsparcie... I reagując rozbawieniem na każdą zmianę jej nastroju.

W oddali przed nimi wznosił się biały gmach Centrum Sztuk Scenicznych Navosa, ozdobiony ośmioma pięknie żłobionymi wieżami. Nieco bliżej, na niepoprzecinanym durbetonowymi alejkami splechotki trawy, spoczywało dziewięć X-wingów Eskadry Hardpoint mistrza Skywalkera.

Bezbronnych.

No cóż, niezupełnie. W gnieździe dla astromechanicznego robota tęponosego myśliwca Luke'a tkwił R2-R2. Mały robot zareagował na słowa Jainy płaczącym świergotem.

- Gdzie się podziali piloci, Artoo? - Zagadnęła młoda Solo.

R2-D2 obrócił kopułkę i skierował obiektyw głównej kamery w stronę odległego budynku Centrum Sztuk Scenicznych.

- A funkcjonariusze służby bezpieczeństwa, którzy mieli strzec tych X-wingów? - Nie dawała za wygraną Jaina.

Astromechaniczny robot skierował na nią obiektyw głównej kamery i wydał kilka serii krótkich pisków i gwizdów.

- Oddelegowano ich do innych zadań - przetłumaczyła rozdrażniona Jaina.

- Mam się tym zająć? - Zapytał jej towarzysz.

- Bardzo proszę.

Zekk uśmiechnął się i wyjął z saszetki u pasa osobisty komunikator.

- Artoo, poproszę o częstotliwość eskadry. - Powiedział.

Astromechaniczny robot zaćwierkał na znak, że zaraz spełni jego życzenie.

- Dzięki. - Rycerz Jedi włączył komunikator. - Zekk do pilotów Eskadry Hardpoint - odezwał się.

- Właśnie przybył wasz nowy dowódca, który chce was natychmiast widzieć w kabinach X-wingów. Natychmiast oznacza dziewięćdziesiąt sekund od chwili końca tej transmisji. Nikt nie zostanie ukarany, jeżeli się pojawi w poplamionym mundurze, w cywilnym ubraniu czy pokryty pianą z mydła, ale lepiej, żeby żaden spośród was się nie spóźnił. To wszystko. Koniec transmisji.

Wyłączył i schował komunikator.

- Zachęcające polecenie - stwierdziła Jaina. - Zwięzłe, skuteczne i dowcipne. Zekk zgiął ciało w ukłonie, ale zaraz się wyprostował.

- Twoje rozkazy? - Zapytał.

- Musimy znaleźć miejsce, żeby bezpiecznie ukryć te X-wingi - zaczęła młoda Solo. - Nie obchodzi mnie, że stoją tu jako dowód naszej przewagi wojskowej i pogardy dla koreliańskich sił zbrojnych. Moim zdaniem powinniśmy także wykonać kilka ćwiczebnych manewrów, żebyśmy mogła poznać umiejętności pilotów. - Zauważyła, że w okolicy Centrum ktoś się przemieszcza. W ich kierunku biegł wysoki śniadoskóry mężczyzna, przepasany kąpielowym ręcznikiem, który przytrzymał oburącz na wysokości pasa. - Te manewry mogą się okazać bardzo ciekawe.

Lotniskowiec „Dodonna”, na orbicie wokół Tralusa

Pani podporucznik Lysa Dunter i jej quarreński skrzydłowy zwiększyli pułap lotu i skierowali się w stronę pola utrzymującego atmosferę w głównym dolnym hangarze „Dodonna”. Kiedy zbliżyli się

do oświetlonego prostokąta wrót hangaru, z wypraktykowaną łatwością zwolnili, przelecieli przez pole i pozwolili, żeby opór powietrza zmniejszył o kilka krytycznych kilometrów na godzinę prędkość ich myśliwców. W końcu, unosząc się tylko dzięki repulsorom, skierowali się na wyznaczone miejsce lądowania. Po kilku następnych sekundach otworzyli owiewki kabin. Członkowie personelu lądowiska pospieszyli do myśliwców i zawiesili na krawędziach kabin drabinki, żeby piloci mogli po nich zejść na płytę lądowiska. Później pojawili się mechanicy i technicy, którzy dołączyli zestawy diagnostyczne i zaczęli napełniać paliwem baki maszyn.

Quarreński skrzydłowy Syal zdjął hełm i pociągnął nosem z wyraźną ulgą. Jego macki twarzowe kołysały się lekko w podmuchach wiejącego w hangarach sztucznego wiatru.

- Kąpiel - powiedział. - Muszę się zanurzyć. Mógłbym zabić, byle tylko się wykąpać.

Odwrócił się i ruszył szybko w kierunku wyjścia.

Syal odprowadziła go spojrzeniem i uśmiechnęła się do siebie. Długie patrole bardzo wyczerpywały Quarrenów i ich krewniaków Kalamarian, bo istoty obu ras traciły wilgoć szybciej niż ludzie. Pilotka zdjęła hełm i pomyślała, że jej skrzydłowy podjął najlepszą decyzję: odprężająca kąpiel po wielu godzinach bezskutecznego patrolowania obrzeży Systemu Koreliańskiego powinna poprawić także jej samopoczucie.

- Pani podporucznik Dunter? - Szeł mechaników, szczupły ciemnoooki mężczyzna, podszedł do niej z diagnostycznym notesem w dłoni. - Mogę z panią chwilę porozmawiać?

- Naturalnie. - Lysa potrząsnęła głową, żeby rozprostować włosy. Były na tyle krótkie, że nie sprawiały jej kłopotu podczas długich lotów. W dodatku tym razem założyła prawidłowo hełm, a więc grzywka się nie wymykała i nie ograniczała jej pola widzenia. - Zwykle pracujesz przy Swingach, prawda? - Zapytała.

- Tak, pani podporucznik - przyznał mechanik. - Przydzielają nas jednak do różnych zadań, kiedy trzeba nadganiać z robotą.

Poprosiłem, żeby dzisiaj pozwolono mi popracować przy Eta-Piątkach.

Syal rzuciła okiem na ekran jego notesu.

- Jakież problemy z moim myśliwcem przechwytyjącym? - Zapytała.

- Raczej nie. - Mechanik podszedł bliżej i zniżył głos, żeby nie mogli go usłyszeć pozostali członkowie personelu lądowiska. - Prawdę mówiąc, chciałem pani przekazać pozdrowienia z domu.

Syal obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Pozdrowienia z Ralltiira? - Zapytała.

- Pozdrowienia z Korelii - odparł mężczyzna. - Może będzie lepiej, jeżeli porozmawiamy gdzieś na osobności.

Godzinę później dowódca Eskadry Wibromieczy, wysoki szpakowaty mężczyzna o regularnych rysach twarzy sugerujących, że może być tylko aktorem wynajętym do odgrywania roli dowódcy eskadry, pochylił się nad stołem w sali przesłuchań w stronę Syal i zapytał:

- A więc przyznajesz się, że go zastrześliłaś, tak?

Przy stole naprzeciwko Syal siedziała śniadoskóra kobieta o wielkich oczach, niewinnych i promiennych jak u bardzo młodej osoby. Syal nigdy jej dotąd nie widziała. Kobieta nosiła cywilne ubranie w kolorach czerni oraz błękitu i miała obojętną minę, chociaż czekając na odpowiedź dziewczyny, nie spuszczała z niej spojrzenia.

Pilotka kiwnęła głową. Czuła ściągniętą skórę wokół oczu, bo kiedy jej nikt nie widział, na krótko się rozpląkała, a wilgotna od potu grzywka znów opadała jej na oczy. Wolałabym, żeby

dowódca Wibromieczny siedział spokojnie na krześle, pomyślała. Mężczyzna co chwila wstawał, zapewne żeby ją bardziej zdeprimować, a to zaczynało działać jej na nerwy. W obecnej chwili przydałby się jej przyjaciel, a na pewno nie mogła liczyć na współczucie przełożonego.

- Nadal nie rozumiem - odezwała się kobieta. - Dlaczego go zastrzeliłaś?

- Bo usiłował wyszarpnąć mi z ręki blasterowy pistolet - wyjaśniła Syal.

- Dlaczego miałaś pistolet? - Zapytał dowódca.

- Żeby mogła drania odprowadzić do aresztu.

- Nie o to nam chodzi - stwierdziła funkcjonariuszka. - Chcemy wiedzieć, dlaczego w ogóle byłaś uzbrojona.

- Zawsze jestem uzbrojona - wyjaśniła pilotka. - Noszę broń, odkąd stałam się na tyle dorosła, żeby umawiać się na randki. Mój ojciec nalegał, żebym ją nosiła. - Prawdę mówiąc, trochę mijała się z prawdą. Ojciec życzył sobie, żeby nosiła dwa pistolety, ale odkąd opuściła rodzinny dom, doszła do wniosku, że wystarczy jej jeden.

- I wyciągnęłaś go, bo usiłował cię przekupić, tak? - Dociekała kobieta.

Syal kiwnęła głową.

- „Zrób dla nas kilka rzeczy”, powiedział - wyjaśniła. - Miał na myśli Korelian.

Funkcjonariuszka posłała jej sceptyczne spojrzenie.

- Pani podporucznik Dunter, jest pani tylko młodszym oficerem na pokładzie lotniskowca pełnego wojskowych, którzy mogliby wyrządzić Galaktycznemu Sojuszowi więcej szkód niż pani, gdyby zdecydowali się przejść na stronę naszych przeciwników - zaczęła. - Dlaczego wybrał właśnie panią? Dlaczego uznał, że będzie pani szczególnie podatna na tego rodzaju propozycje?

- Twoja noga - odezwał się dowódca.

- Słucham? - Syal przeniosła na niego zdezorientowane spojrzenie.

- Twoja noga - powtórzył oficer.

Syal spojrzała w dół. Jej noga znów drżała. Spiorunowała ją spojrzeniem i postanowiła lepiej panować nad mięśniami.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - zażądała kobieta.

- Bo ja... - Syal zerknęła na nią i zaraz posłała dowódcy przeproszające spojrzenie. - .. Jestem Korelianką.

Dowódca spojrzał na ekran komputerowego notesu.

- To prawda - przyznał. - Urodzona na Korelii. Wychowywana na Ralltiirze.

- Nie, urodzona na Korelii... I wychowywana na Korelii - wyprowadziła go z błędu Lysa. - Funkcjonariusz, który mnie werbował, zapisał, że wychowywałam się na Ralltiirze, bo byłam obywatelką tej planety. Nie zdobyłam jednak obywatelstwa w zwykły sposób. Po prostu kupiłam.

- Co jeszcze nie jest zgodne z prawdą w twojej kartotece? - Zapytała kobieta.

- Nic. Tyle że Lysa Dunter... No cóż, to nie jest imię i nazwisko, jakie noszę od urodzenia.

Dowódca eskadry, wyraźnie oburzony, w końcu usiadł przy stole.

- A więc dostałaś patent oficerski pod fałszywym imieniem i nazwiskiem - powiedział. - Coraz ci bliżej do sądu wojennego.

- Nie, Lysa Dunter to moje prawdziwe imię i nazwisko - odparła Syal. - Zmieniłam je zgodnie z prawem w sądzie na Ralltiirze, który słynie z okropnego bałaganu, jaki podobno w nim panuje. Mogłam liczyć na to, że upłynie wiele lat, zanim informacja o tym dotrze do wiadomości wojskowych Galaktycznego Sojuszu. Zmieniłam dane osobowe, aby uniknąć kojarzenia z moim

ojcem... Żeby mogła się cieszyć swoją, nie jego sławą.

- W takim razie jak brzmi twoje prawdziwe... - Zaczęła funkcjonariuszka, ale uświadomiła sobie błąd i dokończyła: - ...Twoje imię i nazwisko, jakie miałaś od urodzenia?

- Syal Antilles.

Kobieta i dowódca eskadry zamrugali. Pierwsza z osłupienia ocknęła się kobieta.

- Korelianka - zaczęła. - Antilles... Czy przypadkiem nie jesteś...

- To mój ojciec - dokończyła pilotka.

- A Iella Antilles to twoja matka?

- Jestem zaskoczona, że znasz jej imię.

Funkcjonariuszka pokiwała głową.

- A więc mechanik próbował cię namówić, żebyś zrobiła coś dla koreliańskiego rządu - powiedziała.

Tym razem Syal kiwnęła głową.

- I groził, że coś zrobi mojej rodzinie, jeżeli się nie zgodzę na jego propozycje - dodała.

Dowódca obrzucił ją groźnym spojrzeniem.

- Prawdopodobnie skazałaś na śmierć członków swojej rodziny - zauważył. - Odmówiłaś, a teraz zwierzchnicy tego agenta będą się chcieli zemścić. Świetna robota.

Syal cofnęła się z krzesłem, byle dalej od dowódcy eskadry.

- Mam nadzieję, że tego nie zrobią - stwierdziła.

- Rozsądniej byłoby przystać na jego propozycję, bez względu na to, czego dotyczyła, i dopiero później opowiedzieć o wszystkim Wywiadowi - zauważył dowódca.

Syal pokręciła głową.

- Nie jestem w tym dobra - przyznała. - Znam swoje możliwości. Moja matka była funkcjonariuszką Wywiadu, ale geny po niej odziedziczyła chyba moja siostra. Nie dałabym rady zrobić tego, co pan sugeruje, a w tym czasie zdrajca chodziłby swobodnie po tym okręcie. Kto wie, może nawet zrobiłby coś z myśliwcami moich przyjaciół? Nie, to nie byłoby rozsądniejsze. - Syal uświadomiła sobie, że mówi coraz bardziej podniesionym tonem.

- Coś ci powiem - odezwał się jej przełożony. - Zajmiemy się twoją sprawą. Jeżeli się okaże, że kłamiesz, zostaniesz dyscyplinarnie zwolniona ze służby i przykładowo ukarana. Jeżeli jednak mówisz prawdę, rozwiążemy sprawę w sposób korzystniejszy dla ciebie. Możesz liczyć na honorowe zwolnienie ze służby. Będziesz mogła odlecieć na Korelię, żeby latać z eskadrami swojego taty... I dać nam szansę postrzelania do was. Tak czy owak, ostatni dzień nosisz mundur oficera Galaktycznego Sojuszu. Możesz odejść.

Syal z trudem powstrzymała łzy, które znów napłynęły jej do oczu. Odsunęła krzesło, żeby wstać.

- Siedź - rozkazała kobieta, po czym odwróciła się do dowódcy Wibromieczy. - A ty - powiedziała - bądź grzecznym chłopcem i wyjdź.

Oficer otworzył usta ze zdumienia i obrzucił ją zdezorientowanym spojrzeniem.

- Ale... - Zaczął niepewnie.

Funkcjonariuszka uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Regulaminowa odpowiedź powinna brzmieć: „Tak jest, proszę pani” - oznajmiła. - A teraz wyjdź.

Dowódca zerknął na jej twarz i szybko wstał.

- Tak jest, proszę pani - powiedział.

Kobieta zaczekała, aż przełożony Wibromieczy wyjdzie z pomieszczenia, w którym oboje prowadzili przesłuchanie. Przeniósła spojrzenie na Syal.

- Naturalnie sprawdzimy każdy szczegół twojej historii - oznajmiła. - Jeżeli okażą się prawdziwe, zostaniesz przywrócona do czynnej służby. Wątpię jednak, żebyś mogła wrócić do Eskadry Wibromieczy. Podejrzewam, że od tej pory nie będziesz się w niej czuła jak wśród przyjaciół.

- Chyba ma pani rację - przyznała pilotka.

- Twoja noga znów drży. - Kobieta spojrzała na ekran leżącego przed nią notesu. - Z moich informacji wynika, że dostałaś propozycję przydziału do nowej eskadry myśliwców typu Aleph, które mają być pierwszy raz użyte do walki. Czy to prawda?

Syal kiwnęła głową.

- Nie chciałam na nich latać - wyjaśniła. - Ćwiczyłam kiedyś na symulatorach alephów. Maszyny są wprawdzie bardzo szybkie, ale manewrują jak ogromne bryły durbetonu.

- A jeżeli będziesz musiała dokonać wyboru między lataniem na alephach a obowiązkami oficera łącznościowca na pokładzie zwiadowczego patrolowca? - Zagadnęła kobieta.

- Alephy to wspaniałe maszyny, proszę pani - wypaliła bez namysłu pilotka.

- Mówisz jak prawdziwa Antilles. - Funkcjonariuszka zamknęła wieczko komputerowego notesu.

- Jest pani z Wywiadu, prawda? - Zainteresowała się Korelianka. - Z początku przypuszczałam, że więcej współczucia okaże mi dowódca Wibromieczy, a pani będzie się zachowywała jak plastalowy nek.

Kobieta spojrzała na nią z sympatią.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy i jak przeszłość nas dopadnie, prawda? - Agentka Wywiadu wstała. - Nie wiem, na czym polega problem dowódcy twojej eskadry. Może to zazdrość, a może potrzeba sprawowania władzy absolutnej. Weź także pod uwagę, że nie powiedziałaś mu prawdy o swoim sławnym ojcu, co mógł uznać za nielojalność, a może nawet zdradę. Jeżeli chodzi o mnie... - Obdarzyła Syal nikłym uśmiechem - ...Dawno temu, krótko po tym, jak Nowa Republika odzyskała pierwszy raz panowanie nad Coruscant, kilka miesięcy latałam z twoim ojcem. Naturalnie o wiele dłużej znałam niektórych jego pilotów. Dobrze wiem, jak wychował swoje dzieci. Jeżeli naprawdę jesteś Syal Antilles, moim zdaniem nie masz się czego obawiać.

Ruszyła do drzwi, ale jeszcze się odwróciła i dodała:

- Możesz teraz zwrócić się do sądu, żeby przywrócił ci poprzednie imię i nazwisko. Twoja tajemnica się wydała.

ROZDZIAŁ 25

Lorrd City, Lorrd

Była wysoka, szczupła i miała długie czarne włosy związane w kucyk z tyłu głowy. Ben zauważył ją ze sterowni wahadłowca Jacena, kiedy pojazd obniżał pułap lotu dzięki włączonym repulsorom. Z dużej wysokości kobieta wyglądała niepozornie, jak mroczna postać stojąca z zaplecionymi na piersi rękami pod ścianą hangaru.

Kiedy wahadłowiec wylądował, a obaj Jedi zaczęli schodzić po rampie, kobieta wyłoniła się z cienia i Ben stwierdził nagle, że jest bardzo interesująca. Miała na sobie płowozieloną szatę, inną niż zazwyczaj nosili Jedi. Była szyta na miarę, co uwypuklało kształty jej ciała, a ciepły uśmiech na jej twarzy rozweselał wszystkich, którzy go widzieli.

Niestety zainteresowanie Bena okazało się jednostronne. Kobieta podeszła szybko do stóp rampy i nie odrywając spojrzenia od Jacena, wyciągnęła do niego rękę.

- Jacenie! - Wykrzyknęła. - Miło cię znów widzieć!

Rycerz Jedi zszedł z rampy i uścisnął jej dłoń. Nie porwał jej jednak w objęcia ani nawet nie poklepał po plecach jak dobry znajomy... Mimo że nawet niedoświadczone oko Bena zauważyło, że młoda kobieta właśnie tego się po nim spodziewa.

- Witaj, Nelani - odezwał się Jacen. - Kiedy się dowiedziałem, że to ty jesteś tą Jedi, która dostała do wykonania zadanie na Lorrdzie, i że wyjdiesz nam na spotkanie, bardzo się ucieszyłem...

- Naprawdę? - Przerwała Nelani.

- Ucieszyłem się, że przeszłaś pomyślnie próby i zostałeś pasowana na rycerza Jedi - dokończył młody Solo. - Gratuluję.

Nelani spochmurniała.

- Dziękuję - powiedziała. Puściła dłoń Jacena i w końcu spojrzała na jego towarzysza. - A to pewnie Ben Skywalker - stwierdziła.

Ben zachował milczenie. Nie chodziło o to, że nie chciał nic powiedzieć. Problem w tym, że zapomniał języka w gębie. Uświadomił sobie, że z jego głowy wyleciały nawet najbardziej soczyste rodiańskie i huttańskie przekleństwa, które z takim trudem starał się zapamiętać. Nie miał pojęcia, co się stało. Nelani rzuciła Jacenowi zaniepokojone spojrzenie.

- Czy on umie mówić? - Zapytała.

W końcu Ben przypomniał sobie znajome słowa.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie - powiedział.

Nelani niedbałym ruchem rozwichrzyła mu włosy.

- Nie miałam takiego zamiaru - oznajmiła. - Tyle że już zaczęłam się martwić o ciebie. - Spojrzała znów na Jacena. - A więc co chcecie robić? - Zapytała. - Rozgościć się w swoich pokojach w kwaterze Jedi?

Gestem wskazała wyjście z hangaru i poprowadziła ich w tamtą stronę.

- Dowiedziałaś się czegoś w sprawie, w której rozmawiałem z tobą przez komunikator? -

Zagadnął Jacen.

Ben podążył za nimi, energicznie przyglądając włosy.

- Tak, i znalazłam osobę, która chyba wie coś na temat tych plecionek - odparła młoda Jedi. - To pani doktor Heilan Rotham. Specjalizuje się w technikach pisma, którego można dotknąć, a także w metodach rejestrowania myśli...

Gabinety pani doktor Rotham, w których badaczka także mieszkała, mieściły się na parterze budynku uniwersyteckiego wzniesionego z durbetonowych cegieł i fałszywego drewna. Materiały postarzano, dzięki czemu budynek wyglądał, jakby go wzniesiono kilka wieków wcześniej. Ściany korytarzy i pomieszczeń miały ciemne kolory - kojące albo mroczne i stwarzające wrażenie zagrożenia, w zależności od tego, jakie kto miał nastawienie. Zdaniem Bena były tak ponure, że mogły zniszczyć w człowieku całe poczucie humoru.

Nie miało to jednak większego znaczenia w gabinetach, bo ścian nie było tu prawie widać. Zasłaniały je regały z półkami, na których umieszczono książki, pakunki, figurki dziwnie zniekształconych istot różnych ras obojga płci, zwoje sznurów z rozmieszczonymi w nieregularnych odstępach węzełkami i niewielkie drewniane pudełka z wieczkami na zawiasach.

Ben spojrzał na stół, przy którym pani doktor Rotham siedziała z Jacenem i Nelani. Uczona była starą kobietą drobnej budowy ciała, miała rzadkie siwe włosy i poprzecinaną niebieskimi żyłkami, bladą, niemal przezroczystą skórę. Nosiła ciężki płaszcz z grubego materiału kasztanowatej barwy, chociaż w pomieszczeniach było zupełnie ciepło. Na szczęście starość nie zmąciła jej przenikliwych niebieskich oczu. Kobieta siedziała na samobieżnym fotelu na kółkach z zainstalowanym pod siedziskiem pękatym urządzeniem, którego widok sugerował, że fotel wyposażono w repulsory o krótkim zasięgu. Uniosła do oczu kitkę Jacena i zaczęła ją oglądać z odległości zaledwie kilku centymetrów.

- Ma pani tu mnóstwo rzeczy - stwierdził Ben.

Nie patrząc na niego, pani doktor Rotham powiedziała:

- Rzeczywiście, prawda? Najciekawsze, że wszystkie informacje, jakie można z nich wyciągnąć, zarejestrowano w pamięciach urządzeń moich gabinetów, komputerowych notatników, informatycznego systemu Lorrda i komputerów wszystkich osób, które kiedykolwiek o nie poprosiły.

Ben jeszcze raz omiół spojrzeniem ustawione pod ścianami regały.

- Jeżeli to wszystko zostało zarejestrowane, dlaczego nadal przechowuje pani oryginały? - Zapytał. - Zajmują mnóstwo miejsca.

- To rozsądne pytanie jak na Jedi, który musi często podróżować i nie może zabierać ciężkiego bagażu - odparła badaczka. - Musisz jednak pamiętać, że istnieje ogromna różnica między samą rzeczą a wiedzą o tej rzeczy. Pomyśl na przykład o swoim najlepszym przyjacielu. Wolałbyś mieć przyjaciela, czy też komputerowy notes ze wszystkimi informacjami na jego temat?

Ben zastanowił się nad odpowiedzią. Nie chciał udzielać oczywistej w rodzaju: „Ma pani rację”, bo zabrzmiałoby to, jakby przyznawał się do porażki. Zamiast tego odparł:

- To dobre pytanie.

Często słyszał, jak takiej odpowiedzi udzielają dorośli, kiedy żadna inna nie przychodzi im do głowy.

Jacen zachichotał, ale pani doktor Rotham nie zdecydowała się kontynuować rozmowy na ten

temat. Ben doszedł do wniosku, że nie stracił twarzy.

- Ten przedmiot został na pewno wykonany przez jakiegoś Bitha - zaczęła pani doktor Rotham. - Jego twórca posłużył się metodą rejestrowania myśli rasy żyjących na odizolowanych wyspach istot, Aalagarów, którzy wynaleźli pismo węzełkowe jako sposób rejestrowania genealogii... Powrozy przodków, jak je nazywają. Później technikę rozwinięto, żeby umożliwiała rejestrowanie zdań i myśli. Ta plecionka w przybliżeniu oznacza: „Zniszczy tych, którzy odmawiają sprawiedliwości”. Nelani zmarszczyła brwi.

- To brzmi... Dziwnie złowieszczę - powiedziała.

- Dlaczego? - Zdziwił się Jacen.

- No właśnie - wtrącił się Ben. - Jedi cały czas się tym zajmują. Niszczą tych, którzy odmawiają sprawiedliwości.

Nelani pokręciła głową.

- Rzeczywiście czasami z tego, co robimy, wynikają zniszczenia - przyznała. - Ale na ogół to nie one są celem naszych działań. Niszczenie jako cel działania to czysta mściwość, a mściwość nie przystoi Jedi.

Ben spojrzał na Jacena, prosząc go milcząco o potwierdzenie opinii Nelani. Jego kuzyn wymijająco wzruszył ramionami.

- Na pewno dam radę przetłumaczyć wiele innych - ciągnęła pani doktor Rotham. - Nie mogę jednak zagwarantować, jak dokładne będą te tłumaczenia, bo nie znam związków tych plecionek z cywilizacją istot, które je stworzyły. Możliwe, że jedne dostarczą kontekstu dla pozostałych. Coś takiego bardzo by ułatwiło moje zadanie.

Jacen kiwnął głową.

- Będę wdzięczny za wszystko, co może nam pani powiedzieć - zapewnił.

Jeszcze zanim skończył mówić, od strony Nelani rozległ się cichy pisk. Młoda kobieta pośpiesznie umieściła w prawym uchu niewielką słuchawkę obsługiwanego bez pomocy rąk komunikatora. Wyciągnęła mikrofon urządzenia, który zwisał niczym niewielka czarna kula na jej policzku, trzymając się na czarnym przewodzie... Tak cienkim, że niemal niewidocznym.

- Nelani Dinn - odezwała się. Słuchała kilka sekund ze zmarszczonymi brwiami. - Czy powiedział, dlaczego właśnie Jedi?

- Urwała i przekrzywiła głowę na bok. - Czy sądzicie, że to wiarygodne?... Tak, zaraz tam będę... Mniej więcej za dziesięć minut. Bez odbioru. - Wsunęła mikrofon za ucho i wstała. - Przepraszam, że się stąd wmykam, ale muszę iść.

- Sytuacja wyjątkowa? - Domyślił się Jacen.

- Tak. Jakiś wariat w gwiazdnym myśliwcu grozi, że wystrzeli rakiety, jeżeli nie będzie mógł porozmawiać z Jedi.

- Mam wrażenie, że ostateczne wyjaśnienie znaczenia tych plecionek zajmie pani doktor Rotham trochę czasu. - Jacen spojrzał na staruszkę, jakby szukał u niej potwierdzenia, a kiedy kiwnęła głową, wstał z krzesła i spojrzał na Nelani. - Idę z tobą.

- Będzie mi bardzo miło - stwierdziła młoda Jedi.

W kosmoporcie Lorr City panowała niecodzienna sytuacja. Pilot myśliwca typu Y-wing - tak połatanego i upstrzonego śladami po trafieniach, że prawdopodobnie maszyna nadawała się na złom jeszcze w czasach bitwy o Yavin - wylądował jakieś pięćdziesiąt metrów od wyznaczonego miejsca. Nie posadził jednak myśliwca na płaskiej płycie. Wylądował w taki sposób, że osłony dysz silników

jonowych znajdowały się na pasie do kołowania przy użyciu repulsorów. Spoczywały jednak pod kątem prostym do normalnego kierunku ruchu, a nos maszyny opierał się o metrową durastalowe barierę, dzięki czemu kadłub pozostawał uniesiony pod kątem trzydziestu stopni.

- Nie ma astromechanicznego robota - zauważył Ben. Rzeczywiście okrągły otwór bezpośrednio za kabiną pilota był pusty. - I został zmodyfikowany, żeby pilot mógł strzelać raketami udarowymi zamiast protonowych torped.

- Wylądował w taki sposób, żeby mieć doskonały kąt ostrzału najgęściej zaludnionej dzielnicy miasta - odezwał się porucznik Neav Samran z Sił Bezpieczeństwa Lorrda. Krępy mężczyzna o brązowych włosach i nieregularnie długich wąsach rozstawił podwładnych w odległości od pięćdziesięciu do dwustu metrów wokół Y-winga. Rozkazał także, żeby strzelcy wyborowi zajęli pozycje na dachach sąsiednich hangarów w taki sposób, aby rzucali się w oczy. Stanowisko dowodzenia Samrana, gdzie w końcu dotarło troje Jedi, znajdowało się w rogu hangaru o falistych durastalowych ścianach, w odległości mniej więcej stu metrów od myśliwca. Ben stanął za Jacenem, ale trochę z boku, żeby widzieć Y-winga i niewyraźną sylwetkę pilota w kabinie.

Cały czas wyczuwał tego pilota, a ściślej kłębowisko dezorientacji i bólu. Uczucia raz narastały, a chwilę później słabły, jakby się chciały wymknąć zmysłom chłopca.

Jacen spojrzał na Samrana.

- Orientuje się pan, czy pilot dysponuje ostrymi raketami udarowymi? A jeżeli tak, to w jaki sposób wszedł w ich posiadanie? - Zapytał.

Funkcjonariusz pokiwał głową.

- Pilot przesłał nam telemetryczny sygnał ze swojego pulpitu systemów uzbrojenia - powiedział. - Transmisja była jednak jednostronna. Niech to zaraza, bo inaczej przejęlibyśmy kontrolę nad jego pulpitem i rozwiązali problem bez potrzeby wzywania was na pomoc. Dysponuje kompletem prawdziwych rakiet udarowych. Wymierzył je w kompleks domów akademickich miejskiego uniwersytetu, ale nie wiemy dokładnie, w które miejsca. Jeżeli zaś chodzi o to, jak wszedł w ich posiadanie... Cóż, pilot w tej chwili nie ma ani kredytu na koncie inwestycyjno-oszczędnościowym, które było kiedyś całkiem zasobne. Ostatnio przemycił się tyle broni, że stary pilot ze znajomościami w różnych kręgach mógł bez trudu położyć łapę na tego typu materiałach wybuchowych.

- Co może pan nam o nim powiedzieć? - Zainteresowała się Nelani.

Samran włączył komputerowy notes i zapoznał się z informacjami na ekranie.

- To Ordith Huarr, urodzony na Lorrdzie, wiek osiemdziesiąt jeden standardowych lat - powiedział. - W czasach Starej Republiki i Imperium był pilotem wahadłowca. W okresie największego rozkwitu Sojuszu Rebeliantów przyłączył się do niego i w czasie wojny służył jako pilot Y-winga. Do spółki z innym pilotem zestrzelił jedną nieprzyjacielską maszynę, więc zaliczono mu tylko połowę trafienia. Jako rebeliancki pilot niczym szczególnym się nie wyróżnił.

Nelani posłała funkcjonariuszowi oburzone spojrzenie.

- Był równie odważny jak piloci, którzy zestrzelili więcej maszyn - stwierdziła.

Samran nie wyglądał na urażonego jej uwagą.

- Informacja o jego osiągnięciach w tamtym okresie miała być tylko kluczem do zrozumienia stanu jego umysłu w tej chwili - powiedział. - Z mojego doświadczenia wynika, że osoby o przeciętnych umiejętnościach i mizernych osiągnięciach częściej popadają w depresję i decydują się na popełnianie nieodpowiedzialnych czynów. Są bardziej podatne na frustrację, bo czują się niedocenione. Uważa pani, że nie mam racji?

Nelani przestała go piorunować spojrzeniem, ale na jej twarzy pozostał wyraz dezaprobaty. Odwróciła się i spojrzała w stronę zdezelowanego myśliwca.

- Tak czy owak po upadku Imperium Huarr został instruktorem pilotażu - ciągnął Samran. - Później przeszedł w stan spoczynku i wrócił na Lorrda. Kilka lat temu zrezygnował z emerytury i podczas wojny z Yuuzhan Vongami zajmował się transportowaniem uchodźców. Z jego kartoteki wynika, że odsyłanie nieszczęśników od jednej planety do drugiej, bo władze nie chciały ich przyjmować, wywarło bardzo zły wpływ na jego psychikę. Po zakończeniu wojny z Yuuzhan Vongami Huarr znów wrócił na Lorrda, wspólnie z żoną kupił niewielką posiadłość na wsi i kilka następnych lat utrzymywał się z emerytury, strzelając z blastera do intruzów.

- Ma dzieci? - Zainteresowała się Nelani.

- Ani jednego - odparł Samran. - A jego żona zmarła mniej więcej dwa lata temu.

- Dwa lata - powtórzył z namysłem Jacen. - Interesuje mnie to, co mogło się wydarzyć niedawno.

Co kazało mu usiąść za pulpitem wyrzutni rakiet i stworzyć zagrożenie dla życia studentów?

Samran wzruszył ramionami.

- Chyba powinnam z nim porozmawiać - odezwała się Nelani i odwróciła się do Jacena. - A może ty wolisz to zrobić? - Zaproponowała. - Jesteś starszy.

Jacen pokręcił głową.

- Nie, wolę zastosować inną taktykę - powiedział.

Nelani kiwnęła głową. Wygładziła fałdy płaszcza i upewniła się, że wisząca u jej pasa rękojeść świetlnego miecza rzuca się w oczy. Odwróciła się i ruszyła przez plastbetonowy parking w kierunku Y-winga.

Kiedy dzieliło ją od niego pięćdziesiąt metrów, usłyszała głos pilota, wzmocniony przez aparaturę elektroniczną i przekazywany przez głośniki interkomu hangaru:

- Ani kroku dalej!

Stary pilot miał cienki, ale ochrypły głos.

Nelani osłoniła usta dłońmi, żeby mężczyzna mógł usłyszeć jej odpowiedź.

- Jak pan sobie życzy, Huarr! - Krzyknęła. - Nie musiał pan stwarzać zagrożenia dla studentów, żeby ze mną porozmawiać. Mógł się pan ze mną skontaktować za pośrednictwem planetarnego systemu informatycznego albo komunikatora.

Ben wyczuł o wiele silniejszy niż poprzednio impuls bólu i dezorientacji starego pilota.

- Nie potraktowalibyście mnie poważnie - odezwał się mężczyzna. - Rozumiecie tylko siłę... Siłę i Moc. - Roześmiał się z goryczą, jakby uznał to za dobry dowcip.

- To nieprawda, ale nie musimy się w tej chwili o to sprzeczać! - Odkrzyknęła młoda Jedi. - Liczy się tylko to, że przyszłam. Dlaczego chciał pan ze mną porozmawiać?

- Czym właściwie jest duch Mocy? - Zapytał Huarr.

Zaskoczona Nelani umilkła i dosyć długo się nie odzywała.

- To przesłanie... Wiadomość od kogoś, kto umarł, ale w pewnym sensie nadal istnieje - odparła w końcu.

- A więc moja żona jest duchem Mocy - wyjaśnił pilot. - Mówi do mnie, chociaż właściwie nie może tego robić, prawda?

Nelani zrobiła krok w stronę myśliwca. W jej głosie, zniekształconym z powodu krzyku, brzmiało powątpiewanie.

- Czy pańska żona była Jedi? Czy kiedykolwiek zachowywała się, jakby widziała albo

wyczuwała więcej niż zwykli ludzie?

- Nie.

Skupiając uwagę na dialogu Nelani z Huarrem, Ben przestał się interesować tym, co robi Jacen. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jego mentor skupia się i nadaje kierunek przepływowi Mocy.

Rycerz Jedi uwolnił myśli i przyciągnął do siebie powietrze. W tej samej chwili osłony dysz wylotowych silników jonowych Y-winga, krzesząc snopy iskier, zaczęły sunąć ku niemu po durbetonie. Nos gwiazdnego myśliwca zsunął się z bariery i wyrzwał o płytę lądowiska.

Sekundę później Jacen wprawił powietrze w ruch wirowy. Y-wing poderwał się, obrócił wzdłuż długiej osi i runął kabiną w dół na pas do kołowania.

Rycerz Jedi odwrócił się do Samrana.

- Proszę bardzo - oznajmił. - Problem rozwiązany. Nie może odlecieć, posługując się silnikami ani repulsorami, i nie może wystrzelić rakiet w stronę miasta.

Samran wytrzeszczył oczy ze zdumienia i wybuchnął śmiechem tak gromkim, że nie mógł wykrztusić słowa. Musiał gestami wezwać podwładnych obojga płci, żeby pospieszyli do myśliwca. Funkcjonariuszki i funkcjonariusze służby bezpieczeństwa wyłonili się z kryjówek i pobiegli w kierunku przewróconej maszyny. Ben usłyszał, że ktoś z nich też się roześmiał.

- Co ty wyprawiasz?! - Krzyknęła Nelani, biegnąc w stronę Bena i Jacena. - Panowałam nad sytuacją!

Rycerz Jedi odwrócił się do niej i obrzucił ją powątpiewającym spojrzeniem.

- Wcale nie panowałaś - zaprotestował. - Prowadziłaś z nim uczciwe negocjacje. Mogłabyś tak powiedzieć, gdybyś uniemożliwiła mu wystrzelenie rakiet w dowolnej chwili. Zrobiłaś to?

Nelani podbiegła do Jacena i stanęła. Miała zarumienione policzki i oburzoną minę.

- Na pewno nie wystrzeliliby ich podczas naszej rozmowy! - Wybuchnęła.

- Czy powiedziałaś to samo rodzinom studentów, którzy by zginęli, gdyby jednak wystrzelił, a ty nie zdażyłabyś temu zapobiec? - Zapytał rycerz Jedi. - Skąd wiesz, czy nie nastawił urządzenia odmierzającego czas do automatycznego odpalenia, którego nie byłabyś w stanie wyczuć? Tylko mi nie mów, że nie mógłby tego zrobić. Nie miałaś żadnego wpływu na jego zachowanie i cały czas negocjacji narażałaś życie tych studentów.

- Wydaje ci się, że nie byłam świadoma jego emocji? - Zapytała młodsza Jedi. - Widziałam jego uczucia równie wyraźnie jak oświetlony krąg lądowniczy.

Podczas sprzeczki dwojga Jedi Ben obserwował, jak funkcjonariusze służby bezpieczeństwa kosmoportu biegną do przewróconego myśliwca. W pewnej chwili poczuł silny impuls desperacji pilota. Desperacji i zdecydowania...

- Cofnąć się! - Ben sam się zdziwił, jak głośno wrzasnął, zwłaszcza że nie miał takiego zamiaru. Uświadomił sobie, że biegnie w kierunku Y-winga, chociaż nie panuje nad swoimi nogami. - Uciekajcie! Uciekajcie!

Kiedy funkcjonariusze usłyszeli pierwszy okrzyk, zamarli i spojrzeli na Bena. Prawdopodobnie wystarczyła im świadomość jego zdesperowania i tego, że stał obok porucznika Samrana, bo odwrócili się tyłem do przewróconego myśliwca i pobiegli z powrotem.

Od strony Y-winga dał się słyszeć pomruk i Ben zobaczył ogień zapłonu w otworach wyrzutni rakiet udarowych. Ułamek sekundy później wyleciały z nich płomienie i dwa pociski, które wbiły się w durbeton w niewielkiej odległości przed nosem myśliwca...

A zaraz później Y-wing eksplodował, rozerwany na metalowe strzępy przez płomienistą półkulę fali udarowej.

Ben zobaczył sunącą ku niemu jakby w zwolnionym tempie coraz większą ścianę ognia. Padł na pokrytą permabetonem nawierzchnię, owinał się szczelnie płaszczem i skupił na eksplozji, którą widział cały czas oczami wyobraźni. Ujrzał punkt fali udarowej, który miał dotrzeć do niego, i zaczął odpychać to miejsce, żeby je osłabić, spowolnić...

W końcu dotarła do niego fala udarowa. Młody Skywalker poczuł się, jakby pchnęła go gigantyczna dłoń, od której promieniował nieznośny żar. Zaczął się toczyć i ślizgać do tyłu, ale po jakimś czasie znieruchomiał.

Nie słyszał żadnego dźwięku, zupełnie jakby bębenki jego uszu poobijał wampa. Był jednak dziwnie spokojny, jakby cały ranek ćwiczył i właśnie zamierzał odpocząć.

Poruszając się nieporadnie, odsłonił głowę i wstał.

Y-wing zniknął. Zamiast niego widniał głęboki krater, a w durbetonowej barierze, przed którą leżał, utworzyła się wielometrowej długości wyrwa o poszarpanych brzegach.

Budynki stojące najbliżej miejsca eksplozji nadal stały, ale pochyliły się w kierunku przeciwnym od czoła fali udarowej. Ich metalowe szkielety się wykrzywiły, a ściany od strony miejsca eksplozji wgięły się do środka albo zupełnie zniknęły.

Wszędzie leżały ciała, niektóre lizane przez płomienie. W pierwszej chwili Ben pomyślał, że jego ostrzeżenie przyszło za późno. Zauważył jednak, że jeden z płonących mężczyzn turla się po durbetonie, aby stłumić płomienie, które trawiły jego ubranie na plecach i ramionach. Kilka metrów dalej jakaś kobieta wstała, ale się zachwiała.

Ben zobaczył biegnącego ku niemu Jacena, ale kiedy rycerz Jedi się zorientował, że jego kuzynowi nie stała się żadna krzywda, skręcił w kierunku ofiar leżących nadal bez ruchu.

Młody Skywalker wybrał najbliższą grupę funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i ruszył w ich stronę. Z początku niepewnie stawiał nogi, ale kiedy odzyskał równowagę i pewność siebie, puścił się biegiem.

Godzinę później nadal przebywał w hangarze. Pośrodku lądowiska stał polakierowany na jaskrawy kolor, przestarzały wahadłowiec. Ben usiadł pod karbowaną durastalową ścianą, która ugięła się lekko, kiedy oparł się o nią plecami. Pod tą samą ścianą odpoczywali także funkcjonariusze ekipy ratunkowej, popijając przyniesioną przez kolegów kafeinę. Opowiadali sobie ponure historie o poprzednich akcjach ratunkowych, w których także brali udział. Większość nie zwracała na Bena uwagi, ale któryś z nich przyniósł i jemu kubek z kafeiną i oznajmił, że spisał się na medal. Obecnie, kiedy już kryzys został zażegnany, sanitariusze i strażacy odpoczywali, żeby odzyskać siły przed powrotem do ośrodka medycznego czy remizy.

Jacen i Nelani weszli do hangaru przez główne drzwi, których skrzydła zasunęły się za ich plecami. Dostrzegli Bena i ruszyli do niego. Starszy Jedi usiadł obok kuzyna, a Nelani stanęła pod ścianą z drugiej strony.

- Wiesz co? - Zagadnął Jacen.

Ben słyszał go całkiem wyraźnie, bo jedyną pozostałością po huku eksplozji było obecnie ciche dzwonienie w uszach.

- Co? - Zapytał.

- Najważniejsze, że obyło się bez ofiar. Zaskoczony Ben uniósł głowę i spojrzał na niego.

- Nikt nie zginął?

- Ani jedna osoba - potwierdził rycerz Jedi. - Naturalnie nie licząc tego pomyłki w kabinie Y-winga. Wygląda na to, że wszyscy ranni funkcjonariusze służby bezpieczeństwa się wyliżą, bo żaden nie jest w krytycznym stanie. Zawdzięczają życie ochronnym pancerzom, ale przede wszystkim tobie.

- Bomba.

- Kiedy sprzeczałam się z Jacenem na temat procedury, ty zajmowałeś się tym, co powinien robić Jedi: otwierałeś umysł na przepływ Mocy - odezwała się Nelani.

- Dzisiaj to ty dałeś nam dobry przykład, nie my tobie - ciągnął Jacen. - Doszedłem do wniosku, że należy ci się za to nagroda.

- Jaka nagroda? - Zainteresował się młodszy Jedi.

- Pozostałą część dnia będziesz mógł robić, co zechcesz - oznajmił Jacen. - Nelani i ja wracamy teraz do pani doktor Rotham. Możesz nam towarzyszyć albo pozwiedzać okolicę. Możesz także wynająć lądowy śmigacz i poćwiczyć sztukę pilotażu... Cokolwiek wymyślisz. Masz dość kredytów, żeby to sobie zafundować, a w razie czego wiesz, jak trafić do pani doktor Rotham.

Ben kiwnął głową. Nie okazał po sobie radości, ale jego myśli gnały jak szalone. A więc całą resztę dnia może robić, co zechce! I to sam, bez nadzoru starszego kuzyna! W najśmielszych marzeniach nie spodziewał się takiej nagrody. Niejasno uświadamiał sobie, że to ze strony Jacena dowód zaufania.

- Dzięki - powiedział.

Jacen wstał. Oboje Jedi wyszli przez te same drzwi, przez które przedtem weszli do hangaru. Mieli pochylone głowy, jakby na nowo zaczęli się sprzeczać. Ben został, żeby się zastanowić, co zrobić z wolnym czasem.

Młody Skywalker nie pomylił się w swoich podejrzeniach. Oboje Jedi rzeczywiście zaczęli się kłócić, zaledwie dotarli do wyjścia z hangaru. Tym razem jednak odbywało się to spokojniej niż poprzednio.

- Żałuję, że nie dałeś mi porozmawiać z Huarrem jeszcze minutę czy dwie dłużej - stwierdziła Nelani. - Naprawdę jestem ciekawa, co miał na myśli, mówiąc o tym „duchu Jedi”.

- Pamiętaj o studentach - odezwał się Jacen nieznoszącym sprzeciwu tonem.

- Wiem, że studenci w domach akademickich byli zagrożeni, nie zamierzam zaprzeczać - przyznała Nelani. - Ale dlaczego nie zacisnęłaś wylotów wyrzutni rakiet? Gdyby mimo wszystko wystrzelił, osiągnąłbyś ten sam skutek, a ja mogłabym dłużej z nim rozmawiać. Może odkryłabym źródło jego szaleństwa.

Dotarli do anonimowego szarego śmigacza, którym przylecieli do kosmoportu. Wskoczyli do kabiny i Nelani usiadła za sterami.

- Prawdopodobnie mogłem to zrobić - przyznał Jacen. - Nie przyszło mi to do głowy. Zastanawiam się także, czy ktoś, kto grozi zabiciem tysięcy niewinnych osób, zasługuje na jakiegokolwiek względy.

- Może zasługiwał na nie jako bohater wojenny? - Nelani włączyła repulsory i poderwała śmigacz z miejsca, w którym go zaparkowała.

Jacen machnął lekceważąco ręką.

- Mój ojciec też jest bohaterem wojennym - powiedział. - Mimo to nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zachował się tak jak Huarr.

- Huarr nigdy się nie zajmował przemycaaniem przyprawy dla huttańskich szefów świata przestępczego - nie pozostała mu dłużna młodsza Jedi.

Jacen pokręcił głową.

- Czasami nie opłaca się mieć ojca tak sławnego, żeby kręcono o nim holodramaty - stwierdził.

Nelani zachichotała.

- Muszę wykorzystać każdą okazję, jaka się tylko nadarza, do uzyskania przewagi podczas rozmowy z tobą - wyznała.

- Wygląda na to, że już od dawna nie jesteś tą samą wrażliwą na Moc osobą, którą uczyłem technik władania świetlnym mieczem, chociaż dosyć późno uświadomiłaś sobie swoje umiejętności - stwierdził Jacen.

- Cieszę się, że to zauważyłeś.

Rycerz Jedi zignorował jej słowa, podobnie jak poufały ton.

- Czas, żebyśmy znów zwrócili uwagę na panią doktor Rotham i moją kitkę - zauważył.

- Jeszcze nie - sprzeciwiła się Nelani. - Staralam się zwrócić twoją uwagę na mnie.

Tym razem to Jacen się roześmiał.

- Naprawdę przestałaś być nieśmiała - powiedział.

Młodsza Jedi kiwnęła głową.

- Pomogła mi w tym wiedza i umiejętność przecinania gundarków na połowy - odparła. - Podobnie jak to, że jestem jedyną Jedi, którą wysłano na tę planetę. To oznacza, że mam bardzo mało czasu dla siebie, więc staram się od razu przechodzić do rzeczy. Czy to ci przeszkadza?

Jacen pokręcił głową. Cały czas obserwował okolice - rzędy długich magazynów w dole, które stopniowo ustępowały miejsca budynkom przedsiębiorstw rozlokowanych na ulicach o stosunkowo niskim czynszu.

- Nie, ale jest ktoś... - Zaczął.

- Ktoś, kto zajmuje to szczególne miejsce w twoim życiu? - Domyśliła się Nelani.

- Tak.

Młodsza Jedi parsknęła z urazą.

- No cóż, w takim razie po prostu spędźmy razem trochę czasu - oznajmiła. - Pewnie tego nie wiesz, ale bardzo chciałam ci złożyć taką propozycję siedem lat temu, kiedy mnie uczyłeś techniki władania świetlnym mieczem. Byłam jednak wówczas zbyt nieśmiała.

Jacen uśmiechnął się, ale nie uznał za stosowne niczego wyjaśniać.

Nelani pokręciła głową i umilkła.

ROZDZIAŁ 26

Coruscant

Spotkanie rozpoczęło się jak powtórka konferencji sprzed wielu dni. Kiedy Luke wszedł do sali obrad, Cal Omas, admirał Pellaeon i pani admirał Niathal siedzieli przy stole konferencyjnym na tych samych miejscach. Spojrzeli na mistrza Jedi, a zanim jeszcze Luke zdążył usiąść, Omas zauważył:

- Wygląda na to, że masz dla nas dobre wiadomości.

Skywalker wyglądał na zaskoczonego jego uwagą.

- Dlaczego pan tak uważa? - Zapytał.

- Poznaję po twojej minie - odparł przywódca Galaktycznego Sojuszu. - Uśmiechałeś się. W tych czasach uśmiech na twarzy Jedi to pomyślny znak.

- Naprawdę? - Luke od razu spowaźniał. - Bardzo przepraszam. Nie chciałem was zmylić. Uśmiechałem się, bo dostałem pomyślną wiadomość o moim synu Benie. W tej chwili przebywa na Lorrdzie, gdzie kilka godzin temu ocalił życie wielu osób.

Niathal kiwnęła głową, ale jej wylupiaсте oczy umiały zdumiewająco skutecznie wyrażać chłodne niezadowolenie.

- To godne pochwały - oznajmiła. - Jestem pewna, że wyrośnie na wspaniałego rycerza Jedi... Za wiele, bardzo wiele lat, kiedy zdążymy zapomnieć o kryzysie koreliańskim. Na razie jednak...

- Na razie - wpadł jej w słowo Pellaeon - przydałoby się nam ze strony Jedi kilka naprawdę pomyślnych wiadomości.

- Nie jestem pewien, czy będą pomyślne - stwierdził Luke. - Prawdopodobnie tylko pożyteczne. Chyba już zdążyliście się zapoznać z moim raportem. Wynika z niego, że za zamach na stacji Toryaz odpowiada niemal na pewno Thrackan Sal-Solo... A nawet jeżeli to nie jego sprawka, jest winien, bo nie podjął niezbędnych kroków i pozwolił, żeby ktoś zabił panią premier Saxan.

Omas skrzywił się z niesmakiem.

- Niestety, różnica między jednym a drugim to różnica między najpoważniejszym przestępstwem a niewinnością - powiedział.

- Niewinnością? - Powtórzył osłupiały Luke. - Chyba pan żartuje.

- Nie. - Omas nie wyglądał na osobę z poczuciem humoru. - Jeżeli Thrackan nie zapłacił za informację zawartą w otrzymanym liście, czy możesz udowodnić, że potraktował ją poważnie? Skąd wiadomo, że w ogóle dał jej wiarę? Zawsze może oświadczyć, że nie uznał tej propozycji za poważną, a nadawcą listu był narwaniec, więc nie musiał podejmować żadnych kroków.

Luke pokręcił głową, niezadowolony, że takie błahe zastrzeżenia krzyżują jego plany.

- Gdyby jednak nasza grupa szturmowa porwała Thrackana i sprowadziła go na Coruscant, moglibyśmy wytoczyć mu proces pod zarzutem, że zapłacił za tę informację - zastanowił się na głos.

- Taki proces ciągnąłby się wiele miesięcy albo lat, a w tym czasie Sal-Solo nie mógłby pełnić

swoich obowiązków, co na pewno okazałoby się korzystne dla procesu pokojowego.

Pozostali uczestnicy narady wymienili spojrzenia.

- To całkiem pragmatyczna propozycja. Nie spodziewałam się takiej z ust jakiegokolwiek Jedi - oznajmiła w końcu Niathal. - Podoba mi się to, co usłyszałam.

Luke rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Jedi zaliczają się do najbardziej pragmatycznych istot w galaktyce - zauważył. - Zawsze zakładamy, że lepiej doprowadzać sprawy do końca niż zwracać uwagę na subtelności. Uważamy na przykład, że sprawiedliwość jest ważniejsza niż prawo. A zresztą nawet sprawiedliwość bywa często przeceniana. Czasami wydanie sprawiedliwego wyroku uniemożliwia pokutę.

- Zastanowimy się nad twoją propozycją - stwierdził Omas.

- Musimy jednak uważać, żeby jej realizacja nie stała się wygodnym precedensem. Z jednej strony, niewątpliwie mamy prawo postawić osobę podejrzaną o popełnienie przestępstwa przed trybunałem. Z drugiej jednak strony, jeżeli porwiemy przywódcę planety, która przynajmniej teoretycznie cały czas wchodzi w skład naszych struktur, damy wszystkim do zrozumienia, że uznajemy porywanie władców Galaktycznego Sojuszu za usprawiedliwione. Kiedyś w przyszłości ktoś może porwie mnie i będzie się domagał uniewinnienia, powołując się na ten precedens.

- Możemy zdobyć w tej sprawie błogosławieństwo, chociaż nieoficjalne, głównego rywala politycznego Sal-Solo - stwierdził mistrz Jedi. - Moja siostra poinformowała mnie, że wzięła udział w potajemnym spotkaniu z premierem Denjakssem Tepplerem. Teppler przekazał wtedy rozmówcom, że utrzyma się przy władzy, a może nawet przeżyje, dopóki Sal-Solo będzie uważał go za sojusznika w realizacji swoich planów.

Pellaeon parsknął, po części z rozbawieniem, a po części z pogardą.

- Właśnie to lubię w polityce - powiedział. - Razem z marionetkowym władcą Korelii musimy spiskować, aby usunąć z drogi niewygodnego polityka, zanim będzie można marzyć o postępach procesu pokojowego. Gdzie tu sens, gdzie logika?

Luke rozłożył ręce.

- Nie zawsze dostrzegam sens w poczynaniach polityków - zauważył. - Podsumujmy sytuację. Zakończyłem transportować z Korelii nieletnich uczniów Jedi, żeby nie stali się celem możliwego odwetu. Mara wróciła z Koronetu z informacją o funkcjonariuszach koreliańskiego rządu średniego szczebla, których może dacie radę wykorzystać do swoich celów, ale to sprawa dla Wywiadu. W moim raporcie znajdziecie oceny sytuacji, dokonane przez Jedi w różnych miejscach galaktyki. Wynika z nich wzrost poparcia różnych systemów planetarnych dla stanowiska Korelii. I to właściwie wszystko, co mam do zakomunikowania.

Pellaeon pokiwał energicznie głową.

- Zamierzał pan pozostać na Coruscant czy wrócić na Korelię, żeby na nowo objąć dowództwo nad Eskadrą Hardpoint? - Zapytał.

- Zamierzałem wrócić na Tralusa - odparł Luke.

- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan zostać tu kilka dni dłużej, dopóki się nie zorientujemy, jak najlepiej wykorzystać umiejętności Jedi podczas tego kryzysu.

Mistrz Jedi kiwnął głową.

- Jak pan sobie życzy - powiedział.

- I przykro mi z powodu pańskiego chłopca.

Skywalker uniósł brwi.

- Słucham? - Zapytał.

- Nie miałem na myśli jego wyczynu - zastrzegł Pellaeon. - Chodziło mi o historię, w którą został wplątany. - Obdarzył mistrza Jedi krzywym uśmiechem. - Młodzi biorą udział w wojnach i przypuszczają, że to doświadczenie wystarczy, aby nauczyć ich strachu przed konfliktami. A potem, wiele lat później, na wojnę wybierają się ich dzieci i nagle rodzice uświadamiają sobie, czym naprawdę jest strach.

- To prawda - przyznał Luke. Uznał, że słowa admirala oznaczają odprawę, i wstał z fotela. - Cieszę się, że nadal pan rozumie istotę tego strachu.

System Koreliański, nad Tralusem

- Usiadł nam na ogonie! Usiadł nam na ogonie!

Syal Antilles nie zareagowała na pełne przerażenia okrzyki sullustańskiego artylerzysty. Szarpnęła w lewo rękojęść dźwigni drążka sterowniczego.

Gwiezdny myśliwiec typu Aleph nie skręcił jednak na bakburtę. Zamiast tego pilotka poczuła, jakby ktoś kopnął maszynę z boku w kadłub. Domyśliła się, że z dysz wylotowych rozmieszczonych wzdłuż sterburty silniczków manewrowych wydobyły się porcje energii. Gwiezdny myśliwiec przemieścił się na bakburtę, ale tylko nieznacznie zmienił prędkość i orientację w przestworzach. Syal uderzyła otwartą dłoń z góry w dźwignię rękojęści drążka sterowniczego i znów poczuła szarpnięcie alepha. Tym razem energia wydobyła się z dysz wylotowych silniczków manewrowych usytuowanych na górze kadłuba i jej maszyna z przyprawiającą o mdłości szybkością obniżyła o kilkadziesiąt metrów pułap lotu.

Laserowe błyskawice przeorały pustą przestrzeń po stronie sterburty alepha, ale zaraz podążyły za nim na bakburtę. Mimo to znów nie dotarły do celu, bo wcześniej Syal obniżyła pułap lotu.

Zueb Zan - Sullustanin siedzący po prawej stronie pilotki w kabinie alepha - w końcu obrócił działka sterburtowej wieżyczki i skierował je w stronę rufy myśliwca. Na krótko w czworokącie celowniczym na ekranie komputera zatrzepotała sylwetka ścigającego ich X-winga. Sullustanin dał ognia i na kadłubie tęponosego myśliwca pojawiły się czerwone przerywane kreski laserowych strzałów. Na ekranie monitora, pokazującego załodze alepha holograficzny widok z kamery zainstalowanej na rufie, było widać, jak do kadłuba prawdziwego X-winga docierają prawdziwe błyskawice laserowych strzałów. Na szczęście strzały niosły niewielką energię, więc ochronne pola pochłonęły ją bez trudu.

- Potwierdzam trafienie - zameldował pilot ścigającej ich maszyny. - Doskonała robota, Antilles. Brawo, Zan.

- Dziękujemy panu - odparła machinalnie Syal. Pospiesznie sprawdziła wskazania przyrządów na diagnostycznym pulpicie, na który niemal nie zwracała uwagi podczas symulowanego pojedynku. Nie zauważyła niczego, co uniemożliwiłoby alephowi udział w dalszej walce, jeżeli nie liczyć niewielkiego ubytku energii z powodu wykorzystywania ochronnych pól i laserów.

Pilot X-winga ostro przyspieszył. Aleph nie był do czegoś takiego zdolny. Ogarnięta zazdrością Syal przygryzła wargę. Zwiększyła pułap lotu i pchnęła maszynę na sterburtę.

- Twoja opinia? - Zapytał pilot tęponosego myśliwca.

- Wciąż jeszcze nie mogę się przyzwyczaić do bocznych silniczków manewrowych - przyznała pilotka. Usiłowała nadać głosowi beztroski ton, chociaż bardzo chciała się komuś poskarżyć. - Nie

pozwalają na wykonywanie gwałtownych uników ani zwrotów przy bardzo dużej prędkości lotu.

- Może i nie - zgodził się pilot X-winga. - Ale i tak radzisz sobie z nimi bardzo dobrze. Dzięki twoim manewrom chybiłem. Zan?

Sullustanin zastanowił się nad odpowiedzią.

- Sterburtowa wieżyczka się zacina - powiedział. - Jeżeli nie przestanie, ktoś w końcu odstrzeli nam tyłki.

- Porozmawiaj w tej sprawie z szefem swoich mechaników - doradził pilot. Zan skrzywił wargi z niezadowoleniem.

- Ciekaw jestem, czy przypadkiem nie zacinają się także wieżyczki innych alephów - powiedział. - Jeżeli tak, trzeba będzie coś z tym zrobić.

- Zapytam - obiecał ich rzekomy prześladowca. - No dobrze, koniec ćwiczeń. Sprowadźcie go do hangaru.

Pilot X-winga skręcił raptownie w bok, z powrotem w kierunku Tralusa i unoszących się nad nim na orbicie okrętów Galaktycznego Sojuszu. Należał do nich także kalamariański lotniskowiec „Błękitny Nurek” - nowa baza eskadry alephów.

Syal przyglądała się z zazdrością, jak pilot zwinniejszej maszyny wykonuje kolejne manewry. Zaczęła powoli zawracać, żeby puścić się jego śladem. Jej gwiazdny myśliwiec typu Aleph mógł rozwijać w atmosferze ogromną prędkość - pod tym względem dorównywał maszynom przechwytyjącym typu Eta-5 - ale był o wiele bardziej masywny niż myśliwce, którymi Syal dotąd latała, więc prosty skręt zajmował znacznie więcej czasu. Boczne silniczki manewrowe, dzięki którym uniknęła trafienia przez nadlatujące z tyłu błyskawice laserowych strzałów, nie rekompensowały braku zwinności. Pilotka przełączyła komunikator na odbiór i powiedziała:

- Nadal nie cierpię tej maszyny.

- Ja też. - Zueb pokiwał energicznie głową, aż zakołysały się mięsiste fałdy skóry na jego twarzy.

- Czuję się w niej, jakbym pilotowała towarowy śmigacz... Czym zresztą kiedyś się zajmowałam.

- Na Korelii? - Zagadnął Sullustanin.

Syal pokiwała głową.

- Praca jak każda inna - stwierdziła. - Pilotowałam go, żeby zarobić kredyty na naukę.

- Twój ojciec jest sławnym generałem, na emeryturze, a ty musiałaś płacić za naukę? - Zdziwił się artylerzysta.

- Niezupełnie - przyznała Syal. - Do każdego zarobionego przeze mnie kredytu, który przeznaczałam na naukę, mój ojciec dokładał cztery następne. Mimo to musiałam zarabiać. Antillesowie właśnie tak postępują... Nie ma dla nich łatwej drogi. - Kiedy w końcu obrała kurs na przecięcie orbity „Błękitnego Nurka”, przekazała kontrolę nad sterami czarno-żółtemu astromechanicznemu robotowi typu R2, tkwiącemu za jej plecami, w niszy między fotelami pilota i artylerzysty. - A przy okazji... Dziękuję.

- Za co? - Zapytał Sullustanin.

- Nie nabijałeś się ze mnie, że jestem Korelianką i córką sławnego generała.

Zueb potraktował jej uwagę lekceważącym machnięciem ręki.

- Patrzę na to z innej perspektywy - powiedział. - Nie jesteś koreliańską córką sławnego generała. To on jest ojcem sławnej koreliańskiej pilotki oblatywaczki Twee. Niedługo sama się o tym przekonasz.

Syal zachichotała.

- Podoba mi się twoja perspektywa - stwierdziła.

Pilotka oblatywaczka. Jej ojciec także się kiedyś tym zajmował, ale raczej nie siedział wówczas za sterami myśliwca w rodzaju Alepha. W porównaniu z jego ukochanymi X-wingami alephy sprawowały się jak latające czołgi. Były silnie opancerzonymi dwuosobowymi maszynami z przesadnie dużymi generatorami ochronnych pól i zostały zaprojektowane ponad dziesięć lat wcześniej, w ostatnich miesiącach wojny z Yuuzhan Vongami. Miały być zdolne do podjęcia walki z yuuzhańskimi koralowymi skoczkami, masywnymi jednoosobowymi organicznymi myśliwcami, chronionymi przez grubą skorupę i ruchome grawitacyjne mikroanomalie. Te ostatnie, wytwarzane przed błyskawicami laserowych strzałów czy rakietami, mogły pochłonąć nie tylko ich energię, ale nawet same pociski.

Alephy nie korzystały z pomocy tak wyrafinowanych systemów obronnych. Zamiast nich miały grube, opancerzone kadłuby i silne ochronne pola, wytwarzane przez potężne generatory. Po obu stronach kulistej kabiny znajdowały się wieżyczki z czterema sprzężonymi działkami laserowymi. Można było zrezygnować z ich sprzęgania i wykorzystywać po jednym naraz. Można było także oddawać strzały o różnej energii, czasie trwania i częstotliwości powtarzania. Taka technika prowadzenia ognia miała wprowadzać w błąd wytwarzane przez pilotów yuuzhańskich skoczków czarne mikrodziury. Z przodu alephy miały dwie wyrzutnie, jedną dla rakiet udarowych i drugą dla protonowych torped. Krótko mówiąc, myśliwce były ciężkie i silnie uzbrojone... Przy czym słowo „ciężkie” chyba najlepiej oddawało ich właściwości użytkowe.

Najgorsze jednak, że - na myśl o tym Syal się skrzywiła - alephy wyglądały po prostu idiotycznie. Dzięki kulistym kabinom przypominały przerośnięte myśliwce typu TIE. Przed fotelami artylerzysty i pilota widniały okrągłe transpastalowe iluminatory, a z tyłu kabina przechodziła płynnie w osłony dysz wylotowych silników, zwężające się tym bardziej, im dalej znajdowały się od kabiny. Po każdej stronie kabiny zainstalowano wieżyczkę działka, więc każdy aleph wyglądał jak głowa ogromnego Twi'leka w nausznikach, i z ciągnącymi się za nim głowoogonami. Nic dziwnego, że piloci oblatywacze alephów i niemal wszyscy inni, którzy je widzieli, określali je mianem Twee.

Mimo to latanie nimi było lepsze niż pilotowanie kontenerowych zbiornic odpadków, wahadłowców ratunkowych albo holowników.

Pilotka oblatywaczka. Syal zastanowiła się nad znaczeniem tego określenia. W ciągu kilku dni oblatywania myśliwców Twee serdecznie je zniecierliwiła, ale uświadamiała sobie, że nie oddałaby sprawiedliwości temu typowi gwiazdowego myśliwca, gdyby nie zademonstrowała wszystkich jego pozytywnych cech ekspertom z Galaktycznego Sojuszu, które miały dokonać jego oceny. Sprzeniewierzyłaby się także dobremu imieniu rodu Antillesów. Obecnie, kiedy powróciła do pierwotnego imienia i nazwiska, powinna dbać o to, żeby nie okryć się niesławą. Musiała wykonywać alephem manewry tak starannie, aby oglądający je piloci nie mieli pojęcia, jak ona to robi.

Przełączyła pokładowy komunikator znów na nadawanie.

- „Szary Jeden”, tu „Czwórka” - powiedziała. - Odbiór.

- Możesz mówić, „Czwórko” - usłyszała w odpowiedzi. - Odbiór.

- Czy przed powrotem na pokład „Nurka” mogłabym przelecieć przez atmosferę Tralusa? - Zapytała pilotka. - Chciałabym wykonać kilka dodatkowych manewrów. Dobrze byłoby także sprawdzić prędkość w atmosferze, tempo nagrzewania się kadłuba i zachowanie się maszyny podczas akrobacji. Odbiór.

- Miło mi, że wykazujesz inicjatywę, „Czwórko”. Masz moją zgodę. Odbiór.
- Dzięki. Bez odbioru. - Syal przełączyła komunikator ponownie na nasłuch. Zueb posłał jej smutne spojrzenie.
- Chcesz, żebym znów miał mdłości, prawda? - Zapytał.
- Syal pokiwała głową, ale zrobiła współczującą minę.
- Przerwę, jak tylko zaczniesz wymiotować - obiecała.
- Niech będzie - odparł Sullustanin.

Lorrd City, Lorrd

Ben wrócił do gabinetu pani doktor Rotham, akurat kiedy sędziwa badaczka zaczynała wygłaszać wstępną ocenę. Prawdziwa kitka leżała na głównym stole, nad którym unosił się jej hologram z oznaczeniem poszczególnych plecionek.

- ...Od najwyższej do najniższej - mówiła Rotham. - Sam sposób ich ułożenia wskazuje, że chyba w takiej kolejności powinno być wyjaśniane ich znaczenie. Witaj, Benie.

- Cześć. - Młody Skywalker podszedł do stołu i nie odrywając spojrzenia od hologramu, stanął za krzesłem Jacena.

- A więc plecionka numer jeden, licząc od góry, pochodzi z wymarłej planety o nazwie Firrere - ciągnęła badaczka. - Jej mieszkańcy dawno się rozproszyli. Ich technika zaplatania służyła początkowo rejestrowaniu myśli, a także, w niektórych cywilizacjach przesądnych istot, wywieraniu magicznego wpływu na imiona. Znaczenie tej plecionki: „Przekształć się”, a może: „Nada sobie inne imię”, bo w tym kontekście oba znaczenia są identyczne.

Znaczenie następnej wyjaśniłam ci już wcześniej. Plecionkę wykonał jakiś Bith z rasy Aalagarów. Oznacza: „Zniszczy tych, którzy odmawiają sprawiedliwości”.

Wyjaśnienie znaczenia szkarłatno-czarnej było proste, bo to drugi z dotykowych systemów zapisywania myśli, jakiego się nauczyłam - technika rejestrowania wykorzystywana przez więźniów z Kessel. „Wybierze los słabych”.

Jacen się nie poruszył, ale Ben znów wyczuł promieniujący od niego impuls emocji. Nelani, która go także odebrała, obrzuciła starszego kolegę zaskoczonym spojrzeniem. Rycerz Jedi nie zwrócił na nią uwagi, bo cały czas wpatrywał się w twarz pani doktor Rotham. Uczona chyba tego nie zauważyła.

- Nie mogłam ustalić znaczenia następnej plecionki koloru jadowitej żółci i zieleni - podjęła po chwili. - Znaczenie kolejnej jest bardzo zawiłe. Czerwone, żółte i jasnozielone sploty symbolizują coś w rodzaju bukietu i pochodzą ze starej alderaańskiej mowy kwiatów. Jeżeli chcesz zrozumieć znaczenie tej plecionki, postaraj się wyobrazić sobie stojący w wazonie bukiet, w którym czerwone i żółte elementy symbolizują kwiaty, a zielone łodygi. Oznacza to: „Wybierze sposób, w jaki będzie kochany”. Można by to także wyrazić w pierwszej osobie liczby pojedynczej, ale zakładam, że podobnie jak we wszystkich poprzednich, chodzi raczej o trzecią osobę.

- A jeżeli już o tym mowa, czy na pewno chodzi o osobę płci męskiej? - Wtrąciła Nelani. - Może wszystkie znaczenia dotyczą także płci żeńskiej?

Pani doktor Rotham pokręciła głową.

- Nie we wszystkich plecionkach jest to zdefiniowane, ale tam, gdzie to określono, chodzi na pewno o osobę płci męskiej - stwierdziła. - Na czym skończyłam? Ach, tak. Znaczenie następnej jest

łatwe do zrozumienia. Ta szaro-brązowa plecionka pochodzi z Coruscant. Żyje tam nadal społeczność bezdomnych biedaków, którzy chlubią się tym, że są bezrobotni, i utrzymują się z tego, co uda im się wyżebrać albo ukraść. Pozostawiają wiadomości dla innych nieszczęśników w postaci symboli na ścianach gmachów, komunikując na przykład, że właściciel sklepu czy restaurator ma miękkie serce. Ta trójwymiarowa wersja ich języka oznacza: „Zwycięży i zerwie swoje kajdany”.

Przeszła do omawiania znaczenia następnych plecionek. Coraz bardziej znudzony Ben powoli tracił zainteresowanie. Odnotowywał w pamięci tylko same tłumaczenia:

- „Zrzuci skórę i wybierze nową”, „Wzmocni się poprzez poświęcenie”, „Przepelźnię przez swój płaszcz”, „Pozna braterstwo”, „Uczyni sobie ulubieńca”... Nie chcę przez to powiedzieć, że oswoi jakieś zwierzątko, ale w jakiś sposób stworzy sobie ulubieńca.

Ben starał się skupiać uwagę na Jacenie, bo raz czy dwa, kiedy pani doktor Rotham podawała kolejne znaczenia, wyczuwał silny impuls jego emocji.

W końcu badaczka dotarła do ostatniej plecionki.

- Znaczenie tej już znasz - przypomniała. - Pochodzi z Ryloth, od cywilizacji Tahu'ipów. „Wzmocni się poprzez ból”. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czy kolejność prezentacji odgrywa jakąkolwiek rolę. Może być przypadkowa, a może także składać się na specyficzną myśl przewodnią. Po prostu tego nie wiem.

Jacen pokiwał głową

- Bardzo mi pani pomogła, pani doktor - powiedział. - Uhm, opuściła pani znaczenie tej. - Wstał, sięgnął w kierunku hologramu i dotknął czubkami palców brązowokremowej plecionki z zygzakowatymi czarnymi znakami.

- To prawda... - Odparła z namysłem badaczka. - Po prostu nie umiem wyjaśnić jej znaczenia. Zetknęłam się już kiedyś z tą metodą rejestrowania... Zygzakowaty wzór, haczykowate końce nici wystających jak szeregi szponów i pazurków. - Na jej twarzy malowała się niepewność. - W rzeźbach i posążkach z planety Ziost.

Tym razem na twarzy Nelani odmalowało się zaskoczenie.

Jacen skwitował uwagę badaczki pojedynczym kiwnięciem głowy.

- Według mnie to oznacza coś w rodzaju: „Żyjąc w pokoju, zostanie uwikłany w konflikt”, a może: „Jego życie będzie balansowało między pokojem a konfliktem” - podsunął.

Badaczka obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

- Skąd to wiesz? - Zapytała.

- Może pani wierzyć albo nie, ale po prostu to czuję - odparł rycerz Jedi. - Znaczenie plecionki, jakie zamierzał jej nadać twórca, może zrozumieć tylko osoba władająca Mocą.

- Nie rozumiem jej znaczenia - wtrąciła Nelani.

Jacen wzruszył ramionami.

- Może zrozumiesz, kiedy trochę poszerzysz swoją wiedzę na temat sposobów władania Mocą - powiedział.

- Co to takiego Ziost? - Zainteresował się Ben.

- To jedna z najważniejszych planet, z których wywodzili się Sithowie - wyjaśniła Nelani półgłosem, jakby nie chciała, żeby ktoś ją podsłuchał.

- Prawdę mówiąc, w tej zbieraniu znaczeń wykrywam duży wpływ Sithów. - Jacen pokazał hologram. - Kilka to parafrazy fragmentów ich wyznania wiary. Na przykład ta dotycząca zwycięstwa i kajdan. Mamy tu przedmiot stworzony przez kogoś, kto przynajmniej zetknął się z ideologią

Sithów... W taki sposób, w jaki mógł się z nią zetknąć historyk Jedi.

- Mam nadzieję, że w tym przypadku rzeczywiście chodzi tylko o historyka - stwierdziła pani doktor Rotham. - Na zakończenie chciałam jeszcze coś powiedzieć. Zaprosiłam tu artystę wykonującego takie plecionki i poprosiłam go o opinię na temat kitki, którą mi zastawiłeś. Jest pewny, że poszczególne sploty wykonały różne osoby. To oznacza, że twoja kitka nie jest dziełem eksperta w dziedzinie wszystkich tych technik rejestrowania myśli. Ktoś po prostu zebrał plecionki i ułożył je w określonej kolejności, ale nie zajmował się ich wykonaniem. Sprawia mi to ogromną ulgę, bo w przeciwnym razie taki artysta byłby moim naukowym rywalem, o którego istnieniu wiele dziesięcioleci nie miałam pojęcia.

Otarła czoło w geście udawanej ulgi. Jacen obdarzył ją uśmiechem.

- Pani doktor, udzieliła mi pani nieocenionej pomocy - powiedział. - Zwłaszcza że chodziło o wykonanie trudnej pracy w bardzo krótkim czasie. Jestem pani bardzo wdzięczny.

Sędziwa badaczka także się uśmiechnęła i spojrzała na niego.

- Wykorzystałam tylko szansę, jaką wreszcie otrzymałam, choć w późnym wieku - oznajmiła. - Szansę podziękowania Jedi za wszystko, co zrobili.

- Teraz panią pożegnamy, ale gdyby wpadło pani do głowy coś jeszcze na temat tych plecionek, jakiegokolwiek inne możliwe znaczenie... Proszę bez wahania się z nami skontaktować. - Jacen zawiązał kitkę w kawałek materiału i schował ją do saszetki u pasa.

- Powodzenia w prowadzeniu dochodzenia, Jedi Solo - pożegnała go badaczka.

Kiedy wszyscy troje Jedi znaleźli się za drzwiami gabinetu pani doktor Rotham i skierowali się w stronę śmigacza Nelani, Jacen zapytał:

- No to powiedz, Benie, jak się bawiłeś resztę dnia?

- Och, moim zdaniem całkiem nieźle. - Młody Skywalker postarał się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej nonszalancko. - Znalazłem wahadłowiec.

Jacen się uśmiechnął.

- No cóż, to chyba nie było bardzo trudne - zauważył. - Zapewne zaczęłeś szukać w kosmoporcie...

- Nie twój wahadłowiec - wyprowadził go z błędu Ben.

Rycerz Jedi zmarszczył brwi.

- W takim razie czyj? - Zapytał.

- Wahadłowiec, który odleciał ze stacji Toryaz.

Jacen o mało się nie potknął, a Ben z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Zaraz, zaraz - odezwał się starszy Jedi. - Jesteś pewien?

Ben kiwnął głową.

- Kod transpondera się zgadza, podobnie zresztą jak wygląd - wyjaśnił. - To lądownik typu Sentinel, pozbawiony systemów uzbrojenia.

Statki typu Sentinel, często widywane na przecinających galaktykę gwiazdnych szlakach, były trochę większymi i silniej opancerzonymi wersjami pilotowanego przez Jacena wahadłowca typu Lambda.

- Jakim cudem udało ci się go znaleźć? - Zapytała Nelani. Była do tej pory pod wrażeniem starań Bena ocalenia życia funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa kosmoportu podczas widowiskowego samobójstwa Huarra. Wszystko wskazywało na to, że szybko jej to nie przejdzie. Ben musiał się bardzo starać, żeby nie pokazywać po sobie, jaki jest dumny.

Skrzywił się. Trudno było mu zrozumieć, jak tego dokonał, a jeszcze trudniej wyjaśnić w słowach. Z drugiej strony, Nelani była przecież rycerzem Jedi.

- Siedziałem jakiś czas w hangarze, zastanawiając się, co chcę robić - zaczął w końcu. - Trochę rozmyślałem, a jeszcze bardziej starałem się odczuwać. Usiłowałem także obserwować lądujące wahadłowce. Właśnie one przyciągały moją uwagę, nie transportowce i kontenerowce. Wydawało mi się to wówczas bardzo dziwne.

Nelani pokiwała głową.

- Prowadziła cię Moc - wyjaśniła. - Otworzyłeś się na nią.

- Chyba tak - przyznał Ben. - A później przypomniałem sobie, co tyle razy mówiła mi mama. Twierdziła, że każdy szczegół, choćby najbłaższy, może się później okazać bardzo istotny. Przypomniałem sobie wtedy o wahadłowcu, który odleciał ze stacji Toryaz. - Uniósł głowę i spojrzał na Nelani. - Wiesz, moja mama jest szpiegiem.

Młoda Jedi się uśmiechnęła.

- Wiem - powiedziała.

- Zacząłem przeglądać informacje zapisane w pamięci mojego notesu - podjął młody Skywalker. - Wszystkie notatki Jacena opisujące szczegóły, z którymi wcześniej nie mieliśmy czasu się zapoznać. Postanowiłem się przekonać, czy w bazie danych kosmoportu nie znajdę jakichś informacji na temat tego wahadłowca. I wiesz, co się okazało? Wahadłowiec ze stacji Toryaz nie tylko wylądował w Lorr City, ale stał zaparkowany mniej więcej pół kilometra od miejsca, w którym eksplodował tamten Y-wing!

- Na kogo jest zarejestrowany? - Zainteresował się Jacen.

Ben wyjął komputerowy notes i otworzył wieczko. Okazało się, że pozostawił wszystkie informacje na ekranie.

- Na kobietę, która nazywa się Brisha Syo - oznajmił. - Pochodzi z Commenora. Nie było jej na pokładzie tego wahadłowca, ale to ona zapłaciła z góry za tydzień parkowania w tym hangarze. Nie zostawiła żadnych informacji, jak się z nią skontaktować. Władze kosmoportu przypuszczały, że przebywa cały czas na pokładzie, ale wszystkie pokładowe systemy zostały wyłączone. Zwierzyłem się ze swoich podejrzeń porucznikowi Samranowi. Kazał, żeby ktoś obserwował ten wahadłowiec.

- Bardzo dobrze - powiedział rycerz Jedi. - Ale co będzie, jeżeli ta Brisha Syo wejdzie ukradkiem na pokład i odleci, kiedy strażnik Samrana utnie sobie drzemkę?

- Do kadłuba przytwierdziłem nadajnik, który wyjawi nam, dokąd poleciała. - Ben wzruszył ramionami, jakby starszy kuzyn nie pomyślał o rzeczach oczywistych.

Jacen wybuchnął śmiechem.

- Doskonała robota - pochwalił. - A co zrobiłeś z resztą wolnego czasu?

Ben spiorunował go spojrzeniem.

- Przestań się ze mnie nabijać - powiedział.

Jacen kiwnął głową.

- Stajesz się tak dobry w tym, co robisz, że jeżeli nie będziemy ci dokuczać, zaczniesz się puszyć jak Lando Calrissian - zauważył.

- To byłoby zabawne. - Ben nadał głosowi ton podobny do pełnego urazy tonu głosu dobrego przyjaciela rodziny Solo. Odwrócił się do Nelani. - Cześć. Nazywam się Ben Skywalker.

- Och, to niesamowite - ucieszyła się młoda Jedi.

- Staram się zorientować, czy jestem bardziej uprzejmy, czy też może raczej jowialny - ciągnął

Ben. - Mam nadzieję, że pomożesz mi rozstrzygnąć ten dylemat.

- Przestań! - Zachichotała Nelani.

- Należę wina, a ty mi powiesz, co ci się najbardziej we mnie podoba.

- Jacenie, dla odmiany Ben stał się okropnym gadułą...

ROZDZIAŁ 27

Korelia

Han leciał z ogromną prędkością nad bulwarem. Nie zwracał uwagi na wysokie budynki, migające po obu stronach tak szybko, że jego oczy nie nadążały z zarejestrowaniem ich szczegółów ani kolorów, a co dopiero rodzaju architektury. Całą uwagę skupiał na lecącej przed nim maszynie, która wyglądała jak czarny dysk ze zwróconymi w jego stronę trzema ognistymi otworami dysz wylotowych silników... Miał przed sobą ogon koreliańskiego bombowca YT-5100 typu Shriek, takiego samego, jaki pilotował. Nie mógł znieść, że Wedge Antilles leci pierwszy... Nie powinien był do tego dopuścić i zamierzał zmienić tę sytuację tak szybko, jak to tylko możliwe.

Nad kabiną jego maszyny przeleciały błyski oddawanych z oddali laserowych strzałów. Na ekranie monitora pojawiła się informacja o stanie osłon. Wyświetliła się na czerwono, co oznaczało, że jego Shriek został trafiony... Ale Han nie odczuł żadnego wstrząsu, więc błyskawice musiały się ześlizgnąć po czaszy ochronnego pola. W pewnej chwili pilotowany przez Antillesa shriek zakołysał się z boku na bok i odrobinę zboczył z kursu. Na pewno pilot wykonał unik, żeby nie wpaść w najgęstszy strumień lecących ku niemu laserowych błyskawic. Han uświadomił sobie, że to dobra okazja, aby go wyprzedzić.

Zobaczył nadlatującą z oddali serię czerwonych błysków bardziej skupionego laserowego ognia. Stwierdził, że ten gęszcz laserowych błyskawic leci w kierunku shrieków od strony bakburty. Nie wykonał uniku... Przyspieszył.

Tymczasem Wedge zrobił kolejny unik, żeby nie ominąć największe skupisko strzałów. Han przyspieszył w samą porę, żeby się z nim zrównać, a później go wyprzedzić. Wpadł w największy gęszcz laserowych błyskawic i ekran monitora ochronnych pól znów rozbłysnął alarmująco na czerwono, ale za to z każdą chwilą bombowiec Antillesa zostawał dalej z tyłu.

A przed nim, stanowczo zbyt blisko, wyrosła sztuczna szara góra Kompleksu Mieszkalnego Terkury'ego... Budynku, pod którym powinien przelecieć niespełna sekundę później. Przycisnął guzik spustowy pierwszej rakiety udarowej, chociaż było zbyt późno, aby pociski wbiły się w nawierzchnię bulwaru, a odłamki zdążyły się rozproszyć. Zastanowił się, czy nie wytracić szybkości i nie śmignąć świecą w niebo... Ale taki manewr równałby się samobójstwu. Na pewno wpadłby prosto w ogień ze wszystkich baterii laserów i działek pilotów maszyn Galaktycznego Sojuszu, którzy puściliby się za nim w pościg. Z drugiej strony, takim samym samobójstwem byłoby wbicie maszyny w ścianę wieżowca. Ułamek sekundy później po stronie sterburty zobaczył oślepiający żółty błysk i zrozumiał, że wystrzelone przez Antillesa rakiety wbiły się we właściwe miejsce nawierzchni bulwaru. Zobaczył przed sobą rozprzestrzeniającą się chmurę szczątków, pyłu i ognia.

Zanurkował pod sam środek chmury. Miał sekundę czy dwie lecieć na oślep, ale znał odległości, głębokości i zasięgi. Zaczekał, aż przecucie podpowie mu, że się znalazł pod nawierzchnią bulwaru.

Dopiero wówczas wyrównał pułap lotu i wypuścił drugi komplet rakiet.

Przeleciał przez pierwszą chmurę. Wokół siebie widział tylko podtrzymujące dach durbetonowe filary i przestronne, puste pomieszczenia podziemnego hangaru. Były nieoświetlone i na projekcyjnym wyświetlaczu na powierzchni dziobowego iluminatora wyglądały jak niebieskie cienie o różnej intensywności blasku. Wystrzelone przez niego rakiety dotarły do celu. Widoczna prosto na kursie ściana eksplodowała i przemieniła się w drugą chmurę ognia i szczątków. Han zanurzył się w niej i polegając wyłącznie na instynkcie oraz wycuciu czasu, zaczął zwiększać pułap lotu...

Zobaczył nad sobą niebo, odbarwione przez kopułę wojskowego pola ochronnego.

- Wypuszczam ładunek - zameldował i odpowiednimi przyciskami uwolnił dziesiątki androidów celowniczych z luku bombowego.

Usłyszał coś jak echo własnego głosu i uświadomił sobie, że to mówi Antilles. Wedge też zrzucił swój ładunek i zameldował o tym dokładnie w tej samej chwili, co Solo.

Iluminator zgasł. Drgania kadłuba Shrieka znikły, i wrażenie pędu minęło. Kilka sekund kabinę rozjaśniał tylko blask padający z różnych wyświetlaczy, na które Han nie spojrzał ani razu podczas wyprawy. W końcu właz śluzy symulatora się otworzył i do środka wpadło jaskrawe światło.

Solo westchnął i po metalowej drabince wyszedł tyłem z symulatora do pomieszczenia, do którego wpadał tylko słaby blask z kiepsko oświetlonego korytarza. Kilka metrów dalej po prawej stronie zobaczył inny identyczny właz, a dwa następne po lewej. Obok jednego z nich stał Wedge Antilles, podobnie jak Han ubrany w elegancki zielono-czarny kombinezon lotniczy i hełm pilota Shrieka. Generał właśnie zamykał klapę.

Han nie widział jego twarzy, całkowicie skrywanej przez ciemną przeciwbłaskową przysłonę hełmu, dopóki Wedge jej nie unióś i nie spiorunował partnera spojrzeniem.

- Powinieneś wreszcie zrozumieć, że nie musisz zawsze lecieć pierwszy - powiedział. - Nie od tego zależy powodzenie naszej wyprawy.

Han obrócił hełm o dziewięćdziesiąt stopni i zdjął. Uśmiechnął się krzywo do przyjaciela. Wiedział, że taki sam uśmiech doprowadza czasami Leię do wściekłości.

- Naturalnie, że muszę - odparł z przekonaniem.

Wedge cały czas mierzył go twardym spojrzeniem.

- A zauważyłeś, że kiedy starałeś się mnie wyprzedzić, przekroczyłeś odcinek czasu, w którym powinieneś wystrzelić rakiety? - Zapytał. - Pamiętasz tamtą sytuację?

- Dałeś sobie świetnie radę beze mnie - stwierdził Han. - Doskonale sobie radzisz jako pilot. Powinieneś poważnie się zastanowić, czy nie zaciągnąć się do wojska.

Wbrew sobie Wedge się uśmiechnął.

- A ty musisz się zastanowić, czy nie warto nauczyć się działać w zespole - zauważył. Obrócił hełm i także zdjął go z głowy.

- Umiem działać w zespole - sprzeciwił się Solo. - Pod warunkiem że reszta zespołu trzyma się za moimi plecami.

- Niepokoją mnie twoje techniki pilotażu...

- Och, generał Antilles jest zaniepokojony - zadrwił Han.

- ...Bo kiedy się rozsmarujesz po powierzchni Tralusa, Leia będzie mnie prześladowała do końca moich dni - dokończył Wedge.

- To znaczy dzień albo dwa, jeżeli wpadnie w wystarczająco dużą wściekłość.

Han pokiwał głową.

- Przekonałeś mnie - powiedział. - Masz rację. Musisz zrobić wszystko, aby utrzymać mnie przy życiu.

- Antilles! - Czyjś okrzyk doleciał z odległego krańca korytarza wiodącego do pomieszczenia z symulatorami... A głos brzmiał niepokojąco podobnie do głosu Hana. - Gdzie się pan podziewa?

Ten, kto to powiedział, zbliżał się od strony zakrętu korytarza.

Wedge wytrzeszczył oczy, a Han uświadomił sobie, że i on zareagował tak samo. Nadchodzącą osobą był Thrackan Sal-Solo, który nie miał pojęcia, że Han będzie brał udział w wyprawie... A nawet że oboje Solo przebywają na Korelii.

Han zaczął się gorączkowo rozglądać, ale korytarz do pomieszczenia z symulatorami shrików był ślepą uliczką.

Wedge polecił gestami, żeby przyjaciel włożył hełm. Han usłuchał jego rady i zatrzasnął przesłonę. Sal-Solo pokonał już zakręt korytarza i stanął przed nimi. Tuż za nim, z trudem dotrzymując mu kroku, do pomieszczenia wpadło także czterech strażników KorSeku. Chwilę później zza zakrętu korytarza wyłoniły się dwa androidy bojowe typu ZYV.

Sal-Solo ujął się pod boki w geście zniecierpliwienia.

- No i? - Warknął.

Wedge obrzucił go obojętnym spojrzeniem.

- Słucham? - Zapytał.

- Jak idą przygotowania do wyprawy?

- Bardzo dobrze - zapewnił Wedge. - Właśnie zakończyliśmy trzecią i ostatnią symulację na spodziewanym poziomie trudności. Jutro zaczniemy podkręcać poziom do maksimum.

- Dobrze, dobrze. - Sal-Solo machnął ręką. - Właśnie tego się spodziewałem. Oglądałem przebieg symulacji na ekranach monitorów w sterowni. - Przeniósł spojrzenie na Hana. - A to kto? - Zapytał.

- Panie ministrze wojny, przedstawiam panu mojego partnera, Aalosa Noorga - powiedział bez namysłu Antilles. - Aalos spędził większość życia w Sektorze Wspólnym, gdzie był najemnym pilotem na usługach różnych korporacji, dopóki ten kryzys nie przekonał go, że pora wracać do domu. - Odwrócił się do Hana. - Aalos, zdejmij hełm - rozkazał.

Han chwycił hełm oburącz i udał, że usiłuje go obrócić na kołnierzu. Naturalnie hełm ani drgnął. Solo ponowił próbę, a później, gestami wyrażając rozpacz, zaczął udawać, że stara się otworzyć przesłonę. Ona także pozostała na poprzednim miejscu.

- Prototypowe hełmy - wyjaśnił przeproszającym tonem Wedge.

- Wygląda na to, że projektanci muszą jeszcze nad nimi popracować, aby usunąć wszystkie usterki.

- Na to wygląda - zgodził się z nim Sal-Solo.

Han odwrócił się i kilkakrotnie uderzył hełmem o boczną ściankę symulatora, a później ponowił próbę odkręcenia. Mimo to hełm i przeciwblaskowa przesłona ani drgnęły.

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. - Sal-Solo podszedł do niego i wyciągnął rękę. - Miło poznać prawdziwego patriotę.

Han uściśnął jego dłoń. Wymamrotał cicho i niewyraźnie, żeby Thrackan nie zrozumiał jego słów:

- Dziękuję niebiosom za to, że mój hełm się zaciął, bo dzięki temu nie muszę wachać twojego smrodu.

Sal-Solo odwrócił się do Antillesa i posłał mu zdezorientowane spojrzenie.

- Co on powiedział? - Zapytał.

- Chce podziękować panu i swojemu szczęściu, bo nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewał się, że spotka go zaszczyt brania udziału w tej wyprawie - wypalił Wedge.

- Aha - mruknął Thrackan. - Nie ma za co.

- Chciałbym także przykuć cię łańcuchem do bantha, a potem przeciągnąć pięćdziesiąt kilometrów po kolczastokrzewach i gąszczach mięsożernych roślin, aż przemienisz się w mokrą plamę - wymamrotał Han.

Wedge chrząknął.

- Aalosie, nie przesadzaj z tymi pochwałami - powiedział - bo przywódca Korelii pomyśli, że starasz się mu schlebiać.

- Nie ma znaczenia, co on mówi. - Sal-Solo klepnął Hana po ramieniu. - Liczy się tylko to, żeby wasza wyprawa zakończyła się sukcesem. Starajcie się nadal tak jak do tej pory.

Odwrócił się i wyszedł równie szybko, jak przedtem się pojawił, a członkowie jego świty niemal wybiegli za nim.

Kiedy odgłos cichnących kroków i szmer zamykanych drzwi dały im do zrozumienia, że Sal-Solo i jego podwładni opuścili korytarz, Han bez trudu zdjął hełm z głowy.

- Niewiele brakowało - stwierdził Wedge.

- Bardzo niewiele - przyznał Han.

- Dla uczczenia tej okazji proponuję, żebyśmy się czegoś napili.

- Dwie kolejki - zgodził się z nim Solo.

Lorrd City, Lorrd

Ben ocknął się i stwierdził, że ktoś szarpie go za stopę. Oburzony, otworzył jedno oko i zobaczył stojącego u stóp łóżka Jacena.

- Czas wstawać - odezwał się starszy Jedi.

- .. Nnie śpię - wymamrotał chłopak.

- Ubierz się i zabierz sprzęt.

Ben otworzył z widocznym wysiłkiem drugie oko i usiadł na łóżku.

- Czyżby pani doktor Rotham odgadła znaczenie pozostałych plecionek? - Zapytał.

- Nie. Mamy jeszcze jedną sytuację, w której zwrócono się do nas z prośbą o pomoc.

- Aha... - Ben skupił się na tym, żeby zmusić mózg do funkcjonowania. - Mam nadzieję, że tym razem nic nie eksploduje.

- Znów coś eksploduje, prawda? - Zapytał Ben.

Jacen pokiwał głową, ale chyba myślami błędził gdzie indziej.

- To możliwe - powiedział.

Stali obok kłębiącego się i zdenerwowanego tłumu na skraju przestronnego placu. Jego durbetonową powierzchnię wyłożono wygładzonymi przez wodę otoczakami, żeby nadać jej sztucznie naturalny wygląd. Nawet z daleka było widać, że plac pokrywa warstewka wody.

Po przeciwnej stronie, przed budynkiem Lorrdiańskiej Akademii Nauk Morskich, stało ogromne transpastalowe akwarium. Wyglądało podobnie jak akwaria w salonach wielu apartamentów albo w sypialniach dzieci, ale miało rozmiary dwupiętrowej prywatnej rezydencji. Mogłaby w nim

zamieszkać rodzina Kalamarian albo Quarrenów, gdyby jej członkowie wykazywali skłonność do ekshibicjonizmu. Do zewnętrznej powierzchni węższej, południowej ściany przytwierdzono schody i otwarty szyb niewielkiej windy, a nad górną krawędzią widniała potężna durastalowa belka, podtrzymująca ciężar obudowy sprzętu filtrującego wodę i monitorującego jej parametry.

W ogromnym akwarium nie było jednak wody, co wyjaśniało kałuże na placu, nawet w sporej odległości od zbiornika. Na jego dnie odtworzono miniaturową panoramę śródmieścia Lorrda City, włącznie z najbardziej rzucającą się w oczy białą wieżą budynku administracyjnego uniwersytetu i przestronnym, miłym dla oka gmachem studenckiego samorządu. Wszystkie budowle były bardziej jaskrawo pomalowane niż oryginały. Między budynkami kuliły się istoty wielu ras, które ślizgały się na różnobarwnych kamieniach, żwirze i konających formach morskiego życia. Ben widział ludzi, Bothan, Kalamarian i Verpinów. Wszyscy kierowali przerażone spojrzenia na stojącego w południowo-wschodnim kącie akwarium rosnącego mężczyznę.

Mężczyzna miał ze dwa metry wzrostu i ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów, z których spora część przypadała na mięśnie. Miał krótko przystryżone i zawadiacko zaczesane ciemne włosy, wąsy i brodę, dzięki którym wyglądał jak gwiazdny pirat z dziecięcych holoseriali. Był ubrany na czarno, w lewej dłoni trzymał blasterowy pistolet, a w prawej mniejszy przedmiot, którego Jedi nie mogli rozpoznać.

Na sobie zaś miał inną istotę ludzką. Ciemnoskóry mężczyzna, przytwierdzony do jego pleców zwojami samoprzylepnej taśmy, był przeciętnego wzrostu i w średnim wieku. Stykali się plecami, zwróceniem twarzami w przeciwne strony.

- Ten wielkolud na pewno oszalał - stwierdziła Nelani.

- Świadkowie stwierdzili, że jeszcze kilka godzin temu akwarium było pełne, a morskie formy życia, jak zwykle, pływały bez celu albo zjadały się nawzajem. Później na placu pojawili się terroryści przebrani za miejskich pracowników. Na ich czele stał ten rosnący mężczyzna. Paru otworzyło awaryjne zawory, żeby woda rozlała się po placu, a pozostali zapędzili gości do muzealnej części akademii, po czym zmusili, żeby wspięli się po schodach i wskoczyli do akwarium, zanim wypłynie z niego woda. Zakładnicy pływali, przerażeni i zdezorientowani, a terroryści przywiązali jednego z nich do pleców herszta i uciekli. Kiedy pojawili się pierwsi funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa Lorrda, herszt także wskoczył do akwarium i pływał pośród zakładników, dopóki ze zbiornika nie wyciekła reszta wody.

- Co wiadomo na jego temat? - Zapytała Nelani.

Porucznik Samran, który stał kilka metrów dalej i przez komunikator kierował akcją, spojrzawszy na nią i pokręcił głową.

- Nie mamy pojęcia, kim jest - powiedział. - Kiedy będziecie z nim rozmawiali, spróbujcie się tego dowiedzieć... Znamy tylko częstotliwość jego komunikatora, którą przekazał jednemu z moich podwładnych. - Wyciągnął w kierunku Nelani świstek flimsiplastu. Ben wyjął go z jego palców i zaczął nastawiać swój komunikator na zapisaną częstotliwość. - Herszt porywaczy twierdzi także, że między nim a zakładnikiem umieszczono materiały wybuchowe. Ten przedmiot w jego dłoni to podobno urządzenie do ich odpalenia. Aha, i chce porozmawiać z pieszczoszką Jedi, którą przysłano tu, na Lorrda. - Posłał Nelani przepraszające spojrzenie. - To jego określenie, nie moje, proszę pani.

- Nie ma sprawy - odparła młoda Jedi.

- Udało się panu wyśledzić jego kompanów? - Zapytał Jacen.

Samran pokręcił głową.

- Wszyscy mieli na sobie zwykle ciemne ubrania, a na twarzach elastyczne maski - powiedział. - Mogli bez trudu wmieszać się w tłum na ulicach albo zniknąć w jednym z publicznych gmachów. W tej chwili mogą być wszędzie. - Bezradnym gestem wskazał tłum gapiów.

Jacen odwrócił się do Nelani.

- Chyba tym razem skorzystam z przywileju starszeństwa i pierwszy porozmawiam z tym mężczyzną - oznajmił.

- Tylko pamiętaj, że nie możesz wysadzić go w powietrze, bo zabijesz niewinnego człowieka na jego plecach - przypomniała młodsza Jedi.

- Chodźmy. - Jacen poprowadził swoich towarzyszy przez przestronny plac. Po drodze Ben poprosił Jacena o jego komunikator i nastawił go także na podaną przez porywacza częstotliwość.

Kiedy znaleźli się dwadzieścia metrów od okazałej transpastalowej ściany akwarium, terrorysta zaczął poruszać ustami. Z głośników komunikatorów Jacena i Bena dały się słyszeć jego słowa: - Cześć, Jedi.

Jacen stanął, tak samo Ben i Nelani.

- Na twoim miejscu powiedziałbym raczej „dzień dobry” - odezwał się rycerz Jedi. - Tyle że z twojej winy dla wielu istot ten dzień nie będzie wcale dobry. Ja także zaliczam się do ich grona, bo miałem nadzieję dzisiaj dłużej pospać.

Porywacz odwrócił się i popatrzył na pozostałych jeńców, którzy kulili się wśród miniaturowych domków. Zupełnie nie zwracał uwagi na ciężar na plecach. Jedi zauważyli, że to łysiejący przerażony mężczyzna, zanim herszt zdążył się znów odwrócić w ich stronę.

- Nudziło im się - powiedział brodac. - W przeciwnym razie po co mieliby tu przychodzić? Teraz już nie wyglądają na znudzonych. Do końca życia będą opowiadać o tym, co tu dzisiaj zobaczyli. Wyświadczam im przysługę, bo pozwalam im się kąpać w blasku mojej przelotnej chwały.

- Krytyk literacki - prychnęła Nelani.

Porywacz uniósł brwi.

- Prawdę mówiąc, rzeczywiście zdobyłem wykształcenie z zakresu znajomości literatury... A ściślej literackiego synkretyzmu - przyznał. - Mam na myśli proces, dzięki któremu popularne cykle historyczne z różnych planet się stapiają, a ich archetypiczni bohaterowie zlewają się w jedno, podobnie jak indywidualne planety tworzą jedną społeczność galaktyki. W tym sensie znajomość dzieł literatury jest częścią mojego zawodu.

- Bardziej przypominasz zawodowego zapaśnika - stwierdził Ben.

Porywacz wyglądał na zachwyconego.

- Chyba powinienem być nim zostać - powiedział. - Może miałbym więcej przyjemności z życia.

- Jak się nazywasz? - Zagadnął Jacen.

- Nazywam się Movac Arisster i mieszkam w Lorr City - wyjął porywacz. - Mam stopień doktora i pracuję na Uniwersytecie Pangalaktycznych Studiów Kulturalnych.

- Ja nazywam się Jacen, to jest Nelani, a to Ben - oznajmił rycerz Jedi. - Podobno mówiłeś, że chcesz rozmawiać z Jedi. Czyżby ktoś podsunął ci ten pomysł?

- Tak. - Arisster chyba się nie przejmował tym, że Jacen odkrył jego tajemnicę. - Najciekawsze jest, kto to był. Słyszeliście kiedyś o kobiecie, która nazywa się Aalya Secura?

Jacen kiwnął głową. Słyszał to imię i nazwisko kilkakrotnie, we wczesnym okresie nauki w Akademii Jedi, ale także podczas późniejszych podróży na planety, które odwiedzał.

Ben i Nelani nie mieli jednak pojęcia, o kim mowa. Arisster zwrócił się więc bezpośrednio do

nich.

- Była mistrzynią Jedi w końcowym okresie Starej Republiki - zaczął. - Podobno, jak wielu innych członków zakonu w tamtych czasach, została zastrzelona przez sklonowanych żołnierzy. Była błękitnoskórą Twi'lekanką, a z ocalałych hologramów wynika, że słynęła z wyjątkowej urody. W ciągu swojego życia pomagała istotom na wielu planetach, a nawet weszła do ludowych legend kilku prymitywnych społeczności, gdzie zajęła miejsce obok postaci historycznych czy mitycznych bogiń. - Na chwilę oczy zaszyły mu mgłą, jak od wpatrywania się w coś odległego. - Nawet w obecnych czasach wykształceni imigranci z tych społeczności piszą o niej opowieści. Podobno niektóre są zaskakująco... Lubieżne.

Objął spojrzeniem wszystkich troje Jedi.

- Powiedz mi, Jacenie, czy ktoś traktuje cię w taki sposób? Czy piszą o tobie opowieści? Czy dobierają ci w nich wspaniałe towarzyszek życia?

Rycerz Jedi zignorował jego pytanie.

- A więc to wszystko kazała ci zrobić Aalya Secura? - Zapytał.

- Ależ skąd. - Arisster pokręcił głową tak energicznie, że przytwierdzony do jego pleców mężczyzna się zakółsał. - Sam się na to zdecydowałem. Dopiero później Aalya Secura, a raczej osoba, która przybrała jej postać, przysłała do mnie i zaproponowała, żebym ściągnął tu Jedi i z nimi porozmawiał.

Jacen zmarszczył brwi, wyraźnie zdezorientowany.

- W jakim celu? - Zapytał.

- Żebym mógł zająć miejsce w opowieści, jaką z pewnością o was napiszą - odparł Arisster. - Jestem nikim i umieram. W ciągu sześciu miesięcy zabije mnie nieuleczalny nowotwór płuc i innych organów, prawdopodobnie wywołany przez radioaktywny wyciek, z jakim zetknąłem się wiele lat temu podczas jednej z podróży. Gdybym nie wezwał tu Jedi, nikt nigdy by się o mnie nie dowiedział. Teraz jednak zostanę unieśmiertelniony w literaturze jako człowiek... Normalny człowiek, który nie włada Mocą i nawet nie umie posługiwać się bronią, a jednak pokonał Jedi.

Arisster podszedł bliżej do transpastalowej ściany i wbił spojrzenie w Jacena.

- Chcę ci podziękować, że przyszedłeś - podjął po chwili. - Nie wątpię, że Nelani jest kompetentną i lojalną Jedi, ale nie zdobyła jeszcze sławy. Dla mnie lepiej będzie, jeżeli trafię do opowieści, której głównym bohaterem będzie Jacen Solo.

- W jaki sposób zamierzasz mnie pokonać? - Zainteresował się rycerz Jedi.

- Pozbawiając twoją historię szczęśliwego zakończenia. - Zamiast rozbawienia w głosie Arisstera dało się słyszeć niemal ubolewanie. - To urządzenie w prawej ręce to detonator bomby na moich plecach. Nie mam tu na myśli Haxana, ale ładunek wybuchowy między naszymi ciałami. Jeżeli wyzwolę detonator, ładunek eksploduje. Na pewno się zastanawiasz, czy nie zrobić użytku ze swoich umiejętności Jedi, żeby złapać mnie za rękę... No cóż, jeżeli użyjesz zbyt dużej siły, ładunek także eksploduje. Wybuch może również nastąpić po wypowiedzeniu przeze mnie pewnych słów. Można go też wywołać przez przyciśnięcie klawisza komputerowego notesu albo przez laserową transmisję jednego z moich ludzi, którzy mnie w tej chwili obserwują.

- Sława nie na wiele ci się przyda, jeżeli zginiesz - stwierdził Ben.

- To prawda - przyznał Arisster. - Zawsze jednak chciałem być sławny, więc zginę ze świadomością, że osiągnąłem cel życia. Będę rozmawiał z wami, dopóki was nie przekonam, że nie dacie rady mnie powstrzymać. Możecie spróbować umysłowych sztuczek Jedi, ale jestem na nie

niewrażliwy. Zapewne zrobicie użytek z innych technik, ale i one okażą się nieskuteczne. W końcu i tak rzucę się w środek grupki tych mokrych, przerażonych i cuchnących rybami turystów i wysadzę się w powietrze.

- Jesteś egoistą - stwierdziła Nelani. - Okrutnym, bezwzględnym egoistą.

Arisster parsknął, wyraźnie rozbawiony.

- Wszystkie decyzje są podejmowane z egoistycznych pobudek - powiedział. - Wy także tak postąpiliście, kiedy postanowiliście zostać Jedi. Według was chcieliście pewnie „udoskonalić galaktykę”, ale to tylko inny sposób narzucenia własnego poglądu istotom, które mają na ten temat odmienne zdanie.

- A jeżeli obiecuję, że uczynię cię sławnym bez tego? - Zagadnął Jacen. - Jeżeli dam ci na to moje słowo? Mógłbyś zostać moim pomocnikiem, a ja bym ci zapewnił same trudne zadania. Uwierz mi, nie przeżyłbyś w takich okolicznościach nawet pół roku, ale przynajmniej przed śmiercią zrobiłbyś coś pożytecznego.

Arisster zamrugał, wyraźnie zbity z tropu.

- Nie zastanawiałem się nad tym - zaczął z namysłem. - Ale... Nie, jednak nie.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze, możesz kłamać - odparł terrorysta. - Słyszałem, że Jedi czasem kłamią. Po drugie, choroba może mnie zabić już niedługo, zanim zdążę wziąć udział w jakiegokolwiek akcji. Po trzecie, jako twój pomocnik będę tylko figurantem, który zostanie szybko zapomniany. Jeżeli jednak zrobię to, co zamierzam, będę nierozzerwalnie związany z tym etapem twojego życia.

- Rozumiem. - Jacen umilkł i pogrążył się w rozmyślaniach.

Ben wyczuwał promieniujące od niego smutek i powagę. Jego mentor nawet nie starał się ukrywać swoich emocji. Uczucia płynęły od niego wraz ze strumieniem Mocy. Ben poczuł się ukryty. Zaplótł ręce na piersi, jakby chciał ochronić ciało przed chłodem.

- Och, daj spokój. - Arisster spojrzał z urazą na Jacena. - Niemożliwe, żebyś się tak szybko poddał. Nie próbowałaś jeszcze żadnych sztuczek, chyba że uważasz za sztuczkę tę propozycję zostania twoim pomocnikiem. Nie błagałaś mnie, żebym darował życie zakładnikom.

- Wcale się nie poddałem - zaprotestował ponuro rycerz Jedi. - Czy mógłbym porozmawiać z twoim jeńcem?

- Naturalnie. - Arisster się odwrócił, a przytwierdzony do jego pleców mężczyzna znalazł się twarzą w twarz z rycerzem Jedi. Jeniec był blady i wyglądał, jakby mu było niedobrze.

- Nazywasz się Haxan? - Zapytał Jacen.

- Tak, Serom Haxan.

- Bardzo mi przykro, Seromie. - Jacen zaczął się cofać. Ben i Nelani poszli w jego ślady.

- Co ty wyprawiasz? - Zapytała cicho młoda Jedi.

- To, co muszę - odparł Jacen.

Przeszli tyłem sześć kroków, zanim Arisster się zorientował. Odwrócił się znów w ich stronę.

- Co robicie? - Zapytał.

- Oddaliśmy się na bezpieczną odległość - odparł rycerz Jedi. Herszt porywaczy stał dłuższy czas przed transpasterową ścianą jak sparaliżowany... Na tyle długo, żeby wszyscy troje Jedi wycofali się następnych sześć kroków. Później się odwrócił, jakby zamierzał pójść w stronę pozostałych jeńców.

Jacen wyciągnął przed siebie prawą rękę i zacisnął dłoń w pięść.

Arisster i Haxan zniknęli w niekształtnej kuli ognia.

Akwarium wypełniło się płomieniami i dymem, a po placu poniósł się huk eksplozji. Jej zasięg ograniczyły jednak transpastalowe ściany zbiornika, więc grzmot nie poraził uszu Bena z równą siłą jak poprzednio huk eksplozji w kosmoporcie.

Ściany akwarium wytrzymały. Pod wpływem fali udarowej jedna wygięła się na zewnątrz, a pozostałe trzy na chwilę się odkształciły, ale zaraz wróciły do poprzedniego kształtu, bo większa część energii eksplozji skierowała się w górę.

Jedi natychmiast puścili się biegiem w kierunku zbiornika. Stanęli przed transpastalową ścianą i starali się przebić spojrzeniem kłębiące się w środku chmury dymu. Kiedy zaczął rzednąć i uniół się w górę, zobaczyli istoty wyłaniające się spomiędzy spalonych ruin miniatury śródmieścia Lorr City. Wyglądało na to, że żaden jeniec nie został poważnie ranny... Wszyscy mieli umorusane od sadzy twarze, poznaczone kroplami krwi w miejscach, w które wbiły się drobiny żwiru.

- Ekipy ratunkowe! - Wykrzyknęła Nelani, energicznie machając ręką w stronę Samrana i jego ludzi. - Tutaj! Szybko!

Funkcjonariusze ekip ratunkowych posłużyli się przenośnym dźwigiem, żeby wpuścić do zbiornika sanitariuszy i wyciągnąć z niego zakładników. Wszyscy bardzo uważali, żeby się nie zbliżyć do makabrycznej plamy krwi i szczątków zwłok Arisstera i Haxana.

Tymczasem w pewnej odległości od miejsca katastrofy Ben słuchał, jak Nelani i Jacen znów się sprzeczą.

- Czyś ty postradał zmysły? - Zapytała młoda Jedi. - Nie podjęliśmy praktycznie żadnej próby uwolnienia zakładników oprócz twojej propozycji: „Zostań moim pomocnikiem”.

- Nie było innej możliwości - odparł spokojnie rycerz Jedi. - Porywacz miał rację. Zwyciężył. Mogliśmy najwyżej ograniczyć skalę jego zwycięstwa. W tym przypadku oznaczało to spowodowanie, żeby zabił jedną osobę zamiast wielu.

- Nie możesz być tego pewny - stwierdziła Nelani. - Nie spróbowaliśmy...

- Wyczuwałaś przecież jego zdecydowanie, jego siłę - przerwał Jacen karcącym tonem. - Postanowił dzisiaj umrzeć. Kiedy ktoś jest gotów na śmierć, bardzo trudno go od tego odwieść.

- Haxan nie podjął takiego postanowienia - zauważyła Nelani.

- To prawda - przyznał Jacen. - Mimo to miał zginąć, bez względu na to, co byśmy zrobili.

- Nie...

- Jak ci się wydaje, do czego był porywaczowi potrzebny blasterowy pistolet, Nelani?

Młoda Jedi osłupiała.

- Słucham? - Zapytała.

- Blasterowy pistolet, który trzymał w lewej ręce - przypomniał rycerz Jedi. - Do czego był mu potrzebny?

- Żeby zmusić wszystkich do posłuszeństwa?

Jacen pokręcił głową.

- Do tego mu wystarczał materiał wybuchowy - wyjaśnił. - Niczego więcej nie potrzebował i dobrze o tym wiedział. W takim razie po co był mu potrzebny blaster?

- A jak tobie się wydaje, po co? - Zagadnęła Nelani.

- Żeby mordować zakładników, jednego po drugim - odparł młody Solo. - Chciał ich zabijać w miarę upływu czasu. A przy okazji zamierzał drwić z naszej bezradności.

Nelani zastanowiła się nad jego uwagą.

- To możliwe - przyznała niechętnie.

- Nawet pewne - stwierdził Jacen. - Po zastrzeleniu pierwszego nasza porażka byłaby taka sama jak teraz: jedna niewinna ofiara. Po zabiciu drugiego nasza sytuacja wyglądałaby gorzej niż obecnie... I tak dalej.

Nelani wpatrywała się w niego bez słowa. Ben zauważył na jej twarzy tragiczną mieszankę rozczarowania i rozgoryczenia.

- Jacenie, masz usprawiedliwienie na wszystko, co robisz - odezwała się w końcu. - Przeczucie podpowiada mi jednak, że się mylisz.

- Twoje przeczucie czy Moc? - Zapytał rycerz Jedi.

- Moje przeczucie.

- A co podpowiada ci Moc?

- Nic - odparła Nelani. - Moc nie mówi mi nic na temat tego, co się właśnie stało.

- A więc dokonałem właściwego wyboru. - Jacen odwrócił i ruszył z powrotem w kierunku śmigacza, którym przylecieli.

ROZDZIAŁ 28

Rycerz Jedi poznał znaczenie większości plecionek, które udzielały mu wskazówek, ale nie mówiły, jakim podążać szlakiem. W hangarze Lorrda City stał wahadłowiec, który odleciał ze stacji Toryaz, a wszyscy już dwukrotnie mieli do czynienia z tajemniczymi terrorystami, którzy domagali się rozmowy z Jedi. Nic dziwnego, że Jacen postanowił jeszcze jakiś czas pozostać na Lorrdzie.

Następnego dnia okazało się, że to nie koniec zagadkowych wydarzeń.

Z samego rana funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa Lorrda otrzymali anonimową informację, z której wynikało, że porwana córka dyrektorki wielkiej firmy jest przetrzymywana pod Szkołą Projektów Konceptualistycznych, w tunelach, którymi biegną rurociągi z przegrzaną parą. Agenci zapoznali się z planami tuneli, ale nie znaleźli takiego sposobu dostania się do miejsca pobytu porwanej dziewczynki, żeby mieć pewność, że mała ocaleje, więc wezwali na pomoc Jedi.

Oglądając te same plany, Jacen doszedł do ciekawego wniosku. Jedna rura z parą była takiej grubości, że mógłby się w niej zmieścić kilkunastoletni szczupły chłopak. Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa kazali odciąć strumień pary w tej rurze, a kiedy ostygła, wszedł do niej Ben i zaczął się czołgać. Kiedy doszedł do właściwego miejsca, wyciął otwór i wskoczył do pomieszczenia, w którym przetrzymywano porwaną dziewczynkę. dzielnie odpierał ataki porywaczy trzy minuty, jakie zajęło Jacenowi, Nelani i agentom wdarcie się do tej sekcji tunelu.

Okazało się, że pomysłodawcą porwania dziewczynki był sfrustrowany radykał, który chciał zastąpić planetarny rząd Lorrda organem kierowanym przez logicznie rozumujące, ale bezlitosne androidy prawnicze. Mężczyzna zginął podczas ataku, ale jego pozostali przy życiu kompani oznajmili, że dziewczynka pojawiła się ich prowodyrowi w snach i domagała się, aby ją porwano.

Później tego samego dnia mężczyzna ubrany w strój Jedi i uzbrojony w pochodzący sprzed Wojen Klonów nieszkodliwy świetlny miecz, który ukradł z muzeum, wspiął się na dach głównego budynku administracyjnego uniwersytetu i zagroził, że jeżeli nie zostanie przyjęty do zakonu, zeskoczy i się zabije. O pomoc w rozwiązaniu kryzysu poproszono wszystkich troje Jedi. Jacen wszedł na dach, żeby porozmawiać z mężczyzną, a Nelani i Ben zostali na dole.

Okazało się, że zdesperowany kandydat na rycerza Jedi nie wykazuje absolutnie żadnej wrażliwości na działanie Mocy. Co więcej, nie potrafił zrozumieć, że wrażliwości na Moc nie można się nauczyć. Pamiętając o życzeniu Nelani, żeby prowadzić dłuższe negocjacje z desperatami, którzy doprowadzają do takich sytuacji, Jacen ponad godzinę sprzeczał się z mężczyzną tyleż uprzejmie, co bezskutecznie.

- Powiedz mi, jak wykonywać sztuczki Jedi - zażądał w końcu potencjalny samobójca. - Naucz mnie robić chociaż jedną, bo inaczej zeskoczę z tego dachu.

- Zmęczyło mnie mówienie i nie mam w tej chwili dość energii, żeby przekonująco kłamać - odparł Jacen. - Proszę bardzo. Możesz skakać.

Mężczyzna usłuchał.

Nelani, której pomagał Ben, schwytała go dzięki Mocy i spowolniła tempo jego opadania, w wyniku czego upadek z dwudziestego piętra zakończył się tylko skręceniem kostki nogi. Agenci służby bezpieczeństwa przetransportowali go do ośrodka medycznego, żeby poddać badaniom, ale niedoszły kandydat do zakonu całą drogę krzyczał, że Jedi go zdradzili.

Kiedy Jacen zszedł z dachu, Nelani go uściskała, zachwycona, że zrobił wszystko, co w jego mocy, aby odwieść mężczyznę od popełnienia samobójstwa.

Jedi zostali obok budynku i obserwowali, jak funkcjonariusze służby bezpieczeństwa powstrzymują tłum i holoreporterów. W pewnej chwili usłyszeli pisk czyjegoś komunikatora. Jacen i Nelani westchnęli i sięgnęli po swoje aparaty, ale okazało się, że piszczał komunikator Bena. Młody Skywalker wyjął go z saszetki u pasa.

- Tu Ben Skywalker... - Powiedział. - Naprawdę? Czy stawiała opór? Dobrze, będziemy tam mniej więcej za pół godziny. - Spojrzał na Jacena, szukając na jego twarzy potwierdzenia, a kiedy zobaczył kiwnięcie głową, ponownie zbliżył usta do mikrofonu.

- Bez odbioru.

- Wiesz co? - Zagadnął Jacen. - Jeśli dalej będziesz się zachowywał jak rycerz Jedi, tylko patrzeć, jak twój ojciec wyśle cię, żebyś zdławił planetarne powstanie albo rozwiązał zagadkę holocronu Sithów.

Ben się zarumienił.

- To była sprawa, w której się z nim komunikowałem - powiedział,

- Z kim? - Zainteresował się Jacen.

- Z porucznikiem Samranem - uściślił Ben. - Pojawiła się tamta kobieta. Brisha Syo.

- Pilotka wahadłowca?

- Taa. Trafiła do aresztu.

- Chodźmy. - Jacen odwrócił się i pobiegł do śmigacza.

Kobieta siedząca samotnie w sali przesłuchań służby bezpieczeństwa nie wyglądała jak przestępczyni, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Była ubrana w purpurowy kombinezon, elegancki, ale bardzo prosty. Miała mniej więcej tyle samo lat, co rodzice Bena i wyglądała młodzieńczo i zdrowo. Wyraźnie widoczne pod cienkim materiałem kombinezonu mięśnie dowodziły, że wiezie aktywny tryb życia. Lekko kręcone, ciemne włosy strzygła krótko, żeby nie musiała poświęcać zbyt dużo czasu na ich pielęgnację.

Miała delikatne rysy twarzy i była atrakcyjna. Mogłaby być za młodu recepcjonistką w luksusowym sklepie czy w hotelu, i chyba wciąż jeszcze nie pozbyła się nawyków swojego zawodu. Siedziała sama w sali przesłuchań, ale nie wyglądała na znudzoną. Jednocześnie widać było, że chętnie by z kimś porozmawiała.

W ścianie sali, w której czekała, zainstalowano jednostronny panel lustrzany. Kobieta mogła widzieć siebie w lustrze, podczas gdy stojący po drugiej stronie Jedi patrzyli na nią jak przez taflę z transpastali. Ben odniósł niepokojące wrażenie: zdawało mu się, że kobieta powstrzymuje się od patrzenia na nich, ale gdyby uniosła głowę, spojrzałaby w oczy któregoś z Jedi, chociaż nie mogła ich widzieć. Był na tyle rozsądny, aby wiedzieć, że jej uroda i sympatyczny wygląd nie są dowodami nieskazitelnego charakteru. Wychowanie Bena uwzględniało, oprócz znajomości Mocy, elementy logiki, a z obu wynikało, że atrakcyjny wygląd może skrywać zło. Mimo to Ben nie wyczuwał, żeby kobieta żywiła względem nich wrogie zamiary.

- Może po prostu w tej chwili nie ma na to ochoty - stwierdził Jacen.

Ben spojrział na niego.

- Hm? - Zapytał.

- Pozwalasz swoim myślom wypływać na powierzchnię - odparł rycerz Jedi. - Mimo to podoba mi się kierunek, w jakim podążają. Starasz się zachować otwarty umysł. - Wzruszył ramionami. - Chodźmy do niej - zaproponował.

Strażnik służby bezpieczeństwa Lorrda zaprowadził ich do sali przesłuchań. Jacen zaczekał, aż funkcjonariusz wyjdzie, po czym usiadł i gestem dał znak Nelani i Benowi, żeby poszli w jego ślady. Zajęli miejsca naprzeciwko kobiety po drugiej stronie stołu.

- Dzień dobry - odezwała się ciepłym tonem aresztantka. - Witajcie, Jedi Solo, Jedi Dinn i ty młody Skywalker.

- Znasz mnie? - Zdziwił się rycerz Jedi.

- Naturalnie - odparła kobieta. - Od jakiegoś czasu mieszam się w twoje sprawy.

- Przyznajesz się do tego?

- Ależ oczywiście - oznajmiła właścicielka wahadłowca.

- A więc przyznajesz także, że podburzałaś ludzi do aktów terroryzmu i przemocy?

- Nic podobnego - stwierdziła kobieta.

- Zaprzeczasz, że miałaś coś wspólnego z postępkami Orditha Huarra, Movaca Arisstera, Ligi Wyzwolenia Logistyków Lorrda i... - Jacen zmarszczył brwi, jakby starał się sobie przypomnieć nazwisko ostatniej osoby.

- Bortha Pazza, kandydata do zakonu Jedi - podsunął Ben.

- Naturalnie, że do tego się przyznaję - odparła Brisha Syo. Jacen posłał jej zirytowane spojrzenie.

- Przeczysz sama sobie - powiedział.

Kobieta chyba się zirytowała.

- Wcale nie przeczę - oznajmiła. - To, że maczałam w tym palce, nie znaczy, że jestem winna. Kto cię uczył myślenia, chłopcze? Na pewno nie twoja matka, bo jest zbyt mądra, żeby kłaść ci do głowy takie bzdury.

- Nie mieszaj do tego mojej matki - burknął rycerz Jedi, ale ciekawość zwyciężyła. - Znasz ją? - Zapytał.

- Już kiedyś się spotkałyśmy - odparła wymijająco aresztantka.

- A więc co takiego zrobiłaś? W jaki tajemniczy sposób uwikłałaś mnie we wszystkie te tragedie, o których wspomniałem, a mimo to uważasz się za niewinną?

- Jestem wrażliwa na oddziaływanie Mocy - wyznała kobieta.

- Jestem wstrząśnięty.

Na twarzy Brishy Syo pojawił się wyraz wrogości.

- Sarkazm jest tu zupełnie nie na miejscu - powiedziała. - Dowodzi złych manier. Jeżeli chcesz, żebym mówiła dalej, przeprosz mnie za swoje grubiaństwo.

- Chyba oszalałaś - zachnął się Jacen.

- W takim razie możesz iść do diabła - burknęła kobieta i umilkła.

Jacen wytrzymał kilka minut w ciszy. W końcu jednak powiedział:

- Obiecuję, że nie będę ci przeszkadzał.

- Bardzo słusznie - przyznała Brisha Syo, ale zaraz znów umilkła.

Jacen cierpliwie czekał. W końcu westchnął.

- Przepraszam cię za swoje maniery - powiedział. - Proszę, mów dalej.

- Jestem wrażliwa na oddziaływanie Mocy - powtórzyła aresztantka. - Słyszę w snach, jak ludzie planują złe uczynki: „Zabiję tę kobietę”, „zmuszę ich, żeby to zrozumieli, a jeżeli nie zechcą, zabiję wszystkich”. Ale to tylko sny. Wiem, że mają związek z rzeczywistością, ale kiedy się budzę, brakuje mi wielu istotnych szczegółów. Postanowiłam więc w tych snach mówić im: „Skontaktujcie się z Jedi. Wasze zwycięstwo będzie pełniejsze, jeżeli pokonacie Jedi. Nigdy nie staniecie się sławni, jeżeli nie przechrzycie Jedi”. I tak dalej.

Jacen milczał, zastanawiając się nad słowami kobiety. Ben wiedział, że każdy Jedi doświadcza Mocy w inny sposób, nie wyłączając wizji przyszłości, jaką Moc mu pokazuje, więc doszedł do wniosku, że ktoś może doświadczać takich wizji także w snach.

- Czy miałaś coś wspólnego z wydarzeniami na terenie stacji Toryaz? - Zapytał w końcu Jacen.

- Przyleciałam tam, żeby cię obserwować - przyznała kobieta. - Wykorzystałam swoje umiejętności, żeby nie rzucać się w oczy pozostałym Jedi i funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa samej stacji, i cały czas cię szpiegowałam. Później zaś, kiedy wydarzyła się tamta tragedia, doszłam do wniosku, że muszę usunąć się z drogi, dopóki sytuacja znów się nie unormuje. Pozostawiłam jednak coś, co miało cię doprowadzić do mnie...

- Kitkę - domyślił się rycerz Jedi.

- Naturalnie.

- Byłaś bardzo pewna, że ona doprowadzi mnie do ciebie.

Kobieta kiwnęła głową.

- Byłam pewna, że przemówi do ciebie i tylko do ciebie - powiedziała. - Na podstawie własnych badań wiedziałam, że chęć zrozumienia znaczenia tej kolekcji plecionek na pewno doprowadzi cię do pani doktor Rotham z Lorrda, bo wcześniej czy później inni tak zwani eksperci w tej dziedzinie powiedzą ci o jej istnieniu. Miałam więc pewność, że kiedyś tu przylecisz.

- Zabiłaś kapitana służby bezpieczeństwa, Tawalera - stwierdził Jacen.

Brisha Syo pokręciła głową.

- Nie, ale widziałam z pewnej odległości, jak go zabijano - przyznała. - Ubrana w płaszcz z kapturem osoba wypchnęła go z komory służby w próżnię. Domyśliłam się, że prowadzone przez Jedi dochodzenie doprowadzi was do tej służby, więc postanowiłam właśnie tam pozostawić tę kitkę. Później zaś opuściłam habitat Narsacc pieszo, zanim służba bezpieczeństwa odcięła jej korytarz od reszty stacji.

- I przypadkowo wylądowałaś na pokładzie tego samego wahadłowca, którym przylecieli do habitatu skrytobójcy - domyślił się Jacen.

- To nie był przypadek - sprzeciwiła się Brisha Syo. - Wykorzystałam moje źródła informacji, żeby śledzić ten wahadłowiec. Nie było to trudne, bo przypuszczałam, że pilot zechce nim wrócić do Systemu Koreliańskiego. Rzeczywiście powrócił i wylądował w hangarze głównego kosmoportu Koronera. Zagadnęłam pilota, ale zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, wolał mnie zaatakować, więc musiałam go zabić. W ten sposób weszłam w posiadanie tego wahadłowca. Kiedy sprawdzałam jego numery identyfikacyjne, dowiedziałam się, że kilka miesięcy wcześniej statek został porwany na Commenorze, a tytuł własności przeszedł na ubezpieczyciela, który wypłacił właścicielowi pełne odszkodowanie. Odkupiłam wahadłowiec od tego ubezpieczyciela... Bez kłopotów i zgodnie z prawem.

- Jak zabiłaś pilota? - Zainteresował się Jacen.

- Gołymi rękami - odparła kobieta. - A później go pochowałam. Nie było sensu informowania o tym władz Korelii... Skoro to właśnie władze Korelii wysłały skrytobójców, żeby dokonali zamachu podczas konferencji poświęconej omówieniu warunków pokoju.

- To tylko twoje przypuszczenia - stwierdził rycerz Jedi.

- Wyciągam logiczne wnioski na podstawie dowodów, jakimi dysponuję - sprzeciwiła się aresztantka.

- A później przyleciałaś na Lorrda, bo byłaś pewna, że to właśnie tu doprowadzi kitka rycerza Jedi, który ją odnajdzie.

Brisha Syo pokręciła głową

- Nie pierwszego lepszego rycerza Jedi, który ją odnajdzie - oznajmiła. - Ciebie.

- Niewiele brakowało, żeby to moja siostra zajęła się problemem odgadnięcia znaczenia tych plecionek - przypomniał Jacen.

- Nie sędzę - odparła kobieta. - W całej galaktyce jedynie ty, Jacenie Solo, byłbyś wystarczająco zaintrygowany tą sprawą, żeby przylecieć nie tylko tu, ale nawet jeszcze dalej.

- Dlaczego ja? - Zainteresował się rycerz Jedi.

- Bo tylko ty mogłeś przeczytać i zrozumieć znaczenie jednej z tych plecionek - wyjaśniła Brisha Syo. - Tylko ty mogłeś odkryć sens zapisanego w niej przesłania. Stało się tak, jak przewidywałam. Zażądałeś, żeby to tobie polecono zająć się badaniem znaczenia plecionek kitki.

Ben przyjrzał się uważnie twarzy starszego Jedi, ale jego mentor nie zdradzał żadnych emocji. Młody Skywalker pamiętał jednak o tej plecionce, której znaczenie Jacen wyjaśnił, chociaż nie umiała tego zrobić pani doktor Rotham... Plecionce pochodzącej z planety Sithów. Poczł lodowaty dreszcz niepokoju.

- No dobrze - odezwał się w końcu Jacen. - Postarajmy się nadać temu szerszy kontekst. Chcę wysłuchać twojej opowieści od samego początku.

- Od początku? - Zdziwiła się aresztantka. - Od czasów, kiedy byłam dzieckiem?

- Naturalnie.

- Tutaj nic ci nie powiem - sprzeciwiła się Brisha Syo. - Dopiero w domu.

- Na Commenorze? - Domyślił się rycerz Jedi.

- Nie, w moim prawdziwym domu... Na planetoidzie w gwiazdnym systemie w pobliżu Bimmiela - wyjaśniła kobieta. - To niedaleko stąd, jak na odległości dzielące planety galaktyki. Możemy tam polecieć twoim albo moim wahadłowcem.

- Wykluczone.

- A więc nie poznasz odpowiedzi.

- A ty do końca życia będziesz gniła w tutejszym areszcie.

Brisha Syo obdarzyła go chłodnym uśmiechem.

- Nie sędzę - powiedziała. - Pod jakim zarzutem chcecie mnie przetrzymywać? Możecie mnie najwyżej podejrzewać o współudział w incydencie na terenie stacji Toryaz. Macie wprawdzie dość dowodów, żeby zacząć dochodzenie... Ale to nie wystarczy, aby pozbawić mnie wolności na czas konieczny do jego zakończenia. Spędzę w areszcie dzień czy dwa, ale później mnie wypuścicie. Może będę musiała zostać na Lorrdzie do końca śledztwa, lecz przebywanie na powierzchni tej uroczej planety trudno nazwać gniciem. A tymczasem ty nie zdobędziesz żadnych innych informacji.

- Mógłbym uznać, że jesteś winna spiskowania w celu popełnienia morderstwa, i po prostu cię zabić - przypomniał Jacen.

Brisha Syo nie przestała się uśmiechać.

- Nie, nie mógłbyś - powiedziała.

- Dlaczego tak uważasz? - Zainteresował się rycerz Jedi.

- Po pierwsze, Moc nie podpowiada ci, że jestem winna - zaczęła kobieta. - Wiem to, bo nie jestem. Wątpię, czy zamordowałbyś z zimną krwią kogoś, kogo nawet Moc nie uważa za zagrożenie. Po drugie, gdybyś naprawdę chciał mnie zabić, musiałbyś najpierw pozbyć się Nelani. Zrobiłbyś to?

Jacen i Nelani wymienili spojrzenia. Podobnie jak wcześniej, na twarzy Jacena nie malowały się żadne uczucia. Młoda Jedi wyglądała na zdecydowaną i smutną. Ben wyczuwał wyraźnie jej emocje, w których dominowała nadzieja, że Jacen dokona słusznego wyboru, zdecydowanie, żeby stawić mu czoło, jeżeli nie dokona, i chęć przypodobania się starszemu Jedi, zaprawiona coraz większą porcją goryczy.

Ben postanowił zamknąć umysł przed eksplozją jej emocji. Były zbyt skomplikowane, zbyt poplątane. Badając je, czuł się coraz bardziej nieswojo.

Jacen wstał i spojrzał na swoich towarzyszy.

- Porozmawiajmy na osobności - zaproponował i wyszedł z Sali przesłuchań. Nelani i Ben podążyli za nim.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, oznajmił:

- Zamierzam z nią lecieć do jej domu.

Nelani pokręciła głową, ale nie oderwała spojrzenia od jego twarzy.

- Dlaczego? - Zapytała.

- Muszę się dowiedzieć, w jaki sposób przemówiła do mnie za pośrednictwem tej plecionki - powiedział. - Może wie o mnie coś, czego sam nie wiem? A może zna metodę, którą może wykorzystać przeciwko innym Jedi, żeby na przykład zwabić ich w zasadzki? Nie mogę tego zignorować, podobnie jak nie mogę założyć, że przetrzymywanie jej w więzieniu wyeliminuje ryzyko.

- To może być pułapka - sprzeciwił się Ben.

Jacen obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

- W jakim celu miałaby ją zastawiać? - Zapytał.

- Bo ja wiem... Może po to, żeby cię zabić?

- Benie, w ciągu ostatnich paru dni ta kobieta zwabiła mnie w kilka miejsc, gdzie odbyły się akty terroryzmu, przekonałeś się, że dużo wie na temat Jedi i Mocy. Gdyby chciała mnie zabić, mogła skorzystać z którejkolwiek z tych sytuacji, na przykład umieścić w akwarium wystarczająco silny ładunek wybuchowy, żebyśmy wszyscy stracili życie. Mogła znaleźć bojowego androida i dać mu snajperski karabin, żeby zastrzelił mnie z odległości pięciuset metrów... Nie wyczułbym żadnego zagrożenia, więc jej plan prawie na pewno zakończyłby się powodzeniem. Dlaczego miałaby mnie zwabiać na jakąś planetoidę?

- Nie wiem. - Ben uświadomił sobie nagle, że pewność siebie kuzyna zaczyna go irytować. - Ty też tego nie wiesz. Nie możesz się zorientować, o co jej chodzi, ale to jeszcze nie dowód, że ta kobieta nie żywi względem ciebie złych zamiarów.

- Ben ma rację - poparła go Nelani. - Jej historia jest zbyt zawiła i niesamowita, żeby nie podejrzewać, że kłamie, a przynajmniej nie mówi całej prawdy. Moim zdaniem rozmowa z nią w jej własnym środowisku to kiepski pomysł.

- Niemniej właśnie to zamierzam zrobić - oznajmił Jacen. Nelani wyglądała, jakby ogarniał ją

coraz większy smutek.

- W takim razie leczę z tobą - powiedziała.

Rycerz Jedi pokręcił głową.

- Decyzja w tej sprawie nie należy do ciebie - przypomniał. - Przekroczyłabyś swoje kompetencje.

- Nie mam określonych kompetencji - oznajmiła Nelani. - Polecono mi zamieszkać na Lorrdzie, ale nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli w celu rozwiązania zagadki polecę na pobliskiego Bimmiela... Zwłaszcza jeżeli będzie to dotyczyło bezpieczeństwa innych Jedi, a także tajemnicy, która ma coś wspólnego z planetą Sithów, Ziostem. Czy twoim zdaniem mistrz Skywalker zabroniłby mi się tym zajmować? Raczej by nalegał, abym to zrobiła.

- No dobrze. - Jacen wzruszył ramionami. - Mimo to nadal uważam, że to nie najlepszy pomysł.

- Moc ci to podpowiada, czy tylko twoje przeczucie? - Zagadnęła Nelani.

Rycerz Jedi w końcu się uśmiechnął.

- Moje przeczucie - powiedział.

System Koreliański, nad Tralusem

Jak zawsze, ilekroć Leia stała na mostku „Dodonna”, zachwycała się jego przestronnością i stylem, który niewiele odbiegał od wyglądu stanowiska dowodzenia dawnych gwiazdnych niszczycieli. Szturmowe lotniskowce klasy Galactic zaprojektowano wprawdzie już po upadku Imperium, a nawet po upadku Nowej Republiki, ale projektanci zachowali podobieństwo do mostka imperialnego niszczyciela. Od głównego wejścia do ogromnych dziobowych iluminatorów ciągnął się poprowadzony górą główny pomost dowodzenia, a niżej, po obu jego stronach, mieściły się stanowiska personelu obsługującego najważniejsze systemy i podzespoły.

Kiedy Leia stanęła na pomoście, powitała ją pani admirał Tarla Limpan, którą otaczali, jak wymagał tego regulamin, wszechobecni doradcy i specjaliści. Pani admirał była Durosjaną, miała jasną, szarzieloną karnację i rysy twarzy podobne do rysunkowego uproszczenia twarzy człowieka: duże czerwone oczy bez widocznych źrenic oraz tęczęwek, pozbawione znaków szczególnych usta i szeroką pustą płaską przestrzeń w miejscu, w którym powinien się znajdować nos. Uśmiechnęła się, wyciągnęła długie ręce, chwyciła dłoń Leii i energicznie nią potrząsnęła.

- Pani Organa Solo - powiedziała. - Jak powinnam się do pani zwracać? Księżniczko? Senatorko? Pani przywódczyni? Musi być pani bardzo ciężko dźwigać na swoich barkach aż tyle zaszczytnych tytułów.

Leia się uśmiechnęła, rozbrojona bezpośredniością i energią pani admirał.

- No cóż, wszystkie te tytuły należałoby poprzedzić słowem „była” - powiedziała. - Teraz jestem po prostu rycerzem Jedi i czasami konsultantką do spraw dyplomatycznych. Może mi pani mówić po prostu po imieniu... Leio.

- A ja mam na imię Tarla... Z wyjątkiem rzadkich okazji, kiedy muszę być panią admirał - odparła Durosjanka. - Poinformowano mnie, że przebywasz w Systemie Koreliańskim, gdzie starasz się utrzymywać kontakty z nowym premierem. Bardzo dobrze, - Wreszcie uwolniła dłoń rozmówczyni. - Czemu zawdzięczam przyjemność twojej wizyty? Przykro mi, że przyleciałaś wahadłowcem sama. Może któregoś dnia wyświadczysz mi ten zaszczyt i przedstawiś mi swojemu mężowi? Mogłabym wówczas obejrzeć jego słynny transportowiec.

- Z przyjemnością - zgodziła się księżniczka. - Ale w tej chwili Han odwiedza stare kryjówki przemytników, żeby poznać kanały przerzutu czarnorynkowych towarów i ich możliwy wpływ na obecny kryzys. - Było to bezczelne kłamstwo, ale żadna ze stron nie mogła jej tego udowodnić. Nikt nie miał pojęcia, z jakimi osobami Han utrzymuje kontakty, i nikt nie miał się tego dowiedzieć, bo przemytnicy umieli trzymać język za zębami.

- Przyleciałam tu po prostu w odwiedziny, a jeżeli znajdziesz dla mnie trochę wolnego czasu, chętnie obejrzę pomieszczenia twojego okrętu. Jeszcze nigdy nie widziałam z bliska żadnego szturmowego lotniskowca.

Kolejne kłamstwo. Sprowadziła ją tu nadzieja, że jeżeli się znajdzie we właściwym miejscu i w odpowiedniej porze, uda się jej zwiększyć szanse, iż jej mąż przeżyje kilka następnych godzin.

- Z przyjemnością spełnię twoją prośbę - odparła Limpan.

- Pozwól przedstawić sobie mojego doradcę. Oprowadzi cię po pomieszczeniach okrętu, a później zapraszam na prywatną pogawędkę...

Koronet, Korelia

- Gotowość obwodów? - Kobięcy głos zabrzmiał czysto i wyraźnie w obu uszach Hana. Solo pokręcił głową. Pomyślał, że dobrze byłoby mieć statek, w którym każda część jest fabrycznie nowa i w pełni sprawna, jak w bombowcu typu YT-5100 Shriek, w którego kabinie właśnie siedział.

Z drugiej strony jednak coś tak nowego i lśniącego nie mogło mieć duszy. „Sokół Millenium” miał jej pod dostatkiem, bo każda jego powierzchnia nasiąkła wspomnieniami. W porównaniu z nim Shriek był... No cóż, po prostu maszyną.

- Gotowość obwodów? - Zapytała ponownie ta sama kobieta. Jej natarczywość wyrwała Hana z zadumy i zmusiła do sprawdzenia kontrolnego pulpitu.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć koma siedem trzy dwa - zameldował.

- Zasoby energii?

- Sto dwa koma trzy procent standardu, dziewięćdziesiąt cztery koma osiem procent nominalnej, dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent indywidualnego standardu - wyrecytował Solo.

Sprawdzanie stanu. Ileż to czasu upłynęło, odkąd meldował wojskowym zwierzchnikom stan pokładowych urządzeń i podzespołów?

- Taktyczne wsparcie ze strony automatów?

- Trzy węzły sztucznej inteligencji - stwierdził Han. - Funkcjonują optymalnie, ale wszystkie mówią po doshańsku.

- Chyba pan żartuje.

Han się skrzywił.

- Przepraszam - powiedział. - Odniosłem wrażenie, że rozmawiam z androidem.

- Nie pan pierwszy - przyznała kobieta. - Ciśnienie atmosfery?

- Jeden koma zero zero zero trzy koreliańskiego standardu na poziomie morza i zerowa wariancja względem wartości ciśnienia, jakie panowało, kiedy rozpocząłem procedurę przedstartową.

- Koniec. Jest pan gotów do startu - oznajmiła kobieta. - Przełączam komunikator na kanał łączności z „Panterą Jeden”.

Rozległ się cichutki trzask, a po nim z głośnika pokładowego komunikatora wydobył się głos Antillesa:

- Słyszę, że w końcu jesteś gotów wziąć udział w tej wyprawie.

- Te przeklęte procedury przedstartowe trwają całą wieczność - prychnął Solo. - W prawdziwym statku po prostu człowiek czuje, co jest sprawne, a co nie.

- Nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia - stwierdził Wedge.

- Dzięki temu zdążyłem uciąć drzemkę.

- Podejrzewam, że właśnie to było ci potrzebne.

- Gotów do startu?

- Gotów. - Prawdę mówiąc, Han nie był tego pewny. Zaczynał mieć wątpliwości, czy powinien brać udział w tej operacji. Jego żona wątpiła w to od początku, ale potem się pogodziła z jego decyzją i od tamtej pory cały czas ją popierała. Obecnie jednak do Hana dotarł sens jej zastrzeżeń. Czy naprawdę powinien brać udział w tak niebezpiecznej wyprawie i w tajemnicy ćwiczyć, żeby się do niej przygotować?

Z drugiej strony jednak... Kiedyż to zrezygnował ze zrobienia czegoś tylko dlatego, że to był kiepski pomysł? Ani razu w ciągu ostatnich czterdziestu kilku lat i bardzo rzadko przedtem. Zdecydowanie się na udział w czymś, co było kiepskim pomysłem, pomogło mu przyjaźnić się kilkadziesiąt lat ze szlachetnym Wookiem i zdobyć żonę, z którą nie mogłaby się równać żadna inna kobieta w galaktyce...

...Ale także wpędziło go wielokrotnie w poważne tarapaty.

- Start - odezwał się Wedge.

Han przesłał energię do jednostek napędowych i śmignął Shrikiem w niebo tak stromo, jak to tylko było możliwe. Po sekundzie czy dwóch przeszedł w lot pionowy. Widoczne za dziobowym iluminatorem błękitne niebo Korelii zaskakująco szybko ustąpiło miejsca widokowi czarnych przestworzy z płonącymi stałym blaskiem iskierkami gwiazd.

Han przeniósł spojrzenie na pulpity sensorów i stwierdził, że pilotowany przez Antillesa shriek leci tuż obok niego. Trudno byłoby określić, który jest pierwszy, bo na wysokości czterystu kilometrów określenie niespełna metrowej różnicy było bardzo trudne.

Kiedy ciężenie przeszło w mikrociężenie, Han wpisał do pamięci nawigacyjnego komputera parametry pierwszego odcinka podróży. Nie czekając na potwierdzenie Antillesa, wykonał procedury poprzedzające skok do nadprzestrzeni, i kiedy znalazł się wystarczająco daleko od Korelii, wskoczył.

W tej samej chwili wślizgnął się do nadprzestrzeni Shriek pilotowany przez jego przyjaciela.

Han skrzywił się z dezaprobatą. Jego zdaniem Wedge usiłował być perfekcjonistą. Jeśli zawsze będzie chciał lecieć pierwszy, celniej strzelać i lepiej określać współrzędne optymalnego kursu, wyprawa może się okazać jeszcze trudniejsza niż się spodziewał.

No cóż, Han będzie musiał udowodnić Antillesowi, który z nich dwóch jest lepszy.

ROZDZIAŁ 29

Gwiazdny system MZX32905, okolice Bimmiela

Przy maksymalnym powiększeniu dom Brishy wyglądał na ekranie monitora jak półkulista jasnoszara narośl na ciemnoszarej chropowatej powierzchni. Kiedy Jacen zmniejszył powiększenie do średniego, zobaczył całą asteroidę. Unosiła się pośrodku oceanu gwiazd jak mroczny cień. Płono za nią niewielkie brązowopomarańczowe słońce gwiazdnego systemu usytuowanego niedaleko systemu Bimmiela, którego piąta planeta cieszyła się wątpliwą sławą z powodu bardzo licznej populacji piaskoszczurów. W dodatku była miejscem jednej z pierwszych ekspedycji zwiadowczych Yuuzhan Vongów.

Nelani, która stała pochylona nad ramieniem Jacena, wpatrywała się jakiś czas w rosnącą w oczach asteroidę.

- Piękna. - Przeniosła spojrzenie na Brishę Syo. Kobieta rozpięła się w fotelu za plecami Bena, który podczas tego lotu pełnił obowiązki drugiego pilota. - Mogę sobie wyobrazić, jak cieszysz się każdym spędzonym tam dniem. Siedząc na brzegu jeziora, oglądasz majestatyczne wschody i zachody słońca...

Twarz Brishy odbijała się w transpystalowej tafli dziobowego iluminatora. Jacen zauważył, że kobieta zareagowała na słowa Nelani protekcyjnym uśmiechem.

- Asteroida znajduje się na odludziu - powiedziała. - Cenię sobie prywatność.

Rycerz Jedi zignorował ich rozmowę, podobnie jak nie zwrócił uwagi na wskazania sensorów na pulpicie przed sobą. Zamiast tego skoncentrował się na kontakcie z Mocą.

Wyczuwał, że na asteroidzie posługuje się nią ktoś silny i energiczny... Chociaż martwy. Jacen już kiedyś w życiu odniósł takie wrażenie - kiedy spędził wolną godzinę w pobliżu martwej rafy koralowej. Wówczas także starał się ją wyczuć w Mocy i jego starania zostały uwiecznione powodzeniem. Od rafy promieniowało coś w rodzaju słabych, zatartych wspomnień po istotach, które ją stworzyły. Od strony asteroidy promieniowało jednak coś silniejszego, bardziej złożonego i przesyconego konkretną osobowością... Ze sporą domieszką energii ciemnej strony.

- To wielka żelazowa asteroida - stwierdził Ben. - Ma ciężenie, ale nie na tyle duże, żeby mogło utrzymać atmosferę. Będziemy latali zamiast chodzić.

Brisha pokręciła głową.

- Habitat ma sztuczne ciężenie - oznajmiła. - Generatory rozpoczną pracę, kiedy wasz wahadłowiec osiadzie w doku.

- Szkoda. - W głosie Bena zabrzmiało rozczarowanie i irytacja. Jacen zachichotał. Rozumiał, dlaczego chłopiec cieszy się na myśl o przebywaniu w środowisku o niewielkim ciężeniu.

Łądowisko było na tyle przestronne, że mogłyby się na nim zmieścić cztery wahadłowce albo „Sokół Millenium” i jedna albo dwie mniejsze jednostki. Wlot znajdował się u stóp

dziesięciopiętrowego habitatu. Sam hangar był wysoki, miał zakrzywioną zewnętrzną ścianę i pochylone pod kątem boczne ściany, dzięki czemu płyta lądowiska wyglądała niemal jak trapezoid. Ściany pokryto nitowanymi metalowymi płytami barwy kojącego błękitu. Pomieszczenie lśniło czystością.

Kiedy wahadłowiec Jacena osiadł w pobliżu drzwi wiodących do habitatu, dwie ogromne płyty wrót hangaru, górna i dolna, zetknęły się ze sobą. Rycerz Jedi poczuł, że jakaś siła wciska go głębiej w fotel, i domyślił się, że włączyły się generatory sztucznej grawitacji. Nie czekając na polecenie, Ben zmniejszył siłę sztucznego ciężenia wahadłowca, aż osiągnęło poziom bliski standardowej grawitacji na Coruscant. Jacen spojrział na chłopca i aprobująco pokiwał głową.

Błądził jednak myślami gdzie indziej. Cały czas szukał źródła Mocy, którą wyczuł, kiedy podchodził do lądowania.

Zobaczył, że odbicie twarzy Brishy w dziobowym iluminatorze uśmiecha się do niego.

- Odpowiedzi na wszystkie pytania znajdziesz w środku - odezwała się kobieta.

Jacen kiwnął głową.

- To nie to samo co stwierdzenie, że w środku znajduje się wszystko, czego szukamy... Albo że będziemy tam bezpieczni - zauważył.

- To prawda - przyznała Brisha i wstała z fotela.

Po drugiej stronie zewnętrznej klapy elastycznej śluzy zaczynał się korytarz. Powietrze w nim było chłodne, ale miejscami jakby cieplejsze, co dowodziło, że w chwili lądowania wahadłowca obudziły się do życia także grzejniki habitatu.

Korytarz o neutralnych jasnokremowych ścianach krzyżował się z drugim, barwy takiego samego błękitu jak hangar. Patrząc na zakrzywione ściany, Jacen doszedł do wniosku, że korytarz biegnie po obwodzie całego habitatu, zapewniając dostęp do pomieszczeń przylegających do jego zewnętrznej powierzchni.

Ben przyjrzał się posadzce z podziwem.

- Ale tu czysto - zauważył. - A myślałem, że to była kiedyś placówka górnicza.

Brisha pokręciła głową.

- Nie, to był tylko administracyjny habitat towarzystwa górniczego - wyjaśniła. - Mieszkali tu personel zarządzający i ich rodziny, a także rodziny kilku najważniejszych dyrektorów towarzystwa górniczego. Przedstawiciele zarządu korzystali z dużych sal, w których mogli wydawać przyjęcia i się bawić. Ten habitat był bardziej hotelem niż obozem dla górników.

- Pod względem architektury przypomina wczesny model Ruchomego Ośrodka Dowodzenia Sienara, ale jest starszy - stwierdził Jacen. - Może nawet o kilka wieków. - Zauważył, że Brisha kiwnęła lekko głową. - Prawdopodobnie złożono go w przestworzach w pobliżu miejsca, w którym miał być zainstalowany. Później holowniki umieściły go na kolumnach fundamentów w miejscu, w którym powinien się znaleźć. Takie habitaty były jednak bardzo kosztowne. Kiedy górnicy kończyli działalność, inżynierowie zwalniali zaczepy mocujące i odholowywali całość w inne miejsce. Ten habitat nie powinien był pozostać tutaj.

Brisha obdarzyła Jacena zachęcającym uśmiechem, ale zaraz skrzyła i ruszyła pierwsza korytarzem.

- Święta prawda - przyznała. - Ostatni zarządca placówki jednak zdecydował, że po zakończeniu operacji wydobywczych habitat pozostanie na swoim miejscu, w tym polu asteroid. Miał być zostawiony... I zapomniany.

Na pierwszym skrzyżowaniu skręciła w lewo, w kierunku środka habitatu, a Jedi podążyli za nią. Poprzeczny korytarz miał także błękitne ściany, w których widniały drzwi prywatnych pokojów i niewielkich gabinetów. Drzwi były zaokrąglone u góry zgodnie z manierą projektowania, która dawno wyszła z mody. Jacen przyspieszył i zrównał się z Brishą.

- Temu zarządcy musiało na tym bardzo zależeć - zauważył. - Na pozostawieniu tego habitatu towarzystwo górnicze straciło mnóstwo kredytów.

- Rzeczywiście - przyznała kobieta. - Tyle że ten akurat zarządca miał dość pieniędzy na łapówki, więc członkowie zarządu przymknęli na to oczy. Bądź co bądź był Sithem.

Brisha nie odpowiedziała na inne pytania, dopóki wszyscy nie dotarli do turbowindy w pobliżu środka habitatu i nie wjechali nią cztery piętra. Kiedy wyszli z kabiny, znaleźli się w okrągłym pomieszczeniu o średnicy mniej więcej dwudziestu metrów. Gruby transpastalowy sufit znajdował się piętnaście metrów nad ich głowami i miał kształt wycinka powierzchni kuli. Zewnętrzna powierzchnia była w tylu miejscach zadrapana przez mikrometeority, które w ciągu wielu wieków w nią trafiały, że gdzieś tam wyglądała jak pokryta warstwą szronu. W innych była jednak na tyle przejrzysta, żeby dało się przez nią zobaczyć usiane punkcikami gwiazd majestatyczne przestworza.

Samo pomieszczenie do złudzenia przypominało gabinet pani doktor Rotham, bo miejsce pod ścianami zajmowały regały. Na wysokości trzech metrów przerzucono między nimi wąskie pomosty, na które w kilku miejscach wiodły czarne metalowe schody. Na półkach widniały książki, rolki flimsiplastu, migoczące hologramy, posążki i dzieła sztuki kinetycznej. W jednym miejscu Jacen dostrzegł nawet zamkniętą w słoju głowę Rodianina. Ryjkowaty nos istoty był zwrócony w stronę drzwi turbowindy, którą przyjechali. Wśród pozostałych mebli przeważały długie ciemne kanapy. Wyglądały na niewygodne i twarde, ale Jacen poznał, że to nowoczesne meble, których komory wypełniały się powietrzem albo opróżniały w zależności od ruchów i kształtu ciał siedzących na nich osób.

W pokoju niemal cuchnęło od energii Ciemnej Strony Mocy. Jacen wyczuwał ją bardzo wyraźnie, ale zarazem uświadamiał sobie, że to nie ona jest źródłem potęgi... Mrocznego wpływu, który wyczuwał od pierwszej chwili, kiedy postawił stopę na płycie lądowiska. Prawdziwe źródło tej siły kryło się głęboko, bardzo głęboko pod powierzchnią asteroidy.

Dlaczego potęga Ciemnej Strony Mocy zawsze tkwi w głębinach? - Zastanawiał się rycerz Jedi. Co powoduje, że kojarzy się zawsze z lochami, wawozami czy rozpadlinami? Mimo dziesięcioleci badania tego zagadnienia młody Solo nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Stojąc na progu drzwi kabiny turbowindy, chłonał wrażenie potęgi Mocy niczym wygłodniały człowiek zapachy z restauracji. Nelani przeszła na środek okrągłego pomieszczenia i położyła dłoń na rękojeści świetlnego miecza u pasa. Odwróciła się do Brishy Syo.

- A więc jesteś kimś w rodzaju Sitha, tak? - Zagadnęła drwiącym tonem.

Kobieta pokręciła głową i wyciągnęła się na najbliższej kanapie w taki sposób, że wsparła się plecami o jeden z boków. Pod ciężarem jej ciała komory mebla wypełniły się powietrzem. Brisha ułożyła się wygodniej i niedbałym ruchem wyciągnęła ręce nad głowę.

- Nie jestem - sprostowała. Jeżeli zwrócisz uwagę na sygnały ze swoich zmysłów, oprócz Ciemnej Strony wyczujesz tu także jasną. W tych zabytkach i we mnie.

Jacen nie był pewny, czy to ostatnie stwierdzenie jest prawdziwe. Brisha nie przejawiała żadnej energii Mocy oprócz tego minimum, jakim promieniowały wszystkie żywe istoty... Naturalnie z wyjątkiem Yuuzhan Vongów. Rzeczywiście wyczuwał jednak drobne zmarszczki energii Jasnej

Strony Mocy, zmieszane z energią Ciemnej Strony.

- A więc za kogo sama się uważasz? - Zapytał. Rozdarty między ciekawością - bo bardzo by chciał obejrzeć wszystkie przedmioty na półkach regałów - a przezornością, ruszył w kierunku kanapy, na której rozpierała się Brisha Syo.

- Za uczennicę - wyjaśniła kobieta. - Uczennicę Mocy we wszystkich jej aspektach. Skupiłam wprawdzie uwagę na wiedzy Sithów, żeby zgadnąć, jak wykorzystywali techniki władania Ciemną Stroną, ale nie uległam ich zachłanności. Nie działałam także z egoistycznych pobudek, bo staram się uczynić galaktykę lepszą. Właściwie robię to samo, co najlepsi Jedi: posługuję się technikami władania Jasnej Strony.

- A jednak zostałaś zdeprawowana - stwierdziła Nelani.

Brisha posłała jej pełne politowania spojrzenie.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda - zaczęła. - Nelani, wszyscy władcy Mocy muszą się liczyć z możliwością deprawacji i rzeczywiście wielu jej ulega. Ciemna strona różni się od Jasnej Strony tylko formą, jaką przyjmuje ta deprawacja. Zdeprawowani władcy Jasnej Strony stają się zacofani... Do tego stopnia opanowani przez reguły i zwyczaje, że nie są już w stanie myśleć, czuć ani ulegać zmianom. Właśnie to doprowadziło Jedi do zguby w końcowym okresie Starej Republiki.

- Jest w tym trochę prawdy - przyznał Jacen, spoglądając na Brishę. - Nie jesteś pierwszą osobą, która twierdzi, że władcy Jasnej Strony ulegli skostnieniu. To jeszcze nie dowodzi jednak, że długotrwałe posługiwanie się Ciemną Stroną nie prowadzi zawsze do deprawacji.

Zirytowana Brisha westchnęła i zaplotła ręce na piersi.

- Właściwie czym jest deprawacja, Jacenie? - Zapytała. - Zagorzały zwolennik Jasnej Strony powie ci, że jest to każde wykorzystanie Mocy dla uzyskania korzyści osobistych. Jednak ktoś, kto, jak chyba wszystkie istoty, nie jest wyłącznie altruistą, ale dba także o własne interesy, nie jest zdeprawowany. Taka osoba zachowuje się po prostu zgodnie z charakterem istot swojej rasy.

Jacen doszedł do wniosku, że jednak bardziej interesują go wywody Brishy niż przedmioty na półkach regałów. Podszedł bliżej i stanął przed kanapą, na której leżała.

- Wyjaśnij mi to - zażądał.

- Bardzo bym chciała - odparła kobieta. - Przedtem jednak trochę wiadomości ogólnych.

Jacen usłyszał, że Ben westchnął, i się uśmiechnął. Brisha odpowiedziała mu uśmiechem. Ben zachowywał się naprawdę odpowiedzialnie jak na swój wiek, ale jak każdy, nawet dorosły, niecierpliwiał się, ilekroć przedstawiano mu szerszy kontekst zawilego problemu.

- Ta planetoida była zamieszkała na długo, zanim pojawili się na niej górnicy - podjęła Brisha. - Żyły na niej zwierzęta. W głębinach asteroidy znalazłam ich zmumifikowane ciała, a Moc pozwoliła mi się domyślić, że zwierzęta były krewniakami mynocków, zbudowanych głównie z krzemu bezkręgowców, żywiących się promieniowaniem gwiazd i związkami krzemu. Dzięki mutacjom albo ewolucji mieszkańcy tej asteroidy stali się istotami inteligentnymi, chociaż musiało to trwać całe tysiąclecie. Później utworzyli zhierarchizowane społeczeństwo, oparte na klasach podobnych do tych, jakie spotyka się w cywilizacjach istot ludzkich. Jacen pokiwał głową.

- To właśnie od nich pochodzi szczątkowa energia Mocy, które wyczuwam, prawda? - Zapytał.

- Tak - przyznała Brisha. - Wynaleźli nawet formę zapisywania myśli. Używali też niosących informacje rzeźb, które nauczyłam się tłumaczyć...

- Jedna z tych plecionek - przerwał rycerz Jedi.

- Właśnie - stwierdziła kobieta. - Prawdopodobnie wasza badaczka nie umiałaby jej przeczytać.

Z informacji pozostawionych przez tę rasę wynika, że na pewnym etapie rozwoju klasa rządząca wygnała całą społeczność swoich poddanych i skazała ją na życie w odosobnieniu, w jaskiniach i grotach tej asteroidy. Uniemożliwiła jej tym samym dostęp do energii gwiazd, dzięki której istoty utrzymywały się przy życiu. Nieszczęśnicy wegetowali w podziemiach, powoli konając z głodu i żywiąc się tylko minerałami zawartymi w skałach asteroidy. To właśnie wówczas niektórzy spośród nich odkryli Moc i nauczyli się wykorzystywać ją do swoich celów. Później jeden z nich został przywódcą, pomógł pozostałym wyrwać się z więzienia i opanować inne asteroidy.

- A więc dlaczego nie wszystkie mynocki są w tej chwili wrażliwymi na Moc gwiazdnymi podróżnikami, którzy władają galaktyką? - Zagadnęła Nelani.

Brisha wzruszyła ramionami.

- Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie - powiedziała. - Mogę się jej tylko domyślać. W zapiskach tych istot znalazłam wzmiankę o Domu: pod tym pojęciem rozumiały tę asteroidę, a także kilka uwag o Powrocie. Wynika z nich, że te istoty nie mogły się rozmnażać, to znaczy dzielić, jak to robią mynocki, w żadnym innym miejscu poza tą asteroidą. Jeżeli to prawda, nie były w stanie się rozprzestrzenić zbyt daleko po galaktyce, a w ciągu zaledwie kilku lat jakaś śmiertelna zaraza albo podobna katastrofa nie były w stanie doprowadzić do wyginięcia wszystkich osobników tej rasy. Najważniejsze jednak, że jakiś czas, całkiem długo, żyły tu istoty, na których czele stała kasta władców Mocy i które później same stały się władcami Ciemnej Strony. Nauczyły się sposobów życia mynocków, na przykład umiejętności wysysania na dużą odległość energii z organizmów żywych istot, nie wyłączając osobników swojej rasy, a także związanej z tym umiejętności przesyłania myśli na odległość, co czasami demonstrowają także Jedi. Zgromadziły ogromne ilości energii Ciemnej Strony Mocy, ale większość tej energii przeniknęła do systemu jaskiń, w których istoty żyły na wygnaniu i które później stały się dla nich miejscem uświęconym. W końcu jednak wyginęły - ciągnęła Brisha - a wiele wieków czy nawet tysiącleci później przylecieli tu górnicy, żeby z wnętrza asteroid tego pasa wydobywać cenne minerały. Nie odważono by się ich wydobywać bezpośrednio spod habitatu przedstawicieli dyrekcji, gdyby ktoś nie odkrył istnienia jaskiń z żyłami niemal czystego metalu, który pozostał po tym, jak mynocki wyjadły otaczające je krzemionkowe skały.

- Mogę prawie domyślić się reszty - oznajmił Jacen.

- Proszę bardzo - zgodziła się Brisha Syo.

- Długotrwałe wystawienie górników na oddziaływanie energii Ciemnej Strony wywołało serię przedziwnych incydentów - podjął rycerz Jedi. - Ludzie zaczęli widzieć różne rzeczy, a wrażliwe na Moc osoby wykazywały niesamowite zdolności. Możliwe, że nawiązywały kontakty z twoimi mynockami, zachowywały się jak one i były uważane za szaleńców.

- Bardzo dobrze. - Brisha kiwnęła głową. - Dyrektor kierujący w tamtym okresie towarzystwem górniczym wszystko zatuszował, ale zamknął tę kopalnię, chociaż pozostałe, na innych asteroidach, jeszcze jakiś czas normalnie działały, i otoczył wszystko najściślejszą tajemnicą. On także był wrażliwy na oddziaływanie Mocy i doświadczał jej wpływów. Potrafił jednak eksperymentować, dzięki czemu zdobywał i testował nowe umiejętności. Kiedy ten pas asteroid przestał przynosić zyski, nakazał zamknięcie pozostałych kopalń i starannie zatarł wszelkie ślady, żeby nikt nie przypomniał sobie o istnieniu tego habitatu... A jeszcze później odleciał stąd i przemierzając galaktykę, natknął się na Sithów. Został ich uczniem, a później nawet mistrzem. Zwał się Darth Vectivus.

- Nigdy o nim nie słyszałem - mruknął Jacen.

Brisha pozwoliła, żeby na jej twarzy odmalowało się lekkie zniecierpliwienie.

- To dlatego, że nie wyrządził nikomu żadnej krzywdy - wyjaśniła. - Nie starał się zdobyć władzy nad galaktyką, nie próbował wymordować ludności całego gwiazdowego systemu ani rozpocząć bezpardonowej walki z Jedi. Po prostu żył i cały czas się uczył. Zmarł ze starości w otoczeniu członków rodziny i przyjaciół.

Nelani obrzuciła ją sceptycznym spojrzeniem.

- Niech zgadnę - zaczęła. - Był patronem artystów, zwolennikiem dobroczynnych akcji i wynalazcą cyklonicznej wysokopiłki, ulubionego napoju alkoholowego zwiedzających wyspy turystów jak galaktyka długa i szeroka.

- Możesz sobie drwić, w tym nie ma nic złego - powiedziała Brisha. - Ale to wynika z twojej ignorancji, a to niedobrze. Nie wiesz nic na temat Dartha Vectivusa.

Nelani obdarzyła ją lodowatym uśmiechem.

- Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek istniał i czy naprawdę był wesołym, miłym człowiekiem, jak usiłujesz nam to wmówić - oznajmiła.

- Prawdę poznasz tylko wówczas, jeżeli się tego dowiesz - odparła Brisha.

- Jakim cudem nie pozwolił, żeby zachłanność nim owładnęła i go zniszczyła? - Zainteresował się Jacen.

- To całkiem proste - stwierdziła kobieta. - Jeszcze zanim poczuł zew Ciemnej Strony, kierował się głęboko zakorzenionym kodeksem etycznym. Był dorosłym i trzeźwo myślącym przedsiębiorcą, marzącym o osiągnięciu zysków, ale nie za cenę sprzeniewierzenia się wyznawanym zasadom, więc kiedy zaczęła go kusić Ciemna Strona, zdołał zignorować jej podszepty równie łatwo jak zakusy nie mniej niszczycielskiego miłosierdzia. - Mówiąc te słowa, Brisha zerknęła na Nelani, ale zaraz znów przeniosła spojrzenie na Jacena. - Sithowie, słynący ze swojego zdeprawowania, stali się tacy, bo jeszcze przed pierwszym kontaktem z Ciemną Stroną byli z gruntu źli. Wcale nie dlatego, że byli Sithami. Po prostu żyli złudzeniami albo też od samego początku byli chciwi... Jak twój dziadek. Wiesz, że kiedyś go znałam?

Jacen pokręcił głową.

- Skąd miałbym to wiedzieć? - Zapytał. - Nie wiem o tobie właściwie nic.

- To prawda - przyznała Brisha. - Tym bardziej że nie używam prawdziwego imienia i nazwiska. To byłoby dla mnie niewygodne.

- A więc twierdzisz, że nie zwabiłaś nas tu, aby zabić?

- W żadnym razie.

- I nie dlatego, że jesteś samotna albo że chcesz nam pokazać tę asteroidę?

Brisha znów się uśmiechnęła.

- Też nie - powiedziała.

- W takim razie dlaczego?

- Bo głęboko w tych jaskiniach, gdzie potęga Ciemnej Strony jest najsilniejsza, przebywa Lord Sithów, a moim zdaniem nie powinieneś się tam zapuszczać samotnie.

Koreliańskie przestworza, nad Tralusem

Leia siedziała w mesie oficerskiej z panią admirał Limpan, a na błyszczącym białym blacie stołu

między nimi parowały kubki z kafeiną.

- Galaktyczny Sojusz nabrał chyba niedobrego nawyku traktowania Korelian jak niegrzeczne dzieci - odezwała się księżniczka.

- A wcale nimi nie są. Ci ludzie nigdy nie stracili pionierskiego ducha, chociaż ich system został zasiedlony wiele tysiącleci temu. Nie stracili pionierskiego ducha, pionierskiej pogardy dla władzy ani pionierskiego lekceważenia wszystkiego, co skomplikowane albo wymagające przesadnie głębokiej analizy. Jeżeli będzie się ich traktowało jak dzieci, można mimo woli zapomnieć o tym, jak potrafią być niebezpieczni.

- To zdumiewająco szczerą analizą jak na żonę Korelianina - stwierdziła Bothanka.

- Han jest jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi w galaktyce. - Leia wcale nie wyglądała na zakłopotaną stwierdzeniem pani admirał. - A ja od ponad trzydziestu lat jestem dumna ze sposobów, w jakie wykorzystuje tę cechę swojego charakteru...

Przerwał jej przeraźliwy sygnał alarmowy. Umundurowani oficerowie przy sąsiednich stolikach wstali, a Limpan i Leia poszły w ich ślady.

- Zauważono intruzów - oznajmiła pani admirał. - Jestem teraz potrzebna...

- Zostanę z panią, jeżeli mogę - przerwała księżniczka.

Od mostka dzieliło je tylko kilkadziesiąt metrów. Kiedy Limpan i Leia wpadły przez blasteroodporne drzwi na biegnący górą pomost, na mostku wrzało jak w ulu. Oficerowie, głośno krzyżąc, przekazywali meldunki innym oficerom, a nad pomostem unosił się hologram pobliskich przestworzy. Było na nim widać zakrzywioną linię orbity, na której unosiły się w sporych odległościach od siebie okręty Galaktycznego Sojuszu, a także formację nadlatujących w trzech grupach nieznanymi jednostek. Rozmyte krawędzie i nieregularny kształt formacji pozwoliły Leii się domyślić, że pokładowe sensory okrętu jeszcze nie zdążyły ustalić jej dokładnego składu.

- Wszystkie okręty i personel hangarów, pogotowie bojowe - rozkazała admirał Limpan. - Wysłać wszystkie eskadry, których piloci są gotowi do startu. Natychmiast postawić w stan pogotowia wszystkie pozostałe eskadry. Wezwać do powrotu zwiadowcze patrolowce, których piloci mogą tu przylecieć w ciągu trzech minut po pojawieniu się tej formacji. Wszystkie inne jednostki zwiadowcze, rozpocząć patrolowanie po liniach sieci, powoli trawersując w kierunku Tralusa. Nawigator, jakim leć kursiem?

Oficer, pełniący obowiązki głównego nawigatora przy jednym ze stanowisk w niszy na niższym poziomie, także Durosjanin, uniósł głowę i zawołał:

- Sześćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że leć w kierunku Rellidira, i czterdzieści procent, że kierują się w stronę „Błękitnego Nurka”!

- Kontrola gwiazdnych myśliwców, skierować jedną eskadrę z każdych czterech w stronę Rellidira, dwie z każdych czterech w stronę „Błękitnego Nurka”, a ostatnią pozostawić w hangarze każdego okrętu macierzystego. - Limpan zaczęła kierować spojrzenie po kolei na wszystkie stanowiska w dole po obu stronach głównego pomostu.

- Pani admirał - odezwała się Leia. - Mam sporo doświadczenia w koordynowaniu walki eskadr gwiazdnych myśliwców. Jeżeli mogłabym jakoś pomóc...

Limpan pokiwała machinalnie głową.

- Proszę wrócić przez blasteroodporne drzwi, przez które tu weszliśmy, i zaraz potem w prawo... To znaczy w stronę bakburty - powiedziała. - Pierwsze drzwi. Powie pani pułkownikowi Moyanowi, aby uzyskał potwierdzenie mojego doradcy, że przyjąłem pani pomoc. I dziękuję.

- Nie ma za co. - Leia odwróciła się i pobiegła z powrotem w kierunku wyjścia z mostka. Czuli się fatalnie. Oto pani admirał właśnie podziękowała jej za zgłoszenie się na ochotnika do udziału w czymś, co mogło się okazać aktem zdrady... Trudno. Jeśli Leia ma szansę pomóc Hanowi przeżyć podczas spodziewanej bitwy, zrobi to, nawet gdyby miała działać wbrew interesom Galaktycznego Sojuszu.

Syal zakłęła, kiedy jej Twee wyleciał ospale z hangaru „Błękitnego Nurka” i jeszcze bardziej niemrawo zaczął przyspieszać. Poruszał się okropnie powoli... W końcu pilotka i pozostali czterej koledzy z jej eskadry utworzyli szyk w kształcie litery V, na którego czele leciał dowódca. Był nim ten sam pilot X-winga, który dał się jej we znaki podczas próbnego lotu alepha.

„Szary Jeden” skręcił i poprowadził resztę eskadry w dół, w stronę atmosfery. Syal spojrzała na nawigacyjny pulpit i stwierdziła, że celem ich wyprawy jest punkt usytuowany na południe od miasta Rellidir. Kiwnęła głową. Korelianie nadlatywali, żeby wyzwolić swoje miasto. Pilotka nie wiedziała, czy potajemnie życzyć im powodzenia, czy też nie.

Klucz Panter - Solo i Antilles - został daleko z tyłu, na szarym końcu szyku koreliańskich myśliwców.

Han się irytował. Nie powinien lecieć na końcu jakiegokolwiek szyku. Kiedy leciało się w ogonie, mściwi artylerzyści nieprzyjaciela skupiali na tobie ogień, żeby odstrzelić ci tyłek. A poza tym miejsce na końcu szyku oznaczało, że jest się miernym albo biernym pilotem. Przed nim leciały nawet jednostki, których piloci mieli wystrzelić rakiety. Musieli się znaleźć na niebie na wschód od Rellidira, zanim Han i Wedge przystąpią do działania.

Han denerwował się także brakiem wiadomości od żony. Wiedział, że warunki łączności między nimi są trudne, a sama łączność może być w każdej chwili przerwana. Spojrzał na wyposażony w komunikator komputerowy notes, który starannie przytwierdził do pulpitu kontrolnego Shrieka, zanim usiadł na fotelu pilota. Podświetlony ekran urządzenia pozostawał cały czas denerwująco czysty.

Najgorsze jednak, że Wedge chyba umiał czytać w jego myślach.

- Cierpliwości, kolego - powiedział. Jego głos zabrzmiał w uszach Hana tak wyraźnie, jakby Antilles siedział na pustym fotelu drugiego pilota. - Wkrótce się tam znajdziemy.

- Ja miałbym się niecierpliwić? - Zapytał Han z ostentacyjnym niedowierzaniem i urazą w głosie. - Synku, siedzę tu i gram w abaka z robocimi mózdkami!

- To świetnie - odparł Wedge. - Jeżeli ktoś cię obedrze ze skóry, staniesz się naprawdę wredny.

Han wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przesłał trochę więcej energii do jednostek napędowych, żeby jego bombowiec choć odrobinę wyprzedził Shrieka pilotowanego przez Antillesa.

- A jeżeli ktoś odstrzeli klapę twojego wjazdu, to ty staniesz się wredny - powiedział.

Kiedy Wedge się odezwał, jego głos zabrzmiał znacznie bardziej oficjalnie.

- Czoło naszej formacji gwiazdnych myśliwców nawiązuje kontakt z jednostkami nieprzyjaciół - zameldował.

- Ci to mają szczęście - westchnął Solo.

Rellidir, Tralus

Tym razem Jaina postanowiła wypowiedzieć każde słowo oddzielnie, głośno i wyraźnie, żeby nie mogło być wątpliwości, co które oznacza:

- Powiedziałam. Wyłączyć. Generatory. Ochronnych. Pól - powtórzyła. - Odbiór.

- Nie wyrażam na to zgody, nie wyrażam. - W głosie jej rozmówcy wyraźnie było słyhać, że funkcjonariusz personelu naziemnego jest młody i zaczyna wpadać w panikę. - Nieprzyjaciel znajduje się w odległości niespełna trzech minut i szybko obniża pułap lotu.

- Wielkie nieba! - Wybuchnęła Jaina. - Wyłączenie generatorów zajmie ci dwie sekundy, a po dwóch następnych już stąd odleciemy, więc będziesz je mógł znów włączyć - powiedziała. - Ile jeszcze zostanie ci czasu? Ponad dwie i pół minuty! W tym czasie będziesz mógł nadal czuć się bezpiecznie. Wyłącz te przekłete generatory i wypuść nas stąd! - Wykrzykując ostatnie słowa, walnęła pięścią w wolne miejsce kontrolnego pulpitu, niezajęte przez wyświetlacze ani przyciski.

Jej eskadra krążyła nad śródmieściem Rellidira, uwięziona pod czaszami siłowych pól, które chroniły tę dzielnicę stolicy Tralusa. W pobliżu krążyły także inne eskadry gwiazdnych maszyn, ale ich piloci raczej nie zamierzali wylatywać spod kopuły ochronnego parasola.

- Dowódcy wszystkich eskadr otrzymali rozkaz czekania w pogotowiu i obrony ośrodka - odparł anonimowy funkcjonariusz.

- Wynika z niego, że macie zostać tam, gdzie jesteście.

- To Eskadra Hardpoint, jednostka Jedi - syknęła gniewnie Jaina. - Nie wchodzimy w skład twojej bezpośredniej struktury dowodzenia. Jeżeli nas wypuścisz, będziemy mogli was bronić o wiele skuteczniej.

- Nie wyrażam zgody, Hardpoint - usłyszała w odpowiedzi. - Mam jednoznaczne rozkazy i w tej chwili nie zamierzam zawracać głowy dowództwu twoją prośbą. Bez odbioru.

- Zastraszony, skomlący idiota - burknęła Jaina. - Widziałam odważniejsze roboty myszy i udarowe chrząszcze, które miały więcej rozumu.

- Wątpię, żeby cię słyshał, „Jedynko” - usłyszała głos Zekka.

- Wiem. - Jaina westchnęła. - Chyba utkwiliśmy tu na dobre. Wszyscy piloci, utrzymywając dotychczasowy szyk i parametry lotu. Dajcie znać, kiedy nadarzy się okazja.

Usłyszała chór potwierdzeń, ale była zbyt zniechęcona i przygnębiona, żeby zwrócić na nie uwagę.

Gwiazdny system MZX32905, okolice Bimmiela

Troje Jedi i Brisha wsiedli do kabiny turbowind, żeby zjechać z powrotem na najniższy poziom habitatu. - Powinnaś była powiedzieć nam o tym na samym początku - stwierdziła Nelani. - „W piwnicy przebywa Sith!” Gdyby ktokolwiek w galaktyce zapraszał nas do swojego domu, byłaby to pierwsza rzecz, o jakiej uznaliby za stosowne nas poinformować.

- Jak się nazywa? - Zainteresował się Ben.

Brisha wzruszyła ramionami.

- Nie objawił mi się, więc tym bardziej nie zdradził mi swojego imienia. - Uśmiechnęła się szeroko, jakby nagle przypomniał się jej jakiś dowcip. - Prawdopodobnie Darth jakiś tam... Tak przypuszczam.

- W galaktyce nie pozostał ani jeden Sith... Odkąd? - Zapytał Jacen. - Od śmierci ostatniego klona Imperatora?

- To prawda i zarazem nieprawda - stwierdziła Brisha Syo. - Prawda, jeżeli mamy na myśli klasyczny układ mistrz-uczeń, w którym równocześnie może żyć tylko dwóch Sithów. Nie jestem jednak pewna, czy klony Imperatora można uważać za Sithów. Nie zdobyły przecież w normalny

sposób swojej wiedzy. Nie osiągnęły jej kosztem wysiłku i wyrzeczeń. Odziedziczyły ją po prostu, jak pakiet ściągniętego oprogramowania komputerowego. Moim zdaniem ostatni Sithowie zniknęli z galaktyki tego dnia, kiedy zginęli Imperator i twój dziadek.

Mimo to pozostało wiele z dziedzictwa Sithów. Żyli osobnicy, którzy byli kandydatami, ale z jakiegoś powodu nie zostali uczniami. Wiedzieli jednak wystarczająco dużo, żeby przeżyć i kontynuować naukę. Któryś mógł przyswoić sobie tyle wiedzy, żeby zostać mistrzem.

Kabina turbowindy znieruchomiała ze wstrząsem na najniższym poziomie habitatu... Tym samym, z którego dostali się na wyższe piętra. Brisha poprowadziła Jedi do sześciobocznego pomieszczenia, w którym dominował wylot wielkiej rury. Rura była nachylona pod kątem czterdziestu pięciu stopni i wyglądała jak transpastalowy cylinder z wystającą parą metalowych szyn. Miała średnicę prawie dwóch metrów, a w metalowej klamrze nad nią unosił się metalowy wagonik. W przedniej części miał sześć foteli, pośrodku dużą wolną przestrzeń ładunkową, a z tyłu następnych sześć foteli, zwróconych w przeciwną stronę. Przód wagonika tkwił we wlocie rury, a pierwsza para kół stykała się z szynami.

Ben zajrzał w głąb rury, wiodącej w głąb asteroidy. Panowała tam nieprzenikniona ciemność, ale po chwili wewnętrzna powierzchnia rury zajaśniała. Młody Skywalker zobaczył w głębi skalistą powierzchnię asteroidy. Rura pograżała się w niej i znikła.

- To może być zabawne - doszedł do wniosku.

- Chłopak nie powinien tam jechać - stwierdziła Brisha. - Nie jest jeszcze na tyle silny, żeby stawić czoło Sithowi.

Ben poczuł oburzenie, ale nic po sobie nie okazał.

- Wiesz, co zrobię? - Zapytał. - Po prostu będę się opierał wszelkim pokusom.

Brisha obrzuciła go surowym spojrzeniem.

- Kiedy widziałam się ostatni raz z twoim ojcem, nasze rozstanie nie było przyjemne - powiedziała. - Możliwe, że miał czas mi wybaczyć... Ale na pewno by mi nie wybaczył drugi raz, gdyby musiał mnie obwiniać za śmierć swojego jedyne syna.

- A ja ci nie wybaczę, jeżeli mnie zostawisz - odparł Ben.

Jacen wspiał się po metalowych stopniach do wagonika i zajął miejsce z przodu na jednym z foteli.

- Pojedzie z nami - zdecydował. - Gdyby został na górze, ktoś mógłby go zaatakować.

- Jak sobie życzysz. - Brisha wskoczyła do wagonika i zajęła miejsce na fotelu obok Jacena.

Kilka chwil później Nelani i Ben usiedli na fotelach w tylnej części wagonika.

Brisha pstryknęła dźwigienką przełącznika i na kontrolnym panelu rozjarzyły się wyświetlacze wskaźników i podświetlane przyciski.

- Ciśnienie atmosferyczne w jaskiniach wynosi zero koma dziewięć standardowego ciśnienia habitatu - oznajmiła. - Waszym uszom może się to nie spodobać.

Przycisnęła jakiś guzik. Wagonik wtoczył się do rury, przyspieszył i zaczął opadać w kierunku powierzchni asteroidy. Minał ją i runął jeszcze głębiej w ciemność.

ROZDZIAŁ 30

System Koreliański, nad Tralusem

Kiedy czoło formacji koreliańskich gwiazdnych myśliwców dotarło na odległość strzału do ochronnego ekranu maszyn Galaktycznego Sojuszu, piloci obu stron otworzyli ogień. Następne formacje Korelian przeorały szyki szybko przybywających na miejsce walki eskadr Sojuszu.

Tworzący Klucz Panter Han i Wedge, którym towarzyszyły dwie eskadry koreliańskich myśliwców szturmowych, po prostu ominęli strefę walki i zanurkowali w głąb atmosfery Tralusa.

- Leci się nam zbyt gładko - stwierdził Han.

- Zwariowałeś? - Zapytał Wedge. - Co to znaczy zbyt gładko?

- Powiniennem wyczuwać jakieś drgania. Powiniennem widzieć ostrzeżenia o przegrzewaniu się materiału kadłuba, które by wskazywały, że przebijamy się przez warstwy coraz gęstszego powietrza - stwierdził Solo. - Te shrieki nie okazują atmosferze żadnego szacunku.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli jakaś jednostka, przebijając się przez warstwy atmosfery, nie zostawia strumienia szczątków niczym okruszyn chleba, nie dorównuje standardom „Sokoła Millenium”?

- No cóż... To prawda - przyznał Han.

- Jeżeli chcesz się poczuć jak w sterowni „Sokoła”, możesz kilka razy dać ognia z blastera w kontrolny pulpit i później radzić sobie z awariami - zaproponował Wedge.

- Takiś mądry? - Zachnął się Han. - Mogę się także upić na przepustce, doprowadzić do poważnego incydentu międzyplanetarnego i wezwać ciebie na pomoc, żebyś wszystkiemu zaradził, skoro to ty jesteś moim dowódcą.

- Rzeczywiście mógłbyś to zrobić - przyznał Antilles. - A ja mógłbym kazać mechanikom, żeby uszkodzili jednostkę napędu nadświatelnego twojego bombowca. Kiedy odmówi posłuszeństwa, będziesz mógł rozgłaszać, że to nie twoja wina.

- Auu! - Zawył Solo. - A ja mógłbym załatwić, żebyś dostał rozkaz opanowania Coruscant, mając do dyspozycji tylko dwunastu pijanych Ewoków, cztery zepsute śmigacze i czterdzieści kilogramów piasku z plaży.

- Wykonanie takiego rozkazu zajęłoby mi co najmniej dwa tygodnie, panie kapitanie - odciął się Wedge.

Han zaśmiał się cicho.

Rellidir, Tralus

- Nadlatują myśliwce! - Zawołał „Szary Jeden”. - Opadają z orbity, z kierunku północ-północny zachód.

Syal widziała je na ekranie monitora swoich sensorów w postaci dużych rozmytych plam, które po jakimś czasie przemieniły się w dwie albo trzy eskadry gwiazdnych myśliwców i przynajmniej dwa większe cele.

- Po prostu ostrzelamy je jak zawsze - dodał dowódca. - Zaczekajcie, aż obiorą zdecydowany kurs, a potem lećcie za mną. Wybijajcie jak największe dziury we wszystkim, co zobaczycie.

Na pulpicie z ekranem monitora sensorów Syal pojawiły się pomarańczowe linie - przekazywane przez „Szarego Jeden” ekstrapolacje kursu intruzów. Wyglądało na to, że kierują się na wschód od miasta, w stronę miejsca leżącego daleko poza czasami pól chroniących przyczółek sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu. Po otrzymaniu potwierdzenia dowódca zanurkował ku powierzchni planety. Obrął kurs równoległy do trajektorii lotu koreliańskich eskadr, ale sporo je wyprzedzał. Piloci pozostałych alephów podążyli za nim.

Gwiazdny system MZX32905, okolice Bimmiela

Kiedy wagonik mknął przez ciemność, Ben poczuł, że jego żołądek podchodzi do gardła, a później wrywa się i pływa niczym duch poza jego ciałem. Niewiele brakowało, a młody Skywalker posłałby w ślad za nim lunch jako eskortę, ale powstrzymał się siłą woli i nie narobił sobie wstydu. Zwykle opadanie w pionie by nie wystarczyło, żeby przyprawić go o mdłości, co oznaczało, że wagonik musiał także opuścić rejon oddziaływania sztucznego ciężenia.

Z początku niemal nie czuł na twarzy podmuchów wiatru, ale w pewnej chwili prąd powietrza stał się silny i chłodny. Ben domyślił się, że wagonik wyjechał z transpastalowej rury i mknie przez jaskinie, o których wcześniej wspominała Brisha.

Nagle łoskot metalowych kół na szynach nasilił się i zaczęło mu towarzyszyć echo - znak, że przejeżdżają przez przewężenie. Chwilę później znaleźli się znów w oświetlonym pomieszczeniu - przestronnej jaskini, rozjaśnionej przez blask przytwierdzonych do ścian i sklepienia prętów jarzeniowych.

Pręty nie dawały jednak wystarczająco dużo światła. W ciągu krótkiego czasu, kiedy wagonik mknął przez jaskinię, Ben zauważył tylko, że jest wielka i ma nierówne, jakby dziobate ściany. Całą ogromną przestrzeń przecinały w różnych kierunkach dziwaczne grube wstęgi z czerwono-brązowego materiału. Wyglądały jak wykute z litej skały, ale przeplatające się jasne i ciemne żyły nadawały im pozór strumieni rdzawej wody, która w ułamku sekundy zakrzepła i przemieniła się w kamień. Oświetlające jaskinię pręty jarzeniowe rozmieszczono na powierzchniach ścian, w szczelinach albo za kolumnami z rdzawego materiału, żeby wyraźnie odcinały się od otoczenia. W tym ostatnim przypadku prawdopodobnie chodziło bardziej o uzyskanie wrażenia artystycznego niż o rozproszenie ciemności.

Jakby wyczuwając pytanie Bena, Brisha wskazała jedną ze wstęg, która ciągnęła się łagodnym łukiem poziomo i wyglądała jak zapleciony warkocz.

- Ruda żelaza! - Wykrzyknęła. - Odsłonięta przez mynocki, które wyzarły otaczające ją skały.

Później wagonik, pogrążając się coraz głębiej, przemknął przez następną wąską, mroczną szczelinę i ponownie znalazł się w ciemności.

Dopiero wówczas Ben wyczuł w dole przed sobą skupisko energii Ciemnej Strony. Nie zagrażała jego życiu, ale była złowieszczą... Nie jak nieprzyjaciel, który zamierza go zabić, ale jak ponury realista, przypominający mu, że wcześniej czy później i tak umrze.

Łoskot kół na szynach znów się nasilił i dało się słyszeć znajome echo. Później odgłosy ucichły, co powiedziało Benowi, że przemknęli przez kolejne przewężenie i znaleźli się w następnej jaskini, tym razem pogrążonej w absolutnej ciemności.

Nagle poczuł, że ktoś z tyłu szarpie go za kołnierz i podrywa z fotela. Stwierdził, że płynie w ciemności, a potem leci z niebezpieczną prędkością w kierunku ostrych formacji skalnych. Był tak zaskoczony niespodziewaną zmianą sytuacji, że nawet nie krzyknął.

Rellidir, Tralus

- Nadlatują gwiazdne myśliwce - ostrzegł dowódca jednej z dwóch eskadr eskortujących oba shrieki. Han słyszał jego głos czysto i wyraźnie. - Lećcie nadal tym samym kursem. Sami damy sobie z nimi radę.

Piloci jednej z eskadr odłączyli się od szyku i polecili kursem na przechwycenie intruzów. Piloci drugiej zacieśnili szyk wokół obu bombowców.

Han nie odpowiedział. Miał nastawiony komunikator na częstotliwość i szyfrujący kod, dzięki którym mogli go słyszeć tylko kontrolerzy wyprawy i Antilles... A poza tym nie chciał, żeby ktoś rozpoznał jego charakterystyczny głos. Zastąpił go jednak Wedge, i do tego odpowiednio ironicznym tonem.

- Dzięki, synku - burknął. - Dopóki nam tego nie powiedziałaś, trząsałem się ze strachu jak galareta.

Na ekranie monitora na pulpicie sensorów Han obserwował, jak dwanaście koreliańskich myśliwców szturmowych kieruje się na południowy wschód, na przechwycenie nadlatującego klucza sześciu gwiazdnych myśliwców nieznanego typu.

Nieznanego typu? Solo zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać. Lubił niespodzianki, ale tylko wówczas, kiedy sam je komuś urządzał.

Obie formacje gwiazdnych maszyn się zbliżyły i na chwilę ich plamki rozmyły się na ekranie. Po sekundzie czy dwóch z dwunastu myśliwców zostało tylko dziewięć, a ich piloci gorączkowo zawracali, żeby ścigać nieznaną myśliwców nieprzyjaciół. Han zwrócił uwagę, że ani jedna maszyna Galaktycznego Sojuszu nie została zestrzelona.

- Niedobrze - powiedział.

- Uzbroić lasery - polecił Wedge.

Han przeniósł spojrzenie na pulpity systemów uzbrojenia. Lasery górnej wieżyczki działek były naładowane i gotowe do otwarcia ognia.

Piloci połowy pozostałej eskadry szturmowych myśliwców odłączyli się od szyku i tworząc po drodze ochronny ekran, skierowali się w stronę nadlatujących maszyn Galaktycznego Sojuszu. Nieprzyjacielscy piloci posłali ku nim czerwone smugi laserowych strzałów, ale chybili. Ich błyskawice przeleciały poziomo przed iluminatorem bombowca Hana.

Nagle szóstka myśliwców szturmowych, których piloci odłączyli się chwilę wcześniej od eskorty obu shrieków, przemieniła się na pulpicie z ekranem monitora sensorów w czwórkę, a alarm celowniczy w kabine bombowca Hana ostrzegawczo zapiszczał na znak, że jeden z nieprzyjaciół go namierzył. Solo zwiększył dopływ energii do jednostek napędowych i przesłał ją do repulsorów, żeby przyspieszyć i pozbyć się niemiernika. Zawrócił, a kiedy jego shriek skierował się przodem do nieprzyjaciół, namierzył najbliższego i dał ognia. Z pulpitu sensorów wydobył się niemal komiczny

pisk na dowód, że strzał dotarł do celu.

Chwilę później z prawej na lewą przed nosem bombowca Hana przemknęło sześć nieprzyjacielskich myśliwców. Wyglądały jak duże srebrzyste kule, za którymi ciągnęły się dwie zwięzające się ku tyłowi dysze jednostek napędowych. Nieznane jednostki były ścigane przez klucz koreliańskich myśliwców szturmowych. Kiedy nieprzyjaciele znaleźli się daleko po lewej stronie, zaczęli powoli zawracać w kierunku pola walki.

Han zamrugał.

- *Fierfek*, co to za cudaki? - Zapytał.

- Gwiezdne myśliwce produkcji Sienara typu Aleph - odparł Wedge. - Początkowo przezywano je stawowymi skoczkami, bo miały stanowić przeciwwagę dla koralowych skoczków Yuuzhan Vongów, ale w tej chwili wszyscy przezywają je Twee. Przeszły etap prototypu i są już produkowane, ale w ograniczonych ilościach.

- Wspaniale - mruknął Solo. - Trafiłem swojego porządnym poczwórnym strzałem, a on nawet nie drgnął.

- Taa, mówią, że są podobne do strzelających, wytrzymałych metalowych łożysk kulkowych. - Antilles przełączył komunikator na wspólną częstotliwość formacji. - Kluczu Mglawica, Pantery odłączają się od szyku. Powodzenia.

- „Pantero Jeden”, tu dowódca Mglawic - usłyszał w odpowiedzi. - Zróbcie nam tę przyjemność i wysadźcie coś w powietrze.

Han spodziewał się manewru Antillesa i pierwszy odłączył się od szyku. Lecąc nadal na wschód, zanurkował w kierunku miejsca, z którego obaj mieli rozpocząć podejście do budynków w śródmieściu Rellidira. Wedge wykonał podobny manewr i puścił się jego śladem.

Lotniskowiec „Dodonna”, nad Tralusem

W pomieszczeniu kontrolnym gwiazdnych myśliwców panował pozorny chaos. Leia знаła ten widok, bo pomagała koordynować wiele pojedynków pilotów gwiazdnych maszyn, począwszy od bitwy o Yavina.

Kontrolerzy na pokładzie „Dodonna” mieli jednak do dyspozycji urządzenia, których brakowało w kontrolnym pomieszczeniu podczas tamtej bitwy. Miejsce potyczki było odtwarzane dzięki wyświetlanym nad głowami kontrolerów hologramom, ale odległości na polu walki nie były na nich oddawane we właściwych proporcjach. Każdy myśliwiec czy statek był przedstawiony w postaci prostokąta odpowiedniej barwy, w zależności od tego, do której z walczących stron należał. Myśliwce Galaktycznego Sojuszu oznaczono na niebiesko, koreliańskie na czerwono, a nieznane - wśród nich kilka jednostek nad Rellidirem, prawdopodobnie cywilnych, których piloci usiłowali uciec znad zagrożonej stolicy - na żółto. Różnobarwne symbole przemieszczały się w powietrzu, pluły do innych nitkami strzałów, odnosiły uszkodzenia i znikwały z niepokojącymi odgłosami, dzięki czemu hologram wyglądał jak wielki ekran konsoly z grą, która oszałała.

Wyposażona w specjalny komputerowy notes, wręczony jej przez głównego koordynatora - porośniętego czarną sierścią bothańskiego pułkownika Moyana - Leia mogła zdobywać różne informacje o wszystkich jednostkach, jakie brały udział w bitwie. Kierując promień światła na dowolny myśliwiec czy statek, widziała na ekranie notatnika informacje na temat tego celu.

Na przykład myśliwiec, którego symbol właśnie zamrugał i zniknął z atmosfery nad Rellidirem,

niał kryptonim „Mgławica Jedenaście” i był pilotowany przez Gorvana Peela. Koreliańskie maszyny miały katapulty, więc chwilę po zniknięciu myśliwca Leia zobaczyła na ekranie notesu aktualną informację: KATA PULTOWANIE POMYŚLNE, OZNAKI ŻYCIA W NORMIE, KOLEJNOŚĆ PODJĘCIA NUMER 37.

Podobnie jak kilku koordynatorów w tym pomieszczeniu, skierowała nitkę światła na jeden z nurkujących w kierunku Rellidira „tajemniczych bombowców”, żeby zapoznać się z informacją na jego temat:

IDENTYFIKACJA: NIEPRZYJACIEL

KLASA: CEC YT-ODMIANA (NIEZNANY),

PRAWD. BOMBOWIEC

PILOT: NIEZNANY

Identycznie brzmiała informacja na temat drugiego Shrieka.

Leia zbliżyła do ust mikrofon notesu i zaczęła cicho mówić. Pozwoliła, żeby translator słów na tekst umieścił na ekranie dodatkową informację na temat tego bombowca:

- Prawdopodobnie uszkodzony, bo oddala się od celów Galaktycznego Sojuszu. Zalecane skupienie uwagi na eskortujących go gwiazdnych myśliwca.

Stuknęła w odpowiednie miejsce na ekranie, żeby przesłać tę informację do baz danych „Dodonna”.

Chwilę później poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Udawała, że pomaga siłom zbrojnym Galaktycznego Sojuszu, ale w rzeczywistości chroniła męża, który miał zbombardować jego ośrodek dowodzenia. Pokręciła głową, jakby chciała się pozbyć niemiłego uczucia. Obojętne, co zrobi podczas tej bitwy, zawsze będzie miała poczucie winy. Jeszcze gorzej by jednak było, gdyby nie chroniła Hana... Zwłaszcza gdyby miało mu się przydarzyć coś złego.

Ponownie zwróciła uwagę na alephy, których piloci toczyli zacięte pojedynki z pilotami gwiazdnych maszyn eskorty jej męża.

Coruscant

Luke obudził się i usiadł. W jego głowie kłębiła się zagadkowa mieszanka wizerunków i emocji. Mistrz Jedi rzucił okiem na żonę. Upewnił się, że Mara śpi, i wstał z łóżka.

Moc bombardowała go tak silnym strumieniem wrażeń, że tylko z trudem mógł zebrać myśli. Ostrożnie otworzył w nie umysł, żeby je rozdzielić.

...Zdradzić zaufanie, działać znaczy zdradzić, powstrzymać się od działania znaczy zdradzić...

Zobaczył mynocka, w którego oczach błyszczała niezwykła inteligencja. Stworzenie wpatrywało się w niego z odległości wielu wieków.

...Sithowie nie są tacy, jak ci się wydaje...

Leia miała na twarzy wyraz tak bezgranicznego smutku, że trudno byłoby go wyrazić słowami. Potem jego siostra runęła twarzą w dół i skręciła się z bólu.

...Ciemność, ciemność nie będę się bał ciemności...

Han z wyrazem żalu na twarzy i wibromiczem w dłoni skoczył do przodu i wbił ostrze między żebra urodziwej, ciemnowłosej młodej kobiety.

...Kochałam cię na swój sposób, naprawiłabym krzywdę, którą ci wyrządziłam...

Reagując odruchowo, Luke uwolnił myśli i posługując się Mocą, wsparł i wzmocnił Leię. Nie

był pewny, czy pozostałe osoby są naprawdę tymi, które widzi w swoich wizjach, ale wyczuwał prawdziwą siostrę w obrazie Leii. Nie wiedział tylko, czy oferuje poparcie Leii z chwili obecnej, Leii z realnej przeszłości czy też Leii z przyszłości, która nigdy nie zaistnieje.

Odwrócił się i spojrział znów na Marę. Jego żona miała otwarte oczy, i patrzyła w górę, ale niczego nie widziała. Jej ciało było pocięte klingą świetlnego miecza na kawałki, a z przypalonych, czarnych śladów płynęły smużki dymu.

Mistrz Jedi pokręcił głową i wyteżył zmysły, żeby wizje zniknęły, a głosy ucichły. Wrócił do rzeczywistości. Jego żona spała w ciemnej sypialni, cała i zdrowa.

Wziął ze stolika rękojeść świetlnego miecza i wyszedł na korytarz. Nie chciał, żeby jego przeżycia obudziły Marę.

Działo się coś złego. Wydarzenia w odległych miejscach galaktyki zaczynały się skupiać wokół niego i bliskich, których kochał. Czuł się dezorientowany. Burzliwość tych własnych myśli i emocji przygniatała go i przyprawiała o skurcze żołądka.

Wyszedł z apartamentu i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na zimnej kamiennej posadzce. Zamierzał pograć się w medytacji, która pozwoliłaby mu odgadnąć, co się naprawdę dzieje, a może także pomogła mu odzyskać spokój.

Gwiazdny system MZX32905, okolice Bimmiela

Ben odczepił od pasa rękojeść świetlnego miecza, chwycił ją oburącz, przycisnął kciukiem guzik na obudowie i zapalił świetlistą klingę. Z większą radością powitał jednak kolumnę błękitnego światła niż znajomy syk i pomruk. Mógł dzięki temu widzieć wszystko dokoła, chociaż niewyraźnie.

Płynął w powietrzu z prędkością kilku metrów na sekundę w kierunku popękanej skalnej ściany, od której dzieliło go jeszcze jakieś trzydzieści czy czterdzieści metrów. Powoli tracił wysokość, bo ciężenie w jaskini, chociaż słabe, nie zanikło zupełnie.

- Jeżeli będziesz trzymał świetlny miecz oburącz, trudno ci będzie odepchnąć się od tej skalnej ściany - usłyszał dobiegający zza pleców głos Nelani.

Ben odwrócił głowę i spojrział do tyłu. Jego śladem płynęła w powietrzu młoda Jedi, równie jak on niezadowolona z minimalnego ciężenia.

Ponownie spojrział na zbliżającą się ścianę.

- Czy to ty wyciągnęłaś mnie z wagonika? - Zapytał.

- Nie bądź śmieszny - parsknęła Nelani.

- Nie jestem śmieszny - odparł Ben. - To ty nie bądź obłudna.

- Przepraszam, jestem zirytowana. - Nelani zmieniła ton głosu. - Nelani do Jacena, zgłoś się - powiedziała.

Zbliżając się do skalnej ściany, Ben zauważył występ, którego mógłby się uczepić, bo był zakończony ostrym jak igła szpikulcem. Puścił lewą dłoń ręką ręką ręką miecza, skierował energetyczną klingę w prawo i do tyłu, wyciągnął lewą rękę przed siebie i chwycił skalny występ. Odwrócił się w taki sposób, żeby zderzyć się ze ścianą ugiętymi nogami, które zmniejszyłyby impet uderzenia.

Chwilę później Nelani zderzyła się ze ścianą kilka metrów niżej. Jej palce wyslizgnęły się ze szczeliny i młoda Jedi zetknęła się ze ścianą barkami i biodrami.

- A więc czyja to sprawa? - Nie dawał za wygraną Ben. - Może Sitha?

- Mamy towarzystwo - usłyszał w odpowiedzi.

Spojrzał w dół, ale zaraz uniósł głowę.

Dziesięć metrów wyżej zauważył czyjeś ślepie. Płonęły błękitnym blaskiem, bo odbijała się w nich klinga jego miecza. Ślepie były trójkątne i przecięte wąską źrenicą z góry na dół.

Za nimi dostrzegł setki par innych ślepi, równie zimnych i płonących stałym blaskiem.

Pokręcił głową. Lecąc w powietrzu, nie odrywał spojrzenia od tego fragmentu skalnej ściany. Nie zauważył wówczas ślepi żadnych stworzeń. Uwolnił myśli i posługując się Mocą, wysłał je przed siebie. Wyczuł setki istot, silnych energią Ciemnej Strony Mocy.

- Niedobrze - powiedział.

- Zeskocz - zaproponowała Nelani.

- Taa. - Ben rozprostował palce lewej ręki, puścił skalny występ i zaczął powoli opadać. Odepchnął się lekko od skalnej ściany, żeby znaleźć się dalej od niej.

Ślepie znad jego głowy także zaczęły opadać, ale trzymały się cały czas w bezpiecznej odległości od kręgu blasku klingi jego świetlnego miecza. Mimo to podążały za nim.

Wagonik zwolnił, zakręcił i stanął. Brisha i Jacen znaleźli się w jasno oświetlonej jaskini, na tyle dużej, żeby zmieścić się w niej spory transportowiec. Mimo to nie było tu nic prócz torów. Tworzyły pętlę w kształcie łyż i łączyły się z tymi, po których wagonik wjechał do jaskini, żeby pasażerowie mogli ruszyć w powrotną drogę.

Jacen postanowił nie tracić czasu na podziwianie jaskini. Wbił spojrzenie w Brishę.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Zapytał.

Kobieta posłała mu niewinne spojrzenie.

- Co takiego? - Odparła tonem autentycznego zdziwienia.

- Wyszarpnęłaś Bena i Nelani z wagonika - wyjaśnił rycerz Jedi.

- Czy wydawało ci się, że nie wyczuję twojego impulsu energii Mocy?

- Spodziewałam się, że go wyczujesz. - Brisha wstała z fotela i wyszła z wagonika. Najpierw unosiła się obok niego, po czym powoli spłynęła na kamienne dno jaskini. - Rozdzieliłam nas dla ich dobra - podjęła po chwili. - Spotkają się z niebezpieczeństwem, ale nie tak groźnym jak to, z którym my się tu spotkamy. Gdyby towarzyszyli nam do tej jaskini, prawdopodobnie by zginęli.

- Twój Sith - domyślił się Jacen. Odepchnął się od fotela i pofrunął w górę na wysokość kilkunastu metrów. Mógł obecnie widzieć wszystkie zakątki pomieszczenia. Jaskinia miała skalne ściany z mnóstwem szczelin i pęknięć, w których tkwiły pręty jarzeniowe. Jacen nie wyczuł jednak żadnego zagrożenia ani obecności dziwnych istot, którym musiałby stawić czoło. - Co możesz mi o nim powiedzieć?

- Zawdzięcza wiedzę rodowi Palpatine'a, ale dowiedział się więcej niż Imperator - odparła Brisha. - Jest młody. Urodził się dopiero po jego śmierci.

- W takim razie w jaki sposób została mu przekazana wiedza Sithów? - Jacen zaczął powoli opadać w kierunku wagonika. - Za pośrednictwem holocronu Sithów? Dzięki lojalnym uczniom, skarbnicom wiedzy?

- Dzięki nielojalnym uczniom, którzy posiadli tę wiedzę - wyjaśniła kobieta. - Adeptom Sithów, którzy nigdy nie dostąpili zaszczytu zostania mistrzami... I którzy odrzucili Palpatine'a oraz jego nauki jako zbyt egocentryczne, zbyt ograniczające, zbyt niszczące.

Jacen posłał jej zaciekawione spojrzenie.

- Z twoich słów wynika, że ci adepci byli szlachetni - powiedział. - Jeżeli tak, czy i twój Sith jest także szlachetny?

Brisha wzruszyła ramionami. Trzymała się jedną ręką krawędzi wagonika, żeby po przypadkowym energicznym ruchu nie pofrunąć pod sklepienie jaskini.

- Mimo to trzeba go odnaleźć i pokonać - oznajmiła. - Ach...

Odwróciła się w kierunku mrocznego kąta jaskini, w którym ogromny zaokrąglony występ skalny znajdował się w odległości zaledwie kilku metrów od zakrzywionego fragmentu toru.

Zza występu wyłonił się wysoki, szczupły mężczyzna. Był ubrany w czarno-złoty strój podróży, stylizowany na płaszcz Jedi, ale uszyty z kosztownych jedwabi. U pasa miał zawieszoną rękojeść świetlnego miecza także czarno-złotej barwy. Nosił rękawice i skrywał twarz w mroku kaptura, w którym płonęły pomarańczowozłocistym blaskiem oczy.

Staął obok skalnego występu, zaledwie kilka metrów od Jacena i Brishy.

- A więc to ty jesteś tym Sithem - odezwał się rycerz Jedi.

Mroczny mężczyzna zgiął ciało w ukłonie.

Jacen posłał mu lekceważące spojrzenie.

- Dlaczego mam cię traktować poważnie? - Zapytał. - Nawet cię tu nie ma.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Odparł szeptem zakapturzony nieznajomy.

- Chodzi mi o to, że przyszedłeś, nie przyfrunąłeś - wyjaśnił Jacen. - Zupełnie jakbyś się poruszał w pomieszczeniu o normalnym ciężeniu, a nie w jaskini, w której panuje prawie stan nieważkości. Jesteś iluzją.

- Tak, jestem iluzją - przyznał mężczyzna. - Mimo to jestem tu obecny. Dokładnie w tym miejscu, w którym mnie widzisz.

- Nie zechciałbyś tego wyjaśnić? - Zapytał Jacen.

- Nie.

- Trudno. - Młody Solo przycisnął kciukiem guzik na obudowie i włączył energetyczną klingę świetlnego miecza. - W takim razie chyba przetnę cię na dwoje.

- Jestem mistrzem, a ty rycerzem Jedi - odparł mężczyzna.

- Czy wiesz, co to oznacza?

- Że nie mogę z tobą wygrać? - Jacen roześmiał się kpiąco.

- Tylko tyle, że musisz najpierw pokonać moich podwładnych, aby się do mnie dobrać - wyjaśnił Sith. - Pozwolić, żebym cię ocenił, wypróbował. Wiesz, taka jest tradycja.

- Jeżeli tak twierdzisz...

Blask pomarańczowozłocistych oczu Sitha zniknął, a chwilę później sam mężczyzna rozpląnął się w powietrzu jak zjawą.

Za to z miejsca, w którym stał, dobiegł cichy szmer, a zaraz po nim zza skalnego występu wyłoniła się następna osoba. Stała równie pewnie jak przedtem Sith, jakby poruszała się w pomieszczeniu o normalnym ciężeniu. Znieruchomiała dokładnie w tym samym miejscu, w którym zniknęła iluzja Sitha.

Mężczyzna nie był wysoki, ale zwinny i silnie umięśniony. Miał na sobie czarne spodnie, tunikę, buty oraz rękawice i trzymał rękojeść niezapalonego miecza świetlnego.

Był bliźniaczo podobny do Luke'a Skywalker'a, z wyjątkiem zawadiackiej brody i grymasu wyrażającego przewrotność i pogardę.

- Nieładnie - odezwał się Jacen.

Nelani wylądowała pierwsza na dnie jaskini. Zamortyzowała niewielki impet uderzenia zgięciem nóg, ale i tak pofrunęła w górę. Opadając, Ben ją minął, lecz nie oderwał spojrzenia od stworzeń

stłoczonych na skalnej ścianie nad jego głową. Zetknął się stopami z dnem jaskini, pofrunął kilka metrów w górę i minął Nelani, która właśnie opadała. Dopiero po jakiejś minucie oboje znieruchomieli - chociaż trochę niepewnie - na dnie jaskini.

Ben usłyszał dobiegający z góry syk i szelest, które zabrzmiały jak stłumiona, świszcząca mowa... Jakby mówiło setki istot naraz.

- Zamierzają nas zaatakować - odezwała się młoda Jedi. Wyglądała na wstrząśniętą.

Jakby jej słowa oznaczały przyzwolenie na atak, oczy z góry zaczęły szybko opadać. Wyglądało to, jakby spływał wodospad płomienistej wody. Nelani zapaliła klingę świetlnego miecza, której bladożółty blask zmieszał się z błękitną poświatą klingi broni Bena. Młody Skywalker uniósł miecz obronnym gestem nad głowę.

Zanim pierwsza fala opadających stworzeń dotarła do obojga Jedi, rozdzieliła się na dwa strumienie. Każdy popłynął w inną stronę, równoległe do kamiennego dna jaskini. Tylko dwa stworzenia poleciały prosto. Jedno zaatakowało Bena, a drugie Nelani.

Młody Skywalker odskoczył na bok, ale dość niezdarnie. Nie miał dużego doświadczenia w poruszaniu się w warunkach niewielkiego ciężenia, żeby instynktownie wykonywać właściwe ruchy. Odbił się od dna jaskini i pofrunął do góry, w kierunku napastnika.

Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo stworzenie leciało prosto na niego. W blasku energetycznej klingi świetlnego miecza wyglądało jak jedno wielkie błoniaste skrzydło z oczami z przodu, ogonem z tyłu i ociekającym śliną pyskiem pośrodku podbrzusza, dzięki czemu przypominało trochę mynocka. Ben zamachnął się klingą i poczuł opór, kiedy ostrze przecięło skórę i mięso. Pod wpływem impetu ciosu poszybował w dół, a obie połówki zabitego stworzenia przeleciały obok niego - po jednej z każdej strony.

Zderzył się z dnem jaskini, ale tym razem zamortyzował ugięciem nóg niemal cały impet uderzenia i nie pofrunął zbyt wysoko w górę.

Obie połówki mynocka wtopiły się w kamienne dno, a kiedy Ben spoglądał na nie, wślizgnęły się pod powierzchnię jak połówki tonącej łodzi. Nie pozostało po nich nic... żadnej krwi, niczego.

- Nie są prawdziwe - stwierdził Ben.

- To projekcje Mocy - dodała stojąca za jego plecami Nelani.

- W takim razie nie mogą nam wyrządzić żadnej krzywdy, prawda?

- Nieprawda - oznajmiła karcącym tonem młoda Jedi. - Przecież wiesz. To jakbyś powiedział: „Laserowy promień nie może mi wyrządzić krzywdy, bo to tylko światło, prawda?”

- Szkoda - zmartwił się Ben. - Miałem nadzieję, że mam rację.

- Uff - sapnęła Nelani jak po ciosie w brzuch, a świetlista kolumna klingi jej miecza od razu zgasła.

Nie zwracając uwagi na roje mynocków nad głową, Ben odwrócił się tak raptownie, że ponownie pofrunął kilka metrów w górę.

Nelani zniknęła. Jej miejsce zajęła Mara Skywalker. W jej oczach płonął gniew, a ruchy zwiastowały niebezpieczeństwo. Mistrzynie Jedi trzymała świetlny miecz, ale nie zapaliła energetycznej klingi.

Ben spłynął łagodnie na dno jaskini.

- Nie jesteś moją matką - powiedział.

- To się dobrze składa - odparła Mara. - Jeżeli cię zabiję, nikt nie będzie mógł mnie oskarżyć o dzieciobójstwo.

Włączyła klingę świetlnego miecza, która zapłonęła czerwonym blaskiem.

Rellidir, Tralus

Han i Wedge znaleźli się w końcu nad bulwarem wiodącym do Kompleksu Mieszkalnego Terkury'ego. Wysoko w górze widać było maleńkie, niewyraźne kształty bombowców, których piloci krążyli nad kopułą ochronnego pola i zrzucali ładunki wybuchowe. Piloci innych jednostek toczyli zajadłe pojedynki z pilotami lepszych i nowszych gwiazdnych maszyn Galaktycznego Sojuszu.

Solo, który leciał kilka metrów przed Antillesem, obniżył pułap lotu niemal do granic bezpieczeństwa. Pozostawił tylko tyle miejsca dla lecących na legalnej wysokości śmigaczy, żeby się z nimi nie zderzyć, ale zignorował fakt, że podobnie jak on, wielu pilotów osobistych pojazdów lekceważy przepisy i robi, co im się żywnie podoba.

Kilka razy usłyszał z pulpitu sensorów ciche piknięcia, które informowały go, że jest namierzany. Nie zwrócił na nie uwagi. Zacząłby się przejmować, gdyby sygnał zabrzmiał głośniejsze i przerodził się w ciągły pisk, bo wówczas...

Zabrzmiał głośniejsze i przerodził się w ciągły pisk. W oddali nad dachami wieżowców pojawiła się para gwiazdnych myśliwców. Ich piloci skierowali się w stronę shrieków i zaczęli szybko obniżać pułap lotu. Maszyny wyglądały z daleka jak maleńkie punkty, ale sądząc ze sposobu, w jaki leciały, Han domyślił się, że to E-wingi. Wytrzymałe szybkie myśliwce o niezmiennym kształcie skrzydeł miały przód podobny do nosów X-wingów, a nieprzyjacielscy piloci dysponowali wprawdzie tylko trzema sprzężonymi laserami, ale mieli do dyspozycji aż szesnaście protonowych torped. W odpowiednich okolicznościach każda taka torpeda mogła unieruchomić albo nawet zniszczyć spory okręt liniowy.

Najgorsze jednak, że do pisku dołączył się świergot, a to oznaczało obecność nieprzyjaciół nadlatujących z tyłu i z góry. Han zerknął znów na pulpit z ekranem monitora sensorów. Nowym przeciwnikiem był jeden z alephów, którego pilot, podobnie jak Han, leciał niemal na tym samym pułapie śladem obu shrieków.

Solo obrócił wieżyczkę laserów, żeby wziąć na cel E-wingi. Musiał je uszkodzić albo wyeliminować z dalszej walki, bo gdyby którykolwiek pilot wystrzelił w jego kierunku rakietę udarową eksplozja pocisku mogłaby zniszczyć jeden z okolicznych budynków, a jego ruiny uniemożliwiłyby pilotom shrieków dalszy lot na tak małej wysokości. Kiedy zobaczył, że sylwetka lecącego z przodu E-winga zatrzepotała w prostokącie celowniczym jego bombowca, dał ognia, chybił. Wiele kilometrów dalej zielona laserowa błyskawica wbiła się w fasadę budynku stojącego obok Kompleksu Terkury'ego. Nadlatujące ku niemu czerwone smugi laserowego ognia przemknęły pod kadłubem jego bombowca.

Ułamek sekundy później z komputerowego notosu przytwierdzonego do kontrolnego pulpitu wydobył się cichy pisk. Han zmełł w ustach przekleństwo, bo był zajęty czym innym, ale mimo to zerknął na ekran urządzenia. Przeczytał:

PILOTKA TEGO ALEPHA TO CÓRKA ANTILLESY.

Kiedy zrozumiał znaczenie przesłanej przez Leię informacji, poczuł w żołądku bryłę lodu.

Nie mieli nawet jak nawiązać łączności z dziewczyną, żeby ją ostrzec. W ostateczności mógłby to zrobić Wedge... Ale czy miał dość czasu, żeby wyjąć komunikator, włączyć go i porozumieć się z córką, zanim się znajdą nad celem? Han był niemal pewny, że to niemożliwe.

Nie chciał zabić córki przyjaciela ani nawet do niej strzelać. Sytuacja wyglądałaby jednak jeszcze gorzej, gdyby ogień do córki otworzył Wedge. A całkiem fatalnie byłoby, gdyby córka zabiła ojca... Fatalnie dla Korelii i dla ich wyprawy.

Kiedy tylko Han zrozumiał znaczenie słów żony, przesłał więcej energii do repulsorów, dzięki czemu jego Shriek wzbił się kilka metrów wyżej, i zmniejszył dopływ energii do głównych jednostek napędowych. Pilotowany przez Antillesa bombowiec śmignął pod nim i szybko wyszedł na prowadzenie.

- Masz większe doświadczenie w zmaganiu się z takimi kurdupłowatymi myśliwcami - odezwał się Han. - Sam się z nimi rozpraw. Ja zajmę się tym holownikiem, który stara się nam usiąść na ogonach.

- Dzięki, dziadku - usłyszał w odpowiedzi.

Z pulpitu sensorów w kabinie jego Shrieka rozległ się głośny pisk, kiedy nadlatujący z tyłu napastnik go znów namierzył. Han zaczął wykonywać bombowcem uniki z boku na bok, co wyglądało, jakby nim kołysał. Dzięki temu nadlatujące z tyłu błyskawice laserowych strzałów przemknęły nieszkodliwie obok niego i przecięły wolną przestrzeń między wieżowcami.

Obrócił wieżyczkę laserów i odpowiedział ogniem. Kiedy przyciskał spust, topornie wyglądający aleph odskoczył na bakburtę. Jego pilotka uniknęła trafienia, ale cały czas zmniejszała odległość dzielącą go od Shrieka. Obniżyła pułap lotu, jeszcze bardziej utrudniając Hanowi oddanie celnego strzału.

Niech to zaraza, pomyślał Solo. Córka Wedge'a musiała być naprawdę asem pilotażu.

ROZDZIAŁ 31

Coruscant

Luke wyczuł czyjaś obecność... Obecność osoby silnej Mocą. Otworzył oczy.

Kilka metrów przed nim unosił się nad posadzką jego siostrzeniec i były najlepszy uczeń, Jacen Solo... Tyle że to nie był Jacen Solo. Kimkolwiek był, trzymał zapalony świetlny miecz. Cuchnął energią Ciemnej Strony, a w jego spojrzeniu kryła się przewrotność.

- Nieładnie - odezwał się fałszywy Jacen.

Luke wstał.

- Kim jesteś? - Zapytał.

Nie-Jacen parsknął.

- Ledwo istniejesz - powiedział. - Nie musisz tego wiedzieć.

Zrobił dziwnie długi krok do przodu, co wyglądało, jakby go przepłynął. Bez widocznego wysiłku pokonał większą część odległości dzielącej go od mistrza Jedi.

Luke zapalił klingę swojego miecza.

Nie-Jacen zadał cios... Szybki, zamaszysty cios z boku, który Luke odparował bez widocznego wysiłku i właściwie odruchowo. Jego przeciwnik natychmiast przyjął postawę obronną, jakby spodziewał się kontrataku, ale Luke nie wykorzystał swojej przewagi. Ze zdziwieniem zauważył, że siła, z jaką zwały się klingi ich świetlnych mieczy, odrzuciła jego przeciwnika wiele metrów do tyłu. Nie-Jacen przepłynął tę odległość w powietrzu, aż się zderzył plecami ze ścianą korytarza i spłynął po niej łagodnie na posadzkę.

Dopiero wówczas Luke usłyszał pomruk i skwierczenie drugiej pary zwierających się kling świetlnych mieczy. Stłumione odgłosy napływały zza drzwi jego apartamentu.

Mara zerwała się z łóżka i odrzuciła koc ruchem, który miał spaść na głowę jej napastnika i dać jej czas na to, by oprzytomniała. Kiedy zeskakiwała z łóżka, wyciągnęła rękę w kierunku stolika i dopomogła sobie Mocą. W nagrodę poczuła kojący ciężar rękojeści świetlnego miecza, która z głuchym odgłosem wskoczyła do jej dłoni.

Sypialnię rozjaśniała czerwona poświata klingi, unoszącej się pośrodku pomieszczenia. Miecz trzymał niski, cherlawy pokurcz, który unosił się niespełna metr nad podłogą. Kiedy Mara wstawiała, pokurcz był zwrócony do niej plecami, ale dzięki niewielkiemu pchnięciu Mocy, które wyczuła, obrócił się w powietrzu i skierował na nią płonące czerwonym blaskiem oczy.

Był mniej więcej trzynastoletnim chłopakiem. Jego twarz przypominała twarz Bena, ale malował się na niej grymas gniewu, zrodzonego z wielu lat obelg, zazdrości i wściekłości. W przeciwieństwie do Bena pokurcz miał jednak grzywkę i równo przystrzyżone blond włosy. Mistrzynie Jedi przeżyła wstrząs, kiedy uświadomiła sobie, że dokładnie tak samo był uczesany młody Luke Skywalker... Pamiętała to z hologramów, przedstawiających jej męża, gdy był kilkunastoletnim chłopakiem.

Najgorsze jednak - co także oglądała na hologramach - że w identyczny sposób miał przystrzyżone włosy także kilkunastoletni Anakin Skywalker. Chłopak spłynął łagodnie na podłogę.

- Nie jesteś moją matką - wysyczał tonem bezgranicznej pogardy.

- To się dobrze składa - odparła Mara. - Jeżeli cię zabiję, nikt nie będzie mógł mnie oskarżyć o dzieciobójstwo.

Zapaliła klingę świetlnego miecza i kolumna błękitnego blasku zwarła się z zalewającą sypialnię czerwienią.

Chłopak skoczył ku niej, trzymając świetlny miecz jak włócznię, ale kiedy znalazł się blisko, odwrócił ostrze, jakby zamierzał zadać niski, zamaszty cios.

Mara uskoczyła w bok, żeby znaleźć się poza zasięgiem jego klingi, i od niechcienia machnęła ręką w stronę chłopaka. Kiedy strumień energii Mocy chwycił go i rzucił na ścianę, jej kilkunastoletni przeciwnik otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Nie zderzył się jednak ze ścianą, ale przez nią przeleciał. Zniknął i on, i czerwona poświata klingi jego miecza.

Mimo to Mara wyczuwała nadal jego obecność, jego bliskość, chociaż nie miała pojęcia, w którym miejscu zjawa może się znajdować. Uniosła pionowo klingę swojego miecza w obronnym geście i uzbroidła się w cierpliwość.

Nagle usłyszała pomruk i skwierczenie innej pary zwierających się kling świetlnych mieczy. Stłumione odgłosy napływały zza drzwi apartamentu... Z korytarza.

Gwiezdny system MZX32905, okolice Bimmiela

Nelani wyciągnęła rękę i zadała cios. Bładożółta klinga jej świetlnego miecza przecięła warstwę mięśni. Usłyszała skrzek bólu i jej przeciwnik, mynock o skrzydłach zakończonych chwytymi, prężnymi dłońmi, puścił ją i rozpadł się na połowy, które przeleciały po obu jej stronach.

Wokół roilo się od mynocków. Zwierzęta nurkowały w jej stronę, wyciągały do niej dziwne ręce i starały się ją smagnąć podobnym do bicia ogonem. Młoda Jedi cięła wszystko, co miała w zasięgu klingi. Odcinając kończyny, posługiwała się Mocą, żeby odwracać się w powietrzu w stronę kolejnych przeciwników.

Powoli opadała, ale skaliste dno jaskini znajdowało się tak daleko pod nią, że go nie widziała. Znalazła się w kłopotliwym położeniu. W jaskini panowało niewielkie ciśnienie, ale gdyby spadła z wystarczająco dużej wysokości, chwilę przed zetknięciem się z dnem osiągnęłaby śmiertelnie niebezpieczną prędkość.

Zastanawiała się, dlaczego Ben nie zareagował, kiedy coś schwytało ją i go z nim rozłączyło. Dlaczego nie odpowiedział na jej nagły pisk?

Część jej mózgu, która nadal się zastanawiała nad sytuacją, rozwiązała także problem opadania. Ten sam czynnik, który zagrażał jej życiu, mógł się zarazem stać ocaleniem.

Kiedy następny mynock zbliżył się do niej i usiłował zaatakować szponami, złapała go za mięsisty przegub i pociągnęła ku sobie, dzięki czemu znalazła się na grzbiecie stworzenia. Mynock raptownie skręcił, żeby pozbyć się jej ciężaru, ale młoda Jedi odepchnęła się od niego i poszybowała w górę, w stronę sklepienia jaskini.

Mogła obecnie poruszać się, gdzie chciała. Popłynęła więc w powietrzu w kierunku innego mynocka, uniknęła ataku jego paskudnej paszczy i odbiła się od podbrzusza zwierzęcia, żeby

poszybować niemal poziomo. Następny, od którego się odepchnęła, pomógł jej opaść w dół i wylądować na grzbiecie jednego z dziesiątków stworzeń krążących wiele metrów niżej. Kiedy się do nich zbliżała, starały się ją smagnąć ogonem albo schwytać szponami, ale Nelani była zawsze zwinniejsza i szybsza.

Podczas jednego z następnych lotów w dół dostrzegła w końcu dno jaskini. Oceniała, że leci ku niemu wystarczająco powoli, aby bezpiecznie wylądować. Zamiast odbić się stopami od następnego mynocka, przetoczyła się po jego grzbiecie, żeby wytracić część prędkości, i dopiero wówczas zaczęła opadać. Wylądowała na ugiętych nogach, żeby zamortyzować impet uderzenia, ale kiedy rozprostowała nogi, znów podskoczyła na wysokość pięciu czy sześciu metrów. Kiedy ponownie opadła, zauważyła, że mynocki zrezygnowały z ponawiania ataków i tylko krążą wysoko nad jej głową.

- Dobra robota - usłyszała napływający z tyłu głos mężczyzny.

Odwróciła się tak raptownie, że pofrunęła jakiś metr w powietrze.

Zobaczyła dystyngowanego nieznanego o twarzy ozdobionej krótko przyszytą elegancją brodą. Był wysoki i miał lekką nadwagę, ale luźne czarne ubranie sugerowało, że może być silnie umięśniony. U pasa miał zawieszoną srebrzystą rękojeść świetlnego miecza, wysadzaną lśniącymi jak diamenty, czarnymi wypolerowanymi kamieniami.

Nelani spłynęła na dno jaskini i zasłoniła się zapaloną klingą własnego miecza.

- Kim jesteś? - Zapytała.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Wątpię, żebyś znała imię i nazwisko, jakie nosiłem po urodzeniu, ale możesz znać mój przydomek - powiedział. - Jestem Darth Vectivus.

Nelani omiotła zamaszystym gestem jaskinię i obdarzyła go kwaśnym uśmiechem.

- Jesteś mistrzem tego wszystkiego - stwierdziła.

- Może kiedyś nim byłem - przyznał mężczyzna. - Teraz jestem tylko zjawą. A nawet czymś mniej niż zjawą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Zainteresowała się młoda Jedi.

- Szczątkiem. Cieniem zjawy. - Darth Vectivus wyglądał na lekko oszołomionego. - Nawet podczas rozmowy z tobą nie potrafię myśleć świadomie ani podejmować decyzji. Czy to możliwe, żebym w rzeczywistości był niczym?

- Nie, bo cię wyczuwam - uspokoiła go Nelani. - Jarzysz się w Mocy. Promieniuje od ciebie Ciemna Strona.

Jej rozmówca pokręcił głową.

- To nie ja - powiedział. - To osoba, do której jestem dołączony.

- Jesteś do kogoś dołączony? - Zdziwiła się Nelani.

Tym razem to Darth Vectivus wykonał zamaszysty ruch ręką.

- Każde widmo, które tu widzisz i z którym się spotykasz, jest częścią czegoś realnego i żywego... Chociaż prawdopodobnie znajdującego się bardzo daleko stąd. Za każdym razem, kiedy zadajesz cios mynockowi, jakaś żyjące stworzenie odczuwa jego ból i odnosi ranę.

Po słowach Sitha Nelani poczuła mdłości.

- Kłamiesz - powiedziała.

- Wcale nie - odparł Vectivus. - Kiedy zadajesz cios, gdzieś tam inne stworzenie, na przykład mały banth, jęczy z bólu i odnosi rany na oczach matki...

- Przestań! - Wybuchnęła młoda Jedi.

- Dlaczego? - Zdziwił się Sith. - Przecież to prawda. Może nie wiesz, że małe banthy wyglądają uroczo. Szkoda byłaby takiego rozcinać na dwoje.

- Jesteś szalony - stwierdziła młoda Jedi.

- Może to zresztą nie były urocze małe banthy - ciągnął Vectivus. - Może na przykład piraniożuki? Nie miałybyś nic przeciwko rozcinaniu na dwoje piraniożuków, prawda? A może to były kowakiańskie małpojaszczurki? - Pokręcił głową. - Podobno każde młode stworzenie jest rozkoszne. To mechanizm samoobrony natury, który ma pomóc małym stworzeniom osiągnąć wiek, w którym będą się mogły rozmnażać. Powiem ci jednak, że nie wszystkie małe zwierzątka wyglądają uroczo. Widziałas kiedyś małe małpojaszczurki? To najpaskudniejsze małe larwy w galaktyce. - Mężczyzna się wzdrygnął.

- Co mam zrobić, żebyś się zamknął? - Zapytała Nelani.

- Och, to bardzo proste. Zabij mnie. - Vectivus odbił się od kamiennego dna jaskini i poszybował w powietrzu w jej stronę.

- Machnij klingą świetlnego miecza i odetnij mi głowę. Mynocki odlecą, a ty będziesz mogła znaleźć drogę powrotną do przyjaciół.

- Wylądował dwa metry przed nią i uklęknął. - Śmiało!

- Dlaczego tak bardzo ci zależy na tym, żeby zginąć? - Zapytała Nelani.

- Zginałem wiele wieków temu. - Darth Vectivus pochylił głowę. - To oznacza, że nic nie pocuję. Proszę bardzo. Zadaj cios.

- A co z tym życiem, do którego twoim zdaniem jesteś dołączony?

Sith uniósł głowę, spojrzał na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Obawiam się, że ktoś, on albo ona, pozbędzie się nagle swojej głowy... Ku zdumieniu otoczenia - zaczął. - „Popatrz, tato, mama robi nową sztuczkę. Mamo? Mamo?”

Nelani spiorunowała go spojrzeniem.

- Czy te niesmaczne żarty są konieczne? - Zapytała.

- Owszem, są - odparł mężczyzna. - Mają cię skłonić do popełnienia czynu, którego nie chcesz wykonać. - Ponownie pochylił głowę i odsłonił szyję. - Zabijając mnie i osobę, do której w tej chwili jestem dołączony, ocalisz dziesiątki innych istot. Setki. Tysiące. To, co uważasz za zło Ciemnej Strony, nie rozprzestrzeni się daleko, jeśli mnie zabijesz. Zrób to.

- Nie.

- Czy pomogłoby, gdybym przybrał bardziej... Obcą formę? - Zagadnął Sith. - Na przykład piraniożuka w przebraniu człowieka?

Jego ubranie zaczęło lśnić i falować. Po chwili przemieniło się w fałdzisty płaszcz z kapturem, a twarz skryła się w głębokim cieniu. Klęczący mężczyzna uniósł białe pomarszczone ręce, zsunął kaptur i ukazał bladą, niemal gadzią twarz Imperatora Palpatine'a, Dartha Sidiousa, który nie żył od ponad trzydziestu pięciu lat.

Jego głos brzmiał równie zdradliwie i złowieszczo jak głos Palpatine'a:

- Jak ci się to podoba? Możesz teraz zadać cios?

- Nie zadam go, dopóki się nie odseparujesz od niewinnej formy życia - zdecydowała młoda Jedi.

Palpatine zaczął wstawać i iskrząc się, zmieniać kształty. Zanim się wyprostował, przemienił się znów w Vectivusa. Na jego twarzy malowało się ubolewanie i politowanie.

- Dziewczynko Jedi, nie jesteś jeszcze wystarczająco silna, żeby ocalić czyjeś życie -

powiedział. - Nie jesteś na tyle silna, żeby poświęcić jedno dla ocalenia wielu.

- Mogłabym poświęcić swoje, żeby ocalić inne - odcięła się Nelani.

- To prawda - przyznał Vectivus. - Wówczas jednak nie musiałabyś stawiać czoła oskarżycielskim spojrzeniom krewnych i bliskich tych, których poświęciłaś. Nie masz na to dość siły.

- Byłaby to bezwzględność, nie siła - stwierdziła Nelani.

Vectivus spojrział na nią i wybuchnął śmiechem.

- Siła, która nie zawiera bezwzględności, jest wzruszająco nieodpowiedzialna - zawyrokował. - Może spotka cię to szczęście, że nigdy nie będziesz musiała decydować o losie niewinnej osoby.

Wyciągnął rękę i wskazał na coś, co znajdowało się za nią. Młoda Jedi poczuła za plecami impuls energii Mocy.

Poderwała się w powietrze i popłynęła przez jaskinię. Obróciła się tak, żeby cały czas móc obserwować Vectivusa kątem oka. We wskazanym przez niego miejscu na chwilę zapłonęły jasnym blaskiem szyny... Te same, po których wagonik Brishy Syo wjechał do jaskini. Wkrótce potem światło zgasło, ale Nelani nadal wyczuwała istnienie szyn w Mocy, zupełnie jakby były żywymi istotami.

- Idź tam - rozkazał Sith. - Podążaj wzdłuż tych szyn w górę, aż znajdziesz się w bezpiecznym miejscu. Zaczekaj tam na pozostałych. Dołączą do ciebie, kiedy sami podejmą decyzję o własnym losie. - Jego głos brzmiał teraz łagodnie i życzliwie. - Nie chcę, żebyś niepotrzebnie umierała... A grozi ci to, jeżeli będziesz się wtrącała w sprawy innych. Jesteś na to zbyt słaba.

- Idź do diabła - warknęła Nelani.

Vectivus wzruszył ramionami.

- Może już to zrobiłem - powiedział. - I tak bym się nie zorientował.

Zaczął rozwiewać się w powietrzu, a kiedy zupełnie zniknął, ucichły szelesty i skrzeki krążących w górze mynocków, które także się rozpląnęły.

Nelani spojrzała w górę i upewniła się, że stworzenia rzeczywiście zniknęły. Nie pozostał po nich nawet ślad w Mocy.

Poczuła narastający niepokój i obawę o los przyjaciół. Potykając się, ruszyła w kierunku odległego, niewidocznego miejsca, w którym szyny tworzyły pętlę na dnie jaskini. Ten szlak mógł zaprowadzić ją na powierzchnię, ale także na niższe poziomy, gdzie czekali Jacen i Brisha Syo.

Rellidir, Tralus

Han skrzywił się, kiedy o rufowe pola ochronne jego bombowca rozprysnęły się błyskawice laserowych strzałów ścigającego go alepha. Przekazał część energii z dziobowych osłon, żeby wzmocnić rufowe. Niebezpiecznie ryzykował, bo gdyby laserowe smugi strzałów pilotów E-wingów chybiły Antillesa, mogłyby rozbić się o nos jego Shrieka. To by nie tylko popsuło humor pilotowi, ale także zakończyło życie.

Okazało się jednak, że Wedge rozpylił jednego E-winga na atomy błyskawicami swoich strzałów, a pilot drugiego zmienił kurs i śmignął w górę. Krążył jakiś czas nad polem bitwy, żeby w końcu opaść za ogonem alepha i wesprzeć pilotującą go osobę.

Nie żeby pilotka myśliwca Twee potrzebowała wsparcia. Córka Wedge'a doskonale się znała na swojej robocie. Obniżyła maksymalnie pułap lotu i podleciała tak blisko ogona Shrieka, że Han nie mógł opuścić luf laserów na tyle nisko, aby dać do niej ognia. Tymczasem Syal mogła ostrzeliwać do

woli dysze wylotowe jednostek napędowych jego bombowca. Han ubolewał, że jego Shriek nie ma zainstalowanego systemu uzbrojenia na ogonie, chociaż... Miał coś podobnego! Luk bombowy był wypełniony celowniczymi androidami!

Zaczął przebierać palcami po klawiaturze konsoli systemów uzbrojenia, żeby wpisać kilka nietypowych rozkazów. W końcu wcisnął ostatni klawisz i polecił je wykonać. Wiedział, że dwa celownicze androidy wślizgują się do otworów, z których zazwyczaj wylatują bomby...

- Kontrola informuje, że rakiety wystrzelone - odezwał się Wedge. - Za chwilę się pokażą na ekranie monitora sensorów.

- To dobrze - odparł Solo. Zgrzytnął zębami, żeby nie powtarzać w myśli: „Mam nadzieję, że twoja córeczka, którą kiedyś huśtałem na kolanie, nie odstrzeli ogona mojego bombowca, zanim zobaczy te androidy. Mam także nadzieję, że kiedy zobaczy, postanowi je zaatakować. No i jeszcze mam nadzieję, że nie będę musiał jej zabijać”.

Zauważył, że na pulpicie konsoli systemów uzbrojenia zapłonęła zielona lampka. Wcisnął guzik tymczasowego rozkazu, który właśnie zaprogramował.

- Dostał, dostał, dostał! - Krzyczał raz po raz Zueb, kiedy błyskawice jego laserowych strzałów docierały do ogona tajemniczego bombowca.

- Coś dziwnego dzieje się z jego spodem - odezwała się Syal. Chciała obniżyć jeszcze o metr pułap lotu, ale obawiała się, że brzuch jej alepha zacząłby szorować o nawierzchnię bulwaru. Zauważyła jednak, że coś się zmienia w dolnej części ściganego bombowca. Panele rozsuwały się na boki i coś się wylaniało po obu stronach podłużnej osi. - To wygląda jak... - Przeniosła spojrzenie na partnera. - Czy to nie wygląda jak stopy?

Zueb wyciągnął szyję, najdalej jak mógł.

- Tak - potwierdził. - To stopy. Srebrzyste stopy. Po parze z każdej strony.

- Co, na wszystkie czarne...

Za stopami z bombowca wydostały się także człekokształtne ciała. W ułamku sekundy Syal zorientowała się, że w kierunku kabiny jej alepha leci coś w rodzaju srebrzystych protokolarnych androidów, uzbrojonych w dziwaczne karabiny.

Nie mogła na to nic poradzić. W instynktownej chęci uniknięcia kolizji jej dłoń, zaciśnięta na rękojeści dźwigni drążka sterowniczego, lekko drgnęła. Chwilę później androidy wylądowały z głośnym trzaskiem, po jednym na każdym dziobowym iluminatorze alepha.

Ten, który się zderzył ze sterburtowym iluminatorem, od razu rozpadł się na kawałki. Syal dostrzegła kątem oka lecące w różne strony metalowe kończyny.

Drugi, który trafił w sterburtowy iluminator prosto przed nią, nadal był cały. Przykleił się twarzą do transpasterowej płyty i skierował na nią metalowe oczy, jakby z wyrzutem spoglądał na nią. Dopiero wówczas Syal zorientowała się, że to odmiana standardowego androida celowniczego.

Mimowolne drgnięcie palców na rękojeści dźwigni drążka sterowniczego spowodowało zmianę kursu alepha. Jego sterburtowa wieżyczka laserowych działek, ocierając się o frontony budynków, zrywała markizy i reklamy. Pilotka szarpnęła rękojeść na bakburtę, żeby się pozbyć groźnego tarcia, zanim jego siła wprawi myśliwiec w ruch obrotowy. Poczula wstrząs, kiedy jej maszyna oderwała się od ściany gmachu.

Nie miała czasu na rozmyślanie, bo dla odmiany kierowała się w stronę budynków po stronie bakburty, a rozplaszczony na iluminatorze android cały czas wytrzeszczał na nią metalowe oczy. Lekko zmieniła kurs i machinalnie zauważyła, że w tym czasie straciła do ściganego bombowca

dobrze kilkadziesiąt metrów.

- Doskonale sobie radzisz, „Szara Czwórko” - usłyszała głos nieznanego mężczyzny... Sądząc po akcencie, Coruscanina.

Syal nie mogła oderwać spojrzenia od bulwaru przed sobą, żeby zerknąć na pulpit komunikatora.

- Kim jesteś? - Zapytała.

- „Topór Trzy”. Twój skrzydłowy.

- „Toporze”, daj mu zdrowo popalić, zanim dojdę tu ze wszystkim do ładu - powiedziała Syal.

- Sie robi - odparł nieznanemu pilot. - Uważaj, mamy całą eskadrę na ogonach, i to nie są nasi.

Zueb odpiął klamry ochronnej uprząży, pochylił się do przodu, wyciągnął rękę i walnął raz i drugi pięścią w wewnętrzną powierzchnię iluminatora przed Syal. Uzyskał tylko tyle, że android po drugiej stronie odwrócił głowę, co wyglądało, jakby dla odmiany spojrzał na niego. Prawdopodobnie jednak ta niewielka aerodynamiczna korekta wystarczyła... Aleph zadrżał i android zniknął, zepchnięty przez strumień omywającego kadłub powietrza.

- Dzięki - westchnęła z ulgą Syal.

- Nie ma za co. - Sullustanin rozsiadł się na fotelu artylerzysty i zatrzasnął klamry. - Sterburtowa wieżyczka się zakleszczyła - zameldował. - „Topór Trzy” ma rację. Ściga nas wielka chmura myśliwców.

Syal delikatnie musnęła ręką dźwigni drążka sterowniczego i aleph posłusznie wrócił nad środek bulwaru. Dopiero wówczas pilotka przeniosła spojrzenie na pulpit sensorów.

Stwierdziła, że pilot E-winga leci za nią na trochę wyższym pułapie. Kątem oka dostrzegła, że nęka czerwonymi błyskawicami laserowych strzałów ogon lecącego przed nią bombowca. Daleko z tyłu roiała się chmura lecących szybko maszyn... Mogły zbliżyć się do niej na odległość strzału w ciągu niespełna trzydziestu sekund. Mimo to pulpit sensorów nadal nie informował jej, z jakimi typami myśliwców ma do czynienia.

Tymczasem przed pierwszym bombowcem, stanowczo zbyt blisko, pojawił się koniec bulwaru... A za nim ściana ogromnego, niewykończonego kompleksu mieszkalnego.

Syal spojrzała w górę i otworzyła szerzej oczy. Gdyby poderwała nos maszyny i śmignęła świecą ku niebu, może dałaby radę przemknąć nad dachami sąsiednich gmachów. Pilot pierwszego bombowca znajdował się jednak zbyt blisko budynku na końcu bulwaru, żeby zdążyła wykonać taki manewr i uniknąć zderzenia z wysoką szarą ścianą...

W pewnej chwili tamten wystrzelił rakiety, które poleciały do przodu i w dół, w stronę bulwaru. Z nawierzchni przed kompleksem mieszkalnym uniosła się chmura dymu i pyłu. Syal mogłaby jednak przysiąc, że ułamek sekundy wcześniej, zanim bombowiec w niej zniknął, jego pilot zanurkował w kierunku nawierzchni.

Pilot drugiego bombowca obniżył pułap lotu. Nie musiał się już niczym przejmować, bo „Topór Trzy” przestał go nękać błyskawicami laserowych strzałów i leciał w górę, żeby uniknąć zderzenia ze ścianą jakiegoś gmachu.

Syal uświadomiła sobie, że Zueb krzyczy do niej coś na temat szans przeżycia i lotu w górę. Zignorowała go i zerknęła na wskazania sensorów. Nie widziała wyraźnie na ekranie miejsca w nawierzchni, w które wbiły się rakiety, zauważyła tylko, że pojawiła się tam wielka dziura, a pierwszy bombowiec zniknął. A przecież pilot nie zderzył się ze ścianą budynku mieszkalnego ani nie zбочzył z kursu w daremnej próbie ocalenia życia... Po prostu zniknął.

W dziurze.

Syal skierowała alepha śladem drugiego bombowca.

Zueb krzyczał coś o postradaniu zmysłów i bezsensownym ryzyku, ale pilotka znów go zignorowała. Ujęła oburącz rękojeść dźwigni drążka sterowniczego.

Pilot drugiego bombowca zniknął w chmurze dymu. Na ekranie monitora sensorów było widać, że także zanurkował w głąb dziury w nawierzchni.

Kiedy Syal znalazła się nad tamtym miejscem, wcisnęła rękojeść dźwigni drążka i ułamek sekundy przytrzymała ją w takiej pozycji. Dysze wylotowe silniczków manewrowych na grzbiecie kadłuba alepha plunęły energią i myśliwiec, nie zmieniając wektora lotu, zanurkował w głąb dziury.

Z niczym się nie zderzył. Za iluminatorami panował półmrok, spowodowany przez kłęby dymu. Na ekranie monitora sensorów Syal dostrzegła jednak poznaczony śladami po trafieniach ogon drugiego bombowca, którego pilot leciał dalej między rzędami masywnych kolumn. W oddali było widać drugą gęstą chmurę kurzu i dymu. Pilot ściganej maszyny przeleciał przez nią i zaczął zwiększać pułap lotu.

Kiedy myśliwiec Syal znalazł się w tamtym miejscu, pilotka szarpnęła do góry rękojeść dźwigni drążka sterowniczego. Tym razem energia wydobyła się z dysz silniczków manewrowych w spodzie kadłuba. Syal przesłała dodatkową porcję energii do repulsorów. Jej aleph śmignął w górę tak raptownie, że spłaszczył jej kręgosłup i stłumił wrzaski Zueba. Chwilę później kabinę myśliwca zalał blask słońca.

Za iluminatorem było widać park i roziskrzoną kopułę wojskowego pola siłowego. Pilot pierwszego bombowca skręcił na bakburtę, a pilot drugiego na sterburtę. Lecąc w przeciwnie strony po obrzeżu ochronnej kopuły, zrzucali ładunek - androidy celownicze, które spływały łagodnie na powierzchnię gruntu dzięki płytkom minirepulsorów, używanych także przez oddziały komandosów podczas desantów z powietrza. W górze krążyły eskadry X-wingów, myśliwców przechwytyjących typu Eta-5 i E-wingów - czyli wszystkich maszyn, jakie były na wyposażeniu garnizonu Rellidira.

Zueb wrzeszczał coś na temat wspaniałej techniki pilotażu, urodzeniu dzieci i holodramatów. Syal nie zwracała uwagi na jego okrzyki. Zestawiała w głowie liczby i fakty.

Zmieniła kierunek siły ciągu jednostek napędowych i aleph wytracił prędkość tak raptownie, że gdyby nie pasy ochronnej upręży, Zueb zderzyłby się z iluminatorem. Pilotka przełączyła pokładowy komunikator na ogólną częstotliwość jednostek floty.

- Tu „Szara Czwórka” do wszystkich jednostek Galaktycznego Sojuszu - powiedziała. Nie odczuwała żadnych emocji, ale wiedziała, że po prostu je stłumiła. Na razie. - Lecące w kierunku Rellidira ze wschodu na zachód eskadry nieprzyjaciół to rakiety, które mają wolną drogę do kopuły wewnętrznego pola siłowego. Przygotujcie się. - Przełączyła nadajnik z powrotem na częstotliwość swojej eskadry. Kiedy nos jej alepha znieruchomiał w powietrzu i skierował się w stronę budynku, pod którym dopiero co przeleciała, odcięła dopływ energii do jednostek napędowych i przesłała ją do repulsorów. - Zueb, wystrzel rakiety - rozkazała. - Zburz ten gmach. Pierwszą poślij jak najniżej, w podstawę.

- Co takiego? - Przeraził się Sullustanin.

- To rozkaz - warknęła pilotka. - Rozwal ten gmach... Zaczynając od najniższego piętra.

Zueb wyciągnął rękę w kierunku urządzeń kontrolnych systemów celowniczych.

Nie-Jacen nieustannie atakował mistrza Jedi. Długimi susami odbijał się od ścian, posadzki i sufitu, jakby na jego ciało nie oddziaływała siła ciężenia. Przy każdej okazji usiłował zadać Luke'owi jeden, dwa, a nawet trzy ciosy klingą świetlnego miecza. Atakował raz po raz, dopóki, odrzucany do tyłu przez riposty mistrza Jedi, nie odlatywał poza zasięg klingi swojej broni.

Luke odpierał każdy cios i odpowiadał atakami. Czuł, że skóra jego lewego przedramienia rumieni się od żaru klingi miecza nieprzyjaciela. Materiał płaszcz przeciwnika w miejscu pod pachą, w które zadał cios, stanął w ogniu, ale Nie-Jacen zdusił płomień dłonią i pogardliwie się uśmiechnął.

Chwycił przytwierdzoną do sufitu obudowę pręta jarzeniowego i wisiał tam, zupełnie jakby znajdował się w stanie nieważkości.

- Jesteś niemal tak dobry jak mój prawdziwy mistrz - powiedział.

Luke posłał mu kpiące spojrzenie.

- To znaczy kto? - Zapytał.

- Dobrze wiesz - odparł Nie-Jacen. - A przy okazji, do twarzy ci z tą brodą.

- Tak uważasz? - Luke musnął palcami gładko ogolony podbródek. - No cóż, nie jestem pewien, na czym polega istota naszego sporu, ale może go rozstrzygniemy drogą negocjacji?

- Staram się nie negocjować ze zjawami... Z istotami, które nie istnieją - odparł jego przeciwnik.

- O wiele lepiej rozcinać je na dwoje i obserwować, jak znikają.

Nie-Jacen odepchnął się od sufitu i kolejny raz pofrunął w stronę mistrza Jedi.

Gwiezdny system MZX32905, okolice Bimmiela

Kiedy Ben poczuł pchnięcie Mocy Sithowej Mary, odplłynął od niej w powietrzu i wyłączył klingę świetlnego miecza. Poddał się sile pchnięcia fałszywej matki, zamiast się mu przeciwstawić, i dodał do niego odrobinę własnej energii Mocy. Dzięki temu zamiast do tyłu, poszybował w bok, niemal pod kątem prostym do kierunku, w którym go odepchnęła Sithowa Mara. Wirując w powietrzu, przy każdym obrocie widział ją w blasku klingi jej miecza. Jego przeciwniczka cały czas patrzyła w niewłaściwą stronę, co oznaczało, że jego podstęp się udał.

Zderzył się plecami ze skalną ścianą, ale powstrzymał jęk bólu. Odbił się od chropowatej powierzchni i zaczął opadać na dno jaskini. Oceniał, że dzieli go od niego jakieś dziesięć metrów, więc przy tak małym ciężeniu nie powinien wyrządzić sobie żadnej krzywdy. Sfrunął na dno tak cicho, że sprawiłby tym przyjemność prawdziwej matce.

Tymczasem Sithowa Mara stała w oddali, gotowa zarówno do ataku, jak i do obrony. Kręciła głową we wszystkie strony, starając się go dostrzec i wyczuć zmysłami Jedi. Ben postarał się oczyścić umysł z myśli, żeby fałszywa matka nie miała się czym kierować. Przestał też posługiwać się Mocą, co powinno zwiększyć jego szanse.

Był jednak jedyną istotą w promieniu setek metrów od Sithowej Mary, więc znalezienie go powinno być dziecinnie proste... Mimo to jego przeciwniczka miała z tym trudności. Cały czas się rozglądała.

Ben wykonał poziomy skok, żeby zająć Sithowa Marę od tyłu. Zjawa przestała się rozglądać i stała jakiś czas zupełnie nieruchomo. Skierowała klingę świetlnego miecza w dół pod kątem, który umożliwiał jej zarówno zadanie ciosu, jak i uniesienie nad głowę w obronnym geście. Młody Skywalker podejrzewał, że fałszywa matka ma zamknięte oczy.

Zaczął powoli płynąć w powietrzu w jej stronę. Uniósł ukośnie w górę rękojeść świetlnego miecza, chociaż nie zapalił klingi broni. Nie odrywał jednak kciuka od guzika na powierzchni metalowego cylindra.

Skok był dokładnie wymierzony... Nie musiał korygować trajektorii lotu lekkim pchnięciem Mocy. Leciał ku przeciwniczce, pokonując dzielącą ich odległość szybko jak rzucona strefopiółka.

W końcu znalazł się wystarczająco blisko, żeby zobaczyć jej twarz. Kobieta miała rzeczywiście zamknięte oczy, jakby odpoczywała albo spała.

Była spokojna i pogodna. To nie była jego matka, ale miała jej rysy twarzy. Ben nie zobaczył w nich złych intencji ani przewrotności Sithów.

Nie potrafił się przemóc, żeby włączyć klingę świetlnego miecza i ją zabić. Po prostu nie potrafił.

Sithowa Mara odwróciła się w jego stronę i otworzyła płonące czerwonym blaskiem oczy. Kiedy go zobaczyła, kontynuowała obrót. Ben poczuł w żołądku lodowatą bryłę i domyślił się, że chwilę później klinga jej świetlnego miecza przetnie miejsce na jego ciele, w którym poczuł chłód.

Jego przeciwniczka uniosła głowę i kopnęła go w brzuch z siłą tłoka wspomagającego pięść bojowego robota.

Obserwując siebie jak na zwolnionym holofilmie, Ben poczuł, że powietrze opuszcza jego płuca, a on zwija się w kłębek. Miał wrażenie, że jego wewnętrzne organy się ściskają i obijają. Chwilę później leciał w powietrzu, i coraz dalej od Sithowej Mary. W miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej widział wizerunek matki, pojawiła się nieprzenikniona ciemność.

ROZDZIAŁ 32

Jacen przytrzymał się występu skalnego, żeby znowu nie opaść w stronę mężczyzny o twarzy Luke'a Skywalkera.

- Jesteś niemal tak dobry jak mój prawdziwy mistrz - powiedział.

Nie przesadzał. Widmo, z którym toczył walkę, poruszało się równie zwinnie i szybko jak mistrz Jedi. Byłby dla niego równorzędnym przeciwnikiem.

Brodaty mężczyzna posłał mu kpiące spojrzenie.

- To znaczy kto? - Zapytał.

- Dobrze wiesz - odparł Jacen. - A przy okazji, do twarzy ci z tą brodą.

- Tak uważasz? - Jego przeciwnik musnął palcami wolnej dłoni zarost na twarzy. - No cóż, nie jestem pewien, na czym polega istota naszego sporu, ale może go rozstrzygniemy drogą negocjacji?

Jacen zastanowił się nad jego propozycją. Dalsza walka była nie tylko bezcelowa - toczył ją przecież z woli innej osoby, która miała w tym własny interes - ale także niebezpieczna... Bo fałszywy Luke był prawdopodobnie wystarczająco dobry, by go zabić.

Mimo to cuchnął energią Ciemnej Strony Mocy, więc wdawanie się z nim w kunszachy nie mogło przynieść żadnych korzyści. A może jednak mogło? Zdezorientowany Jacen długo nie mógł się zdecydować, czy dać wiarę historii Jedi i twierdzeniom o władcach Ciemnej Strony, czy też może zaufać swojemu ograniczonemu doświadczeniu.

Postanowił zdać się na historię i tradycję Jedi.

- Staram się nie negocjować ze zjawami... Z istotami, które nie istnieją - powiedział. - O wiele lepiej rozcinać je na dwoje i obserwować, jak znikają.

Odepchnął się od skalnego występu i znów pofrunął w stronę przeciwnika.

Poruszający się w przestrzeni o normalnym ciężeniu fałszywy Luke miał nad nim przewagę - zdążył się przystosować do taktyki walki przeciwnika, który wykonywał długie skoki, więc Jacen postanowił ją zmienić. Gdy tylko stanął przed nierzeczywistym mistrzem Jedi, posłużył się Mocą, żeby jego stopy nie oderwały się od dna jaskini, a później zadał serię silnych ciosów.

Nadaremnie. Fałszywy Luke natychmiast przystosował się i do tej zmiany. Obrął bardziej defensywny styl i bez widocznego wysiłku parował każdy jego cios. Najgorsze jednak, że cały czas, szczerzył zęby w uśmiechu, jakby się z niego naigrawał.

Zamiast jednak sparować ostatni, piąty cios Jacena, fałszywy Luke wykonał unik, żeby jego przeciwnik stracił równowagę i runął do przodu. Zamachnął się klingą świetlnego miecza z góry na dół, w kierunku nieosłoniętej szyi Jacena...

- Wystarczy - odezwała się Brisha i nierzeczywisty Luke zniknął. Jacen się wyprostował, ale nadal czuł ból w miejscu, na które miał spaść cios jego przeciwnika. Spojrzał w dół i zobaczył, że poła jego płaszczka stoi w ogniu. Stłumił płomień wolną dłonią i przeniósł spojrzenie na kobietę.

- Kto to naprawdę był? - Zapytał.

Brisha wzruszyła ramionami.

- Kombinacja prawdziwego Luke'a Skywalkera i energii Ciemnej Strony tego miejsca - powiedziała. - Ale kombinacja by cię pokonała, bo nie korzystałeś z tego samego źródła energii, chociaż mogłeś nią dysponować.

Kobieta trzymała się jednej szyny, a raczej opierała się o nią całym ciężarem ciała. Jacen zobaczył na jej czole krople potu.

- Sama wykorzystałaś mnóstwo tej energii - zauważył, wyłączając klingę świetlnego miecza.

Brisha pokiwała głową.

- Koordynowanie poczynań kilku zjaw Mocy naraz bywa bardzo męczące - stwierdziła. - Sam powinieneś kiedyś tego spróbować.

- A więc przyznajesz, że to ty odpowiadasz za tamten atak na mnie? - Zapytał rycerz Jedi.

- Och, to nie był żaden atak - sprzeciwiła się kobieta. - Zwykły test. Gdybym chciała cię zaatakować, pozwoliłabym, żeby zjawa Luke'a cię zabiła. Nie uważasz?

Jacen zmarszczył brwi. W jej stwierdzeniu kryło się sporo prawdy.

- Moim zdaniem najwyższy czas, żebyś opowiedziała mi całą historię - powiedział.

- Ależ oczywiście. - Brisha odepchnęła się od szyny i popłynęła w powietrzu w kierunku skalnego występu, zza którego wyłonił się fałszywy Luke. Odbiła się od skały, przepłynęła obok Jacena i gestem zachęciła go, żeby podążył za nią. - Tam znajdziesz wszystkie odpowiedzi na swoje pytania - oznajmiła.

Jacen usłuchał.

Rellidir, Tralus

Kiedy Han zakończył okrążanie chronionego przez siłowe pole Centrum Sztuk Scenicznych Navosa, uśmiechnął się triumfująco. Jego androidy celownicze opadały już na powierzchnię gruntu. Nie zważały na uszkodzenia i ignorowały ogień z broni ręcznej personelu naziemnego i piechoty Galaktycznego Sojuszu. Przekazywały do naczelnego dowództwa sił zbrojnych Korelii informacje, które pojawiały się także na ekranie monitora na pulpicie sensorów w kabinie Shrieka. Wiele androidów mierzyło ze snajperskich karabinów w widoczny na schemacie okolicy szczyt kopuły siłowego pola. Automaty zaznaczyły także jako cele wiele gwiazdnych myśliwców, uwięzionych jak w pułapce pod ochroną czaszą.

Pilotowane przez Hana i Wedge'a shrieki także znalazły się na celowniczej matrycy androidów, ale nie jako potencjalne cele. Był to znak dla rakiet, których systemy namierzania wykryją bombowce i skierują się ku nim, że powinny zmienić kurs i obrać inne cele, a te, które będą leciały zbyt szybko, aby zdążyły skręcić, powinny eksplodować daleko przed bombowcami. Teoretycznie shrieki były więc zabezpieczone przed trafieniami rakiet.

Teoretycznie.

Han nie miał specjalnego zaufania do teorii. Wolałby, żeby od nadlatujących pocisków oddzielał go jakiś duży budynek.

W dodatku działo się coś złego. Kiedy zakończył okrążenie, zobaczył w oddali alepha - a w tym miejscu nie powinien się znajdować żaden aleph. Ten, którego zobaczył, chyba brał udział w wielu bitwach. Miał powgniatany kadłub i porysowany przedni iluminator.

Han otworzył szeroko oczy. To musiała być ta sama pilotka, która ich ścigała, kiedy lecieli nad

bulwarem.. A więc Syal Antilles. Jakimś cudem córka Wedge'a podążała cały czas za nimi, a obecnie zwalniała i kierowała nos maszyny w kierunku Kompleksu Mieszkalnego Terkury'ego.

Solo usłyszał w głowie dzwonki alarmowe. Na miejscu Syal by się zorientował, że jej śladem podążają rakiety, i zastanawiałby się, jak je powstrzymać, zanim przelecą przez hangar pod budynkiem. Wystarczyłoby posłać kilka własnych rakiet w kompleks Terkury'ego. Nadlatujące rakiety Sojuszu eksplodowałyby wówczas w ruinach gmachu i nie pokonałyby bariery ochronnego pola.

Zorientował się, że właśnie to zamierza zrobić Syal, i zrozumiał, że musi ją powstrzymać. Przełączył systemy uzbrojenia na rakiety i zaczął czekać, aż sylwetka alepha znajdzie się w prostokącie celowniczym.

Mimo to się zawahał.

Za sterami myśliwca siedziała córka Antillesa. Nie mógł jej zabić.

Jeżeli jednak tego nie zrobi, ich wyprawa zakończy się niepowodzeniem, a Galaktyczny Sojusz nie odleci z Tralusa, co niemal na pewno doprowadzi do wybuchu wojny.

Usłyszał wycie i chociaż jego umysł pracował jak na zwolnionych obrotach, uświadomił sobie, że to nie sygnał alarmowy w kabinie, ale jego głos... Nieartykułowany ryk gniewu i frustracji.

Nie miał czasu na znalezienie idealnego rozwiązania. Musnął kciukiem guzik spustowy.

Nie mógł znaleźć idealnego rozwiązania, ale ułamek sekundy później znalazł możliwe wyjście. Pchnął odrobinę do przodu drążek celowniczy rakiet. System przestał namierzać alepha i obrał za cel powierzchnię gruntu kilka metrów pod unoszącą się nieruchomo maszyną. Zanim ramka namiarowa znieruchomiła, przesunęła się parę razy tu i tam po celowniczym ekranie, żeby zidentyfikować cokolwiek, co mogłaby uznać za nowy cel.

Han dał ognia. Wystrzelona przez niego rakietka uderzyła w durbeton pod alephem.

Syal obserwowała ze stoickim spokojem, jak Zueb bierze na cel budynek za ziejącą w nawierzchni ogromną dziurą, przez którą wyleciały dwa bombowce i jej aleph. Odnosiła wrażenie, że sullustański artylerzysta porusza się jak na zwolnionym holofilmie. Wszystko zresztą wokół niej działo się w podobnym tempie.

Usłyszała ostrzegawczy pisk astromechanicznego robota - znak, że ktoś namierzył jej alepha. Zmarszczyła brwi, ale nie oderwała dłoni od rękojeści dźwigni drążka sterowniczego. Gdyby jej palce drgnęły, wystrzelone przez Zueba rakiety przeleciałyby pewnie obok celu, a ona nie mogła do tego dopuścić. A poza tym najwyraźniej zamierzał ją ostrzelać wężący dobrą okazję pilot X-winga. Cóż, jej aleph miał tak gruby pancerz kadłuba, że mógł wytrzymać kilkusekundowy ostrzał...

Nagle świat wokół niej eksplodował, a myśliwiec pofrunął w powietrze, jakby kopnięty przez rankora wielkości wieżowca. Syal poczuła, że jej kręgosłup się wygina podobnie jak przy nagłym skoku w górę, tylko jeszcze bardziej. Przed jej oczami zatańczyły czerwone plamy, ale mimo to pilotka wyraźnie zobaczyła rękojeść dźwigni drążka sterowniczego swojego myśliwca. Jej dłoń się z nią nie stykała. Syal starała się wyciągnąć rękę, żeby złapać rękojeść, ale nie mogła wykonać żadnego ruchu.

Rzędy wieżowców za iluminatorami wirowały jak szalone. Raz widziała je nad sobą, a kiedy indziej pod sobą. Przed jej oczami migwały także raz po raz nieprzyjacielskie myśliwce, niebo i powierzchnia gruntu.

Po wybuchu rakiety aleph zniknął w chmurze szczątków i dymu. W pierwszej chwili Han przypuszczał, że siła eksplozji rozerwała gwiazdny myśliwiec na kawałki. Chwilę później maszyna

wyfrunęła jednak z chmury i koziółkując w locie, poszybowała po krzywej balistycznej w górę. Po kilku sekundach powinna osiągnąć apogeum trajektorii lotu, a po kilku następnych roztrzaskać się o durbetonową nawierzchnię.

Okrążając czaszę ochronnego pola, Han musiał przelecieć obok chmury pyłu. W pewnej chwili minął drugi bombowiec, którego pilot kierował się w przeciwną stronę. Usłyszał zdumiony głos Antillesa:

- Hanie, chybiłeś!

Zarzut nie miał sensu, więc go zignorował.

Nie odrywał spojrzenia od koziółkującego myśliwca. Na wszystkie czarne dziury, odzyskaj panowanie nad sterami! - Powiedział sobie. Wybiegał myślami do alepha i jego pilotki, jakby umiał się posługiwać Mocą i mógł w jakiś sposób pomóc Syal...

A przecież nie mógł. Obserwował tylko, jak skazany na zagładę aleph osiąga apogeum łuku i rozpoczyna lot w kierunku powierzchni gruntu.

Ale... Chyba się zmieniła jego szybkość wirowania. Czyżby myśliwiec był zwrócony nosem w górę odrobinę dłużej niż w inne strony?

Podczas następnego obrotu Solo upewnił się, że naprawdę oczy go nie mylą. Pilotka starała się odzyskać panowanie nad sterami. Kiedy wyloty dysz silniczków manewrowych zaczynały się kierować w dół, przesyłała do nich energię, dopóki myśliwiec nie zaczynał lecieć poziomo, po czym je wyłączała. Spowolniło to tempo wirowania. Kiedy następnym razem wyloty dysz znów zaczęły się kierować w dół, Syal powtórzyła manewr, po którym jej aleph skierował się w górę. Osmalony podczas eksplozji myśliwiec zakołysał się niepewnie w powietrzu, ale w końcu pilotka zupełnie odzyskała panowanie nad maszyną.

Znów zaczęła kierować nos alepha w stronę gmachu Centrum Mieszkalnego Terkury'ego, jakby zamierzała podjąć następną próbę.

Han wpatrywał się w jej maszynę, nie wierząc własnym oczom. Czyżby musiał wystrzelić następną rakietę?

I wtedy z krateru u stóp gmachu Terkury'ego wyleciała chmara ognistych owadów - dziesiątki, setki rakiet.

Większość śmignęła w górę. Zgodnie z oprogramowaniem miały zawrócić dopiero pod zewnętrzną kopułą ochronnego pola i zanurkować w kierunku wierzchołka wewnętrznej kopuły. Powinny trafić w dwa albo trzy wybrane punkty i przeciążyć pole energią eksplozji, żeby następne rakiety mogły spaść z góry na Centrum Sztuk Scenicznych Navosa. Inne miały obrać za cel krążące eskadry gwiazdnych maszyn i większe jednostki, które nie wystartowały z powierzchni gruntu.

Han zobaczył, że dwie rakiety kierują się w stronę alepha. Pilotka myśliwca też to zauważyła i skręciła w stronę jego bombowca, żeby przelecieć tuż pod nim. Kiedy aleph i shriek znalazły się tak blisko siebie, że ich sygnały zlały się w jeden na ekranie monitora sensorów rakiet, pociski skręciły i zaczęły szukać nowych celów. Syal jeszcze bardziej obniżyła pułap lotu, odbiła się kilka razy od powierzchni gruntu i wylądowała między kilkoma zaparkowanymi śmigaczami. W ten sposób przestała stanowić cel dla następnych rakiet.

Han się uśmiechnął. Dziewczyna nie tylko nie odniosła poważnych obrażeń, ale w dodatku zachowała tyle przytomności umysłu, żeby jeszcze raz spróbować go zabić... Jej taktyka, polegająca na skierowaniu na niego lecących rakiet, zakończyłaby się powodzeniem, gdyby celownicze androidy już wcześniej nie wyeliminowały obu shrieków z bazy danych możliwych celów. Wszystko toczyło

się zgodnie z planem. Han chętnie by wzniósł okrzyk triumfu.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem, dopóki nie usłyszał kolejnego pisku z komunikatora swojego notesu. Spojrzał na ekran i przeczytał:

TRANSPONDER NASOTR1103 NA CZĘSTOTLIWOŚCI 22NF07 TO JAINA

Większość rakiet osiągnęła apogeum trajektorii lotu i zanurkowała w kierunku powierzchni gruntu.

Niektóre jednak tego nie zrobiły. Kilka trafiło cele w powietrzu - gwiazdne myśliwce krążące nad przyczółkiem Galaktycznego Sojuszu. Ich piloci czekali, aż będą mogli wziąć udział w walce, albo nie byli wystarczająco szybcy, żeby uniknąć trafienia czy katapultować się przed trafieniem i nieuniknioną eksplozją.

Pozostałe rakiety zawróciły, rozdzieliły się na trzy strumienie i pomknęły ku wybranym punktom ochronnego parasola.

Te, które leciały na czele każdego strumienia, trafiły w roziskrzoną kopułę siłowego pola Galaktycznego Sojuszu. Eksplodując, starały się zrównać energię wybuchu z energią spójnej siły.

Pierwsze przegrały tę konfrontację, bo ochronne pola okazały się dla nich zbyt silne. Po nich eksplodowały jednak następne rakiety, a każda dodawała do bilansu swoją energię.

W końcu pole zadrżało. Skomplikowane wiązania energetyczne zaczęły tracić spójność. W Centrum Sztuk Scenicznych rozległo się wycie alarmowych syren, a na ekranach monitorów pojawiły się informacje o przeciążeniu generatorów ochronnego pola. Ich operatorzy spoglądali po sobie niepewnie, a co bardziej bojaźliwi zaczęli ukradkiem szukać możliwej drogi ucieczki.

A potem, w ciągu ułamka sekundy, stało się to, czego nikt nie umiał sobie wyobrazić: w pewnym miejscu skomplikowana tkanka ochronnego pola pękła, więc następna rakietka przeleciała przez tę lukę, nie eksplodując. Kiedy komputer w sercu jej systemu kierowania lotem przesłał komputerom innych pocisków informację o nowej sytuacji, inne rakiety, które wciąż jeszcze mogły wykonywać manewry, zmieniły wektor lotu, żeby przelecieć przez wskazany otwór.

Zanim pierwszy pocisk pokonał połowę drogi do korony na wierzchołku Centrum Sztuk Scenicznych, poddało się następne miejsce na wypukłej czaszy ochronnego pola. Przez rozszerzający się otwór śmignęło więcej rakiet.

Te, które przeleciały najwcześniej, pomknęły w dół, w kierunku dachu. W każdej milisekundzie ich pokładowe komputery obliczały parametry bieżącej pozycji, oceniały odległości do celów, szacowały rezerwy paliwa...

Obserwatorzy nie zdążyli uświadomić sobie tego, co się wydarzyło w ciągu krótkich milisekund.

Kiedy pierwsza rakietka trafiła w kopułę ochronnego pola, mieszkańcy Rellidira zobaczyli rozprzestrzeniającą się poświatę i usłyszeli stłumiony huk eksplozji pocisku. Z każdą chwilą poświata obejmowała większą przestrzeń i stawała się coraz jaśniejsza, a odgłosy detonacji się nasilały.

W pewnej chwili od kopuły ochronnego pola oderwał się ognisty sztych, który wbił się w dach Centrum Sztuk Scenicznych.

Wyglądało to, jakby budynek spęczał, a jego ściany wybrzuszyły się na zewnątrz od szalejących za nimi płomieni. W końcu cały ogromny gmach eksplodował niczym pojemnik stałego paliwa. Jak na ironię, chociaż generatory ochronnych pól topiły się i dezintegrowały wytwarzane przez siebie osłony, ochronne pola nie miały dość czasu, żeby zupełnie zaniknąć, więc kiedy dotarło do nich czoło fali udarowej eksplozji gmachu, powstrzymały rozchodzenie się jej energii.

W końcu jednak i one się poddały, a wówczas płomienie i szczątki rozprzestrzeniły się we wszystkie strony.

Mimo to z nieba spadał cały czas grad rakiet. Wiele z nich eksplodowało w ogromnym kraterze, który powstał w miejscu budynku. Inne kierowały się ku niewielkim okrętom liniowym, które wylądowały wokół przyczółka Galaktycznego Sojuszu. Kiedy pod wpływem bezlitosnych eksplozji zanikały ich ochronne pola, energia ładunków wybuchowych niszczyła także, jedną po drugiej, same jednostki szturmowe.

Coruscant

- Walczyłem na miecze z przeciwnikiem, który udawał Jacena - powiedział Luke. Chodził po sypialni, zaglądnął do szafek i pod łóżko, jakby się spodziewał, że znajdzie tam następnych nieprzyjaciół.

- Za to mój przeciwnik był pokracczną karykaturą Bena - stwierdziła Mara. - Jak okrutny musi być nasz wróg, skoro starał się mnie zabić rękami imitacji naszego syna?

Luke, klęcząc obok łóżka, uniósł głowę i spojrzał na żonę.

- Dlaczego po prostu nie wysłał Bena do walki z nami? - Zapytał. - W ten sposób miałby większą szansę, przynajmniej w teorii, że któreś z nas się zawaha.

Mara wzruszyła ramionami.

- Kto to właściwie był? - Zapytała.

Luke wstał.

- Jakiś użytkownik Ciemnej Strony Mocy - powiedział. - A może paru takich użytkowników. W każdym razie ktoś nieznan. Nie mam pojęcia. - Odwrócił się, podszedł do szafki i wyjął kremowe spodnie i tunikę. - Dzieje się coś złego w miejscu, gdzie przebywa Leia, a może także tam, gdzie są Ben i Jacen - stwierdził ponuro. - Postaram się z nimi skontaktować i przekonać się, co się dzieje. - Podaj mi szlafrok. Idę z tobą. - Mara postarała się stłumić narastający w niej niepokój. Ogarnął ją w chwili, kiedy kopnęła zmutowany wizerunek swojego syna, i od tamtej pory nie chciał jej opuścić.

Gwiezdny system MZX32905, okolice Bimmiela

Jacen obszedł skalny występ i stanął przed następną skałą - czarnym głazem o wypolerowanej do połysku powierzchni, niepodobnym do żadnego innego, jakie widział w jaskiniach asteroidy.

Od czarnego głazu bił odór energii Ciemnej Strony.

Rycerz Jedi odwrócił się do Brishy.

- To wejście - powiedział.

Kobieta kiwnęła głową.

Jacen uwolnił myśli, żeby zbadać przeszkodę dostrojonymi do Mocy zmysłami. Domyślił się, że głaz spoczywa na trzpieniu z czystej energii. Najłżejsze zakłócenie jej równowagi powinno odepchnąć go na bok... Ale należało do tego użyć energii Ciemnej Strony Mocy. Pchnięcie energią jasnej strony mogło się okazać za słabe.

Wzruszył ramionami, rozłożył ręce i zapuścił się na sam skraj ścieżki wiodącej na Ciemną Stronę. Głaz posłusznie usunął się na bok i rycerz Jedi zobaczył za nim mroczny otwór.

Brisha pierwsza zagłębiła się w ciemność, a Jacen podążył za nią. Zaraz za progiem, po lewej

stronie, na podobnym gładkim głazie umieszczono komplet wytrzymałych metalowych rękojeści i urządzeń kontrolnych. Brisha pstryknęła dźwigienkami kilku przełączników, od najniższego do najwyższego.

W oddali pojawiło się światło - jasne, złociste, ciepłe i radosne. Jacen przekonał się, że oboje stoją w kamiennym korytarzu o trójkątnym przekroju, szerokim na dole i zbiegającym się kilka metrów nad ich głową. Kilka metrów dalej korytarz się rozszerzał, a ciemność widocznej za nim pieczary rozproszyło nowe światło.

Także siła ciężenia zaczynała ulegać zmianie. Drugi krok Jacena był wprawdzie jeszcze skokiem w powietrzu, ale już następny okazał się o wiele krótszy, bo ciężenie osiągnęło standardowy poziom grawitacji na Coruscant. Rycerz Jedi stwierdził, że gdyby nie chłodne powietrze, mógłby pomyśleć, że znajduje się właśnie na tej planecie.

- Grzejniki zostały włączone, ale ogrzanie tak dużego pomieszczenia zawsze zajmuje sporo czasu - odezwała się Brisha, jakby czytała w jego myślach.

- Naturalnie - zgodził się Jacen.

Korytarz się skończył i znaleźli się w przestronnej pieczarze, Jacen aż zamrugał, bo jego oczom ukazał się niezwykle widok.

Ściany piezary, chociaż nierówne, wyglądały jak wykute w tym samym ciemnym gładkim materiale, co głaz przy wejściu. Przy wysokości od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu metrów pieczara była długa na jakieś sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów.

Jacen nie od razu to zarejestrował, zapatrzony na budynek zajmujący środek piezary.

Miał przed sobą czteropiętrowy kamienny pałac, który wyglądał wesoło i pogodnie. Od zewnątrz ściany wyłożono białymi i zielonymi marmurowymi płytami, zamiast ponurym ciemnym kamieniem, jakich wiele widział na tej asteroidzie. Pozbawione żaluzji szerokie okna były otwarte na oścież.

Na każdym rogu pałacu wznosiła się wieża, a pomieszczenie na jej szczycie, chociaż osłonięte dachem, było ze wszystkich stron otwarte. W wielu oknach budynku było widać poruszające się osoby. W jednej wieży ktoś malował, a w drugiej ktoś inny grał na dużej harfie. Do uszu Jacena docierały z oddali dźwięki instrumentu, delikatne i czyste. W jednym z okien na niższym poziomie jakaś postać zonglowała trzema świecącymi żółtymi kulami. Pośrodku najwyższego piętra skomplikowany mechanizm, pełen wielkich przekładni i dźwigni, napędzał umieszczoną na frontonie samotną tarczę, która obracała się dwa albo trzy razy na minutę. Jej obroty uważnie śledził konserwator, który stał obok, na występie najwyższego piętra.

Wszystkie postacie w pałacu były protokolarnymi androidami, polakierowanymi na wesołe, żywe kolory. Jeden miał czerwony pancerz, inny nosił barwy soczystej zieleni, a jeszcze inny złociste. Nadzorca mechanizmu miał kolor pastelowego błękitu.

I wszystko, dosłownie wszystko, było przesiąknięte energią Ciemnej Strony.

- To obłąkane - stwierdził Jacen.

- Niezupełnie. - Brisha poprowadziła go do pałacu. - Darth Vectivus lubił architekturę Naboo, więc wykorzystał niektóre materiały budowlane z tej planety, żeby zbudować dom z daleka od domu. Wiele elementów architektonicznych pochodzi jednak z innych planet.

- To niepodobne do Sitha - stwierdził rycerz Jedi. - Przecież cytadela Sithów na planecie Ziost...

- Byłam tam - przerwała Brisha. - Bardzo ponure miejsce. Zupełnie niepotrzebnie.

Doszli do stóp schodów, a kiedy zaczęli się po nich wspinać, wrota zamku otworzyły się same. Za nimi ciągnął się wyłożony marmurem korytarz, pod którego ścianami stały mniej więcej metrowe

kolumny z popiersiami mężczyzn i kobiet, ale także istot innych ras.

- Dość tego - odezwał się Jacen. - Chcę poznać prawdę.

Dotarł do szczytu schodów i ruszył korytarzem. Czuł się lekko wytrącony z równowagi... Nie dawał mu spokoju dysonans między odczuwaną energią Ciemnej Strony a pogodnym otoczeniem.

- Prawda wygląda tak, że kiedyś się szkoliłam, aby zostać Sithem - zaczęła kobieta. - Moim nauczycielem był twój dziadek Darth Vader.

Jakoś nie była zawstydzona tym wyznaniem. Jacen przystanął przed pierwszym popiersiem. Przedstawiało sympatyczną kobietę o upiętych wysoko włosach.

- Nie zachowujesz się jak psychopata żądna władzy nad galaktyką - zauważył rycerz Jedi.

- Vader też nie był psychopatą żądnym władzy nad galaktyką - odparła Brisha. - Był smutnym mężczyzną, który stracił jedyną miłość swojego życia. Jego jedynym przyjacielem w świecie żywych był jednak żądny władzy nad galaktyką szaleniec, Palpatine. A przy okazji, to popiersie przedstawia matkę Vectivusa. Nie była ani Sithem, ani Jedi.

Jacen posłał jej zirytowane spojrzenie i gestem dał znak, żeby ruszali dalej.

- No dobrze - podjęła kobieta. - Naprawdę nazywam się Shira Brie.

Jacen zamrugał i spojrzał na nią.

- Bardziej znana jako Lumiya - powiedział. Oczyma wyobraźni zobaczył holograficzne wizerunki, które mu kiedyś pokazywano. Przedstawiały osławionego potwora - kobietę, której dolną część twarzy zawsze skrywała ściśle dopasowana woalka. Kobieta stale nosiła trójkątne nakrycie głowy i posługiwała się niezwykłą bronią - świetlnym biczem, równie niebezpiecznym jak świetlny miecz, ale bardziej elastycznym i mającym większy zasięg rażenia. Brisha nie dałaby rady ukryć takiej broni pod kombinezonem, ale Jacen nie liczył na to, że jest zupełnie bezbronna.

- Masz rację - przyznała jego rozmówczyni.

- Kiedy jeszcze się tak nazywałaś, starałaś się zabić kilkoro członków mojej rodziny - dodał rycerz Jedi.

- To prawda, ale to było kilkadziesiąt lat temu - przyznała kobieta. Tym razem wyglądała na zakłopotaną, a nawet zawstydzoną. - Nie osądzaj mnie zbyt pochopnie, Jacenie - zastrzegła po chwili. - Moja historia niewiele się różni od dziejów twojej ciotki Mary... Tyle że Mara miała w życiu więcej szczęścia. Mnie powrót na właściwą ścieżkę zajął więcej czasu.

- Opowiedz mi o tym - zażądał Jacen.

- Urodziłam się i dorastałam na Coruscant, gdzie zostałam zwerbowana do służby dla Imperatora - zaczęła Lumiya. - Kiedy Luke Skywalker został bohaterem Rebeliantów, przyłączyłam się do nich.

- Żeby go zabić - domyślił się Jacen.

- Nie, zamierzałam zrobić coś gorszego. Chciałam go zdyskredytować - wyznała kobieta. - Zdyskredytowany bohater jest lepszy niż bohater zabity. - Spojrzała w bok i Jacen wyczuł, że jego rozmówczyni na nowo przeżywa wydarzenia, w których brała udział, jeszcze zanim się urodził. - Muszę przyznać, że bardzo się przywiązałam do twojego wuja. Gdyby został zdyskredytowany jako Rebeliant, zamierzałam go nakłonić do przejścia na stronę Imperatora. Okazało się jednak, że podczas pojedynku gwiazdnych myśliwców posłużył się Mocą zamiast informacjami z transpondera, służącymi do odróżniania przyjaciela od wroga, i mnie zestrzelił.

- Słyszałem o tym - mruknął rycerz Jedi.

- Przeżyłam, ale sporo mnie to kosztowało - ciągnęła Lumiya.

- Prawdę mówiąc, więcej niż połowę mojego ciała. Wszystkie kończyny, niektóre organy... -

Spojrzała po sobie. - Cóż, to cybernetyczne zamienniki. - W milczeniu czekała na reakcję Jacena, ale młody Solo nie odpowiedział, więc podjęła na nowo: - I właśnie wtedy Darth Vader zaczął się mną interesować... Prawdopodobnie dlatego, że byliśmy tak bardzo podobni do siebie. Wyczuwał we mnie potencjał Mocy. Nie musiał być wytrawnym psychologiem, żeby także wyczuć promieniującą ode mnie żądzę zemsty.

- Której próbę podjęłaś - dodał Jacen.

- I to wiele razy, ale najpierw przesłam szkolenie Sithów na planecie Ziost - przyznała kobieta.

- Wygląda na to, że nie odczuwasz z tego powodu najmniejszej skruchy.

- Nie mam za co przepraszać, a już na pewno nie ciebie - odcięła się Lumiya. - Co innego, gdybyś mi umożliwił spotkanie się z Lukiem Skywalkerem albo Leią Organą. Chcesz obejrzeć resztę zamku?

- A jest coś jeszcze do oglądania oprócz pastelowych ścian, sypialni, łazienek i tak dalej?

- Właściwie nie - przyznała Lumiya. - W bibliotece było kiedyś mnóstwo artefaktów, ale przenieśliśmy je do tej biblioteki, którą widziałeś w habitacie. Tu zostały tylko polakierowane na przyjemne dla oka protokolarne androidy.

Jacen się wzdrygnął.

- To na razie jedyny niezaprzeczalny znak, że Vectivus był zły... - Zaczął. - Lepiej będzie obejrzeć zamek, kiedy już skończysz swoją historię, a ja odnajdę Bena i Nelani. A więc na czym skończyliśmy? Palpatine i Vader zginęli, a ty straciłaś szansę ukończenia swojego szkolenia i zostania mistrzynią Sithów, tak?

- I właśnie tu się mylisz, Jacenie. - Lumiya pokręciła głową, jakby zasmucona jego ignorancją. - Nigdy nie miałam szansy zostania mistrzynią Sithów, i to bez względu na to, jak pilnie bym się uczyła.

Jacen podszedł do następnego popiersia. Przedstawiało Bothanina o wrażliwym i inteligentnym wyglądzie.

- Dlaczego nie miałaś szansy? - Zapytał.

- Moc to energia żywych istot - zaczęła Lumiya. - Łączysz się z nią, z jej przyływami i odpływami, dzięki energii, jaką wytwarza twoje żywe ciało. Nie ma wielkiego znaczenia, jeżeli masz jeden czy drugi mechaniczny zamiennik... W rodzaju implantu czy sztucznej stopy, ale jeżeli ktoś chce zostać prawdziwym mistrzem Mocy, wszystko jedno, jasnej czy Ciemnej Strony, powinien być istotą po większej części organiczną. Ja nią nie jestem, a to oznacza, że nigdy nie opanuję największych, najistotniejszych aspektów potęgi Mocy.

Jacen zmarszczył brwi.

- Zaraz, zaraz - powiedział. - To by oznaczało, że także Darth Vader nie mógł nigdy zostać mistrzem Sithów... Prawdziwym władcą Ciemnej Strony, tak?

- Zgadza się, chociaż nie jestem pewna, czy kiedykolwiek zdawał sobie z tego sprawę - odparła Lumiya. - Może zresztą po prostu się tym nie przejmował. Był odrętwiały po tragedii, jaką przeżył. A ten Bothanin, na którego właśnie patrzysz, był dobrym przyjacielem rodziny Dartha Vectivusa. Nauczył go podstawowych zasad prowadzenia negocjacji.

- Chcesz powiedzieć, że żadne z tych popiersi nie przedstawia Sitha? - Zdziwił się rycerz Jedi.

- Żadne - stwierdziła kobieta. - To nie jest muzeum osiągnięć - Sithów. To pamiątki z okresu młodości i dojrzałego życia Vectivusa. Jego życia, Jacenie. Dowody przeżytych radości i triumfów Rycerz Jedi oparł łokieć na głowie popiersia Bothanina.

- A więc tak wygląda twoja pułapka - powiedział.

- Słucham? - Lumiya wyglądała na zaskoczoną jego pytaniem.

- Nie zwabiłaś mnie tu, żeby zabić - ciągnął Jacen. - Zamierzałaś mnie nakłonić do wkroczenia na ścieżkę Sithów.

- To prawda.

- Dlatego, że wszystkie części ciała mam własne?

Lumiya spojrzała na niego z szerokim uśmiechem.

- Niezupełnie - powiedziała. - Zwabiłam cię tu, bo jesteś tym, kim jesteś. Tak twierdzą wszystkie przepowiednie i wszystkie znaki wiodące do przyszłości, zwłaszcza że już i tak przeszedłeś sporą część szkolenia Sithów.

- Wyrażaj się jaśniej - zażądał rycerz Jedi.

- Za chwilę - odparła Lumiya. - Na czym to skończyłam? Ach, tak. Nie staram się przemienić ciebie w Palpatine'a, który był, jak powiedziałeś, psychopata. Niszczycielskim, bezwzględnym, knującym podstępne plany psychopata. Dla osiągnięcia własnych celów wybrał Ciemną Stronę, ale był słaby i na tyle pokręcony, że pozwolił jej się zdeprawować. Twój wujek Luke zaś pozwolił się zdeprawować Jasnej Stronie. W przeciwieństwie do niego ty jej nie uległeś, więc będziesz się umiał oprzeć podszeptom Ciemnej Strony.

- Usłyszałam wystarczająco dużo! - Przemówiła Nelani, przeskakując nagle przez próg zamkowych drzwi. Młoda Jedi trzymała rękojeść świetlnego miecza, ale nie włączyła energetycznej klingi.

- Jestem pewna, że ty też, Jacenie.

- Gdzie jest Ben? - Zaniepokoił się rycerz Jedi.

Nelani rozłożyła ręce.

- Zostaliśmy rozdzieleni - wyjaśniła.

- Nigdy nie byliście razem - odezwała się Lumiya. - Kiedy się wam wydawało, że rozmawiacie ze sobą, znajdowaliście się setki metrów od siebie. W rzeczywistości prowadziliście rozmowę ze swoimi widmami, projekcjami Mocy. Takie widma nietrudno wytworzyć w miejscu, w którym można dowolnie manipulować energią Mocy. - Spojrzała znów na Jacena. - Taką energią i ty mógłbyś się posłużyć, gdybyś chciał, dla polepszenia losu mieszkańców tej galaktyki.

- Bądź cicho! - Warknęła Nelani.

Jacen odwrócił się do starszej kobiety.

- Gdzie jest Ben? - Powtórzył.

- Nieprzytomny, ale żywy. Obudzi się trochę obolały. - Lumiya wzruszyła ramionami. - Gdybym naprawdę była potworem, za jakiego mnie uważasz, Jacenie, Ben już dawno by nie żył. Syn człowieka, który zestrzelił mnie i zniszczył moje ciało? Zastanów się nad tym.

- A ty się zastanów nad inną sprawą- odparł rycerz Jedi. - Brisho-Shiro-Lumiyo... Jakkolwiek mam cię nazywać, wciąż jeszcze musisz odpokutować za przestępstwa, jakich się dopuściłaś podczas służby dla Imperium. Obojętne, kim jesteś w tej chwili, nie wolno ci zapominać o przeszłości.

- Możliwe. - Na twarzy kobiety odmalowało się nagle zmęczenie i zniechęcenie. - Nie chciałam tylko, żebyś wpakował mnie do więzienia z powodu swoich obaw. To byłoby smutne.

- Obaw? - Jacen zmarszczył brwi i spojrzał na nią. - Nie mam się czego obawiać.

- Ależ masz. Boisz się, że to, co mówię, jest prawdą - stwierdziła Lumiya. - Boisz się, że Ciemna Strona nie deprawuje ludzi sama z siebie. Boisz się, że mógłbyś zostać następnym Lordem Sithów... Pierwszym Lordem Sithów od dziesięcioleci i pierwszym od wielu wieków wystarczająco silnym,

żeby wykorzystywać techniki Sithów do pomagania innym istotom. Bo właśnie tak wygląda prawda. Musisz podjąć decyzję i dokonać wyboru: czy wieść nadal dotychczasowe życie... Spokojne i wygodne, ale praktycznie bez celu, czy też życie takie, jak twoim zdaniem powinno wyglądać.

Nelani włączyła klingę świetlnego miecza. Dał się słyszeć znajomy syk i pomruk.

- Powiedziała ci, że masz się zamknąć - przypomniała młoda Jedi.

- Nie ma potrzeby tego używać - odezwał się Jacen. W jego uszach wciąż dźwięczały słowa starszej kobiety... Zwłaszcza uwaga, że jego życie jest pozbawione celu, była zbyt bliska prawdy, aby ją całkowicie zignorować. Luke powiedziałby, że kierunek i sens jego życia nada postępowanie zgodne ze wskazówkami Mocy, ale Jacen nie był pewny, czy to prawda. Od końca wojny kilka razy stawiał czoło przeciwnikom, których zachowanie odbierał w Mocy niczym napis: „Zabij mnie szybko”, ale poza tym to, że był rycerzem Jedi, nie nadawało jego życiu sensu takiego, jaki chyba nadawało życiu jego wuja. - Chyba że będzie stawiała opór.

Lumiya się uśmiechnęła.

- Nie musisz się o mnie martwić - powiedziała. - Nelani nigdy mnie nie zaatakuje, jeżeli nie zacznę pierwsza. Jest miłą, grzeczną dziewczynką. Słodką, posłuszną doktrynom Jedi.

- Ta słodka, posłuszna dziewczynka za chwilę wkopie ci zęby do gardła - burknęła Nelani. - Jacenie, wyczuwam, że się wahasz.

- Wcale nie - odparł rycerz Jedi. - Chcę tylko poznać jej argumenty. Niektóre spośród nich zasługują na uwagę.

- Jak każdy, kto włada Ciemną Stroną, miesza prawdę z kłamstwami - zauważyła młoda Jedi. - Niedługo nie będziesz ich mógł odróżnić od siebie.

Jacen ją zignorował. Szerokim gestem wskazał popiersia pod ścianami korytarza.

- Lumiyo, pokazujesz mi ten pałac, jakby miał stanowić dowód, że Darth Vectivus był porządnym gościem, chociaż szkolił się we władaniu Ciemną Stroną - powiedział. - No cóż, nie akceptuję twojego rozumowania. Każdy może zlecić budowę pięknego pałacu. Palpatine był miłośnikiem dzieł sztuki, a jeżeli chodzi o samego Vectivusa, nie tylko nie potrafisz udowodnić, że nie był zdeprawowany... Nie przedstawiłaś żadnego dowodu na to, że w ogóle istniał. - Zmierzył ją na poły rozbawionym, a na poły protekcyjnym spojrzeniem. - Ciemna Strona deprawuje. Sithów zawsze pociągało zło.

- Mogę dać ci dowód. Opowiem ci o pewnej osobie, której zło nie dało rady zdeprawować - zaproponowała Lumiya.

Nelani spiorunowała Jacena spojrzeniem.

- Nie słuchaj jej - zażądała.

Rycerz Jedi wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo, mów - powiedział.

Starsza kobieta wyglądała na zmartwioną.

- A powinnam? - Zapytała. - Dlaczego miałabym zawracać sobie głowę? Mała Nelani szepcze ci do ucha słodkie słówka, więc na pewno nie uwierzysz w nic, co ci powiem. - Na jej twarzy pojawił się gorzki uśmiech. - Przecież wszystko, co ci mówię, to kłamstwa.

Jacen nie odrywał od niej spojrzenia, ale Lumiya nie powiedziała nic więcej. Zdezorientowana Nelani patrzyła to na jedno, to na drugie. Prawdopodobnie wyczuła, że w rozmowie zdarzyło się coś, co przeoczyła.

W końcu Jacen chrząknął.

- Interesująca opinia - powiedział.
- I nieprzypadkowa. - Lumiya przeniosła spojrzenie na Nelani.
- Wyłącz tę zabawkę, moje dziecko. Rozładujesz ogniwo.

Młoda Jedi nie usłuchała.

- Jacenie, dzieje się coś złego - stwierdziła. - Co ona ci powiedziała?
- Nic.
- Mogę podać imię tej osoby - odezwała się starsza kobieta.

- Vergere. Sama ci to powiedziała, prawda? Kiedy szkolili cię, żebyś został Sithem.

- Szkoliła mnie, żebym przeżył - zaprotestował rycerz Jedi. Powrócił myślami do swojej mentorki, podobnej do ptaka, drobnej, obcej istoty, która przysłała na świat w tej galaktyce, ale żyła wiele lat pośród Yuuzhan Vongów. Towar zyszyła im, kiedy wrócili, żeby podbić i zniszczyć tę galaktykę.

- Właśnie - przyznała Lumiya. - Żebyś przeżył. Umiejętność przeżycia to cecha Sithów. Jedi szkolą się, żeby się poświęcać i osiągać jedność z Mocą. Mogą rezygnować z życia, bo w galaktyce jest co niemiara istot. W odróżnieniu od nich Sithowie szkolą się, żeby przeżyć.

- Teraz przesadziłaś - stwierdził Jacen. - Nelani, nie pozwól jej stąd odejść, a ja pójdę poszukać Bena.

Lumiya pokręciła głową.

- Bena nie powinno tu być, bo wtedy ktoś zginie - uprzedziła. - To możesz być ty albo Nelani, ale mogę też być ja. Jeżeli sprowadzisz tu Bena, może właśnie on straci życie. Między nami przechadza się śmierć, a śmierć kogoś bliskiego zawsze sprawia wielką przykrość.

Jacen zmarszczył brwi i zarzucił zmysły jak sieć, żeby dotrzeć do teraźniejszości i przyszłości. Ścieżki wiodły we wszystkie strony, ale wyczuwał, że na każdej z nich jedna z trzech obecnych w zamku osób zginie. Jemu samemu głowę odcinało machnięcie giętkiego bicia świetlnego. Lumiya ginęła, przecięta na połowy klingą świetlnego miecza Nelani... Z góry na dół, żeby ostrze nie ominęło żadnego żywego organu. Nelani umierała, kiedy Jacen wbijał w jej serce szpic klingi swojego miecza świetlnego. Rycerz Jedi kończył życie, pchnięty w plecy szpicem miecza Bena. Dezorientacja na twarzy młodego Skywalkera dowodziła, że chłopak widzi coś innego niż rzeczywistość. Lumiya ginęła, ciśnięta na marmurową ścianę przez Jacena, który posłużył się Mocą, żeby roztrzaskać jej głowę...

Jacen zamknął oczy, nie mogąc dłużej znosić tragicznych wizji. Po chwili je otworzył i wrócił do rzeczywistości.

- Masz rację - powiedział. - Nie widzę ani jednej ścieżki, która nie wiodłaby do śmierci. W takim razie dokonajmy ponownej oceny rzeczywistości i przekonajmy się, czy nie otworzą się przed nami inne możliwości.

- Dobrze - zgodziła się Lumiya. - Wróćmy do Vergere. Była Jedi, ale w skrytości ducha gardziła ograniczonymi poglądami członków starej Rady Jedi. Gardziła Radą za to, że jej członkowie nie chcieli zdobywać wiedzy innej niż wykute na pamięć formułki, które od tak dawna stanowiły o istocie zakonu. Vergere była nieposłuszną uczennicą Mocy. Poznawała jej techniki i ścieżki, z których nie wszystkie stanowiły część szkoły Jedi. Mam rację?

Jacen pokiwał głową.

- Szukając odpowiedzi na swoje wątpliwości, Vergere zapoznaje się z poglądami hrabiego Dooku, którego Darth Sidious przyjął nieco wcześniej na swojego ucznia - ciągnęła Lumiya. - Ten

sam Darth Sidious, którym, jak galaktyka się dowie kilkadziesiąt lat później, jest Palpatine. Sidious przyjmuje ją jako kandydatkę. W jednym czasie może wprowadzić życie tylko dwóch Sithów, mistrz i uczeń, ale może też istnieć wielu kandydatów i kandydatek, a jedną z nich jest właśnie Vergere.

- Masz jakiś dowód? - Zapytał rycerz Jedi.

- Znajdziesz go w swoich uczuciach. - Lumiya zerknęła na Nelani. - Zakładając, że grzeczna dziewczynka Jedi nie zabije mnie najpierw za wypowiedzanie prawd, które się jej nie spodobają.

- Nie zabije cię - zapewnił Jacen.

- Vergere uczy się od Palpatine'a... Ale przede wszystkim poznaje prawdę o nim samym - podjęła starsza kobieta. - Obserwuje go. Widzi jego słabości, jego zachłanność, żądnię władzy i manipulowanie innymi istotami. Uświadamia sobie, że Palpatine może zostać najbardziej niszczycielską żywą siłą galaktyki, więc postanawia go zabić.

Jacen nie odpowiedział. Był zaniepokojony, bo wszystko, co Lumiya mówiła o Vergere, zgadzało się z tym, co sam wiedział na jej temat. W tamtym okresie Vergere zależało na poznaniu Mocy, więc na pewno zbadała każdy jej aspekt, jaki zwrócił jej uwagę. A jeśli uzyskała pewność, że jej nauczyciel jest obdarzony niszczycielską siłą, starałaby się znaleźć sposób, żeby go zabić.

- Kłopot w tym, że Vergere zadaje cios zbyt wcześnie - ciągnęła Lumiya. - Palpatine nie ginie i nasyła na nią skrytobójców. Vergere korzysta z możliwości zakonu Jedi, żeby wymykać się prześladowcom, a wkrótce potem decyduje się wziąć udział w wyprawie Jedi, która pomaga jej się pozbyć przeciwników. Podczas wyprawy ląduje na planecie Zonama Sekot, ale decyduje się lecieć jeszcze dalej: na wyprawę, która pozwala jej dotrzeć do galaktyki Yuuzhan Vongów.

- To jeszcze nie oznacza, że była Sithem - zauważył rycerz Jedi. Starał się mówić spokojnie, ale wyczuwał w sobie narastające wątpliwości. Słowa kobiety miały sporo sensu, bo przedstawiały Vergere taką, jaką nareszcie mógł zrozumieć...

...Ale pod warunkiem, że naprawdę istnieli szlachetni, niezdeprawowani Sithowie.

Tymczasem Lumiya mówiła dalej karcącym tonem:

- Pomyśl o tym, Jacenie. Troszczyła się o ciebie. Troszczyła się o los galaktyki. Dbała o wszystkie żywe istoty. Mara Jade dostała od niej lekarstwo, żeby mogła urodzić tego chłopca. Vergere była Sithem, a jednak to tylko dzięki niej Luke Skywalker ma w tej chwili syna. Mogła stać się bezwzględna i okrutna, prawda? A jednak każdy jej rzekomo bezwzględny postępek przyczyniał się do poprawy galaktyki. Ty także pod jej wpływem zmieniłeś się na lepsze.

Nelani skierowała na Jacena oczy, w których płonęły niepokój i udręka.

- Dość tego! - Wykrzyknęła.

Uniosła świetlny miecz do zadania ciosu.

ROZDZIAŁ 33

Klinga broni Nelani przecięła powietrze z szybkością błyskawicy, ale zanim opadła, Lumiya odskoczyła w bok i stanęła za popiersiem. Energetyczne ostrze miecza młodej Jedi odcięło wierzchołek głowy dawno zmarłego rodiańskiego uczonego.

Nelani przygotowała się do zadania następnego ciosu. Lumiya cofnęła się pod ścianą, rozdarła palcami materiał kombinezonu i wyszarpnęła rękojeść biczka świetlnego. Uniosła go nad głowę do zadania ciosu. Bicz miał wiele końcówek, skłębionych i ruchliwych jak śmiercionośna chmura. Niektóre najcieńsze końcówki, zakończone ząbkami, połyskiwały jak żelazo, inne zaś płonęły niczym elastyczne klingi świetlnych mieczy. Lumiya strzeliła z biczka i Nelani znieruchomiała, wyraźnie zaskoczona widokiem niezwyklej broni. Wygięła ciało w bok, ale mimo to koniec jednego z metalowych wąsów biczka smagnął ją po twarzy i pozostawił na policzku krwawiącą szramę. Nelani cofnęła się o krok.

- Umiem nie tylko mówić, dziewczynko Jedi - odezwała się Lumiya. - I w przeciwieństwie do ciebie nie atakuję osoby, która nie ma broni w dłoni.

Jacen odwrócił się do młodej Jedi.

- Daj jej skończyć - powiedział.

- Dlaczego się wahasz? - W cienkim głosie Nelani brzmiała desperacja. - Ta kobieta nagina twój umysł, nagina twoją wolę.

Rycerz Jedi pokręcił głową.

- To nieprawda - zapewnił. - Może mam wątpliwości, ale powodem są przedstawione fakty, nie umysłowe sztuczki. Daj spokój, Nelani. Gdyby Lumiya uciekała się do takich trików, nie wyczułabyś tego?

- Właśnie na tym polega różnica między Jedi a Sithami - odezwała się Lumiya.

- Zamknij się. - Nelani skoczyła w stronę przeciwniczki, ale zaczęła kręcić obronny młynka klingą świetlnego miecza.

Lumiya strzeliła ze świetlnego biczka tak celnie, że wąsy ominęły świetlistą tarczę. Końce kilku przecięły pierś i prawe ramię Nelani. Z rozciętych miejsc wypłynęły krople krwi i zaczęły się unosić pasemka dymu. Nelani krzyknęła i odskoczyła do tyłu, zbita z tropu lepszą techniką walki przeciwniczki.

- Zarówno Jedi, jak i Sithowie dążą do zdobycia władzy - mówiła dalej starsza kobieta. - Jedi uważają jednak takie dążenia za sprzeczne ze swoją naturą. Formułują wytyczne, którymi podobno tylko oni mają się kierować... Ale wcześniej czy później poczynania świeckich władz zaczynają tak daleko odbiegać od ideałów Jedi, że Jedi dochodzą do wniosku, iż muszą narzucić innym własny kodeks postępowania, aby ich ocalić. Właśnie taka sytuacja miała miejsce u schyłku Starej Republiki. Jedi ustalają tak dziwaczne, ascetyczne i niedostosowane do możliwości zwykłych ludzi reguły, że nie mogą one stać się podstawą jakiegokolwiek formy władzy.

Sithowie zaś uświadamiają sobie od samego początku, że mają możliwość wyboru. Mogą narzucić innym swoją władzę... Albo się przed tym powstrzymać. Jeżeli społeczeństwo funkcjonuje prawidłowo, Sithowie nie muszą podejmować żadnych kroków. Vectivus nie dążył do przejęcia władzy. Mógłby wkroczyć do akcji dopiero, gdyby społeczeństwo zaprzestało przestrzegać norm i zasad. Gdyby doszedł do wniosku, że celem jego życia jest poprawa złego rządu, zaproponowałby system władzy światłej i sprawiedliwej.

Nelani wykonała gest wolną ręką. Popiersie matki Dartha Vectivusa oderwało się od kolumny i niczym marmurowy pocisk poleciało w stronę starszej kobiety. Lumiya machnęła w jego stronę świetlnym biczem i na rzeźbie skupiło się dziewięć albo dziesięć wąsów. Popiersie eksplodowało i rozprysnęło się na tysiące marmurowych okruchów, które spadły przed nią na posadzkę.

- Galaktykę zaczyna ogarniać chaos - ciągnęła Lumiya, jakby nic się nie stało. - Jej przywódcy nie potrafią jej ocalić, bo są pozostałością systemu, który zawiódł piętnaście lat temu, podczas wojny z Yuuzhan Vongami. Jedi nie mogą wkroczyć do akcji, żeby zmienić ten stan rzeczy... Przecież znasz ich metody i sposób myślenia. Co takiego powiedział ci Luke Skywalker? Czy jego taktyki albo zalecenia cokolwiek zmieniły? Nie. Mistrz Skywalker to wprawdzie miły i uczciwy człowiek, ale i on, i jego zakon są tylko narzędziami Galaktycznego Sojuszu.

Nelani podjęła następną próbę, tym razem posługując się popiersiem Bothanina. Kiedy drugi marmurowy pocisk przeleciał połowę odległości, Lumiya wyciągnęła wolną rękę i popiersie znieruchomiało w powietrzu. Jakiś czas próbowało jeszcze płynąć w jej stronę, lecz w końcu poszybowało z powrotem w kierunku Nelani. Obie kobiety zaczęły pojedynek na siłę woli, ale nic nie wskazywało, żeby któraś uzyskiwała przewagę.

W końcu zmęczona Lumiya zaczęła chrapliwie oddychać.

- Vergere poświęciła się, żebyś mógł przejąć dziedzictwo Sithów, którego zawsze dla ciebie pragnęła - podjęła. - Do takiego poświęcenia nie byłaby zdolna żadna kobieta Jedi dla jakiegokolwiek Sitha. Właśnie tak wygląda prawda. Przyjmij to, czego muszę cię nauczyć, Jacenie. Zajmij to miejsce wraz ze zgromadzoną tu Ciemną Stroną Mocy. Przyjmij wiedzę, która spoczywa w grobowcach na planecie Ziost, i wykorzystaj ją przeciwko siłom starającym się rozedrzeć na strzępy tę galaktykę. Przywróć w niej porządek. Daj twojemu kuzynowi, dzieciom we własnej rodzinie i sobie samemu szansę dorostania w galaktyce, która nie zna wojny.

- Nadal nie mówisz mi prawdy - przypomniał surowo rycerz Jedi. - To ty zabiłaś szefa służby bezpieczeństwa stacji Toryaz, prawda?

- Tak - przyznała Lumiya. - Zrobiłam to. Zorientowałam się zbyt późno, żeby zapobiec napaści na was, bo atak już się rozpoczął. Zdażyłam jednak zmusić go do wyznania, dla kogo pracuje, i pomściłam tych, którzy oddali życie podczas tamtego zamachu.

- Dla kogo pracował? - Zainteresował się Jacen.

- Dla Thrackana Sal-Solo, a dla kogóż by innego? - Odparła Lumiya.

- A wszystkie te sytuacje na Lorrdzie? Nie przyśniły ci się, prawda? Wywierałaś bezpośredni wpływ na osoby, które odgrywały w nich główne role.

Lumiya spojrzała z ukosa na popiersie unoszące się między nią a Nelani. Powoli sunęło w jej stronę, a wysiłek, jaki wkładała, żeby je utrzymywać w bezpiecznej odległości, malował się coraz wyraźniej na jej twarzy.

- Tak - przyznała w końcu. - To moje wizje zmuszały mnie do działania. Mogłam pokrzyżować ich plany... Ale prawdopodobnie nie udałoby się zmienić przebiegu żadnego wydarzenia.

- Dlaczego przynajmniej nie spróbowałaś?

- Posłużyłam się tymi osobami, żeby poddać cię próbom. - Lumiya zamknęła oczy i wyteżyła zmysły, ale popiersie nadal płynęło w powietrzu w jej stronę. - Podobnie jak Jedi, Sithowie muszą decydować o losach innych. W odróżnieniu od Jedi wiedzą jednak, że czasami to oznacza konieczność poświęcenia jednej osoby, żeby dwadzieścia mogło przeżyć. Musiałam się dowiedzieć, czy to rozumiesz. Okazało się, że tak.

- A co z twoim współnikiem? - Zapytał rycerz Jedi. - Tym mężczyzną, którego mistrz Skywalker wyczuwa, ale nigdy nie może zobaczyć? Mężczyzną, który jego zdaniem nie istnieje?

Lumiya roześmiała się chrapliwie, jakby z wysiłkiem łapała powietrze.

- Jacenie, to po prostu ty, wizja ciebie - wyjaśniła. - To Sith, którym kiedyś się staniesz. Luke nie widzi rysów jego twarzy, bo nie chce się pogodzić z tym, co dostrzega dzięki Mocy... Z wizją twojej twarzy w miejscu, w którym stoi następny Lord Sithów. - Wypowiedziała ostatnie słowa prawie szeptem i w końcu się poddała. Popiersie Bothanina poszybowało prosto na nią, a Lumiya smagnęła je świetlnym biczem. Nie mogła się dobrze zamachnąć, więc nie trafiła lecącej rzeźby, ale wystarczająco zmieniła jej trajektorię lotu. Marmurowy pocisk nie trafił kobiety w głowę ani w pierś, ale w prawą dłoń. Wytrącił z niej świetlny bicz, którego końcówki, wijąc się jak żywe po posadzce, zostawiały rysy i ciemne ślady.

Nelani skoczyła ku przeciwniczce z mieczem gotowym do zadania ciosu. Jej energetyczna klinga opadła...

...I zetknęła się z klingą miecza Jacena. Rycerz Jedi sparował cios i nie oderwał spojrzenia od jej oczu.

- Jeszcze z nią nie skończyłem - powiedział.

W głosie Nelani dała się słyszeć rozpacz.

- Nie wiem jak, ale ta kobieta sprowadza cię na złą drogę - powiedziała. - Czy tego nie rozumiesz?

- Przestań wsłuchiwać się tylko w to, co przekazują ci uszy - odparł młody Solo. - Zajrzyj w głąb Mocy. Czy naprawdę wyczuwasz strumień, który przepływa od niej do mnie albo ode mnie do niej? Czy wyczuwasz cokolwiek, co mogłoby zmienić mój umysł albo sposób postrzegania rzeczywistości?

Nelani wytrzymała chwilę siłę jego spojrzenia, ale w końcu zamknęła oczy.

Na chwilę stała się podatna na kontratak, ale Jacen nadal trzymał nieruchomo klingę swojego miecza pod ostrzem jej broni. Lumiya także nic nie zrobiła, nawet nie przywołała świetlnego bicia do dłoni. Trzymała nieruchomo prawą rękę w takiej pozycji, w jakiej trafiło ją popiersie Bothanina.

Potem Nelani otworzyła oczy. Wyglądała na uspokojoną.

- Nic nie czuję - stwierdziła. - Lumiya nie wykorzystuje przeciwko tobie technik Jedi. Nie wyczułam także wpływu, jaki mogłaby na ciebie wywierać zgromadzona tu energia Ciemnej Strony. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

- Wyłącz klingę świetlnego miecza - polecił rycerz Jedi.

Nelani usłuchała.

Jacen także wyłączył ostrze swojej broni. Złowieszczy dźwięk wydobywał się obecnie tylko ze świetlnego bicia. Lumiya spojrzała na swoją broń. Płonące dotąd jasnym blaskiem końcówki ściemniały i przemieniły się w niemal niewidoczne nici.

- Wszystko w porządku - odezwał się Jacen. - Teraz możemy kontynuować.

- Właśnie - podchwyciła Nelani i odwróciła się w stronę Lumiya. - Shiro Brie, aresztuję cię w

imieniu Galaktycznego Sojuszu. Będziesz sądzona za...

- Nie - przerwał rycerz Jedi. - Postanowiłem się nauczyć tego, co ma mi do przekazania. To oznacza, że musi pozostać na wolności.

Nelani spojrzała na niego, jakby nie wierzyła własnym uszom.

- Jacenie, prawo... - Zaczęła.

- Prawo jest tym, co sami rozumiemy pod tym pojęciem. - Jacen wzruszył ramionami. - Powiedziała, że nazywa się Lumiya, ale nie przedstawiła na to żadnego dowodu. Jeżeli chcemy postępować zgodnie z literą prawa, wystarczy, jeżeli jej nie uwierzymy... I nie zamieścimy jej oświadczenia w naszych raportach.

Nelani cofnęła się trochę i kilka centymetrów wyżej uniosła rękojeść świetlnego miecza.

- Zamierzam ją aresztować - stwierdziła.

Lumiya uniosła głowę.

- Zgadzą się na to - oznajmiła.

Oboje Jedi spojrzeli na nią.

- Zgadzasz się? - Zapytał młody Solo.

- Naturalnie. - Kobieta doskonale zdawała sobie sprawę z powagi swoich słów. - Wiem, że mój los już nie spoczywa w moich rękach. Zależy mi na odrodzeniu Sithów z tobą na czele ich zakonu, Jacenie. I dlatego przysięgam, że będę ci służyła. - Uklękła przed nim i pochyliła głowę, jakby czekała na jego błogosławieństwo albo na ostateczny cios. - O moim losie zadecyduje jednak ta osoba spośród was, która ma większą władzę.

- Zapleć palce z tyłu głowy - odezwała się cicho Nelani. Kiedy Lumiya usłuchała, wyjęła z saszetki u pasa ogłuszające kajdanki i zatrzasnęła je na przegubach starszej kobiety.

Jacen zmarszczył brwi. Sytuacja wcale mu się nie podobała. Z początku podejrzewał, że Lumiya zechce się uciec do jakiejś sztuczki, ale zerknął w głąb najbliższej przyszłości i poczuł się uspokojony. Zobaczył Lumię posłuszną i bierną, prowadzoną z powrotem do wahadłowca.

Jego umysł powędrował jednak dalej, w możliwe odnogi przyszłości. Jak wielokrotnie powtarzał Yoda, przyszłość była zawsze w ruchu, więc każde wydarzenie mogło mieć wiele linii. Sędziwy mistrz Jedi mówił o tym tak często, że jego cytaty zaśmiecały archiwa zakonu Jedi.

Jacen stwierdził, że linie przyszłości skupiają się na niektórych sytuacjach. Nelani świadcząca przeciwko kobiecie znanej jako Shira Brie, Lumiya i Lumiya Syo. Lumiya skazywana i tracona, zamykana w jednoosobowej celi, trzymana w zatłoczonym więzieniu i mordowana przez osobę, której ojca zabiła kilka dekad wcześniej. Wraz z nią ginęło wszystko, co знаła... Znikało bezpowrotnie.

W każdym z tych strumieni czasu galaktykę ogarniał chaos. We wszystkich możliwych zakątkach rodziły się rebelie, a Galaktyczny Sojusz rozpadał się niczym zżerany przez rak organizm. Zdarzało się, że w walkach ginęli wszyscy mieszkańcy planet.

Samą asteroidę niszczyły eksplozje, po których rozlatywała się na miliony okruchów, a ukryta w niej wiedza rozpraszała się we wszystkie strony. Prastary gwiazdny niszczyciel raził sztychami turbolaserowych strzałów powierzchnię Ziosta, żeby zniszczyć zgromadzone tam informacje.

Dziesiątki linii czasu skupiały się na Jacenie Solo i mistrzu Skywalkerze, łącząc ich ze sobą. Co sekundę wersje się zmieniały, ale obaj zawsze stali naprzeciwko siebie w tych samych pozach... Z zapalonymi klingami świetlnych mieczy w dłoniach i twarzami wykrzywionymi gniewem, a może przecuciem nadciągającej tragedii.

Potem zadawali ciosy, a zderzające się ostrza ich broni wzniewały fontanny iskier, które pograżały ściany i podłogi za nimi w jeszcze większym mroku. Nieustannie toczyli walkę, jakby mieli coraz więcej sił, aż w końcu...

W końcu Jacen zabijał Luke'a. Czasami zadawał mu cios na ukos, od ramienia przez pierś, a kiedy indziej przecinał szyję tak szybko, że trudno było nadążyć spojrzeniem za ruchem klingi jego miecza, a po ciosie głowa starszego mężczyzny spadała z ramion. Innym razem było to pchnięcie w brzuch, po którym następowała kilkuminutowa agonía. Luke wił się z bólu, daremnie walcząc o życie, a Jacen klęczał obok niego i nawet nie starał się powstrzymać łez płynących po twarzy.

Luke ginął.

Luke umierał.

- Nie - szepnął rycerz Jedi. Siłą woli powrócił do teraźniejszości.

Nelani i Lumiya się oddalały. Młodsza kobieta trzymała starszą za ramię, jakby prowadziła... Prowadziła ją do wahadłowca.

Jacen dogonił je, zapalił klingę świetlnego miecza i zadał cios. Nelani odskoczyła, ale energetyczne ostrze przecięło tylko łącznik kajdanków krępujących z tyłu ręce Lumiya.

Obie kobiety spojrzały na niego.

Jacen odwrócił się do Nelani.

- Pozostanie wolna - powiedział. - Jeżeli ją zabierzesz...

Nie potrafił się przemóc, żeby dokończyć: „Luke zginie, i to ja go zabiję”.

W tym wszystkim chodziło o coś więcej. Na chwilę rycerz Jedi znów pograżył się w strumieniach prawdopodobieństwa, które prowadziło go do przyszłości.

Nelani odlatywała ze swoim jeńcem. Wracała do domu, na Lorrda, i opowiadała o wszystkim swojemu zwierchnikowi... Luke'owi.

Jacen zabijał Luke'a. Luke umierał.

Mógłby przekonać Nelani, żeby o niczym nie mówiła. Młoda Jedi przemyślałaby później sytuację i złamała obietnicę. Opowiedziałaby o wszystkim Luke'owi.

Jacen zabijał Luke'a. Luke umierał.

Luke miał pozostać cały, zdrowy i na czele zakonu tylko w tej linii czasu, w której Nelani traciła życie. Wokół kłębiły się wprawdzie inne tragedie, mroczne i niewyraźne, ale mistrz Jedi pozostawał przy życiu.

Jacen powrócił do rzeczywistości. Tragiczna prawda, która właśnie objawiła mu się dzięki Mocy, niemal go sparaliżowała.

Była jednak prawdą, a on musiał okazać dość siły, żeby stawić jej czoło.

Lumiya także ją znała, a przynajmniej przeczuwała. Po jej policzkach spływały łzy, które Jacen wyczuwał także na swojej twarzy.

- Tak bywa, jeżeli ktoś jest Sithem - powiedziała Lumiya, kierując na niego spojrzenie. - Stajemy się silniejsi dzięki poświęceniu.

Jacen pokiwał głową, niechętnie godząc się z tym faktem.

- Tak - przyznał ponuro.

Nelani spojrzała na niego i poza niego, w głąb jego zamiarów. Cicho jęknęła, odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Rycerz Jedi puścił się za nią w pogoń.

Ze śródmieścia, z dziury w gruncie w pobliżu Centrum Sztuk Scenicznych, wyleciało więcej rakiet. Androidy celownicze na powierzchni nie skierowały ich jednak do krateru, który utworzył się po zniszczeniu przyczółka Galaktycznego Sojuszu. Posłały rakiety w kierunku nieprzyjaciół na niebie - gwiazdnych myśliwców Sojuszu.

Han leciał w kierunku jednego z nich, X-winga, którego transpondera wysyłał na częstotliwości 22NF07 sygnał NASOTR1103. Oznaczało to, że myśliwiec ma numer 1103 i wchodzi w skład Naziemnych Sił Okupacyjnych Tralusa.

Nie leciało mu się jednak łatwo, szybko ani bezpiecznie. W atmosferze wokół niego wciąż jeszcze roilo się od gwiazdnych maszyn Galaktycznego Sojuszu, a zdumiewająco wielu pilotów usiłowało go zestrzelić. Posyłając ku niemu błyskawice laserowych strzałów, atakowali równocześnie z dołu i z góry. Jakiś mściwy pilot małego zwinnego myśliwca przechwytyjącego chciał go nawet staranować. Popełniłby samobójstwo, gdyby Han nie wykonał zwrotu i nie uniknął kolizji.

Zamierzał zrealizować bardzo prosty plan: zbliżyć się do myśliwca córki na tyle, żeby lecące ku niej rakiety zmieniły kurs i poszukały innego celu.

W ciągu kilku spokojniejszych sekund, kiedy nie musiał wykonywać uników przed nadlatującymi błyskawicami i mógł ją obserwować, zorientował się, że Jaina sama świetnie sobie radzi. Kierując X-winga coraz wyżej, wykonywała uniki i manewry. Równocześnie posyłała błyskawice laserowych strzałów ku koreliańskim myśliwcom szturmowym albo maszynom przechwytyjącym typu Vigilance. Trafiane przez nią myśliwce dymiły, zmieniały kurs albo eksplodowały, pozostawiając na niebie dziwnie wesołe, różnobarwne chmurki.

Chwilę później skierowały się ku niej dwie rakiety, ale Jaina zmieniła kurs i pociski chybiły. Do innych pocisków strzelała z laserów, żeby eksplodowały w locie. Bezlitośnie eliminowała lecące ku niej ze wszystkich stron rakiety. Raz po raz wykonywała uniki, wznosząc się albo opadając niczym niezniszczalny liść, miotany podmuchami wiatru wiejącego z prędkością dźwięku. Za każdym razem pociski przelatywały obok jej X-winga.

Czasami obok skrzydła jej maszyny leciał inny X-wing, którego pilot powtarzał wiernie jej każdy manewr. Robił to dokładnie i szybko, zupełnie jakby czytał w jej myślach.

W pewnej chwili trzy rakiety nadlatujące ku niej od strony sterburty eksplodowały jakieś dwieście metrów od jej X-winga, na pozór zupełnie bez powodu. Czyżby zderzyły się z odłamkami?

A może Jaina zniszczyła je niedbałym machnięciem ręki i techniką Mocy? Han nie wiedział.

Uświadomił sobie przy okazji dwie prawdy. Po pierwsze, bez względu na to, jak szybko się wznosił, unikając błyskawic nieprzyjacielskich pilotów, jego córka wzbijała się jeszcze szybciej. Druga prawda, jeszcze bardziej bolesna, spadła na jego barki niczym ciężka sieć na wyczerpanego pływaka:

Jaina go nie potrzebowała.

Była doskonałą pilotką i miała doskonałego skrzydłowego. Była starsza niż Han, kiedy skierował „Sokoła Millenium” przeciwko pilotom pierwszej Gwiazdy Śmierci, a do tego bardziej doświadczona. Stanowiła część Hana i część Leii, ale przede wszystkim była sobą. Panowała nad sytuacją.

Kiedy Han zrozumiał, że córka go prześcignęła, poczuł w sercu mieszaninę dumy i bólu.

W pobliżu jego bombowca przemknęły zielone błyskawice laserowych strzałów i nadlatujący ku

niemu Wyjcobiegacz eksplodował. Han ocknął się z zadumy i powrócił do rzeczywistości. Rozejrzał się i stwierdził, że obok niego lecą dwa myśliwce szturmowe, po jednym z każdej strony. O mało nie zeskoczył z fotela pilota.

Zaraz jednak zauważył, że na ekranie monitora jego sensorów obie maszyny są oznaczone na zielono... Swoi.

Usłyszał głos Antillesa i uświadomił sobie, że słyszy go od jakiegoś czasu.

- Co to było, uhm, „Jedynko”? - Zapytał.

- Przydzielono nam eskortę, żebyśmy mogli bezpiecznie opuścić pole bitwy - odparł Wedge. - Twoja powinna właśnie dołączać do ciebie.

- Już tu są - oznajmił Solo.

- Musimy się wynosić z pola walki, „Dwójko” - ciągnął Antilles. - Nieprzyjaciel nadal ma nad nami liczebną przewagę, a my nie latamy myśliwcami. A poza tym moim zdaniem za sterami tamtego naprawdę zwinnego X-winga nad tobą siedzi twoja córka. Byłaby wielka szkoda, gdyby cię zestrzeliła, nie uważasz?

Han wybuchnął chrapliwym śmiechem.

- Jasne jak słońce - powiedział. - Dobrze, w takim razie wyprowadź nas stąd. A skoro już mowa o córkach, będę musiał z tobą porozmawiać.

- Proszę bardzo.

- Później, kiedy wrócimy do bazy.

- Jak sobie życzysz, „Jedynko” - odparł Wedge.

W ciągu następnych minut bitwa nad Rellidirem przenosiła się coraz dalej od śródmieścia. Nadlatujące rakiety trafiały w ruiny Centrum Sztuk Sceniczných i w gwiazdne myśliwce, których piloci reagowali zbyt wolno albo nie mieli dość szczęścia, żeby ich uniknąć. Czasami zderzały się z innymi raketami, kiedy pobliska eksplozja niszczyła całą gromadę.

Syal nie odrywała spojrzenia od nieba za iluminatorem. Była posiniaczona i czuła smak krwi w ustach.

- Jak to wygląda? - Zapytała.

Zueb, klęcząc na fotelu artylerzysty tyłem do kierunku lotu, wyjął ręce z kłębowiska przewodów i gmatwaniny przemieszczonych podzespołów, które starał się uporządkować, i posłał jej pozbawione wyrazu spojrzenie.

- Niedobrze - powiedział.

- Dolecimy nim na orbitę?

- Na orbitę dolecimy. - Sullustanin wzruszył ramionami. - Ale nie gwarantuję szczelności kadłuba. Widziałaś kiedyś napompowany balon, z którego uchodzi powietrze podczas lotu? Właśnie tak będziemy wyglądali.

- W takim razie uszczelnij nasze kombinezony na wypadek bezpośredniego kontaktu z rozrzedzoną atmosferą i włącz ogrzewanie - poleciała pilotka. - Wytrzymamy kilka minut w chłodzie.

- Rozkaz, szefowo. - Zueb znalazł za fotelami kombinezony, podłączył je do źródła energii i tlenu, po czym odwrócił się i usiadł normalnie na fotelu. - Auu! - Jęknął z bólu. - Chyba nie pozostała mi ani odrobina kręgosłupa.

- A w ogóle go miałaś, kiedy wchodziłeś do kabiny? - Zapytała Syal.

- To był cios poniżej pasa - stwierdził Sullustanin, zapinając pasy ochronnej sieci.

Syal przesłała energię do jednostek napędowych. Silniki zaskowyczały nienaturalnie głośno, ale

ze wskazań przyrządów na diagnostycznym pulpicie wynikało, że energia jest do nich przesyłana. Łagodnie, powoli poderwała maszynę i skierowała nos pokieroszowanego alepha w stronę przeciwną niż fragment nieba, na którym wciąż jeszcze trwała walka. Przyspieszyła.

- Pokpiliśmy sprawę - powiedziała.

- Spisałaś się na medal - zaprotestował Sullustanin.

- Pilotowałam jak niezdara - stwierdziła pilotka.

- Chciałbym codziennie latać z takimi niezdarami - pocieszył ją Zueb. - A poza tym porucznik

Baradis uważa, że wyglądasz naprawdę uroczo.

- Słucham?

- Przynajmniej tak powiedział wczoraj w mesie.

- Starasz się odwrócić moją uwagę i tyle - burknęła Syal.

- To prawda - przyznał Zueb. - Dobrze sobie radzę?

- Okropnie. - Syal zmarszczyła brwi. - Powiadasz, że Baradis, hm? - Zapytała.

- Ja wcale tak nie uważam - zastrzegł szybko Sullustanin. - Ludzie mają zbyt małe głowy, żeby

mogli wyglądać uroczo.

Syal wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Zamknij się - powiedziała.

Gwiezdny system MZX32905, okolice Bimmiela

Nelani oddalała się z szybkością wysportowanej lekkoatletki, ale kiedy wybiegła z pieczary z pałacem Dartha Vectivusa, w której działał generator sztucznego ciężenia, zgubiła rytm kroków i zaczęła robić zbyt długie skoki... Po prostu miała mniej doświadczenia niż Jacen w poruszaniu się w pomieszczeniach o niewielkiej grawitacji.

Rycerz Jedi zaczął zmniejszać dzielącą ich odległość.

Nelani dotarła do torów i zaczęła się wspinać w stronę habitatu. Klinga jej miecza rzucała wystarczająco dużo światła, żeby młoda Jedi widziała poprzeczne pręty, na których stawiała stopy.

Na kilku prętach Jacen dostrzegł krople krwi - skutek ran, zadanych świetlnym biczem przez Lumię.

Szyny znikwały w otworze sklepienia jaskini i Jacen stracił Nelani z oczu. Nie wyłączając klingi swojego miecza, zamknął oczy i zaczął badać przestrzeń przed sobą zmysłami Mocy...

Stwierdził, że Nelani płynie ku niemu w powietrzu nogami do przodu, gotowa do kopnięcia go w bok.

Nie patrząc w jej stronę, uchylił się i od niechcienia machnął klingą świetlnego miecza, Nie włożył w cios dużej siły, bo nie musiał, ale i tak jego klinga przecięła ubranie, skórę i mięśnie uda. Młoda Jedi krzyknęła z bólu, przeleciała w powietrzu obok niego, zderzyła się z kamiennym dnem jaskini i przetoczyła się po nim w dziwny sposób, do jakiego zmusiło ją niewielkie ciężenie. W końcu znieruchomiała.

Jacen ruszył ku niej powoli i pewnie jak drapieżne zwierzę.

Zanim znalazł się obok, Nelani zdążyła się zorientować, że nie może wstać. Siedziała na podkurczonej prawej nodze, ale nie wypuściła z prawej ręki zapalonego miecza świetlnego. Rycerz Jedi zobaczył ranę, czarną w miejscach, gdzie ciało się przypaliło. Nelani uniosła głowę i spojrzała na niego. Wykrzywioną z bólu twarz było wyraźnie widać w połączonym blasku kling obu mieczy.

- Jacenie, nie rób tego - powiedziała.

- Nie rozumiesz, o jaką stawkę toczy się ta gra - odparł rycerz Jedi.

- Nie obchodzi mnie, czy zginę, czy przeżyję - ciągnęła młoda kobieta. - Związałam mój los z Mocą, kiedy przyłączyłam się do zakonu. Chodzi mi o ciebie. Jeżeli to zrobisz, staniesz się kimś złym... Kimś, kto będzie niszczył wszystko, czego się dotknie.

- Sithem - podsunął Jacen.

- Nieważne, jak to określisz - sprzeciwiła się Nelani. - Jak nazwiesz kogoś, kto zabija, chociaż nie musi? Kogoś, kto opowiada się po stronie zła, kierując się pozornie rzeczowymi przesłankami?

Jacen patrzył na nią, czując targające nim emocje... Własne, Nelani i pochodzące sprzed tysięcy lat resztki energii Ciemnej Strony. Myślał o jej zdrowiu i zniszczonej urodzie, którą miał zszpecił jeszcze bardziej. Desperacja i niemal namacalne rozczarowanie Nelani raniły jego nerwy niczym wbijane gwoździe.

Poczuł głęboki smutek z powodu tragedii, jaka miała się rozegrać. W wariantach przyszłości Nelani widział niewyraźnie dobre i szlachetne czyny, miłość, a może nawet rodzinę i dzieci. Zamierzał przeciąć tkankę łączącą ją z całą przeszłością i odczuwał ból tego cięcia. W pewnym sensie świadomość tego bólu sprawiała mu ulgę, bo przypominała mu, że nadal jest zdolny do odczuwania ludzkich cierpień i emocji.

- Nelani - powiedział. - Bardzo przepraszam, ale... Pełnisz funkcję deflektora, który kieruje przyszłość w stronę tragedii. Jesteś jeszcze zbyt młoda i zbyt słaba, żeby to rozumieć, a tym bardziej temu zaradzić.

- Jacenie...

Rycerz Jedi zadał cios. Nie zranił jej w rękę, ale wytrącił z jej dłoni świetlny miecz, który, wirując w locie, zniknął w ciemności jaskini.

Później zadał chirurgiczne pchnięcie. Klinga jego miecza trafiła dokładnie w środek jej mostka, przebiła kręgosłup i wyszła z drugiej strony.

Jacen wyciągnął ostrze broni. Nelani osunęła się na bok, a rycerz Jedi poczuł, że jego ofiara zaczyna znikać z Mocy.

Osuwała się powoli, a dopóki jej głowa nie zetknęła się z kamiennym dnem jaskini, nie oderwała spojrzenia od jego twarzy.

ROZDZIAŁ 34

Koreliańskie przestworza, nad Tralusem

Leia obserwowała pulpity z ekranami monitorów, na których pojawiały się aktualne informacje o sytuacji nad Rellidirem.

Zanik ochronnych pól nad ośrodkiem dowodzenia. Zniszczenie samego ośrodka dowodzenia. Obywatele Tralusa wychodzą na ulice i strzelają do personelu naziemnego sił okupacyjnych Galaktycznego Sojuszu z ręcznych blasterów i myśliwskich strzelb.

Koreliańskie okręty liniowe i wyposażone w jednostki napędu nadświatelnego gwiazdne myśliwce wyskakują z nadprzestrzeni po przeciwnej stronie Tralusa. Ich dowódcy i piloci przyłączają się do walki w atmosferze nad Rellidirem. Z każdą chwilą liczba walczących jednostek rośnie, bo w odwecie także dowódcy sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu posyłają na pole walki coraz więcej eskadr gwiazdnych maszyn.

Zaszyfrowane wiadomości od Hana, przesyłane za pomocą krótkich impulsów z komputerowego notesu i odbierane dzięki komunikatorowi przytwierdzonemu od spodu do robota-myszy, któremu Leia nakazała kręcić się cały czas w okolicy mostka. Z przesyłanych informacji wynikało, że Han żyje, Jaina żyje, żyją także Wedge i jego córka.

Rozkaz odwrotu, wysłany z mostka „Dodony”. Piloci eskadr Galaktycznego Sojuszu usłuchali. Przerywali walkę, gdzie i kiedy mogli. Czasami się ociągali, żeby stoczyć ostatni pojedynek z triumfującymi Korelianami.

Leia została wezwana z powrotem na mostek, gdzie dołączyła do pani admirał Limpan przechadzającej się po pomoście dowodzenia. Obie kobiety obserwowały, jak eskadry wracających maszyn tworzą kolejkę, żeby wylądować w hangarach lotniskowca.

- Mogliśmy się tam utrzymać - stwierdziła ponuro Durosjancka.

- Musielibyśmy posyłać do walki coraz to nowe eskadry gwiazdnych maszyn, ale i tak nie udałoby się nam osiągnąć zamierzonego celu. Trudniej byłoby później doprowadzić do pokoju. Nie zrobiliśmy tego i już nie zrobimy... Ale dzięki temu zdecydowaliśmy o wyniku tej konfrontacji. Szkoda tylko, że tak wielu młodych i dzielnych ludzi obojga płci straciło życie, chociaż wynik walki był z góry przesądzony. Leia pokiwała głową, milcząco przyznając jej rację.

- Nie mam poczucia wygranej ani przegranej - ciągnęła Limpan. - Czuję się, jakbyśmy tańczyli w rytm melodii granej przez kogoś innego.

- I to nie Galaktyczny Sojusz ją gra - stwierdziła księżniczka.

- Ani nie Korelianie. - Pani admirał wzruszyła ramionami. - Może to kwestia zbiegu okoliczności? Wierzę w zbiegi okoliczności; sama zresztą często się z nimi stykam. I wiem jedno: zbiegi okoliczności nie mają nigdy na uwadze naszych interesów. - Odwróciła się i spojrzała na Leię. - Pułkownik Moyan twierdzi, że twoje taktyczne zalecenia okazały się bardzo rozsądne i pomocne.

Zdziwił się tylko, że okazały się dość... Ostrożne, zważywszy na opinię, jaką się powszechnie cieszysz.

Leia wzruszyła ramionami.

- Im człowiek staje się starszy, tym bardziej chciałby chronić tych, którymi dowodzi - powiedziała. - Może właśnie dlatego jestem ostrożniejsza.

- Pewnie tak - zgodziła się Durosjanka. - Wracasz teraz na Coruscant czy na Korelię?

- Na Korelię - odparła księżniczka. - Będę tam ostrożnie zabiegała o pokój, podczas gdy zwolennicy wojny będą się nadymali i chwalili swoim zwycięstwem.

- Postaram się o eskortę dla twojego wahadłowca - zaproponowała pani admirał.

Leia pokręciła głową.

- Nikt nie otworzy ognia do nieuzbrojonego statku - stwierdziła. - To nie wojna z Yuuzhan Vongami, którzy walczyli z bezmyślnym okrucieństwem. W tym przypadku obie walczące strony... No cóż, to nasi.

- Na razie. - Na pozbawionej wyrazu, przynajmniej według standardów ludzkich, twarzy Durosjanki pojawił się gorzki smutek. - Z mojego doświadczenia wynika, że wkrótce słowo „nasi” przemieni się w słowo „oni”. A kiedy do tego dojdzie, każde okrucieństwo stanie się możliwe.

- To prawda - przyznała Leia.

Limpan znów spojrzała przez iluminator.

- Niech Moc będzie z tobą, księżniczko - powiedziała.

- Z tobą też, pani admirał - odparła Leia.

Wracając wahadłowcem na Korelię, Leia była pogrążona w smutku. Pierwsze kilka minut lotu nie rozumiała jego powodu. Liczyło się przecież tylko to, że jej bliscy przeżyli.

Wkrótce jednak odgadła powód. Jej bliscy przeżyli, ale ona zapłaciła za to wysoką cenę. Na jakiś czas przeistoczyła się w kogoś innego. Starając się ochronić męża i córkę, kłamała i oszukiwała. Co gorsza, nie robiła tego subtelnie, jak czasami musi robić doświadczona dyplomatka, ale jak ktoś pozbawiony sumienia, kto manipuluje wszystkimi wokół. Niektórzy, wiedząc, co zrobiła, mogą ją szantażować, a inni stracą do niej zaufanie.

Starła się wyobrazić sobie, do czego by się nie posunęła dla ocalenia życia Hana i Jaina. Gdyby знаła kod autodestrukcji, niszczący myśliwce wszystkich pilotów, którzy zanadto by się zbliżyli do córki albo męża, czy wykorzystałaby tę informację? A gdyby mogła zamienić kody transponderów, żeby przyjaciele wydawali się wrogami, a piloci jednostek Galaktycznego Sojuszu strzelali do innych pilotów, czy poświęciłaby życie setek albo tysięcy osób dla jednej, którą kochała? Czy poświęciłaby pokój, na którym wszystkim tak bardzo zależało? Czy posłałaby na wojnę obywateli planety, żeby zapewnić bezpieczeństwo kochanym osobom?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania, bo uważała się za zupełnie inną osobę, którą była jeszcze przed półgodziną. Obawiała się jednak bardzo, że na wiele z tych pytań odpowiedziałaby twierdząco. A kim by się stała, gdyby odpowiedziała twierdząco na wszystkie pytania?

Doszła do wniosku, że już wie, dlaczego dawni Jedi starali się do nikogo nie przywiązywać. Przywiązanie sprowadzało się do poświęcania życia innych osób, o których losie nie miała prawa decydować, żeby ocalić własne szczęście.

Postanowiła, że w przyszłości z ochotą poświęci swoje życie, aby ocalić od śmierci Hana i swoje dzieci albo Luke'a i jego rodzinę... Ale nie poświęci życia kogokolwiek innego.

Wiedziała przecież, że ani Han, ani ona nie będą żyli wiecznie. Któregoś dnia jedno z nich umrze,

a może nawet oboje równocześnie. Właśnie tak działo się w życiu. Leia postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby temu zapobiec... Pod warunkiem że to nie będzie obciążało jej sumienia.

Kiedy podjęła tę decyzję, poczuła się tak, jakby ktoś wbił w jej serce klingę z transpastali, a później ją złamał, żeby czubek pozostał w sercu na zawsze.

Wiedziała jednak, że dokonała słusznego wyboru.

Kiedy w końcu pilot oznajmił przez głośniki pokładowego interkomu, że wahadłowiec wnika w głąb atmosfery Korelii, Leia była już spokojna, choć nieszczęśliwa... Niemal czuła, jak z jej serca wyciekają krople krwi, jak znaczą drogę, po której idzie, i tworzą kałuże w miejscach, w których się zatrzymuje... Ale odczuwała wewnętrzny spokój.

Gwiezdny system MZX32905, okolice Bimmiela

- Pochowasz ją z zachowaniem odpowiednich rytuałów? - Zapytał Jacen.

Lumiya kiwnęła głową.

- Nelani była dzielną wojowniczką - powiedziała. - Pochowam ją z wszelkimi należnymi honorami.

Stali w ogromnej śluzie przylegającej do płyty lądowiska w hangarze, w którym stał jego wahadłowiec. W rękawie cumowniczym przytwierdzonym do burty statku panowało odpowiednie ciśnienie. Na pokładzie został nieprzytomny Ben. Był przypięty do fotela w przedziale pasażerskim, a u pasa miał zawieszoną rękojeść świetlnego miecza.

- Wiem, że to było dla ciebie bolesne - odezwała się Lumiya. - Ale przeżycia dzisiejszego dnia już cię wzmocniły.

Nie kryjąc bólu, rycerz Jedi spojrzał na nią.

- To tylko słowa, Lumiyo - powiedział. - „Wzmocni się poprzez ból”. A słowa nie mogą złagodzić tej tragedii. Ani trochę.

- To nie jest zwykły frazes, Jacenie - zapewniła kobieta. - To niezbędny składnik etycznego aspektu sprawowania naszej władzy. - Gestem wskazała wahadłowiec i wrota hangaru za nim, jakby miała na myśli niewidoczne gwiazdy. - Jedi odnajdują równowagę dzięki wyrzekaniu się przywiązania. W odróżnieniu od nich Sithowie doceniają przywiązanie... I odnajdują równowagę w świadomym, chociaż bolesnym poświęceniu tego, co najbardziej kochają. Tylko dzięki temu możemy rozumieć, czym są strata, ból, nieuchronność śmierci... Emocje, których doświadczają zwykli ludzie.

Jacen zastanowił się nad jej słowami i doszedł do wniosku, że mają sens. Taka filozofia pozwalała Sithom żywić płomienne uczucia... A ból miał utrzymywać te uczucia w ryzach. Sithowie w rodzaju Palpatine'a nie kierowali się tą zasadą, lecz hołdowali filozofii osiągnięcia korzyści bez konieczności poświęcania czegokolwiek. Taka zachłanność skazała na zagładę nie tylko ich, ale także wszystkich, którzy ich otaczali.

Nie wyłączając dziadka Jacena, Dartha Vadera.

- Staniesz się człowiekiem, jakim nie mógł się stać twój dziadek - podjęła Lumiya. - Wróc do domu i zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby zakończyć tę wojnę i zapewnić sobie czas na naukę. Wcześniej czy później będziesz musiał znaleźć ucznia. Możesz brać pod uwagę Bena, ale moim zdaniem Ben za bardzo przesiąkł cechami Jedi, takimi jak łagodność i pogoda ducha, więc nie tracąc z oczu Bena, możesz także szukać innych kandydatów. Musisz się nauczyć otwierać umysł na aspekty

Mocy, które zawsze kazano ci ignorować albo potępiać, a największą wiedzę i potęgę zdobędziesz, kiedy się zdecydujesz na akt największego poświęcenia... Kiedy zrezygnujesz z czegoś, co kochasz nie mniej niż życie. Dzięki temu poświęceniu unieśmiertelnisz swoją miłość.

- Zobaczymy - odparł nieobowiadująco rycerz Jedi.

- Jeżeli tu wrócisz, pomogę ci to dostrzec - zapewniła Lumiya. Obserwowała przez transpastalową ścianę śluzy, jak Jacen wchodzi na pokład, uszczelnia statek i odłącza rękaw cumowniczy. Kiedy włączył repulsory, jego wahadłowiec wzniósł się w powietrze, powoli skierował w stronę otwartych wrót i wyleciał.

Wyczerpana, ale triumfująca Lumiya wróciła do salonu na najwyższym piętrze habitatu. Położyła się na kanapie i spojrzała na gwiazdy przez porysowaną transpastalową kopułę.

- Zwyciężyłam - powiedziała.

Jacen, ubrany w ciemny płaszcz z kapturem, w którym płonęły złocistopomarańczowym blaskiem oczy, wyszedł z mrocznego kąta, niedbałym ruchem musnął złocisto-czarną rękojeść świetlnego miecza u pasa i odwrócił się w jej stronę. Nie poruszał ustami, ale w umyśle kobiety pojawiły się jego słowa: „A więc muszę odejść. Stać się nicością”.

- Zawsze byłeś nicością - stwierdziła Lumiya. - Jesteś projekcją energii Ciemnej Strony z jaskiń, ukształtowaną przez to, jak wyobrażam sobie Jacena Solo. Wiem jednak, że wrócisz. Stopniowo, powoli Jacen Solo stanie się tobą.

„Przynajmniej będę się jakoś nazywał. Będę miał imię Sitha”.

- Tak - przyznała Lumiya.

Widmowy Sith podszedł do kanapy, na której leżała.

„Wcześniej czy później Jacen się zorientuje, że to ty odpowiadasz za atak na stacji Toryaz. Dowie się, że niewinni ludzie zginęli dzięki zjawom z twoich myśli, przybierających postaci tych, których kochali. Że gdyby nie twoje manipulacje, tej wojnie można było zapobiec”.

- To prawda, może kiedyś się zorientuje - przyznała Lumiya. - Ale tymczasem gniew jego i członków jego rodziny obróci się przeciwko Thrackanowi Sal-Solo, który ponosi większą winę niż ja za ten atak... Bo zrobił to, co zrobił, kierując się własnym interesem. A kiedy Jacen odkryje całą prawdę, zrozumie, jak ważną postacią się stał dzięki tym wydarzeniom, i na pewno mi wybaczy.

„Wyczuwam jego emocje. Znienawidzi cię za to, co się tu stało”.

- Ale z tego samego powodu także mnie pokocha - odparła Lumiya.

„To prawda”.

Kobieta się uśmiechnęła,

- A więc znalazłam równowagę - oznajmiła. - Równowagę Sithów;

Fałszywy Jacen pokiwał głową, a później powoli i bez widocznego smutku rozpląnął się w powietrzu i zniknął.

Przecierając oczy i delikatnie masując brzuch, Ben wszedł do sterowni wahadłowca i opadł na fotel drugiego pilota.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - Zapytał.

- Wiele godzin - odparł Jacen.

- Gdzie jest Nelani?

Jacen zawahał się, szukając odpowiednich słów, ale doszedł do wniosku, że na dłuższą metę wymijająca odpowiedź wyrządziłaby więcej szkody niż ponura prawda.

- Nie żyje, Benie - powiedział.

Chłopak wyprostował się na fotelu i zwrócił ku niemu twarz, na której malowały się ból i niedowierzanie.

- Jak to się stało? - Zapytał. - Tamten Sith?

- Tak i nie. - Jacen zastanowił się nad odpowiedzią i zdecydował, że nawet mieszanina prawdy i kłamstw któregoś dnia i tak wyszłaby na jaw. - W najgłębszych jaskiniach mieszkała osoba, która uważała się za Sitha, ale nim nie była - powiedział. - Posługując się Ciemną Stroną Mocy, nauczyła się korzystać z energii, którą przesiąkły tamte jaskinie. To dzięki tej energii stała się bardzo silna... Ale jej potęgą ograniczała się tylko do tamtej asteroidy. Ta osoba wysłała do walki z nami śmiertelnie niebezpieczne iluzje.

- Pamiętam. Walczyłem z mamą - odparł Ben. - Kopnęła mnie tak mocno, że straciłem przytomność.

- To samo zrobiłaby w prawdziwym życiu - stwierdził rycerz Jedi. - Nelani walczyła z upiorami swojej nieudolności. Sądziłem, że pomogłem jej uporać się z tymi zjawami, kiedy była zaledwie uczennicą... Zbyt słabą, żeby stawić im czoło. To one ją zabiły.

- Och... Sithowe nasienie. - Ben osunął się na fotel. - A co z... Co z... Bishą? Birshą? - Na twarzy chłopaka malowała się dezorientacja.

- Brishą - przypomniał Jacen. Dobrze wiedział, dlaczego Ben tak się czuje i dlaczego nie może sobie przypomnieć imienia Brishy. Kiedy chłopak spał, poszperał w jego pamięci i zatarł wspomnienia o Brishy niemal równie umiejętnie, jak malarz przemalowuje klasyczny portret. Na pewno Ben czuł się wytracony z równowagi tym, że nie może sobie przypomnieć rysów jej twarzy. Jacen przypisałby to wielu ciosom, które chłopak otrzymał podczas walki.

- Ona także zginęła - powiedział. - Z odniesionych ran. - Udał, że wzdycha. - Zamówiłem wielką ilość materiałów wybuchowych, żeby wysadzić w powietrze tamtą asteroidę. - Mówił prawdę, bo gdyby ktoś chciał się kierować zestawem współrzędnych zapisanych w pamięci nawigacyjnego komputera, żeby odnaleźć habitat Lumiya, natknąłby się tylko na krążące w przestworzach ogromne gązdy. W tym celu Jacen musiał sfałszować informacje zapisane w pamięci komputerów wahadłowca oraz wytyczyć kurs z Lorrda do innego niezamieszkanego systemu gwiazdowego i innego pasa asteroid. Na razie więc Lumiya mogła się nie obawiać, że ktoś ją odnajdzie.

- To dobrze - mruknął Ben i umilkł. Siedział bez słowa kilka minut, bębniąc niespokojnie palcami po podłokietniku fotela drugiego pilota. - To niesprawiedliwe - odezwał się w końcu. - To, że obie zginęły.

- To prawda, ale czasami tak się dzieje - odparł rycerz Jedi.

- Takie jest życie. Musimy tylko znaleźć sposób, żeby takie wydarzenia nas wzmacniały.

Ben pokiwał głową.

- Chyba masz rację - przyznał ponuro.

Coruscant

- On istnieje. - Luke uniósł głowę znad komputerowego terminalu. Po ekranie przesuwały się informacje o walkach na Tralusie, ale Mara wyczuwała, że powodem zmartwienia męża jest coś innego. - W końcu nabrałem pewności, że istnieje.

- Twój widmowy nieprzyjaciel? - Domyśliła się mistrzyni Jedi.

- Tak. - Luke wstał. - Prawdopodobnie to dlatego zostaliśmy zaatakowani zeszłej nocy przez

falszywego Jacena i fałszywego Bena. Zaprzątnęli naszą uwagę, żebyśmy przeoczyli powstanie czegoś... Czymkolwiek jest, gdziekolwiek się znajduje. To musiało wydarzyć się gdzieś blisko, w przeciwnym razie nie byłoby sensu odwracania naszej uwagi.

Rozejrzał się wokół, jakby mógł przeniknąć spojrzeniem gładkie kamienne ściany i zobaczyć kryjącego się za nimi nieprzyjaciela. Ściany pozostawały jednak uparcie nieprzezroczyste.

- Znajdziemy go - zapewniła Mara. - Znajdziemy i pokonamy. - Spojrzała na ekran terminalu i się uśmiechnęła. - Wiadomość od Jacena i Bena - oznajmiła. - Wracają do domu.

PODZIĘKOWANIA

Na podziękowania zasługują moi wspólnicy w knuciu intrygi: Troy Denning i Karen Traviss, moje Sokole Oczy (Chriss Cassidy, Kelly Frieders, Bob Quinlan, Roxanne Quinlan i Luray Richmond), Shelly Shapiro z Del Rey, Sue Rostoni i Leland Chee z Lucas Licensing oraz mój agent Russ Galen.